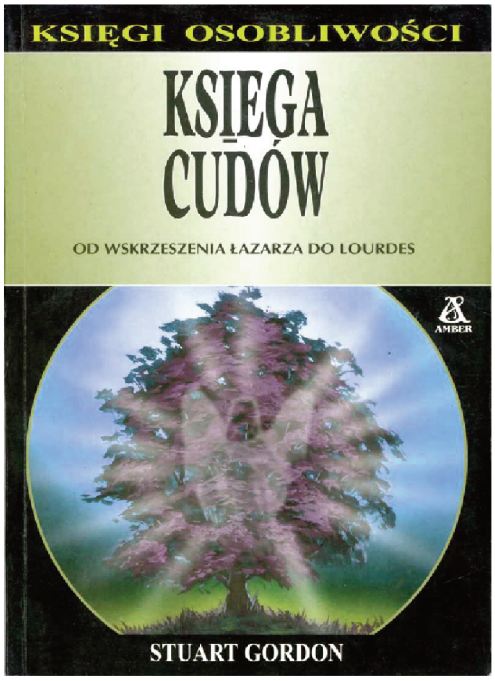

Stuard Gordon

KSIĘGA CUDÓW

OD WSKRZESZENIA ŁAZARZA DO LOURDS

Unikalny zbiór relacji o cudownych zjawiskach na przestrzeni dziejów

Cuda. Czy należy uznać je za oszustwo albo urojenia indywidualne lub zbiorowe? A jeżeli są tgo wydzrzenia autentyczne : czy można tłumaczyć je tym, co nadprzyrodzone, czy też trzeba szukać ich przyczyny w głębi ludzkiego umysłu?

Krwawiące i płaczące figury świętych a Wizje Maryjne a Stygmaty a Interwencje aniołów a Cudowne uzdrowienia

Stuart Gordon, autor *Księgi oszustw* i *Popularnej encyklopedii mitów i legend,* przytacza szczegółowe relacje, porządkuje argumenty i probuje znaleźć prawdę, kryjącą się za wiarą w istnienie cudownych zjawisk.

„Cuda nie mają nic wspólnego z rozsądkiem. Cuda przeczą rozsądkowi, obalają go, drwią z niego. Trafiają bezbłędnie w pustkę zwykłej ludzkiej duszy, przynoszą jej wyzwolenie i zbawienie, gdziekolwiek zechcą. Gdyby cuda miały sens, nie byłyby cudami".

Ellis Peters, A Morbid Tastefor Bones

Spis treści

Wstęp: wiara kontra rozum – 3

Co to jest cud? Wyobraźnia ponad materią? Potęga zbiorowej wiary. Paranormalne czy nadprzyrodzone? Akwarium ze złotymi rybkami.

1. Oślepieni światłem: przeżycia z pogranicza śmierci – 8

Wizja Carla Junga. Życie po życiu? Przeżycia (NDE) George'a Ritchiego. 15 elementów NDE wyliczonych przez Moody 'ego. Klasyczne przypadki NDE. Od chrześcijaństwa do spirytyzmu. Strach czy upadek? Osis i Kubler-Ross. Autoskopiczne przeżycia z pogranicza śmierci (NDE). Transcendentalne przeżycia z pogranicza śmierci (NDE). Przypadki (NDE) w innych społecznościach. Przeżycia z pogranicza śmierci (NDE) Rosalia. Argumenty „za " i „przeciw ". Wizje piekła. Wnioski: wyzwolenie z dwuwymiarowego świata.

2. Od Łazarza do Lourdes - cudowne uzdrowienia – 24

Siły wyższe? - przypadek Jacaues 'a Salauna. Sai Baha wskrzesza zmarłego. Uzdrawiające serce. Człowiek leczący AIDS? Modlitwa, prana, mana. i ch 'i. Wyjaśnienie działalności kahunów. Od Hipokratesa do „świętych kości". Wiek cudów. „Naturalne " kontra „nadprzyrodzone". Mesmeryzm i hipnotyzerzy. Uzdrawianie (meta) fizyczne. Uzdrawianie na odległość i pomoc ze strony zmarłych. Chirurgia psychiczna: „za" i „przeciw". Rewiwaliści i ewangeliści. „Lekarzu, ulecz samego siebie". Zmarli święci, nieprzemijająca moc uzdrawiania?

3. Wizje Maryjne – 45

Tańczące słońce. Boża Rodzicielka. Cud w Gwadelupie i inne wizje. Tłumy wizjonerów. La Salette: „ Zmieńcie swe grzeszne życie!". Niebiańska Pani z Pontmain. Stukając do bram nieba. Garabandal: cudowna hostia. Medjugorje: duchowy Disneyland? Szóstka z Medjugorje. Wnioski: co kryje się za zasłoną?

4. Krew, pot i łzy: ożywione wizerunki – 61

Relikty przeszłości? Cudowna krew św. Januarego. Krwawiące i uzdrawiające kamienie. Drewniane oczy płaczą krwawymi łzami? Tragedia Abbe Yachere 'a. Osada Pielgrzymów w Templemore. „Stówo daję, autentyczna krew!" Nasza Pani Płacząca. Epidemia w Chicago. Ballinspittie: irlandzkie ożywione kamienie. Incydent na Malcie. Jezus z makaronu: dziwaczne współczesne wizerunki. Niezwykle idole pijące mleko. Cudowny grad w Remiremont. Całun Turyński: wiara kontra radiowęgiel.

5. Upragnione rany: stygmaty – 81

Trzy niedawne przypadki. Przedewszystkim - cierpienie? Krwawienie i całkowity post: Teresa Neumann. Inne przypadki obywania się bez pokarmu: Luiza Lateau i Dominika Lazzari. Pierwszy stygmatyk: św. Franciszek z Asyżu. średniowieczni stygmatycy: sami masochiści? Matka Joanna: szatan przejmuje kontrolę. Uzdrowicielskie cuda Ojca Pio. Błyskotliwy Clemente Dominguez, Przypadek Elżbiety K... Pytanie: czy umyśl góruje nad materią?

6. Chodzenie po powietrzu: lewitacje – 97

W *górę! Siostra Rosa przenika przez sufit. Folklor związany z lewitacjami. Ambiwalencja Rzymu. Uniesienia św. Teresy. Fruwający zakonnik: Józef z Copertino. Unoszący się w powietrzu bramini: brak zadowalającego wyjaśnienia. Energia ziemska, indukcja elektryczna? „Latający Szkot": D.D. Home. Szatan nawiedza Waszyngton: Egzorcysta. UFO - a może...? Grawitacyjni oszuści, Rekapitulacja: a nuż świniom wyrastają skrzydła?*

7. Podpalenia i ogniste fenomeny – 113

Sprawczyni pożarów: przypadek Carole Compton. Inni niedawno odkryci sprawcy pożarów. Odporność na ogień wynikająca ze świętości. Odporność na ogień nie związana ze świętością. Odporność ogniowa medium; znowu D.D. Home. „Spacery po węglach": najnowsze hobby. Ludzie jaśniejący i płonący. Incendium amoris (żar-miłości) Istoty naładowane elektrycznością.

8. Interwencje aniołów – 126

Anioły z Mons i Biała Kawaleria. Anioły stróże: kilka najnowszych relacji. Potrzeba ludzkiego serca czy niebiańska rzeczywistość? Upadłe anioły, demony i dewy. Na sam szczyt Drzewa Życia. Anioły czy „plemię wróżek"? Flirty doktora Dee z Madimi. „Wyjątkowi": od Swedenborga do Steinera. Anioły i astronauci: od Moroniego do Sojuza 7? Złota Jutrzenka? - Crowley przywołuje Choronzo na, Wizje fantastyczno naukowe? - Strieber i Dick. Anioły New Agę: Wspólnota nad Zatoką Findhorn.

Wstęp: wiara kontra rozum

Co to jest cud?

Kto w dzisiejszych materialistycznych czasach wierzy w cuda? Kto mógłby uwierzyć, że - jak doniesiono w 1908 roku z francuskiej miejscowości Remiremont - z nieba spadły bezgłośnie bryłki gradu wielkości pomidorów, a zdobiły je wizerunki Maryi Panny? Albo któż uwierzyłby w nadprzyrodzone pochodzenie rysów twarzy Chrystusa, odciśniętych na tortiiii (kukurydzianym placku), który w 1978 roku zdjęła z własnej patelni pani Mańa Rubio z Lakę Arthur w Nowym Meksyku? A co z relacjami o ukazywaniu się Maryi Panny w Knock, Fatimie, Lourdes, ostatnio zaś w Medjugorje w Bośni (od 1982 roku odwiedziło je 20 milionów pielgrzymów) i rzekomych cudownych uzdrowieniach? Co można sądzić o Edgarze Caysie, amerykańskim „śpiącym jasnowidzu", który wpadłszy w trans diagnozował podobno na odległość choroby swoich „pacjentów"? Albo o Ojcu Pio, włoskim zakonniku, noszącym na swym ciele stygmaty. Podobno nie tylko uzdrawiał on (również na odległość) ludzi, z którymi nigdy się osobiście nie zetknął, ale - jako ślad swej obecności - pozostawiał słodki „odór sanctitatis" w pomieszczeniach, gdzie nigdy w sposób fizyczny nie przebywał - a niekiedy pojawiał się w dwóch miejscach na raz? Co należy sądzić o hinduskim cudotwórcy imieniem Sai Baba, który rzekomo sprawiał, że w powietrzu roiło się nagle od motyli lub spadał deszcz kwiatów? W dodatku przywrócił on podobno do życia pewnego Amerykanina w podeszłym wieku! Ilu z nas naprawdę wierzy w takie cuda?

Zacznijmy od pytania: co to jest cud? Teolog C.S. Lewis (l 898-1963) podaje następującą definicję: „Wtargnięcie siły nadprzyrodzonej w świat naturalny". "*W Nowym Słowniku Języka Angielskiego* znajdujemy wyjaśnienie, że termin ten oznacza: „Coś niezwykłego i zdumiewającego, cudowne wydarzenie lub działanie, spowodowane przez czynnik nadprzyrodzony". Żadne z tych określeń nie odbiega w sposób znaczący od definicji zamieszczonej przez św. Tomasza z Akwinu w dziele Summa Theologica ponad 700 lat temu. Stwierdził on, że cudem jest każde Boże działanie wychodzące poza porządek zwykle panujący lub obserwowany w naturze.

No i już mamy problem! W największym skrócie sprowadza się on do alternatywy: wiara czy rozum? Jest to konfrontacja dwóch, nie dających się ze sobą pogodzić, światopoglądów i systemów wiary. W obecnych czasach słowa takie jak „Bóg" lub „nadprzyrodzony" wywołują prawie u każdego natychmiastową emocjonalną reakcję (dodatnią lub ujemną) - i to tak silną, że nie ma mowy o dyskusji, ani o zajęciu pośredniego stanowiska. Ludzie albo wierzą, albo nie wierzą. Dla niewierzących cuda po prostu nie mogą się wydarzyć, gdyż - według nich - ani Bóg, ani zjawiska nadprzyrodzone nie istnieją. Nawet jeśli coś ma pozory cudowności, istnieje niewątpliwie jakieś naturalne wyjaśnienie, więc nie jest to cud. Stanowisko racjonalistów pozostaje niezmienne od czasu, gdy 200 lat temu sformułował je filozof David Hume, oświadczając autorytatywnie: „Cud jest pogwałceniem praw natury. Ponieważ zaś prawa te sformułowano na podstawie pewnych i niezmiennych doświadczeń, dowód nieistnienia cudu jest - z samej istoty rzeczy - tak całościowy, jak tylko może nim być argument oparty na doświadczeniu...". Albo też - przedstawiając problem od drugiej strony - wróćmy do Lewisa:

Gdyż jeśli [cuda]są niemożliwe, żadna ilość historycznego materiału dowodowego nas nie przekona. Jeżeli zaś są możliwe, acz w najwyższym stopniu nieprawdopodobne, wówczas jedynie sprawdzalna matematycznie ewidencja będzie nas w stanie przekonać. Ponieważ zaś historia nigdy nie dostarczy nam tego rodzaju ewidencji związanej z jakimś wydarzeniem, nie będzie w stanie przekonać nas, iż jakiś cud istotnie miał miejsce.

Inaczej mówiąc, kto nie chce w coś uwierzyć, nie uwierzy. A jeśli ktoś nie chce wyzbyć się swojej wiary, żadna liczba dowodów świadczących, że prawda przedstawia się odwrotnie (czyli cuda nie zdarzają się i wydarzyć się nie mogą), nie zdoła go przekonać. Wszystko sprowadza się więc do wiary. I dlatego właśnie ta książka traktuje w równym stopniu o sile i systemach wiary, jak i o cudach - prawdziwych czy rzekomych -które zostały w niej opisane.

Jednak - jeśli nawet uznajemy dowody na istnienie stygmatów lub innych dziwacznych fenomenów, między innymi wynikających z ekscesów wiary i ekstremalnych stanów umysłu; jeżeli nawet wierzymy w górowanie umysłu nad materią, albo należymy do tych 500 tysięcy (w przybliżeniu) Amerykanów, którzy podobno w ostatnich latach spacerowali boso po rozżarzonych węglach; jeżeli nawet w skrajnej rozpaczy zwróciliśmy się do uzdrawiającego wiarą - i przyniosło nam to ulgę, której nie zapewniła konwencjonalna medycyna - mimo wszystko musimy przyznać, że, jedna jaskółka nie czyni wiosny", a

jeden „cud" nie świadczy o tym, że inne nie są zwykłym oszustwem, samo-okłamywaniem się lub zbiorową halucynacją- albo wytworem wybujałej wyobraźni. Może jednak nie należy lekceważyć wyobraźni. Czyż nie istnieje prawdopodobieństwo, że sama wyobraźnia może przyczynić się do powstania pewnych zjawisk?

Wyobraźnia ponad materią?

W chwili obecnej, gdy zbliżamy się do 2000 roku n.e., apokaliptyczne emocje ogarniające tych, którzy korzystają z chrześcijańskiego kalendarza, sprawiają, że szerzy się wiara w cuda. Czy podobne nastroje można dostrzec w społecznościach muzułmanów, hindusów, żydów albo Chińczyków - choć każda z nich żyje według własnego kalendarza? Wiele wskazuje na to, że w świecie ogarniętym chaosem, nasilającym się z dnia na dzień, takie postawy nie ograniczają się jedynie do społeczności około dziewięciuset milionów rzymskich katolików czy też członków różnych charyzmatycznych sekt lub kultów związanych z ruchem New Agę. Nie można też tłumaczyć ich jedynie rosnącym strachem i potrzebą jakiej siły nadprzyrodzonej ostoi w świecie tak bardzo niespokojnym -pomimo (a może właśnie z powodu?) przeszło dwustu lat „postępu naukowego".

Czy jest to jednak nowe zjawisko? Na świecie zawsze panował chaos. Ludzie nieustannie poszukiwali oparcia w nadprzyrodzonym. I czy tylko strach powoduje, że rośnie wiara w pomoc aniołów stróżów albo przekonanie, że można nawiązać kontakt z duchami zmarłych? Czy to jedyne wytłumaczenie fascynacji relacjami osób, które otarły się o śmierć? Niewykluczone, ale jeśli to tylko strach albo poszukiwanie za wszelką cenę pociechy lub sensu życia, jak wytłumaczyć zdumiewające najnowsze dane Instytutu Gallupa, z których wynika, że 3,7 miliona Amerykanów utrzymuje, iż zostali uprowadzeni przez wrogich UFO-nautów, stosujących wobec nich seksualną przemoc, niczym demoniczni ginekolodzy? Czyż można czerpać jakąkolwiek pociechę z podobnych reakcji, wszystko jedno - prawdziwych czy urojonych? Również nie każde przeżycie z pogranicza śmierci to urocza wędrówka do nieba: niektóre z nich są dosłownie piekielne. A co z cierpieniami stygmatyków takich jak Heather Woods, u której - po wieloletniej chorobie - w 1992 roku wystąpiło nagle krwawienie z rąk i nóg?

Tak wiele relacjonowanych cudów postrzeganych jest - zarówno przez wierzących, jak i sceptyków - wyłącznie w kategoriach kontrastu, niezłomnego „tak" albo „nie"! Cuda rodzą się w sferze ducha, która otacza lub też przenika świat fizyczny - utrzymują wierzący. Cuda to kompletna fikcja; można je wytłumaczyć jedynie oszustwem, złudzeniem lub halucynacją; nie mającadnej obiektywnej realności - tak twierdzą sceptycy.

Podobne myślenie na zasadzie „albo - albo" świadczy jedynie o powszechnej potrzebie trwałego oparcia w ustalonym systemie - takich czy innych - niekwestionowanych informacji. Wszystko wskazuje na to, że istotną częścią natury „myślącej istoty", człowieka, jest potrzeba wytłumaczenia (Jakiegokolwiek!) zjawisk przekraczających naszą zdolność pojmowania lub nie dających się opisać za pomocą terminów już nam -podobno - znanych. Wierzymy więc bezgranicznie lub też całkowicie negujemy. Jesteśmy pewni, że coś jest - albo nie jest - realne. Tam, gdzie brakuje nam wiedzy, kierujemy się opiniami, tworzonymi przeważnie dla podbudowania własnej osobowości, poczucia, kim jesteśmy i co sobą reprezentujemy. Wygląda na to, że tak już zostaliśmy stworzeni. Ale co powiedzieć o roli, jaką nieświadomie odgrywamy w powstawaniu takich kontrowersyjnych fenomenów? Czyżby wyobraźnia miała większy wpływ na kształtowanie rzeczywistości niż można by przypuszczać?

Patrząc na sprawę powierzchownie, stwierdzimy, że ludzie są w stanie dostrzec (i dostrzegają) zjawiska, które uznają za boską interwencję, w najbardziej nieprawdopodobnych okolicznościach. Odbicie twarzy Chrystusa widywano na podeszwach butów, brudnych szklankach, nawet na przypalonej tortiiii czy wielkiej tablicy Pizza Hut, reklamującej spaghetti. Zdarzyło się to w Atlancie w stanie Georgia. W 1985 roku liczne relacje o schodzących z postumentu posągach Najświętszej Maryi Panny zwabiły do Irlandii dziesiątki tysięcy ludzi, którzy chcieli zobaczyć to koniecznie na własne oczy. Ilekroć jednej osobie przywidzi się, że coś dostrzega, zaraz inni także to widzą!

Jeśli głębiej zastanowimy się nad tą sprawą, zrozumiemy, iż nic nie może powstać realnie, o ile nie zaistnieje wcześniej w wyobraźni. Zanim ktoś napisze książkę, musi ją wymyślić. Dom należy zaprojektować, nim się go zbuduje. Trzeba zaplanować menu przed ugotowaniem obiadu. Ten wstępny udział wyobraźni jest nieodzowny w każdym akcie twórczym. Wobec tego - w jakim stopniu powstawanie tzw. cudownych zjawisk uzależnione jest od wyobraźni ludzi, którzy je postrzegają albo w nie wierzą? I odwrotnie: w jakim stopniu odmowa przyjęcia do wiadomości, uwierzenia czy nawet zobaczenia pewnych

fenomenów zmniejsza prawdopodobieństwo ich zaistnienia?

W 1942 roku, podczas eksperymentu pod nazwą „Owce i Kozły", dr Gertruda Schmeidier z Radcliffe College w USA badała zdolność niektórych studentów w zakresie postrzegania pozazmysłowego (ESP- *extra-sensory perception*). Zadawszy im pytanie, czy wierzą w możliwość takiego postrzegania, podzieliła testowanych na dwie grupy: „Owce" (wierzący) i „Kozły" (sceptycy). Pomysł takiego podziału zaczerpnięty jest z Ewangelii św. Mateusza, 25, 32-33; „ i zgromadzą się przed Nim wszystkie narody a On oddzieli jednych [ludzi] od drugich, jak pasterz oddziela owce od kozłów. Owce postawi po prawej, a kozły po swojej lewej stronie". Rezultaty eksperymentu wykazały, że osoby wierzące w postrzeganie pozazmysłowe osiągnęły liczbę punktów znacznie przewyższającą średnią. Jeszcze bardziej interesujące jest to, że niewierzącym udało się jakimś sposobem uzyskać wynik grubo poniżej przeciętnej. Całkiem nieświadomie, posiadając zupełnie taką samą zdolność postrzegania pozazmysłowego, jak osoby wierzące w jego możliwość, sceptycy „naciągnęli wyniki testu" tak, by potwierdzały ich przekonanie, że postrzeganie pozazmysłowe jest fikcją. Na temat tego eksperymentu Colin Wilson czyni następującą uwagę: „Gertruda Schmeidler udowodniła, że sceptycyzm nie zawsze bywa tak »naukowy« i »obiektywny«, jak się tym szczyci".

W ten sposób zdecydowani racjonaliści, zaprzeczający temu, że potrzeba, wiara i wyobraźnia mogą wywierać bezpośredni wpływ na materialną rzeczywistość, przyczyniają się do powstania wyniku, który dokładnie potwierdza ich poglądy: wiarę lub brak wiary. Chociaż bowiem przyznają, że definicje i prawa naukowe okazują się równie błędne jak wszelkie inne ludzkie twierdzenia, a także używają potocznie takich zwrotów jak „cudowne leki" lub „cudem uniknął śmierci" - za żadne skarby nie chcą posunąć się dalej, ani na krok. Odrzucają relacje o lewitacjach czy chodzeniu po rozżarzonych węglach twierdząc, że „to po prostu nie może się wydarzyć". Jeszcze większy sprzeciw budzi w nich informacja, że tacy uzdrowiciele jak Anglik George Chapman korzystają z pomocy duchów dawno zmarłych lekarzy; albo że jakieś medium - na przykład D.D. Home - może wetknąć głowę do płonącego ognia i nie ulec poparzeniu. Coś podobnego byłoby sprzeczne zarówno z logiką, jak i zdrowym rozsądkiem - i wobec tego wydarzyć się nie mogło!

Bardzo często mają słuszność. Oszustwa i złudzenia to zjawiska powszechne. Jednakże tam, gdzie dowody są przekonywające, sceptycy albo chowają głowy w piasek, przecząc oczywistości, albo doszukuj ą się jakichś „mechanizmów", zgodnie z którymi dałoby się wytłumaczyć owe wydarzenia według powszechnie przyjętych zasad laicyzmu. Postępując tak sceptycy zapewne łudzą się, że zacierają wszelki ślad podobnych incydentów: W najgorszym zaś wypadku „przykrawają" te niewygodne wydarzenia do rozmiarów szczątkowych, które ostatecznie są w stanie zaakceptować - odzierając je z wszelkiej cudowności, tajemniczości i fantazji.

Potęga zbiorowej wiary

A zatem niedowiarstwo, nie oparte na solidnych podstawach, jest równie irracjonalne jak wiara bez konkretnych dowodów. W obu przypadkach brakuje obiektywnego postrzegania rzeczywistości. Nawet oszustwo czy złudzenie może przynieść określone efekty. Niektórzy, na przykład, guru potrafią siłą swej sugestii radykalnie zmienić (na lepsze lub gorsze) życie uczniów. Wielu współczesnych mistyków osiągnęło podobny efekt. Wiara może stanowić znacznie silniejszą motywację niż jakikolwiek „fakt". „Nic nie jest prawdziwe - miał rzekomo stwierdzić przed tysiącem lat Starzec z Gór (Hassan ibn Sabbah). - Wszystko jest dopuszczalne".

Nigdzie potęga wiary nie jest bardziej dostrzegalna niż w dziejach zorganizowanej religii. Na przykład chrześcijaństwo przez dwa tysiące lat swego istnienia odcisnęło niezatarte piętno na wszystkim i wszystkich, włącznie z tymi, którzy w nic nie wierzą. Po prostu nie ma żadnego znaczenia brak namacalnych dowodów na to, że Chrystus w ogóle żył, albo - jeśli tak istotnie było - iż miały miejsce wydarzenia, które kojarzą się z jego osobą (z cudami włącznie). Czy żył i działał tak, jak to podają Ewangelie, czy też nie, zbiorowa ufność w niego, ukształtowała cywilizację Zachodu.

I choć podobno Chrystus ubolewał nad brakiem ufności tych, którzy oczekują „znaków i cudów," chrześcijaństwo nigdy by nie przetrwało bez tych wydarzeń, prawdziwych czy rzekomych. W obliczu takiej konkurencji na rzymskim rynku, jak słynące od dawna z cudowności kulty Izydy, Mitry, Orfeusza, Dionizosa, Adonisa oraz innych popularnych bóstw, które przeżyły śmierć i zmartwychwstanie, pierwotny Kościół chrześcijański musiał dostosować się do powszechnych oczekiwań - albo utracić wyznawców. Być może więc w ten sposób narodziła się tradycja Chrystusa-cudotwórcy: syn dziewicy, chodzący po falach, przemieniający wodę w wino, karmiący tłumy pięcioma chlebami i dwiema rybami, wypędzający demony,

wskrzeszający zmarłych - a wreszcie powstający z martwych i wstępujący do nieba.

Jezus miał też podobno oświadczyć, że każdy, kto weń wierzy, będzie w stanie dokonywać cudów. Dlatego właśnie w IV wieku, gdy szerzyła się już wiara w „święte kości" przywracające w cudowny sposób zdrowie, biskup Ariusz został potępiony jako heretyk, gdyż twierdził, iż Jezus był śmiertelny jak wszyscy ludzie. Kościół, zazwyczaj przyjmujący ambiwalentną postawę wobec cudów, musiał zaakceptować ogólną wiarę. Cóż, nie było oprócz niej wielu czynników, które pomagałyby jakoś znosić ciężkie bytowanie. Wiara łączyła się z nadzieją, a gdzie ona, tam i życie.

A zatem wiara jest równie ważna jak same cuda - jak widać na przykładzie Całunu Turyńskiego. Czy rzeczywiście jest to tkanina, która spowijała ciało Chrystusa, czy też podróbka z XIV wieku? Wykonane w 1988 roku badania radiowęglem zdecydowanie wskazują na tę drugą ewentualność - a mimo to wierzący nie zwątpili w Całun. Pisarz Ian Wilson utrzymuje na przykład, że badane próbki mogły ulec skażeniu i wobec tego datowanie budzi wątpliwości. Nawrócony na katolicyzm Wilson uważa Całun Turyński za boski probierz wiary członków Kościoła, zgodnie z tekstem biblijnym „Nie będziesz wystawiał na próbę Pana Boga swego" (Księga Powtórzonego Prawa - V Mojż. - 6, 16). Pisarz wyznaje, iż wiara w te słowa pozwala mu w dalszym ciągu czcić Całun, bez względu na to, co twierdzi nauka.

Wiele opisanych tu fenomenów związanych jest z katolicyzmem. Protestancka reformacja odrzucała nie tylko dominację Rzymu, ale i rzymskie cuda. Reformatorom udało się w znacznym stopniu oczyścić własny typ chrześcijaństwa z elementów magicznych. Ich działalność przyczyniła się do powstania racjonalizmu i materializmu. W następnych stuleciach reakcją na nie miały być fale nasilonego działania magnetyzerów, spirytystów i okultystów. Umysł ludzki domaga się cudów, być może z podświadomych lub świadomych przeczuć, iż życie nie ogranicza się do mechanizmów. Toteż obecnie, gdy nastąpił najcięższy w dziejach ludzkości kryzys sensu życia, cuda znów weszły w modę, choć przybieraj ą różnorodne formy i wywołują najrozmaitszy odzew.

Czy zachodzi - na przykład -jakiś związek między wizjami Maryjnymi w krajach katolickich a bliskimi spotkaniami lub uprowadzeniami przez UFO w krajach po większej części protestanckich, jak np. Stany Zjednoczone? Być może te fenomeny wywodzą się z tego samego źródła - umysłu ludzkiego, ale odbierane są odmiennie ze względu na różnice kultury i umysłowości oraz oczekiwania odbiorców. Powtórzmy raz jeszcze: bez względu na to, jak odczucia świadków mają się do rzeczywistości, bezspornym faktem jest to, że wiara, indywidualna lub zbiorowa, dokonuje autentycznych zmian w świecie materialnym. Tak więc szerzące się przeświadczenie o dokonywaniu się cudów - choć bywa przedmiotem szyderstw - nie zniknie „ot, tak sobie" z ludzkiej świadomości.

W rezultacie, jak długo ludzie będą wierzyć w cuda, będą się one wydarzać, czy tego chcemy, czy nie.

Paranormalne czy nadprzyrodzone?

W tym miejscu trzeba koniecznie postawić sprawę jasno: ogólnie przyjmuje się, że „cudowny" i „nadprzyrodzony" to całkiem coś innego niż „paranormalny". Dwa pierwsze określenia zakładają z góry, iż wydarzenia lub działanie spowodowane były interwencją sił boskich, a przynajmniej nieludzkich; ostatnie określenie nie zakłada tego - przynajmniej nie tak definitywnie. Zdolność postrzegania pozazmysłowego, lewitacji, chodzenia po rozżarzonych węglach, jasnowidzenia lub inne umiejętności, wykraczające poza granice przeciętnych, ludzkich doświadczeń lub możliwości, mogą znaleźć ostatecznie jakieś naturalne wyjaśnienie - podczas gdy cud - z samej definicji - jest czymś niewytłumaczalnym. Niekiedy jednak demonstracja takich właśnie niezwykłych umiejętności może zostać uznana (w odpowiednim społeczno-religijnym kontekście) za wydarzenie cudowne, czyli inspirowane lub sprowokowane siłą boską - i dlatego zostało zamieszczone w tej książce. Są to przypadki lewitacji, uzdrowienia, bilokacje oraz fenomeny związane z ogniem, na przykład *incendium amoris.*

Takie rozgraniczenie zaznacza się mniej ostro na Wschodzie niż na Zachodzie. Zgodnie z nauką buddystów czy hinduistów, podobne umiejętności (siddhi) można w sobie świadomie wyrobić (stanowią one produkt uboczny koncentracji jogi). Przeważa jednak opinia, że postępujący w ten sposób zbacza z głównej drogi wiodącej do światła mądrości. Na Zachodzie Kościół katolicki zdecydowanie rozgranicza „nadprzyrodzone" od „paranormalnego" już od lat trzydziestych XVIII wieku, kiedy to Prosper Lambertini (późniejszy papież Benedykt XIV) opublikował traktat o cudach, „De canonizatione". Odrzucał w nim wszelkie wydarzenia i fenomeny (na przykład jasnowidzenia czy większość uzdrowień), nie będące bezpośrednim dowodem boskiej interwencji.

I jeszcze jedno: same terminy „paranormalny" i „nadprzyrodzony" świadcząc racjonalistycznych, materialistycznych

uprzedzeniach, gdyż widać w nich arbitralną granicę pomiędzy zjawiskami „normalnymi" i zgodnymi z „przyrodą" (czyli naturą), a wydarzeniami od tego odbiegającymi. Tak więc dla materialisty samo użycie przedrostka „para-" lub „nad-" wskazuje, że ma do czynienia ze zjawiskiem lub fenomenem, który - zgodnie z definicją - nie mógł się wydarzyć, a zatem musi być rezultatem oszustwa, złudzenia czy masowej halucynacji. Bardzo interesujące, jak język może ukierunkowywać myślenie!

Akwarium ze złotymi rybkami

Ta książka nie jest rezultatem osobistych badań, ale przeglądem wydarzeń uznanych za cudowne, z ukazaniem ich prawdopodobnej przyczyny i skutków wiary w owe zjawiska.

Nie pielgrzymowałem do Lourdes ani Fatimy; nie porwali mnie skośnoocy, łysi kosmici; nie dysponuję informacjami „z pierwszej ręki". Nie należę do żadnego obozu, jestem obserwatorem stojącym z boku, nie posiadającym żadnych wyraźnych preferencji. Jednak osobiste doświadczenia (na przykład pobyt w domu, w którym niewątpliwie straszyło) przekonały mnie niezbicie, że jest więcej rzeczy na niebie i ziemi, niż świecki racjonalizm może sobie wyobrazić lub ogarnąć. Wierzę (nie sposób uniknąć tego słowa!) w podstawowy, absolutnie świadomy akt stworzenia, ale powątpiewam w nadprzyrodzone działania boskie, rozumiane bardzo po ludzku. Twierdzę, że prawdziwy cud wywołuje wiarę bez otoczki znaków i niezwykłych wydarzeń. Takim cudem, w najwyższym stopniu zwyczajnym i prostym, jest samo życie, różnorodność natury, tajemnica naszej samoświadomości, rozum przejawiający się w materii.

Od narodzin do śmierci żyjemy w świecie, którego nie jesteśmy w stanie pojąć - najwyżej w sensie czysto zewnętrznych pozorów. Staramy się jednak wyjaśnić - lub usprawiedliwić - jego działanie i tworzymy krocie niesłychanie powierzchownych opinii. Dają nam one złudzenie, że rozumiemy samych siebie i zgłębiliśmy zagadkę bytu. Możemy oczywiście pocieszać się takimi teoriami, ale w gruncie rzeczy nie wiemy nawet, czym jest rozum. Niektórzy nawet wykorzystując własną inteligencję, starają się udowodnić, że umysł w ogóle nie istnieje - można by to uznać za swoisty negatywny cud, podobny do eksperymentu z „owcami" i „kozłami". Jedni szukają „znaków i cudów" jako dowodu na istnienie czegoś poza codziennością - choć to ona właśnie jest w najwyższym stopniu niezwykła. Każdego ranka budzimy się z chwilowej śmierci zwanej „snem", idziemy do pracy (jeśli ją mamy!), jemy, planujemy nasze życie najlepiej jak potrafimy, zakochujemy się i odkochujemy, starzejemy i umieramy - jakiż to niezwykły, zdumiewający proces! Jak powstał jego zamysł - i w jakim celu? Jakże moglibyśmy mówić o „zamysłach" i „cudach", gdyby one nie istniały? Jak moglibyśmy - będąc produktem stworzenia - dyskutować o rodzajach i naturze bytu, gdyby jakaś siła wewnętrzna lub zewnętrzna nie obdarzyła nas zdolnością podobnego rozumowania?

Nieodparcie nasuwa się pytanie: po co tu jesteśmy?

Być może jesteśmy osadnikami na pograniczu materialnego świata, stanowimy cząstkę energii umysłu dążącego do rozszerzenia świadomości na głębsze, bardziej zindywidualizowane obszary. Przecież od niepamiętnych czasów, w każdym kręgu kulturowym istnieli liczni ludzie, którzy czuli instynktownie, że ten piękny i straszny zarazem świat nie jest naszym prawdziwym domem. Zapomnieliśmy, skąd pochodzimy; jesteśmy jak złote rybki, dla których całym wszechświatem jest ich akwarium, a jedynym możliwym do życia środowiskiem - woda. Rozbudowując tę metaforę czy może bajkę z morałem, opowiadajmy dalej. Złote rybki, obdarzone zdolnością myślenia, na podstawie świadectwa własnych zmysłów, wyśmiewają teorie zakładające istnienie powietrza - zwłaszcza te „grube ryby", które wiodą prym w akwarium. Udało się im zrobić karierę, nie życzą więc sobie żadnych zmian - chyba że udało by się im przejąć całkowitą kontrolę nad akwarium. Złote rybki, ze skłonnością do mistycyzmu, plotące jakieś bajdy o niewidzialnym, pozaakwariowym środowisku zwanym „powietrzem", cierpią niewątpliwie na urojenia!

I nagle pewnego dnia czyjś wetknięty z góry palec mąci wodę w akwarium. Powstają niewytłmiaczalne zmarszczki na wodzie. Złote rybki-mistyczki relacjonując ukazaniu się „ryby pływającej w powietrzu". Grube ryby, w obawie o swoją pozycję i autorytet, twierdzą, że absolutnie nic się nie wydarzyło. To była tylko zbiorowa halucynacja! Każdy, kto rozprawiałby na ten temat, zostanie ukarany; może nawet wyrzucony z akwarium w nieznaną przestrzeń. Jednak groźby ani szyderstwa, ani „dowody naukowe", iż akwarium jest jedynym realnym światem, nie mogą powstrzymać najdrobniejszych płotek, które nic nie mająco stracenia, od szeptów o „cudzie" i o „innym świecie". Żadna rybka nie wie, co naprawdę się wydarzyło, ale niebawem ze zniekształconych wspomnień i relacji o rzekomym cudzie powstaje nowy system przekonań, który mógłby cały porządek w akwarium odwrócić do góry nogami!

Palec, który zamącił wodę w zbiorniku, być może należał do dziecka. Samo wydarzenie mogło być zupełnie błahe. Trwało

zapewne tylko dwie czy trzy sekundy - licząc „po ludzku". Ale jeśli chodzi o złote rybki, nastąpiła destabilizacja całej ich społeczności. W pojęciu złotych rybek - minęły całe wieki. Wyłoniły się nowe systemy religijne. Nowe ruchy społeczne, nowe prądy filozoficzne. Nawet jeśli zdarzyło się tylko tyle:

- Odejdź od akwarium, kochanie. Zostaw rybki w spokoju.

- Przecież się tylko bawiłem. Chciałem z nimi porozmawiać.

A w akwarium wyglądało to jak boska ingerencja...

Tkwimy tu, w głębi zbiornika - spróbujmy więc wyobrazić sobie, jak też czulibyśmy się oddychając powietrzem? Zbadajmy relacje rybek, które - znalazłszy siępoza akwarium-- próbująopisać coś, co ich zdaniem - mogło być podróżą do całkiem innego świata...

I. Oślepieni światłem: przeżycia z pogranicza śmierci

Wizja Carla Junga

Szwajcarski psycholog Cari Gustav Jung (1875-1961) w 1944 roku po utracie przytomności wskutek ataku serca miał wizję zbliżającej się śmierci. Opiekująca się nim pielęgniarka powiedziała potem, że chory wydawał się „otoczony jakby aureolą". Podobny fenomen zauważyła niejednokrotnie u umierających osób. W swej autobiografii zatytułowanej Wspomnienia, sny i myśli Jung napisał:

Wydawało mi się, że znajduję się w przestrzeni kosmicznej, bardzo wysoko. Daleko w dole widać było kulę ziemską skopaną w cudownej, błękitnej poświacie. Widziałem ciemnoniebieskie morze i kontynenty. W dole pod mymi stopami był Cejlon. Przede mną rozciągał się subkontynent indyjski...Widziałem też ośnieżone szczyty Himalajów, ale wszystko tam było zamglone i przesłonięte chmurami... Widok ziemi oglądanej z tej wysokości był najwspanialszą, najczarowniejszą rzeczą, jaką kiedykolwiek zdarzyło mi się przeżyć...

Mając świadomość rychłego rozstania się z tym światem. Jung czuł, że

„ wszystko to, co było dotąd, teraz zaczęło się ode mnie oddalać, wszystko, w co wierzyłem, czego pragnąłem lub o czym myślałem, cała ułuda życia ziemskiego opuszczała mnie czy też była mi wydzierana - w procesie bolesnym do ostatnich granic. Coś jednak pozostało, bo zdawało mi się, że jest przy mnie wszystko, co przeżyłem i uczyniłem... By tak rzec, ulepiony byłem z historii mego życia i miałem niezbitą pewność, iż to naprawdę ja jestem..

Rozważając „długi łańcuch wydarzeń" swojego życia. Jung ujrzał wznoszącą się ku niemu znad kontynentu Europy „pierwotną postać" duszę swego lekarza, doktora H. Nastąpiła pomiędzy nimi bezsłowna wymiana myśli. Doktor H. oznajmił, że przysłano go tu, by nie pozwolił Jungowi odejść. Nie miał on jeszcze prawa opuszczać ziemi. Głęboko rozczarowany Jung pojął, że musi wrócić do „systemu szkatułkowego". Wydawało mu się bowiem, iż

...za horyzontem kosmosu wzniesiono sztuczny, trójwymiarowy świat, w którym każda ludzka istota żyła samotnie, zajmowała jedną szkatułką. I oto teraz miałbym znowu wmawiać sobie, że ma to jakaś wartości Życie i cały świat zdawały mi się więzieniem; byłem zły, musząc doszukiwać się w tym jakiegoś sensu. Dopiero co cieszyłem się, z ogołocenia mnie ze wszystkiego, a tu znowu doznaję uczucia, iż-jak wszyscy - jestem zawieszony w szkatułce na nitce...

Życie po życiu?

Gdy po raz pierwszy opublikowano tę relację Junga, musiała wydać się wyjątkowo dziwaczna nawet tym, którzy wiedzieli, że jest on mistykiem i pasjonuje się alchemią i gnostycyzmem. Życie po życiu? Przecież nauka kompletnie zdyskredytowała podobne nieziemskie nonsensy! Już tylko mała garstka zabobonnych prostaczków wierzy w takie rzeczy!

Nic podobnego! Gdy w 1975 roku został opublikowany bestseller o kluczowym znaczeniu, książka *Życie po życiu*, napisana przez amerykańskiego lekarza, Raymonda Moody'ego, wywołała natychmiastowe i nieustające kontrowersje. Jej tematem były przeżycia z pogranicza śmierci, które autor określił terminem NDE (*near-death experiences*) przeżyć z pogranicza śmierci. Nie tylko Moody, ale i inni badacze, tacy jak Elizabeth Kubler-Ross, Michael B. Sabom, Kenneth Ring, Maurice Raw-lings (wszyscy z nich byli Amerykanami lub pracowali w Stanach Zjednoczonych), a także Angielka Margot Grey, prowadzili

rozległe badania nad przypadkami NDE . Powoływali się na liczne historie choroby, między innymi wiele przypadków śmierci klinicznej na stole operacyjnym, argumentując, że doznania przed zgonem wskazują na to, iż świadoma cząstka umysłu żyje nadal pomimo śmierci fizycznej. Przeciwstawiając się temu, sceptycy James Alcock, Ronald K. Siegel, Robert Kasten-baum czy angielska psycholog, Susan Blackmore, tłumaczą zazwyczaj fenomen NDE strachem przed śmiercią, uwolnieniem endorfm (naturalnych substancji przeciwbólowych, wytwarzanych przez gruczoł przysadkowy) albo majakami zamierającego umysłu, wynikającymi z anoksji (niedotlenienia tkanek). Jednak według opublikowanych w 1982 roku przez Instytut Gallupa statystyk, osiem milionów! Amerykanów twierdzi, że przeżyło osobiście NDE. Dane statystyczne z 1991 roku j wskazują zaś na to, iż 70% Amerykanów wierzy w życie pozagrobowe. W 1987 roku co najmniej 40 naukowców - w samych tylko Stanach Zjednoczonych - zajmowało się badaniem przypadków NDE; organizacje takie jak Intemational Asso-ciation for Near-Death Studies (Międzynarodowe Towarzystwo Badań nad NDE) regularnie wydają czasopisma w rodzaju „Anabiosis". *Kultura masowa* także nie pozostaje w tyle. W 1994 roku książka Betty Eadie *Embraced by the Light* (W objęciach światłości) przez wiele tygodni zajmowała czołowe miejsce na liście bestsellerów „New York Timesa". Hollywood od lat plasuje się w czołówce - ma więc na swym koncie filmy takie jak „Zmartwychwstanie" z udziałem Ellen Burstyn i Sama Sheparda, „Uwierz w ducha", w którym wystąpili Patrick Swayze i Whoopi Goldberg, czy „Linie śmierci", gdzie Kiefer Sutherland gra rolę prowodyra studentów medycyny. Biorą oni udział w zdumiewającym współzawodnictwie: kto z nich wytrwa dłużej w stanie śmierci klinicznej (jej symbolem są „flatlines" - płaskie linie elektroencefalogramu).

Temat ten jest obecnie modny. Jednakże twierdzenie, że relacje NDE stanowią dowód istnienia życia po śmierci, byłoby przedwczesne. Są najwyżej wyraźną sugestią, iż jest w życiu (i śmierci) coś więcej, niż uważaj ą materialiści. Nieważne, iż podobna wiara utrzymywała się od niepamiętnych czasów w każdym prawie kręgu kulturowym na ziemi. Nieważne, iż osoby, które przeżyły śmierć kliniczną, opowiadając swych doznaniach w chwili, gdy „stały na progu śmierci" lub „leżały bez czucia" i ich relacje są zgodne z przekazanymi przez religię tradycyjnymi wyobrażeniami o „tamtym świecie". Nie ma znaczenia także i to, że podobne opowieści pokrywają się z relacjami z „pobytu poza ciałem", podróży astralnych lub z opisem procesu umierania przekazanym w pismach buddyjskich, na przykład *Tybetańskiej Księdze Zmarłych.* Nieważne, iż niektórzy opisują szczegółowo zabiegi reanimacyjne, stosowane wobec nich, gdy rzekomo „leżeli martwi", albo rozczarowanie, które odczuwali - podobnie jak Jung - kiedy musieli powrócić do „systemu szkatułkowego".

Podobne relacje są bardzo sugestywne - ale nie stanowią dowodu.

Przeżycia (NDE) George'a Ritchiego

Zainteresowanie Moody'ego NDE rozpoczęło się w latach sześćdziesiątych naszego stulecia, gdy studiował na uniwersytecie w stanie Wirginia, notabene filozofię a nie medycynę, zanim kontakt z psychiatrą, dr George'em Ritchiem, zmusił go do głębokich przemyśleń. W 1943 roku Ritchie - wówczas młody szeregowiec - leżał w szpitalu wojskowym (w Abilene w stanie Teksas) z obustronnym zapaleniem płuc. Najpierw zaczął pluć krwią, potem zaś stracił przytomność. Uznano go za zmarłego i zasłonięte mu twarz prześcieradłem. Powędrowałby do kostnicy, gdyby dyżurnemu nie wydało się, że „nieboszczyk" poruszył ręką. Dano więc Ritchiemu zastrzyk adrenaliny prosto w serce. Wrócił do życia i całkowicie wyzdrowiał.

Moody'ego najbardziej zaintrygowała relacja Ritchiego o tym, co wydarzyło się, gdy był „martwy". Miał wrażenie, że ocknął się z zemdlenia i wstał z łóżka. - Kiedy jednak spojrzał w dół, dostrzegł leżące na posłaniu ciało - swoje własne! Mógł przenosić się z niezwykłą szybkością z miejsca na miejsce i przenikać przez ściany, ale nie był w stanie niczego dotknąć ani utrzymać w ręku. Gdy wydostał się na korytarz, dyżurny oddziałowy przeszedł prosto przez niego. Mężczyzna, którego Ritchie usiłował poklepać po ramieniu, w ogóle go nie dostrzegł. Rozpaczliwie i bezskutecznie próbował wrócić do swego ciała, aż wreszcie po wielu godzinach - tak mu się przynajmniej wydawało - usłyszał lekarzy stwierdzających jego zgon i zobaczył, iż zakrywają mu twarz białym prześcieradłem.

Gdy uświadomił sobie własną śmierć, pokój szpitalny nagle „rozświetlił się jakby zapalono tam tysiąc lamp łukowych". Pojawiła się istota, która oznajmiła, że jest Synem Bożym. Ritchie poczuł niezgłębioną, bezwarunkową miłość, jaką go On darzył, Było to „niepojęte wprost uczucie - przekraczające moje najśmielsze oczekiwania. Istota ta wiedziała, jak daleki jestem od doskonałości, ale akceptowała to i miłowała mnie - mimo wszystko".

W jednej chwili przemknęły przed nim najważniejsze z przeżytych wydarzeń i usłyszał pytanie: „Co uczyniłeś ze swoim

życiem?". Z głębokim wstydem dostrzegł jedynie „bezgraniczny, krótkowzroczny, wrzaskliwy egoizm". Próbował się usprawiedliwić, że nie wystarczyło mu czasu, by właściwie wykorzystać pobyt na ziemi, ale usłyszał łagodną odpowiedź: „Umrzeć można w każdym wieku". Potem szpitalne ściany zniknęły i Ritchie, znalazłszy się na szczycie góry, ujrzał przed sobą potężne, jaśniejące miasto, w którym mieszkały świetliste istoty. Ledwie jednak dotarł do jego murów, został odciągnięty i powrócił do swego ziemskiego ciała. Obudził się przekonany, że istotnie umarł i jego przeżycia były realne - a trzon ich stanowiła bezgraniczna miłość, która nikogo nie potępia i stanowi najgłębszy sens życia...

Według szpitalnych dokumentów Ritchie znajdował się w stanie śmierci klinicznej przez dwadzieścia dziewięć minut - nie odnotowano wówczas żadnych funkcji życiowych.

Moody'ego tak zafascynowała ta opowieść (choć podejrzewał, że była to halucynacja), iż przeniósł się na medycynę. Przez następne dziesięć lat w szpitalach, gdzie pracował, przeprowadził wywiady z ok. stu pięćdziesięcioma osobami, które opowiadały mu o przeżyciach równie - albo jeszcze bardziej - niezwykłych jak doznania Ritchiego. Zestawiając ze sobą te przypadki Moody nie miał pojęcia, jaką rozpęta burzę. Nie orientował się nawet, że inni także prowadzili badania na tym polu.

15 elementów NDE wyliczonych przez Moody'ego

Życie po życiu, które do roku 1990 rozeszło się w dziesięciu milionach egzemplarzy, pozostaje nadal najbardziej znaną książką w tej dziedzinie. Metody stosowane przez Moody'ego skrytykowano jako „mało precyzyjne", ale materiał przedstawiony w sposób dostępny dla każdego. Moody wyliczył „piętnaście niezależnych od siebie elementów, które ciągle powtarzają się w ustalonej kolejności". Opracował typowy schemat przeżyć z pogranicza śmierci. Opisał, jak umierający - w pełni świadomy realności swoich przeżyć, dobrze wiedząc, iż nie są one snem - odczuwa moment największej fizycznej udręki, gdy lekarz oficjalnie uznaje go za zmarłego.

Rozlega się głośne dzwonienie albo brzęczenie, dusza porusza się w długim, ciemnym tunelu. Wynurzywszy się stamtąd zmarły orientuje się, że opuścił swe ciało, ale znajduje się nadal w jego pobliżu. W rozterce obserwuje (przeważnie z góry) rozpaczliwe próby przywrócenia go do życia. Przywykłszy do nowych warunków ma świadomość, że posiada nadal „ciało" („pierwotną postać" - według określenia Junga), ale nie jest ono podobne do tego, które opuścił. Na tym etapie może nastąpić spotkanie ze zmarłymi wcześniej przyjaciółmi lub krewnymi, pocieszającymi go i dodającymi otuchy albo zetknięcie się z pełną ciepła i miłości świetlistą istotą, pomagającą- za pomocą zadawanych pytań- dokonać oceny własnego życia. Ułatwia ją również błyskawiczny, panoramiczny „film", przedstawiający najważniejsze wydarzenia.

Następnie zmarły zbliża się do bariery, prawdopodobnie oznaczającej granicę pomiędzy ziemskim i pozaziemskim życiem. Nie może jednak jej przekroczyć. Dowiaduje się, że musi wrócić do poprzedniego życia. Opiera się, zachwycony nowo odkrytą wolnością i uczuciem wszechogarniającej radości, miłości i pokoju. Nie ma bynajmniej ochoty wracać do „systemu szkatułkowego" i doznań ograniczających się do płaszczyzny fizycznej. Jednak jakimś sposobem powraca do dawnego ciała i życia.

Moody wyjaśnia, że zetknięcie z „niezwykle jasnym światłem" stanowi kluczowy element przeżyć tego rodzaju. Zazwyczaj początkowo przyćmione - „raptownie nabiera ono blasku aż wreszcie osiąga nieznaną na ziemi jasność". Każdy z przebadanych przez Moody'ego świadków był pewien, iż owo światło jest bytem o wyraźnej osobowości. „Emanująca z tej istoty miłość i serdeczność w stosunku do umierającego są absolutnie nie do opisania. - Czuje on, że ogarniają go bez reszty. W obecności tej istoty jest całkowicie swobodny i zdaje sobie sprawę z pełnej akceptacji własnej osoby..."

Moody odnotował również, że „różne osoby rozmaicie określają tożsamość tej istoty. Zależy to chyba przede wszystkim od ich tradycji religijnych, wychowania albo osobistych przekonań". I tak na przykład większość chrześcijan widzi w tym świetle Chrystusa. Niekiedy szukają w tekście Biblii potwierdzenia takiej jego identyfikacji. Żydzi i Żydówki określają światło jako „anioła".

Moody zwraca uwagę na to, jak trudno jest ludziom opisać podobne doznania. Pewna kobieta powiedziała mu: „kiedy to przeżywałam, cały czas nękała mnie myśl: w szkole, na lekcjach geometrii wbijano mi w głowę, że istnieją tylko trzy wymiary, i przyjęłam to za pewnik. Ale moi nauczyciele mylili się. Jest więcej wymiarów. Oczywiście, świat, w którym żyjemy teraz, jest trójwymiarowy, ale tamten - nie. I dlatego tak trudno mi o tym mówić.."

Odwieczna wiara, tłumacząca wspomnianą trudność, zakłada, że ziemskiemu wcieleniu towarzyszy duchowa amnezja. Zapominamy o naszym pochodzeniu. Język, rozum i wyobrażenia charakterystyczne dla czysto fizycznego świata nie pozwalają przekazać - nawet w przybliżeniu - doświadczeń z krainy rozległejszej, bardziej zmiennej i stwarzającej możliwości absolutnie przekraczające wszystko, czym dysponuje nasz „system szkatułkowy". Filozof-neoplatonik Makrobiusz (IV-V wiek n.e). komentuje to w następujący sposób;

Wszyscy jednak, w istocie, zstępując na ziemię, piją z rzeki zapomnienia; choć jedni w większym, inni w mniejszym stopniu. Z tej racji, choć prawda nie jest znana żadnemu człowiekowi na ziemi, wszyscy tworzą sobie co do niej jakieś opinie; przyczyną tego jest owa utrata pamięci. Ci odkrywają najwięcej, którzy wchłonęli najmniejszą dozę zapomnienia, gdyż dzięki temu łatwiej przypominają sobie to, co było im niegdyś znane, gdy przebywali w niebiosach.

Wiara w nieśmiertelność duszy (lub też - zgodnie z poglądami hawajskich kahu-nów czy starożytnych Egipcjan - trzech lub więcej dusz złączonych w jednym ciele) jest równie dawna i powszechna, jak wiara w reinkarnację. Nie tylko buddyści i hinduiści, ale pitagorejczycy, platończycy i neoplatończycy, gnostycy, sufiści (mistyczne grupy w obrębie islamu - IX-XIII wiek), esseńczycy (członkowie sekty religijnej działającej za życia Jezusa przede wszystkim we wschodniej Judei. Głosili naukę o nieśmiertelności duszy i o przeznaczeniu), a także inni byli propagatorami tej doktryny. „Ci, którzy wątpią, są martwi i nie wiedzą, kiedy zrodzą się na nowo" - twierdzi Koran (Sura Nahel). Afrykańscy Abakulu-Bantu, podobnie jak buddyjscy bodhi-sattva, uchodzą za „doskonałych ludzi", dla których zakończył się cykl ponownych narodzin. Australijscy aborygeni, mieszkańcy wyspy Bali, Eskimosi, Indianie Hopi oraz Irokezi z Ameryki Północnej także żywią (albo żywili) takie poglądy, podobnie jak starożytni Teutonowie i Celtowie - oraz wielu współczesnych myślicieli Zachodu. „Wczytuj się w moje słowa, o czytelniku - nakazuje Leonardo da Vinci - ponieważ nieprędko powrócę znów na ten świat". W najnowszych czasach Yeats i Aldous Huxley, William James, Freud, Jung i inni - wszyscy uważali tę doktrynę za godną szacunku.

Czy wspólnota przekonań stanowi dowód? Nie - ale daje do myślenia.

Jedna z pierwszych znanych relacji o przeżyciach z pogranicza śmierci nie tylko porusza problem reinkarnacji, ale zawiera również element samooceny. W księdze X *Państwa* Platon (ok. 427-347 p.n.e). opowiada o wojowniku imieniem Er, który - choć rzekomo poległ w bitwie - nie ulega rozkładowi, lecz dwanaście dni po „śmierci", leżąc już na stosie pogrzebowym, powraca do życia, by opisać swą podróż do innego świata. Wraz z wieloma innymi duszami znalazł się w „cudownym i dziwnym miejscu", gdzie rozpadliny w ziemi prowadzą do niebios. Pomiędzy nimi zasiadali boscy sędziowie, którzy polecili Erowi, by przyglądał się i przysłuchiwał wszystkiemu, Wszedłszy na pole, ujrzał, jak zmęczone, zbrukane drogą dusze wstają z ziemi, a następnie ze łzami opowiadają niebiańskim duszom o swoim życiu, tamte zaś z zachwytem opisują im raj. Jednak udziałem wielu dusz nie miało być niebiańskie bytowanie, lecz powtórne narodziny na ziemi. Grzesznicy muszą dziesięciokrotnie odpokutować każdy swój występek, cnotliwi zaś podobnie wynagradzani są za to, że czynili dobro.

Następnie zmarli zostają doprowadzeni przed oblicze trzech Parek (bogiń rządzących ludzkim losem), i każdy sam wybiera nowe życie. „Nie stanie przy tobie żaden opiekuńczy duch - oznajmia Lachesis, Parka wydarzeń minionych. - Sam wybierzesz swój los. Cnota nie zna żadnego mistrza: każdy człowiek będzie jej miał więcej lub mniej, zależnie od tego, jaką wagę do niej przywiązuje. Pomyłka nie jest winą bóstwa, ale duszy, która sama dokonała wyboru".

Był to widok żałosny i komiczny, ale równocześnie niezwykły - opowiada Er swoim słuchaczom - gdy wybierały one nowe życie, zazwyczaj kierując się poprzednimi doświadczeniami. Potem, gdy ów wybór zatwierdziły dwie pozostałe Parki, Klotho i Atropos, dusze przemierzały skwarną dolinę Lety, by napić się z rzeki zapomnienia. O północy, gdy zapadły w sen, rozległ się grom i zatrzęsła się ziemia, wszystkie uleciały niczym spadające gwiazdy, by narodzić się na nowo. Era powstrzymano jednak przed wypiciem wody z Lety, by pamiętał inny świat i mógł zaświaczyć o jego istnieniu. Wiedział tylko tyle, że o świcie otworzył oczy i zorientował się, iż leży - żywy - na pogrzebowym stosie.

Element samooceny występuje także w wierzeniach tybetańskich wyznawców Buddy. *Bardo Thodol*, dzieło znane lepiej na Zachodzie jako *Tybetańska Księga Zmarłych*, prawdopodobnie pochodzi z IX wieku i jest podobno dziełem łamów (mnichów), wspominających swe poprzednie wcielenia oraz okresy pomiędzy jednym a drugim życiem. Księgę tę czytano umierającym lub niedawno zmarłym, by pouczyć ich, jak uniknąć kręgu śmierci i powtórnych narodzin. Ostrzega ona odchodzącą duszę (która budząc się z zemdlenia odkrywa, że znajduje się w próżni), by nie dała się namówić na kolejne wcielenie pod wpływem dawnych więzi emocjonalnych. W księdze zostały szczegółowo wyliczone subiektywne wizje, z

jakimi można się zetknąć w pośmiertnej krainie zwanej „Bardo". Mogą to być straszliwe odgłosy, jaskrawe, różnobarwne światła oraz „rozgniewane lub pełne spokoju bóstwa" - ludzkie pragnienia i uczucia przybierające postać bogów i demonów. Duszy zmarłego przedstawione uczynki popełnione przez niego za życia. Musi ona sama osądzić, czy nauczyła się dostatecznie dużo, by uniknąć kolejnego wcielenia.

Podobieństwo tych opisów do współczesnych relacji o przeżyciach przedśmiertnych (przegląd całego życia, oślepiające światła itp) jest wyraźnie widoczne. A przecież jak zauważa Moody - bardzo niewielu ludzi, niedawno przeżywający coś podobnego, miało do czynienia z tymi ezoterycznymi tekstami. Jest zatem bardzo wątpliwe, by wywarły one jakiś wpływ na ich relacje. Bardziej prawdopodobne przynajmniej na Zachodzie - wydają się wpływy chrześcijaństwa.

Od chrześcijaństwa do spirytyzmu

W średniowiecznych, chrześcijańskich relacjach sąd nad zmarłymi zazwyczaj sprawuje Bóg, a karę wymierzają straszliwe demony. Biorąc pod uwagę to, że nagroda lub kara - w zależności od ziemskich postępków - miała charakter wieczysty, męki piekielne (uwiecznione na przykład na obrazach Hieronima Boscha) były elementem częstym, ale nie nieuchronnym.

W swej książce *Historia ecciesiastica gentis Anglorum* (Dzieje Kościoła i narodu angielskiego), Będą (673-735) opowiada o śmierci Cunninghama z Northumbrii. Żałobnicy zgromadzili się wokół ciała, ale gdy o świcie umarły nagle ożył i usiadł,wszyscy rozpierzchli się w przerażeniu. Później Cunningham opowiedział, że trafił do Królestwa Niebieskiego, prowadzony przez pięknego młodzieńca w jaśniejącej szacie, i „wzbraniał się powrócić do swego ciała, gdyż zachwycony był urokami i pięknem odwiedzonej krainy".

Częściej jednak następuje piekielna szamotanina. Z XVII-wiecznej Wizji Barontusa dowiadujemy się, jak znaleziono na ziemi rozgorączkowanego, tytułowego bohatera, wskazującego na swe gardło. Dwa demony dławiły go do utraty przytomności i chciały zawlec do piekła, ale uratował go śpiew braci zakonnych, woda święcona i modlitwa. Usłyszawszy błagania, Archanioł Michał zstąpił, by walczyć o duszę Barontusa. Wybawiony przed zapadnięciem wyroku wiecznego potępienia, o pierwszym pianiu koguta Barontus nagle ożył, usiadł i zaczął składać dzięki Bogu.

Strach przed wieczystą kaźnią był wielki. Kościół zaczął nawet zbijać fortunę sprzedając tzw. *odpusty* wiernym, którzy obawiali się, że ich zmarli krewni mogą trafić do czyśćca, albo - co gorsza - do piekła. Cały pomysł polegał na zapłaceniu Kościołowi, by nakłonił Wszechmocnego do zabrania wujka Jana (czy kogo tam!) do nieba. Było to jedno z krętactw, które stały się powodem reformacji, następnie przyczyniły do powstania „epoki rozumu", a z nią przeświadczenia, że istnieje wyłącznie świat fizyczny. Jednak nawet w okresie największego rozkwitu rewolucji przemysłowej, gdy William Blake (1757-1827) odżegnywał się od „uproszczonej wizji i snu Newtona", wizjonerzy nie dawali za wygraną.

Emmanuel Swedenborg (1688-1772) przeżywał stany ekstazy, podczas których odwiedzał - jak twierdził - niebo i piekło. W dziele Prawdziwa religia chrześcijańska (1771) głosił, iż życie na tamtym świecie jest podobne do ziemskiego, choć bardziej wysublimowane, i stany duchowe tworzą w sensie dosłownym niebo lub piekło. O chwili śmierci, gdy krew przestaje krążyć w ludzkim ciele, Swedenborg pisał: „człowiek zostaje odłączony od swej cielesnej powłoki. W momencie przejścia do innego świata zmarły spotyka duchy i anioły, które porozumiewają się z nim nie tyle mową co myślą... Czas i przestrzeń są pochodną świadomości duszy i zmarli odkrywają, że potęga ich wzroku oraz możliwości ruchowe niewiarygodnie się zwiększyły". Swedenborg wspomina także o przeglądzie całego życia w formie obrazów z przeszłości danego człowieka „od najwcześniejszego dzieciństwa aż do starości". - Dopiero po nim dusza może zbliżyć się do światłości Boga.

W 1848 roku trzy siostry z Hydesville w stanie Nowy Jork zapoczątkowały spirytystyczne szaleństwo. W swoim rodzinnym domu panny Fox: trzydziestocztero-letnia Lea, czternastoletnia Margaretta i dwunastoletnia Kate nieustannie słyszały stukanie w ściany. Przyczyną tych hałasów miał być podobno duch wędrownego kramarza. Ponieważ wielu ludzi chętnie w to wierzyło, rozgłos przybrał takie rozmiary, że rodzina Foxów musiała się stamtąd wyprowadzić. Stukania towarzyszyły Margarecie i Kate także w Nowym Jorku, gdzie siostry stały się sławne. Ponieważ duchy uparcie twierdziły w swoich przesłaniach, iż panny Fox zostały wybrane, by „przekonać niedowiarków o wielkiej prawdzie nieśmiertelności", istna mania opanowała społeczeństwo Europy i Ameryki Północnej. Wkrótce media (przeważnie zresztą samozwańcze) zaczęły zbijać gruby majątek, obiecując klientom nawiązanie kontaktu ze zmarłymi krewnymi. W 1888 roku siostry Fox przyznały się, że one także oszukiwały, ale wówczas nie miało to już większego znaczenia. W sytuacji gdy nie można było definitywnie

stwierdzić, że świat duchów nie istnieje, sama wiara wystarczyła - tym, którzy pragnęli uwierzyć. Ponieważ zaś po próbach obalenia przez Darwina tradycyjnej religii pozostawała jedynie wiara w działanie ślepych mechanizmów, nic dziwnego, iż wielu szukało ucieczki w „stukających duchach" i w ektoplazmie.

Nie każdy jednak z poszukiwaczy prawdy był naiwniakiem. W Anglii Towarzystwo Badań Metafizycznych, założone w celu badania rzekomych kontaktów ze zmarłymi, zrzeszało wybitne indywidualności, jak Crookes, Lodge, Conan Doyle czy amerykański psycholog William James. Niektóre media, na przykład Leonore Piper (ur. w 1860 roku) i Eileen Garrett (l893-1970) wyszły zwycięsko ze wszystkich prób, mających na celu udowodnienie im oszustwa. Piper tak dalece przekonała o swych autentycznych zdolnościach filozofa Jamesa Hyslopa (1854-1920) z Uniwersytetu Kolumbia, że swój raport z 1901 roku, dotyczący tego medium, uczony zakończył następującym wnioskiem: „Odrzuciwszy inne możliwości wytłumaczenia wglądu badanego medium w moją własną przeszłość, wykluczywszy na przykład rozdwojenie osobowości lub telepatię, jestem skłonny uwierzyć, iż rozmawiałem osobiście z moimi zmarłymi krewnymi; takie wyjaśnienie jest najprostsze".

W tym czasie pozycje bojowe obu stron były już wyraźnie oznaczone. Media mogły zyskać nową nazwę „łączników", ale nic nie wskazywało na to, że przestanie istnieć przepaść dzieląca materialistów od mistyków. Gdyby nawet zarysowywały się takie tendencje, publikacja Życia po życiu sprawiła, że dawna wojna rozgorzała na nowo - i to w chwili, gdy wydawało się, że materialiści odnieśli ostateczne zwycięstwo. Moody - nie żywiąc bynajmniej takich zamiarów - rozpętał najgwałtowniejszą fazę toczącego się od dawien dawna konfliktu...

Strach czy upadek?

Zważywszy furorę, jaką zrobiło Życie po życiu, trudno się dziwić opiniom, że to Moody zapoczątkował współczesne badania nad NDE. Jednakże pionierem w tej dziedzinie był szwajcarski geolog Albert Heim, którego *Uwagi na temat śmierci spowodowanej upadkiem z wysokości* (Notes on Deaths from Falls) zostały opublikowane w roku 1891.

Zainteresował Heima tym zagadnieniem wypadek, który wydarzył się jemu samemu. W 1871 roku znajdował się właśnie na jakimś alpejskim zboczu, gdy podmuch wiatru strącił mu kapelusz. Chcąc odzyskać zgubę, Heim wykonał gwałtowny ruch i stracił oparcie pod nogami. Osunął się ponad 20 metrów w dół, na pokrytą śniegiem skalną półkę. Spadając, przekonał się, że: *Aktywność umysłu ogromnie się ożywiła, szybkość myśli ustokrotnila... I ujrzałem przed sobą cale minione życie jako szereg scen, które rozgrywały się w pewnej odległości niczym na deskach teatru... Wszystko uległo przeobrażeniu, jakby oświetlone jakimś niebiańskim światłem. Nie czułem niepokoju ani bólu. Pamięć przeżytych tragicznych wydarzeń pozostawała wyraźna, lecz nie smuciły mnie one. Nie odczuwałem zamętu uczuć ani napięcia; konflikt przerodził się w miłość. Wzniosłe i harmonijne myśli szeregowały i łączyły ze sobą poszczególne obrazy, które ukazywały się moim oczom. Boski spokój, niczym dźwięki wspaniałej muzyki, przepełniał mą duszę. Poczułem, iż coraz bliżej otacza mnie cudowny błękit niebios, pokryty delikatnymi, różanymi i fioletowymi obłoczkami. Zagłębiłem się weń bezboleśnie, miękko i dostrzegłem, że płynę swobodnie przez powietrze, a znajdująca się w dole śnieżna równina czeka na mnie.*

Heim stracił przytomność wskutek upadku, ale przeżył. Zbierając inne relacje o upadkach i porównując wspomnienia trzydziestu kilku osób, które ocalały w podobnej sytuacji, Heim odkrył, że 95% procent miało doznania takie jak on: zamiast bólu czy strachu ogarnął ich przemożny spokój, a poczucie czasu ulegało niezwykłemu przeobrażeniu. Kilka sekund wydawało się nieomal wiecznością. Ponad połowa badanych wspominała również o błyskawicznym przeglądzie całego życia w formie panoramicznej wizji.

Zamieszczając ogłoszenia w czasopismach dla alpinistów, Russell Noyes i Roy Kletti z Uniwersytetu Stanu Iowa przeanalizowali sto czternaście podobnych przypadków. Odkryli, że ludzie w obliczu grożącej śmierci zazwyczaj czuli się oderwani od ciała (depersonalizacja), doświadczali uczucia spokoju i kosmicznego ładu, a także dokonywali błyskawicznego przeglądu całego życia. „Moje myśli zaczęły pędzić - stwierdził pewien alpinista, który przeżył nagły upadek z wysokości 610 metrów - czas płynął znacznie wolniej. Moja uwaga koncentrowała się na możliwości ocalenia oraz na pewnych - głęboko pogrzebanych - wspomnieniach".

Dziewiętnastoletni skoczek z Arizony spadł z wysokości ponad 300 metrów. Był przekonany, że to już koniec. „Całe minione życie przemknęło mi przed oczami. Naprawdę! Ujrzałem twarz mojej matki, domy, w których mieszkałem, mają uczelnię-akademię wojskową, twarze przyjaciół, wszystko". Zdumiewającym trafem chopiec złamał sobie tylko nos.

O swoim upadku Heim powiedział: „Ujrzałem samego siebie jako siedmiolatka spieszącego się do szkoły, potem znalazłem się w czwartej klasie z moim ukochanym nauczycielem nazwiskiem Weisz. Rozegrało się ponownie całe moje życie - zupełnie jak na scenie, na którą spoglądałem z najwyższego rzędu teatralnej galerii".

Określając taki przegląd życia jako „emocjonalną obronę przed myślą o zagładzie" psychiatra Noyes i psycholog Kletti opowiedzieli się po stronie zwolenników teorii „zamierającego umysłu", podczas gdy Bruce Greyson z Uniwersytetu Stanu Michigan doszedł do wniosku, że przegląd całego życia, przyspieszenie procesu myślowego oraz poczucie kosmicznej harmonii pojawiają się zazwyczaj w sytuacji, gdy zagrożenie życia występuje nieoczekiwanie, bardzo rzadko zaś u ludzi, którzy od pewnego czasu zdają sobie sprawę z grożącej im śmierci.

Osis i Kubler-Ross

W swej wydanej w 1926 roku książce *Deathbed Yisions* (Wizje na łożu śmierci) angielski lekarz sir William Barrett odnotował, że częściej występuje u umierających radość niż strach. Mało kto zwrócił uwagę na tę informację. Nadal toczył się przede wszystkim bój pomiędzy zwolennikami a przeciwnikami spirytyzmu, zwłaszcza podczas I wojny światowej i tuż po jej zakończeniu, gdy wiele osieroconych rodzin poległych w boju żołnierzy usiłowało przy pomocy medium nawiązać z nimi kontakt. Jednakże w latach trzydziestych wszystko wskazywało na to, że nauki ścisłe i psychologia behawiorystyczna rozprawiły się ostatecznie - mimo pewnych anomalii mechaniki-kwantowej - ze wszystkim, czego nie dało się zważyć, zmierzyć i konkretnie zdefiniować.

Nie wypadało nawet wspomnieć o „tamtym świecie". Śmierć była ostatecznym kresem - przynajmniej do roku 1961, kiedy to dr Karlis Osis opublikował *Obserwacje lekarzy i pielęgniarek na temat umierających*. Osis urodził się na Litwie w 1917 roku. Wraz z J.B. Rhinem przeprowadzał na Uniwrsytecie Duke'a badania nad postrzeganiem pozazmysłowym (ESP - *extrasensory perception)* oraz wiedzą uprzednią *(precognition*), później zaś objął kierownictwo badań naukowych w Nowojorskiej Fundacji Parapsychologii, Znając wyniki badań Barretta, Osis postanowił zapoznać się z obserwacjami personelu medycznego na temat umierających pacjentów. Analiza sześciuset czterdziestu wypowiedzi (w których omówiono ponad trzydzieści pięć tysięcy przypadków chorobowych) wykazała jasno, że strach nie był dominującą reakcją w obliczu śmierci. Znacznie częściej uzewnętrzniała się radość. Wielu pacjentów miało za złe, iż przywrócono ich do życia ze stanu śmierci klinicznej; mniej więcej co dwudziesta osoba opowiadała o swoich wizjach. Przeważnie umierający oglądali w nich Królestwo Niebieskie lub Ziemię obiecaną, albo spotykali się ze zmarłymi wcześniej krewnymi. Zazwyczaj pacjenci nie spali wówczas i nie gorączkowali. Co zaś się tyczy twierdzenia Barretta, że wszystkie przedśmiertne wizje dotyczą zmarłych krewnych, Osis odkrył, że w 52% przypadków istotnie dotyczyły one zmarłych, ale w 28% chorzy widzieli również żyjące bliskie im osoby. (Pozostałe 20% przypadków dotyczyło postaci związanych z religią). Osoby zdrowe z natury widywały przeważnie żywych. Wizje zmarłych miewali przede wszystkim całkowicie przytomni pacjenci, nie znajdujący się pod wpływem środków uspokajających i nie wykazujący żadnych objawów „patologii halucynogennej".

Dr Elizabeth Kubler-Ross, psychiatra, urodziła się w Szwajcarii. W 1945 roku zwiedziła w Polsce hitlerowski obóz koncentracyjny w Majdanku, zanim zaczęła organizować nad Wisłą obóz dla uchodźców. Później podjęła pracę na uniwersytecie w Chicago. Tam właśnie, na początku lat sześćdziesiątych, zwróciła uwagę na to, że Amerykanie mają tendencję do negowania śmierci, jak gdyby to zjawisko nie dotyczyło ich osobiście. Starając się pomóc śmiertelnie chorym pacjentom w zaakceptowaniu nieuchronnego losu, dr Kubler-Ross podjęła szokującą wielu decyzję zapraszania na swe zajęcia dwudziestoletniej dziewczyny, umierającej na białaczkę. Pani doktor początkowo sceptycznie odnosiła się do „życia po życiu", ale kontakty z umierającymi i osieroconymi spowodowały zmianę jej postawy.

Choć na doktor Kubler-Ross - podobnie jak na Osisie - ogromne wrażenie zrobiła radość widoczna u wielu umierających oraz to, że widzieli oni zmarłych krewnych, a nawet rozmawiali z nimi, wizje te uważała jedynie za halucynacje wywołane niedoborem tlenu. Jednak przypadki, kiedy pacjenci utrzymywali, iż widzą osoby, o których niedawnym zgonie w żaden racjonalny sposób nie mogli się dowiedzieć, zmusiły psychiatrę do zastanowienia. Dlaczego dzieci, umierające w szpitalu na skutek obrażeń odniesionych w wypadku samochodowym, w którym poniosło śmierć kilka osób, widzą jedynie tych członków rodziny, którzy zginęli? I czemu tak wiele relacji ludzi, którzy przeżyli śmierć kliniczną, pokrywa się ze sobą?

Konkludując, że zarówno reinkarnacja, jak i przetrwanie duszy po śmierci są zjawiskiem autentycznym, dr Kubler-Ross w swych książkach - m.in. *Rozmowy o śmierci i umieraniu* (On Death and Dying) dowodzi, że:

1. orientujemy się, gdy zbliża się moment naszej śmierci;

2. umierającemu prawie zawsze wychodzą naprzeciw nieżyjący krewni lub inni drodzy zmarli;

3. każda istota ludzka ma swego ducha-opiekuna, który czuwa nad nią i objawia się w momentach silnego stresu.

Autorka zakłada też, iż czas na „tamtym świecie" płynie inaczej niż na tym, sądu nad umierającym (oceny całego życia) dokonuje on sam, a nie jakaś nadprzyrodzona istota.

Krytykowano dr Kubler-Ross za to, że pozwalała, by jej uczucia wpływały na wyciągane przez nią wnioski. Być może pani doktor (podobnie jak Jungowi) mniej zależało na znalezieniu konkretnego rozwiązania tej kwestii, niż wielu jej kolegom po fachu (przeważnie mężczyznom). Dr Kubler-Ross wyznała, iż pod koniec pewnego wyczerpującego cyklu wykładów gotowa była zrezygnować z zajmowania się umierającymi. Nieoczekiwanie koło windy ujrzała widmo pacjenta, któremu pomogła w chwili śmierci. Duch szedł za nią aż do jej pokoju, nalegając: „Nie może pani zrezygnować z pracy na rzecz umierających! Jest ona zbyt ważna! Musi mi pani obiecać, że się jej nie wyrzeknie!". Wówczas dr Kubler-Ross zażądała: „Proszę mi dać swój autograf. Zjawa spełniła prośbę i opuściła pokój. Pani doktor poszła za nią... na korytarzu nie było nikogo. Stała z autografem ducha w ręku...

Takie otwarte przyznawanie się do wiary w zjawiska nadprzyrodzone nie zawsze pomaga w zrobieniu kariery. Jednak w 1975 roku prestiż dr Kubler-Ross był tak wielki, że poproszono ją o napisanie przedmowy do książki, o której wyraziła się, iż „mogłaby ją sama napisać" - czyli do *Życia po życiu* Moody'ego.

Autoskopiczne przeżycia z pogranicza śmierci (NDE)

Życie po życiu natychmiast stało się bestsellerem. Zapoznali się z tą książką inni badacze tej samej dziedziny, m.in. Michael Sabom. Studiując kardiologię na uniwersytecie stanowym w Gainesville (Floryda), Sabom początkowo nie traktował poważnie tych „nieprawdopodobnych opowieści o duchach z innego świata i tak dalej". Uznał, że Moody zestawił relacje w „całkiem przypadkowy, niesystematyczny sposób... Trudno było stwierdzić, czy są to autentyczne przeżycia, czy sztucznie powielone wymysły". Kiedy jednak Sabom spytał chorych na serce pacjentów, czy przeżyli kiedyś coś podobnego, gdy leżeli nieprzytomni, w stanie krytycznym, ku jego zdumieniu trzecia osoba, której zadał to pytanie, pani w średnim wieku, gospodyni domowa z miejscowości Tampa, podała mu klasyczny opis NDE, identyczny z zamieszczonymi w książce Moody'ego.

Dzięki temu Sabom uzyskał „bardzo osobisty wgląd w ten aspekt medycyny", o którym dotąd nie miał pojęcia. W ciągu następnych lat wraz z Sarah Kreutzig, która pracowała na oddziale dializy nerek w tym samym szpitalu, przeprowadził wywiady ze stu szesnastoma pacjentami, przywróconymi do życia po śmierci klinicznej i w 1982 roku wspólnie opublikowali *Recollections of Death* (Wspomnienia śmierci). Wówczas Sabom jako kardiolog miał już na swym koncie ponad sto przypadków przywrócenia do życia chorego po śmierci klinicznej w wyniku zatrzymania akcji serca. Stanowiące trzon publikacji Saboma przypadki koncentrują się na „autoskopii" - czyli pozacielesnych obserwacjach pacjentów będących w stanie śmierci klinicznej. Opisują oni zabiegi reanimacyjne. Sabom przytacza wiele takich relacji, opierając się na własnych doświadczeniach i korzystając z dorobku innych.

Do tej drugiej grupy należy relacja o doznaniach pewnego amerykańskiego żołnierza, ofiary wybuchu podczas wojny w Wietnamie. Dla zachowania anonimowości pacjenta Sabom nie podał jego nazwiska, ale autor pewnego artykułu opublikowanego w „Newsweek" ujawnił, że był to żołnierz Armii Stanów Zjednoczonych, należący do czwartego rocznika Jacky C. Bayne.

6 czerwca 1966 roku, znalazłszy się wraz ze sto dziewięćdziesiątą szóstą brygadą lekkozbrojnej piechoty pod Chu Lai, podczas zażartej bitwy z Wietnamczykami, Bayne niemal natychmiast otrzymał postrzał karabinowy w rękę. Odrzut wystrzelonej przez niego rakiety popchnął go do tyłu, potem przekoziołkował do przodu wskutek eksplozji znajdującego się za nim moździerza. Po odzyskaniu przytomności stwierdził, że patrzy z góry na własne ciało, z którego jakiś Wietnamczyk ściąga buty, podczas gdy inni zrywają pierścionki z rąk poległych amerykańskich żołnierzy.

Miałem wrażenie, że obserwuję scenę, rozgrywającą się w tym właśnie momencie. Widziałem samego siebie... jakbym patrzył na leżący w dole manekin. Mogłem dostrzec swoją twarz i ramię. Byłem porządnie poparzony, wszystko dookoła tonęło we krwi... Zauważyłem karabin M-14, leżący w odległości około metra, ale nie mogłem się poruszyć... jakbym był pogrążony w głębokim śnie... Nie czułem, że mam złamaną nogę, straciłem rękę albo uszkodziłem sobie kręgosłup. Po prostu nie mogłem dotrzeć do tej leżącej kukły i zmusić jej, by chwyciła karabin... Byłem tylko obserwatorem... jak gdyby to wszystko przydarzyło się komuś innemu...

Kiedy zjawili się amerykańscy żołnierze, Bayne - który nadal obserwował wszystko z góry - zobaczył, że uznali go za zmarłego („Gdybym później któregoś z nich spotkał, na pewno bym go poznał!"). Zapakowali ciało do worka i przewieźli do kostnicy. Widział także chirurga, który - podżartowując sobie z „dziewuszek z Sił Pomocniczych" -ściągnął z ciała zakrwawione slipy (Bayne nie miał nic więcej na sobie: podmuch zerwał z niego pozostałe części garderoby), a następnie zrobił nacięcie w pachwinie, chcąc dotrzeć do żyły udowej i wstrzyknąć do niej płyn balsamujący. „Kiedy wykonał małe nacięcie, przestał się śmiać; zaciekawiło go, dlaczego aż tak krwawi. Zbadał mi ponownie puls i posłuchał serca. Przyglądałem się temu, jakby chodziło o kogoś innego..."

Mniej więcej w tym momencie Bayne stracił znów świadomość. „Zdaje się, że przenieśli mnie do innego pomieszczenia i amputowali mi rękę. Może w kilka minut po operacji zobaczyłem stojącego obok kapelana. Uspokajał mnie, że wszystko będzie dobrze... Nie obserwowałem już wszystkiego z góry, tkwiłem w tym momencie w samym środku wydarzeń".

Bayne, uznany za zmarłego przez trzy grupy osób: Wietnamczyków, amerykańskich żołnierzy i zespół chirurgów, którzy przystąpili do balsamowania zwłok, został później przebadany przez Saboma. Zagojona ranka nad lewą żyłą udową potwierdzała informację o dokonaniu tam nacięcia przez balsamistę. Nie zadowoliwszy się tym, gdyż pacjent nie był mu znany osobiście, Sabom postanowił przebadać inne osoby, które donosiły o swych przeżyciach z pogranicza śmierci - „żeby upewnić się (co było moim celem), czy przypadki takich autoskopicznych doznań są faktem, czy złudzeniem".

W 1949 roku kapelan Kościoła Anglikańskiego w randze kapitana, Edmund Wilboume, umierając na zapalenie opłucnej w szpitalu Crumpsall w Manchesterze, obserwował pielęgniarkę, która krzątała się przy jego ciele przed przeniesieniem go do kostnicy.

Nadal mam tę scenę przed oczami. Widziałem własne ciało leżące na łóżku, a obok niego młodą pielęgniarkę. Pamiętam, iż pomyślałem - wówczas: jest zbyt młoda, by szykować mnie do kostnicy, a nawet golić... Nie byłem przejęty tym, co się stało - jakbym był... postronnym obserwatorem. Nie odczuwałem żadnych emocji, po prostu nic... Pozostawałem w stanie śmierci klinicznej mniej więcej dwie godziny... Wreszcie ocknąłem się w szpitalnej kostnicy - dyżurujący tam pracownik omal nie dostał zawału! Wiem, że to nie był sen.

Czy jednak takie relacje stanowią dowód realności pozacielesnych przeżyć i paranormalnej wizji? Niektórzy sceptycy obstają przy tym, iż uprzednia znajomość procedury chirurgicznej może przyczynić się do powstania podobnych wrażeń; twierdzą też, że niekiedy pacjenci po zbyt słabej narkozie nie mogą się poruszać, ale zachowują częściową świadomość. Przyczyną takich doznań mogą być również halucynacje, sny albo czasowa niewydolność płata mózgowego. Nie można też wykluczyć zwykłego oszustwa.

Starannie analizując wszystkie zastrzeżenia, Sabom w sześciu przypadkach porównał relację pacjenta z opisem czynności operacyjnych chirurga. Zgodność bardzo wielu specyficznych szczegółów wskazywała na rzeczywistą autoskopię. Pewien emerytowany pilot Sił Powietrznych USA w swej relacji wspomniał o rozległym zawale, zatrzymaniu akcji serca, a następnie trzech defibrylacjach, zewnętrznym masażu serca i użyciu jasnozielonej maski tlenowej, która „syczała pod ciśnieniem". Wszystko to było zgodne z prawdą. Pilot używał też fachowych terminów („uderzenia lidokainowe", „defibrylator", „watosekundy"), utrzymując, że padały one z ust członków zespołu operującego. Twierdził, że nigdy przedtem nie słyszał podobnych określeń i nie miał pojęcia, jak przebiega CPR (*cardiac resuscitation* - przywrócenie akcji serca). „To zupełnie przypomina sen - stwierdził. - Człowiek się niczym nie przejmuje i patrzy na wszystko z boku".

Chcąc zbadać prawdziwość zarzutu, że oczekiwanie prawdopodobnych wydarzeń lub wcześniejsza znajomość zachodzącego procesu mogą leżeć u podłoża rzekomej wizji, Sabom przeprowadził wywiady z dwudziestoma trzema „pacjentami kardiologicznymi z dużym doświadczeniem". Gdy próbowali oni opisać proces CPR, dwudziestu z nich popełniło poważne błędy, trzech zaś podało opis poprawny, ale bardzo uproszczony.

A zbyt słaba narkoza? Takie przypadki istotnie się zdarzają i jest to straszliwe przeżycie. Dość często ich przyczyną jest źle pojęta troska o dobro pacjenta: anestezjolog nie chce podać mu zbyt silnej dozy. Najczęściej jednak ów koszmar następuje skutkiem uszkodzenia aparatury lub niewłaściwego podawania narkozy. Obliczono, że w samej tylko Brytanii około siedmiu tysięcy pacjentów rocznie budzi się pod nożem, nie będąc w stanie powiadomić zespołu operującego o swoim dramatycznym położeniu. Są jak sparaliżowani, niezdolni do poruszenia się, ani do wydobycia z siebie głosu.

Pewien mężczyzna podczas operacji przepukliny ocknął się, ale nie mógł powiedzieć o tym chirurgowi. Określił później swe doznania jako „najstraszliwsze doświadczenie w całym życiu". Pacjentka, której usuwano ciążę pozamaciczną, nazwała to

przeżycie „najbardziej przerażającym ze wszystkich koszmarów". Innej kobiecie podczas zabiegu usuwania macicy przyszła z pomocą pielęgniarka. Zauważyła ona, że pacjentka płacze z bólu. Mimo to, gdy opisywała później swe straszne przeżycia, starano się jej wmówić, iż „ma bujną wyobraźnię". Pięćdziesięciopięcioletni Norman Dalton w sierpniu 1994 roku otrzymał odszkodowanie, gdyż obudził się podczas operacji wszczepiania bypassów. W połowie zabiegu wyczerpał się zapas środka usypiającego. Pacjent opisał to straszliwe doświadczenie porównując je do pogrzebania żywcem. „Byłem absolutnie bezradny i w najwyższym stopniu przerażony" - oświadczył. Nawet jeżeli w podobnej sytuacji większość chorych znajduje się - na szczęście! - w stanie oszołomienia i półsnu, a tylko nieliczni przypominają sobie później przeżyty ból, w analogicznych przeżyciach nie może być mowy o chłodnej obserwacji wydarzeń, charakterystycznej dla autentycznych - podobno - przypadków NDE.

Czy jednak relacje o podobnych doznaniach (na przykład raport wspomnianego już pilota wojskowego) dowodzą autentyczności paranormalnej wizji? Dowód wymaga dokładnego i sprawdzalnego sprawozdania. Nie może ono bazować na jakichkolwiek wrażeniach zmysłowych, jak w przypadku autoskopicznych NDE u niewidomych.

Dr Kubler-Ross twierdzi: „przeprowadziłam wywiady z szeregiem całkowicie pozbawionych wzroku osób, które były w stanie podzielić się z nami swoimi doznaniami u progu śmierci. Nie tylko potrafiły one stwierdzić, kto pierwszy wszedł do ich pokoju, kto przeprowadzał zabiegi reanimacyjne, ale mogły podać najdrobniejsze szczegóły wyglądu i ubioru wszystkich obecnych wówczas ludzi - czego przecież niewidomy nie jest w stanie dokonać". Mimo to, niektórzy z krytyków (na przykład pisarz Lan Wilson, obrońca autentyczności Całunu Turyńskiego), wyrażaj ą ubolewanie, iż dr Kubler-Ross bardziej dba o dobre samopoczucie swoich pacjentów niż udowodnienie prawdziwości swoich twierdzeń.

Niektóre jednak przypadki zdają się wyraźnie potwierdzać rzeczywiste występowanie autoskopicznych NDE i możność uzyskania pewnych informacji w sposób pozazmysłowy.

Pacjentka, kryjąca się pod pseudonimem „Maria", została przywieziona do szpitala w Seattie po ciężkim zawale. Akcja serca uległa u niej zatrzymaniu. Później „Maria" nie tylko opowiedziała prof. Kimberleyowi Ciarkowi o tym, że obserwowała spod sufitu dramatyczne zabiegi reanimacyjne, ale opisała mu otoczenie szpitalnego budynku, choć przywieziono ją nocą w zamkniętym ambulansie. Kobieta wspomniała, że przebywając poza ciałem dostrzegła coś leżącego na występie muru na wysokości trzeciego piętra pomocnej ściany budynku. Gdy zbliżyła się do tego przedmiotu - stwierdziła, że jest to tenisówka, przetarta na małym palcu, ze sznurowadłem wetkniętym pod obcas. Prof. Ciark z „mieszanymi uczuciami" przeprowadził rekonesans, wychylając się z wielu okien trzeciego piętra... i w końcu znalazł ten but!

„Zobaczyłem go pod całkiem innym kątem niż »Maria«, która zauważyła przetarcie na małym palcu i sznurowadło pod obcasem - przyznał potem Clark. - Mogła oglądać tenisówkę z takiej perspektywy, jeżeli sama unosiła się w powietrzu na zewnątrz budynku, tuż obok niej. Zabrałem but stamtąd i zaniosłem »Marii«; stanowił on - moim zdaniem - bardzo konkretny dowód".

Transcendentalne przeżycia z pogranicza śmierci (NDE)

Sama jednak (niedostrzegalna dla innych) obecność w jakimś miejscu, nawet urozmaicona odnajdywaniem starych tenisówek, nie jest specjalną frajdą, zwłaszcza w porównaniu ze zwiedzaniem innych światów,

Czternastu spośród pacjentów Saboma, którzy rzekomo mieli transcendentalne przeżycia w czasie swej pozornej śmierci, stwierdziło, że pierwszym ich doznaniem było uczucie zawieszenia w mrocznej, głuchej próżni. „Otaczała mnie absolutna ciemność - relacjonowała pewna młoda kobieta. Czułam, że poruszam się z olbrzymią prędkością w czasie i przestrzeni. Odbywało się to we wnętrzu jakiegoś tunelu". Mężczyzna, przywrócony w 1977 roku do życia po trzech kolejnych zatrzymaniach akcji serca, powiedział, iż trzykrotnie przebywał w ciemności, ale za trzecim razem „miał wrażenie, że unosi się". Inny wznosił się „powoli, jak gdyby płynął w ciemności czy może półmroku jakimś korytarzem...". Był zdumiony, gdyż jak twierdzi „wznosił się coraz wyżej... potem zaś dotarł jeszcze dalej... Przeniknął do innego świata".

W siedemnastu przypadkach badanych przez Saboma, owo wznoszenie się w tunelu wiodło ku wyjątkowo jasnemu źródłu światła (które opisywali również pacjenci Moody'ego, Ringa, Margot Grey i innych). „Blask tego światła powiększał się z każdą chwilą, ale nie drażnił oczu"; „Było tak jasne, a stawało się coraz jaśniejsze, im bardziej się do niego zbliżaliśmy, dosłownie oślepiało"; „Było czymś tak wszechogarniającym, że się go nie widziało, lecz po prostu wnikało się w nie"; „Było to jasne światło, miało kształt dwóch promiennych postaci... które się do mnie zbliżały. Nie mogłem jednak rozróżnić ich rysów: widziałem tylko świetliste sylwetki".

Dwadzieścia osiem osób (prawie jedna czwarta przebadanych przez Saboma) wkroczyło w inny świat, niezwykle piękny, nieporównywalny z niczym dotąd znanym. Relacjonujący często używali tu zwrotu „nie do opisania". Była to „szczęśliwa Arkadia" albo Królestwo Niebieskie w sensie dosłownym. Przeważnie wspominano o jakiejś barierze (bramie, strumieniu, płocie, białym świetle, drzwiach podświetlonych blaskiem), której nie wolno było przekroczyć.

Z powodu zatrzymania akcji serca „zmarłem " i znalazłem się nagle na polu wśród falujących traw. Było tam bardzo pięknie: taka intensywna zieleń - zgoła odmienna od ziemskich kolorów. Ujrzałem też światło - przepiękne, podnoszące na duchu światło -jaśniało ze wszystkich stron. Spojrzałem przed siebie i po drugiej stronie pola dostrzegłem płot. Poszedłem w tamtą stronę i zobaczyłem za ogrodzeniem człowieka, który chyba zamierzał mnie powitać. Pragnąłem podejść do niego, ale poczułem, iż coś z niezwykłą siłą odciąga mnie do tyłu. Ujrzałem wówczas, że i tamtem człowiek odwrócił się i ruszył w przeciwnym kierunku, oddalając się od płotu.

Tam gdzie nie było dostrzegalnej bariery, wędrowiec otrzymywał rozkaz powrotu. „Przemknęło przede mną całe moje życie - relacjonował jeden ze świadków, badanych przez Margot Grey. - Czułem wstyd za każdym razem, gdy dostrzegłem swe głupie postępki. Istota, której obecność czułem przy sobie, wyjaśniała mi: »Tak, popełniłeś te wszystkie błędy, ale za każdym razem czegoś się nauczyłeś«. Potem oznajmiono mi, iż muszę wrócić. Nie chciałem odejść, ale zrozumiałem, że mam jeszcze wiele do zrobienia".

W latach sześćdziesiątych naszego wieku Victor Solow, pięćdziesięcioześcioletni sceptyk, nowojorski producent filmowy, podczas operacji przebywał przez 23 minuty w stanie śmierci klinicznej. Żadne zabiegi reanimacyjne nie dawały rezultatu - aż wreszcie lekarze, przekonani o niemożności uratowania pacjenta, podjęli ostatnią próbę przywrócenia go do życia.

Później Solow tak opisywał swoje doznania:

Moment przejścia z życia do śmierci - jak inaczej mógłbym to określić? - był dla mnie łatwy. Nie miałem czasu na strach, ból czy rozmyślania... Mknąłem z ogromną prędkością w stronę jaśniejącej sieci. Jej świetliste linki i węzły drgały pod wpływem jakiejś niesłychanej, spokojnej energii. Owa sieć czy krata okazała się barierą uniemożliwiającą dalszą podróż. Nie zależało mi na tym, by koniecznie przedostać się na drugą stronę. Przez krótką chwilę zdawało się, że wytracam szybkość. I nagle znalazłem się na samej kracie. W chwili gdy jej dotknąłem, wibracje świetlne nasiliły się, przeradzając się w oślepiającą, intensywną światłość, która równocześnie przenikała mnie na wskroś, wchłaniała w siebie i przeistaczała. Nie czułem żadnego bólu. To doznanie nie było ani miłe, ani też przykre, ale dziwnie wszechogarniające. Jedynie w przybliżeniu można wyrazić słowami to, czego doświadczyłem w tym momencie i później.

Krata była czymś w rodzaju transformatora, przemiennika energii, przenoszącym mnie poza formę, czas i przestrzeń. Nie znajdowałem się teraz w żadnym konkretnym miejscu czy nawet wymiarze, ale w innym stanie istnienia. Moje nowe „ja " nie było tym, które dobrze znałem. Stanowiło raczej jego wysublimowaną esencję, a jednak wydawało mi się dziwnie, nieuchwytnie znane. Jak gdybym zawsze uświadamiał sobie, że tkwi we mnie, przytłoczone wielowarstwową strukturą lęków, nadziei, pożądań i potrzeb. To „ja " nie miało nic wspólnego ze zwykłym ludzkim „ ego ". Było ostatecznym, niezmiennym, niepodzielnym, niezniszczalnym, czystym duchem. I choć posiadało unikatowe, indywidualne cechy, niczym odcisk palca, stanowiło równocześnie cząstkę niezmierzonej całości, pełnej ładu i harmonii. Była mi ona niegdyś znana...

Przywrócony do życia Solow obserwował swe ciało „z podejrzliwością i zdumieniem". Zachowywało się niezależnie od niego: czuł, że jest w nim jedynie gościem.

Jakże dziwnie się czułem, gdy moja ręka sama po coś sięgała! Jedzenie, picie, obserwowanie innych - odbywało się w zwolnionym tempie, charakterystycznym dla sennych majaków. Zdawało mi się, iż przyglądam się wszystkiemu przez zasłonę... Szóstego dnia zaszła jednak zmiana. Gdy się zbudziłem, otaczający mnie świat nie wydawał mi się już taki dziwny. Coś we mnie samym podjęło decyzję całkowitego powrotu do dawnego życia...

Solow nadal jednak odczuwał „przypływy tęsknoty... za tamtą inną rzeczywistością, stanem nieopisanego spokoju i ciszy... Pamięć o tym powodowała osłabienie żądzy posiadania, potrzeby aprobaty i pragnienia sukcesu... Cieszę się, iż jestem - tu i teraz...Wiem jednak, że to cudowne miejsce, pełne słońca i polnych kwiatów, dzieci i zakochanych, a zarazem tragiczna ojczyzna zła, potworności i bólu, jest tylko jednym z wielu realnie istniejących światów, które przyjdzie mi odwiedzić w drodze ku odległym i ni eznanym celom".

Pod koniec książki *Wspomnienia śmierci* Michael Sabom - „głęboko poruszony relacjami świadków" - cytuje Einsteina: „Każdy, kto poważnie zaangażował siew pogoń za wiedzą, przekonuje się, że w prawach rządzących wszechświatem objawia

się wyraźnie duch - nieporównywalnie wyższy od ducha ludzkiego, duch, w obliczu którego my - z naszymi ograniczonymi możliwościami - korzymy się, odczuwając własną nicość".

Przypadki NDE w innych społecznościach

Czy doznania przedśmiertne są takie same na całym świecie? W połowie lat siedemdziesiątych Karlis Osis i Eriendur Haraidsson przeprowadzili wywiady z około siedmiuset osobami z hinduskiego personelu medycznego, pragnąc uzyskać od nich relacje o NDE. Przekonali się, że w Indiach umierający najczęściej widzą bliskich zmarłych albo bóstwa (u wyznawców hinduizmu są to indyjskie bóstwa, u chrześcijan - Chrystus), które zazwyczaj prowadzą duszę na sąd. Wyznawcy hinduizmu częściej niż chrześcijanie opierają się temu wezwaniu. Być może z tej racji, że chrześcijanie wierzą, iż spotkająu bram nieba przyjaźnie do nich nastawionego świętego Piotra, a wyznawcy hinduizmu spodziewają się ujrzeć straszliwego sędziego imieniem Yama. Żeby do niego dotrzeć, dusza musi przepłynąć Rzekę Zmarłych i przejść obok strażników - czterookich okrutnych psów. Taka podróż trwa podobno 4 godziny i 40 minut; toteż kremacji ciała nie wolno dokonać wcześniej - być może jest to zabezpieczenie na wypadek nieoczekiwanego powrotu zmarłego do życia.

Jeśli chodzi o naukę tybetańskich wyznawców Buddy, księgi zwane „das-lok" (relacje o powrotach z krainy zmarłych) opowiadają o ludziach - pozornie martwych, którzy ożyli, zanim ich spalono na stosie lub pogrzebano. Wielu z nich spotkało zmarłych krewnych, przyjaciół albo sławne postacie historyczne. Powróciwszy na ziemię z przesłaniem dla żywych, zostawali niekiedy wędrownymi nauczycielami mądrości i ostrzegali innych o konsekwencjach złego postępowania.

Badacze Satwandt Pasricha i łan Stevenson utrzymują, że często spotkanym motywem w hinduskich NDE jest pomyłka co do osoby. Chhajju Bania, którego przebadali w 1981 roku, „zmarł" na febrę sześć lat wcześniej, potem jednak ożył i opowiedział, iż pochwyciło go czterech czarnych wysłanników Yamy, ale potem jeden z jego urzędników odtrącił duszę zmarłego, mówiąc: „Nie potrzebny nam tu Chhajju Bania - handlarz! Wzywaliśmy Chhajju Umhara - garncarza! Odstawcie go z powrotem i sprowadźcie tamtego drugiego. Ten ma jeszcze sporo życia przed sobą!". Handlarza - choć miał ochotę pozostać - odesłano i wrócił do życia.

Zamieściwszy na łamach wychodzącej w Bombaju gazety „Times of India" ogłoszenie, że poszukuje relacji przeżyć z pogranicza śmierci, Susan Blackmore otrzymała dziewiętnaście takich sprawozdań. W ośmiu z nich pojawiał się jeden lub kilka znanych już elementów. Jedna osoba słyszała słodką muzykę, trzy wspomniały o tunelu albo ciemnej przestrzeni, cztery dostrzegły jasne światło, cztery doświadczyły uczucia radości i spokoju, a trzy stwierdziły, że ich życie uległo odtąd zmianie - cechy te wskazuj ą na to, iż przeżycia z pogranicza śmierci są jednakowe, niezależnie od epoki i różnic kulturowych.

Podobnie Dean Shields -po przebadaniu ponad sześćdziesięciu społeczności o różnych tradycjach kulturowych, stwierdził, że jedynie w trzech spośród nich nie napotkał żadnej wzmianki na temat możliwości podróżowania poza ciałem. Tak więc, zachodnie relacje autoskopiczne pokrywają się z wierzeniami ludów żyjących w innych częściach świata, jeśli chodzi o przekonanie, że w momencie śmierci dusza opuszcza ciało i przygląda mu się z góry, zanim porzuci je na dobre. Zgodne jest to również z malowidłami starożytnych Egipcjan, przedstawiającymi „ba", czyli duszę, wzbijającą się jak ptak w górę lub przelatującą nad opuszczonym przez nią ciałem.

George Ritchie wspomniał w swej relacji o tym, iż mógł przenikać przez ściany, ale nie był w stanie zwrócić na siebie niczyjej uwagi. W XIX wieku Indianie z plemienia Chipewa, mieszkającego nad Missisipi, opowiadali o podobnych doświadczeniach swojego wodza. Uznano, że poniósł śmierć w bitwie, toteż pozostawiono go tam wspartego o drzewo, z bronią w ręku i pióropuszem na głowie. Wódz zdawał sobie sprawę ze wszystkiego, co się wokół niego działo, i krzyczał, ale jego współplemieńcy niczego nie słyszeli i odeszli pozostawiając go tam. Wódz podążył za nimi do wioski. Wściekał się słysząc, że opowiadając jego śmierci. Próbował im zaprzeczyć, ale jego głos był niczym szum wiatru. Gdy zwrócił się do swej pogrążonej w żałobie żony, rozkazując, by dała mu jeść, kobieta usłyszała tylko dzwonienie w uszach.

Uderzył ją więc, ale poczuła jedynie nieznaczny ból głowy. Przypomniawszy sobie, iż niekiedy dusze ludzkie opuszczają ciało i tułają się po świecie, powrócił na pole bitwy. Odnalezienie własnego ciała zajęło mu cztery dni. Drogę zagrodził mu ogień. Wódz przeskoczył przez płomienie - i ocknął się we własnym ciele. Głodny i wyczerpany powlókł się z powrotem - i tym razem dotarł do wioski jako człowiek z krwi i kości, ku niebotycznemu zdumieniu współplemieńców.

A zatem może istniej ą rzeczywiście jakieś „podstawowe doznania", wspólne dla wszystkich, ale zniekształcone skutkiem różnorodnych oczekiwań, wynikających z odmiennych tradycji obyczajowych i religijnych. Ślady tego są wyraźnie widoczne w pewnej wyjątkowo fascynującej relacji.

Przeżycia z pogranicza śmierci (N DE) Rosalia

Opublikowana w 1971 roku książka *A Yaqui Life* (Życie Indianina z plemienia Yaqui) to autobiografia Rosalia Moisesa. Jest on przedstawicielem plemienia, żyjącego w północno-zachodnim Meksyku. Ten wędrowny robotnik, wiecznie klepiący biedę, uważany przez niektórych za czarownika, zgodził się, by amerykański antropolog, William Curry Holden, spisał historię jego życia. Opowiada w niej, że dorastał w miejscowości Tucson w stanie Arizona - jego rodzina przeniosła się tam, gdy w Meksyku zaczęto ich prześladować. W 1923 roku Rosalio ciężko zachorował. Podczas piątej nocy spędzonej bezsennie poczuł padające na twarz krople roztopionego wosku ze świecy, której zgaśniecie oznaczało kres jego życia. Trzy wchodzące stare diabły oznajmiły mu tę nowinę. Duch Rosalia opuścił ciało i powędrował do podziemi. Znajdujący się tam wstrętni, dawno zmarli ludzie wyjaśnili mu, iż jego ciało jest rozżarzone do czerwoności: nie może już do niego wrócić. Potem ujrzał, jak okryto je długim, białym całunem. Delirium nie ustępowało. Zmarły miotał się odwiedzając wszystkie miejsca, w których kiedyś przebywał - a równocześnie przeklinał swą żonę i curan-deros (uzdrowicieli), którzy usiłowali sprowadzić nań sen.

Podczas szóstej bezsennej nocy Rosalio przypomniał sobie babkę Mańę i farise-os („faryzeuszy" - stowarzyszenie mężczyzn z plemienia Yaqui, czczących Wielkanoc tańcem). Mówili, że Chrystus uzdrawia chorych. Widząc, że świeca jego życia wypala się zbyt szybko, Rosalio zaczął błagać Chrystusa o pomoc; gotów był w zamian zostać „fariseo" i tańczyć w wielkanocne święta. Potem zobaczył wokół siebie niewysoki biały płot, a z prawej i z lewej strony dwoje dzieci, każde z laską w ręku. Nie widział już żadnych diabłów. Wosk ze świecy przestał kapać mu na twarz. Pojawili się dwaj starcy z siwymi brodami.

„Czy to ten człowiek, który chce brać udział w widowisku na cześć Jezusa Chrystusa?" - spytał jeden z nich, a drugi odpowiedział: - „Tak, to on".

Pierwszy odezwał się: - „Zabierz go lepiej na górę".

Łóżko Rosalia, płotek i dzieci - wszystko to zaczęło się wznosić tak szybko, że ogarnął go strach. Przebył sosnowy las, sunął między dwoma rzędami palących się świec. Zbliżając się do bram Królestwa Chwały usłyszał śpiewy i dźwięk dzwonów.

Przed bramą stał siwobrody starzec z kluczem w ręku. Czekały tam również tysiące ludzi. „Każdy z nich zginął w nagłym wypadku" - wyjaśnił mu jakiś głos - „świece ich życia nie zdążyły wypalić się do końca, więc muszą tu czekać, aż przyjdzie ich pora, by przejść przez bramę".

Ciągle odgrodzony białym płotkiem i w towarzystwie dwojga dzieci, Rosalio dostał się do jaśniejącego miasta i zbliżył do kościoła. Wyszedł stamtąd Chrystus otoczony tłumem ludzi. „Zbliż się i pójdź za mną - rzekł. - Zobaczysz, co cię czeka, jeśli naprawdę pójdziesz w moje ślady".

Gdy Rosalio szedł za Chrystusem, rozpętała się gwałtowna burza. Huczały grzmoty, płonęły błyskawice. Skały, drzewa i odłamki metalu przelatywały obok nich, nie doznali jednak żadnej krzywdy.

„Teraz zobaczymy wojnę" - oznajmił Chrystus.

Był to straszny widok, ale Rosalio zachował spokój. Opuściwszy pole bitwy, ujrzeli tysiące świec. Wiele z nich już się wypaliło. Pochyliwszy się nad jedną, jasno płonącą, Chrystus rzekł: „To twoja świeca. Jest bardzo wysoka i pali się nadal".

Dotarli do krainy czystych strumieni i kwiatów. Rosalio nie rozumiał, co mówią do niego przebywający tam szczęśliwi ludzie, ubrani w białe szaty. Potem weszli na rozpaloną równinę, gdzie rosły wyschnięte kaktusy. Zamieszkiwały ją ohydne stwory z długimi ogonami, kogucimi głowami albo rogami jak u byka. Niektóre potwory chodziły, inne skakały, jeszcze inne czołgały się. „To potępieńcy" - wyjaśnił Chrystus. - „Znaleźli się tu z własnej woli. Są teraz tacy, jakimi stali się niegdyś w ziemskim życiu".

Gdy wrócili do kościoła, jakiś człowiek wyjął z ciała Rosalia kości i zęby, a następnie serce, każąc ptakowi, przelecieć z nim trzykrotnie nad jeziorem. W końcu Rosalio legł w swoim martwym, rozpalonym do czerwoności ciele. Przywrócono mu jego kości, zęby i serce. Chrystus polecił dwóm wysokim aniołom: „Odnieście go teraz na ziemię".

Aniołowie umieścili Rosalia na jego łóżku otoczonym płotem. Sunęli w dół, niczym w zjeżdżającej wolno windzie. Płotek dotknąwszy ziemi zniknął. Rosalio znowu znajdował się w swoim rozpalonym ciele. Otworzył oczy. Widział wszystko jak przez mgłę. Chrystus kazał mu wstać i iść. Zrobiwszy jeden krok, Rosalio upadł na ręce i kolana, a Jezus powiedział: „Tak właśnie przyjdziesz do mnie".Rosalio ocknął się wówczas i ujrzał znajdujących się w pokoju ludzi. On sam leżał w łóżku obok śpiącej żony. Zdawało mu się, że minęło wiele miesięcy. Obudził żonę. „Jak długo leżę w łóżku? - spytał. Odparła: „Jakieś dwie godziny".Zapadł znowu w sen, a gdy się obudził, opowiedział co się wydarzyło. Wszyscy uwierzyli mu. Rosalio wyrzekł się hazardu i trunku, a w 1924 roku został „fariseo", w podzięce za okazaną mu przez Chrystusa łaskę.

Argumenty „za" i „przeciw"

Istnieje bardzo niewielkie prawdopodobieństwo, by zwolennicy ścisłej wiedzy przyznali kiedyś, że NDE to coś więcej niż majaki zamierającego umysłu. W obecnej dobie scjentyści samozwańczo obwołali swe przekonania Jedyną prawdą" -jak to już nieraz bywało z różnymi dogmatami - po cóż więc mieliby sami osłabiać zdobytą pozycję?

A jednak Moody, Sabom, Ring, Rawlings, Grey i inni wykazali, że NDE są konsekwentnie powtarzającym się fenomenem. - Zjawisko to zachodziło już (z niewielkimi zmianami) tysiące razy. Raz po raz w historiach choroby znajdujemy potwierdzenie powszechności tego, co Ring - członek-założyciel Międzynarodowego Instytutu Badań nad Przeżyciami z Pogranicza Śmierci, działającego przy uniwersytecie w Connecticut - nazwał w swym opracowaniu wyników stu dwóch relacji NDE „podstawowymi doznaniami". Składają się na nie:

l. uczucie spokoju; 2. oddzielenie się od ciała; 3. wejście w ciemność („tunel" Moody'ego); 4. ujrzenie światła i 5. wejście w nie.

Nietypowość Ringa polega na niedwuznacznym oświadczeniu, że NDE dowodzą, „zachowywania nadal świadomej egzystencji po śmierci fizycznej, atzw. podstawowe doznania«, stanowiące początek tego procesu, są zapowiedzią przyszłych wydarzeń".

Podkreślając, że jest to jedynie jego osobiste przekonanie i NDE nie stanowią niepodważalnego dowodu przetrwania, Ring stawia jednak pytanie:

Dlaczego podobne przypadki się zdarzają?... Mam do zaoferowania tylko jedno –i to kontrowersyjne – rozwiązanie, choć przyznaję, iż może wydać się nie tylko mało prawdopodobne, ale wręcz śmieszne. Doszedłem do przekonania, że wszechświat dysponuje wieloma sposobami „przesyłania informacji". Pragnie więc, byśmy się ocknęli i zdali sobie sprawę z kosmicznych wymiarów dramatu, w którym sami odgrywamy maleńką rolę. Przeżycia z pogranicza śmierci to jeden ze sposobów uświadomienia nam tej rzeczywistości wyższego rzędu.

Inni jednakże obstają przy tym, że NDE są jedynie „wyrazem indywidualnego i zbiorowego lęku przed śmiercią" (James Alcockna na łamach „Sceptical Enquirer" -wiosna 1979). Doznania takie są złożoną halucynacją, wywołaną przez chemiczne lub psychologiczne skutki procesu umierania: niedostateczny dopływ tlenu do mózgu, wydzielające się endorfiny, podwyższony poziom dwutlenku węgla we krwi. Ro" nald K. Siegel z kalifornijskiego uniwersytetu stanowego w Los Angeles twierdzi, że świadomie doprowadził do występowania zjawisk typu NDE, podając środki halucynogenne w rodzaju LSD. Ale co z tego? Czy umiejętności kucharza zależą wyłącznie od użytych przezeń produktów?

Susan Blackmore, zapewniając, iż wiara w przetrwanie osobowości po śmierci jest „całkowitą i dogłębną głupotą" (czy jakąkolwiek wiarę, dającą pociechę cierpiącemu, bez względu na to, czy jest to ułuda, czy też nie, można uznać za absolutnie bezsensowną?!), wyjaśnia dosłownie każdy element NDE działaniem „zamierającego mózgu". „Anoksja (niedobór tlenu) powoduje uczucie spokoju i radości na skutek dysmhibicji (rozproszenia), podobnie jak w przypadku stosowania środków halucynogennych (w czasie przeżyć przedśmiertnych podobne substancje wytwarza sam mózg). Hyperkarbia (wysoki poziom dwutlenku węgla we krwi) wywołuje mistyczne doznania, takie jak depersonalizacja - i na tym polega cały problem! Mistycy wszystkich epok i wszelkich kręgów kulturowych popełniali ten sam błąd!"

Jeśli chodzi o mroczną pustkę albo podróż tunelem, to w 1926 roku Heinrich Kluver na uniwersytecie w Chicago zapoczątkował badania nad skutkami zażywania halucynogennej meskaliny, która zyskała rozgłos dzięki opublikowanej w 1953 roku książce Aldo-usa Huxleya The Doors ofPerception (Wrota poznania). Kluver stwierdził, że halucynacje wzrokowe lub wizje wywołane przez meskalinę przybierają zazwyczaj „konkretne, stałe formy", dzielące się na cztery podstawowe kategońe: kraty, tunele, spirale, pajęczyny. Następnie kanadyjski psycholog, Kevin Drab, przebadawszy ponad tysiąc relacji z „podróży na tamten świat", odkrył, że 71 zawierały wizję tunelu - jest ona typowa dla ciężkich przypadków medycznych, na przykład zatrzymania akcji serca. Stwierdził, iż wizja ta łączy się z uczuciem wyzwolenia z ciała i występuje najczęściej tuż przed śmiercią.

Zestawiając ze sobą różnorodne teorie:

l. tunel stanowi autentyczne przejście ze świata ziemskiego w pozaziemski;

2. symbolizuje zmianę jednego stanu świadomości na inny;

3. jest rodzajem kanału rodnego (w odwrotnym kierunku) i wreszcie

4. jest to jedynie halucynacja lub wytwór wyobraźni, Susan Blackmore sgeruje, że uczucie ruchu wewnątrz tunelu

spowodowane jest nieskoordynowanym działaniem komórek zamierającego mózgu, przeważnie w centrum pola widzenia. Jeśli zaś chodzi o jasne światło (świetlistą istotę) u wylotu tunelu, to jeszcze szybsze „wystrzały" komórek wewnątrz zamierającego mózgu tworzą świetlne pole - i tak powstaje złudzenie „wkraczania w światłość". No cóż! Przynajmniej jedno wyjaśnienie mamy z głowy!

Anoksja (niedotlenienie) nie jest jedynym czynnikiem chemicznym, który darzy -niczym dobre bóstwo - poczuciem spokoju i radości. Na podstawie badań przeprowadzonych przez Daniela Carra w 1982 roku w Harwardzkiej Szkole Medycznej, ci, którzy pragną zbagatelizować cały problem, twierdzą, iż endorfiny - neuroprzekaźniki wytwarzane w mózgu i wydzielające się w płynie mózgowo-rdzeniowym (zazwyczaj pod wpływem stresu lub pobudzenia seksualnego) - uaktywniają się również w chwili śmierci. Podobnie jak opłaty, endorfiny eliminują ból i wywołują bardzo silne złudzenie rozkoszy, spokoju i bezpieczeństwa. Być może, wydzielanie się endorfin następuje we wszystkich sytuacjach typu NDE, gdy stres wywołany chorobą łączy się z autentyczną bliskością śmierci.

Wszystko to brzmi bardzo przekonywająco. Materialne przyczyny pozamaterialnych doznań - dobra robota prawdziwego naukowca? Dlaczego jednak tylu powracających do życia tak broni się przed tym, jeżeli ich udziałem był jedynie nieskoordynowany ruch komórek w zamierającym mózgu i rozkosze niedotlenienia z niewielkim dodatkiem endorfm?

A co z negatywnymi albo wręcz przerażającymi doznaniami u progu śmierci? Dlaczego w podobnych przypadkach anoksja i endorfiny powodują uczucie strachu i wstrętu zamiast spokoju i radości?

Wizje piekła

Średniowieczne relacje, począwszy od *Wizji Barontusa* aż do *Piekła* Dantego, ukazują dwie przeciwstawne wizje przyszłego życia. Dzisiaj jednak piekło jest zdecydowanie „na indeksie". Przesłodzone teksty ruchu New Agę pełne są wyłącznie pozytywnych wizji. Żadne przykre wydarzenia do nich nie pasują. Jednak niektórzy badacze odnotowali iście piekielne NDE. Maurice Rawlings, kardiolog z Tennessee i chrześcijanin, który dostąpił „powtórnego narodzenia", twierdzi, że istnieje piekło w dosłownym tego słowa znaczeniu i że można tego dowieść. W swojej książce *Beyond Death's Door* (Za bramą śmierci), opublikowanej w 1978 roku, Rawlings podaje, że jedna piąta pacjentów, których przywrócił do życia po zatrzymaniu akcji serca, miała negatywne przeżycia z pogranicza śmierci. Pewna kobieta powiedziała mu, iż po ataku serca poczuła, że brak jej tchu, straciła przytomność, a następnie opuściła swe ciało:

Następną rzeczą, jaką pamiętam, było wejście do ciemnego pokoju. Przy jednym z okien ujrzałam potężnego olbrzyma... który mnie obserwował. Po parapecie biegały małe diabliki czy elfy... Olbrzym skinął, bym poszła za nim. Nie chciałam tego zrobić, ale musiałam. Na zewnątrz panowała ciemność, słyszałam jednakże wszystkich stron ludzkie jęki. Czułam, że coś porusza się tuż obok moich nóg. Gdy szliśmy przez tunel czy może pieczarę, wszystko stało się jeszcze bardziej przerażające. Pamiętam, że płakałam. Potem z jakiegoś powodu olbrzym uwolnił mnie i odesłał z powrotem. Pojęłam, iż mnie oszczędzono. Nie wiem, dlaczego taksie stało.

Tej kobiecie endorfiny jakoś nie pomogły. Rawlings sugeruje, że większość ludzi, którzy mieli negatywne doznania u progu śmierci, stara się jak najprędzej wymazać jeż pamięci. Rawlings jest zdania, iż inni badacze - Moody, Ring i Sabom - dysponują nieprawdziwymi danymi, gdyż swe wywiady przeprowadzali w kilka tygodni lub nawet miesięcy po wydarzeniu. Teza Rawlingsa znalazła pewne potwierdzenie. Bruce Greyson zebrał ponad pięćdziesiąt relacji dotyczących negatywnych przeżyć z pogranicza śmierci, a psycholog z San Francisco, Charles Garfieid, obserwując stu siedemdziesięciu trzech pacjentów śmiertelnie chorych na raka, odkrył, że niektórzy z nich wspominali o pojawianiu się szatańskich postaci i koszmarnych obrazów (choć inni słyszeli niebiańską muzykę i widzieli potężne światło). Spośród siedemdziesięciu dwóch pacjentów z przypadłościami wieńcowymi, czternastu miało niebiańskie wizje, ale u ośmiu były one iście piekielne.

Angielka Margot Grey zajęła się badaniami nad NDE przeżywszy osobiście pozytywne doznanie. (Najpierw przyglądała się swemu rozgorączkowanemu ciału leżącemu w łóżku, potem przez tunel dotarła do światła „przypominającego bardzo jasną gwiazdę, ale o wiele bardziej promiennego"). Z czterdziestu jeden osób, które przebadała, u trzydziestu ośmiu wystąpiły „podstawowe doznania", ale pięcioro z nich uznało swe przeżycia za iście piekielne.

Być może - jak sugeruje parapsycholog, Scott Rogo, negatywne NDE spowodowane są gwałtownymi cierpieniami fizycznymi, które często wiążą się z różnymi technikami reanimacyjnymi. Jednak znów nasuwa się pytanie: jeśli przeżycia z pogranicza śmierci są jedynie skutkiem anoksji, uaktywnienia endorfin, i tak dalej, dlaczego owe „piekielne" NDE występują tylko u niektórych, a nie u wszystkich? Czy odgrywa tu rolę czynnik indywidualny, niematerialny: umysł? A jeżeli odbywano

sąd nad sobą, być może niektórzy osądzają własne postępki surowiej niż inni - i tak powstają owe piekielne doznania. Byłoby przecież zdumiewające, gdyby pokój i radość stały się udziałem wszystkich!

A co z przeżyciami u progu śmierci niedoszłych samobójców? Dziesięć osób, które przeżyły skok z mostu Golden Gate w San Francisco, opowiedziało neuropsychiatrze Dayidowi Rosenowi o spokoju, jaki ogarnął ich w chwili upadku; żaden z nich nie zamierzał ponowić próby samobójstwa. Przeprowadzając wywiad z niedoszłym samobójcą Moody usłyszał także: „Nie, już tego więcej nie zrobię. Zdałem sobie sprawę z jednego... że nasze życie stanowi tylko maleńką cząstkę czasu i tak wiele należy jeszcze uczynić, dopóki tutaj jesteśmy".

Nawet negatywne doznania dają nieraz pozytywny efekt. Przebywający w amerykańskim więzieniu Starr Daiły najadł się mydła, chcąc wymusić w ten sposób przeniesienie do szpitalnego skrzydła budynku (co istotnie osiągnął). Zdjęty bólem i przerażeniem odkrył, iż ma widzenia, choć jest całkiem przytomny. Przesuwały się przed nim -jak na filmie - postacie ludzi, których skrzywdził:

Myślałem, że to się nigdy nie skończy. Strasznie wielu było tych ludzi - bliższych i dalszych znajomych. Potem przyszła kolej na setki zupełnie obcych. To byli skrzywdzeni w sposób pośredni. Najdrobniejsze wydarzenia długiej kariery przestępczej rozegrały się znowu przede mną: Zdałem też sobie sprawę z różnych przykrości, wyrządzonych ludziom nieświadomie bezmyślnym słowem, spojrzeniem czy przez zapomnienie. Najwyraźniej niczego nie pominięto w tym koszmarnym rejestrze krzywd, ale najstraszniejsze było to, że każdy ból sprawiony innym, czułem teraz we własnym sercu, gdy przed oczami przesuwała się ta taśma filmowa.

Daily jeszcze nieraz musiał przeżywać to piekło. Wreszcie pewnego dnia zbudził się wolny od cierpienia i trwogi. Po czterech miesiącach całkowitego odosobnienia przyśnił mu się znowu sen z czasów dzieciństwa: spotkał w ogrodzie Chrystusa i odczuł jego bezgraniczną miłość. Czując się kochany, Daiły po raz pierwszy pojął, że sam mógłby pokochać - i wtedy znów ujrzał - jak na filmie - rozgrywające się wydarzenia.

Tym razem nie było to bolesne. Czułem tylko uniesienie, ekstazę. Wszyscy ludzie, skrzywdzeni bezpośrednio lub pośrednio, pojawili się znów przede mną, ale teraz obdarzyłem ich swoją miłością, uspokajającą i leczącą ich rany. Potem zjawili się wszyscy ludzie, którzy mnie skrzywdzili. Zacząłem po kolei pomagać każdemu z nich, okazywałem swoją miłość. Wszystko było niesłychanie wyraźne. Nagle zamiast filmu ujrzałem ogromne audytorium z wieloma osobami, którym wyrządziłem krzywdę albo które mnie skrzywdziły.

Był to punkt zwrotny w życiu Daily'ego. Wyzwolił się z „systemu szkatułkowego" Junga i stał cząstką uniwersalnej świadomości. Nawet jeśli przeżycie to miało czysto subiektywny charakter, jego efekt był jak najbardziej realny.

Wniosek: wyzwolenie z dwuwymiarowego świata

Susan Blackmore konkluduje: przeżycia z pogranicza śmierci są wynikiem załamania się modelu jaźni w połączeniu z równoczesnym załamaniem się normalnych procesów mózgowych. W ten sposób ulega zniszczeniu iluzja, że każde z nas jest oddzielną jaźnią. Staje się oczywiste, iż ‚Ja" nigdy nie istniało i wobec tego nie ma tego, kto musi umrzeć. Bardzo zabawne, że gdy ów system wyeliminuje myśl o zagrożonym śmiercią bycie, możemy mieć do czynienia z kimś znacznie milszym we współżyciu. Zmiana zależna jest od stopnia, w jakim zaszedł proces. Na tym opiera się autentyczna utrata lęku przed śmiercią i transformacja wynikająca z NDE.

Bez względu na źródło - wartość takich doznań polega na powodowaniu zmiany stosunku do życia i ludzkości. Słabnie pęd do wynoszenie własnego ‚Ja" kosztem innych, podobnie jak strach przed śmiercią, a także poczucie osamotnienia i braku kontaktu z otoczeniem. Jeżeli tak jest rzeczywiście, to w pewnym sensie nie ma już znaczenia, czy istnieje jakieś przyszłe życie, czy też nie. Liczy się tylko to, co potrafimy zrobić z naszym życiem na ziemi.

Jednak większość ludzi, którzy przeżyli NDE, zapewnia, że tamto życie jest nieskończenie realniejsze niż wszystko, czego doświadczamy w „prawdziwym", ziemskim. Po powrocie nie są w stanie wyjaśnić, czemu uległa zmianie ich postawa życiowa, gdyż przeżyli objawienie -podobne do tego, o którym pisali Swedenborg czy Jan od Krzyża - którego nie da się ubrać w słowa ani logicznie wytłumaczyć.

Gdy rozpatrzymy sprawę, biorąc pod uwagę inne liczne dowody „przetrwania", pochodzące z ostatniego stulecia, stwierdzimy, że przeżycia z pogranicza śmierci wskazują na istnienie świadomości niezależnej od czasu, przestrzeni i materii.

Większość istot ludzkich obdarzonych inteligencją utrzymywała zawsze (albo przynajmniej nie zaprzeczała nie posiadając wyraźnych dowodów), że istnieje niematerialny element (zwany duchem lub duszą), który ożywia ciało, dopóki jest z nim związany. Oczywiście, takie przekonanie nie opiera się na takich dowodach, jakich mogliby zażądać ci, którzy nie wierzą w nic, dopóki nie przekonają się na własnej skórze.

Jak twierdzi Sabom w zakończeniu swej pracy: „największy problem związany z metodą naukową polega na tym, że wydarzenia, uznawane za niepodważalne dowody prawdy, są w rzeczywistości jedynie bytami teoretycznymi, którym przyznano status faktów w obrębie jakiejś jednostkowej struktury pojęciowej".

Albo też, jak oznajmia Lorimer:

... Wielu współczesnych mieszkańców Zachodu żyje obecnie w dwuwymiarowym świecie. Niektórzy - najbardziej przemądrzali - odżegnali się od duchowego spojrzenia na świat jako naiwnego zabobonu, ostatecznie zdyskredytowanego przez cuda nowoczesnej techniki i komunikacji. To prawda, że nasz świat się poszerzy}, gdyż jesteśmy świadomi wydarzeń zachodzących w innych częściach naszej planety, ale nasze ogólne spojrzenie ogranicza się przeważnie do „poziomych " wymiarów fizycznego świata. „Pionowy", metafizyczny wymiar jest w stanie niemal zupełnego zaniku, toteż życie ludzkie zostało wyrwane z wszelkiego metafizycznego kontekstu i pozbawione celu: rodzimy się, żyjemy i giniemy w chwili śmierci. A może tak wcale nie jest?

Susan Blackmore twierdzi, że tak właśnie jest i jaźń to jedynie wytwór umysłu. „Jesteśmy organizmami biologicznymi - konkluduje - które rozwinęły się w niezwykły sposób bez żadnej konkretnej przyczyny i określonego celu, zrodzonego w jakimś umyśle. Po prostu jesteśmy tutaj i tyle. Nie mam żadnej jaźni i nie zawdzięczam nikomu żadnego ..ja". Nie istnieje ktoś, kto musi umrzeć. Jest tylko ten moment... i ten... i ten".

Zdumiewające: jeśli pani Blackmore nie posiada żadnej jaźni, to kto napisał tę jej książkę?! Czy to aby nie przypadek reductio ad absurdum^ Żeby zaprzeczyć czemuś, czego istnienia - lub nieistnienia - nie da się w żaden sposób udowodnić, autorka sprowadza swój własny status istoty ludzkiej do organizmu biologicznego, zakodowanego i sterowanego chemicznie, bez żadnej szerszej perspektywy. Dlaczego?

Ale dajmy temu spokój. Przeżycia z pogranicza śmierci występują! nikt nie może zaprzeczyć, że u osób, które czegoś podobnego doświadczyły, następuje pod ich wpływem zmiana postawy życiowej.

Oto mamy całkiem pokaźny „cud" - a przed nami jeszcze daleka droga!

2. Od Łazarza do Lourdes - cudowne uzdrowienia

Siły wyższe? - przypadek Jacques'a Salauna

Międzynarodowy Komitet Medyczny w Lourdes działa z wielką rozwagą. Co roku przybywa do tego, leżącego na odludziu, miasta we francuskich Pirenejach ponad pięć milionów pielgrzymów (z których w przybliżeniu sześćdziesiąt pięć tysięcy to ciężko chorzy). Przeszło sześć tysięcy cudownych uzdrowień miało podobno nastąpić od 1858 roku, kiedy to Bemadetcie Soubirous ukazała się rzekomo Najświętsza Panna i Lourdes stało się słynnym na cały świat miejscem cudownych uzdrowień. Mimo to od tamtej pory jedynie sześćdziesiąt pięć przypadków uznano oficjalnie za uzdrowienia niewytłumaczalne naukowo, nagłe i całkowite.

Ostatnim oficjalnie uznanym cudem jest uzdrowienie sycylijskiej dziewczyny, Delizii Cirollie, które nastąpiło w 1976 roku. Być może za następny cud zostanie uznany przypadek pięćdziesięcioośmioletniego Jacques'a Salauna, byłego tokarza, mieszkającego w niewielkiej miejscowości w pobliżu Chartres, na południowy zachód od Paryża. Salaun od 1975 roku cierpiał na postępujące stwardnienie rozsiane, które stopniowo coraz bardziej go unieruchamiało: W 1993 roku nie był w stanie się poruszać i trzeba go było przenosić z fotela inwalidzkiego na łóżko. Nie mógł sam jeść, myć się, golić ani korzystać z toalety. To już nie było życie. „Nie możemy panu w niczym pomóc" - orzekli paryscy specjaliści. Pozostawała ostatnia nadzieja - Lourdes.

Podczas swej drugiej wizyty w tej miejscowości w sierpniu 1993 roku - Salaun uczestniczył w kilku mszach i kąpał się w chłodnych wodach rzeki Gave. W ostatnim dniu swego pobytu obudził się na sali Szpitala Świętej Bemadetty, gdzie oprócz niego leżało jedenastu innych chorych. Oświadczył, że ujrzał we śnie Najświętszą Pannę, która kazała mu wstać. Próbował to uczynić, ale nie udało mu się. Tego samego dnia, w późniejszych godzinach, zanurzono go dwukrotnie w basenie. (Salaun

miał przeczucie, że powinno to odbyć się dwa razy). Przebywając w wodzie nie czuł niczego szczególnego. Wracając tej nocy pociągiem do domu, czuł się szczęśliwy. Był pewny, iż Najświętsza Panienka przyszła do niego, żeby go pocieszyć.

Następnego dnia - już w domu - zrobiło mu się nagle strasznie zimno, potem poczuł nieznośny żar. Powiedział do swojej żony Jacqueline: - „Dostałem jakiegoś ataku, strasznie źle się czuję". Nieoczekiwanie jego dłonie rozwarły się - po raz pierwszy od wielu lat. Zaskoczony podniósł je, a potem wstał „bez niczyjej pomocy i [wszedł] do niewielkiej jadalni". Sam przygotował śniadanie. Jego żona ze zdumienia nie mogła jeść. Po południu Salaun odbył przejażdżkę na rowerze. Gdy wrócił do domu jego syn, Cyrille, ojciec chwycił go w ramiona i zaczął nosić, podobnie jak - przez całe lata - syn nosił jego.

„Stwierdzam, że zbadałem dokładnie pana Salauna i nie znalazłem żadnego śladu choroby" - zaświadczył jego lekarz, dr Pilon. Miejscowy proboszcz dodał: - „Nie do nas należy orzeczenie, czy jest to przypadek boskiej interwencji, ale - przynajmniej na razie - tego uzdrowienia nie można w żaden sposób wytłumaczyć".

Po badaniu lekarskim w Lourdes akta Salauna przekazano dalej. Czy komitet uzna to uzdrowienie za „niewytłumaczalne naukowo"? (Unika on określenia „cud"). Być może dowiemy się o tym dopiero za kilka lat. Obowiązują bardzo ścisłe przepisy. Członkowie komitetu znają przypadki remisji stwardnienia rozsianego. Trwała ona kilka miesięcy a nawet lat, po czym objawy chorobowe powracały. Jednak Jacques Salaun i ci, którzy go znają, wierzą, że wydarzył się cud.

Sai Baba wskrzesza zmarłego

W Madrasie, w dzień Bożego Narodzenia 1971 roku Walter Cowan, Amerykanin w starszym wieku, został rzekomo wskrzeszony przez hinduskiego cudotwórcę Sai Babę. Kiedy wśród gorących zwolenników Sai Baby rozniosła się wieść o tragicznym w skutkach ataku serca Cowana, dr John Hislop, emerytowany profesor i dyrektor korporacji, udał się do niego ze swą żoną do hotelu Connemara. Elsie, żona Cowana, potwierdziła jego zgon. Modliła się, żeby Sai Baba udzielił pomocy, ale zakończyła swą modlitwę słowami „niech się dzieje wola Boża".

Ciało zmarłego zabrano do szpitala. Później, tego samego dnia, udała się tam j ego żona wraz ze swą przyjaciółką, panią Ratan Lal. Na miejscu przekonały się, że Sai Baba zjawił się przed nimi.

Jeszcze bardziej zdumiewające było to, że znalazły Waltera Cowana żywego.

Zdając sobie sprawę z tego, iż należy udokumentować to niezwykle wydarzenie, dr Hislop skłonił sędziego Damandara Rao do przeprowadzenia wywiadu z lekarzem - świadkiem przywiezienia zmarłego do szpitala (doktor obstawał przy tym, że Cowan z całą pewnością wówczas nie żył). Lekarz zatkał mu nos i uszy watą. Ciało przeniesiono do pustego pomieszczenia. Potem doktor wyszedł ze szpitala, nie było go zatem podczas odwiedzin Sai Baby. Powróciwszy - już po odejściu cudotwórcy - przekonał się, iż pacjent żyje.

Później - jak podaje Hislop - Sai Baba przyznał, że istotnie przywrócił Cowana do życia, nie wyjaśnił jednak, czemu to uczynił. Ale to jeszcze nie koniec cudownych wydarzeń. Równie zdumiewająca była wyraźna bilokacja cudotwórcy (podobne przypadki zdarzały się podobno również Ojcu Pio i innym mistykom). Kiedy bowiem Sai Babę widziano w szpitalu, Hislop uczestniczył w spotkaniu religijnym, podczas którego guru przemawiał i rozdawał podarki. Hislop utrzymuje, że później Sai Baba powiedział mu: „Gdy przemawiałem na mityngu, pani Cowan wezwała mnie. Natychmiast udałem się do szpitala i zrobiłem, co należało. Stan pana Cowa-na był bardzo ciężki". Innymi słowy, Sai Baba potwierdził swój pobyt równocześnie w dwóch miejscach.

Wraz z ocaleniem od śmierci zniknęły również inne przypadłości Cowana - na przykład cukrzyca.

Sam wskrzeszony opowiedział później, że był ciężko chory na zapalenie płuc, leżąc z trudem łapał oddech, aż wreszcie walka dobiegła końca i umarł. Podobnie jak podają relacje z NDE, Cowana ogarnęło uczucie „cudownej błogości i doskonałego samopoczucia; zniknął całkowicie strach przed śmiercią". Gdy leżał potem w szpitalnym łóżku, pojawił się u jego boku Sai Baba i zaprowadził go do wielkiej sali, w której tłoczyły się setki ludzi. „Tam właśnie znajdowały się rejestry dotyczące wszystkich moich poprzednich wcieleń". W towarzystwie Sai Baby Cowan stanął przed sądem. Przyniesiono rejestry: były to całe naręcza zwojów, każdy w innym języku. „Kiedy je odczytywano, Sai Baba objaśniał ich treść. Najdawniejsze z nich dotyczyły nie istniejących już od tysięcy lat państw, których w ogóle nie mogłem sobie przypomnieć..."

Gdy odczytywanie dobiegło końca, Sai Baba powiedział, że Cowan nie dokonał jeszcze wszystkiego, co było mu przeznaczone, i poprosił (jak mówi Cowan), „by okazano mi łaskę i pozwolono mojej duszy wrócić do ciała". Sędzia wyraził zgodę. Sąd nad duszą został odroczony, a sam Cowan odszedł z Sai Babą, by ostatecznie ożyć. Jednak wyznaje, podobnie jak

wielu innych, którzy znaleźli się u progu śmierci:

Trudno mi było wyrzec się tej doskonałej błogości. Spoglądałem na moje ciało i myślałem, że powrót do niego przypomina zanurzenie się w kloace. Musiałem jednak dopełnić mojej misji, by potem zjednoczyć się ze swym mistrzem, Sai Babą. Wstąpiłem więc powtórnie w moje ciało i natychmiast wszystko zaczęło się od nowa: nie mogłem złapać oddechu i byłem ciężko chory. Otworzyłem oczy i ujrzałem moją żonę. Powiedziałem jej: „Ogromnie ci do twarzy w różowym... "

Hislop spytał Sai Babę, czy przeżycia Cowana były złudzeniem. „To było realne doznanie, a nie iluzja" - odparł. - Wszystko wydarzyło się w głębi jego umysłu. Ja także tam byłem - kierowałem jego myślami. Kiedy spytano go, czy każdy przeżywa podobne doświadczenia związane ze śmiercią, Sai Baba odrzekł: „Niekoniecznie".

Czy Walter Cowan rzeczywiście zmarł? Do niezwykłego Sai Baby jeszcze powrócimy...

Uzdrawiające serce

Margaret Casement urodziła się na przedmieściu Montrealu, Verdim. Już jako nastolatka była ogromnie utalentowaną łyżwiarką i wróżono jej olimpijskie laury. Codziennie odbywała wielogodzinny trening - i w połowie lat pięćdziesiątych została mistrzynią Kanady w łyżwiarstwie figurowym. Nieszczęście poraziło ją niczym grom. Jej ruchy nie były już płynne i skoordynowane. Coraz częściej zdarzały się upadki na lód. Jakaś niewytłumaczalna choroba unieruchomiła ją wreszcie całkowicie od pasa w dół. Zgodnie z radami lekarzy, cała rodzina przeniosła się do słonecznej Kalifornii, ale nie nastąpiła żadna wyraźna poprawa w stanie zdrowia Margaret. Ona jednak nie traciła nadziei. Była pewna, że wróci do Montrealu - i to o własnych siłach.

Nie dała za wygraną. Zaczęła zarabiać przepisując na maszynie rękopisy i po dziesięciu latach kupiła samochód inwalidzki ze sterowaniem ręcznym. W końcu była gotowa i mimo obiekcji rodziców wyruszyła w 5600-kilometrową podróż do Montrealu. Nie wiedziała, czego szuka, ale przybywszy tam w zimny, dżdżysty, jesienny dzień, bezwiednie skierowała się w stronę Kaplicy św. Józefa.

W tej wielkiej, krytej kopułą budowli sakralnej, wzniesionej z granitu na zboczu Góry Królewskiej, znajduje się (podobno cudotwórcze) serce brata Andrć - niepiśmiennego zakonnika, uzdrowiciela, który zmarł w początkach naszego stulecia. Serce - umieszczone w szklanej kasecie - stoi na przypominającej ołtarz płycie kamiennej w niewielkiej krypcie kaplicy. Choć nie tak słynny jak Lourdes, przybytek ten również ściąga co roku tysiące pielgrzymów pragnących uzdrowienia. Wielu z nich czołga się na kolanach, pokonując w ten sposób - wraz z tłumem innych - szorstkie kamienne stopnie wiodące do kaplicy, której ściany zdobią bardzo liczne, porzucone przez uzdrowionych kule i inwalidzkie szyny.

Margaret Casement zdumiała się, gdy nagle znalazła się przed budową. Wyznała później: „To z pewnością nie było miejsce, do którego świadomie udałabym siew pierwszej kolejności. Wątpię, czy w ogóle bym pojechała". A jednak znalazła się właśnie tam. Rozłożyła składany fotel inwalidzki i wjechała po rampie do przypominającej pieczarę, słabo oświetlonej kaplicy. Miała wrażenie, że dokładnie zna drogę. Znalazłszy się w okrągłej, nisko sklepionej krypcie, ujrzała serce brata Andrć zawieszone w przezroczystym płynie, umieszczone tak, by każdy - zdrowy czy kaleki - mógł je wyraźnie zobaczyć. Zbliżając się do marmurowej płyty, na której stało serce, w pewnym momencie Margaret uświadomiła sobie, że wstała, by mu się lepiej przyjrzeć.

Z wrażenia omal nie opadła z powrotem na wózek. Nie wiedzieć czemu czuła się winna. Co ona tu robi? Nie była nawet katoliczką! „To wprost zdumiewające - zwierzyła się później - ale zupełnie nie kojarzyłam swego powrotu do zdrowia z pobytem w kaplicy. Nie odczułam żadnego kontaktu z niebem, ani niczego w tym rodzaju. Chyba moją pierwszą reakcją było poczucie, że nie wiem, co mam teraz zrobić. No bo jak tu zgłosić, że zdarzył się cud?"

Dobre pytanie! Nie było przy tym żadnych świadków. Gdy Margaret wróciła do Kalifornii - już niejako kaleka - nikt jej nie wierzył. Przyjaciele sądzili, że poddała się jakimś skutecznym zabiegom na Wydziale Medycznym Uniwersytetu McGil-la. Łatwiej było uwierzyć, iż po piętnastu latach „nieuleczalnego paraliżu" wystarczyło kilka medycznych zabiegów pod nadzorem wykwalifikowanej kadry, niż w cud. Choć chętnie wierzymy w „cudowne lekarstwa", do cudów odnosimy się sceptycznie. Nawet najbliżsi krewni Margaret byli zupełnie rozstrojeni jej rewelacjami i woleli obstawać przy tym, że szok nagłego powrotu do zdrowia zakłócił jej równowagę psychiczną...

Człowiek leczący AIDS?

AIDS jest chorobą dotychczas nieuleczalną. Wszyscy o tym wiemy. Osoba, u której stwierdzono istnienie wirusa HIV, musi być przygotowana na nieuchronną śmierć.

W Kenii i Ugandzie bardzo częste są przypadki zarażenia AIDS drogą kontaktów heteroseksualnych. Nazywają tam AIDS „chytrą chorobą". Niektórzy utrzymują - choć brak im konkretnych dowodów - że plaga ta zrodziła się w tej właśnie części świata.

Siedemnastoletnia Juliet N. (jej nazwiska nie podano), zatrudniona w Amerykańskim Zespole Immunizacyjnym, była dziewicą. Pewnego wieczora w lipcu 1989 roku na przedmieściu Kampali została napadnięta i zgwałcona przez mężczyznę chorego na AIDS. Z początkiem 1990 roku pojawiła się u niej nowotworowa zmiana skórna, nosząca nazwę „mięsaka Kaposiego". Następnie zaczęły występować chroniczne bóle głowy i symptomy przypominające malarię. Na języku miała tyle ranek, że nie mogła jeść ani pić. Niebawem stwierdzono u Juliet obecność wirusa HIV. Już wcześniej choroba ta zabrała jej brata, siostrę i wielu przyjaciół.

„Omal nie oszalałam i myślałam wyłącznie o samobójstwie - opowiada Juliet. -Nie chciałam doczekać tego straszliwego konania".

Nie zwierzyła się rodzinie ze swej tragedii, toteż - jako że ważyła już mniej niż 38 kilogramów - nosiła teraz bluzki z długimi rękawami i spódnice pozwalające ukryć podrażnienie skóry. W krańcowej rozpaczy udała się wreszcie do uzdrowiciela, pastora Simeona Kayiwy i stanąwszy przed nim zemdlała.

Powiedział on Juliet, że tylko Bóg jej pomoże. Zostanie przez Niego uleczona. Nie uwierzyła mu, ale nie mogła liczyć na nic innego. Pastor obiecał, że będzie się modlił i pościł w intencji jej powrotu do zdrowia, a ona musi postępować podobnie. Przypomniał, że Bóg to nie formułka teologiczna, ale istota, która wysłuchuje próśb swego ludu. Opowiedział swój sen: Bóg ukazał mu górę, która zaczęła się kurczyć i wreszcie znikła. „Wytłumaczył mi, że tak właśnie zniknie z twego ciała AIDS" - rzekł.

Jednak test, któremu poddała się Juliet. a po nim dwa następne, nadal wykazywały obecność wirusa HIV.

Pastor Kayiwa obstawał jednak przy tym, że Juliet nie umrze. Obiecał, że trzykrotnie odprawi modły w jej intencji, potem zaś dziewczyna musi znów udać się do swego doktora. Pod koniec 1991 roku wynik testu na HIV okazał się negatywny. Następny również. Juliet poddała mu się jeszcze trzykrotnie - i za każdym razem wynik był ujemny. Kiedy matka zauważyła, że dziewczyna przybiera na wadze, spytała, co spowodowało poprawę zdrowia. „To działanie Jezusa ~ odparła Juliet. Jej jedyna pozostała przy życiu siostra - także chora - skontaktowała się z pastorem Kay-iwa. „Teraz jest już zdrowa i chodzi dwa razy w tygodniu do szpitala modlić się za chorych - mówi Juliet. - Modlitwa jest najskuteczniejszym lekarstwem, jakie znam".

Albo - jak jej lekarz (John) powiedział Rochelle Gibler z redakcji czasopisma „Miracies" (Cuda): „Tam, gdzie kończy się ludzka wiedza, zaczyna się Bóg".

Pastor Simeon Kayiwa twierdzi: „Tu, w Ugandzie, cuda zdarzają się na porządku dziennym". Czterdziestojednoletni duchowny był kiedyś wykładowcą na Wydziale Sztuki uniwersytetu w Makerere. Otrzymał wówczas dar uzdrawiania. „W końcu rektor wezwał mnie do siebie i kazał wybierać między Bogiem a uczelnią. Nie był to trudny wybór". Pastor Kayiwa, założyciel Chrześcijańskiego Bractwa Namirembe (liczącego dwa miliony członków i posiadającego ponad dwa tysiące własnych kościołów w U-gandzie), przywrócił do zdrowia podobno co najmniej trzydzieści osób chorych na AIDS, między innymi Juliet.

Dr Jane Bosa, dyrektor Szpitala Akademickiego w Makerere, potwierdziła, że wyniki testów Juliet są nadal negatywne. Lekarkę zdumiało również wyleczenie przez pastora Kayiwę pielęgniarki Irenę Naija, która miała olbrzymie wole. „Zniknęło ono, gdy siostra Naija pomodliła się razem z pastorem. Jednego dnia była wyznaczona na operację, a kiedy ją ujrzałam następnym razem, wola już nie było".

Gdy poproszono ją o wyjaśnienie tego przypadku, dr Bosa odparła: „Doprawdy nie potrafię tego uczynić". Kiedy zadano pytanie, czy mogła nastąpić spontaniczna remisja, lekarka tym razem zadała dwa pytania - czemu wobec tego owa remisja „musiała zaczekać, dopóki Irenę nie spotkała się z pastorem Simeonem?" i „Dlaczego trzeba było przedtem pomodlić się?".

Modlitwa, prana, mana i ch'i

Dobre pytanie! Przecież - bez względu na przekonania religijne albo ich brak - najważniejsza w takich przypadkach jest wiara w możliwość odzyskania zdrowia i wola wyzdrowienia. W jaki sposób? „Rozpłomień się modlitwą!"- doradzają wyznawcy Kabały w dziele *Healing Words: The Power of Prayer and the Practice of Medicine* (Uzdrawiające słowa: potęga modlitwy a praktyka medyczna), wydanym w 1994 roku. Dr Larry Dossey z Santa Fe w Nowym Meksyku twierdzi, że modlitwa (będąca również powodem wymiernych zmian w innych powiązaniach życiowych) może dopomóc w powrocie do zdrowia nawet ludziom stojącym dosłownie nad grobem, choć -jak zastrzega autor - zdarza się to jedynie w 20% przypadków.

Cóż to ma znaczyć? Że w pozostałych 80% przypadków wiara zawodzi? Dossey mówi, że: „Modlitwa opiera się nie tylko na potędze Najwyższego... wprawiaja w ruch istota ludzka". Dodaje też: „Nawet jeśli wydaje się, że modlitwa lub próba zmiany samego siebie zawodzi... zawsze może nastąpić uleczenie - nie w sensie fizycznej dematerializacji nowotworu czy wady serca, lecz czegoś znacznie bardziej cudownego: uświadomienia sobie, że naszej prawdziwej, wyższej jaźni nie mogą zaszkodzić ataki jakiejkolwiek fizycznej dolegliwości".

Arthur Guirdham, były starszy konsultant w dziedzinie psychiatrii Państwowej Służby Zdrowia w zachodniej Anglii, określił uzdrawianie psychiczne jako „zwrócenie we właściwym kierunku energii Dobra". Owo „Dobro" zdefiniował jako „manifestację Światła, będącego pierwotną a zarazem ostateczną rzeczywistością". Dodał też:

„Rodzaj schorzenia, czas i osobowość są ze sobą ściśle związane. Podstawą leczenia psychicznego jest to, że odbywa się ono na płaszczyźnie, na której zarówno lekarz, jak i pacjent nie są skrępowani czasem w sensie niezmiennej kolejności wydarzeń".

Amerykański chirurg Bemie Siegel, po wielu latach pracy wśród chorych na raka, podkreśla znaczenie „fenomenalnej energii, którą można wyzwolić dzięki opanowaniu negatywnych emocji", i nazywa bezwarunkową miłość najpotężniejszym stymulatorem systemu immunologicznego. To uczucie dosłownie leczy. Brzmi to zupełnie, jak wypowiedź Sai Baby: „Wystarczy, że kultywowana jest miłość, która nie czyni różnicy między własną osobą a kimś innym". Przypomina też chrześcijańskie przykazanie: „Miłuj bliźniego jak siebie samego". (Nawiasem mówiąc, pokrywa się także z hasłem, które w 1967 roku rzucili Beatlesi: „Potrzeba ci tylko miłości"). Sprawa jest wszystkim dobrze znana - może nie?

Jeśli jednak chodzi o dowód naukowy, to nie można go uzyskać, przynajmniej w systemie, który zaprzecza wszystkiemu, co nie zgadza się z narzuconą przezeń definicją realności. Istniej ą wszelako inne systemy. Niektóre znajdują się od dawna w zasięgu naszej ręki - na przykład dawna teza, że energia witalna czy siła życiowa przenika cały świat i wszystko, co się na nim znajduje, włącznie z nami. W ostatnich stuleciach ta koncepcja była rzadziej kwestionowana na Wschodzie niż na Zachodzie.

Hindusi określają tę siłę słowem „prana" (z sanskrytu, od „pra-" czyli «przedtem» i „an" - «oddychać» lub «żyć»); dla Chińczyka jest to „ch'i", a dla mieszkańca Polinezji - „mana". Według Chińczyków to siła psychoelektryczna, pochodzenia słonecznego, objawiająca się w ciele fizycznym w postaci dwóch przeciwstawnych biegunów: yin-yang (negatywny-pozytywny). Na umiejętnej manipulacji tą siłą opiera się leczenie akupunkturą, a także chiński system jogi zwany „ch'i-kung". Podobnie jak w hinduskim systemie jogi „kundalini", celem jest wyzwolenie ch'i (za pomocą ośrodków energii znajdujących się w „ciele eterycznym"), podczas procesu oświecenia. Mogą się wówczas rozwinąć różne zdolności, między innymi moce uzdrawiające.

Nie można powiedzieć, że na Zachodzie były to sprawy całkiem nieznane. Być może korzystali z tych sił budowniczowie megalitów (wielkich budowli sakralnych, tworzonych z dużych bloków skalnych w młodszych fazach epoki kamiennej). Na średniowiecznych malowidłach postacie świętych obramowane są ognistą otoczką (aurą). Jednakże nieugięci racjonaliści potępiali podobne przekonania jako „okultystyczne wymysły". Przekonał się o tym najlepiej Mesmer, propagujący w latach osiemdziesiątych XVIII wieku tzw. magnetyzm zwierzęcy. Również baron Kari von Reichenbach dostał dobrze po głowie, gdy w 1845 roku ogłosił, że kryształy, magnesy, a także ciała-ludzkie emituj ą promieniowanie uchwytne dla osób szczególnie wrażliwych. Radiacja ta jest silniejsza u zdrowych niż u chorych. Von Reichenbach nazwał to promieniowanie „od" lub „siła odyczna" (odic force). Uczeni najpierw wykazali pewne zainteresowanie, ale wycofali się, gdy spirytualiści uczepili się tego „od" jako potwierdzenia ich własnych tez. Sto lat później Wilhelm Reich (1897-1957) zmarł w więzieniu, gdyż naraził się Komisji Żywności i Leków USA utrzymując, że jego „kabiny orgonowe" mają właściwości lecznicze. Były to „akumulatory energii" wielkości budek telefonicznych, które podobno absorbowały „orgon" (termin Reicha). Czynnik ten miał rzekomo wzmagać energię i witalność ludzkiego ciała.

Czy istnieją jakieś dowody istnienia podobnej energii? Owszem, kilka. W 1939 roku rosyjski inżynier Siemion Kirlian

zainstalował dwie metalowe płyty jako elektrody, umieścił na jednej z nich kliszę fotograficzną, pomiędzy nie włożył własną dłoń i włączył prąd. Po wywołaniu filmu zobaczono aurę (otoczkę) wokół czubków palców. Inne rodzaje tkanki organicznej dawały podobne efekty: z łodyżki dopiero co ściętego kwiatu trysnął strumień iskier; uschły liść nie spowodował żadnych błysków. Jeszcze dziwniejsze było to, że na elektrofotografia liścia, z którego oddarto kawałeczek, ukazał się on w całości: wyraźnie widczny był zarys brakującej cząstki.

U ludzi intensywność i zabarwienie owego „efektu aury" zmieniają się zależnie od nastroju. Błyski mogą także pojawiać się w tych punktach ciała, które chińska akupunktura określa jako „punkty zenitu". Dr Wiktor Iniuszyn z uniwersytetu w Ałma Acie utrzymywał, że „efekt otoczki" świadczy o istnieniu „plazmy biologicznej" - czyżby to było „ciało astralne" opisywane przez spirytystyczne media? W Instytucie Neuropsychiatrii wspomnianego już uniwersytetu kalifornijskiego UCLA sfotografowano błyski energii wykryte przez Kirliana. Iskry sypały się z palców uzdrawiaczy, których działalność dosłownie „wypompowuje" z nich energię.

Jeśli chodzi o modlitwę, Dossey nie znajduje żadnych dowodów działania jakiejkolwiek energii. „Gdyby modlitwa była energią w konwencjonalnym rozumieniu tego słowa, siła jej powinna słabnąć w miarę zwiększania się odległości, a tak się bynajmniej nie dzieje". Dodaje też, że: „gdyby to była energia, można by zastosować osłonę przed efektami jej działania - ale okazało się to niewykonalne".

Zatem „cuda" - czy nieznane, subtelnie działające siły natury? A może jedno i drugie?

Hawajscy kapłani-cudotwórcy, zwani kahunami (strażnik - lub strażniczka - tajemnicy), grupa obecnie już nie istniejąca, dokonywali podobno błyskawicznych uzdrowień, wykorzystując siłę „mana".

Czyżby dysponowali wiedzą, o której większość z nas nie ma pojęcia?

Wyjaśnienie działalności kahunów

The Secret Science of Mirades (Magia cudów), książka Maxa Freedoma Longa (amerykańskiego baptysty i psychologa, który w 1917 roku przybył na Hawaje, by nauczać innych - i został tam, by zdobywać wiedzę), głosi, że kahunom znanych jest wiele poziomów duszy. Najwyższy jest dla nas niewyobrażalny, jak powietrze dla złotej rybki. Dla celów praktycznych zdefiniowali więc trzy: - Wyższa Jaźń „Auma-kua": „duch starszy, o cechach rodzicielskich, budzący zaufanie", połączenie pierwiastka męskiego i żeńskiego, zawsze udzielający pomocy, jeśli prośba zostanie właściwie sformułowana; Jaźń Pośrednia („Uhane") - obdarzone samoświadomością „ja" - siedlisko rozumu; Niższa Jaźń („Unihipili") - żałosny, wewnętrznie skłócony, uparty, nieświadomy duch, kierujący energią ciała i będący siedliskiem pamięci.

Kahunowie utrzymywali, że Jaźni Aumakua zawdzięczają swe niezwykłe umiejętności: chodzenia po rozżarzonych węglach, przepowiadania przyszłości, rzucania klątwy oraz uzdrawiania „od ręki"wszystkich niemal chorób: raka, ran, wysokiej gorączki czy zatruć. Twierdzili jednak (podobnie jak to zaobserwowano w Lourdes), że częściej zostają uzdrowieni ci, którzy modlą się za innych, niż ci, którzy zabiegają wyłącznie o własne dobro. Uzdrowienie nie następuje, jeśli pacjenta dręczą wątpliwości albo poczucie winy („uczucie, które zżera go od środka").

Kahunowie nie byli „specjalistami od spraw nadprzyrodzonych", ale raczej „wprawiali w ruch mechanizmy boskości". Long utrzymuje, że o ile w przypadku różnych chrześcijańskich sekt, leczących modlitwą i siłami umysłu, cud zdarza się raz na milion nieudanych prób, to jeśli chodzi o kahunów, co prawda nie zawsze udaje się im uzyskać pomoc Wyższej Jaźni... ale procent uzdrowień jest nieporównywalnie wyższy".

Pewna kobieta, ceniona jako wielka kahuna, była babką żony J.A.K. Combsa, przyjaciela Longa. Podczas przyjęcia w jej domu na plaży Combs zobaczył, że pewien pijany mężczyzna zachwiał się przy wysiadaniu z samochodu wiozącego nowych gości, potknął na sypkim piasku i upadł, łamiąc lewą nogę tuż nad kostką - co samo przez się graniczyło z cudem. Widząc, że ostre końce złamanej kości niemal przebiły skórę, Combs chciał zawieźć poszkodowanego do szpitala w Honolulu, ale starsza pani wzięła sprawę w swoje ręce. Wyprostowawszy nogę rannego zaczęła wyśpiewywać jakieś zaklęcia, po czym zamilkła. Następnie przesunęła dłońmi po nodze chorego, opuściła ręce i powiedziała do niego: „Leczenie skończone. Wstań. Możesz chodzić".

Mężczyzna, który całkiem już wytrzeźwiał, podniósł się, zrobił jeden krok, potem drugi... Uzdrowienie było kompletne. Po złamaniu nie pozostało ani śladu.

Long wyciąga wniosek, że staruszka wezwała Wyższą Jaźń (Aumakua), by dokonała uzdrowienia, wykorzystując

„niezwykłą energię witalną, czyli mana". Wyższa Jaźń przeniknęła do nie uszkodzonego „aka" pacjenta (czyli cienia jego ciała; jest to jego eteryczne odbicie lub morficzne pole duchowe, będące motorem ciała fizycznego). Aumakua spowodowała roztopienie się strzaskanych kości i rozdartych tkanek w aka, będącym „prototypem duchowym" ciała, i dzięki temu złamana kończyna stała się z powrotem zdrowa. W uzdrowieniu pewną rolę odegrała też regulacja temperatury, którą wywołała modlitwa do Wyższej Jaźni - podobnie jak w przypadku chodzenia po rozżarzonych węglach. Long dodaje, że także dusze zmarłych często udzielają pomocy w procesie uzdrawiania - wspominają o tym również „duchowi uzdrowiciele" z innych zakątków świata.

Biolog Rupert Sheidrake sugerował, iż forma, rozwój i zachowanie żywych organizmów kształtują się pod wpływem - jak to określił - „pól morfogenicznych". Przenoszą one formy i zachowania za pomocą ich powtórzeń w czasie i przestrzeni, drogą tzw. *rezonansu morficznego.* Czyżby znów mana?

Proces, który Combs miał podobno oglądać na własne oczy, przypomina z opisu odzyskiwanie skasowanego pliku komputerowego: zawsze można wykorzystać plik rezerwowy, nawet jeśli roboczy jest uszkodzony.

Zdumiewające, że akceptujemy komputery, a nie cuda, choć mało kto z nas zna się na jednym i na drugim. Dlaczego tak się dzieje? Bo komputery istnieją, a cudów nie ma? Czy też dlatego, że wierzymy święcie w to, w co nam każą wierzyć autorytety, zwyczaje i tak dalej? „Niemal wszyscy ludzie w każdej z epok byli podatni na hipnozę - stwierdził Charles Fort. - Ich przekonania zostały im narzucone". W obecnej dobie towarzyszy nam nieustannie słowo „elektronika" - w średniowieczu słyszało się ciągle o cudach. Być może zresztą jesteśmy tak sceptycznie do nich nastawieni, gdyż znajdujemy się nadal pod wielkim - historycznym i społecznym wpływem osoby, która od dwóch tysięcy lat uznawana jest na Zachodzie za jedynego prawdziwego reprezentanta potęg kosmicznych, z którym nikt nie może się równać. Mam na myśli Chrystusa.

Od Hipokratesa do „świętych kości"

Słowo „miraculum" (cud) nie pojawia się w Wulgacie, łacińskim przekładzie Nowego Testamentu. Cudowne uzdrowienia i inne niezwykłe wydarzenia określono tam jako „signum" (znak), „virtus" (doskonały czyn) lub „prodigium" (cudowne wydarzenie). W Starym Testamencie to słowo pojawia się tylko dziewięć razy i oznacza coś budzącego przerażenie, lęk lub grozę. Dlaczego tak jest? Ponieważ starożytni Żydzi widzieli w swym Jahwe raczej groźnego zwierzchnika niż kogoś, kto uzdrawia i wskrzesza. Jeśli Izrael zgrzeszył, Jahwe nie żałował plag, epidemii, ani „wycieńczenia i gorączki, które wyniszczają oczy i trawią życie" (Księga Kapłańska - III Mojż. -26, 16).

Jednak modły wznoszone do Pana (w połączeniu z medycyną ludową) niekiedy skutkowały. Modlitwa plus placek z fig uleczyła króla Hiskiasza z wrzodu (2 Król. 2, 1-11). Naaman Syryjczyk zostaje oczyszczony z trądu, gdy wzywa Jahwe, zanurzając się siedmiokrotnie w Jordanie (2 Król. 5, 1-14). Izraelici ukąszeni przez węże podczas tułaczki po opuszczeniu Egiptu odzyskują zdrowie spojrzawszy na miedzianego węża, wywyższonego na rozkaz Jahwe - Księga Liczb - IV Mojż. 21,8.

W pozostałych krajach starożytnego świata wiara w cuda była zjawiskiem powszechnym. Kiedy dzięki staraniom św. Pawła chrześcijaństwo dotarło do Rzymu, wielu uznało, że nie ma w nim nic nowego. Jezus był po prostu jednym z wielu czarowników. Urodził się z dziewicy? A niby jak egipska bogini Izyda wydała na świat Horusa? Zmartwychwstał? Adonis, Attar, Ozyrys i cała plejada innych bóstw umierała i ożywała, w dodatku regularnie co roku. Wskrzeszał zmarłych? Mamy naśladownictwo Eskulapa i Apoloniusza z Tyany. Jeśli zaś chodzi o uzdrawianie chorych, to cóż Jezus zrobił takiego, czego by nie dokonał pięć wieków przed nim Hipokrates?

Hipokrates w dodatku objaśnił swe poczynania na piśmie:

Wśród doświadczonych lekarzy panuje przekonanie, że ciepło, emanujące z dłoni przyłożonej do ciała chorego, ma wielką siłę uzdrawiającą... Zajmując się moimi pacjentami, często miałem 'wrażenie, iż moje ręce obdarzone są szczególną zdolnością usuwania bólu lub szkodliwych zanieczyszczeń z cierpiących członków. Dokonywałem tego kładąc dłoń na chorym miejscu lub wyciągając palce w jego kierunku. Również niektórzy mędrcy zdają sobie z tego sprawą, że można tchnąć w chorego zdrowie za pomocą określonych gestów lub przez dotyk podobnie jak mogą w ten sposób przenieść się pewne choroby z jednej osoby na drugą.

Hipokrates powtarzał jedynie boskie nauki Eskulapa, którego „świątynie zdrowia" wyrastały jak grzyby po deszczu w całej Grecji. W dodatku jeszcze sam Platon gromił lekarzy, traktujących ciało, jakby było niezależne od ducha, i cytował swego

mistrza Sokratesa: „Jeśli głowa i ciało mają być zdrowe, musisz zacząć od uleczenia duszy: to jest sprawa pierwszej wagi".

Jezus jednak podobno uzdrawiał chorych nie tylko przez nałożenie rąk (co zazwyczaj uchodziło za sprawę zasadniczą), lecz przez pomazanie ich śliną, a nawet leczył na odległość. Ta działalność często bardzo go wyczerpywała, gdy zaś odwiedził miasto, w którym się wychował (Nazaret), niedowiarstwo mieszkańców sprawiło, że nie mógł wyświadczyć im dobra. Mówiono również, iż przekazał swoją moc uczniom. Powiedział nawet, iż każdy mógłby dokonywać cudów. „Kto we mnie wierzy, będzie także dokonywał tych dzieł, których ja dokonuję, owszem, i większe od tych uczyni, boja idę do Ojca. A o cokolwiek prosić będziecie w imię moje, to uczynię" (Ew. Jana 14, 12-13).

To właśnie miało decydujące znaczenie. Nie chodziło jedynie o to, że bez cudów chrześcijaństwo nie mogłoby w żaden sposób zyskać statusu religii panującej w Imperium Romanum, potem zaś, w początkach średniowiecza, pełnić roli strażnika wszelkich zachowanych na piśmie dzieł z zakresu nauk ścisłych, filozofii i historii. Powszechna wiara w cuda zastąpiła początkowe dyskusje nad tym, kim lub czym był w gruncie rzeczy Jezus. Kościół rzymski mógł doprowadzić do zamknięcia pogańskich świątyń, ale nie był w stanie wykorzenić pogańskich wierzeń. Żeby zapewnić sobie powszechną uległość, utrzymać w swej owczarni nawróconych pogan, musiał zaakceptować wiarę w cuda i opowieści o niezwykłych wydarzeniach, a także wiarę w moc uzdrawiającą świętych relikwii - przedmiotów lub szczątków kojarzonych z osobą Chrystusa lub tych, którym przekazał swój dar łaski, swoją „mana". Tak więc wiara w magię wzięła górę - zgodnie z ogólnym życzeniem - i gdy chrześcijaństwo stało się już religią oficjalną (w 313 roku n.e)., Kościół zaczął czerpać zyski z tego zapotrzebowania na cuda.

Na „świętych kościach" można było zrobić doskonały interes! Panowało przekonanie, że moc czynienia cudów nie ginie wraz ze śmiercią świętego, lecz jego ciało zachowuje ją nadal, a wierni mogą z niej korzystać. Każda cząstka jego ciała była obdarzona równie potężną mocą jak niegdyś on sam. Ta cudowna właściwość przenosiła się (zupełnie jak „mana") na przedmioty, z którymi zmarły miał kontakt za życia, a nawet na wszystko, czego później dotknęły jego relikwie.

„Wszystkie te martwe przedmioty, przepojone podobno niezwykłą żywotną siłą - zwłoki, kości, włosy i zęby, odzież, księgi, sprzęty, narzędzia tortur, całuny, trumny i - jeśli ciało zostało spalone - pozostałe z niego popioły - nosiły czcigodne miano „relikwii" i przypisywano im cudowną moc, która niegdyś przepełniała ich posiadaczy".

W IX wieku zapotrzebowanie na nie było tak wielkie, że w Rzymie powstała korporacja mająca wyszukiwać, sprzedawać i rozwozić „święte kości" i inne pamiątki po całej Europie. Oszustwa szerzyły się nieprawdopodobnie. Plądrowano katakumby. Głowy św. Jana Chrzciciela mnożyły się jak u mitycznej Hydry; ząb św. Piotra odnaleziono w grobie tego apostoła sześć wieków po jego śmierci. Zdewastowano cały cmentarz, by dostarczyć do pewnego klasztoru relikwie św. Urszuli i złączonych z nią męczeństwem rzekomych „li tysięcy dziewic" (rzymskie Xi odczytano pomyłkowo jako 11 000). Wiele spośród tych kości należało do mężczyzn, ale to „nie umniejszało ich cudotwórczych właściwości".

Sześć kościołów szczyciło się posiadaniem napletka Chrystusa. W innych znajdowały się jego powijaki, siano ze żłobka, łyżeczka do karmienia i talerzyk Dzieciątka Jezus, jego mleczne zęby, pierwsze włoski, dary przekazane przez Trzech Króli i inne pożyteczne przedmioty. Gwoździ i kawałków drewna z samego Krzyża znaleziono tak wiele, że podobno można by z nich było zbudować cały statek.

No i zdarzały się cuda... dosłownie wszędzie. Ludzie ich potrzebowali - niezbędny był promyk nadziei rozjaśniający mroki codziennego, nędznego bytowania.

Wiek cudów

Gdy pewnego dnia nad rzeką, w pobliżu której obozował, święty Beuno usłyszał głosy Saksonów, schronił się na zachodzie, w Walii. (Wydarzyło się to około 600 roku n.e.). Postawił tam kościół na ziemi należącej do Temica, syna Eiludda. Chcąc wysłuchać kazania świętego, Temic i jego żona opuścili dom, pozostawiając w nim swą córkę Winifredę. W pobliżu pojawił się akurat rozpustny wojownik Caradog, panna jednak uciekła przed jego zalotami. Rozwścieczony ścigał ją aż do kościoła, tam zaś - w gwałtownym przypływie testosteronu - ściął jej głowę. Św. Beuno rzucił na mordercę tak potężną klątwę, że ten „stopniał i zamienił się w kałużę wody". Przytknąwszy głowę Wenifredy do jej ciała, święty polecił opłakującym córkę rodzicom: „Uciszcie się na chwilę i zostawcie ją w spokoju, póki msza nie dobiegnie końca". Wówczas zaś dziewica ożyła i podniosła się, a tam, gdzie jej krew zbroczyła ziemię, wytrysło lecznicze „źródło Winifredy".

We wnętrzu pogańskich studzien, gdzie biły wróżebne i uzdrawiające źródła, niejednokrotnie znajdowały się głowy ludzi, których złożono na ofiarę ich bóstwom - podobnie jak dziś wrzuca się pieniążki do „cudownych", zbiorników wodnych, żeby spełniła się dobra wróżba zapewniając szczęście. Tak zrodziła się opowieść o ścięciu głowy i wytryśnięciu wody. Kościół

usankcjonował legendę, odcisnąwszy na niej znak krzyża - i zaliczył ją na własne konto. Pogańskie, uzdrawiające źródła biły we Francji tam, gdzie stoją dziś katedry w Chartres, Sangres i Nimes, a w Brytanii - katedra w Carlisle, York, Glastonbury oraz w innych miejscowościach. (Czy w Studni Kielicha - Chalice Well - nie spoczywa przypadkiem święty Graal?). Woda źródlana z Liandeilo Liwydarth wypita z czaszki św. Teilo leczy podobno koklusz. Gałęzie zwisające nad szkocką „Studnią łatek" - w pobliżu Muniochy, Ross i Cromarty - pełne są strzępków materiału, pozostawianych tam przez liczących na uzdrowienie chorych. W latach osiemdziesiątych naszego wieku obliczono, iż owych łatek jest ponad pięćdziesiąt tysięcy. Ponieważ zaś miejscowa legenda głosi, że próba usunięcia takiej łatki zakończy się ściągnięciem na siebie choroby tego, kto ją zawiesił - strzępki wiszą tam aż do całkowitego zbutwienia. Któż by miał odwagę sprawdzać na własnej skórze prawdziwość lokalnych wierzeń?

W średniowieczu nie przestrzegano podstawowych zasad higieny. Budowano katedry, ale nie zawracano sobie głowy kanalizacją. (Teraz jest dokładnie na odwrót). Bardzo ceniono wodę, w której obmyte zostały zwłoki jakiegoś świętego. W średniowiecznej Anglii na pierwszym miejscu znajdowała się „woda Becketa", zwana też „kanterberyjską", którą rzekomo zabarwiła krew arcybiskupa Anglii, Tomasza Becketa, zamordowanego w katedrze w Canterbury w 1170 roku. Świątynie w całym kraju robiły świetne interesy, sprzedając lokalną „cudowną wodę" w produkowanych na miejscu pojemniczkach.

Dziś, jeżeli nie jesteście w stanie udać się do Lourdes i zaopatrzyć tam w wodę z uzdrawiającego źródła, możecie zamówić ją przez pocztę. W Stanach Zjednoczonych za jedne dwanaście dolarów księża misjonarze z zakonu pod wezwaniem Niepokalanego Poczęcia w Belleville (w stanie Illinois) prześlą wam tę wodę w plastikowym pojemniczku (ozdobionym płaskorzeźbą przedstawiającą Naszą Panią z Lourdes), a ponadto „świecę z medalikiem", zawierającym „wosk ze świec palących się przed świętą grotą".

Jesus Chain Simon, właściciel rancza w Tlacote w Meksyku, utrzymuje, że źródlana woda z jego studni leczy wszelkie choroby, nawet AIDS. Twierdząc, że lecznicza moc jego wody ciągle rośnie, ranczer sprzedaje ją po okazyjnej cenie dwustu dolarów za pół litra.

„Plus ca change" (Coraz więcej zmian). Podczas gdy we wczesnym średniowieczu misja uzdrowicielska Kościoła sprowadzała się do powierzchownego rytuału (ściąganie dziesięciny miało o wiele większe znaczenie!), powszechna wiara w moc relikwii ciągle rosła. W Anglii pomiędzy rokiem 1066 a 1300 wydarzyło się ponad trzy tysiące cudów. Przeważnie były to uzdrowienia, które przypisywano mniej więcej dwudziestu zmarłym świętym. Wierzący w cudowną moc Tomasza Becketa utrzymywali, że przywrócił on zdrowie ponad pięciuset osobom. Wiele z uzdrowień miało charakter czasowy; wielu chorych odwiedziło też poprzednio inne świątynie (albo korzystało z porad lekarzy i znachorów), zanim w końcu odzyskało zdrowie. Ważną rolę odgrywał również czynnik psychologiczny, podobnie jak podczas zgromadzeń ewangelizacyjnych w obecnej dobie. Wielu pielgrzymów (na przykład kulawa dziewczyna z Canterbury, uzdrowiona przy grobie Becketa), zanim udało się do któregoś z cudownych przybytków, słyszało już o cudach, które się tam wydarzyły. Żarliwa nadzieja na wyleczenie, rozpłomieniona jeszcze emocjami zgromadzonego tłumu, powodowała gwałtowny wzrost endorfin. Wszelki ból znikał na pewien czas, chromi i kulawi odrzucali szczudła - po to tylko, żeby później, gdy emocje opadły, zdać sobie sprawę, iż w rzeczywistości w stanie ich zdrowia nie nastąpiła żadna wyraźna poprawa. Poza tym podobne zgromadzenia mogły okazać się niebezpieczne. Wielkie tłumy, stłoczone wewnątrz świątyni, w której wystawiano święte relikwie, ogarniała nagle histeria - i mogło nawet dojść do wypadków śmiertelnych, jak to miało miejsce w Brazylii w kwietniu 1976 roku: dwadzieścia jeden osób stratowano, gdy wszyscy zaczęli się pchać, by powitać sławnego uzdrowiciela.

Jeden dobrze rozreklamowany cud mógł ugruntować sławę średniowiecznej świątyni - zupełnie tak samo jak dziś, gdy miliony wiedzionych nadzieją napływają do Lourdes, Medjugorje czy Gwadelupy. Także sceptyczna postawa wobec cudów nie jest niczym nowym. Matka i bracia niewidomej dziewczyny z Gloucester, która oświadczyła, że Najświętsza Panna poleciła jej udać się z pielgrzymką do grobu św. Wulfstana, nie uwierzyli jej i wyśmiewali się, powtarzając „Sicut concupisti, ita sompniasti": To ci się przyśniło, czegoś pragnęła".

Jednak przedstawiciele duchowieństwa nie mogli otwarcie powątpiewać w działanie relikwii. Dysponowanie takimi, które uważano za „mocne", gwarantowało regularny przypływ dziesięciny od wiernych, a poza tym zapewniało inne pokaźne zyski. Walijski kronikarz Giraldus Cambrensis (około 1146-1230) wymienia przypominającą kształtem krzyż, pozłacaną laskę Curiga, jednego z pierwszych misjonarzy. Przechowywano ją w kościele św. Ramiona w Powys. Dotknięcie tą laską miało leczyć obrzmienia gruczołów i guzowate obrzęki. Opłata za przytknięcie laski do obolałego miejsca wynosiła pensa - a więc była dość wygórowana. Opowiadano o jednym pacjencie, który próbował wymigać się płacąc pół pensa, że został tylko połowicznie wyleczony: „opuchlizna opadła jedynie pośrodku".

Biorąc pod uwagę olbrzymie zapotrzebowanie na „święte kości", duchowni, którzy istotnie mogli świecić przykładem cnotliwego życia, zdawali sobie bez wątpienia sprawę, co stanie się z ich ciałem, gdy wyzioną ducha. „Tomasz z Akwinu, spoczywając na łożu śmierci w Fossanova i rozważając swój ostatni sylogizm, nie mógł nie dostrzec spojrzeń, którymi zgromadzeni obrzucali jego ciało, myśląc, jaką wspaniałą relikwią stanie się lada chwila".

Czasy się jednak zmieniły. Imperium Romanum zagarnęło zbrojnie większość północnej i zachodniej Europy. Mniej więcej tysiąc pięćset lat później Kościół rzymskokatolicki utracił większość tych terenów. Jednak - mimo że władała tam teraz nowa, nieco ograniczona w swej jednokierunkowości potęga, zwana Rozumem, nie wygasła w tych rejonach potrzeba cudów.

„Naturalne" kontra „nadprzyrodzone"

Starając się „usunąć z religii elementy magiczne... i zaprzestać usiłowań, mających na celu obdarzanie przedmiotów cechami nadprzyrodzonymi", XVI-wieczni protestanccy radykałowie - od Szwajcarii po Szkocję - zaprzeczali wszystkim katolickim cudom, uznając je za oszustwo lub szatańskie omamy. Orzekli, że z cudami koniec - ale „na czary jest równie wielkie zapotrzebowanie jak na medycynę - stwierdził William Perkins w 1608 roku, to jest w siedemdziesiąt lat po tak zwanej angielskiej reformacji i w ciężkiej potrzebie ludzie częściej zwracają się do czarowników niż do lekarzy".

Gdy jednak głowa króla Karola spadła na szafocie w 1649 roku, można było się spodziewać, że triumfujący, racjonalny protestantyzm ostatecznie zdławi zabobony i cuda. Nic podobnego! Najwięksi ekstremiści spośród zwycięzców wkrótce sami zaczęli utrzymywać, iż obdarzeni są niezwykłymi mocami. Charyzmatyczne sekty, obiecujące swoim wyznawcom cuda (podobne do dzisiejszych grup „zrodzonych na nowo"), pieniły się wszędzie. Baptyści powoływali się na rzekome prawo do uzdrawiania, cytując fragment listu św. Jakuba (rozdz. 5, wiek 14): „Choruje ktoś wśród was? Niech sprowadzi kapłanów Kościoła, by modlili się nad nim i namaścili go olejem w imię Pana". Kaznodzieja John Robins podobno wskrzeszał zmarłych; w 1656 roku James Nyler rzekomo przywrócił do życia wdowę Dorcas Erbury, zmarłą w więzieniu w Exeter. Ponad sto pięćdziesiąt cudownych uzdrowień przypisywano przywódcy ruchu kwakrów, George'owi Foxowi. Zostawił on po sobie Book ofMirades (Księgę cudów), którą napisał dla pouczenia swych zwolenników. Wielu uzdrowień dokonał w atmosferze masowej histerii, która być może potęgowała przypływ „many".

Inni uzdrowiciele nie utrzymywali, że ich niezwykłe zdolności są darem od Boga, toteż byli bardziej narażeni na ciosy przeciwników. Urodzony w 1628 roku Valentine Greatrakes otrzymał przydomek „Głaskacza", gdyż wykonywał dłońmi ruchy przypominające głaskanie. Specjalnością jego było uzdrawianie skrofułów, choć z trudem znosił widok odrażających schorzeń. Napisał o uzdrowieniu niejakiej Margaret McShane: „Moje dłonie oczyściły guzy i zasklepiły rany, których widok i odór dawniej przyprawiłyby mnie o nieuchronne mdłości - tak wielka była moja wrodzona awersja do wszelkich uszkodzeń ciała". Nie przyjmował od pacjentów pieniędzy ani podarków, nie przybierał żadnych póz cudotwórcy i przyznawał się do nieudanych kuracji. Jego działalność została przebadana przez Roberta Boyle i Królewskie Towarzystwo. Wyszedł z tego względnie cało - otrzymał jedynie kościelną naganę. Być może skończyło się tak, gdyż był człowiekiem zamożnym, albo z tej racji, że zaprzestał swej działalności po roku 1667 lub dlatego po prostu, że był mężczyzną. Dziewięć czarownic praktykujących „białą magię" nie miało tyle szczęścia - skazano je na śmierć w środkowej Anglii, gdy nie zdołały wyleczyć epileptyka.

W swej książce *Primitive Physic* (Prymitywna medycyna), opublikowanej w 1748 roku, John Wesley, charyzmatyczny założyciel Kościoła metodystów, zaatakował lekarzy, „którzy przepisują jeden lek za drugim, nie znając się wcale na tym, co leży u podłoża choroby", i zapytywał (podobnie jak niegdyś Platon), dlaczego lekarze zaprzeczają temu, iż „cielesne zaburzenia są w bardzo wysokim stopniu wywołane stanem umysłu i zależne od niego?". Podczas kazań Wesleya zdarzały się spontaniczne uzdrowienia, on zaś zapewniał, iż „ Miłość Boża stanowi podstawowy lek na wszelkie cierpienia. Szczególnie skutecznie zaś zapobiega cielesnym dolegliwościom, których przyczyną są namiętności - gdyż pomaga utrzymać owe żądze w należytych ryzach".

Przez ten czas zaszły również zmiany w Kościele rzymskokatolickim. W swym dziele *De canonizatione* Prosper Lambertini (późniejszy papież Benedykt XIV) skodyfikował nowe kryteria, pozwalające ustalić, czy i kiedy uzdrowienie ma rzeczywiście cechy boskiej interwencji, a zatem jest cudem. Przedstawiają się one następująco:

1. Kalectwo lub choroba muszą być poważne;
2. Stan pacjenta nie uległ poprawie tuż przed uzdrowieniem, ani też nie jest to dolegliwość pozwalająca żywić nadzieję na

normalne wyleczenie;
3. Pacjent w chwili owego uzdrowienia nie był poddawany żadnemu tradycyjnemu leczeniu;
4. Uzdrowienie powinno nastąpić w sposób nagły i zaskakujący;
5. Poprawa zdrowia musi być całkowita;
6. Uzdrowienie nie może zbiec się w czasie z okresem kryzysu wynikającego z przyczyn naturalnych, który mógłby mieć wpływ na pacjenta lub chorobę;
7. Uzdrowienie musi mieć charakter trwały".

Jednak nie tak znów wiele się zmieniło. W latach siedemdziesiątych XVIII wieku austriacki ksiądz katolicki, Johann Josef Gassner (ur. w 1727 roku) dokonywał masowych uzdrowień, lecząc miesięcznie około dwóch tysięcy osób. Wielu uczestników tych zgromadzeń wpadało w trans, dostawało ataków histerii albo konwulsji. Utrzymując, że źródłem wszelkich chorób jest opętanie przez złe moce, ksiądz Gassner opracował własną wersję egzorcyzmów i przypisywał uzdrowienia Boskiej interwencji i mocy jego własnej chrześcijańskiej wiary. Choć Kościół zabronił mu uzdrawiania, osiągnięcia Gassnera stały się wyzwaniem dla tzw. scjentystów. Zainteresował się nimi m. in. jezuita, o. Maximilian Hehl (noszący doprawdy odpowiednie do swych zamiłowań nazwisko - „Tajemnica"!). Wykładał on astronomię na uniwersytecie w Wiedniu.

Hehl doszedł do wniosku, iż źródłem niezwykłych mocy Gassnera jest zapewne magnetyzm. Z pracami naukowymi samego Hebla zdążył się tymczasem zapoznać inny Austriak - Friedrich Anton Mesmer.

Mesmeryzm i hipnotyzerzy

Mesmer urodził się w Konstancji nad Jeziorem Bodeńskim w 1733 roku i studiował magnetyzm w Wiedniu. W swej pracy doktorskiej De planetarum inflwcu (O wpływie planet) zakładał istnienie duchowego eteru (znowu „mana"!) wypełniającego przestrzeń kosmiczną. Przyciąganie planet powoduje według Mesmera przypływy i odpływy tego „fluidu", który - podobnie jak magnetyzm - przepływa przez świat i przez nasze ciała. Swobodny ruch tych przypływów i odpływów w ciele zapewnia zdrowie; jego zahamowanie powoduje chorobę. Zapożyczywszy od Hehla zwyczaj badania pacjentów za pomocą magnesów, Mesmer wyciągnął wniosek, że ludzkie ciało samo jest magnesem, chorobę powoduje „stagnacja fluidu", a leczenie opiera się na jego ożywieniu dzięki wpływom magnetycznym. Jednak pacjenci Mesmera ciągle dostawali konwulsji lub wpadali w trans. Jaka była tego przyczyna?

Usłyszawszy o uzdrowieniach dokonywanych przez Gassnera, Mesmer zauważył podobieństwa i doszedł do wniosku, że jego sukcesy są rezultatem „zwierzęcego magnetyzmu", nie zaś boskiej interwencji. Odkrył również możliwość leczenia bez pomocy magnesów, przekazując bezpośrednio swoją energię przez nakładanie rąk lub za pomocą żelaznych prętów czy pałeczek, przenoszących ożywczy fluid. Tłumnie zbiegały się do niego zwłaszcza damy. Popularność Mesmera przyczyniła się do zerwania z Heblem i konfliktu z wiedeńskimi władzami medycznymi. Przeniósłszy się w 1778 roku do Paryża, Mesmer odkrył nową metodę leczenia. Z kadzi napełnionej roztworem kwasu siarkowego wystawały namagnetyzowane, żelazne pręty - jego pacjenci ściskali je w ręku. Wynikiem były niezliczone ataki konwulsji i histerii, w kilku przypadkach kuracja jednak poskutkowała. Mimo to moraliści nie posiadali się z oburzenia. Kontakt cielesny?! Mesmer orzekł, że jest on niezbędny dla rozprzestrzeniania się magnetyzmu zwierzęcego. Oponenci knuli intrygi przeciwko niemu i w 1784 roku Ludwik XVI polecił Akademii Nauk i Akademii Medycznej zbadać istotę mesmeryzmu. Chociaż sędziowie Mesmera przyznali, iż „nie da się zaprzeczyć, działaniu jakichś potężnych sił i wywieraniu wpływu na pacjentów, a źródłem owych mocy wydaje się osoba magnetyzera", orzekli jednak, że dokonane przezeń uzdrowienia były skutkiem „sugestii", potępili Mesmera jako oszusta i zażądali wykluczenia z Akademii tych członków, którzy byli zwolennikami „zwierzęcego magnetyzmu". Kiedy w 1789 roku wybuchła rewolucja, Mesmer uciekł do Wiednia. W 1793 roku został oskarżony o szpiegostwo na rzecz Francji. Spędził dwa miesiące w więzieniu. Zupełnie załamany powrócił do rodzinnej Konstancji nad Jezioro Bodeńskie; tam też zmarł w 1815 roku. Mesmer padł ofiarą rozgrywek w świecie naukowym, jak wielu przed nim i po nim.

W tym samym roku, gdy Mesmera potępiono w Paryżu, jego uczeń, markiz Chastenet de Puysegur, niechcący dokonał kolejnego odkrycia. 4 maja 1784 roku „zamagnetyzował" chorego imieniem Victor. Zamiast dostać ataku konwulsji, pacjent wpadł w rodzaj lunatycznego transu. Był w stanie swobodnie się poruszać, wykonywać głośno wypowiedziane polecenia Puysegura, a nawet rozkazy wydane jedynie w myśli! Nucąc w duchu jakąś piosenkę Puysegur zauważył że zdumieniem, że Victor wybija takt!

„Linia demarkacyjna pomiędzy jawą i uśpieniem - napisał później Puysegur, relacjonując podobne przypadki - jest tak wyraźna, że te dwa stany można by określić jako dwie niezależne od siebie egzystencje. Zauważyłem, iż pacjenci w stanie magnetycznym zachowują jasną pamięć wszystkich swoich poczynań na jawie; jednak w normalnym stanie nie pamiętaj ą niczego, co wydarzyło się, gdy byli zamagnetyzowani".

Widząc pacjentów w transie reagujących na milczące znaki Puysegura (nawet gdy byli odwróceni od niego plecami), botanik Laurent de Jussieu musiał przyznać, że „magnetyczny fluid" rzeczywiście istnieje. Inni jednak woleli zamknąć oczy na te zbyt niepokojące implikacje. Niektóre uboczne efekty mesmeryzmu (jasnowidzenie, telepatia, zdolności medialne) zostały odnotowane jako „bardziej złożone fenomeny". Do niedowiarków zaliczał się Szkot nazwiskiem James Braid. Starając się udowodnić, iż zwierzęcy magnetyzm to zwykłe oszustwo - wkrótce po tym, jak pewien paryżanin, monsieur Hamard, oświadczył w 1836 roku, że „magnetyzowanie" umożliwia bezbolesne usuwanie zębów - Braid nieoczekiwanie sam „nawrócił się na magnetyzm"! Wymyśliwszy nowy termin „neurohipnotyzm" (od greckiego słowa „hyp-nos" - sen), Braid sam popadł w tarapaty, choć utrzymywał, jakby trans był czysto fizjologiczną reakcją, którą można wywołać każąc pacjentowi wpatrywać się w bardzo jasne światło albo stosując jedynie sugestię słowną. Jakim cudem jednak osoby zahipnotyzowane potrafiły opisać przedmioty znajdujące się za ich plecami, Braid nie miał pojęcia. Dla tradycyjnej nauki podobne anomalie były niewygodne, należało więc zaprzeczać ich istnieniu - zwłaszcza gdy po roku 1850 nastąpił istny potop rozmaitych trendów okultystycznych i magicznych: spirytualizm, spirytyzm, teozofia, Christian Science (istniejąca do dziś organizacja religijna, uznająca m.in., że choroby należy leczyć jedynie wiarą) i tak dalej. Należało też bronić twierdzy Rozumu przed tym, co Zygmunt Freud, twórca psychoanalizy, nazwał „zalewem czarnego błota okul-tyzmu". Jednak on sam, broniąc własnej teorii o istnieniu indywidualnej podświadomości, irracjonalnej i podatnej na sugestie, niezbyt przysłużył się racjonalistom.

Na przełomie XIX i XX wieku francuski student farmacji, Emile Coue, zdumiał się wielce, gdy pewien pacjent wyzdrowiał z ciężkiej choroby jedynie dzięki zażywaniu (za jego zresztą poradą) pewnego patentowanego leku. Po dokonaniu jego analizy przekonał się, że jest to nieszkodliwa, ale pozbawiona jakichkolwiek właściwości leczniczych mieszanka. Doszedłszy do wniosku, iż jego poprzedni entuzjastyczny stosunek do preparatu udzielił się pacjentowi i umożliwił mu pokonanie choroby, Coue w 1910 roku założył klinikę w Nancy, gdzie leczył za pomocą „autosugestii", posługując się sloganem „każdego dnia i pod każdym względem czuję się lepiej i lepiej".

Równie trudna do rozszyfrowania była działalność uzdrawiających w transie, którzy utrzymywali, że potrafią diagnozować i leczyć na odległość. W latach pięćdziesiątych XIX wieku Jackson Davis, „Jasnowidz z Poughkeepsie", najpierw korzystając z pomocy magnetyzera, potem już samodzielnie zapadał w trans, podczas którego podawał sposób leczenia choroby. Bardziej znany jest Edward Cayce (1877-1945), „Śpiący Jasnowidz", który podobno wpadłszy w trans nie tylko stawiał diagnozę na odległość, dysponując jedynie nazwiskami i adresami pacjentów, ale potrafił także opisać ich dotychczasowe życie. Jeszcze bardziej niepokojące były jego przepowiednie przyszłych kataklizmów, między innym wielkiego trzęsienia ziemi w Kalifornii, zatopienia Nowego Jorku i Japonii oraz zmiany linii brzegowej północnej Europy. Miało się to wydarzyć „w mgnieniu oka".

Dzisiaj, choć nadal trwa spór co do pewnych metod stosowania hipnozy (na przykład wywoływania rzekomych wspomnień dotyczących poprzednich wcieleń, uprowadzeń przez UFO albo przemocy seksualnej doznanej w dzieciństwie), jest ona oficjalnie stosowana w celu zintensyfikowania pamięci, dla ułatwienia nauki, poprawienia własnej opinii o sobie i wzmożenia aktywności. Metodę tę stosuje się także w leczeniu chorób fizycznych i psychicznych. W latach siedemdziesiątych naszego wieku Alberto Marinacci z Uniwersytetu Kalifornijskiego zaczął odwoływać się bezpośrednio do podświadomości sparaliżowanych pacjentów za pomocą hipnozy oraz biologicznych sprzężeń zwrotnych, w celu pobudzenia nieczynnych mięśni. Maurice Sterman, pracownik Szpitala dla Weteranów w Los Angeles, stosował podobne metody, by nauczyć epileptyków dostrzegania objawów zbliżającego się ataku i zapobiegania im.

Jeśli czynimy taki użytek z hipnozy - komentuje Lyall Watson - można by pomyśleć, że tzw. leczenie - wiarą sprowadza się jedynie do „włączania i wyłączania" sił witalnych każdego człowieka. Istnieją jednak dowody na to, iż niektórzy uzdrawiający są ludźmi obdarzonymi niezwykłą mocą, którą mogą przenosić na innych.

Czy można jednak wymierzyć ową moc i sprawdzić jej działanie?

Uzdrawianie (meta)fizyczne

W latach sześćdziesiątych XX wieku Bernard Grad z Uniwersytetu McGilla w Montrealu badał naturę duchowego uzdrawiania wraz z Oskarem Estebanym, węgierskim emerytowanym oficerem. Utrzymywał on, że potrafi usuwać ból i

leczyć dolegliwości przez nakładanie rak. Grad sztucznie wywołał wole u myszy, podając im karmę bez zawartości jodu. Poproszono następnie Estebany'ego, by przez piętnaście minut dziennie „leczył" grupę kontrolną, trzymając w ręku klatki z myszami. Powtarzało się to pięć dni w każdym tygodniu. Estebany koncentrował się wówczas myślowo na myszach. Po kilku tygodniach było już jasne: myszy, którymi opiekował się, miały wole słabiej rozwinięte niż pozostałe zwierzęta. Również chirurgiczne okaleczenia goiły się szybciej u myszy, którymi się zajmował. Kolejny test (być może z punktu widzenia etyki bardziej dopuszczalny?) polegał na tym, że podlewano jęczmień roztworem „wzbogacanym duchowo" przez Estebany'ego, trzymającego w ręce butelkę. Z tych nasion wyrosły rośliny bujniejsze i wyższe niż z ziaren „pozostawionych samym sobie". Mimo że płyn, którym je podlewano, był jednoprocentowym roztworem soli kuchennej i powinien był zahamować ich wzrost.

Po dalszych eksperymentach (niektóre z nich wykazały, iż jedni ludzie mogli przyspieszyć wzrost lub uzdrawiać, inni natomiast wyraźnie spowalniali te procesy) w marcu 1974 roku Grad złożył sprawozdanie z przeprowadzonych doświadczeń w Amerykańskim Towarzystwie Badań Metapsychicznych w Nowym Jorku. Zaprzeczał, jakoby zdolności uzdrawiające były szczególnym przywilejem grupki niezwykłych osobników, twierdził, że większość - a może i każdy - z nas jest w stanie ukierunkować uniwersalną energię życiową i wykorzystać ją w celu przywrócenia komuś zdrowia.

Znowu zatem wróciliśmy do „many". Przypomina to pogląd Longa (przejęty od kahunów), że „sugestia jest po prostu przeniesieniem sił witalnych z jednej osoby na drugą". Innymi słowy: „Kiedy mamy w ciele większy zasób siły życiowej niż jakaś inna osoba, kładziemy na niej ręce, aktem woli przekazując jej naszą siłę życiową; w tym momencie rozpoczyna się przepływ".

Współpracując w Uniwersytecie Kalifornijskim z izraelskim uzdrowicielem Yehu-dą Iskiem, Thelma Moss doszła do wniosku, że - choć ręka każdego człowieka na elektrofotografii wykazuje otaczającą ją otoczkę - „aura uzdrowiciela jest jakościowo inna" i ulega gwałtownej zmianie podczas uzdrawiania. Doświadczenia z dotykaniem rośliny w doniczce wykazały, że sprzyjające jej rozwojowi palce Iska pozostawiły świetliste ślady. Tymczasem po dotknięciu osoby pozbawionej właściwości uzdrawiających powstały matowe smugi i ciemniejsze plamki.

W Laboratorium Fundacji Wiedzy o Umyśle w San Antonio w Teksasie, Anglik Matthew Manning (obdarzony zdolnościami medialnymi) zwiększył procent zamierających komórek rakowatych sztucznie wyhodowanych w probówkach, a także spowolnił proces hemolizy (rozpadu czerwonych krwinek).

Jakie stosował metody? Nakładanie rąk, jak podkreśla w książce *The Psyche in Medicine* (Rola duszy w medycynie) Guirdham, opisujący wrażenia wywołane takim dotykiem. Zazwyczaj zarówno uzdrawiający, jak i pacjent, odczuwają gorąco i mrowienie. W przypadku wewnętrznego obrażenia gorąco przenika aż w głąb ciała. Znaczące jest również pulsowanie wyczuwalne w dłoniach uzdrawiającego i w tkankach pacjenta. Może upłynąć kilka minut, zanim pojawią się te reakcje, zwłaszcza jeśli chodzi o dolegliwości w dolnej części pleców lub mocno umięśnionych bioder. Ustanie pulsowania przypomina nagłe odcięcie dopływu prądu. Trzecim symptomem przepływu energii jest wibracja, wyczuwalna w dłoni i przedramieniu uzdrowiciela, której „nie należy mylić z drżeniem o podłożu neurologicznym lub psychiatrycznym". Objawia się ona wyłącznie przy bliskim zetknięciu z uszkodzoną tkanką i tylko wówczas, gdy obrażenie ma charakter organiczny. Guirdham dodaje: „Zjawisko to nie występuje w przypadku symulacji, pacjenta nadmiernie sugestywnego lub obrażeń spowodowanych sztucznie". Inna intensywna metoda uzdrawiania powoduje delikatne drżenie całego ciała uzdrowiciela. „Jest to jedna z najwyższych form uzdrawiania, dostępna wyłącznie dla bardzo sędziwych dusz, które zachowały pamięć o swych licznych wcieleniach i zdobyte w nich rozległe doświadczenie w tej dziedzinie".

Każdy uzdrowiciel ma „dominującą rękę", którą przykłada, o ile jest to możliwe, do chorego miejsca. Dotyk wywołuje również inne odczucia i nadaje właściwy kierunek przepływowi uzdrawiającej mocy.

„Nakładanie rąk ... ma olbrzymie znaczenie jako najlepiej wszystkim znany objaw uzdrawiania. W ten sposób moc wyraża się za pomocą kontaktu fizycznego: przez dotyk... jest to zagadnienie zmiany płaszczyzny wibracji".

Uzdrawianie na odległość i pomoc ze strony zmarłych

Guirdham utrzymywał, że on sam i wielu innych z grona jego współpracowników z południowo-zachodniej Anglii w poprzednim wcieleniu należało do XIII-wiecznej sekty katarów, która przestała istnieć za sprawą Kościoła i baronów zamieszkałych północną Francję. Byłby to zatem przypadek reinkarnacji zbiorowej. W dodatku grupa ta była rzekomo wspierana podczas dokonywania uzdrowień przez tzw. powracających - bezcielesne duchy katarów, działające poza

czasoprzestrzenią. Grono współpracowników Guirdhama praktykowało również „leczenie poza ciałem".

Znałem człowieka - pisał Max Freedom Long - *który leczył przez nakładanie rąk pragnąc, by jego uzdrowicielska moc spływała na pacjentów i przywracała im zdrowie. Przyzywał na pomoc duchy swoich zmarłych krewnych. Dokonał wielu uzdrowień. Spytałem go, czy nie odczuwa wyczerpania ciągłym wydatkowaniem siły. Odpowiedział, że przeciwnie, gdyby nie wyzwalał jej przy leczeniu, na pewno by zmizerniał i musiał zacząć uprawiać intensywną gimnastykę ".*

Niektórzy uzdrowiciele twierdzą, że korzystają ze wsparcia „ducha-przewodnika". George Chapman, który urodził się w 1920 roku i wychował w Liverpoolu, miał 25 lat, gdy zmarło jego pierwsze dziecko, jednomiesięczna córeczka. Ból po jej stracie sprawił, iż przyłączył się do grupy spirytualistów, ci zaś odkryli jego zdolności uzdrowicielskie. Zdając sobie sprawę z tego, że sztuczki, jakie płata podświadomość, mogą wprowadzać ludzi w błąd, Chapman zażądał dowodu nawiązania autentycznego kontaktu z jakimś duchem. Kiedy po pewnym czasie „skontaktował się" z nim chirurg nazwiskiem Lang, Chapman zdołał ustalić, iż w szpitalu w Middlesex istotnie pracował William Lang, zmarły w 1937 roku. Chapman odnalazł jego krewnych i kolegów. Ich początkowa konsternacja przerodziła się - z dużymi oporami - w wiarę.

„Ku mojemu wielkiemu przerażeniu, a raczej najwyższemu zdumieniu - relacjonuje pierwszą wizytę Chapmana wnuczka Langa, pani Susan Fairtlough - człowiek, który znajdował się w pokoju, był niewątpliwie moim dziadkiem. Nie miał jego cech fizycznych, ale rozpoznałam jego głos i sposób bycia. Rozmawiał ze mną i przypominał drobne wydarzenia z mego dzieciństwa. Zrobiło to na mnie takie wrażenie, że byłam w stanie wykrztusić jedynie: Tak, »dziadku«» i »Nie, dziadku«". Przed swą śmiercią w 1977 roku córka Langa, Lyndon, dodała: „Zadawaliśmy wiele pytań, na które jedynie mój ojciec znał odpowiedź. Potrafił odpowiedzieć na każde z nich".

Dawni koledzy zmarłego orzekli zgodnie: mieli wrażenie, że przez Chapmana istotnie przemawia ktoś obdarzony osobowością i sposobem bycia Langa. Chapmanowi trans przypomina głęboki sen: nie pamięta niczego, co wówczas robi. Choć sam jest praworęczny, jako Lang dokonuje lewą ręką „operacji" - kilka cali nad powierzchnią ciała pacjenta, posługując się niewidzialnymi narzędziami chirurgicznymi. Dokonuje tych zabiegów na duchowym ciele chorego, ale powoduje to zmiany fizyczne (podobnie jak w przypadku kuracji kahunów lub innych uzdrowicieli, na przykład Daskalosa). „Prawdziwym powodem powrotu ducha [dr Langa] - mówi Chapman- nie jest wyłącznie leczenie chorych. Pragnie on dotrzeć do naszych dusz i umożliwić nam nowe, realne spojrzenie na otaczający świat duchowy i pomóc w zrozumieniu go".

Mieszkaniec Londynu Harry Edwards (1893-1976), niegdyś filar partii liberałów, drukarz z zawodu, gdy po raz pierwszy zetknął się ze spirytualistami i usłyszał od nich, że potrafi uzdrawiać, miał co do tego poważne wątpliwości. Jednak z czasem nabrał pewności. Kiedy zaś po zakończeniu II wojny światowej jego brat przejął drukarnię, Harry Edwards poświęcił się całkowicie nowej działalności i w 1950 roku otrzymywał dziennie około sześciuset listów z prośbami o kurację „na odległość". Utrzymując się wyłącznie z dotacji, popadł w nieuchronny konflikt z przedstawicielami medycyny konwencjonalnej, zwłaszcza że twierdził, iż udzielają mu pomocy wybitni (ale nieżyjący już) medycy, na przykład Pasteur i Lister. Wystarczy mu jedynie dostroić swój umysł do ich „częstotliwości", by nastąpił przypływ mocy. Edwards przekonywał, że - ponieważ sam nie potrafi wyjaśnić zachodzących procesów - uzdrawianie musi być skutkiem działania kogoś innego, kto dokładnie orientuje się, jakiej ilości i jakiego rodzaju energii potrzebuje pacjent. „Żeby został osiągnięty pożądany skutek, musi kierować procesem jakaś bezcielesna inteligencja, zdolna do sprawowania kontroli i stwierdzenia zmian"; sam uzdrowiciel jest tylko przekaźnikiem tej wyższej inteligencji.

Podczas wywierających ogromne wrażenie publicznych demonstracji Edwards niekiedy prosił obecnych lekarzy, by zbadali pacjentów przed i po zabiegu. Istnieje wiele świadectw trwałego wyleczenie przypadków uznanych za nieuleczalne przez reprezentantów medycyny konwencjonalnej. Są wśród nich przypadki białaczki, raka, artretyzmu, gruźlicy i innych chorób.

W 1953 roku, składając zeznania przed komisją do badania duchowego leczenia (złożoną z przedstawicieli Kościoła anglikańskiego i Brytyjskiego Towarzystwa Lekarskiego), Edwards oświadczył prosto z mostu: „Dar uzdrawiania nie może być wyłącznie domeną Kościoła anglikańskiego, ani żadnego innego. Jest to dar Boży dla całej ludzkości". Przedstawiając osiem przypadków uzdrowień, które uznał za godne uwagi, szybko zorientował się, że nie ma co liczyć na obiektywizm sędziów. Podobnie jak to było z Mesmerem, komisja odrzucała jego argumenty, przekręcała fakty i bagatelizowała wszystkie osiągnięcia, nazywając je „wynikiem sugestii". „Nie znaleźliśmy żadnych dowodów na to, iż za pomocą duchowego uzdrawiania została wyleczona jakakolwiek choroba, której nie mogłaby wyleczyć medycyna konwencjonalna" - brzmiało orzeczenie komitetu BTL, wydane w 1956 roku. Pełny raport komisji (opublikowany w „The Church's Ministry ofHealing" - Uzdrawiająca Posługa Kościoła - w 1958 roku) nie zadowoliła nikogo. „Czyżby Kościół obawiał się leczenia wiarą?" -

zapytywał „Daiły Maił", podsumowując owo orzeczenie jako „najlepszy przykład chowania głowy w piasek".

Wydany przez BTL zakaz współpracy lekarzy z uzdrowicielami zniesiono w 1977 roku, ale medycyna konwencjonalna nadal szermuje sloganem „sugestii" - co zresztą nie przeszkadza wielu ludziom korzystać z ich usług, nawet jeśli są oszustami.

Jednakże odrzucenie uzdrowicieli przez dbających o własną pozycję duchownych czy lekarzy nie jest niczym dziwnym. Nie chodzi tu jedynie o zagrożenie ich monopolu, ani o szkodliwą działalność oszustów. Jest to sprawa światopoglądu. Lekarze uprawiający medycynę konwencjonalną są z zasady świeckimi racjonalistami: jak mogliby więc uwierzyć w niewidzialne, bezcielesne istoty, uzdrawiające na odległość? A nawet gdyby w nie uwierzyli, jakże mogliby się do tego przyznać?

Niektórzy jednak mają odwagę uczynić coś podobnego. W marcu 1974roku, z Guirdhamem skontaktował się telefonicznie niejaki „doktor Charles", kanadyjski lekarz, przebywający na konferencji w Anglii. Po jego głosie można było od razu poznać, że cierpi co najmniej na poważne zapalenie krtani. Dwa dni później zadzwonił ponownie do Guirdhama: miał już zapalenie płuc. Zaprzyjaźniony lekarz stwierdził zagęszczenie w dolnym płacie obu płuc, jeden zaś płat przestał w ogóle działać. A jednak następnego dnia „dr Charies" zadzwonił jeszcze raz i poinformował, iż zapalenie płuc znikło. Nawet ów nieczynny płat działał bez zarzutu. Jego przyjaciel nie mógł tego pojąć. Jedynym lekarstwem podawanym choremu była penicylina - i nie zażywał jej nawet przez cały dzień! Leczenie choroby, które zazwyczaj zajmowało kilka tygodni, teraz trwało kilka godzin.

„Doktor Charies" miał jednak coś więcej do powiedzenia. Czy Guirdham uzna go za wariata, gdy mu powie, że poprzedniej nocy wyczuł w swoim pokoju obecność kobiety w błękitnej szacie, która położyła ręce na jego klatce piersiowej? Poczuł mrowienie i wnikające głęboko do wnętrza ciała gorąco, .Jakby przystawiono mi do samej skóry aparaturę do krótkofalowych diatermii, i to zbyt mocno naładowaną". Kobieta była opasana w talii srebrnym paskiem, nosiła na lewym biodrze medalion i miała świetliste, niebieskie oczy. Guirdham rozpoznał z opisu swoją pomocnicę, niejaką pannę Mills, „ubraną w szaty, jakie nosiła w swym poprzednim wcieleniu jako »Parfaite« - członkini sekty katarów, należąca do wyższej kasty »Doskonałych«".

„Doktor Charies", który nie miał w ogóle pojęcia o istnieniu panny Mills, powrócił do Kanady; niebawem jednak znów się odezwał. Owo pozorne zapalenie krtani, o którym całkiem zapomniano w obliczu zapalenia płuc, okazało się nowotworem. Miał właśnie rozpocząć terapię kobaltową, ale oświadczył z zimną krwią, że wszystko jest już dobrze. Znów ujrzał kobietę w błękitnej szacie i poczuł dotyk jej rąk: „tym razem położyła jedną dłoń na jego gardle, przykrywając krtań, drugą zaś dotykała jego czoła, karku a niekiedy i kciuka". Poczuł znów ciepło wydobywające się z jej „eterycznych palców".

Powtórna biopsja wykazała mniejszą liczbę komórek nowotworowych. Terapię kobaltową odłożono. Wynik trzeciej analizy: komórki rakowate zniknęły całkowicie. „Dr Charies" wygłosił odczyt na temat swego cudownego uzdrowienia w lokalnym Towarzystwie Lekarskim (Guirdham nie podaje nazwy miasta, w którym Charies pracował). Towarzyszył mu podczas tego wykładu patolog, który stwierdził, że żaden nowotwór złośliwy nie mógł w tak krótkim czasie ulec remisji. Później „doktor Charies" znowu odwiedził Anglię i przekonał się, iż to rzeczywiście panna Mills, nie opuszczając hrabstwa Somerset, wyleczyła go z zapalenia płuc w Londynie i zlikwidowała raka krtani, gdy przebywał za oceanem.

Chirurgia psychiczna: „za" i „przeciw"

Ruch spirytystyczny został zapoczątkowany w 1857 roku przez francuskiego okultystę nazwiskiem Hippołyte Leon Denizard Rivail, czyli „Allena Kardeca". Głosił on, że istnieją dwa światy, widzialny i niewidzialny, zamieszkałe przez byty wcielone i bezcielesne. Duch składa się z „materii eterycznej", zjednoczonej z ciałem fizycznym za pomocą pośredniej „otoczki ducha". Kardec utrzymywał, iż wyznawana przez niego filozofia jest racjonalna i oparta na sprawdzalnych faktach. Jego dzieło znalazło się na kościelnym indeksie w 1866 roku, ale nadal utrzymuje się jego popularność w Brazylii i na Filipinach. Stanowi ono podstawę wiary wielu osób uprawiających tak zwaną „chirurgię psychiczną", która zyskała spory rozgłos.

Najpierw trafił na pierwsze strony gazet Jose de Freitas, zwany „Arigo" (Dobroczyńca). Ten nie posiadający żadnego wykształcenia eks-gómik, w latach pięćdziesiątych naszego stulecia, stał się sławny w całej Brazylii, gdyż wykonywał podobno skomplikowane operacje, posługując się nożami kuchennymi i nożyczkami - w warunkach urągających higienie. Arigo wpadłszy w trans stawiał diagnozy i wykonywał zabiegi na chorych. Twierdził, że kieruje nim głos, rozlegający się w jego

prawym uchu. Miał to być głos doktora Adolphusa Fritza, Niemca, zmarłego w Estonii w 1918 roku (nie ustalono, czy ktoś taki rzeczywiście istniał). De Freitas chyba nie zdawał sobie sprawy z tego, co robi podczas transu; pewnego razu zemdlał, ujrzawszy na filmie operację, którą sam przeprowadzał.

Dwukrotnie trafił do więzienia pod zarzutem nielegalnej praktyki lekarskiej. (Nie pomogły zeznania uzdrowionych przez niego). Po odsiedzeniu drugiego wyroku w 1965 roku ograniczył się do stawiania diagnozy. W 1968 roku nowojorski zespół medyczny, którym kierował neurolog Andrija Puharich (później nawiązał on współpracę z izraelskim medium, Uri Gellerem) obserwował Ariga badającego tysiące pacjentów. Nie dotykał żadnego z nich, poświęcał każdemu najwyżej minutę, po czym stawiał diagnozę i zalecał kurację. W pięćset pięćdziesięciu przypadkach, które zespół amerykański oddzielnie przebadał stawiając diagnozy, jak oświadczył Puharich, „nie stwierdziliśmy ani razu, że się pomylił". Zespół odkrył również, że w kilku przypadkach, gdy Arigo postawił diagnozę, ale nie zalecił żadnej kuracji, stan pacjenta był beznadziejny, a choroba śmiertelna.

James Randi, który występował na scenie jako iluzjonista, potem zaś pełnił funkcje głównego eksperta CSICOP-Komitetu Naukowego Badania Relacji o Zjawiskach Paranormalnych, wykazał, że przynajmniej część operacji dokonywanych przez Ariga mogła być trickiem. Joe Nickell (również zawodowy iluzjonista i podpora komitetu) utrzymywał, iż wszystkie recepty były realizowane w jedynej lokalnej aptece, którą dziwnym trafem kierował brat „cudotwórcy".

Jednak i inni badacze - oprócz Puharicha - obstawali przy tym, iż sceniczne tricki, oszustwa i halucynacje nie wchodzą w grę. Sam Arigo nie starał się niczego wyjaśnić, całą zasługę przypisywał Jezusowi i doktorowi Fritzowi. Niezwykłe zdolności Josego pozostają nadal równie niezrozumiałe, jak jego śmierć w wypadku samochodowym w 1971 roku, która nastąpiła wkrótce po tym, gdy zawiadomił szereg osób, że więcej się już z nim nie spotkają.

Wielu kontrowersyjnych filipińskich uzdrowicieli, którzy działają na wyspie Luzon, należy do Związku Chrześcijańskich Spirytystów na Filipinach. Ma on całą sieć spirytystycznych kościołów. Otwieraj ą rzekomo gołymi rękami ciało pacjenta i usuwają z niego chore tkanki lub organy. Badanie ich działalności przez zachodnich uczonych wkrótce doprowadziło do jawnych oskarżeń: uzdrowiciele rzeczywiście posługiwali się oszukańczymi trickami lub sugestią. Jednak relacje niektórych badaczy, takich jak Lyall Watson, którzy byli naocznymi świadkami wydarzeń, wydają się wskazywać na coś zgoła odmiennego.

Przez ponad osiem miesięcy, w trakcie trzech oddzielnych wizyt na Filipinach, Watson obejrzał przeszło tysiąc operacji, przeprowadzanych przez dwudziestu dwóch różnych uzdrowicieli. W czasie jednej z nich, dokonywanej na kobiecie w średnim wieku, cierpiącej na bóle brzucha, Watson podobno widział, jak uzdrowiciel zanurza głęboko ręce w ciało pacjentki. Wydobył stamtąd, trzymając kciukiem i palcem wskazującym, grudkę ciała wielkości piłki tenisowej. Pomocnik uzdrowiciela ujął ją szczypcami, przeciął łączące z ciałem pasmo tkanki i złożył „piłkę" na dłoni Watsona. Wyjąwszy ręce z wnętrza ciała pacjentki, uzdrowiciel wytarł krew z powierzchni, na której nie było ani śladu rany. „Przesunąłem po jej skórze dłońmi: była gorąca, ale nie uszkodzona - nie dostrzegłem żadnego skaleczenia". Pacjentka wstała i odeszła. Cały zabieg trwał mniej więcej pięć minut i dokonano go niezwykle profesjonalnie.

W 1973 i 1975 roku dwie grupy „specjalistów" (Watson nie wspomina, w jakiej dziedzinie) pod kierownictwem George'a Meeka ustaliły, że - choć niektórzy uzdrowiciele byli istotnie oszustami - w innych przypadkach „stwierdzono autentyczne istnienie i codzienne występowanie podczas praktyki leczniczej tubylczych uzdrowicieli fenomenów psychoenergetycznych różnego rodzaju. Wyraźnie stwierdzono umiejętność materializacji i dematerializacji ludzkiej tkanki: krwi i różnych organów, a także innych obiektów, nie będących częścią ludzkiej anatomii".

Jednakże w 1977 roku ekipa telewizyjnego programu dokumentalnego „Co się dzieje na świecie?", emitowanego przez stację Granada na obszarze Zjednoczonego Królestwa, towarzyszyła grupie szukających ratunku chorych, którzy wyruszyli z Brytanii na wyspę Luzon. Pracownicy telewizji byli obecni podczas zabiegów i wrócili razem z nimi do ojczyzny. Nie było żadnej wątpliwości co do rezultatów wyprawy: ci, którzy uznali się za wyleczonych, wkrótce odczuli nawrót dolegliwości. Inni „czuli się odrobinę lepiej". Kilku zmarło jeszcze przed emisją filmu, kilku innych po niej. Nie było żadnych cudownych uzdrowień. Wszystkie guzy, stwierdzone przed tą podróżą, istniały nadal po powrocie. Jeśli zaś chodzi o ekipę telewizyjną, to zabroniono jej uczestniczenia w „operacjach" po tym, jak narrator. Mikę Scott, przechwycił rzekomo wydobyty „nowotwór". Po powrocie do Londynu w Szpitalu Guya dokonano analizy innych zdobytych przez zespół Scotta próbek „ludzkiej" krwi i tkanki. Krew należała do krów i świń. Guz rzekomo usunięty z szyi dziewczyny okazał się wycinkiem z kobiecej piersi, dokonanym podczas biopsji. Inne „narośle" były kawałkami mięsa kurczaków.

Mimo iż od razu można dostrzec, że iluzjonista Randi za wszelką cenę chce zdyskredytować fenomeny tego rodzaju jako oszustwo, w tym przypadku trudno zakwestionować jego systematycznie i powoli przeprowadzoną demonstrację, jak można

dokonywać podobnych „operacji" nawet wówczas, gdy świadkowie stoją bardzo blisko. Randi zadaje także pytanie, czemu uzdrowiciel Tony Agpaoa, gdy zaszła potrzeba usunięcia jego własnego wyrostka robaczkowego, poleciał w tym celu do szpitala w San Francisco? Czyżby nie dowierzał swoim kolegom po fachu?

Jednak Levesque wspomina o pewnej wdowie ze stanu Oregon (nie podając jej nazwiska), która cierpiąc na nieuleczalną chorobę serca sprzedała dom i przybyła na wyspę Luzon z całym swym majątkiem. Po trzech oddzielnych „operacjach", którym poddała się w ciągu tygodnia, zdała sobie sprawę, że padła ofiarą oszustwa. Została bez grosza, stan jej zdrowia ciągle się pogarszał, była w ostatecznej rozpaczy. Zachowała co prawda bilet powrotny, ale do czego miała wracać? Nie widziała przed sobą żadnych perspektyw. Chcąc zaoszczędzić trochę pieniędzy z resztki, która jej pozostała, postanowiła pojechać na lotnisko autobusem. Okazało się, że wsiadła do niewłaściwego wozu, a kierowca nie chciał zawrócić. Na samolot już i tak się spóźniła, a podczas gwałtownej ulewy autobus wpadł w poślizg i wylądowali w rowie. Kierowca zaprowadził wszystkich pasażerów wąską ścieżką do pobliskiej wioski. Przemoczona i wyczerpana pani X znalazła się w grupie ludzi, którzy z odległych osad przybyli tu na leczenie. Czystym zbiegiem okoliczności natknęła się na prawdziwego uzdrowiciela - ale nie miała już pieniędzy! Młody człowiek uspokoił ją, by się tym nie przejmowała. Następnego dnia dokonał operacji bez użycia narkozy i środków dezynfekcyjnych. Wkrótce chora poczuła się lepiej. Zanim jednak odjechała, uzdrowiciel poprosił, by nikomu nie zdradziła jego tożsamości ani miejsca pobytu. Szkodliwy rozgłos mógł uniemożliwić mu pracę dla dobra rodaków.

Levesque nie podaje żadnych konkretnych danych, ale opowieść wydaje się prawdziwa. Dowodzi tego zwłaszcza jeden jej aspekt: uzdrowiciel odmówił przyjęcia zapłaty. Raz po raz powtarza się ta sama prawidłowość: prawdziwe cuda nic nie kosztują. Należy przyjąć następującą zasadę: jeżeli ktoś domaga się pieniędzy, zachodzi duże prawdopodobieństwo, że mamy do czynienia z oszustem. Levesque (znów nie podając bliższych danych) cytuje fragment artykułu wstępnego, zamieszczonego w czasopiśmie „Fate". Tematem publikacji są bogaci filipińscy uzdrowiciele i ich pacjenci. „Prawdopodobnie na cud uzdrowienia można zasłużyć, ale nie sposób go kupić. Prawdziwe wyleczenie może nastąpić jedynie wówczas, gdy zachodzi wewnętrzna przemiana uczuć i postawy pacjenta".

Powtórzmy raz jeszcze: metody uzdrawiania psychicznego czy duchowego mogą być różne, w zależności od światopoglądu. Wszystkie jednak bazują na przekonaniu, że ciało fizyczne jest odtworzeniem prototypu („ciała eterycznego"), niezależnego od czasoprzestrzeni i bytu fizycznego, ożywionego przez energię uniwersalną, znaną pod różnymi nazwami: ch'i, prana, mana, zwierzęcy magnetyzm, siła odyczna, energia orgonowa itd.

Cypryjski uzdrowiciel, Spyros Sathi, znany pod greckim przydomkiem Daskalos (Nauczyciel), twierdzi, że niezbędna jest doskonała znajomość „eterycznego sobowtóra" ciała. Omawiając przypadek nastawiania kręgów pewnej pacjentki, Daskalos oświadczył Kyriacosowi Markidesowi: „Nie mógłbym osadzić kręgów na właściwym miejscu, gdybym nie potrafił świadomie wykorzystać energii witalnej i nie znał dobrze budowy kręgosłupa". Dodał też: „W tym przypadku, bazując na odtwórczych właściwościach eteru, można było uformować parę eterycznych rąk i dotrzeć nimi w głąb ciała pacjentki. Dzięki doskonałemu opanowaniu cech czuciowych eteru mogłem zbadać końcami eterycznych palców uszkodzenie kręgosłupa i przesunąć kręgi na właściwe miejsce. Działają zatem wspólnie cztery ręce: materialne na zewnątrz ciała, eteryczne zaś w jego wnętrzu".

Rewiwaliści i ewangeliści

Możemy zauważyć powtarzające się elementy:

1. Nakładanie rąk, fizycznych albo eterycznych, lub też jednych i drugich;
2. Przenoszenie się uniwersalnej energii, której przekaźnikiem jest uzdrowiciel; energia ta bywa określana jako „miłość Boża" lub w inny sposób;
3. Ogromne znaczenie modlitwy i szczerego pragnienia odzyskania zdrowia;
4. Zauważalny jest również wpływ rozentuzjazmowanych tłumów lub kongregacji; ich emocje zazwyczaj towarzyszą „cudownym uzdrowieniom", rzeczywistym lub urojonym, o skutkach zarówno krótkotrwałych, jak i permanentnych.

Charyzmatyczni kaznodzieje fundamentalistyczni odgrywają dużą rolę w Stanach Zjednoczonych. Kwakrzy, tzw. szejkersi (członkowie sekty propagującej wiarę w to, że Chrystus przyszedł już po raz drugi na świat), adwentyści, zielonoświątkowcy i inni wzywają Ducha Świętego podczas masowych uleczeń na mityngach religijnych. Ich działalność wywołuje albo uwielbienie, albo kategoryczny sprzeciw. Uzdrowicieli takich jak Pat Robertson, Orał Roberts, A.A. Allen, Ojciec Raiph di

Orio, Kathryn Kuhiman i wielu innych, począwszy od lat pięćdziesiątych naszego wieku otaczają tłumy zwolenników. Rośnie też ich pozycja społeczna - Pata Robertsona uznano nawet za potencjalnego prezydenta USA.

Kathryn Kuhiman (urodzona prawdopodobnie w 1915 roku) już jako dziecko pełniła funkcje kaznodziejskie, a w 1946 roku rozpoczęła swą działalność uzdrowicielki, po tym, jak pewien człowiek oświadczył, że poprzedniego dnia podczas odprawianego przez nią nabożeństwa został wyleczony z nowotworu. Uzdrawianie stało się dla Kathryn Kuhiman tak istotne, że w latach sześćdziesiątych stanowiło główny element spotkań religijnych, na które przybywały ze względu na nią wielkie tłumy. Na początku śpiewano pieśni religijne, kiedy zaś temperatura emocjonalna widowni była już bardzo wysoka, pomocnicy Kathryn podniecali jeszcze entuzjazm zebranych, opowiadając przed pojawieniem się uzdrowicielki o jej służbie dla Boga i cudach, które w każdej chwili mogą się wydarzyć. Kathryn wszedłszy na scenę wygłaszała kazanie na temat Bożej miłości i istoty uzdrawiania, tłumacząc, że to nie ona dokonuje cudów, ale Bóg za jej pośrednictwem. Wpadając w trans modliła się o to, by nastąpiły cudowne uleczenia, potem zaś wskazywała różne części audytorium mówiąc, iż czuje, że ktoś tam właśnie odzyskał zdrowie. Niebawem poszczególni ludzie zrywali się z miejsc oznajmiając o zniknięciu swych dolegliwości. Zapraszano ich na scenę, by mogli zaświadczyć o cudzie przed całym zgromadzeniem. Badał ich wówczas (pobieżnie) znajdujący się pod ręką lekarz.

Dr William Nolen, który był obecny na kilku takich mityngach w początku lat siedemdziesiątych, przeprowadził później wywiady z dwudziestoma trzema osobami, które oświadczyły, że Kathryn Kuhiman ich uleczyła. Żadne jednak z tych uzdrowień nie zostało medycznie udokumentowane. W pewnym dramatycznym momencie, gdy Kathryn zawołała: „Ktoś z obecnych został wyleczony z raka!", niejaka Helen Sullivan wstała ze swego fotela inwalidzkiego i pokuśtykała na scenę. Pozbywszy się pasa usztywniającego kręgosłup, zaczęła biegać, zanim wróciła do swego fotela, wymachując owym pasem; widownia biła brawo, a Kathryn Kuhiman wznosiła dziękczynne modły. Dwa miesiące po tym wydarzeniu pani Sullivan powiedziała Nolenowi: „Byłam pewna, że zostałam wyleczona. Tego wieczora odmówiłam modlitwę, w której dziękowałam za łaskę okazaną mi przez Boga i Kathryn Kuhiman. Położyłam się do łóżka, przepełniona radością, jakiej nie zaznałam od dawna. O czwartej nad ranem obudził mnie straszny ból w plecach. Bolało mnie tak bardzo, że oblałam się zimnym potem. Bałam się poruszyć". Zdjęcia rentgenowskie wykazały, iż osłabiony przez raka kości krąg złamał się wskutek zbyt wielkiego nacisku, spowodowanego wbiegnięciem na scenę. Dwa miesiące później chora zmarła.

Sceptyczny przedstawiciel CSICOP, Terence Hines, tłumaczy zdumiewającą choć krótkotrwałą swobodę ruchów pani Sullivan w podobny sposób, jak inni niedowiarkowie wyjaśniają błogość odczuwaną podczas NDE, a więc przez wydzielenie się endorfin w chwili ogromnego podniecenia. „Kathryn Kuhiman nie widziała pani Sullivan, gdy leżała ona w łóżku, okaleczona i umierająca - zauważa Hines. - Nie widziały jej również w takim stanie tysiące ludzi, którzy „na własne oczy dostrzegli, że chora doznała czegoś, co miało wszelkie pozory cudownego uleczenia".

Jednakże pod koniec lat sześćdziesiątych reporter gazety „Toronto Star" również odszukał kilka osób uzdrowionych przez Kathryn Kuhiman. Był wśród nich George On". W 1925 roku prysnęło mu do oka roztopione żelazo; na rogówce uformowała się blizna. Nie można było jej usunąć nawet operacyjnie. Ministerstwo Pracy i Przemysłu stanu Pensylwania przyznało mu „pełne odszkodowanie za utratę oka". Dwadzieścia lat później, w marcu 1947 roku, On- po raz pierwszy uczestniczył w mityngu religijnym z udziałem Kathryn Kuhiman. Ponieważ nabożeństwo to zrobiło na nim duże wrażenie, powtórnie wziął udział w spotkaniu 4 maja i wtedy po raz pierwszy modlił się o uzdrowienie. Poczuł kłucie w oku, jakby przepływał przez nie prąd elektryczny; potem zaczęło ono obficie łzawić. Wracając do domu zorientował się, że widzi. Blizna zniknęła. Dr Imbrie, który badał go przed dwudziestoma laty, był zdumiony.

Scott Rogo sugeruje, że - ponieważ tkanka bliznowata na oku nie mogła po prostu zniknąć ani rozpuścić się - „uzdrowienie George'a Orra należy uznać za autentyczny cud, który spełnia wszelkie kryteria, wyliczone przez Lambertiniego w XVIII wieku. Orr nie znajdował się w momencie wyleczenia pod opieką lekarską, uzdrowienie zaś było natychmiastowe, całkowite i trwałe".

Większość jednak kaznodziejów tego typu lepiej się zna na show-biznesie i oszustwach niż na leczeniu. Popularni uzdrowiciele nie przebieraj ą w środkach, byle tylko się wzbogacić. Skandale związane z osobami wybitnych teleewangelistów także nie przyczyniają się do umocnienia wiary. Stwierdzenie Orała Robertsa, że „Bóg zabierze go do siebie", jeśli dotacje pieniężne nie osiągną zamierzonej kwoty ośmiu milionów dolarów, było przedmiotem ogólnej krytyki. Co się zaś tyczy Jima i Tammy Fay Bakkerów, którzy w latach osiemdziesiątych wyłudzili prawie sto pięćdziesiąt milionów dolarów od stu pięćdziesięciu tysięcy wiernych, to Ameryka dosłownie wybałuszyła oczy, gdy Jima wsadzono za kratki pod zarzutem szalbierstwa. Zupełnie już oniemiała na wieść o jego grzesznych igraszkach z przedstawicielami obu płci w „dziwkarskim

jacuzzi". Wreszcie całkiem opadła jej szczęka, gdy rywalizujący z Bakkerem kaznodzieja, Jimmy Swaggart, także został zdemaskowany. Ten ewangelista Kościoła baptystów ze swej telewizyjnej kazalnicy ciskał gromy na głowy „grzesznych Bakkerów" - dopóki nie wydało się, że i on nie jest taki święty. Pewna panienka lekkich obyczajów, Debra Murphree, podczas oglądania programu telewizyjnego rozpoznała w kaznodziei jednego ze swoich stałych klientów, złapała więc za słuchawkę, i... Teraz znów Pat Robertson (utrzymuje, iż dokonał wielu cudownych uzdrowień pragnących zachować anonimowość wiernych - o których nadal nikt nie wie, czy w ogóle istnieją) ma zdaje się oko na Biały Dom - być może spodziewa się zaprowadzić tam nieograniczoną teokrację.

Jaki stąd morał? Najlepiej leczą ci, o których nic nie wiemy albo dowiadujemy się najpóźniej, gdyż nie zależy im na skarbach tego świata. To stara historia. Poza tym - biorąc pod uwagę przypadek George'a Orra i innych - może uzdrowienie (jeżeli w ogóle kiedyś następuje) jest nie tyle zasługą kaznodziei, co skutkiem wiary osoby pragnącej odzyskać zdrowie, zwłaszcza jeśli dodatkowo j ą rozpłomienia gwałtowne emocje tłumu.

„Lekarzu, ulecz samego siebie"

Zdarzają się przypadki, gdy uzdrowiciele biorą na siebie choroby innych, nawet do tego stopnia, że stają u progu śmierci. Urodzony w 1913 roku Grek z Cypru, uzdrowiciel Daskalos, twierdzi, iż jego moc dematerializowania chorych organów i kości, a następnie odtwarzania ich pochodzi od Ojca Jokanaana, czyli biblijnego św. Jana. Daskalos utrzymuje, że uzdrowicielowi najbardziej potrzebne jest „umiłowanie rodu ludzkiego".

Amerykański uczony pochodzący z Cypru, Kyriacos Markides, opowiada o tym, jak powróciwszy do stanu Maine po wizycie na Cyprze u Daskalosa, otrzymał list od jego ucznia, Iakovosa. Donosił on, że żona Markidesa Emiły (która miała problemy z kolanem) powinna udać się do lekarza. Trzy dni później bóle Emiły ustąpiły. Markides nigdy nie dowiedział się, czy Daskalos wziął na siebie jej cierpienia, ale odwiedziwszy powtórnie Cypr w 1981 roku znalazł uzdrowiciela w bardzo ciężkim stanie, z nie gojącą się raną na nodze. Przyciśnięty do muru Daskalos wyznał, że wziął na siebie tę chorobę, by spłacić „dług karmy" zaciągnięty przez jego zięcia. Chociaż stan Daskalosa wydawał się bardzo ciężki, uzdrowiciel postanowił udowodnić wyższość umysłu nad materią. Pogrążył się w medytacji, po czym przesunął dłonią po chorej kończynie, a następnie zaczął gwałtownie skakać na zranionej nodze po pokoju. Wracając do łóżka powiedział: „Teraz muszę odzyskać karmę" - i wyjaśnił, iż mniej więcej za tydzień dług będzie już całkiem wyrównany. Po tygodniu Daskalos wstał z łóżka i zaczął chodzić po domu, choć w pewnym momencie wydawał się bliski śmierci.

Sai Baba urodził się w 1926 roku w Puttaparthi, położonej na odludziu wiosce w południowych Indiach. Otrzymał imię Satyanarayana Raju. Już jako dziecko odmawiał spożywania mięsa, sprowadzał do domu żebraków, żeby ich nakarmić, i bawił wszystkich swą umiejętnością wyciągania z pozornie pustego worka zabawek i innych przedmiotów. Gdy miał trzynaście lat, stracił przytomność - przypuszczano, że przyczyną było ukąszenie skorpiona. Ocucono go, ale zaczął odtąd wpadać w trans i recytować sanskryckie teksty filozoficzne. Rodzina sądziła, iż opętały go złe duchy, toteż prowadzono chłopca do różnych egzorcystów. Zadawali mu jednak taki ból, że położono temu kres. Dwa miesiące po rzekomym ukąszeniu przez skorpiona ojciec ujrzał, jak syn na oczach wielkiego tłumu materializuje z powietrza świeże owoce. „Kim jesteś?" - spytał ojciec. - „Jestem Sai Baba" - odparł chłopiec. W ten sposób oznajmił, że jest powtórnym wcieleniem muzułmańskiego świętego, Sai Baby z Shirdi, zmarłego w 1918 roku. Porzucił następnie dom, zebrał grupę zwolenników i zaczął budować aśram (ośrodek medytacji religijnych). Wkrótce zaczęto mu przypisywać cudowne uzdrowienia. Potrafił podobno materializować narzędzia chirurgiczne oraz leczyć cierpiących, biorąc na siebie ich choroby.

28 czerwca 1963 roku Sai Baba kazał swojemu tłumaczowi, panu N. Kasturi, zapowiedzieć, że przez tydzień nie będzie udzielał żadnych wywiadów. Rano następnego dnia stracił przytomność. Początkowo jego uczniowie sądzili, że mistrz zapadł w jeden ze swych transów, ale po kilku godzinach wezwali lekarza. Dr Prasannasimbo Rao, zastępca dyrektora Służb Medycznych w prowincji Mysore, przybył specjalnie z Bangalore.

Stwierdził zapalenie opon mózgowych na podłożu gruźliczym. Gdy rozpoczął stosowne zabiegi lecznicze, Sai Baba odzyskał na chwilę przytomność. Polecił, by zaniechano zastrzyków i wszelkiej innej kuracji. Wyjaśnił, że pewnemu przebywającemu daleko wyznawcy groził tragiczny w skutkach wylew. Żeby go ocalić, Sai Baba wziął na siebie jego cierpienia, a mianowicie; paraliż, ataki serca, częściową ślepotę, wysoką gorączkę i silne bóle. Sai Baba oznajmił, iż po pięciu dniach będzie już po zmartwieniu.

Po czterech poważnych atakach serca nastąpił lewostronny paraliż. Sai Baba mówił z wielkim trudem i stracił niemal całkowicie wzrok w lewym oku. 4 lipca stan jego poprawił się. Zdołał wówczas powiedzieć, iż skrzep w mózgu rozpuścił się i ataki serca już się nie powtórzą. Jednak lewa strona ciała była nadal porażona; mówił z trudem i niewyraźnie. Zaniepokojeni uczniowie zadawali sobie pytanie: „Jeśli Sai Baba jest Bogiem w ludzkiej postaci, dlaczego imają się go fizyczne cierpienia? Czemu sam siebie nie uleczy? Poznali odpowiedź na to pytanie dwa dni później, gdy w przeddzień święta o nazwie Guru Poomima Sai Baba podniósł się z łóżka, by - z pomocą innych - przejść do wielkiej sali modlitewnej.

„Jego chód - opowiadał obecny przy tym lekarz - był charakterystyczny dla osoby częściowo sparaliżowanej (hemiplegika). Porażona lewa noga wlokła się, opisując półkola, a palce u nóg zahaczały o podłogę. Widząc Sai Babę w takim stanie nawet najmężniejsi głośno płakali".

Zasiadłszy przed pięciotysięcznym audytorium, zgromadzonym w sali i poza nią, mistrz gestem poprosił o wodę. Napił się z kubka, który podano mu do ust, umoczył w wodzie koniuszki palców prawej ręki, pokropił swą sparaliżowaną lewą rękę i nogę, a następnie zaczął gładzić lewą rękę prawą dłonią, a lewą nogę obiema rękami.

„W ciągu sekundy noga mistrza, oko i cały lewy bok powróciły do dawnej postaci - relacjonował T.A. Ramantha Reddy, ekspert rządowy, który siedział w jednym z pierwszych rzędów. - Był to doprawdy boski widok obserwować jego błyskawiczny powrót do zdrowia..."

„Sai Baba wstał i rozpoczął rozważania na temat Guru Poomima - opowiada N. Kasturi. - Ludzie nie wierzyli własnym oczom i uszom. Kiedy jednak uświadomili sobie, że mistrz stoi przed nimi i przemawia, zaczęli skakać z radości".

„Swami (Mistrz) wyjaśnił nam po godzinie nauczania, że nie była to jego choroba, ale cudze cierpienie, które wziął na siebie, chcąc ocalić inną osobę. Potem wrócił bez pomocy do swego pokoju, spożył posiłek, a w następnych dniach widzieliśmy, jak po dawnemu tryskał życiem i zdrowiem... Pozorny wylew, który nastąpił, zdaje się, na jego własne życzenie, minął w zapowiedzianym przez guru terminie, nie pozostawiając żadnych widocznych śladów".

Trudno w to uwierzyć? Wszystkie świadectwa są jednak zgodne.

Guirdham twierdzi, że panna Mills przejmowała na odległość cudze objawy chorobowe. Jeden taki przypadek związany był z osobą niejakiego „pana Paula". Był to chirurg-ortopeda, pracujący w tym samym szpitalu co „doktor Charles". Pewnego dnia Guirdham odbywał przechadzkę w towarzystwie panny Mills. W pewnej odległości widoczna była pobliska szosa. Nagle jego towarzyszka stała się dziwnie roztargniona; później oznajmiła, że ujrzała, jak samochód z pękniętą oponą wpadł na inne auto, rozbijając jego przednią szybę. Na widocznej w oddali szosie nie było śladów żadnego wypadku, ale oczy panny Mills, zanim wrócili do domu Guirdhama, były silnie zaczerwienione i obficie łzawiły. Nagle dostała skurczu powiek „tak silnego, przestrzeń między górną i dolną powieką przypominała wąziutką szparkę". Panna Mills prawie nic nie widziała, postanowiła jednak wrócić do swego domu. Wkrótce potem zadzwonił do Guirdhama pewien kanadyjski przyjaciel, żeby powiadomić go o wypadku „pana Paula" (znanego zarówno jemu, jak pannie Mills), dokładnie takim, jak opisany przez nią. Wpadły mu do oczu odłamki szkła, nie czuł jednak wcale bólu. Później „pan Paul", całkowicie powróciwszy do zdrowia, sam potwierdził te informacje. Opiekujący się nim doktor nazwał jego wyleczenie „cudem". Uwierzywszy w możliwość duchowego uzdrawiania, „pan Paul" sam zaproponował, by jego przypadek został zacytowany przez Guirdhama podczas odczytu na ten temat, zorganizowanego na uniwersytecie w Nottingham dla przedstawicieli Wrekin Trust.

Sai Baba świadomie wziął na siebie chorobę swego ucznia. Guirdham podkreślając, że panna Mills nie żywiła takich intencji, zauważa, iż w niektórych starożytnych cywilizacjach, na przykład greckiej czy egipskiej, powinnością lekarza było podjęcie takiej decyzji. „Do dziś kapłanów-taoistów szkoli się w sztuce przejmowania dolegliwości pacjentów". Guirdham uważa jednak, że większość współczesnych lekarzy z krajów zachodnich nie byłaby psychicznie zdolna do podjęcia takiej decyzji. „Gdy mamy do czynienia z jakąś groźną chorobą, rakiem czy zapaleniem płuc, uważamy za oczywiste, iż osoba lecząca nie może wchłonąć do swego organizmu wszystkich związanych z tą przypadłością objawów".

Ale Sai Baba właśnie tego dokonał - jak utrzymują świadkowie.

Zmarli święci, nieprzemijająca moc uzdrawiania?

I tak oto wracamy do Lourdes i wizji, która miała miejsce 11 lutego 1858 roku, i od której wszystko się zaczęło. Czternastoletnia Bemadetta Soubirous, wraz ze swą siostrą i przyjaciółką, zbierała chrust na opał nad brzegiem chłodnej rzeki Gave, biorącej początek w Pirenejach i przepływającej w pobliżu Lourdes. Bemadetta, niepiśmienna córka zubożałego młynarza, dotarła do prawie całkiem wyschniętego strumienia koło młyna; jej towarzyszki już przeprawiły się przez rze-czkę.

Dziewczyna ociągała się w obawie przeziębienia. Nagle usłyszała „szum podobny do wiatru". Nie dostrzegając na wodzie fal, spojrzała na drugi brzeg rzeczułki i zauważyła „coś białego" u wejścia do znajdującej się tam groty. Była to świetlista zjawa młodej dziewczyny, mniej więcej tego samego co ona wzrostu.

Towarzyszki Bemadetty zawróciły i zastały ją rozmodloną i klęczącą przed grotą. Przyznała im się do tego, że widziała milczącą zjawę, ale kazała im przyrzec, że dochowają sekretu. Jednak wieczorem w Lourdes wszystko huczało już od plotek: ukazała się Najświętsza Panna! Nawet rodzina Bemadetty podejrzewała, iż dziewczynka wszystko sobie wymyśliła. Bemadettę coś jednak nadal ciągnęło do groty. Kiedy tam powróciła trzy dni później, ciekawscy sąsiedzi pospieszyli za nią. Dziewczynka znów ujrzała zjawę, ale nikt inny jej nie dostrzegł, toteż zaczęto z niej szydzić. Jednak po czterech dniach, 18 lutego, Bernadetta wróciła tam jeszcze raz - i wówczas, po raz pierwszy, postać widzialna tylko dla „małej Soubirous" przemówiła do niej, nakazując przychodzić tu codziennie przez dwa tygodnie i obiecując dziewczynce szczęście „w przyszłym świecie".

Gromady ludzi zaczęły się zbierać, by popatrzeć na Bemadettę, uśmiechającą się i cicho rozmawiającą z kimś, kogo nikt oprócz niej nie mógł dostrzec. Wieść o tym zaczęła się szerzyć. Może mała jest święta? Nauczono ją podobno sekretnej modlitwy, której nie wolno jej nikomu powtórzyć! Później, 25 lutego, nastąpił punkt kulminacyjny wydarzeń - Bemadetta w trakcie jednego z codziennych, ekstatycznie przeżywanych spotkań, odbywających się na oczach gapiów, nagle upadła na ziemię i nadal będąc (jak się zdawało) w transie, zaczęła gwałtownie rozkopywać ziemię rękoma. Wkrótce pojawiła się kałuża wody, której Bemadetta się napiła. Niebawem kałuża przekształciła się w jeziorko: okazało się, że bije tam źródło.

Na niektórych zrobiło to wrażenie, na innych nie. Bemadetta powiedziała tylko, że „l'aquero" (Tamta) kazała jej kopać, a potem pić stąd wodę i kąpać się. Opisywała „Tamtą" jako dziewczynę w swoim wieku, ubraną na biało z błękitnym paskiem i z różańcem owiniętym wokół ręki. Nie utrzymywała wcale, że jej rozmówczynią jest Najświętsza Panna. Jedna z kobiet stwierdziła, iż ten rysopis dokładnie pasował do niedawno zmarłej Elisy Latapie. - Wkrótce jednak wszyscy, którzy chcieli w to wierzyć, doszli do wniosku, że „l'aquero" to z pewnością Matka Boska. Usłyszawszy o tym 2 marca, gdy źródło nadal biło, a tysiąc sześćset osób przyglądało się temu, Bemadetta zaczęła nalegać, by księża wybudowali świątynię w tym właśnie miejscu i żeby wszyscy udali się tam z procesją.

Gdy doszło już do tego, że ludzie zaczęli butelkować „świętą wodę", miejscowy cure (proboszcz), Dominique Peyramale, postanowił z tym skończyć. Publicznie nazwał Bemadettę kłamczuchą i zażądał, by zjawa: l. wyraźnie powiedziała, kim jest, i 2. sprawiła, by krzew różany, rosnący w grocie, zakwitł przed 4 marca. W oczekiwaniu na cud zebrał się dwudziestotysięczny tłum; nie zabrakło w nim także reporterów. Zjawiła się Bemadetta. „Oto święta!" Ówcześni reporterzy dają do zrozumienia, że swym zachowaniem tłum ten zakasowałby dzisiejszych kibiców na meczu hokejowym! Żaden cud się jednak nie wydarzył. Nie było żadnego znaku. Krzew różany ani myślał zakwitnąć. W tłumie zaczęły szerzyć się plotki, że Bemadetta spiesząc do groty zatrzymała się, tchnęła na oczy niewidomej dziewczyny i przywróciła jej wzrok! „I czy widzicie gołębicę nad jej głową? Jaką gołębicę? O tam!"

Wkrótce, mimo wszelkich starań miejscowego kleru i lokalnych władz, starających się położyć kres narastającej obsesji, przy źródle zamontowano basen z trzema kurkami; wieści o uzdrowieniach mnożyły się i cała sprawa nabierała rozpędu. I pędzi tak do dzisiaj.

A jaki był los samej Bemadetty? Po przykrych oficjalnych przesłuchaniach odesłano ją do szkoły klasztornej, gdzie przebywała do 1866 roku. Potem została zakonnicą, siostrą miłosierdzia Mańą Bemadetta, aż w końcu zmarła w 1879 roku w wieku 35 lat.

W dzieciństwie cierpiała na astmę, potem chorowała na gruźlicę; cudowna woda nie uzdrowiła jej. „Byłam zwykłą miotłą w ręku Maryi Panny - stwierdziła, gdy nadeszła godzina śmierci. - Gdy przestałem już być potrzebna, odstawiła mnie z powrotem w kąt za drzwiami".

Uznano za cud, że jej nawoskowane ciało - od czasu do czasu odkopywane - nie wykazuje śladów rozkładu. Większym jednak cudem jest nieustająca popularność Lourdes. Co roku ludzie czekają w długich kolejkach na to, by wejść do groty i wykąpać się w chłodnej, górskiej wodzie - tak samo jak w średniowieczu ustawiali się w kolejce przed grobem Becketa w Canterbury i na progu wielu innych cudownych przybytków, rozsianych po całej Europie.

W 1884 roku powołano Komitet Medyczny w Lourdes; ma on na celu badanie wszelkich relacji o cudownych uzdrowieniach. Za przykładem Lambertiniego doktorzy wchodzący w skład komitetu odrzucają wszystkie przypadki z wyjątkiem tych, których nie można wytłumaczyć w sposób naukowy. Wydarzyło się ich sześćdziesiąt kilka od czasu, gdy Bemadetta ujrzała coś, czego nikt inny nie był w stanie dostrzec. I znów nasuwa się myśl, że być może wystarczy sama wiara...

Mogło zresztą przyczynić się do tego wszystko... albo raczej najistotniejsza cząstka tego wszystkiego...

Jest to z pewnością ważne tam, gdzie mamy do czynienia z wizjami Najświętszej Panny Maryi...

3. Wizje Maryjne

Tańczące słońce

Bemadetta nie była pierwszą ani ostatnią osobą dostrzegającą zjawiska niewidzialne dla innych. Ostatnio mnożą się relacje o ukazywaniu się Matki Boskiej. Zazwyczaj widzą Ją dzieci lub młodzi ludzie. Przeważnie Maryja oznajmia, że świat musi zmienić swe grzeszne obyczaje, gdyż spadnie nań pomsta Jej Syna. Ukazują się także prorocze znaki. Poważną konkurencją dla Lourdes stanowi dziś bośniacka miejscowość Medjugorje, skąd od 1981 roku płyną raporty o zdumiewających wydarzeniach; między innymi widziano tam podobno tańczące słońce - jest to charakterystyczny fenomen Maryjny, który po raz pierwszy odnotowano 13 października 1917 roku, podczas I wojny światowej, w tym samym miesiącu, w którym wybuchła w Rosji rewolucja bolszewicka.

W Fatimie, wiosce położonej w środkowej Portugalii w górzystym regionie Seria de Aire, siedemdziesiąt tysięcy osób z przerażeniem obserwowało słońce, które najwyraźniej spadało na ziemię. Ci sami ludzie w niedalekiej przyszłości mieli stać się świadkami szczytowego momentu kryzysu narodowego. Nastąpił on pięć miesięcy po spotkaniu trojga pastuszków z piękną, młodą panią, która oznajmiła im, że zstąpiła z nieba.

Tymi wizjonerami byli: dziesięcioletnia Lucia de Jesus i dwoje jej kuzynów, dziewięcioletni Francisco Marto i jego siedmioletnia siostrzyczka Jacinta. W 1916 roku te pobożne, niepiśmienne dzieci, trzykrotnie spotkały się z „aniołem" o wyglądzie mniej więcej piętnastoletniego chłopca, który nakazał im modlić się. Dwa razy ujrzały go 32 kilometry na zachód od Fatimy, na pastwisku o nieckowatym kształcie, noszącym miano Cova da Iria, czyli Grota św. Ireny. Tu właśnie w dniu 13 maja 1917 roku cała trójka pasła owce, gdy przeraził ich blask, przypominający nagłą błyskawicę. Gdy popędzili stado z góry, oświetliła ich kolejna błyskawica. Wówczas obie dziewczynki (ale nie Francisco!) ujrzały na skalnym dębie promienną postać kobiety, osłoniętej białym welonem ze złotą lamówką.

„Skąd jesteś?" - spytała dosłownie olśniona Lucia. „Z nieba" - odparła zjawa i dodała, że pragnie, by dzieci przychodziły w to miejsce trzynastego dnia każdego miesiąca. Jeśli będą posłuszne, po sześciu miesiącach wyjawi im, kim jest. Obiecała również, iż cała ich trójka trafi do nieba, ale Francisco (który usiłował właśnie rzucić kamieniem w postać nadal dla niego nie dostrzegalną) będzie musiał odmówić przedtem wiele różańców. Chłopiec zaczął modlić się jak najęty - i nagle ujrzał zjawę, choć nadal nie słyszał jej słów. Nakazawszy dzieciom modlitwy o rychły koniec wojny, postać uniosła się do nieba, a bił przy tym od niej niezwykły blask.

Dzieci postanowiły zachować to wydarzenie w sekrecie, ale jeszcze tego wieczora Jacinta powiedziała matce, że widziała Najświętszą Pannę Maryję. Wkrótce wszyscy już o tym wiedzieli. Miejscowy ksiądz, ojciec Ferreira, uznał ich wizję za omam szatański. Matka Lucii, Maria Rosa, oskarżyła dzieci o kłamstwo. Trójka obstawała jednak przy swej opowieści, pomimo bicia i szyderstw, i w dniu 13 czerwca wróciła do Cova da Iria wraz z pięćdziesięcioma świadkami, którzy obserwowali dzieci klęczące i modlące się koło dębu, a potem Lucie rozmawiającą z kimś niewidzialnym. Niektórym wydawało się, że południowe słońce było dziwnie przyćmione, a w momencie zniknięcia postaci usłyszały huk eksplozji i dostrzegły śliczną, białą chmurkę, szybującą po niebie ku wschodowi. Mówiono także, iż wszystkie liście dębu odwróciły się w tymże kierunku po odejściu zjawy i dopiero po kilku godzinach drzewo odzyskało zwykły wygląd.

Choć Lucia dostała od matki w skórę za kłamstwo, wieści rozniosły się dalej. 13 lipca już prawie pięć tysięcy osób słyszało, jak Lucia spytała tajemniczą panią, czego sobie życzy. Dowiedziała się znów o konieczności modlitw w intencji zakończenia wojny. Gdy poprosiła zjawę o jakiś cud, który potwierdziłby, że mówiła prawdę, zjawa wyznaczyła dzień 13 października. Następnie dzieci zostały zabrane w duchową podróż po piekle, a potem (jak zapewniała Lucia w 1941 roku) usłyszały przepowiednię dotyczącą końca wojny, a także drugą, o wybuchu następnej, jeszcze straszniejszej. Pani zaleciła modły o uświęcenie Rosji. Przekazała im również pewien sekret, który nigdy nie został wyjawiony. Niektórzy świadkowie zauważyli , jakiś dźwięk przypominający brzęczenie, zmniejszenie się blasku i ciepła słonecznego, małą, białawą chmurkę wokół drzewa, na którym pojawiała się postać, oraz głośny huk w momencie odejścia tajemniczej Pani".

W obliczu inflacji, klęski głodu i strat wojennych oraz wszelkich starań monarchistów i kleru, pragnących znowu ująć

władzę w swe ręce, skłopotany antyklerykal-ny rząd portugalski zaczął się poważnie niepokoić. Duchowieństwo (któremu nowe prawa zabraniały wygłaszania kazań i noszenia strojów liturgicznych) objęło patronat nad owym cudem. Czyżby więc był to prawicowy spisek? 11 sierpnia Arturo d'0liveira Santos, zastępca prefekta z pobliskiego Ourem, zjawił się w Fatimie, by przesłuchać dzieci. Twierdziły, że nie są to ich wymysły ani oszukańcza szopka, wyreżyserowana przez ojca Ferreirę. Podprefekt zabrał dzieci do Ourem, gdzie w miejskim więzieniu, zwanym cadea, przesłuchiwano je - każde oddzielnie - w bardzo przykry sposób. Straszono wrzuceniem do wrzącego oleju i zapewniano o śmierci pozostałej dwójki. Mimo to nadał odmawiały zdradzenia „sekretu". (Santos podejrzewa, iż jest nim data monarchisty cznego zamachu stanu). W końcu zrozumiawszy swą porażkę, odwiózł dzieci z powrotem do Fatimy, ale dopiero po 13 sierpnia.

Nawet pod nieobecność owej trójki zgromadził się wielki tłum: osiemnaście tysięcy osób. Niektóre z nich relacjonowały, że rozległ się grom, a zaraz po nim zabłysło jasne światło, zabarwiając twarze i ubrania zebranych wszelkimi kolorami tęczy. Lśniły nawet drzewa i spękana, sucha ziemia. Pewien świadek stwierdził pod przysięgą na sądzie kanonicznym, iż ujrzał świetlistą kulę, wirującą pośród chmur. Szczegół całkiem po myśli ufologów!

Dzieci powróciły do pasania owiec, a 19 sierpnia miały niespodziewaną wizytę. Madonna zaklinała, by nigdy więcej nie opuścili już umówionego spotkania: ich nieobecność sprawiła, że październikowy cud będzie mniej imponujący. Ponieważ jednak próba uprowadzenia dzieci zakończyła się tak oczywistym fiaskiem, 13 września już trzydziestotysięczny tłum przyglądał się przygasającemu słońcu i gwiazdom, które ukazały się, gdy biała, świetlista kula wylądowała na drzewie. Monsignor John Ouareman, wikariusz generalny z Leiria (który przybył incognito w towarzystwie innego księdza) oświadczył potem: „widziałem jasno i wyraźnie świetlną kulę przemieszczającą się ze wschodu na zachód; sunęła przez powietrze powoli i majestatycznie".

Dotarłszy do drzewa zdumiewająca kula zniknęła, a równocześnie z nieba posypał się istny deszcz połyskliwych, białych „płatków", które dematerializowały się, gdy ludzie usiłowali je pochwycić. Ów „kwietny deszcz" został podobno sfotografowany przez wysłannika rządu, Antonio Robelo Martinsa.

Pani - nadal widoczna i słyszalna wyłącznie dla dzieci - zażądała dalszych modłów i ostrzegła przed grożącym kataklizmem, gdyby ludzie nie poprawili swych obyczajów. Za pośrednictwem Lucii zapewniła ponownie, że 13 października wydarzy się cud.

Ponieważ w całej Portugalii aż huczało od plotek o Fatimie, rząd z satysfakcją przyjął wieść o zapowiedzianym cudzie. Władze były zdania, że jeśli cud się nie wydarzy, wiara w prawdomówność dzieci zostanie podważona. Będzie to również dobry pretekst do nasilenia agitacji antyklerykalnej,

Wielki dzień był burzliwy i dżdżysty. Około siedemdziesięciu tysięcy pielgrzymów z całego kraju i z zagranicy (wielu z nich spędziło w podróży kilka dni) zdążyło przemoknąć ze szczętem, zanim dotarło do Fatimy. Avelino de Almeida pisał o nich na łamach „O Seculo", największej gazety wychodzącej w Lizbonie: „Prawie wszyscy, bez względu na płeć, idą na bosaka. Kobiety niosą obuwie w tłomoczkach umieszczonych na głowie, mężczyźni opierają się na długich kijach; udaje się im jakoś utrzymać w ręku także parasol. Można by sądzić, że nie dostrzegają tego, co się wokół nich dzieje; okazują kompletną obojętność na trudy podróży i obecność innych wędrowców -poruszają się jak we śnie, odmawiając różaniec jękliwym, rytmicznym chórem".

Nie tylko reporterzy tacy jak Almeida, ale również wysłannicy rządu i żołnierze przebywali w pobliżu, gdy olbrzymie tłumy gromadziły się w strugach deszczu w Cova de Iria. Jak zwykle koło południa dzieci zbliżyły się do drzewa, przedzierając się przez ogromny, klęczący tłum. Kiedy deszcz zmienił się w mżawkę, oznajmiły, że Pani jest już obecna i nareszcie zdradziła Lucii, kim jest: Królową Różańca Świętego. Życzyła sobie, by na tym miejscu wybudowano kaplicę. Przepowiedziała zakończenie wojny, ukazała dzieciom nowe wizje - a potem szeroko rozpostarła ramiona. Wytrysnęły z nich snopy oślepiających promieni.

Olśniona Lucia zawołała: „Słońce!",

Wówczas, wśród rozsuwających się chmur, ujrzano olbrzymi, srebrzysty krąg. Nie oślepiał, można się było weń wpatrywać. Jednak ów lśniący krąg zaczął „tańczyć", wirować z zawrotną, niepokojącą szybkością. Na jego krawędzi pojawiła się szkarłatna obwódka, z niej zaś wyrosły ogniste wstęgi koloru krwi, przesłaniając ziemię i niebo, które tworzyły istną feerię barw. Następnie, szaleńczo wirując, tarcza słoneczna nagle poszybowała zygzakiem w dół, ku przerażonym obserwatorom tego zjawiska. Padli na ziemię wszyscy, nie wyłączając niedowiarków. Powietrze tak się rozgrzało, że przemoczone ubrania błyskawicznie wyschły w niepojęty sposób - a słoneczny krąg wisiał nisko nad głowami przez długie jak wieczność dziesięć minut. Potem - wracając na swe dawne miejsce - poszybował zygzakiem w niebo i stał się znów zwykłym, jasno świecącym

słońcem, w które nie można się wpatrywać. Tak przynajmniej mówiono. A zatem - coś się wydarzyło. Tylko co? Na łamach „O Seculo" (z 17 października) de Almeida relacjonował;

Widok jedyny w swoim rodzaju, w który nie uwierzyłby nikt, nie będąc naocznym świadkiem... Jeszcze widzę olbrzymi tłum zwrócony ku słońcu, które wyłania się zza warstwy chmur w samo południe. Ta wielka gwiazda dzienna przywodzi na myśl srebrzystą tarczę; można się w nią wpatrywać bez szkody dla oczu. Nie pali, nie oślepia. Przypomina to trochę zaćmienie. Ale oto wybucha potężny krzyk. Słyszę, jak stojący najbliżej mnie wołają: „ Cud! Cud! Cud!".

Na oczach zdumionego ludu, którego postawa przywodzi na myśl czasy biblijne: pełen przerażenia, z odkrytymi głowami wpatruje się w niebo, słońce drży, wykonuje kilka gwałtownych ruchów-zjawisko bez precedensu, sprzeczne z prawami natury — wreszcie zaczyna „ tańczyć ", według określenia wielokrotnie powtarzanego przez wieśniaków...

Ludzie pytają się nawzajem: co ujrzeli? czy rzeczywiście coś dostrzegli? Większość przysięga, że ujrzała dygoczące i tańczące słońce. Inni jednak utrzymują, iż spojrzeli w uśmiechnięte oblicze Najświętszej Panny, przysięgają, iż słońce obracało się wokół własnej osi niczym „ ognisty młyn " na pokazie fajerwerków; wreszcie runęło w dół, omal nie podpalając ziemi swoimi promieniami.

Trzy godziny później niebo było jasne, a na słońce - jak zazwyczaj - nie można było spojrzeć. Lucia „czyniąc teatralne gesty w ramionach człowieka, który nosił dziewczynkę od grupy do grupy", zapewniała, że wojna niebawem się skończy i żołnierze powrócą do swoich domów. Usatysfakcjonowane znakiem z nieba tłumy pielgrzymów rozeszły się szybko i spokojnie. Interwencja wojska nie była potrzebna. Zauważywszy triumfujące i zadowolone miny duchownych, de Almeida konkluduje: „osoby kompetentne będą musiały wypowiedzieć się jeszcze na temat tego słonecznego »danse macabre«», który dziś w Fatimie sprawił, iż z piersi wiernych wyrwało się radosne »Hosanna!« i zrobił wielkie wrażenie nawet na wolnomyślicielach i ludziach obojętnych religijnie - jak zapewniali wiarygodni świadkowie..".

Także inni uczciwi sceptycy przyznali, że w Fatimie zaszło coś niezwykłego. Zarzut zbiorowej hipnozy albo masowej sugestii odpadł automatycznie, gdyż fenomen ten był postrzegalny w odległości 48 kilometrów, między innymi obserwował go poeta Alfonso Lopes Vieira. „Przypominało to śnieżną kulę, która obraca się wokół własnej osi - napisał po wielu latach ojciec Inacio Lourenco, który jako chłopiec przebywał wówczas w Alburita, 18 kilometrów od Fatimy. - Potem nagle zaczęło zniżać się zygzakiem, wydawało się, że spadnie na ziemię. Przestraszony szukałem schronienia w samym środku tłumu. Wszyscy płakali, spodziewając się rychłego końca świata".

A przepowiednie? Wyjaśnienia? Tym zajmiemy się później. Najistotniejsze jest to, że wielu ludzi w Fatimie było pewnych, iż na ich oczach Najświętsza Panna dała dowód swojej potęgi, a zarazem rzuciła swe pierwsze ostrzeżenie. Miała je w tym stuleciu wielokrotnie powtarzać. „Zmieńcie swe grzeszne życie, moje dzieci, bo inaczej mój Syn wymierzy wam karę!" - oto główny sens tych przesłań. Fatima była po prostu pierwszym z wielu miejsc, gdzie słońce tańczyło, a surowa protektorka karciła i pocieszała równocześnie. Kim ona właściwie jest?

Boża Rodzicielka

Wśród katolików, którzy uważają Maryję nie tylko za ziemską matkę Chrystusa, ale za Matkę Bożą, ponowny wzrost jej znaczenia przedstawia się doprawdy imponująco. Niegdyś tak czczona, że zaćmiewała Jezusa oraz wszystkich świętych i aniołów, w XVI wieku znalazła się w cieniu. Inkwizycja tępiła wszystko, co wyglądało na jakieś „niewieście sztuczki" (na przykład czary). Protestancka reformacja całkowicie zlikwidowała kult „ubóstwionej kobiecości". Męski punkt widzenia i męskie interesy zadecydowały o tym, iż należy bez ceregieli zniszczyć podobną konkurencję.

Potem zatriumfowały nauki ścisłe i wielki biznes. Wizje całkowicie wyszły z mody.

A zatem, jak i dlaczego Najświętsza Panna ukazała się znów wizjonerom i stała się ośrodkiem ogólnego zainteresowania? Co ona sobą reprezentuje? Z jakiego zakątka ludzkiego umysłu przybywa?

W najdawniejszych czasach otaczano wielką czcią boginie księżyca, symbolizujące płodność natury: Izydę, Innanę, Isztar, Kybele. Ojcowie Kościoła próbowali wyplenić te kulty i przesłonić je opowieścią ewangelisty Łukasza (l, 26-35) o tym, jak archanioł Gabriel został wysłany do Nazaretu, do „dziewicy poślubionej mężowi imieniem Józef. Dziewica to Maryja, była tak niezwykle dobra, że Bóg postanowił, iż ona właśnie urodzi jego syna, Jezusa, „którego panowaniu nie będzie końca". Zdumiona tą wieścią Maryja zapytuje: „Jakże się to stanie, skoro nie znam męża?" Gabriel odpowiada: „Duch Święty zstąpi na ciebie i moc Najwyższego osłoni cię". Tak więc Maryja we właściwym czasie poczyna i wydaje na świat Jezusa.

Jest to bardzo dziwna opowieść. Jeśli sytuacja Józefa przedstawia się niejasno, to tym bardziej rola Maryi. W Ewangeliach

Jezus zwraca się do niej tylko dwa razy, zawsze używając słowa „niewiasto". (Ew. Jana 2,4 i 19,26). Marek, pierwszy z ewangelistów, w ogóle nie wspomina o narodzeniu z dziewicy; stawia też pod znakiem zapytania pochodzenie Jezusa, nazywa go bowiem „synem Maryi", nie zaś „synem Józefa".

Czy Kościół musiał jakoś usprawiedliwić nieślubne pochodzenie Jezusa, równie ambarasujące jak plotki gnostyków o tym, iż Maria Magdalena była tym „uczniem, którego Jezus najbardziej miłował"? Legenda o narodzeniu z dziewicy zarówno maskowała ten problem, jak i (co przydało nowej wierze popularności na ówczesnym „religijnym rynku"!) nawiązywała do bardzo wówczas popularnego, starożytnego mitu o urodzeniu Horusa przez egipską boginię Izydę. Historyczna Maryja - jeśli w ogóle istniała - gdzieś się zawieruszyła.

Również termin „dziewica" był wówczas bardzo szeroki: oznaczał niezamężną i nie związaną z nikim kobietę, bezdzietną mężatkę, a nawet prostytutkę. Nietkniętą dziewicę określano w języku łacińskim zwrotem „virgo intacta"; w starożytnej Grecji synów zrodzonych w legalnym związku małżeńskim określano jako „parthe-nioi", czyli „zrodzeni z dziewicy". Boginię Artemidę uparcie tytułowano „dziewicą", nawet gdy wydała na świat pięćdziesiąt córek. Afrodyta była zarówno „dziewicą", jak i „pome" (dziwką). Babilońską Isztar uważano i za Dziewiczą Matkę, i za „litościwą prostytutkę".

Uznawszy prymat Ojca, Syna i Ducha Świętego (dwóch mężczyzn i ducha), Kościół zrobił co mógł, by pozbyć się bogini. Jej świątynie były poświęcane komu innemu lub zamykane. Jednak sama bogini nie przestała istnieć. Ludzie jej potrzebowali. Około 300 roku n.e. pod imieniem Maryi czciły ją członkinie kobiecej sekty collyri-dianek, potępionej jako heretycka. „Niechaj nikt nie oddaje boskiej czci Maryi!" - grzmiał biskup Epifaniusz. Sama jego wypowiedź była już dowodem istnienia takiego kultu. Toteż ojcowie Kościoła zmienili w końcu swe stanowisko pod presją ogólnego zapotrzebowania na opiekunkę, i w 431 roku sobór w Efezie uznał Maryję za Bożą Rodzicielkę, choć nie miała odbierać czci boskiej. Jej pośrednio jednak dawana do zrozumienia boskość coraz to uzewnętrzniała się. Zaczęły pojawiać się doniesienia o cudach. Mówiono, że Maryja wstawia się do Boga za nieszczęsnymi grzesznikami. Miała ratować całe miasta i udaremniać oblężenia - w 717 roku jej niebiańskiej interwencji przypisywano ocalenie Konstantynopola.

W istocie kult Maryi narodził się właśnie z Bizancjum. Wodzowie przed bitwą błagali ją o wsparcie, okręty wojenne nazywano jej imieniem. Kiedy zaś Konstantynopol ocalał, mimo że obiegli go barbarzyńcy w 717 roku, patriarcha bizantyjski Germanus rozpływał się w pochwałach: „Nikt, nasza Najświętsza Pani, nie może dostąpić zbawienia bez twego udziału!". Maryja uosabiała miłosierdzie, Bóg zaś surową sprawiedliwość. Jesteśmy niemal wszyscy grzesznikami, twierdził patriarcha, skazanymi na potępienie - tak orzeka boskie prawo. Maryja jednak może obejść te przepisy: Jezus jest jej posłuszny w niebie tak, jak był na ziemi, gdy w Kanie na jej polecenie zmienił wodę w wino. (Ew. Jana 2, 1-11).

To pomysłowe rozumowanie dotarło do Europy dzięki krzyżowcom. Późniejsze klęski, takie jak zaraza szerząca się w latach 1347-1350, wzmocniły jeszcze ogólne zapotrzebowanie na niebiańską opiekunkę. Jej imieniem nazwano wielkie gotyckie katedry w Chartres, Reims, Amiens, Rouen, Bayeux czy Paryżu, które miały stanowić ziemskie odbicie gwiezdnej konstelacji Panny (Virgo). Nowy rycerski obyczaj wymagał od mężczyzn mniej chamskiego zachowania; wielkie matki rodów z owej epoki, takie jak Eleonora Akwitańska czy Blanka z Kastylii, przyczyniły się walnie do spopularyzowania pogańskich opowieści, z lekka tylko schrystianizowanych, takich jak legendy o królu Arturze. Tak więc Maryja odziedziczyła insygnia dawnej bogini płodności. Królową Niebios, podobnie jak niegdyś Izydę - przedstawiano zasiadającą na księżycowym tronie. Kościół zezwolił też kobietom czcić wizerunki Czarnej Madonny (a w istocie Izydy, bogini księżyca); wiele ich zachowało siew kościołach katolickich, zwłaszcza we Francji.

Maryja przejęła także Święto Gromnic od Izydy i rzymskich bogiń Diany i Westy, jego termin zaś (2 lutego) zapożyczyła od irlandzkiej Brigit.

W popularnych w średniowieczu legendach Maryjnych dominującą rolę odgrywa jej wpływ na Boga. To Maryja łagodzi czyśćcowe męki albo oddala godzinę śmierci grzeszników, by ocalić ich od piekła. Zajmuje miejsce kobiety, którą mąż przyrzekł oddać diabłu; ten zaś na widok Maryi znika. Mniszka ucieka z klasztoru - Najświętsza Panna skłania ją do powrotu. Zakonnica lęka się kary, a potem stwierdza, że Maryja zastąpiła ją tam i nikt nie zauważył jej ucieczki. Rozbójnik, który modlił się do Maryi, zostaje schwytany i powieszony, ale nie ginie, gdyż Matka Boska w cudowny sposób podtrzymuje go w powietrzu, by pętla się nie zacisnęła. Złoczyńca wisi tak długo, aż wreszcie kat uznaje to za jawny cud - i rozbójnika puszczają wolno.

W Rouen w czterdziestych latach XIII wieku Richard St. Laurent twierdził, że: „Maryja tak złagodziła gniew naszego Pana, i nadal go łagodzi przez swe zasługi i modlitwy, że teraz znosi On cierpliwie nawet wielkie grzechy, podczas gdy dawniej bezlitośnie karał za drobne przewinienia".

Obraz Najświętszej Dziewicy, przedstawianej nie tylko jako litościwa wstawienniczka, ale i przepiękna pani, ukształtowało znów ogólne zapotrzebowanie: wyposażono jaw urodę i potęgę zgodną z powszechnymi oczekiwaniami. Franciszkanin Bernardine z Busti opowiada swoim czytelnikom, że Maryja, obdarzona świadomością już w łonie matki, przyszedłszy na świat nie płakała jak inne niemowlęta, lecz śpiewała wraz z aniołami. W wieku trzech lat była mędrsza od wszystkich profesorów. W Żywocie Maryi, opartym na przeżywanych przez samą autorkę objawieniach, hiszpańska zakonnica Maria d'Argeda zapewnia, że Maryja była wszechmocna i czyniła cuda już podczas swego życia na ziemi.

Publikacja podobnych tekstów nie była dziełem przypadku. Jeżeli pogańskich wierzeń nie można zdławić - rozumowali ojcowie Kościoła - należy przynajmniej odpowiednio je ocenzurować i sobie przypisać autorstwo. Nic więc dziwnego, iż rozwinął się potężny, masowy kult wokół osoby Maryi. Mogła ona przekroczyć ocean, by wchłonąć w siebie także bóstwa Azteków.

Cud w Gwadelupie i inne wizje

W świątyni w Mexico City, otoczony głęboką czcią, znajduje się wizerunek Najświętszej Panny, uważany za jej autoportret - jest to jeden z najsłynniejszych świętych obrazów w całym katolickim świecie. „Obliczono, że każdego roku - pisze Jody Brant Smith w swojej książce *The Image of Guadelupa* (Wizerunek z Gwadelupy) - dziesięć milionów pielgrzymów chyli czoło przed tajemniczą Madonną, dzięki czemu kościół w Mexico City jest najsławniejszym - po Watykanie - ośrodkiem wiary rzymskokatolickiej".

Zawarta w spisanym w języku Azteków - na samym początku ery nowożytnej -*Nican Mopohua* (Świadectwie) opowieść głosi, że w początkach grudnia 1531 roku (zaledwie dwanaście lat po tym, jak Cortez wylądował wraz ze swymi konkwistadorami w Ameryce Środkowej) pewien aztecki neofita, który przyjął na chrzcie imiona Juan Diego, usłyszał śpiew ptaków, gdy mijał wzgórze zwane Tepeyac. Ujrzawszy nad nim jasne światło i słysząc jakiś głos, wołający go „Juanito!", wspiął się na szczyt, gdzie skąpana w złocistej mgle stała młoda, ciemnowłosa Indianka. Oznajmiła mu, że jest „przeczystą najświętszą dziewicą, Maryją, Matką Boga prawdziwego" i wyraziła życzenie, by na tym miejscu wzniesiono jej świątynię. Juan przekazał jej życzenie biskupowi Meksyku, ojcu Juanowi de Zumarraga, ale ów sceptyczny dostojnik po prostu go wyrzucił. Najświętsza Panna znów objawiła się Indianinowi na Tepeyac i kazała mu jeszcze raz iść do biskupa, który tym razem zażądał „jakiegoś znaku". Juan Diego, któremu polecono nazrywać kwiatów, uczynił to. Rozkwitły one w cudowny sposób, choć nie była to pora kwitnienia. Juan Diego wrócił więc do biskupa i rozsypał kwiaty przed nim na posadzce. I nagle wśród kastylijskich róż ukazał się „zarys bezcennego wizerunku Przeczystej Najświętszej Panny Maryi, Bożej Rodzicielki - ten, który do dziś przechowywany jest w świątyni w Tepeyac, noszącej teraz nazwę Gwadelupa".

Tak więc biskup (przynaglony wybuchem zarazy) zbudował tam świątynię, a Maryja stała się patronką Meksyku, potem zaś obu Ameryk. Czy ową legendę sfabrykowano post factum? Nickell zwraca uwagę na motywy biblijne: boski nakaz budowy kościoła, cudowne kwiaty, wyraźnie dostrzegalne „znaki". W usta Maryi zostają włożone dogmaty: „Przeczysta Najświętsza Panna Maryja, Matka Boga Prawdziwego" itd. Co więcej, legenda została zapożyczona. Nazwa „Gwadelupa" (tak przemianowano Tepeyac w 1556 roku) jest echem wcześniejszej hiszpańskiej legendy: Najświętsza Panna objawiła się pasterzowi, który następnie znalazł Jej posąg nad rzeką Gwadelupa (oznacza to „ukryty kanał"). Dodajmy jeszcze, że kościół, w którym umieszczono cudowny obraz, znajduje się na wzgórzu tuż obok miejsca, gdzie stała dawniej świątynia azteckiej bogini Tonantzin.

Idealnie się złożyło, wziąwszy pod uwagę fakt, iż Hiszpanom zależało na jak najszybszym nawróceniu Azteków na chrześcijaństwo - w czym niebagatelnie pomagało przejmowanie ich świętych przybytków i bóstw. Aztekowie widzieli w olśniewającej nowej bazylice świątynię Tonantzin, nie Maryi, jak przy znaje franciszkański kronikarz, Bernard de Sagun, gdy pisze: „Wyraźnie widać, że w sercach prostego ludu, który tam pielgrzymuje, króluje ich pradawna religia". A czemuż by nie?

Było to wówczas ostatnie objawienie Maryjne, które Watykan uznał za autentyczne: później nastąpiła przerwa, trwająca trzysta lat. Kolejne, z 1830 roku, również związane było z wizerunkiem („cudownym medalionem"), który okazał się bardzo użyteczny pod względem politycznym.

Kult Maryi osłabł, ale w 1750 roku dzieło św. Alfonsa Liguori *The Glories of Mary* (Chwalebne cuda Maryi) spowodowało jego ożywienie, wzmacniając wiarę we wstawiennictwo Maryi Panny. Jedna z zawartych w tym dziele opowieści głosi, że pewien człowiek, wiodący występne życie, błagał Najświętszą Pannę, by nie pozwoliła mu umrzeć w stanie grzechu. Kiedy

został śmiertelnie ranny w bitwie, Maryja uniosła go przez powietrze w bezpieczne miejsce. Odbył spowiedź i zmarł w pokoju. Znalazła się tam również wzmianka o ściętej głowie rozbójnika, który zginął nie oczyściwszy się z grzechów. Ponieważ pościł, by w ten sposób uczcić Maryję, w cudowny sposób sprawiła, że odcięta głowa zachowała życie, dopóki ksiądz nie wysłuchał spowiedzi. Św. Alfons twierdzi, iż ród ludzki jest zbyt słaby, by stanąć przed swym Stwórcą, i jedyną szansę zbawienia ma tylko wówczas, gdy zdobędzie łaskę Maryi.

Chwalebne cuda Maryi zapoczątkowały nowy ruch religijny. W 1854 roku ogłoszony został dogmat o Niepokalanym Poczęciu Najświętszej Panny. Jej Wniebowzięcie oficjalnie uznano w 1950 roku. Jak dalece podobne opowieści, wizerunki i nastrój, który stwarzały, wpłynęły na kolejnych wizjonerów Maryjnych - pozostaje nadal otwartą kwestią. Powtarzające się cechy charakterystyczne tych wizji (błękitna szata, lśniący, biały welon, itp). stanowią odbicie przekazywanych od tysięcy lat opisów bogini, pokrytych chrześcijańską powłoką. Co jednak rzeczywiście ma wówczas miejsce? Wizje Maryjne występuj ą w krajach katolickich; na północnym niebie pojawia się UFO. Bez względu na to, jaką postać przybiera to zjawisko (zgodnie z oczekiwaniami mieszkańców danego terenu), pod ową maską kryje się coś więcej. Być może jakaś cząstka naszego umysłu uświadamia sobie prawdziwą wymowę tego wydarzenia i usiłuje przekazać tę wieść dalej? Mówienie o oszustwie, złudzeniu czy masowej halucynacji staje się - w pewnym sensie - bezcelowe (chyba że uznamy, iż sztuczki płata jakiś czynnik pozaludzki). Liczy się jedynie potęga utrwalonego wizerunku i siła wiary... oraz fakt, że Maryję coś najwyraźniej trapi.

Tłumy wizjonerów

W okresie tzw. rewolucji przemysłowej ściągnęły uwagę w 1830 roku wizje Maryjne dudziesto-czteroletniej paryżanki Catherine Laboure. Ta pochodząca z chłopskiej rodziny siostra miłosierdzia miała wyraźną słabość do zjaw. Już jako dziecko bawiła się z niewidzialnymi przyjaciółmi, z których jednym był jaśniejący pięcioletni anioł stróż. Często ukazywał jej się również założyciel zgromadzenia zakonnego, do którego należała, św. Wincenty a Paulo. Mitomanka? Dziewczyna o niezwykle żywej wyobraźni? Jednak jej wizje okazały się bardzo przydatne. Oświadczyła, że w dniu 27 listopada 1830 roku ujrzała Najświętszą Pannę, otoczoną owalną ramą, na której był napis: „O Maryjo, poczęta bez grzechu, módl się za nami, którzy się do Ciebie uciekamy". Miała też usłyszeć głos, który wydał jej dokładnie sprecyzowane polecenie: „Każ wybić medalion według tego wzoru. Osoby, które będą go nosić, doznają odpuszczenia grzechów i dostąpią wielkich łask, zwłaszcza jeśli zawieszą ów medalion na szyi. Łaska spłynie obficie na tych, którzy temu zawierzą".

„Cudowny medalion" został więc wybity zgodnie z poleceniem i stał się mocnym argumentem wyznawców Niepokalanego Poczęcia. Dogmat ów został oficjalnie zatwierdzony w 1854 roku przez papieża Piusa IX. Głosił on, że Maryja została poczęta bez zmazy grzechu pierworodnego. W 1950 roku (trzy lata po kanonizacji siostry Catherine) papież Pius XII wydał bullę *Munificentissimus Dei* (Najszczodrobliwszy Boży..)., zatwierdzającą dogmat Wniebowzięcia - głoszący, iż Maryja, podobnie jak Jezus, znalazła się w niebie wraz ze swym ziemskim ciałem.

Mimo taktyki Watykanu, polegającej na niepodejmowaniu żadnych pochopnych decyzji (Rzym stosował tę strategię od bardzo dawna), od 1830 roku kult Maryi i wizje Maryjne przybrały wyraźnie na sile. Była to zrozumiała reakcja na triumfalny marsz materialistycznego scjentyzmu, podobnie zresztą jak nie w pełni świadomym oporem przeciw niemu był ruch spirytystyczny. Dzieci miewały widzenia; miejsca owych wizji przekształcały się w ośrodki kultu Maryjnego, do których spieszyli pielgrzymi i skąd donoszono o cudach, uzdrowieniach i nawróceniach. Zbijano na tym fortuny, choć nie jest to ostatecznym dowodem, że wszystko było oszustwem.

Do wcześniejszych ośrodków wizjonerskich należały: La Salette (w Alpach Francuskich: 1846), Lourdes (1858), Pontmain w pobliżu le Mans we Francji (l 871), Knock w Irlandii (1879), Fatima (1917), Beauraing w Belgii (1932) i Bannaux (również w Belgii; 1933).

W bliższych nam czasach wielki rozgłos zyskały niezwykłe wydarzenia w Garabandal w Hiszpanii (1961); wielokrotne pojawianie się postaci w bieli na szczycie koptyjskiego kościoła na przedmieściu Kairu o nazwie Zeitoun (w latach 1968-1971); regularnie powtarzające się wizje Maryi, Jezusa, św. Michała, a także jaśniejących aniołów i chodzących w glorii mniszek, które miewa od 1968 roku Veronica Lueken z Bayside w stanie Nowy Jork. Podczas zbiorowych czuwań modlitewnych nagrywa ona na magnetofon niebiańskie przesłania. Podobno można otrzymać także zdjęcia. Równie wątpliwe są wizje Maryjne, o których donosi od 1968 roku uznany za heretyka hiszpański stygmatyk Clemente Dominguez. i wreszcie, 31 października 1981 roku na kapuścianej grządce w górniczej osadzie La Talaudiere w pobliżu Lyonu we Francji, czternastoletnia Blandine Piegay ujrzała „wysoką panią o szlachetnej postawie, młodą i pełną dobroci, osłoniętą wielkim,

niebiesko-białym welonem". Biorąc pod uwagę, że z jednej strony grządki znajdował się kurnik, z drugiej zaś płynęła zanieczyszczona rzeczka, sceneria wydaje się niezbyt odpowiednia dla podobnych wizji. Nie jest pewne, czy sama dziewczynka rozpoznała w swej rozmówczyni Maryję, czy też podpowiedziała jej to rodzina. Tak czy inaczej. Kościół nie odniósł się życzliwie do relacji Blandine, tym bardziej, iż ukazująca się jej Pani wyraziła sprzeciw wobec modernizacji Kościoła. Sąsiedzi z równym brakiem entuzjazmu odnieśli się do najazdu pielgrzymów, których rzesze zaczęły napływać do tej niepozornej osady, jeszcze mniejszej w porównaniu z olbrzymimi hałdami żużlu.

W miejscowości Akita w Japonii, Agnes Sasagawa, japońska zakonnica-stygmatyczka, w latach 1973-1981 donosiła o przesłaniach, przekazywanych jej przez zjawy. Ostrzegały one o grożącej „karze" i „ogniu, który runie z nieba". Równocześnie statuetka Najświętszej Panny, znajdująca się w klasztorze, płakała krwią i ludzkimi łzami: podobno wykazała to analiza chemiczna. W Kibeho w Ruandzie w latach 1981-1989 siedmiorgu młodym ludziom stale ukazywali się Maryja i Jezus. Zdjęcia wykonane za pomocą flesza i nagrania momentów ich ekstazy na wideokasetę nie są w stanie zaćmić wymowy przesłania Maryjnego, które otrzymał biskup Jean Baptiste Ghamanyi. Brzmi ono: „pozostało już niewiele czasu". W Betami zaś (w Wenezueli) od 1984 roku ponad dwa tysiące ludzi zdążyło podobno zbaczyć Madonnę, ukazującą się obok wodospadu na rzece, której wody mają cudowną moc uzdrawiania i nawracania. Wizja przypomina Najświętszą Pannę z Lourdes. Jest to jaśniejąca postać w bieli z błękitnym paskiem. Maryja pojawia się tam -jak wyraziła to wizjonerka i stygma-tyczka, Maria Esperanza Bianchini - by „pojednać wszystkie narody i wszystkich ludzi". Maryja stając w obronie ubogich i potrzebujących pomocy sprzeciwia się krzywdzie społecznej. Gdzie prawo ludzkie jest łamane, poskutkuje, być może, prawo niebios.

Niepokojącym aspektem Maryjnych wizji jest fakt, że bardzo często rzekome przesłania od Najświętszej Panny wyraźnie służą interesom konkretnych ugrupowań w dobie kryzysów społecznych. Tak właśnie na Ukrainie, która wchodziła wówczas w skład Związku Radzieckiego, podobno dokładnie co do godziny na rok przed tragedią w Czemobylu, 26 kwietnia 1985 roku dwunastoletnia Maria Kyzan z Hriuszewa (w pobliżu polskiej granicy), mijając zamkniętą kaplicę katolicką pod wezwaniem Świętej Trójcy, ujrzała unoszącą się nad jej kopułą Najświętszą Pannę. Była ona w czerni i jaśniała „nieziemskim światłem". Niebawem inne osoby zaczęły twierdzić, że ujrzana przez nie postać jest identyczna z wizerunkiem Naszej Pani Litościwej, (ikony, której tradycja wiąże z początkiem chrześcijaństwa na Ukrainie).. Dziesiątki tysięcy osób zaczęły się gromadzić, mimo że „Prawda" odmawiała autentyczności temu „zakłócającemu porządek cudowi", określając go jako „usiłowania ekstremistów pragnących uniemożliwić proces pieriestrojki". Wyglądało na to, iż Madonna opowiada stępo stronie Kościoła Ukraińskiego i jest przeciwniczką komunizmu. W 1914 roku także ukazała się podobno na Ukrainie Najświętsza Panna i wspomniała, że nastąpi osiemdziesiąt lat ucisku. Niektórzy są zdania, iż jedno z sekretnych proroctw z Fatimy dotyczyło również nawrócenia się komunistycznej Rosji.

Na co? Na gangsterski kapitalizm? Czy sytuacja obecnie panująca w Rosji stanowi triumf chrześcijaństwa? Tak czy owak, wizje Maryjne często miewają podtekst polityczny. Tak było w Fatimie i prawdopodobnie w Medjugorje. Można się spierać o to, czy nawet nie w La Salette w pobliżu Grenoble w Alpach Francuskich - które w 1846 roku stało się sceną pierwszych tego rodzaju wydarzeń w bliższych nam czasach.

La Salette: „Zmieńcie swe grzeszne życie!"

Rankiem 19 września 1846 roku dwoje dzieci pasło bydło na wzgórzu Gargas za miastem La Salette. Czternastoletnia Melania Mathieu, niepiśmienna córka robotnika, uchodziła za ślamazarną! leniwą. Matka często nie wpuszczała jej do chaty. Mówiła ona wówczas, że Jezus dotrzymuje jej towarzystwa. Ojciec jedenastoletniego Maximina Giraud przebywał poza domem, a macocha często wymyślała chłopcu, który miał opinię lekkoducha. Dzieci zawarły znajomość stosunkowo niedawno. Owego ranka najpierw Melania a potem Maximin ujrzeli jaśniejącą świetlistą kulę, która spłynęła z nieba w łożysko wyschniętego potoku. Kula otwarła się i ujrzeli w jej wnętrzu piękną panią w białym płaszczu; od jej postaci bił taki blask, że nie mogli się w nią długo wpatrywać. Melodyjnym głosem poleciła dzieciom zbliżyć się. Chciała przekazać im ważne wieści. Ludzkie występki wywołały gniew jej syna. Ludzie muszą zmienić swe grzeszne życie, gdyż inaczej jego pomsta spadnie na świat. Na początek we Francji zapanuje nieurodzaj. Dzieci muszą się modlić i zawiadomić innych o tej przepowiedni. Powierzywszy następnie każdemu dziecku z osobna jakiś sekret, postać uniosła się nad wzgórze i zniknęła.

Dzieci, nie mając pojęcia, kim była owa pani, opowiedziały o wszystkim księdzu. Wkrótce wieść się rozniosła: objawiła się Najświętsza Panna! Zaczęli napływać pielgrzymi; docierały wieści o pierwszych cudach. Okazało się, że wewnątrz skały, na

której przysiadła Madonna, znajduje się wizerunek Chrystusa! Wyschłym strumieniem zaczęła płynąć woda. Szeroko rozniosła się sława cudownego źródła. „Dzieci, starcy i staruszki, ciężarne kobiety, wszyscy dążą tam, przybywają zlani potem i bez tchu, piją wodę ze źródła i odchodzą pełni radości" - donosił biskupowi miejscowy ksiądz, Pierre Melin. „Ich modły i wiara oczyszczają wodę: nie zaszkodziła ona nikomu".

Zaobserwowawszy, że wiele rzekomych uzdrowień w La Salette następowało podczas zbiorowych pielgrzymek, pewne autorytety doszły do wniosku, iż dużą rolę odgrywa czynnik psychologiczny. Bez wątpienia. Ale uzdrowienia te rzeczywiście miały miejsce. Jeśli chodzi o proroctwa dotyczące nieurodzaju i klęski głodu, to irlandzka „zaraza ziemniaczana" z 1845 roku zdążyła właśnie dotrzeć do Europy, a złe zbiory pszenicy i winogron już wcześniej w La Salette powodowały niedostatek i drożyznę. „Sekretne przesłania" zostały spisane i przesłano je papieżowi Piusowi IX w 1851 roku. Gdy je później opublikowano, okazało się, że przepowiadały zamęt w Europie. Czy było to ostrzeżenie przed rewolucją 1948 roku? Tekst sformułowano tak, iż trudno było się połapać, o co naprawdę w nim chodzi. Jednakże Melanie i Maximin nigdy nie zmienili swoich relacji - ani wówczas, ani później. Mimo że przesłuchiwano każde z dzieci oddzielnie, ich zeznania pokrywały się w każdym szczególe,

Wydarzenia w La Salette stanowią prototyp szeregu następnych wizji, m.in. w Lourdes w 1858 roku; znacznie jednak odbiegało od nich to, co zaszło w Pontmain wieczorem 17 stycznia 1871 roku.

Niebiańska Pani z Pontmain

Było już ciemno, a pruska armia znajdowała się niedaleko Pontmain. Eugene Barbadette (dwunastolatek) pracował wraz ze swym ojcem i dziesięcioletnim bratem Josephem w stodole we wsi w pobliżu Le Mans, gdy odwiedziła ich pewna sąsiadka. Eugene wyjrzał na dwór, by „popatrzeć na pogodę" i doznał szoku. Była zimna, rozgwieżdżona noc, śnieg iskrzył się na pobliskich dachach. Jakieś 6 metrów nad jednym z nich unosiła się wysoka, prześliczna kobieta w błękitnej szacie zdobnej gwiazdami. Czoło jej osłaniał niebieski welon, ręce miała skierowane ku dołowi i rozpostarte w modlitewnym geście. Obdarzyła chłopca uśmiechem - i w tym właśnie momencie wyszła ze stodoły sąsiadka, pani Jeanette Detais. Eugene zapytał ją, czy coś dostrzegła. Nie zauważyła niczego. Pan Barbadette również niczego nie widział, natomiast Joseph od razu ujrzał zjawę. Zaniepokojeni dorośli przysłuchiwali się, jak dzieci wymieniały między sobą spostrzeżenia, a potem ojciec gniewnie rozkazał im wracać do stodoły. Wkrótce jednak zmiękł i polecił starszemu synowi wyjrzeć, czy zjawa jeszcze tam jest. Eugene wrócił z wieścią, że jest tam nadal. „Zawołaj matkę, ale nic jej nie mów!" - zlecił mu ojciec. Pani Barbadette przede wszystkim zwróciła uwagę na dziwne zachowanie młodszego syna: Joseph stał przed stodołą, zagapiony w niebo, klaszcząc w ręce i wykrzykując „O, jaka ona piękna!". Matka dała mu klapsa, żeby nie robił zamieszania. Kiedy jednak obaj bracia obstawali przy tym, że Niebiańska Pani naprawdę istnieje, matka skłoniła całą rodzinę do modlitwy. Zaczął się gromadzić tłum. Gospodyni wezwała służącą - dziewczyna widziała na niebie tylko gwiazdy. Chłopców zabrano do domu na kolację, ale potem znów wybiegli na dwór: niezwykła pani nadal była na niebie. „Może tylko im dane jest ją zobaczyć?" - spytał Barbadette żony. Ta zaprowadziła Eugene'a do siostry Vitaline, zakonnicy mieszkającej w pobliżu. Popatrzyła ona w niebo, ale niczego nie ujrzała. Eugene cierpliwie wskazywał trzy gwiazdy, które - jak mówił - wyznaczały zarys postaci. Dorośli jednak w dalszym ciągu niczego nie mogli dostrzec. Zaintrygowana wydarzeniem siostra Vitaline wezwała z klasztoru dwie dziewczynki: jedenastoletnią Francoise Richer i dziewięciolatkę, Jeanne-Marie Lebosse. Bez żadnych wyjaśnień wyprowadziła je na uliczkę, a tu - nie uprzedzone przez Eugene'a - dziewczynki od razu ujrzały unoszącą się w powietrzu niewiastę w błękitnej szacie ze złotymi gwiazdami. Sprowadzono więcej dzieci. Podobno wszystkie widziały zjawę, mimo że nie zostały o niej uprzedzone.

Następnie - co było jeszcze bardziej zdumiewające - dzieci ujrzały owalną ramę z czterema świecami, która otoczyła Niebiańską Panią. Stała ona nadal bez ruchu, ale na jej twarzy zamiast uśmiechu gościł teraz smutek. Na niebie poza nią- litera po literze - wyłonił się napis: „Mais priez, Dieu vous exaucera en peu de temps. Mon flis se laisse toucher" (w wolnym tłumaczeniu: „Módlcie się tylko, Bóg was rychło wysłucha. Mój Syn da się ubłagać"),

Podobno wszystkie dzieci, choć były rozproszone w tłumie około pięćdziesięciu dorosłych, ujrzały te same słowa. W tym właśnie momencie przybiegł ktoś z wieścią, że Prusacy zbliżają się już do Pontmain. Gdy wśród ludzi zapanował niepokój, dzieci ujrzały, jak Niebiańska Pani unosi ręce i uśmiecha się. Potem twarz jej posmutniała. Nad piersią pojawił się krzyż, welon przesłonił jej rysy. Powoli postać zniknęła sprzed oczu dzieci; oglądały j ą przez pełne dwie godziny.

Tymczasem w pobliskim Laval dowództwo pruskich wojsk postanowiło zaniechać dalszego marszu. Pontmain zostało

ocalone - za sprawą Najświętszej Panny!

Nie wiadomo, co o tym myślała ludność wsi, które nie miały podobnego szczęścia -ale w 1875 roku biskup z Laval uznał wizję z Pontmain za autentyczną. Dziś stoi na tym miejscu bazylika (zaczęto ją budować w 1872 roku, a poświęcenia dokonano w 1900 roku).

Dla Eugene'a i innych dzieci trzy gwiazdy wyraźnie wytyczały kontur niebiańskiej postaci. One widziały ją, dorośli nie mogli jej ujrzeć, choć niektórzy z nich zauważyli, że te trzy gwiazdy płonęły wyjątkowo jasno. Zwykła sugestia? A czy twierdzenie, iż dzieci dostrzegały zjawę bez żadnego uprzedzenia, jest całkowicie prawdziwe? Podekscytowani dorośli nie wyciągają na ogół dzieci na dwór, chyba że jest tam coś godnego obejrzenia; poza tym wszyscy gapili się w niebo, a Prusacy byli tuż-tuż. Chyba całkowicie naturalną reakcjąw katolickim społeczeństwie było to, że wyczuwając niepokój dorosłych - dzieci ujrzały na niebie doskonale wszystkim znaną postać Boskiej Opiekunki - a o kształcie wizji przesądziły widoczne na niebie zgrupowania gwiazd.

Można to sobie wytłumaczyć w ten sposób jeśli w ogóle jakieś wyjaśnienie jest niezbędne.

Stukając do bram nieba

21 sierpnia 1879 roku innego rodzaju Maryjna wizja miała miejsce w Knock, irlandzkiej miejscowości w hrabstwie Mayo. Były to ciężkie czasy. Szalała znów epidemia tyfusu i srożył się głód. Od wielu dni padał deszcz. Życie było ponure. Koło siódmej wieczór, zamykając drzwi kościelne młoda Margaret Beime dostrzegła światło na dachu, ale nie zwróciła na nie większej uwagi. Przechodząc tamtędy mniej więcej pół godziny później. Mary McLaughlin, gospodyni miejscowego księdza, zauważyła blask bijący z południowego szczytu dachu. Oświetlał on grupę postaci koło kościoła: była widoczna Maryja, Józef i jakiś biskup w sakralnych szatach. Przypuszczając, że to ksiądz kupił nowe posągi do ozdoby kościoła, gospodyni poszła odwiedzić Beime'ów. Gdy wracała o godz. 8.15 w towarzystwie Mary Beirne, starszej siostry Margaret, obie zdumiały się niezwykłym światłem, emanującym z kościoła. Następnie mijając budowlę dostrzegły, iż ustawione koło niej posągi poruszają się!

Wkrótce czternastu świadków stało na deszczu, który ich omijał. Obserwowana scena unosiła się podobno jakieś 45 centymetrów nad ziemią. Widzieli Najświętszą Pannę w lśniącej bieli, z rękoma uniesionymi w geście błogosławieństwa. Na prawo od niej - siwobrodą postać św. Józefa; z lewej stał św. Jan Ewangelista w biskupich szatach. Obok postaci widniał ołtarz, a na nim krzyż i baranek. Czternastoletni Patrick Hill relacjonował potem na sądzie kościelnym: „wszystkie figury były żywe i wypukłe, jakby miały prawdziwe ciało. Nic nie mówiły, ale kiedy podchodziliśmy do nich, cofały się w stronę kościoła". Staruszka, która pragnęła objąć dłonie i stopy Maryi Panny, przekonała się, że ściska jedynie powietrze. Wszystko było więc złudzeniem? Tamtejszy arcybiskup, John McHale zarządził śledztwo. Trzej księża - każdy z osobna - przesłuchiwali świadków. Gdy porównali wyniki, relacje nawzajem się potwierdzały. W 1936 roku ostatnie dwie osoby z tamtego grona, które pozostały przy życiu (jedną z nich byłaMary Beime), raz jeszcze potwierdziły wszystkie swe zeznania. Obecnie przybywają do Knock każdego roku tysiące pielgrzymów. To, co ujrzeli świadkowie (lub też wydało im się, że ujrzeli), wywarło potem wpływ na życie wielu ludzi. Niemniej jednak, niektórzy składają wszystko na karb rozigranej wyobraźni, podobnie jak w przypadku istnej plagi ożywionych posągów, która miała miejsce w Irlandii w 1985 roku. Ale czy wyobraźnia naprawdę nie ma nic wspólnego z rzeczywistością?

Garabandal: cudowna hostia

Seria niesłychanie skomplikowanych wizji - prawdopodobnie Maryjnych - rozpoczęła się w niedzielę, 18 czerwca 1961 roku, w górskiej wiosce San Sebastian de Garabandal w północno-zachodniej Hiszpanii. Cztery dziewczynki siedziały na ścieżce za wsią, grając w kulki i jedząc jabłka skradzione z drzewa w ogrodzie nauczyciela. Usłyszawszy huk pioruna, jedenastoletnia Conchita Gonzalez spojrzała w górę i zobaczyła stojącego przy drodze anioła. Miał wygląd mniej więcej ośmioletniego dziecka, błękitną szatę i różowe skrzydła. Otaczało go, jak zeznała później Conchita, „wielkie światło, które mnie wcale nie raziło w oczy". Pozostałe dziewczynki: dziesięcioletnia Mari Cruz Gonzalez oraz dwunastolatki Jacinta Gonzalez i Mari Loli Mazon odwróciły się i także ujrzały zjawę, która następnie zniknęła.

Tak przynajmniej twierdziły dziewczęta. Najpierw opowiedziały o tym nauczycielce. Potem wieść rozeszła się. Następnego

dnia, na ścieżce, czekając na zjawę wraz z tłumem gapiów (którzy, jak zwykle, niczego nie widzieli), dziewczynki zapadły w głęboki trans. Gdy się z niego ocknęły, powiedziały, że anioł nie odpowiadał na ich pytania. Tejże nocy, podczas modlitwy przed snem, Conchita usłyszała głos: „Nie martw się. Ujrzysz mnie znowu". Potem dowiedziała się, iż pozostałe trzy dziewczynki szykując się do snu także usłyszały ten głos - o tej samej porze.

20 czerwca nic się nie wydarzyło. Gdy jednak dzieci wracały już do domu, olbrzymia świetlna zasłona zagrodziła ścieżkę. Następnego dnia powróciły i znów ujrzały anioła, ale nadal milczał. 22 czerwca ojciec Valentin Marichalan, ksiądz z pobliskiego Coso, był obecny w chwili, gdy dzieci „szybko zapadły w trans". Obserwował, jak wieśniacy badali dziewczęta „naukowymi metodami". Świecono im w oczy ostrym światłem, ale ani mrugnęły. „Najboleśniejsze ukłucia, najbrutalniejsze potrząsanie, nawet oparzenia i tym podobne nie były w stanie wyrwać ich z ekstazy" - relacjonował inny świadek.

Od 23 czerwca do l lipca dzieci zapadały w trans niemal codziennie, choć trzykrotnie anioł się nie pojawił, l lipca zapowiedział im (co Chonchita od razu wszystkim oznajmiła), że nazajutrz ujrzą Najświętszą Pannę. Następnego dnia po południu prawie cała wieś udała się na miejsce zapowiedzianego objawienia. Zanim wszyscy zdążyli tam dotrzeć, dziewczynki nagle zapadły w trans. I oto pojawiła się Madonna w otoczeniu dwóch aniołów! Dzieci zaczęły szczebiotać, opowiadając jej o swoim codziennym życiu. Najświętsza Panna śmiała się razem z nimi, nauczyła je modlić się na różańcu, zapowiedziała, że powróci - i zniknęła.

Wkrótce nie musiały wychodzić na ścieżkę, by się z nią spotkać. Gdy przebywały razem, albo nawet każda z nich oddzielnie, otrzymywały nagłe „wezwanie" z wieścią, dokąd mają się udać. Zjawiały się w ustalonym miejscu wszystkie naraz, po czym wpadały w trans. Nawet jeśli je rozdzielono i pilnie obserwowano, cała czwórka reagowała na „wezwanie" w tej samej chwili. Zabrana przez władze kościelne do sąsiedniej miejscowości Santander Conchita zapadła spontanicznie w trans w tym samym momencie co pozostała trójka w Garabandal. Może miały ręczne zegarki lub sprawdzały godzinę na ściennych zegarach? W każdym razie zaczęły występować także i inne fenomeny. Miejscem wizji był teraz niewielki lasek sosnowy na szczycie wzgórza za wioskowym kościołem. Objawy ekstazy (obserwowane przez wszystkich) przybrały na sile. Dziewczynki padały na ziemię, a ich ciała stawały się tak ciężkie, że czterech dorosłych mężczyzn nie mogło ich podźwignąć. Pewnego razu Conchita, leżąca twarzą ku ziemi, uniosła się - poczynając od ramion - jakby lewitowała. Różańce i medaliki, które wciskano w ręce dziewczynkom, by Madonna je ucałowała, wracały przepojone wonią róż. Dziewczęta wyrażały rozpacz nad grzesznym światem, wzywały do ogólnej pokuty i zapowiadały wielki cud.

4 sierpnia, gdy Mari Loli i Jacinta „gawędziły" w sosnowym lasku z Najświętszą Panną, włączono magnetofon. Gdy podsunięto jej mikrofon, zdawało się, że Mari Loli zapada ponownie w trans. Poprosiła głośno Madonnę, by coś powiedziała, a potem równie szybko wróciła do przytomności. Cofnięto taśmę i gdy ją odtwarzano, rozentuzjazmowany tłum usłyszał słodki kobiecy głos: „Nie powiem ani słowa". Zjawa złamała swą obietnicę, zanim ją wypowiedziała - niewielu jednak zwróciło na to uwagę, gdyż tajemniczy głos odtworzono jeszcze tylko dwa razy - a potem zniknął z taśmy na zawsze.

Czwórka dziewcząt zaczęła odbywać „ekstatyczne spacery" po domu i na ulicy. Na filmach widać dzieci przybierające dziwne pozy, wykonujące równocześnie skomplikowane gesty. Przechylając się w tył tak, iż głowy sięgały niemal pasa, biegły do tyłu z dużą szybkością, bez najmniejszego potknięcia czy wywrotki. Jeden z autorów takich dokumentalnych filmów, John Comwell, mówi, że ich dziwaczne sztuczki „były budzącym najwyższe zdumienie dowodem nieprawdopodobnej sprawności fizycznej. Najbardziej jednak zaskakiwała doskonała synchronizacja ruchów w tych niespotykanych układach choreograficznych. Wydawało się, iż wszystkimi czterema owładnęła jakaś moc, która gra na ich ciałach niczym na instrumencie muzycznym".

Serafin, brat Conchity, zwierzył się Comwellowi: „Którejś nocy widziałem coś zupełnie niesamowitego: Conchita zbiegała tyłem ze wzgórza, samiuteńka, w zupełnej ciemności, w środku nocy. Był to nieludzki wyczyn. Nikomu normalnie nie udałoby się nic podobnego".

Czwórka dziewcząt rozwinęła w sobie także zdolności telepatyczne, 31 sierpnia Jacinta ocknęła się z transu w lasku sosnowym i oznajmiła, że według Najświętszej Panienki w tłumie znajduje się ksiądz, z sutanną schowaną pod płaszczem nieprzemakalnym. Zdumiony duchowny natychmiast się ujawnił.

Czyżby po prostu zachowywał się nienaturalnie w tym przebraniu i dziewczynki zauważyły to, zanim zapadły w trans?

Jeśli nawet tak było, jak można wytłumaczyć dziwaczną historię ojca Luisa Andreu?

Zastępując pewnego dnia kolegę w kościele w Garabandal, ojciec Luis - nastawiony sceptycznie do „cudu" - udzielił komunii Conchicie, Jacincie i Mari Loli. Wkrótce po południu, w zatłoczonym kościele, dzieci wpadły w ekstazę. Conchita prosiła Madonnę o widoczny dla wszystkich cud, inne dziewczynki dopytywały się, czemu tak dawno nie odwiedził ich mały

aniołek. Przebudziwszy się z transu powiedziały, że jeszcze tego wieczora znowu ujrzą Najświętszą Pannę. O 9.35, na oczach licznego zgromadzenia, dzieci popędziły do sosnowego lasku na szczycie góry, by porozmawiać z Maryją Panną. Ojciec Luis i cały tłum podążyli za nimi.

Początkowo duchowny przyglądał się wszystkiemu beznamiętnie, później jednak chyba sam zapadł w trans. „To cud, cud" - wymamrotał, odzyskawszy przytomność dopiero wówczas, gdy dziewczynki zbiegły w radosnym pędzie ze wzgórza. Później kilku przyjaciół odwiozło go do domu. Ojciec Luis kilkakrotnie powtórzył, że był to „najszczęśliwszy dzień jego życia". Potem stracił przytomność; wkrótce jego przyjaciele uświadomili sobie, że zmarł, bez żadnej widocznej przyczyny.

Gdy wkrótce Madonna ponownie objawiła się, był wraz z nią także ojciec Luis, który opisał swą śmierć i pogrzeb oraz opowiadał o pozostałych przy życiu krewnych. Gdy ojciec Ramon Andreu usłyszał, iż Conchita najwyraźniej rozmawia z jego bratem, zaczął dziewczynkę wypytywać i był zdumiony jej „znajomością szczegółów, dotyczących specjalnego ceremoniału pogrzebowego księży". Dziecko wiedziało, że pochówek Luisa odbiegał od przyjętych norm.

„Przy innej okazji słyszałem, jak dzieci wspomniały podczas transu, iż mój brat Luis zmarł nie złożywszy swych ślubów. Rozmawiały także o mnie i moich ślubach. Znały dokładną datę a nawet godzinę, kiedy moje ślubowanie zostało oficjalnie przyjęte, oraz nazwisko jezuity, który składał śluby równocześnie ze mną. Możecie sobie wyobrazić moje zaskoczenie, osłupienie w obliczu tych niepodważalnych, absolutnie zgodnych z prawdą szczegółów. Zdawałem sobie równocześnie sprawę, że dzieci nie mogły w żaden sposób zdobyć tych wiadomości zwykłą drogą..."

To, co niektórzy nazywają „definitywnym dowodem", wydarzyło się 19 lipca i łączyło się z „maleńkim cudem". Conchita zapowiedziała, że 18 lipca nastąpi coś niezwykłego, toteż zebrał się wielki tłum. Koło północy wyglądało na to, że nic szczególnego się już nie wydarzy. Dziewczynka dwukrotnie otrzymywała „wezwanie", ale wpadła w ekstazę dopiero o 1.30. Opisując, jak dziecko „zbiegło bardzo szybko ze schodów z charakterystycznym wyrazem twarzy, łagodzącym i upiększającym jej rysy" i przedarło się przez zebrany na zewnątrz tłum, fotograf z Barcelony próbował dotrzymać dziewczynce kroku, gdy biegła dalej. Padła na kolana tak niespodzianie, że wielu biegnących za nią z rozpędu ją wyprzedziło. Damians stwierdził: „znalazłem się nieoczekiwanie po jej prawej stronie, a twarz dziecka była nie dalej niż o 45 centymetrów od mojej". W świetle księżyca i gwiazd oraz w blasku płonących w alei pochodni dostrzegł „zupełnie wyraźnie, że usta Conchity są otwarte, a język wysunięty tak, jak się go zazwyczaj wystawia przyjmując komunię".

Potem nagle (jaku budzącej wątpliwości stygmatyczki. Palmy Matarelli, „na języku dziewczynki pojawiła się zupełnie niespodzianie Przenajświętsza Hostia. Wydawało się, że nikt jej tam nie umieścił, ale raczej sama się zmaterializowała tak błyskawicznie, iż żadne ludzkie oko nie było w stanie tego momentu uchwycić".

Brat Conchity, Serafin, również zobaczył na języku dziewczynki cudownie zmaterializowaną hostię, jaśniejącą i połyskliwą jak śnieg; wydawała się grubsza od zwykłego opłatka i czymś przesiąknięta. Zjawiła się jakby za sprawą czarów".

Po tym wydarzeniu wizje i uniesienia stały się rzadsze. W ciągu następnych trzech lat Conchita otrzymywała jeszcze różne przesłania, między innymi „tajemne wieści" dotyczące przyszłych losów świata (dotąd nie zostały one ujawnione), a także zapowiedź wielkiego cudu (który się nie dokonał). Jedna z czwórki dziewcząt, Mari Cruz Gonzalez, powiedziała potem, iż niektóre z transów były oszustwem, ale Conchita obstawała przy swych wizjach, chociaż raz wszystkie cztery wyznały swoim rodzicom, że „nie widziały Najświętszej Panny ani anioła, ale nigdy nie starały się nikogo oszukać, wezwania zaś i cudowna komunia były prawdziwe". Nasuwa się pytanie: jeśli nie było Najświętszej Panny i jeśli nie oszukiwały, to jaki charakter miały w istocie ich doznania?

Przeniósłszy się do Nowego Jorku w 1966 roku (Jacinta i Mari Loli także wyemigrowały do Stanów Zjednoczonych), Conchita w dalszym ciągu rozpowszechniała przesłania z Garabandal.

Pod koniec lat osiemdziesiątych Comwell odwiedził jaw zabezpieczonym żelazną kratą nowojorskim domu. Zjawił się tam bez zaproszenia, gdyż Conchita odkładała słuchawkę, gdy dzwonił. Wpuściła go jednak, kiedy przekazał jej pozdrowienia od Serafina. Wyznała, że jej sytuacja w Hiszpanii była nie do zniesienia. „Uświadomiłam sobie, że nikt, kto wie o moich wizjach, nigdy mnie nie pokocha ani nie poślubi". Przed wyjazdem powiedziała biskupowi z Santander, iż nie wierzy już w swoje wizje, ale czuła się przy tym jak zdrajczyni. „Wierzyłam w wizje, a równocześnie nie pojmowałam, jak mogły się wydarzyć. Czułam się wewnętrznie rozdarta". Obstając przy nieomal codziennym widywaniu przez cztery lata „pięknej pani, która powiedziała mi, że jest Świętą Bożą Rodzicielką - Conchita dodała żałośnie. - Jeśli to fałsz, to nic już nie jest prawdą... Jak mogła Matka Boska przyjść do mnie, dawać mi wszystkie te znaki i przesłania, a potem mnie porzucić?"

W końcu Conchita powiedziała, iż nie chce już nigdy słyszeć o Garabandal i poprosiła Comwella, żeby się za nią modlił.

A zatem owa „Madonna" nie byłaby Najświętszą Panną? Jakie inne moce mogły więc dojść wówczas do głosu? Watykan

nabrał wody w usta, jeśli chodzi o Garabandal - podobnie jak w przypadku innych, cieszących się znacznie większym rozgłosem, niezwykłych wydarzeń, które miały miejsce 24 czerwca 1981 roku w pobliżu położonej na uboczu bośniackiej wioski (w ówczesnej komunistycznej Jugosławii).

Medjugorje: „duchowy Disneyland"?

Gdy zaczęły się owe cuda, w Medjugorje bynajmniej nie było wewnętrznego spokoju. Nie chodziło tylko o nie kończące się rodzinne waśnie o pieniądze lub ziemię, o wrogość na tle religijnym i rasowym, albo też o to, że franciszkanie utracili dotychczasowy, wieloletni „rząd dusz" na rzecz duchowieństwa świeckiego. Przede wszystkim jednak paliło jak niezabliźniona rana wspomnienie 4 sierpnia 1941 roku, gdy podczas II wojny światowej prawosławni Serbowie - kobiety i dzieci - z pobliskiej miejscowości Prebilovici zostali aresztowani przez wysłanników nowo utworzonego wówczas państwa chorwackiego. Wydano zarządzenie, w myśl którego wszyscy Serbowie musieli powrócić do Serbii, przejść na katolicyzm - albo zginąć. Ludziom z Prebilovic nie dano żadnego wyboru. Krzyczących z przerażenia wrzucono do olbrzymiej, naturalnej rozpadliny w ziemi (w pobliżu wzgórza, na którym w 1981 roku miały wystąpić wizje). Połamano Serbom ręce, by nie mogli się stamtąd wydostać, i pogrzebano żywcem. W 1990 roku serbscy żołnierze, w asyście dwóch duchownych prawosławnych, wydobyli stamtąd szczątki trzystu dzieci oraz ponad dwustu kobiet i starców.

„To nie był zbieg okoliczności, że [Madonna] objawiła się właśnie tam - twierdzi monsignore George Tutti. - Nie ma na całej ziemi miejsca, które dzięki swej historii krzyczałoby głośniej o potrzebie zakończenia walk, toczących się na tylu różnych płaszczyznach".

Mieszkańcy Medjugorje mówią, że kiedy Ustasze (chorwaccy nacjonaliści) prosili ich o pomoc, wszyscy co do jednego skryli się w winnicach, by nie przyłożyć do tego ręki. Mimo to monsignore Tutti oświadczył w 1993 roku dziennikarce Maggie Parham, że „ludzie z Medjugorje nie są w stanie zapomnieć. Gdy byłem tam ostatnio, chrzestna matka mojej gospodyni wyznała mi, że ciągle brzmią jej w uszach rozpaczliwe krzyki Serbów, strącanych na pewną śmierć".

O zmierzchu 24 czerwca 1981 roku - prawie czterdzieści lat później - cztery dziewczynki i dwóch chłopców znajdowało się na skalistym wzgórzu Podbrdo, wznoszącym się nad wioską. Byli to: Ivanka Ivankovic (piętnaście lat), Vicka Ivankovic (siedemnaście lat), Mirjana Dragicevic i Marija Pavlovic (obie po szesnaście lat), Ivan Dragicevic (szesnaście lat) i Jacov Colo (dziesięć lat). Nagle - ku ich zaskoczeniu - rozbłysło przed nimi jasne światło, potem zaś ujrzeli w nim piękną niewiastę. Miała ciemne włosy i niebieskie oczy; ubrana była w szarą suknię, biały płaszcz i welon. Głowę jej otaczało dwanaście gwiazd. Unosząca się nad ziemią postać trzymała w ramionach niemowlę, to otulając je, to znów ukazując dzieciom, które wezwała gestem, by podeszły bliżej. Uciekły jednak i odważyły się powrócić dopiero następnego dnia. Ivanka spytała o swoją matkę, która zmarła przed ośmioma tygodniami. Zjawa uspokoiła dziewczynkę i poleciła jej opiekować się sędziwą babką. Następnie przedstawiła się dzieciom jako Gospa (chorwackie miano Madonny). Powiedziała, że Medjugorje jest ostatnim miejscem, w którym objawia się na ziemi, i nadal będzie się tu ukazywać, dopóki nie przekaże im wszystkich dziesięciu tajemnic, dotyczących przyszłych losów świata. Nadejdą straszliwe wydarzenia; należy wzywać ludzi do modlitwy, postu i pokuty,

Wieść szybko się rozeszła. Wkrótce w całej wsi zawrzało, a na wzgórzu co wieczór gromadziły się tłumy. Władze podejrzewały, że jest to katolicko-faszystowski spisek, albo dzieci są pod wpływem narkotyków. Franciszkanin, ojciec Jozo Zovko, od niedawna pełniący funkcje duszpasterskie w katolickim kościele pod wezwaniem św. Jakuba w Medjugorje, podaje, iż młodzi wizjonerzy byli zdezorientowani. „Reagowali bardzo dziecinnie i kłócili się między sobą".

Ojciec Zovko znajduje się w samym centrum tajemnicy. Pewnego popołudnia, gdy modlił się w kościele, usłyszał głos nakazujący mu roztoczyć pieczę nad dziećmi. Podobno miał wówczas otworzyć drzwi kościoła i w tym samym momencie cała szóstka wbiegła tam wołając, że ściga ich policja i żąda, by przestali chodzić na wzgórze. Ksiądz udzielił im schronienia i przez dziesięć lat Gospa ukazywała się niemal co wieczór, koło wpół do siódmej, już nie na wzgórzu, w którego pobliżu zabronione były wszelkie zgromadzenia, lecz w maleńkim pomieszczeniu w kościele św. Jakuba.

Tu właśnie, stojąc rzędem, twarzą do ściany, dzieci odmawiały „Ojcze nasz", potem równocześnie padały na kolana i najwyraźniej zapadłszy w trans rozmawiały bezgłośnie (choć poruszały przy tym wargami) z Gospą i otrzymywały od niej przesłania, które przekazywały franciszkanom.

Pavao Zanic, biskup pobliskiego Mostaru, początkowo uwierzył w cud, później jednak potępił dzieci jako oszustów, a franciszkanów uznał za reżyserów całego „przedstawienia". Gospa nie tylko wyraźnie stanęła po stronie franciszkanów w ich sporze z biskupem, ale jej przesłania (na przykład uznanie równości wszystkich religii i wyraźne zaprzeczenie dogmatowi

Niepokalanego Poczęcia) były skrajnie nieortodoksyjne.Usłyszawszy, że zostały spisane w „sekretnym dzienniku" Vicki, biskup Zanic zażądał wydania mu tego dokumentu - poinformowano go wówczas, iż nic podobnego nie istnieje. Tymczasem komunistyczne władze, podejrzewając, że za ponurymi przepowiedniami Gospy stoi ojciec Zovko, wysłały swe „wtyczki", którym polecono robić notatki z kazań franciszkanina. Aresztowany za to, że mówił o potrzebie okazania odwagi, nawet w obliczu rozlewu krwi, został uwięziony pod zarzutem wzniecania politycznych waśni. Skazano go na osiemnaście miesięcy więzienia, mimo zeznań parafian, świadczących na jego korzyść.

Niektórzy uważają ojca Zovko za bohatera. Gwiazdor filmowy Martin Sheen gra jego rolę w realizowanym obecnie filmie pod tytułem „Gospa", Sprawa nie jest jednak absolutnie jednoznaczna. Ojciec Zovko przybył do Medjugorje zaledwie dziewięć miesięcy przed początkiem owych wizji. Wkrótce zorganizował grupę modlitewną o radykalnym nastawieniu. Sceptyczni przedstawiciele duchowieństwa twierdzą, że zachęcał do „mówienia językami", wygłaszania proroctw i uzdrawiania. Miał też stosować przykre metody wychowawcze: na przykład zmuszał do publicznego wyznawania grzechów, manipulując grupą rówieśniczą, by wywierała naciski i objawiała w stresujący sposób swą dezaprobatę, na przykład wpatrując się w „odszczepieńca" nienawistnym wzrokiem. Przeciwnicy ojca Zovko są zdania, iż idealnie nadawał się do roli, którą mu powierzono, i przygotował podatny grunt pod wizje (a może po prostu sam je sfabrykował), kierował przebiegiem i wpływał na ich formę. Zarzuty nie są jednak poparte konkretnymi dowodami.

Pewne natomiast jest to, że dzięki ogromnemu zainteresowaniu środków masowego przekazu oraz przeprowadzonej bardzo umiejętnie kampanii reklamowej, Medjugorje odwiedziło około dwudziestu milionów pielgrzymów w ciągu dziesięciu lat - aż do wybuchu wojny w czerwcu 1991 roku. Powstała rozbudowana legenda. Krążyły opowieści o srebrze przemienionym w złoto i pielgrzymach wpatrujących się w słońce, które ich nie oślepiało. Chorzy, pragnący uzdrowienia, przebywali na czworakach ponad 900 metrów, wchodząc na szczyt Krizevaca (Góry Krzyża). Relacjonowano o trzystu uzdrowieniach. Niektóre z nich były naukowo stwierdzone, jak w przypadku pielęgniarki z Aberdeen, Heather Duncan. Mimo strzaskanego kręgosłupa, wczołgała się ona na górę, ale zeszła z niej już na własnych, zdrowych nogach. Odtąd nadal poruszała się swobodnie, choć - jak twierdzi - „zdjęcia rentgenowskie wykazały, że nigdy nie będę już mogła chodzić".

Jednak Komitet Medyczny w Lourdes odrzucił wszystkie pięćdziesiąt relacji, które przysłano mu do zaopiniowania. Rzym zaś zachowuje nadal sceptyczną postawę wobec tego „istnego Disneylandu sił nadprzyrodzonych", jak to określił mieszkający w Londynie jezuita w rozmowie z Comwellem. Później w hotelu w pobliżu Medjugorje Comwell zetknął się z pewnym amerykańskim katolikiem, wydawcą i organizatorem wycieczek. Pokazując barwną broszurkę na temat Medjugorje (oświadczył z dumą, że rozchodzi się ona co roku w dziesięciu tysiącach egzemplarzy), ów ćmiący mariboro pielgrzym zauważył: „Czy zdaje pan sobie sprawę, że jest to pierwsza seria cudów w epoce w pełni unowocześnionych środków przekazu?" Dodał jeszcze: „Mam wrażenie, iż Matka Boska przedłuża te wizje, by nam umożliwić penetrację rynku". Kiedy Comwell się roześmiał, jego rozmówca oświadczył, że sponsorzy obawiali się oficjalnego potępienia wizji przez papieża. „Dowiodłoby to, iż wszyscy dali się nabrać i cały interes diabli by wzięli. Buduje się tu cholernie dużo, między innymi hotel na pięćset pokoi. Wszystko za prywatne pieniądze i na prywatne ryzyko".

25 czerwca 1991 roku pięćdziesiąt tysięcy pielgrzymów uroczyście świętowało dziesiątą rocznicę pierwszego objawienia. Następnego dnia wybuchła wojna. Pielgrzymi uciekli, ale napływały nowe relacje: nie tylko nadal trwały wizje, ale serbska próba zbombardowania Medjugorje została w cudowny sposób udaremniona. Co się tyczy pilota, który w 1993 roku otrzymał rozkaz zburzenia kościoła św. Jakuba, siostra Emmanuela Maillard, mieszkająca w Medjugorje, utrzymuje, że: „gdy znalazł się nad miastem, poczuł, że nie jest zdolny do zrzucenia bomby - choć nie umiał podać żadnych racjonalnych powodów". Wtrącony potem do więzienia pilot miał rzekomo wyjawić, iż świetlista chmura skryła kościół przed jego oczyma, gdy nad nim przelatywał, a jakiś głos wewnętrzny nakazał mu zawrócić. „Z całej tej okolicy przyznał chorwacki naczelnik policji z sąsiedniej Ljubuski - tylko Medjugorje posiadało ochronę, której nie da się opisać używając terminologii wojskowej".

Może Serbowie obawiali się, że jeśli zbombardują „święty przybytek", światowa opinia publiczna całkowicie ich potępi? Tymczasem następca biskupa Zanica, biskup Ratko Peric nadal utrzymuje - podobnie jak jego poprzednik - iż wizje były sztuczką franciszkanów, chcących odzyskać władzę nad diecezją.

Gdy mamy do czynienia z takim komercjalizmem i zażartą walką polityczną, wszystko wydaje się jasne: wizje w Medjugorje to zwykłe oszustwo. Czy można jednak zlekceważyć wyniki testów, przeprowadzanych na wizjonerach? I co się stało z nimi samymi?

Szóstka z Medjugorje

Wśród pierwszych testów, którym poddano sześcioro dzieci, znajdowała się (podobnie jak w Garabandal) przerażająco średniowieczna „próba ukłuć". Gdy jeden z księży kłuł szpilką którąś z dziewcząt, kiedy już wpadła w trans, na sukni pojawiała się plamka krwi, ona sama jednak zdawała się nie odczuwać żadnego bólu. Później grupa medycznych ekspertów pod kierunkiem profesora Henri Joyeux z uniwersytetu w Montpellier wizytowała pięciokrotnie Medjugorje. Sześcioro dzieci w stanie transu podłączono przewodami elektrycznymi do skomplikowanej aparatury, nie wykryto jednak klinicznych objawów (indywidualnych ani zbiorowych) halucynacji, histerii, neurozy lub psychozy, ani też „patologicznej ekstazy". Badanie aktywności mózgu wykazywało rytmy alfa, charakterystyczne dla nastrojów kontemplacyjnych albo mistycznych. Prof. Joyeux nie potrafił także wyjaśnić, jak to się działo, że dzieci w stanie ekstazy poruszały w sposób całkiem naturalny ustami i krtanią, nie wydając przy tym żadnego dźwięku, ani jak - pogrążone równocześnie w transie - zdołały zsynchronizować tak dokładnie ruchy gałki ocznej w momencie pojawiania się lub znikania obserwowanej przez nie zjawy.

Obserwując podobne zachowanie trojga wizjonerów w pomieszczeniu, gdzie miały miejsce owe wizje, Comwell był również całkiem zbity z tropu. Na temat Mariji Pavlovic, która wiodła prym podczas wspólnych modlitw, Comwell zauważył; „z każdą minutą ta niepozorna dziewczyna wydawała mi się bardziej promienna, tajemnicza i pełna uroku. Nie byłem w stanie oderwać od niej oczu". Po czterdziestu minutach modłów Marija, Vicka i Jakov podnieśli się i stanęli przed ścianą, na której ukazywała się im Gospa. Comwell, stojąc w odległości zaledwie 30,5 centymetra od Mariji, ujrzał, jak nagle wszyscy - absolutnie zgodnym ruchem - padli na kolana. Potem zaś „zaczęli mówić bezgłośnie i po kolei do niewidzialnej postaci, która unosiła się naprzeciw nich. Najbardziej zdumiewający był fakt, że gdy jedno z nich kończyło „mówić", w tym samym ułamku sekundy zabierało głos następne - choć nie wydawali żadnego dźwięku, ani nie mogli nawzajem śledzić ruchów swych warg. Nie dostrzegłem najmniejszego poruszenia, które mogło być sygnałem i umożliwić im taki nieprawdopodobny wyczyn".

Twarze ich wydawały się istotnie zmienione i Comwell - który był niegdyś katolikiem - nagle przypomniał sobie wszystkie wizerunki Najświętszej Maryi Panny, przed którymi modlił się w młodości.

Wywiady z Mariją i Vicką pogłębiły jeszcze jego niepokój. Marija - to sztywna, to znów żartobliwa, impulsywna, a zarazem sprytna - często wyłączała nastawiony przez niego magnetofon. Wyjaśniła mu, że Gospa często równocześnie rozmawiała z nimi wszystkimi - z każdym na inny temat. Choć Marija zrobiła na Comwellu duże wrażenie, zastanawiał się, czy dziewczynka nie odgrywa podświadomie roli przywódczyni, wywierając hipnotyczny wpływ na zachowanie pozostałych.

Grubokoścista, żywiołowa Vicka była zupełnie odmiennym typem. Opisała Comwellowi podróż po niebie, piekle i czyśćcu. Dziennikarka Maggie Parham usłyszała słowa dziewczynki: „W piekle jest wielki ogień. Ludzie wchodzą do niego, a kiedy wyjdą, przypominają okropne stwory. Nasza Pani powiedziała, że do piekła ludzie idą z własnego wyboru, i ci, którzy na ziemi sprzeciwiają się woli Bożej, już tutaj przeżywają swoje piekło..". Dziennikarka konkluduje: „Nawet ci z nas, którzy byli bardzo sceptycznie nastawieni, doszli do wniosku, iż ta dziewczyna nie jest kłamczuchą".

Comwell po wykluczeniu narkotyków, sennych widziadeł, epilepsji i schizofrenii - podaje pięć możliwych rozwiązań:

l. Wizjonerzy kłamią z premedytacją.

2. Znajdują się pod wpływem autohipnozy, albo zostali zahipnotyzowani przez kogoś z ich grona lub osobę z zewnątrz.

3. Padli ofiarą samoistnych halucynacji.

4. Halucynacje te zostały wywołane przez jakiś czynnik nadprzyrodzony.

5. Najświętsza Panna rzeczywiście się pojawia, tylko osoby postronne cierpiana rodzaj ślepoty.

Niewątpliwie „dzieci" (najmłodsze z nich ma obecnie dwadzieścia trzy lata) poddawane są „praniu mózgów", podobnie jak pielgrzymi i „łowcy sensacji". Madonna ustawicznie powtarza im, że wszystko dobrze się skończy, jeżeli nastąpi ogólny powrót do odmawiania różańca i do kultu Maryi - w przeciwnym razie, skutki będą fatalne.

W gruncie rzeczy. Madonna domagając się wypełniania swej woli, posuwa się do gróźb. Czyżby spod chrześcijańskiego welonu zaczynało przeświecać jakieś o wiele starsze oblicze?

Wnioski: co kryje się za zasłoną?

Centralnym aspektem wszystkich objawień Maryjnych jest zapewnienie o jej opiece, poparte surowym, macierzyńskim upomnieniem. Wizje - bez względu na to, z jakiego źródła się wywodzą - często bywają wykorzystywane dla załatwiania

całkiem ziemskich interesów. „Nic tak nie wzmacnia krzykliwej fundamentalistycznej propagandy, jak apokaliptyczna wizja, której towarzyszą rzekomo nadprzyrodzone zjawiska" - zauważa Comwell. Zwraca jednocześnie uwagę na to, że w Medjugorje manipulacja polegała na zwiększeniu kręgu odbiorców dawnej śródziemnomorskiej tradycji objawień Maryjnych dzięki wykorzystaniu nowoczesnych środków reklamy i biznesu turystycznego. W skutek tego powstał rodzaj „wykonanej na zamówienie «religii dla tłumów»".

Amerykański organizator mchu turystycznego, z którym się Comwell zetknął, przechwalał się, iż dysponuje listą pocztowych zgłoszeń od ponad stu tysięcy „pielgrzymów", gotowych wydać przeciętnie pięćset dolarów na wideokasety oraz różne dewocjonalia. To jedna płaszczyzna działania. Drugą stanowi walka o polityczne wpływy chrześcijańskiej prawicy - zarówno w Medjugorje, jak i w Fatimie. W obu przypadkach antyklerykalnie nastawiony rząd stanął w obliczu (albo zląkł się) cieszącej się dużą popularnością konserwatywnej polityki odwoływania się do nadprzyrodzonych autorytetów. Bazuje się przy tym na zaangażowaniu młodych ludzi, łatwo ulegających sugestii i skłonnych do popadania w ekstazę. Interwencja policji była dowodem, że lokalne władze uświadamiają sobie, iż wiara mas ma równie wielkie - albo i większe - znaczenie niż sprawdzone fakty.

Wierzymy w to, co robi na nas wrażenie. Idee, których łatwo się wyrzekamy, gdy życie płynie gładko, odzyskują natychmiast popularność, kiedy zapanuje chaos. Wizje, domagające się kary za grzechy, które w pomyślnych warunkach wydają się naiwne, znajdują tłumy wyznawców, jeśli trwoga zagląda w oczy. Przepowiednie głodu, wojen i końca świata (w połączeniu z zapewnieniem, że Matka Boska jest litościwa dla modlących się do niej) stanowią istny dynamit społeczny w dobie niepokojów charakterystycznych dla końca tysiąclecia.

„Matka wszystkiemu zaradzi, jeśli będziecie jej posłuszni".

A proroctwa nie tak znów trudno sfabrykować. Panowało powszechne przekonanie, że w Fatimie trojgu dzieciom przekazano 13 lipca 1917 roku trzy proroctwa. Pierwsze głosiło, że I wojna światowa niebawem się zakończy. (W rzeczywistości trwała jeszcze szesnaście miesięcy). Drugie - że za pontyfikatu Piusa XI (zmarłego w 1939 roku) rozpocznie się kolejna, jeszcze straszliwsza wojna. Jej zapowiedzią będzie nieznane światło, które ukaże się na nocnym niebie. Żeby zapobiec temu nieszczęściu, Madonna będzie modliła się o uświęcenie Rosji. Problem z tym drugim proroctwem polega na tym, że Lucia, grająca pierwsze skrzypce w grupce wizjonerów, ujawniła tę przepowiednię na piśmie dopiero w 1941 roku, dwa lata po wybuchu II wojny światowej - skutkiem czego jest ona znacznie mniej wiarygodna. Podobnie szczegół dotyczący uświęcenia Rosji także wygląda na dodany post factum, a przerażająca wizja piekła nie została także spisana i przedstawiona przez Lucie w całości przed 1941 rokiem. Co się zaś tyczy trzeciego „sekretu" (czy też „proroctwa"), który usłyszały tylko Lucia i Jacinta, i dopiero później zdradziły go Franciscowi, to Lucia wyjawiła jedynie, że nie wolno go rozgłaszać „dla dobra całej naszej trójki" oraz że przepowiednia była „dla jednych dobra, dla innych zła".

Znaczenie tego trzeciego proroctwa (czy ono w ogóle istniało?) zostało - jak można się było spodziewać - rozdmuchane do nieprawdopodobnych rozmiarów. Rzekomo zapoznano z jego treścią Watykan. Niektórzy utrzymują, iż dotyczy ono kolejnej wojny światowej (jakże by inaczej?!) albo zalania lądu przez ocean.

Niektórzy amerykańscy katolicy wierzą, że proroctwo to zapowiada upadek Kościoła katolickiego, a mieszkająca w Londynie Zofia Richmond, wizjonerka polskiego pochodzenia, zwana inaczej siostrą Marią Gabrielą, twierdzi, że w 1984 roku Najświętsza Panna objawiła jej, że składało się ono z trzech tylko słów: „Dwaj papieże-rywale". Czyżby z tej właśnie racji Watykan zachowywał milczenie w tej sprawie (o ile w ogóle istnieje jakaś „sprawa"!).

Co się zaś tyczy pani Richmond, to w lipcu 1994 roku zdobyła w jednej chwili zawrotną popularność. Wobec grożącego zderzenia komety Shoemaker-Levy 9 z Jowiszem, Zofia Richmond pojawiła się na ekranach brytyjskiej telewizji oraz zamieściła kosztowne anonse w prasie, zapowiadając nadciągającą katastrofę o zasięgu ogólnoświatowym, o ile nie wyrzekniemy się naszych grzechów, i to szybko. Domagała się zakazu sprzedaży alkoholu, rozpowszechniania pornografii oraz kary śmierci za wszelkie przewinienia, a zwłaszcza dla „wszystkich sędziów i psychiatrów, przyczyniających się do ułaskawiania przestępców".

Taka jest wola Najświętszej Panny - twierdzi Zofia Richmond.

Od 1961 roku dama ta klepała podobno w samotności biedę w Londynie. W 1962 roku podczas pobytu w Lourdes usłyszała „głos Maryi", nakazujący jej przygotować się do spełnienia światowej misji. W 1981 roku Maryja nareszcie postawiła się twardo, dyktując pani Richmond przesłania tej treści: „Jeśli pełne pychy i arogancji narody zlekceważą Boże ultimatum, Pan zgładzi ród ludzki na całym świecie. Olbrzymi asteroid obróci całą planetę w perzynę". Jedynym ratunkiem jest modlitwa i pokuta - jak utrzymuje pani Richmond (i większość Maryjnych wizjonerów). Cóż my tu mamy? Wizję,

psychopatologię, czy obie na raz? Obrazy apokaliptycznej zagłady stają się coraz popularniejsze. Obawa przed końcem świata rośnie tak samo, jak przed tysiącem lat. Rok 1999... rok 2000... Chrześcijańska prawica ma pełne ręce roboty, a objawienia Maryjne bywają bardzo pomocne. A zatem, gdy fundamentaliści wkroczyli na ścieżkę wojenną, czemu w Stanach Zjednoczonych nie wydarzyły się żadne większe wizje Maryjne (jeśli nie liczyć Bayside!)?

Być może wiara w UFO służy tym samym celom. Poza tym - jest taka rdzennie amerykańska! Może wszystko zależy od pierwotnych oczekiwań i tradycji kulturowych? Katolicy spotykają się z Maryją Panną, Hindusom ukazuje się Parvati. Ci, którzy wychowali się na fantastyce naukowej, widzą łyse kosmitki o wielkich, skośnych oczach. Nic dziwnego, że w czerwcu 1994 roku na zebraniu CSICOP odbywającym się w Seattie w stanie Waszyngton, zapytano Sharon Philips, która rzekomo nawiązała kontakt z kosmitami, czy sądzi, że widziane przez nią UFO było „pojazdem kosmicznym Najświętszej Maryi Panny"?

Pytanie raczej sarkastyczne, ale sam fakt, iż zostało tak sformułowane, świadczy o zbieżności pojęć. Gdyby „taniec słońca" z Fatimy wydarzył się - powiedzmy - obecnie w Kalifornii, zapewne uznano by go za przypadek UFO. Tak czy owak, sceptycy wytłumaczyliby go zbiorową histerią, halucynacją albo czymś podobnym, lub też przemawialiby uczenie na temat fenomenów meteorologicznych takich jak parahelion, czyli słońce pozorne. A może słońce widoczne było przez warstwę chmur to gęstniejących, to znów rozrzedzających się, lub też zawarty w powietrzu pył czy krople wody spowodowały zmianę barwy słonecznego światła, a udzielające się podniecenie tłumu dokonało reszty?

Cóż jednak jest ważniejsze? Zastanawianie się nad prawdopodobieństwem lub nieprawdopodobieństwem jakiegoś wydarzenia, czy też jego wpływ na życie tych, którzy uwierzyli, że mogło się wydarzyć i wydarzyło rzeczywiście? Może i było niezgodne z naturą, ale z całą pewnością odegrało bardzo ważną rolę polityczną i społeczną. Około siedemdziesięciu tysięcy zebranych w Fatimie, dwadzieścia milionów podróżujących w ciągu dziesięciu lat do Medjugorje, pięć milionów corocznie udających się do Lourdes i dziesięć milionów w Gwadelupie - żeby wymienić tylko najbardziej znane centra Maryjne.

A wszystko to w imię wiary - albo przynajmniej nadziei.

Powiedzonko „zobaczyć - znaczy uwierzyć" nie odnosi się do wizji Maryjnych. Wierni ufają wpadającym w ekstazę, a choć są one dla nich niedostępne, stanowią źródło ich wiary. Być może wizje takie, jak objawiająca się Madonna, stanowią grupę archetypów, wypełnionych po brzegi „maną" dzięki temu, że przez stulecia koncentrują się na nich intensywne emocje milionów umysłów i ponieważ w sposób całkiem naturalny ludzie odwołują się do nich w godzinie ciężkiej próby. Prawie zawsze objawienia te następują za pośrednictwem dzieci, zazwyczaj lekceważonych za skłonności do marzycielstwa lub karconych za „wymyślanie bajek". Decydujące znaczenie ma stopień zagrożenia. W ciężkich czasach ludzie bardziej skłonni są słuchać tego, co płynie „z ust niemowląt i ssących".

A jeżeli naprawdę inteligentne, niematerialne byty podróżują z szybkością fal głosowych poza granicami czasoprzestrzeni i/lub naszych pięciu zmysłów? Może znalazłoby się wśród nich kilku żartownisiów, lubiących podawać się za kogoś całkiem innego? Nawet groźny skandynawski bóg Thor wystąpił kiedyś w roli spłonionej oblubienicy, a pomagał mu specjalista od takich sztuczek. Loki - oczywiście działo się to w konkretnym celu. Trudno więc dziwić się temu, że często -jak to miało miejsce w Fatimie i Medjugorje - widzenia Maryjne uznawano za omamy szatana, który przybiera postać Madonny, żądając posłuchu, głosząc kłamstwa i fałszywe proroctwa. Na przykład, co z wydarzeniami w Garabandal? - cztery dziewczynki u progu dojrzewania, pędzące w środku nocy na oślep tyłem z góry... jeśli to ma być oznaką jakichś „dziewiczych" mocy, to chyba jedynie w starożytnym rozumieniu tego słowa. Przepajająca dziewczynki energia wydaje się znacznie starsza niż chrześcijaństwo, choć przywdziała jego maskę.

Kościół od dawna milczy na temat „zjawy-kobiety" - może obawia się tego, co mogłoby nastąpić, gdyby wróciła do swej pierwotnej postaci? Przez dwa tysiąclecia była przytłoczona dominacją mężczyzn-panów świata. Z ich patriarchalnego punktu widzenia zaakceptowanie jej istnienia stawało się o wiele łatwiejsze, jeżeli była przystojnie odziana w długą szatę i welon, zachowywała się skromnie i wstydliwie, i nie odzywała się nieproszona.

Bez względu na to, czy to prawda, i jakie jest źródło owych wizji, częste pojawianie się ostatnio nowych wersji pradawnego archetypu jest wyraźnym ostrzeżeniem, że Matka gniewa się na nas, bo powywracaliśmy wszystko do góry nogami w naszym dziecinnym pokoju. Traktowała nas dotąd z niesłychaną wyrozumiałością, ale okazaliśmy się nieznośnymi bachorami, pozwoliliśmy sobie na zbyt wiele - i wobec tego lepiej pilnujmy się, bo spuści nam iście kosmiczne lanie!

4. Krew, pot i łzy: ożywione wizerunki

Relikty przeszłości?

Dzieją się ciągle dziwne rzeczy. Ponad sto relacji o wizjach Maryjnych trafia każdego roku na szpalty gazet. Prawie tyle samo jest doniesień o statuetkach bądź wizerunkach Królowej Niebios i jej Syna, które płaczą, krwawią lub spacerują. W Irlandii w 1985 roku ożywione Madonny przyciągały olbrzymie tłumy. Podobizny Maryi (obojętne - z drewna, kamienia czy plastiku) płakały od Chile po Filipiny i Indonezję, od Włoch po Stany Zjednoczone. Posążek Madonny (produkcji seryjnej), kupiony w Medjugorje i przechowywany obecnie w kredensie biskupiej rezydencji pod Rzymem, sprawił, iż całe Włochy ogarnęła (w kwietniu 1995 roku) istna „gorączka cudu": podobno statuetka płakała ludzkimi łzami. Mówiono również, że krew sączyła się z posągów Chrystusa; jego zaś wizerunki ludzie dostrzegają w zmywarkach, na niedomytych szklankach, zbiornikach oleju i podeszwach butów. Krucyfiksy ronią łzy, komunijne opłatki ociekają krwią...

Cóż to się dzieje? Czyżbyśmy wracali do średniowiecza?

Utrzymuje się nawet obsesja na punkcie relikwii, o czym najlepiej świadczy spór o Całun Turyński. I choć popyt na „święte kości" nieco osłabł, „kawałki" sławnych ludzi zaliczają się nadal do okazów kolekcjonerskich. Brodawka Elvisa Presleya i penis należący podobno do Napoleona zostały niedawno sprzedane na aukcji. Gałki oczne Einsteina stanowią ozdobę piwnic pewnego banku w New Jersey, a trzy wycinki jego mózgu stoją w słojach pod zlewem w mieszkaniu dr. Thomasa Harveya (który dokonał sekcji zwłok uczonego) w Lawrence w stanie Kansas. Jeszcze jeden wycinek (opatrzony etykietką „Mózg Wielkiego Ala") przechowywany jest w lodówce dr. Boyda.

Jednakże szarym komórkom Einsteina nie przypisuje się mocy dokonywania cudów, podczas gdy wielu mieszkańców Neapolu wierzy, iż od tego, czy zaschnięta krew patrona, świętego Januarego, przybierze postać płynną, zależy ich pomyślność.

Cudowna krew św Januarego

Zwłokom świętych przypisuje się dziwne właściwości. Niektóre - jak na przykład ciało Bemadetty z Lourdes - podobno nie ulegają rozkładowi, a nawet nie ima się ich *rigor mortis* (pośmiertne stężenie). Inne wydają *odor sanctitatis* (woń świętości) i pachną jak róże, nawet jeśli święty - niczym Józef z Copertino - nie kąpał się ani razu przez całe swe życie.

Zupełnie makabryczne są relacje o tym, że z ciał, które nie uległy rozkładowi, ciecze podczas ekshumacji świeża krew. Kiedy indziej znów zaschnięta krew świętego może nagle zmienić się w płynną.

Przechowywana w katedrze w Neapolu, w dwóch gruszkowatych ampułkach zakrzepła substancja, uważana za krew św. Januarego (San Gennaro), podobno rozpuszcza się w konkretne dni w roku. Jeśli nie zamieni się w płyn, wszyscy obawiają się jakiejś tragedii. Ludzie ze strachem spoglądają wówczas na Wezuwiusz, wznoszący się w odległości zaledwie 13 kilometrów. Krew św. Januarego chroni neapolitańczyków od wybuchu wulkanu - choć święty i jego krew są dość niepewnego pochodzenia.

Prawdopodobnie January był trzynastym biskupem Benewentu, być może zginął śmiercią męczeńską około 305 roku podczas prześladowań chrześcijan za Dioklecjana. Najpierw na arenie w Pozzuoli dzikie bestie nie chciały rozszarpać jego ciała; potem oszczędził go ogień płonący w wielkim piecu. Ostatecznie św. Januarego i jego towarzyszy niedoli ścięto podobno na tzw. Głazie z Pozzuoli. Legendę w dodatku spisano dopiero w X wieku, choć podobiznę świętego można znaleźć na pochodzącym z IV wieku fresku z neapolitańskich katakumb. O kulcie św. Januarego wspomina Grzegorz z Tours (VI wiek) i Będę (VIII wiek). Kości świętego męczennika zostały odkopane około 420 roku i długo wędrowały po świecie, zanim wróciły do Neapolu pod koniec XIII wieku. W 1497 roku spoczęły wreszcie w katedrze zbudowanej na jego cześć. Wraz z kośćmi znalazły się tam również dwie ampułki zaschniętej, cudownej krwi, o której nie było żadnej wzmianki do roku 1389.

Jej pochodzenie wyjaśniano rozmaicie. Jedna legenda głosi, że Euzebia, służąca świętego biskupa, zeskrobała krew wkrótce po jego śmierci z „Głazu z Pozzuoli". Według innej wersji w sto lat po śmierci, ciało św. Januarego ekshumowano i podczas przewożenia do Neapolu zaczęło krwawić. Euzebia (odmłodzona w tej opowieści o sto lat) zabezpieczyła rzekomo próbki krwi w dwóch ampułkach, zanim relikwie dotarły do miasta. Wezuwiusz, który właśnie miał zamiar wybuchnąć, z szacunku dla świętego uspokoił się.

Co roku 16 grudnia relikwia zostaje przeniesiona do kaplicy w pobliżu wulkanu. Podobno dzięki temu udało się zapobiec jego wybuchom w 1631 i 1707 roku. W ciągu dwustu lat krew siedemdziesiąt osiem razy nie zamieniła się w ciecz podczas grudniowego wystawiania jej na widok publiczny. (Nawiasem mówiąc, nie wiadomo, dlaczego zawsze trzeba odczekać mniej więcej pół godziny, zanim się rozpuści). Grudniowe niepowodzenia nie pociągają za sobą straszliwych konsekwencji. Gdyby jednak w ciągu ośmiu dni na początku maja (upamiętniających powrót relikwii do Neapolu) albo po 19 września (świętego Januarego) krew nie chciała się rozpuścić, skutki mogą być fatalne. Podobny przypadek w maju 1990 roku zniszczył rzekomo wszelkie szansę reprezentacji Włoch podczas Mistrzostw Świata w piłce nożnej. Znacznie tragiczniejsze były następstwa w 1527 roku (wybuch zarazy), 1569 roku (klęska głodu) i 1941 roku (zbombardowanie Neapolu). Konsekwencją „nieudanego cudu" w 1976 roku miał być gwałtowny wzrost liczby aborcji. Zakrzepła krew niekiedy przybiera także postać płynną w związku z odwiedzinami jakichś wybitnych osobistości lub równocześnie z wystawieniem na widok publiczny innych relikwii w celu zapobieżenia jakiejś klęsce.

Ceremonia rozpoczyna się o 9 rano. Relikwie zostaj ą wystawione w przedsionku katedry. W przyćmionym świetle celebrujący kapłan umieszcza ampułki obok drugiego relikwiarza, zawierającego odłamek czaszki, rzekomo należącej do świętego męczennika. Gdy rozpoczyna się cicha msza, szklana gablotka, w której wnętrzu znajduje się ampułka, zostaje na oczach wiernych wprawiona w powolny ruch obrotowy. Msza trwa tak długo, dopóki krew nie zacznie się upłynniać. Wówczas na umówiony znak czerwoną chustą wierni podchodzą kolejno do relikwii, by ucałować szklaną gablotkę. Na początku lat siedemdziesiątych XX wieku neapolitański lekarz, dr Giorgio Giorgi, był naocznym świadkiem owego potrząsania gablotką. W swym sprawozdaniu, opublikowanym we włoskim czasopiśmie parapsychologicznym, pisał:

Po jakichś czterech minutach –z pewnością nie trwało to dłużej – z konsternacją ujrzałem, jak tuż pod moim nosem, w odległości mniej więcej 92 centymetrów skrzep krwi nagle zaczął się rozpuszczać. Transformacja z ciała stałego w ciecz nastąpiła błyskawicznie i niespodziewanie. Krew przybrała znacznie żywszą barwę i nabrała połysku. Pojawiło się mnóstwo pęcherzyków powietrza w tej cieczy (a raczej krwi), tak iż zdawała się wrzeć.

Całując zaraz potem gablotkę doktor przekonał się, że jest chłodna - nie nastąpiło zatem podgrzanie. Co więcej, wydawało mu się, iż podczas tej przemiany zwiększyła się objętość krwi. W swojej relacji dla „PSI Intemational" (międzynarodowe czasopismo parapsychologiczne) francuski autor David Guerdon opisał identyczny fenomen. Dodał też, że przejście w stan płynny następuje niezależnie od temperatury panującej w katedrze. Krew może zmienić się w ciecz już podczas wyjmowania ampułek z krypty lub dopiero po upływie 24 godzin. Niektórzy podają, iż objętość wzrasta wówczas, gdy upłynnienie następuje powoli, zmniejsza się zaś, gdy zmiana jest raptowna. Różnica waha się od 20 do 24 centymetrów sześciennych (co stanowi pogwałcenie praw chemicznych). Podobno zmienia się również ciężar ampułek - odwrotnie proporcjonalnie do objętości. Krew nie tylko staje się ciekła, ale i zmienia kolor z ciemnobrunatnego na ceglasty, ostatecznie zaś przybiera barwę szkarłatną. Tuż przed zamianą w ciecz może przybrać postać galaretowatą, potem zaś bywa bardziej kleista niż zwykła. Niekiedy największy skrzep nie rozpuszcza się, choć wyraźnie sączy się z niego krew.

Zastanawiając się nad rolą, jaką mogą odgrywać gorąco, światło i wilgoć, Thurston poczuł się „zupełnie zdezorientowany". Przypuszczał, iż na szczelnie zatkanych ampułkach i szklanej gablotce mogą być jakieś drobniutkie rysy. Czyżby przenikające przez nie powietrze wpływało na ów proces? Mimo że „bardzo niewiele innych rzekomych cudów obserwowano równie dokładnie i często - a zajmowało się tym wiele osób o bardzo różnych poglądach... można z czystym sumieniem zapewnić, że obecnie żaden uczony, badający ten fenomen - choćby był skrajnym racjonalistą! - nie zaprzecza zachodzeniu zjawisk, o których opowiadano".

Nie da się jednak przeprowadzić stuprocentowo pewnego testu. „Krwi" jest bardzo niewiele. Samo otwarcie ampułki mogłoby ją całkowicie zniszczyć. Podobno w 1902 roku przepuszczono przez gablotkę snop światła i analiza spektroskopiczna wykazała jej autentyczność, ale wielu w to wątpi. Lekceważąc różnice ciężaru i objętości jako zwykłe pomyłki w obliczeniach, Joe Nickell z CSICOP uznał ową krwawą relikwię za podróbkę. Dwudziestu innych świętych, których krew miała rzekomo podobne właściwości, pochodziło z okolic Neapolu. Nickell twierdzi, że „świadczy to raczej o jakimś lokalnym sekrecie niż o cudzie". Poza tym, uroczystości na cześć owych świętych obchodzone są podczas największych upałów. Zastrzegając, iż przejście ze stanu stałego w płynny wymaga temperatur powyżej 17 stopni Celsjusza, Nickell i analityk sądowy John F. Fischer zademonstrowali wyprodukowane przez siebie mieszaniny (na przykład połączenie wosku pszczelego z olejem rycynowym i barwnikiem), które przechodzą w stan ciekły przy nieznacznym tylko podgrzaniu.

Podobnie w 1991 roku Luigi Garlaschelli z uniwersytetu w Pawii, wraz z dwoma kolegami z Mediolanu, zasugerował, że

zachodzi tu proces „thixotropii". Żel, który jest ciałem stałym pozostając w stanie spoczynku, zmienia się w ciecz podczas potrząsania. Zmieszawszy kredę z wodą i wodnym roztworem soli żelaza (powszechnie występujących na stokach Wezuwiusza), Garlaschelli na łamach „Natury" napomknął o prawdopodobieństwie średniowiecznego oszukańczego eksperymentu z wykorzystaniem nieznanych wcześniej barwników.

„Sedno sprawy polega na tym - utrzymuje fizyk Bernard J. Leikind - że ponieważ istnieją co najmniej dwa prawdopodobne wyjaśnienia owego przejścia w stan płynny (oba w granicach naturalnego zachowania się materiałów), nie ma powodu do zakładania Boskiej interwencji". Innymi słowy, według Thurstona, cud św. Januarego byłby „dość bezsensowną manifestacją Boskiej wszechmocy".

Gdyby nawet relikwie i krew były oszukańczą podróbką, średniowieczną blagą, pozostaje nadal aktualne pytanie, które sformułował na łamach „Fortean Times" Bob Rickard: „Jakim sposobem owa substancja zachowała swe właściwości aż do dziś, mimo tak częstych zmian stanu stałego na płynny, dokonywanych z takim powodzeniem w tak różnorodnych warunkach?".

Może to i średniowieczne fałszerstwo, ale tak genialne, że - podobnie jak w przypadku Całunu Turyńskiego - nadal zmusza ekspertów do zabawy w „zgaduj-zgadulę".

Krwawiące i uzdrawiające kamienie

Inny neapolitański „cud" związany jest z kamieniem znajdującym się w klasztornej kaplicy w Pozzuoli - podobno na nim ścięto głowę św. Januaremu. Nieco bardziej prawdopodobne (gdyż taki „pieniek katowski" niszczyłby jedno ostrze topora po drugim) jest przypuszczenie, że owalne wgłębienie w tym głazie stanowiło rodzaj misy, w której Euzebia - tym razem w roli pielęgniarki - zmyła ze swych dłoni krew świętego. Misa owa podobno w cudowny sposób zabarwia się czerwienią w tym samym momencie, gdy krew św. Januarego staje się znów płynna. Co więcej, wgłębienie to niekiedy samo krwawi - na przykład w 1860 roku, gdy wybuchł pożar w kościele pod wezwaniem tego świętego. Podobno w 1926 roku watkę, umoczoną w tej krwi, oddano do analizy w jednym z neapolitańskich laboratoriów medycyny sądowej. Okazało się, iż jest to ludzka krew. Kolejne oszustwo? Obecnie wiadomo już, że ów blok kamienny jest częścią ołtarza z VI wieku, a ślady czerwieni we wgłębieniu to resztki dawnej farby.

Być może sekret (podobnie jak w przypadku „płaczących" lub „krwawiących" posągów) polega na kurczowym trzymaniu się starożytnych wierzeń o leczniczych właściwościach kamieni. Kojarzyły się one ludziom z magią, mitem i uzdrowieniami. Niektóre nawet (np. Kaaba w Mekce), uchodzą za święte. Od wieków krążyły opowieści o tym, że z kamieni zrodził się ród ludzki, albo - odwrotnie - ludzie ulegali petryfikacji, czyli zmieniali się w kamień, na przykład pod wzrokiem straszliwej Meduzy. Celtyckie megality noszą miano „tir chreig" (fałszywych ludzi). Znajdujące się w hrabstwie Oxford głazy o nazwie „Roliright Stones" (Toczące się kamienie) to podobno zaklęci przez czarownika król i jego świta. Nieustannie „biegną" oni w kierunku rzeki, by się z niej napić, a ich ruchy uniemożliwiają policzenie. W Laponii głazy dziwacznie ukształtowane przez wodę noszą miano „Seide" - imię rodziny wróżbitów-cudotwórców. Kamienie, przypominające postać zwierzęcą, mogły podobno zawładnąć duszą ich posiadacza: gdy kamień pękał, jego właściciel umierał. Mieszkańcy Melanezji zakopywali pod chlebowcami kawałki korala, przypominające kształtem jego owoce, żeby drzewa rodziły ich więcej. Peruwiańczycy postępowali podobnie, chcąc zwiększyć plony kukurydzy, ziemniaków czy liczebność bydła.

Okrągłe kamienie są symbolem księżyca i płodności. Wydrążone oznaczają kobiece łono. Kromlechy - dwa stojące pionowo kamienie nakryte trzecim - często spotykane w Komwalii i Bretanii, przyciągały niepłodne niewiasty, które sądząc, że pomoże im to w poczęciu dziecka, wślizgiwały się do wnętrza i siedziały tam w kucki. Do dziś kobiety, które pragną zajść w ciążę, odwiedzają Paestum pod Neapolem, by usiąść tam na bloku skalnym o wysokości 92 centymetrów. Pochodzi on ze świątyni pogańskiej bogini płodności czczonej przed dwoma tysiącami lat; głaz stanowi atrakcję przyciągającą co roku tysiące turystek.

„To zwykły kamień - stwierdził Donato Stromillo, kierownik ośrodka kempingowego, na którego terenie znajduje się głaz. - Kobietom jednak wydaje się, że ma on niezwykłą moc zapewniania płodności. Przesiadują więc na nim jak najdłużej. Zdumiewające - wiele z nich przyjeżdża potem z dzieckiem na ręku".

„Byliśmy już małżeństwem od czternastu lat - oświadczyła pani Nora Colasanti z Werony - i oboje z mężem gorąco pragnęliśmy dziecka. Szczęście nam jednak nie dopisywało, zanim nie usiadłem na kamieniu w Paestum. Dwa miesiące

później zaszłam w ciążę".

Potęga wiary? A może działanie jakiegoś wymiernego ładunku, powiedzmy piezoelektrycznego (powstającego we wnętrzu pewnych gatunków kryształu), mogącego pobudzić płodność? Albo jedno i drugie.

Gdy po dotknięciu megalitu w kamiennym kręgu na Callanish w archipelagu Zewnętrznych Hebryd poczułem szok tak ostry jak użądlenie pszczoły, zlekceważyłem ten incydent. Ponieważ głazy zwane „fir chreig" w świetle księżyca wyglądały (dość niesamowite wrażenie!) całkiem jak żywe, doszedłem do wniosku, że „ukłucie" było wybrykiem mojej rozhuśtanej imaginacji. Potem jednak w książce *The Legend of the Sons of God* (Legenda Synów Bożych) słynnego różdżkarza T. C. Lethbridge'a (1901-1971) wyczytałem, że autor datując za pomocą wahadełka konwalijski *Merry Maidens Circie* (Krąg Wesołych Dziewic) - opierał jedną rękę na głazie, w drugiej trzymał wahadełko -poczuł „silne mrowienie, przypominające łagodny wstrząs elektryczny, a rozhuśtane wahadełko zaczęło obracać się równolegle do gruntu". Dodał też, że sam kamień, „który musiał ważyć przeszło tonę, zdawał się podskakiwać i omal nie zatańczył". Lethbridge wyciągnął stąd wniosek, iż zarówno ten, jak i inne megality są prawdopodobnie zasilane czymś, co określił jako „siłę bioelektroniczną".

Czyżby znów „mana"? Być może podobna siła, w połączeniu z potęgą ludzkiej wyobraźni, spowodowała płacz lub krwawienia posągów i obrazów o treści religijnej - a zogniskowanie tego rodzaju silnych emocji mogło doprowadzić nawet do powstania na żywym ludzkim ciele stygmatów?

Warto przynajmniej zadać sobie to pytanie.

Drewniane oczy płaczą krwawymi łzami?

W styczniu 1968 roku, podczas mszy odprawianej w kościele w brazylijskiej wiosce Porto das Caixas, jeden z ministrantów zbliżył się do krzyża i wydał okrzyk przerażenia. Wówczas całe zgromadzenie wiernych ujrzało, że coś podobnego do krwi spływa po liczącej sobie trzysta lat, drewnianej postaci ukrzyżowanego Chrystusa (naturalnej wielkości) i kapie na znajdujący się poniżej stół. Następnego dnia, gdy rozeszła się wieść o pierwszym cudownym uzdrowieniu (wieśniaka chorego na serce), Antonio de Almeida Moraes, arcybiskup Niterol (stolicy prowincji Rio) powołał komisję w celu zbadania cudu. Do 1976 roku osiem spośród wielu zgłaszanych niezwykłych uzdrowień uznano oficjalnie za cud. Sześcioletni chłopiec odzyskał wzrok w oku przeszytym igłą krawiecką. Zaćma sześćdziesięcioześcioletniego sędziego zniknęła w ciągu jednej nocy. Młodzieniec, sparaliżowany od pasa w dół wskutek uszkodzenia kręgosłupa, podniósł się z fotela inwalidzkiego i ruszył na spacer. Dwudziestodziewięcioletnia kobieta nagle ozdrawiała z choroby wywołującej trwałe kalectwo. U innej ustąpił nagle krwotok wewnętrzny. Troje chorych na raka doznało spontanicznej remisji.

Zapisy obdukcji lekarskich, włącznie z wynikami biopsji chorych na raka, przedstawiono komisji do wglądu w tych i innych przypadkach, gdy chory został podobno uleczony dzięki modlitwom przed krwawiącą statuą. „National Enquirer" z 3 lutego 1976 roku donosił, że „szanowany lekarz brazylijski", dr Enias Heringer, stwierdził, iż jest to „bez wątpienia czysta, ludzka krew". Inny lekarz, którego nazwiska nie podano, miał potwierdzić wynik analizy. Londyńskie czasopismo „Sunday People", organ prasowy równie godny zaufania jak „Enquirer", powołało się 11 stycznia 1976 roku na „Analizę nr 4380/68". Dowiodła ona podobno, że przedstawiony płyn był krwią, „której pochodzenia i gatunku nie można określić przy obecnym stanie wiedzy technicznej" - nie podano jednak nazwy laboratorium. Nie było też jasne, czy statua krwawiła ze wszystkich punktów stygmatycznych (czoło, ręce, bok, stopy, kolana), czy tylko z kolan, jak można było sądzić z zamieszczonej w prasie fotografii. Ponieważ jednak „Chrystusowa krew" objawiła swą cudowną moc przynajmniej pod jednym względem, a mianowicie ściągania tłumów pielgrzymów, arcybiskup przychylił się do tego, by Porto das Caixas uzyskało rangę „świętego miejsca".

Relacji o tego rodzaju wydarzeniach jest dziś równie dużo jak w dawnych czasach. Kamienne lub drewniane posągi, inne wizerunki, idole i ikony rzekomo krwawią, pocą się albo leją łzy - od tysięcy lat. Kiedy drewniana statua greckiego Orfeusza oblewała się przez kilka dni potem - tuż przed wymarszem Aleksandra Wielkiego (356-323 p.n.e). na podbój świata, uznano to za pomyślną wróżbę. Liwiusz wspomina o posągu Apollina, który płakał przez trzy dni i noce. Owidiusz opowiada o tym jak święty dąb - siedziba driad w Eresichtonie broczył czerwienią, gdy świętokradczo raniono go toporem. Tuż przed zdobyciem i złupieniem Rzymu w 1527 roku pewien posąg Chrystusa płakał tak bardzo, że posiadacze tej świętości nie nadążali z ocieraniem jego twarzy, a w 1719 roku, podczas oblężenia Syrakuzna Sycylii marmurowa statua świętej Łucji także roniła obfite łzy. Oczywista bzdura! Płaczące drewno? Krwawiący kamień?

Rozważmy jednak dziwny, smutny przypadek Cesaire'a de Grateloup, lepiej znanego jako Abbe Vachere, francuskiego księdza, którego odsunięto od funkcji kapłańskich.

Tragedia Abbe Vachere'a

W 1913 roku, tuż przed I wojną światową, Abbe Vachere mieszkał w Mirebeuen-Poitou w pobliżu Poitiers; zaczęły się wówczas szerzyć wieści o dziwnych wydarzeniach. Będący w posiadaniu księdza oleodruk przedstawiający Chrystusa nieustannie krwawił, a konsekrowane przez Abbego Vachere'a opłatki również ociekały krwią.

Zaintrygowani tą sprawą badacze zjawisk metapsychicznych - Everard Feilding i poeta irlandzki W. B. Yeats - odwiedzili Mirebeau. Abbe, sympatyczny sześćdziesięciolatek, bardzo szanowany w okolicy, opowiedział przybyszom, że pewien przyjaciel mieszkający w Rzymie podarował mu w 1906 roku dwa oleodruki. Pięć lat później, zawieszając jeden z nich nad ołtarzem w swej prywatnej kaplicy (zdarzyło się to rankiem 8 września 1911 roku), Abbe zauważył ciemne plamy na czole namalowanej postaci. Tego samego dnia plamy przekształciły się w ciecz podobną do krwi. Wkrótce pojawiły się dalsze ślady „cierniowej korony". Płyn sączył się odtąd codziennie - już nie tylko z głowy Chrystusa, ale także z j ego piersi i rąk. Abbe poinformował o tym biskupa z Poitiers, a następnie posłusznie przekazał obraz seminarium duchownemu w tym mieście. Tam -jak się okazało - oleodruk przestał krwawić. 15 grudnia zwrócono go księdzu Vachere i polecono, by nie wystawiał obrazu na widok publiczny. Powróciwszy na dawne miejsce wizerunek znowu zaczął krwawić.

27 maja 1912 roku, w momencie konsekrowania hostii, ksiądz Vachere zobaczył, że tworzy się na niej 4- 5-centymetrowa szczelina, a następnie zaczyna płynąć z niej „krew". W popłochu upuścił hostię na ołtarz. Oglądając ją po dwóch latach - leżała na tym samym miejscu, na którym ją wówczas pozostawiono - Feilding dostrzegł, jak obficie „krew" splamiła obrus na ołtarzu.

W marcu 1914 roku zwierzchnicy księdza Vachere'a polecili, by wydał im krwawiący nadal oleodruk. Po upływie pięciu dni Abbe z przerażeniem usłyszał od robotników budowlanych, którzy podczas przerw w pracy korzystali z należącej do księdza chatki, że drugi zawieszony tam oleodruk także zaczął krwawić. Wkrótce potem Feilding złożył swą pierwszą wizytę. Zawiózł próbki cieczy (zastygła ona w lepkie kałuże u podstawy wizerunku) do Anglii i oddał do analizy w Londyńskim Instytucie Listera, gdzie bakteriolog E.E. Atkin stwierdził, że ów płyn - czymkolwiek by był - na pewno nie jest krwią. Zdołał ustalić jedynie obecność mikroorganizmu zazwyczaj występującego w wodach stojących.

Gdy Feilding powrócił do Mirebeau na następne święta wielkanocne, Abbe powitał go bardzo chłodno. Potem ksiądz Vachere nieco zmiękł i wyjaśnił, iż od ostatniej wizyty Feildinga zarzucono mu oszustwo, ekskomunikowano i oskarżono o proniemieckie sympatie - po części z tej racji, że chorzy tłumnie się do niego zbiegali w nadziei na cudowne wyleczenie. Kiedy wybuchła wojna, Abbe Vachere zaczął rozsmarowywać „cudowną krew" na niedużych (pocztówkowej wielkości) wizerunkach Chrystusa i wysyłał je żołnierzom na front, by ich chroniły od złego. Rozniosła się wieść, że pewien francuski żołnierz został postrzelony przez snajpera tuż nad sercem. Gdy rozcięto na nim mundur, towarzysze broni znaleźli w kieszeni koszuli - na piersiach - święty obrazek przedstawiający Chrystusa. Na wygiętej od kuli metalowej ramce widniała krew. Gdy jednak zdarto z poszkodowanego koszulę, żołnierz odzyskał przytomność i usiadł z uśmiechem: nie miał na ciele żadnej rany, nawet zadrapania. Krwawił jedynie obrazek od księdza Vachere'a. Wkrótce wieść rozniosła się szeroko. Wielu uznało księdza za świętego.

Gdy u jego drzwi stało tak wielu potrzebujących pomocy, Abbe zaczął rozdawać im lekarstwo z ziół, które sam suszył i mieszał ze sobą. Ksiądz Vachere bynajmniej nie przybierał póz cudotwórcy, ale jego zwierzchnicy mieli go już dość. Został oskarżony przed biskupem z Poitiers, ekskomunikowano go i uznano za „vitandus" (osobę, której należy unikać). Wielu doszło teraz do wniosku, że jest „nieczysty". Nic dziwnego, iż Abbe tak ozięble powitał Feildinga.

Badając pozostały oleodruk, który znajdował się teraz w domowej kapliczce Vachere'a, Feilding stwierdził, że obraz jest wilgotny. Żeby sprawdzić autentyczność „cudu", postanowił go osuszyć, a potem zamknąć kaplicę i przekonać się, czy ciecz nadal będzie się sączyć, pomimo braku dostępu do niego. Zgodziwszy się niechętnie na zamknięcie drzwi na klucz (zamiast zaplombowania ich), Feilding umieścił w zawiasie zwitek papieru. Kiedy powrócił po kilku godzinach, zobaczył, iż oleodruk jest wilgotny, ale papier wypadł. Ksiądz oburzony podejrzeniem o oszustwo, podpowiedział, że zapewne zakrystian potrząsnął zamkniętymi drzwiami, nie mogąc ich otworzyć, i przy tym kołataniu papier wypadł. Feilding uznał wyjaśnienie za prawdopodobne. Nie mógł też uwierzyć, by ten prostoduszny, naiwny jak dziecko, pobożny, choć porywczy, stary ksiądz był zdolny do świadomego szalbierstwa, wiążącego się w dodatku z tym, co musiał uważać za najświętszy i najgłębszy element

swojej wiary - i podobne zachowanie nie budziło w nim odrazy.

Jesienią 1916 roku Feilding poprosił pewną znajomą Francuzkę, mademoiselle Lichnerowicz, żeby dyskretnie obserwowała wydarzenia tak, by Abbe nie domyślił się niczego. Na Boże Narodzenie 1916 roku uczestnicząc pewnego ranka we mszy św. zauważyła, że krew zaczyna sączyć się z obrazu, zaraz po tym, jak ksiądz Vachere umieścił pod nim kawałek białego płótna. W maju następnego roku zaobserwowała identyczne zjawisko. Feilding powrócił w styczniu 1920 roku, tym razem w towarzystwie swej żony. Oleodruk nadal krwawił, a w dodatku ze stojącej na stopniach ołtarza statuy Dzieciątka Jezus także zaczęła sączyć się krew. Feilding właśnie miał zamiar pobrać kolejne próbki do analizy, gdy jego żonie wydało się, że dostrzegła jak Abbe kropi oleodruk wodą. Po powrocie Feildingów do Londynu, analiza w Instytucie Listera wykazała tym razem, iż złożona tam próbka cieczy to ludzka krew.

Vachere udał się do Rzymu, by tam bronić swej sprawy. Nie zdjęto zeń jednak ekskomuniki. Po powrocie do ojczyzny zatrzymał się w Aix-la-Chapelle i spotkał z chorymi, którzy - pomimo ciążącej na nim klątwy - zwrócili się doń po ratunek. Tam właśnie, w zajmowanych przez Abbe Vachere'a pokojach, świadkowie ujrzeli w biały dzień, że statuetka i wizerunek Chrystusa zaczęły krwawić. Drobniutkie kropelki formowały się i ściekały strumyczkami na podłogę. „Krwotoki" trwały mniej więcej pół godziny, potem ustawały, by znów się powtórzyć po kilku godzinach. Ciągnęło się to przez wiele dni. Dr Birven, wydawca czasopisma „Hain der Isis", oznajmił, iż krew była kilkakrotnie poddawana analizie i zawsze orzeczenie brzmiało „ludzka". Gromadziły się wielkie tłumy; dokonywno urzędowych oględzin wizerunków. Nie odkryto jednak żadnych naturalnych przyczyn tego zjawiska. Kościół znów zignorował całą sprawę. Znękany Abbe Vachere opuścił Aix-la-Chapelle 11 czerwca i zaledwie sześć dni później zmarł na apopleksję w wieku sześćdziesięciu ośmiu lat.

Feilding, który określił ten przypadek „najdziwniejszym, z jakim się zetknął w swej karierze", nie wydał nigdy w tej sprawie definitywnego sądu. Przypuszczał, że cuda z Mirebeau były autentyczne, ale nie uważał ich za wynik Boskiej interwencji. Sugerował, iż wiara Abbego przyczyniła się w jakiś sposób do powstania tych fenomenów. Ani Feilding, ani inni obserwatorzy nie mogli uwierzyć, by ten szorstki staruszek dopuszczał się z premedytacją takich oszustw. Późniejsi badacze, na przykład E. J. Dingwell, również sugerowali, że ksiądz Vachere - acz był przyczyną powstawania fenomenów - czynił to bezwiednie, nie zdając sobie z tego sprawy.

Rogo, cytując oświadczenie Abbego, iż po tym jak krew popłynęła z oleodruku słyszał głosy dochodzące z wnętrza obrazu, i zwracając równocześnie uwagę na „zmienność stanów psychicznych księdza, jego głęboką wiarę oraz fascynację zjawiskiem stygmatów", orzekł, że był to zapewne przypadek poltergeista, a wydarzenie to miało „podłoże religijne". Podkreślił także, iż fenomeny ustąpiły ze śmiercią księdza. Teorię poltergeista odrzucił Nickell. Jedynym - jego zdaniem - możliwym rozwiązaniem jest „świątobliwe oszustwo". Jednakże Nickell, choć jego analityczne opinie cechuje godna pochwały dokładność, ma tendencję do uznawania za oszustwo wszystkiego, czego me potrafi wytłumaczyć. Inaczej mówiąc, być może czasami „przeczy zbyt gwałtownie".

Być może ostatnie słowo w tej sprawie należy do Colina Wilsona, który twierdzi, że ów przypadek dobitnie świadczy o tym, iż dziś „Kościół w zetknięciu z czymś niewytłumaczalnym przejawia taką samą nieufność i nerwowość jak przedstawiciele świata nauki".

Cóż, nie dające się zaszufladkować zjawiska są zawsze solą w oku tych, którzy pragną sterować opiniami innych.

Osada Pielgrzymów w Templemore

Na fenomen określony niemieckim terminem „poltergeist" (hałaśliwy duch) składają się między innymi rozlegające się w domu trzaski, stukania, unoszące się w powietrzu meble i inne sprzęty domowe, pojawiający się nie wiedzieć skąd grad kamyczków lub potoki wody oraz pożary, które same wybuchają! gasną. Dziś większość podobnych objawów uważa się nie za wyczyny krotochwilnych nieboszczyków, lecz podświadome manifestacje niepokojów umysłu, przeważnie (choć nie zawsze!) związane z osobą jakiegoś nastolatka w okresie dojrzewania. Kiedy problemy emocjonalne zostaną rozwiązane, „straszenie" zazwyczaj ustaje.

Podobnie jak w przypadku wizji Maryjnych, fenomeny tego rodzaju mogą być związane nie tylko z osobistymi kłopotami jakiejś osoby, ale z niespokojną sytuacją w kraju. Trwoga ludzi może wyrazić sienie tylko wiarą w dziwaczne wydarzenia, ale (właśnie dzięki tej wierze) dosłownie je produkować. Jeśli nawet wszystko opiera się na pogłoskach, zbiorowa wiara może przyczynić się do powstania iluzji mającej wszelkie cechy autentyzmu, w którą przekształca się pierwotna relacja dzięki ogólnemu pragnieniu, by cud się spełnił.

W sierpniu 1920 roku, wkrótce po zakończeniu I wojny światowej, w irlandzkim mieście Templemore (w hrabstwie Tipperary) doszło do gwałtownych starć ulicznych pomiędzy ugrupowaniami pro- i anty brytyjskim. Pięć dni później, 21 sierpnia, gdy ratusz spłonął, sklepy były zamknięte, a tylko nieliczni mieszkańcy ośmielali się wyjść ze swych domów, figurki świętych, należące do szesnastoletniego Jamesa Walsha, zaczęły krwawić. Ten żarliwie wierzący katolik wynajmował mieszkanie wraz z Thomasem Dwanem. Gdy odwiedził siostrę współlokatora, panią Maher, ze znajdujących się w jej mieszkaniu posążków także zaczęła sączyć się krew. Inne, częściej spotykane przejawy aktywności poltergeista dowodziły, że wszystko w jakiś przedziwny sposób obracało się wokół osoby Walsha. Kiedy wieści szeroko się rozeszły - choć trupy nadal leżały po rowach, a walka o wolność Irlandii nie ustawała - ludzie decydowali się na ryzykowną wyprawę, by odwiedzić mieszkanie Dwana. Pierwsi goście opowiadali nie tylko o krwawiących posążkach, ale także o meblach, które same się przemieszczały, różnych przedmiotach sfruwających z półek, tajemniczych krokach rozlegających się na dachu i (co najbardziej zdumiewające) - wgłębieniu wielkości filiżanki, powstałym w podłodze z ubitej gliny w sypialni Walsha. Wypełnione było wodą, której nikt nie mógł stamtąd wyczerpać. Bez względu na to, ilu przybyszów i jak długo usuwało wodę, w niepojęty sposób dołek nadal wypełniał się po brzegi, choć nigdy woda się nie przelewała. Tak przynajmniej mówiono.

„Tunel świetlny" i „świetliste istoty" stanowią stały element współczesnych przeżyć z pogranicza (NDE). Również wiara w anioły staje się znów bardzo modna, zwłaszcza w Stanach Zjednoczonych. W pewnym średniowiecznym źródle znajduje się wzmianka, że owych „wysłanników Bożych" jest dokładnie trzysta dziewięćdziesiąt dziewięć milionów, dziewięćset dwadzieścia tysięcy czterech. Jesli tak jest rzeczywiście, wygląda na to, że prawie wszyscy zostali sportretowani na tej "Wizji empirycznej".

21 września 1995 roku równocześnie na całym świecie pojawiły się wieści o posążkach hinduskich bóstw pijących mleko. Sceptycy uznali, że przyczyna tego leży w działaniu naczyń włosowatych. Niemniej jednak „mleczny cud" był czymś unikatowym, jeśli chodzi o zasięg i szybkość ogólnoświatowej informacji o tym wydarzeniu - dzięki nowoczesnej telekomunikacji. (Syndication Intemational)

Czy wizerunki Chrystusa mogą krwawić, a posążki Matki Boskiej płakać? Doniesienia o rozpłakanych Madonnach dosłownie zasypały Włochy w 1995 roku. „Gdy sytuacja we Włoszech źle się przedstawia, zawsze zaczyna płakać jakaś Madonna" - twierdzi socjolog Franco Fenaroti. Widoczna statua przelewała łzy na Brookłynie w Nowym Jorku w 1984 roku. (FPL)

Sława fenomenu wkrótce rozniosła się poza granice Irlandii. Mimo zamieszek politycznych i związanej z nimi wrogości różnych stronnictw, przedstawiciele Biura Podróży Cooka przybyli na rekonesans z Brytanii. Czy w gospodach w Templemore znajdzie się miejsce dla dwóch tysięcy pielgrzymów? Podobne zapytania dochodziły ze Stanów Zjednoczonych, Japonii, Afryki Południowej i ze wszystkich krajów Europy. Niebawem tysiące ludzi zaczęły napływać do Templemore, zmierzając prosto do mieszkania Dwana i Maherów, by ujrzeć cuda na własne oczy. Stało się to prawie nie do zniesienia. Początkowo Dwan i Maher wpuszczali przybyszów do mieszkania bez żadnej opłaty (w grupach pięćdziesięcioosobowych, po pięć minut na grupę), później jednak wystawili krwawiące w dalszym ciągu wizerunki w oknach, a sami starali się prowadzić możliwie normalne życie, mimo iż dzień i noc, nie kończące się kolumny pielgrzymów z pochodniami maszerowały pod ich domem. Prowizoryczne „miasteczko", które wyrosło na peryferiach częściowo zburzonego Templemore, ochrzczono wkrótce „Pilgrimsville" - Osadą Pielgrzymów. W całej okolicy panował zamęt - nie tylko z racji zamieszek na tle politycznym. Mimo to, zarówno owe starcia, jak i fakt, że zakończyła się właśnie I wojna światowa, przyczyniły się zapewne w znacznym stopniu do powstania tej niezwykłej sytuacji.

Potrzeba cudu, widomego znaku duchowej pociechy, była tak wielka, iż osobliwe zjawiska, zrodzone zapewne z młodzieńczych niepokojów, przyciągnęły tysiące ludzi. Jeśli chodzi o autentyzm owych „cudów", to zebrano wiele zeznań na ten temat. Lokalna gazeta „Tipperary Star" uzbierała dość materiału, by zapełniać nimi szpalty przez całe miesiące. Codziennie pojawiała się nowa relacja o cudzie. Na temat tych oświadczeń Charles Fort (w „Lo!") wypowiada się następująco: „Można to uważać za absolutnie przekonywający dowód, albo za bajeczki dla dużych dzieci". Dodaje równie zgryźliwie:

W Irlandii w dalszym ciągu płynęła krew z ciał poległych w walce, ale statuetki jakoś przestały krwawić, a przynajmniej skończyła się gadanina na ten temat. Tylko wody -pochodzącej z nie wiedzieć jakiego źródła - nadal nie ubywało we wgłębieniu w pokoju młodego Walsha. 25 września „ Tipperary Star" zamieściła wyliczenie, że w ciągu jednego miesiąca (w przybliżeniu) przez Osadę Pielgrzymów przewinęło się milion osób.

Nie obeszło się jednak bez pewnych akcentów farsowych - a także zwykłej podłości. Farmerzy kazali pielgrzymom płacić po dwa szylingi za jedno jajko na twardo. Kradzieże i niepokoje nasilały się. „Pan John 0'Donnell zgodził się podwieźć pielgrzyma, który zrabował mu dwieście pięćdziesiąt funtów". Jeśli zaś chodzi o Walsha, to spowodował on fenomen krwawiących posążków (kto wie, jak i czy rzeczywiście to uczynił!) - po czym zszedł ze sceny. Nikogo to nie obeszło. Pielgrzymi przybywali do Templemore nie po to, by zetkąć się z jakąś konkretną osobą, ale w poszukiwaniu dowodu na to, że poza codzienną harówką istnieje jeszcze coś więcej.

W tym przypadku relacje o cudzie, wiara w niego i emocjonalne reakcje, jakie wywołał, całkowicie przesłoniły problem pochodzenia lub wyjaśnienia zachodzących fenomenów. Nieważne, co wydarzyło się naprawdę. Liczy się tylko to, w co ludzie uwierzyli.

„Słowo daję, autentyczna krew!"

Relacje o cudach nadal napływają. Szczególnie obfitował w nie rok 1985. W hiszpańskiej miejscowości Denia w pobliżu Alicante ukoronowane cierniem popiersie Chrystusa płakało przez dziesięć dni krwawymi łzami w domu Antonii Alyarez. W Granadzie (też w Hiszpanii) sto trzydzieści tysięcy osób zbiegło się do bazyliki św. Jana Bożego, by ujrzeć gipsowy posążek Chrystusa, który także lał krwawe łzy. W kościele w Sezze - między Rzymem a Neapolem - po twarzach zarówno Chrystusa, jak i Najświętszej Maryi Panny płynęły zwykłe łzy i krople krwi. W miejscowości Caltinisetta na Sycylii wieśniacy obserwowali, jak z oczu ceramicznej statuetki Maryi wypływa jakaś krwawa ciecz.

Stany Zjednoczone także mają swój udział w tym zalewie relacji. Po Wielkanocy 1975 roku pani Annę Poore z Filadelfii w stanie Pensylwania, modliła się przed 70-centymetrową figurką Chrystusa. I wtem: „spojrzałam na statuetkę i serce mi zamarło. Dwie rubinowe krople krwi ukazały się na gipsowych dłoniach w miejscu namalowanych ran! Byłam przerażona - zorientowałam się, że to prawdziwa krew".

Kiedy krwawienie nie ustawało, a tłumy oblegały drzwi jej domu, pani Poore podarowała ów posążek wielebnemu Chesterowi Olszewskiemu z kościoła episkopalnego pod wezwaniem św. Łukasza. Kościół znajdował się w pobliskiej miejscowości Eddy" stone. Niezwykłe zjawisko wywarło na duchownym ogromne wrażenie. Podobnie rzecz się miała z prowadzącym śledztwo w tej sprawie. Po odjęciu rąk posążku z litej kredy przekonał się, że nadal obficie krwawiły. „Setki ludzi przychodzą do mojego kościoła, by modlić się przed posągiem, ten zaś nadal krwawi - zwierzał się reporterom pastor Olszewski na początku 1976 roku. - A przecież stoi na półce, 3 metry nad ołtarzem, gdzie nikt nie może go dotknąć. Krew płynęła kiedyś przez całe cztery godziny! Nie ma w tym żadnego oszustwa. Wielokrotnie widziałem, że dłonie są zupełnie suche - a kilka minut później obserwowałem krople krwi, wypływające z ran".

Doktor Joseph Rovitio z Filadelfii prześwietlił posąg promieniami rentgenowskimi, ale nie znalazł w jego wnętrzu żadnego ukrytego mechanizmu. Krew okazała się prawdziwa, ale niski poziom czerwonych ciałek wskazywał na to, że jest ona bardzo stara. „Tak stara, że nie możemy określić nawet grupy krwi" ~ zawyrokowano. Co się zaś tyczy księdza Olszewskiego, to pod koniec roku został wykluczony z Kościoła episkopalnego przez swych zwierzchników. Pod wpływem zbożnego lęku, jaki wywołał w nim cud, ksiądz zaczął odprawiać w swej świątyni rzymskokatolickie msze.

Ryzykować utratę pozycji życiowej po to tylko, by podtrzymać oszustwo? - wydawało się to nieprawdopodobne.

W maju 1979 roku w Roswell (Nowy Meksyk) wizerunek Jezusa - wielkości pocztówki, pokryty warstwą plastiku - zaczął płakać krwawymi łzami. Obrazek został kupiony kilka lat wcześniej przez panią Kathy Mallot i ofiarowany na pamiątkę babci, pani Willie Mae Seymore. Krwi było tyle jakbym zacięła się w palec" - orzekła pani Seymore. Ksiądz katolicki, którego poproszono o zbadanie obrazka, odmówił, uznawszy sprawę za „zbyt drażliwą".Wiele osób badało potem ów wizerunek. Ciecz zdawała się wypływać bezpośrednio spod warstwy plastiku i trwało to aż 24 godziny, zanim skrzepła. Po dokonaniu jej analizy w Centralnym Szpitalu Wschodniego Nowego Meksyku okazało się, że to „autentyczna krew, słowo daję!" - jak oznajmił laborant, który (całkiem rozsądnie!) wolał zachować anonimowość. „Niezbyt religijna" rodzina Malottów zmieniła swe przekonania, zwłaszcza gdy Zackowi, mężowi Karny, przyśnił się Chrystus i oznajmił, iż owa krew jest znakiem jego rychłego powtórnego przybycia na świat.

Interesującym aspektem tej sprawy jest fakt, że od 1947 roku krążyły pogłoski o rozbiciu się w pobliżu Roswell pojazdu kosmicznego. Załoga bombowca z ładunkiem nuklearnym z sąsiedniej bazy Sił Powietrznych Stanów Zjednoczonych odnalazła ciała martwych istot pozaziemskich. Czyżby istniał jakiś związek pomiędzy tymi wydarzeniami?

W 1972 roku krwawiący krucyfiks z wapienia, własność rodziny Pizzich z Syrakuz na Sycylii (tam właśnie podczas oblężenia w 1719 roku miała płakać statua św. Łucji), zwabił tak wielu pielgrzymów, że Kościół musiał wydać ostrzeżenie, iż cud nie został jeszcze oficjalnie uznany. Na łamach czasopisma „Fate" (grudzień 1972 roku) cytowano wypowiedź doktora S. Rodante, prezesa Sycylijskiego Stowarzyszenia Katolickich Lekarzy, który oświadczył, że krew na krucyfiksie krzepła błyskawicznie, ale próbki pobrane od członków rodziny Pizzich zachowywały się normalnie.

21 kwietnia 1991 roku pewien ksiądz w jordańskiej miejscowości Zarka w pobliżu Ammanu miał właśnie udzielić komunii świętej, gdy nagle coś podobnego do krwi zaczęło sączyć się z konsekrowanego chleba na mosiężną patenę. Zaalarmowani krzykami duchownego, wierni podbiegli do ołtarza i - jak oświadczyła matka przełożona miejscowej szkoły klasztornej - „zaczęli smarować tą krwią swoje twarze i jeść ją". Jordański biskup Costinos nie wyraził sprzeciwu. „Nie udałoby się ich od tego powstrzymać". Przybywszy do Jordanu 28 kwietnia Diodoros i, patriarcha greckiego Kościoła prawosławnego w Jerozolimie, uznał wydarzenie za cud. Jeśli chodzi o poświęcony wówczas chleb, to pozostały z niego zaledwie dwa maleńkie kawałki, wilgotne i jaskrawoczerwone (w kościołach prawosławnych zamiast opłatka używa się do konsekracji chleba lub miniaturowych bułeczek).

W połowie lat osiemdziesiątych John Comwell odwiedził klasztor sióstr karmelitanek od św. Józefa, znajdujący się w ubogiej, nowojorskiej dzielnicy Bronx. Rok wcześniej, podczas świąt Bożego Narodzenia, zakonnice zauważyły, że 30-centymetrowa, woskowa statuetka Dzieciątka Jezus, leżąca w żłobku w ich kaplicy, zaczęła płakać, na jednej rączce i nóżce pojawiły się stygmaty. „Wytarłyśmy tę ciecz serwetką - powiedziała Comwellowi siostra Mari. - Nikt oprócz nas nie miał wstępu do kaplicy. Dobrze się znamy nawzajem i uważam za nieprawdopodobne, by którejś z nas przyszło do głowy podobne oszustwo. Jaki zresztą mogłaby mieć cel? Nie wypatrujemy na każdym kroku cudów". Następnie zakonnica opowiedziała Comwellowi, że pół roku później zauważyły, iż z konsekrowanego opłatka „sączą się czerwone krople", które „w ciągu kilku godzin pociemniały tak, jak zmienia się kolor krwi w zetknięciu z powietrzem". Opłatek - krążek z przaśnego ciasta o średnicy około 2,5 centymetra - zbrązowiał; był dokładnie takiego koloru jak bandaż, który poplamiono krwią dzień czy dwa wczesnej. Jeśli zaś chodzi o Dzieciątko Jezus, brązowe plamy widniały na dłoni i stopce. Zakonnice nie rozpowiadały o tych wydarzeniach, choć powiadomiły o nich biskupa.

Próbki cieczy poddano analizie. „Chemicy oznajmili nam, że nie jest to krew -powiedziała siostra Mari - lecz jakaś tajemnicza substancja, której nie potrafią zidentyfikować".

Comwell wiedział o rozmaitych oszustwach, na przykład w Entrevaux we Francji (lata pięćdziesiąte naszego wieku), gdzie ludzka krew pojawiła się na ułamanym palcu stojącego w kościele posągu Madonny. Gdy przybyły już ponad dwa miliony pielgrzymów i krążyły relacje o wielu cudach, jeden z tamtejszych mieszkańców wyznał, że to on sfingował ów „cud", pragnąc, by o jego kościele „dowiedział się cały świat". Jednak Comwell uznał za bezsensowne przypuszczenie, iż zakonnice z Bronxu przygotowały rzekomy cud, potem zaś trzymały go w całkowitej tajemnicy - nawet jemu opowiedziały o nim jedynie w zaufaniu.

„Miałem wrażenie - pisze Comwell - że cud z Eucharystią w Bronksie nosi wszelkie znamiona oszustwa, a jednak trudno mi było uwierzyć, iż zakonnice mogły się dopuścić czegoś podobnego".

Nasza Pani Płacząca

Taka dwoistość uczuć jest zjawiskiem powszechnym. Comwell odnotowuje także różnice pomiędzy fenomenami związanymi z wizerunkami Chrystusa i łączącymi się z osobą Najświętszej Panny Maryi. Przeważnie wizerunki Chrystusa krwawią z jednego lub wielu punktów stygmatycznych, wyraźnie i obficie. Wizerunki Madonny natomiast płaczą nad niedolą ludzką. Inaczej mówiąc, oboje zachowują się zgodnie z oczekiwaniami.

Niekiedy Maryja płacze podobno krwawo, ale przeważnie są to zwykłe łzy. Co się zaś tyczy występowania ran na jej posągach, to odnotowano jeden niezwykły przypadek. Wydarzył się on na indonezyjskiej wyspie Flores 12 grudnia 1992 roku, gdy w wyniku trzęsienia ziemi zginęło tam dwa tysiące siedemset osób. W zburzonym kościele w miejscowości Maumere, która w trzech czwartych uległa zniszczeniu, odnaleziono po kataklizmie statuę Maryi z przeciętym gardłem, z którego lała się krew.

W podobnych jednak przypadkach zawsze nasuwa się pytanie: jeśli nie mamy do czynienia ze świadomym oszustwem, może sprawiły to tzw. pobożne życzenia? Rozpatrzmy dwa niedawne przypadki.

W Santiago (Chile) porcelanowa statuetka Madonny, należąca do ubogiej rodziny Nunezów, zaczęła ronić krwawe łzy w

listopadzie 1992 roku. Kiedy tłumnie zjechali pielgrzymi, biuro koronera opublikowało wynik analizy: czerwona ciecz była ludzką krwią, należąca do grupy 0.4, tak rzadko spotykanej, że posiadało jaw całym kraju najwyżej sześć-siedem osób. Późniejsze badanie DNA wykazało „99,99995% prawdopodobieństwa, iż jest to krew Renato Nuneza". A co na to pan Nunez? „Jeśli rzeczywiście tak jest, to doprawdy cud boski!" A może nie tak całkiem?

9 maja 1994 roku gipsowy posąg Madonny, należący do siedemdziesięcioośmioletniej emerytowanej poczmistrzyni, Mary Murray z Grangecon w hrabstwie Wicklow w Eire (Irlandia), zaczął ronić łzy przypominające krew. Statua od l maja znajdowała się w przezroczystej gablotce, w saloniku pani Murray, gdzie było bardzo ciepło. Kiedy przychodziło oglądać „cud" już około pięciuset osób dziennie, producent posążka -portugalska firma Farfatima -przyznała, że szklane oczy zostały przyklejone mieszaniną wosku, żywicy i innych substancji, która w nagrzanym pokoju mogła się rozpuścić, a powstała w ten sposób ciecz byłaby podobna do krwi. Owo wyjaśnienie nie trafiło jednak do przekonania pani Murray. Twierdziła uparcie, że Najświętsza Panna płacze krwawymi łzami, by nie dopuścić do uchwalenia przez rząd przewidywanej legalizacji rozwodów i aborcji. Nie zgodziła się też na dokonanie analizy chemicznej „krwi".

Wiele „cudów" jest naśladownictwem jakiegoś znanego wszystkim wydarzenia; relacje zaś tak różnią się między sobą, że zazwyczaj bardzo trudno jest ustalić, od czego właściwie wszystko się zaczęło. Comwell odwiedził Syrakuzy, by zbadać przypadek Naszej Pani Płaczącej. Jest to jedyna współczesna Madonna lejąca łzy, którą Kościół oficjalnie zaakceptował. Jednak nawet i tu relacje przedstawiają się bardzo różnie, w zależności od osoby narratora.

Wydarzyło się to w 1953 roku, tyle wiemy na pewno. Wplątana w ten incydent była para nowożeńców, Antonina Giusto i jej mąż Angelo. Comwell podaje takie właśnie nazwisko, które usłyszał od signora Carmelo Macondy, opiekującego się Przybytkiem Naszej Pani Płaczącej. Jednak zarówno Rogo, jak i Nickell nazywają młodą mężatkę „Antoniettą Janusso", przy czym Rogo powołuje się na publikację H. Jongena Look! the Madonna is Weeping (Patrz! Madonna płacze) z 1959 roku. Być może właśnie Jongen przyczynił się do powstania tych rozbieżności.

W marcu brat Angela, Giuseppe, podarował nowożeńcom w prezencie ślubnym pokrytą glazurą gipsową plakietkę z wizerunkiem Najświętszej Panny (inna wersja: lakierowaną gipsową statuetkę). Zawieszono ją na ścianie nad łóżkiem, w którym od 29 sierpnia musiała stale leżeć z powodu zatrucia ciążowego młoda mężatka. Jej choroba wlokła się całymi tygodniami: cierpiała na ataki podobne do epilepsji, traciła przejściowo wzrok, często popadała w omdlenie.

Leżąc w łóżku po wyjściu męża do pracy (wersja Macondy-Comwella) lub też o trzeciej nad ranem (według Jongena-Rogo) chora nagle spojrzała w górę i dostrzegła, że twarz na plakietce (lub oblicze statuetki) tonie we łzach. Szwagierka Grazia i pewna znajoma były przy tym obecne (Jongen-Rogo) lub też zostały przez Antoninę wezwane, gdy cud się dokonał (Maconda-Comwell). Tak czy inaczej, wkrótce zaczęły napływać tłumy. Ludzie wystawali w kolejce całymi dniami, by znaleźć się w sypialni Antonii i osobiście obetrzeć łzy, które nieustannie płynęły. Umoczywszy w sączącej się cieczy kłaczki waty lub chusteczki, podnosili je do ust, by stwierdzić, że jest słonawa, jak prawdziwe łzy.

Oto co opowiedział sąsiad, Mario Messina (relacja Jongena-Rogo):

Posążek wisiał na ścianie, a łzy płynęły powoli. Dobrze wiedząc, że wśród zebranych są i niedowiarki, i wierzący, zdjąłem statuetkę ze ściany, żeby się lepiej przyjrzeć. Skąd się bierze ta wilgoć? Ściana była zupełnie sucha, tylna strona posążku też. Ciecz nie mogła sączyć się z sufitu, bo nie było tam najmniejszego śladu wilgoci. Co dziwniejsze, głowa posągu była sucha. Zależało mi na tym, żeby nie było żadnych wątpliwości, więc rozmontowałem posążek i zdjąłem aureolę, otaczającą głowę Madonny. Zauważyłem, że dwa malutkie haczyki były również całkiem suche. Wziąłem kawałek płótna, starannie wytarłem twarz i pierś posągu. Zaraz po tym dwie łzy, jak perełki, zalśniły na policzkach i spłynęły pozostawiając wilgotny ślad. Ciekły wzdłuż twarzy Maryi, a za nimi potoczyły się następne.

W południe plakietkę (czy statuetkę) obniesiono po głównym placu miejskim - płakała bez przerwy. Obawiając się jakichś rozruchów, policja zarekwirowała ją. Roniła łzy w dalszym ciągu. Do chwili gdy zwrócono ją następnego dnia, wydarzenie było już na ustach wszystkich. „Sceptycy zostali zapędzeni w kozi róg przez niezbite fakty, których nie są w stanie wytłumaczyć" - oznajmiała na pierwszej stronie zazwyczaj antyklerykalna „La Sicilia". Później doniesiono jeszcze: „wszyscy syrakuzanie zdążyli już zobaczyć płaczącą Madonnę. W całym mieście zawrzało pod wpływem tego nagłego, zdumiewającego wydarzenia... Maleńkie popiersie Madonny, osadzone na tafli czarnego szkła, przez cały dzień, bez chwili przerwy, roni łzy..."

Gdy do miasta zaczęły nadjeżdżać autokary pełne pielgrzymów, arcybiskup Syrakuz skłonił lokalny zarząd służby zdrowia do zbadania sprawy. Komisja złożona z księży, policjantów i ekspertów medycznych wkroczyła do domu państwa Giusto (lub Janusso) i pobrała od rozpłakanej plakietki (statuetki) około centymetra sześciennego płynu. Wkrótce potem, l września o

11.15 rano, Madonna przestała płakać. Analiza płynu wykazała, że ma on skład zbliżony do ludzkich łez. Sześciu lekarzy, chemik, profesor patologii, policjanci i wiele różnych urzędników (wzięli w tym udział przedstawiciele wszelkich szczebli władzy) podpisali dokument stwierdzający, iż „nie znaleziono żadnych śladów substancji, z których została wykonana plakietka, co wskazuje na to, że płyn nie wydobywał się z wnętrza badanego przedmiotu". Alkaliczność i skład cieczy były zbieżne z „wydzieliną ludzkich gruczołów łzowych".

Wydarzenie zostało oficjalnie uznane przez Kościół za cud 18 grudnia 1953 roku Gdy Comwell odwiedził Syrakuzy po dwudziestu sześciu latach, olbrzymia betonowa bazylika upamiętniająca ten cud była nadal w budowie, a koszta wyniosły już trzydzieści dwa miliony dolarów.

Jaką jednak rolę odegrała w tym wszystkim kobieta, tkwiąca w samym środku tajemnicy: Antonina Giusto czy Antonietta Janusso? Rogo jak zwykle podejrzewa działanie poltergeista, wywołane poczuciem winy młodej mężatki, która zaszła w ciążę tak szybko (być może jeszcze przed ślubem). Rogo zwraca uwagę, że jej „histeria" ustąpiła, gdy tylko Madonna zaczęła płakać.

Czyżby przeniosła w jakiś sposób swoje nieszczęście na wizerunek Madonny? A może ogólne zainteresowanie (choć nie zawsze życzliwe) przyczyniło się do wyschnięcia łez? Znalezienie się w centrum ogólnej uwagi musi być zarazem podniecające i niepokojące.

W 1989 roku Comwell obejrzał film dokumentalny, który przedstawiał tłumy, zbierające się na wieść o cudzie. Dostrzegł „zdumienie, uniesienie religijne, radość; wszystkich cechowało jakieś błogie oszołomienie... Zacząłem pojmować, jak wielkie znaczenie ma bezpośredni kontakt z takim »prawdziwym, żywym cudem«; poczucie uczestnictwa, ogromnej ważności tej chwili... Twarze ludzi z tłumu były niesłychanie wzruszające, chwytały za serce swym identycznym wyrazem zaangażowania".

Istny potop podobnych „cudów" spadł na udręczone Włochy. W grudniu 1953 roku pewna gospodyni domowa z Kalabrii doniosła, że pocztówkowej wielkości wizerunki Madonny ronią krwawe łzy. W kwietniu 1954 roku w Mezzalombardo pewna kobieta utrzymywała, iż zamieszczona w gazecie podobizna Maryi zaczęła płakać. Kolejne relacje dochodziły z Ango (w maju 1954 roku) i Casapulli (w marcu następnego roku). Epidemia wygasła dopiero w marcu 1957 roku, gdy pewna rodzina z Rizza Cometa oznajmiła, że statuetka Madonny z papier mache od kilku dni płacze.

Przez cały ten czas nie doniesiono „ani o jednym krwawiącym wizerunku Chrystusa. Wszystkie relacje dotyczyły płaczących Madonn i niewątpliwie były pokłosiem niesłychanej kampanii prasowej, rozpętanej wokół cudu w Syrakuzach".

Zdumiewające! A może wcale nie? Podobne zjawisko miało miejsce w 1995 roku. Relacje o krwawiącej Madonnie z Civitavecchia, nadmorskiej miejscowości w pobliżu Rzymu, przyczyniły się do zgłoszenia ośmiu podobnych przypadków w różnych regionach Włoch, przeważnie na południu.

„Gdy we Włoszech sprawy nie układają się pomyślnie, zawsze pojawia się jakaś płacząca Madonna - twierdzi socjolog Franco Ferrarotti. - Można mieć tylko nadzieję, że nie płacze po to, by zdobyć parę lirów".

Epidemia w Chicago

16 marca 1960 roku pani Pagona Catsounis z Island Park w Nowym Jorku odkryła, że po schowanej na poddaszu, oprawnej w ramki litografii, przedstawiającej Najświętszą Pannę, spływają łzy. Duszpasterz pani Catsounis, ojciec Geoige Papadeus z greckiego kościoła prawosławnego pod wezwaniem św. Pawła, natychmiast przybył, by obejrzeć wizerunek. „Kiedy wszedłem, łza pod lewym okiem już wysychała -opowiadał przedstawicielom prasy. - Potem ujrzałem, jak w tym samym oku wzbiera następna. Była to mała, okrągła kropelka wilgoci w kąciku oka, która potem spłynęła wolno po twarzy Madonny". Po tygodniu - podczas którego obraz ciągle płakał, a przez mieszkanie przewinęły się cztery tysiące przybyszów - ojciec Papadeus poświęcił cały dom i wówczas płacz ustał. Na tym cała sprawa powinna się skończyć, ale wkrótce pani Antonia Koulis, ciotka pani Catsounis, wezwała ojca Papadeusa, by oznajmić mu, że wizerunek Najświętszej Panny w jej domu w Oceanside Park także płacze!

Chociaż testy wykazały, iż nie były to ludzkie łzy. Madonna państwa Koulisów odbyła istne tourne i w 1964 roku dotarła do Los Angeles. Tutaj badacz zjawisk metapsychicznych, Raymond Bayless, pobrawszy próbki zakrzepłych łez, odkrył, że jest to „zastygły roztwór cukru". Cud spreparowany przez Koulisów był ewidentnym oszustwem. Jeśli chodzi o obraz pani Catsounis, nie przeprowadzono żadnych badań.

W 1981 roku, w kościele misyjnym pod wezwaniem Matki Kościoła (Mater ecciesiae), w kalifornijskiej miejscowości Thomton, ceramiczna figurka Madonny podobno nie tylko płakała, ale i poruszała się. I znowu zbiegli się pielgrzymi, i

„posypały się pieniądze, dzięki czemu parafia mogła wymienić dach na kościele, zainstalować klimatyzację, a nawet pozwolić sobie na takie luksusy, jak ogrodzenie z kutego żelaza, mające chronić posąg". Śledztwo z ramienia diecezji w Stockton ujawniło (nie podając szczegółów), że pozorne ożywienie posągu było świadomym dziełem jakiejś istoty ludzkiej".

Epidemia w Chicago rozpoczęła się w maju 1984 roku w rzymskokatolickim kościele pod wezwaniem św. Jana Bożego. Uliczni handlarze robili kokosowe interesy, sprzedając zgromadzonym tłumom fotografie płaczącego posągu z drewna. 25 lipca wtargnął do kościoła dwudziestoczteroletni włóczęga i wypalił trzykrotnie z pistoletu do statuy. Został aresztowany, podczas procesu uznano go za niepoczytalnego. We wrześniu 1985 roku komitet archidiecezjalny nie uznał cudu, jednak mniej więcej rok później, 6 grudnia 1986 roku, w dzień świętego Mikołaja, ożył następny wizerunek - z drewna i płótna - Matki Boskiej z Dzieciątkiem Jezus. Do albańskiego kościoła prawosławnego pod wezwaniem św. Mikołaja napływały tłumy, by ujrzeć płaczącą Madonnę. Biskup Izajasz z greckiego Kościoła prawosławnego, opowiedziawszy się po stronie cudu, nie wyraził zgody na żadne naukowe testy. „Jest to fenomen nie dający się wytłumaczyć rozumowo - stwierdził w swym oficjalnym wystąpieniu. - Nie wymaga żadnego wyjaśnienia, ani naukowego, ani naturalnego. Wierni nie zadają sobie pytania Jak to się stało?" ale „dlaczego tak się stało?" Odpowiedź na to pytanie jest dla wszystkich jasna. Matka Boża daje znak zarówno wierzącym, jak i niewierzącym, by ocknęli się z materialistycznych mrzonek i wzmocnili się duchowo".

Następnie, 17 października 1990 roku, zaczęła płakać ikona św. Ireny Christova-lantou podczas nabożeństwa w intencji pokoju na Bliskim Wschodzie. Święty wizerunek przewieziono z tej okazji do greckiego kościoła prawosławnego pod wezwaniem świętych Atanazego i Jana Chrzciciela w Chicago. Po powrocie na swe stałe miejsce pobytu (w nowojorskim kościele, należącym do pewnego odłamu Kościoła prawosławnego), ikona podobno nadal płakała, dopóki nie zakończyła się wojna w Zatoce Perskiej. Także i ten wizerunek padł ofiarą brutalności ludzkiej. 23 grudnia 1993 roku trzech uzbrojonych mężczyzn i kobieta wdarli się do kościoła, zmusili dwóch duchownych i cztery inne znajdujące się tam osoby do położenia się na ołtarzu, po czym zbiegli unosząc pokrytą klejnotami ikonę. Po kilku dniach obraz zwrócono anonimowo przez pocztę, bez złotej ramy i drogich kamieni. W tym czasie przedstawiciele głównego nurtu greckiego Kościoła prawosławnego, nie kryjąc swych „wątpliwości co do owych łez", wyrazili przypuszczenie, że rabunek został upozorowany przez wspomniany już odłam kościoła, którego członkowie „skradli" własną ikonę...

Ballinspittie: irlandzkie ożywione kamienie

Innego rodzaju epidemia ogarnęła Irlandię w 1985 roku, a wszystko zaczęło się 14 lutego w nadmorskiej miejscowości Asdee w hrabstwie Kerry. Grupa około trzydziestu uczniów weszła do niewielkiego kościoła pod wezwaniem Najświętszej Maryi Panny, by jak zwykle odmówić „Anioł Pański". Czworo dzieci - dziewięcioletni Michael Scully, dziewięcioletni Connie Flynn oraz jego siostry: dwunastoletnia Mary i siedmioletnia Elizabeth - zobaczyło, że dwa posągi (prawie naturalnej wielkości), Jezusa i Maryi, poruszają się. „Widziałam, jak pan Jezus się poruszył - oświadczyła Elizabeth Flynn, - Skinął na mnie ręką. Potem zobaczyłam, że Najświętsza Panienka rusza oczami". Miejscowy proboszcz, ksiądz Michael 0'Sullivan, dokładnie wybadał dzieci, a następnie doniósł o wydarzeniu ówczesnemu biskupowi Kerry. I tak wieść się rozniosła.

Wkrótce pojawili się pielgrzymi i dzięki temu w kościele pod wezwaniem Maryi było pełno wiernych przez okrągły rok.

Ale co z posągami? Stały na ołtarzu mniej więcej na wysokości pasa, w odległości jakichś 3 metrów jeden od drugiego. Przedzielało je nieduże, okrągłe okno. „Znalazłem się w kościele niewielkim i nie odznaczającym się niczym szczególnym - pisał na łamach „Sunday Times Magazine" (z dnia 7 kwietnia 1985 roku) reporter Cal Mc Crystal. - Dziesiątki ludzi tłoczą się wokół kandelabrów, zapalając świeczki i odmawiając różaniec. Postanowiłem przeprowadzić pewien eksperyment. W okrągłym oknie są kraty: trzy pręty poziome i cztery poprzeczne. Padające stamtąd promienie słoneczne oświetlają twarze zebranych w kościele wiernych. Wpatruję się w okno przez dobre 20 sekund, potem zwracam wzrok na posąg. Powstaje złudzenie ruchu".

Na łamach „Fortean Times" redaktor Bob Rickard zwrócił uwagę na to, że w dniu poprzedzającym cud „poruszających się posągów" wyświetlano we wsi pod wieczór film o włoskim stygmatyku i cudotwórcy. Ojcu Pio. Poza tym Asdee znajdowało się w okolicy, którą wstrząsnął skandal dotyczący „niemowląt z hrabstwa Kerry". Strach i obawa przed ogólnym potępieniem zmusiły młode, niezamężne matki do ukrywania ciąży, a nawet narodzin dzieci. Afera ta wywołała „szok w skali ogólnokrajowej" -jak to określił Mc Call - i przyczyniła się do ożywienia uczuć religijnych. Na tym tle - poczynając od Asdee - wybuchła istna epidemia.

Wiosną i wczesnym latem zdarzały się sporadyczne doniesienia. Prawdziwy potop spowodowała prawdopodobnie relacja

zamieszczona w irlandzkim czasopiśmie „Sunday Worid" (z dnia 14 lipca) o pielgrzymach z Irlandii, którzy oglądali tańczące słońce w Medjugorje. Tydzień później - w poniedziałek 22 lipca - w Ballinspittie w hrabstwie Cork rozpętała się histeria wokół podświetlonego od tyłu posągu Madonny, stojącego w mrocznej skalnej grocie, na wysokości około 6 metrów, na stromym stoku pokrytego lasem wzgórza. Przed ową Madonną umieszczona była klęcząca podobizna świętej Bemadetty z Lourdes.

Podobno wieczorem w ów właśnie poniedziałek, siedemnastoletnia Ciare Mahoney i jej matka Cathy znajdowały się w mrocznej grocie. Nagle ujrzały - lub wydało im się, że ujrzały - jak statua Najświętszej Panny kołysze się do przodu i tyłu. Następnego wieczora wróciły z przyjaciółmi i krewnymi, z których większość ujrzała to, co miała nadzieję zobaczyć. Wieść się rozniosła. W ciągu dwóch miesięcy grotę odwiedziło około dwustu tysięcy osób. Drogę wiodącą do groty poszerzono, przez całą dobę zmieniały się straże, żeby odstraszyć potencjalnych rabusiów. Doniesienia o cudownych uzdrowieniach wzbudziły zainteresowanie na skalę międzynarodową. 15 sierpnia „Wali Street Journal" donosił:

„ [Statua] pochyliła się do przodu i spojrzała na nas - powiedziała reporterom pewna dama. - Wszyscy równocześnie dostrzegliśmy to. Cofnęła ręce, potem osunęła j e do przodu. To cud Boski!" Nawet niektórzy sceptycy dostrzegli to kołysanie. „Nie jestem specjalnie religijny - oświadczył pewien przybysz — ale wierzę własnym oczom. Poruszała się od pasa w górę i kołysała się na boki".

Cud w Ballinspittie był zaledwie początkiem. Posągi rozszalały się w całej Irlandii; relacje dochodziły z czterdziestu różnych miejscowości! 2 września cztery uczennice miały wizje Maryjne w Culleens w hrabstwie Sligo; przez dwa tygodnie przybyło tam dwadzieścia tysięcy ludzi, by napawać się nimi i znakiem krzyża jaśniejącym na nocnym niebie. W piątek 13 września trójka dzieci w wieku szkolnym oświadczyła, że statua Madonny w kościele w Cork City (stolicy hrabstwa Cork) omal ich nie przywaliła. Tydzień później, cztery nastolatki z Mitchelstown (też w hrabstwie Cork) twierdziły, iż zapadły w trans, podczas którego posąg przemówił do nich, zaklinając, by zabiegać o pokój. 14 września „przyciągnięte jakąś siłą" dziewczęta wróciły do świątyni i usłyszały, jak posąg powtarza: „pokój, pokój". Dwadzieścia tysięcy osób przybyło, chcąc usłyszeć to na własne uszy. Statua Najświętszej Panny w grocie w pobliżu Killamey zakołysała się i odwróciła - ludziom zaparło dech w piersiach; oskarżono potem dwóch chłopców o ten wyjątkowo wstrętny żart. Wielkie tłumy gromadziły się także w Mount Mellary w hrabstwie Waterford. Troje dzieci rzekomo ujrzało tam Madonnę, która zeszła z postumentu, by oznajmić, że Bóg rozgniewał się na świat. Tysiące zbierały się również w Dunkitt (Waterford), Enniscorthy i Camolin (Wexford), Mount Collins (Lime-rick) i w samym Limerick City (stolicy hrabstwa) oraz w wielu innych miejscowościach.

Sypały się jak z rękawa dowcipne komentarze. Pewien rzecznik Kościoła oświadczył: „nie mam zamiaru z nikogo sobie pokpiwać, ani udawać dowcipnisia, ale muszę stwierdzić, że Kościół w tej sprawie nie czyni tak gwałtownych ruchów, jak niektóre posągi". „The Scotsman" (z 24 października 1985 roku) cytował dowcipy w rodzaju: „trzeba teraz w kościołach zostawiać na noc światło, żeby posągi nie wpadały na siebie..." „Madonna z Ballinspittie skończyła tragicznie: przejechano ją na skrzyżowaniu..." „słynny posążek charta, symbol przedsiębiorstw Co. Waterford of Master Mc Grath, trzeba było zamknąć w klatce, bo płoszył owce".

Objawiła się też czarna strona tych wydarzeń. 31 października wierni podnieśli krzyk, gdy trzech młokosów zaatakowało toporami i żelaznymi drągami zdobną aureolą głowę Madonny z Ballinspittie. „Wy głupcy, czcicie kamiennego bałwana!" - krzyknął jeden z wandali, zanim zbiegł. Tymczasem wizje w Mitchelstown (w hrabstwie Cork) przybrały inny charakter. „Sunday Worid" (z 15 września 1985 roku) zamieścił relację o panice, jaka wybuchła w tłumie dzieci, krzyczących, że zobaczyły diabła. Pewien szesnastolatek oświadczył, iż widział posąg Madonny zmieniający się w ciemną, rogatą postać. Inni czuli mroźną, przerażającą atmosferę, jaka zapanowała w Mitchelstown. Kler w dalszym ciągu nawoływał do ostrożności; równocześnie psycholog, dr Jurek Kirakowski z uniwersytetu w Cork uważał, że wszystkiemu winne jest nieprawidłowe „działanie naszych systemów wizualnych". Gdy odwiedził Ballingspittie ze swymi kolegami, wszyscy zauważyli, iż statua się kołysze - jednak nagranie na kasecie wideo wykazało brak jakiegokolwiek ruchu.

W czasopiśmie naukowym „Discover" w ten sposób wyjaśniali ową iluzję: *Powstaje ona, kiedy ludzie kołyszą się lekko do tyłu i do przodu, wpatrując się w statuę. O zmierzchu, gdy niebo jest szare, a krajobraz zamglony, oko nie ma żadnego punktu odniesienia oprócz aureoli błękitnych światełek. Toteż... człowiek nie uświadamia sobie, że jego własna głowa i ciało bezwiednie się kołyszą. Kołysząc się zaś i patrząc na posąg możemy łatwo odnieść wrażenie, iż porusza się statua, a nie my.*

Masowa halucynacja wywołana udzielającym się podnieceniem i wyczekiwaniem cudu? Histeryczna podatność na sugestię i zbiorowa potrzeba bezpieczeństwa i pociechy? Wszystko to jest oczywiście tylko wytworem naszego mózgu - a może nie?...

Incydent na Malcie

Opowieść o posągach, ikonach czy innych wizerunkach, które poruszają się, spacerują, skaczą, lewitują, mówią, jedzą i piją albo wykonują inne funkcje życiowe, są stare jak świat. Wyrosły prawdopodobnie z legendy o tym, jak Stwórca tchnął życie w glinę. Odbiciem tego rodzaju wierzeń jest także mit o Pigmalionie. Ten król Cypru zakochał się w pięknym posągu Galatei, Afrodyta zaś, widząc jego wielkie uczucie, ożywiła ukochaną statuę.

Kolos Memnona, granitowy posąg o wysokości około 17 metrów, stojący nad Nilem naprzeciwko Karnaku (wizerunek faraona Amenhotepa III, wykonany około 1350 roku p.n.e)., słynął z tego, że kilka razy w roku wydawał żałosny jęk, zawsze w rannych godzinach. Kolos pojękiwał nawet wówczas, gdy stracił górną część ciała i uspokoił się dopiero wtedy, gdy odrestaurowano go w 170 roku n.e. Obecnie uczeni przypuszczają, iż posąg był wewnątrz pusty. Znajdujące się w środku powietrze, podgrzane porannym słońcem, wymykało się szczelinami, co powodowało ów jęk.

Inne starożytne idole, według opisu Herona z Aleksandrii (I wiek n.e)., były automatami specjalnie skonstruowanymi, by oszukać wyznawców pozorami życia - na przykład statua boga Bela w Babilonie piła wino i odznaczała się potężnym apetytem. Lukian z Samosaty (ok. 120-180 r. n.e). wspomina o tym, że w świątyni w Hierapolis widział kapłanów unoszących posąg Apollina, który nagle zaczął lewitować i wzbił się nad ziemię. Oczywiście Lukian miał bardzo bujną wyobraźnię (jego prawdziwą historię nazwano „pierwszą w świecie powieścią fantastycznonaukową"), więc wyjaśnienie tej zagadki może być bardzo proste.

Podobno w 1600 roku, gdy Indianie przypuścili szturm do Concepcion w Chile, posąg Madonny uniósł się w powietrze i przefrunął na drzewo, skąd raził napastników kamieniami i grudami ziemi.

Równie praktycznie zachowuje się zjawa, występująca w historii o pijaku, który wtoczył się w 1653 roku do Kaplicy Kajfasza w Sacro Monte, gdzie zwymyślał go od ostatnich kamienny kogut, fragment rzeźby wyobrażającej moment skruchy św. Piotra po zaparciu się przez niego Chrystusa. Pijak tak się przeraził, że do końca życia nie wziął do ust ani kropli trunku. Nie był to przypadek delirium tremens: inni znajdujący się w kaplicy ludzie widzieli również, jak ptak machał kamiennymi skrzydłami i kręcił się, zanim ponownie skamieniał.

Widziano także w 1879 roku, w miejscowości Knock w Irlandii, jak ożyło tableau, przedstawiające Józefa i Maryję. W 1870 roku w kalabryjskiej miejscowości Soriano posąg poruszał dłonią i ramieniem. W 1948 roku zaś ujrzano w Asyżu poruszającą się i uśmiechającą statuę Matki Boskiej.

W swej książce *Beauraing and Other Apparitions* (Beauraing i inne wizje), wydanej w 1934 roku, Thurston przytacza wiele takich cudownych wydarzeń. Opowieść z 1893 roku dotyczy szkoły dla chłopców, prowadzonej na Malcie przez angielskich jezuitów. Podczas wycieczki połączonej z piknikiem, wychowankowie pod opieką dwóch duchownych: Johna McHale i Johna Gordona, usłyszeli pogłoskę o rzekomo ożywionym posągu Madonny, znajdującym się w pobliskiej grocie. Wspięli się więc po kamiennych schodach i weszli do mrocznego wnętrza. Choć miejscowi chłopcy wyjaśnili, że posąg rusza prawą ręka, ksiądz Mc Hale był zdumiony widząc, jak „mały palec odgina się lekko do tyłu". Potem „poruszyły się dwa następne palce, za nimi wskazujący, a na końcu kciuk". Później „cała dłoń uniosła się o jakieś 25-30 centymetrów, znów się powoli opuściła, a wreszcie zakreśliła w powietrzu znak krzyża. Palce przybrały znów poprzednią, skuloną pozycję, a po kilku minutach cały gest się powtórzył".

Choć obecni przy tym chłopcy również dostrzegli ruch, Mc Hale nadal nie mógł w to uwierzyć i wezwał Gordona, który - ujrzawszy zdumiewający fenomen - doszedł do wniosku (tak samo, jak dr Kirakowski w hrabstwie Cork prawie sto lat później), że zapewne nie posąg się porusza, ale on sam bezwiednie kręci głową. Wobec tego, jak to opisał Mc Hale:

...stanął pod ścianą, opierając się o nią, i utkwił oczy w jednej z poprzeczek ogrodzenia. Ujrzał wówczas wyraźnie, jak ręka uniosła się nad poprzeczką, a potem powoli opadła. Żeby powstrzymać własną głowę od wykonywania jakichś ruchów, mocno wcisnąłem ją pomiędzy dwa pręty ogrodzenia i mogę przysiąc, że zaobserwowany przeze mnie ruch nie uległ wówczas żadnej zmianie.

Powróciwszy do groty z dwoma starszymi księżmi i upewniwszy się, iż posąg został wykuty z jednej kamiennej bryły, McHale ponownie ujrzał cud. Thurston określa McHale'a, zmarłego w 1911 roku, jako „człowieka bardzo spostrzegawczego i obdarzonego wyraźnym zmysłem praktycznym". Gordona zaś nazywa sceptycznym Szkotem, znanego ze „swej pogardy dla wszelkich oszustw i blagi". Tutaj nie znajdziemy więc z pewnością śladów histerii, choć mogła odegrać pewną rolę sugestia,

gdyż wcześniej już wiedzieli, że posąg cieszy się opinią „ruchliwego".

Do najnowszych przypadków tego typu należy wydarzenie z 1989 roku, które miało miejsce w Pensylwanii. Połyskująca statua ukrzyżowanego Chrystusa, naturalnej wielkości, znajdująca się w kościele Świętej Trójcy (był to punkt zborny pielgrzymek do Medjugorje) w Ambridghe niedaleko Pittsburgha, zaczęła podobno otwierać i zamykać oczy. Wielebny Yincent Cvitkovic ściągnął sobie na głowę kłopoty, meldując o tym fenomenie zwierzchnikom. Śledztwo, wszczęte z ramienia diecezji rzymskokatolickiej w Pittsburghu, nie znalazło „przekonywających dowodów" na to, że posąg zamyka oczy. Uznano, iż świadków zmylił kąt padania światła. Wielebny Cvitkovic, któremu zabroniono odprawiania mszy świętej, zrzekł się swej funkcji oświadczając: „nie jestem dość sprytny, by wymyślić takie oszustwo".

Jezus z makaronu: dziwaczne, współczesne wizerunki

A teraz dochodzimy do czegoś jeszcze dziwniejszego, przynajmniej jeśli chodzi o mechanizmy działania ludzkiej imaginacji i o to, jak można skłonić zmysły do odbierania takich wrażeń, jakich sobie życzy umysł. Pewnego dnia (było to w 1978 roku) pani Maria Rubio z Lakę Arthur w Nowym Meksyku, smażąc tortiiie (placki kukurydziane) zauważyła, że ciemniejsze, przypalone plamki na placku ułożyły się w wizerunek dobrze jej znanej twarzy: nie zabrakło nawet cierniowej korony!

„To Jezus Chrystus!" - wykrzyknęła pani Rubio i natychmiast wezwała miejscowego kapłana, ojca J. Ellingtona, by pobłogosławił cudowną tortiiie.

„Nie mam przekonania do tego rodzaju cudów" - zwierzył się ksiądz Ellington wysłannikowi gazety „Los Angeles Times". (Opublikowała ona 23 lipca 1978 roku artykuł pt. „Tysiące osób schodzi się, by obejrzeć Jezusa na tortiiii"). Ksiądz spełnił jednak prośbę parafianki i członkini kółka różańcowego w Port Arthur, pani Rubio wsadziła placek do szklanej gablotki i wystawiła na widok publiczny w kapliczce, dobudowanej do jednej ze ścian domu. „Bardziej mi to wygląda na Leona Spinksa (sławnego boksera) niż na Jezusa" - wypowiedział się pewien cynik na łamach „Al-buquerque Journal"; mimo to pielgrzymi ciągle napływają.

W maju 1991 roku, czterdziestojednoletnia projektantka mody, Joyce Simpson, stanęła w obliczu trudnego życiowego wyboru: nie wiedziała, czy pozostać w kościelnym chórze, czy opuścić go i rozpocząć karierę profesjonalnej wokalistki. Zatrzymawszy się na stacji obsługi Texaco na przedmieściu Atlanty (w stanie Georgia), prosiła Boga o jakiś znak. Duch Święty podszepnął jej, by podniosła wzrok. Uczyniła tak i ujrzała na wielkiej tablicy reklamowej potężny kłąb spaghetti na widelcu - a w tym makaronie dostrzegła „Chrystusa, takiego, jak go przedstawił Michał Anioł... znane całemu światu święte oblicze". Twarz o głęboko osadzonych oczach, okolona brodą, wyzierała w jakiś niepojęty sposób z plakatu reklamowego Pizza Hut, jednej z trzydziestu sześciu identycznych reklam, które umieszczono na tablicach porozstawianych po całej Atlancie. Joyce Simpson, skłoniona tą wizją do pozostania w kościelnym chórze, zwierzyła się ze swych przeżyć na łamach „Atlanta Constitution". Wkrótce ludzie w różnych punktach miasta zaczęli wpatrywać się w „Jezusa z makaronu". „To mi zupełnie przypomina sztukę iluzoryczną: gdy się raz zobaczy tę twarz, nie sposób już jej nie dostrzegać" - oświadczył pewien sceptyk.

Widywano zresztą nie tylko Jezusa. Innym majaczyły w makaronie twarze brodatych wokalistów: Williego Nelsona, Jima Morrisona czy Johna Lennona. Ktoś nawet dostrzegł gwiazdę tenisa, Bjoma Borga.

Większość ludzi widziała jednak tylko - widelec pełen spaghetti.

Trzy miesiące później pusta tablica reklamowa w San Diego (w Kalifornii) zaczęła również przyciągać tłumy. Co wieczór wystawało pod nią około dwudziestu pięciu tysięcy ludzi, żeby ujrzeć - już nie Chrystusa, lecz dziewięcioletnią Laurę Arroya. Dziecko zostało uprowadzone z rodzinnego domu 19 czerwca. Znaleziono je martwe już po kilku godzinach w pobliskim parku maszynowym. Gdy zapadał zmrok i zapalały się latarnie uliczne, na tablicy ukazywał się zamglony obraz zamordowanej dziewczynki - tak przynajmniej twierdzili zwolennicy owego cudu. Niektórzy dostrzegali nawet twarz mordercy. „W końcu wizerunek Laury zniknie i wyraźnie zobaczymy wówczas jego - oświadczył dwudziestosześcioletni Kelly Harmon - i wtedy nam nie umknie!"

Wyjmując ze zmywarki czyste szklanki w Wielki Piątek 1993 roku, pięćdziesięciopięcioletni Cyrii Legge z Birkdale w Merseyside zauważył na jednej z nich jakieś plamy. - „Podniosłem ją pod światło i ujrzałem wyraźnie święty wizerunek" - zwierzał się prasie ten gorliwy katolik. Nazwał to „znakiem od Boga". Kilka dni później na następnej szklance pojawił się zarys lwiej głowy.

„To chyba jakaś dziwna plama tłuszczu - orzekł dr Ronan McGrath, jeden z pracowników naukowych uniwersytetu w Liverpool. Doszedł do wniosku, że nikt nie robił ze szklankami żadnych sztuczek. - Postać Chrystusa składa się jakby z kilku warstw, toteż jej pewne partie wydają się bardziej matowe, inne mniej".

Utrzymując, że z całego świata dochodzi coraz więcej podobnych relacji, biskup Francis Quinn z diecezji katolickiej w Sacramento (w stanie Kalifornia) twierdzi:

„Ludzie odczuwaj ą niezwykły głód wiary... muszą koniecznie czemuś zaufać... ujrzeć przed sobą nadziej ę, odczuć w tym świecie obecność Boga. Społeczeństwo po desperacku szuka ratunku. Sytuacja jest tak skomplikowana, że niektórych całkiem przytłacza. Czują, iż tracą kontrolę nad własnym życiem".

Weźmy choćby wielką sensację z krzyżami, ukazującymi się w 1971 roku. Wszystko zaczęło się od reportażu w „Los Angeles Times" o codziennym pojawianiu się świetlistego krzyża (będącego, być może, skutkiem odbicia światła) na tylnym oknie kościoła baptystów, tzw. Kaplicy Wiary w murzyńskim getcie w Los Angeles.

Wydarzyło się to w sierpniu. We wrześniu już w kilku innych kościołach pojawiły się podobne tajemnicze znaki krzyża na oknach; wszystkie te kościoły znajdowały się na Florydzie, w promieniu 4 800 kilometrów. W centrum rewiwalistów w Jacksonville światło pojawiło się na zewnętrznej stronie okna. Tłumy zaczęły szturmować ów kościół, wielokrotnie fotografowano świetlisty znak. Rzekomo na niektórych zdjęciach widoczne były ludzkie ręce, rozpostarte na krzyżu. Epidemia ogarnęła także Georgię. Krzyże pojawiły się na kościołach adwentystów, metodystów i baptystów. W listopadzie zaczęły ukazywać się także w oknach prywatnych domów. Pewien bardzo skomplikowany wizerunek pojawił się na oknie łazienki pani Violi Mitchell, mieszkanki Nowego Jorku; „New York Times" 19 listopada opublikował fotografię tego fenomenu i artykuł na ten temat. Świetlny znak odkryła matka pani Mitchell, która akurat przybyła z Georgii.

Niezwykłe idole pijące mleko

21 września 1995 roku pragnienie cudów wyraziło się w bardzo niezwykłej formie: niesamowita, chyba jedyna w swoim rodzaju epidemia nagle ogarnęła społeczności hinduskie. Rozpoczęła się w Indiach, a potem błyskawicznie roprzestrzeniła się po całym świecie. Kamienne i spiżowe posągi bóstw hinduskich, należących do „rodziny" groźnego boga Sziwy - on sam, jego wierzchowiec - byk Nandi, jego boska małżonka Parvati i synowie tej pary: Ganesz (bóstwo z trąbą słonia, symbolizujące bogactwo i mądrość) i Kartikaya (bóg wojny) - nagle zaczęły przejawiać zaskakujący apetyt na mleko. Tak przynajmniej utrzymywały miliony ich wyznawców.

Pierwszy taki przypadek odnotowano we czwartek tuż przed świtem w świątyni Ganesza w Delhi, a dzięki nowoczesnej telekomunikacji wieść o tym rozniosła się błyskawicznie. W Indiach zapanował kompletny chaos - miliony wiernych porzucały pracę i biegły ofiarować mleko spragnionym idolom, które podobno wypijały je co do kropli; w ciągu kilku godzin tysiące wyznawców hinduizmu na całym świecie - od Hongkongu i Bangkoku po Anglię i Stany Zjednoczone - zaczęły gromadzić się w świątyniach, niosąc ze sobą łyżki do karmienia bóstw, zazwyczaj nie wymagających pożywienia.

Kiedy kolejne hinduskie bóstwa, takie jak Kriszna czy Brahma, także nabrały apetytu na krowie mleko (krowy uważane są przez Hindusów za święte zwierzęta), rozgorzał zawzięty spór między tymi, którzy w cud uwierzyli, a niedowiarkami. Znani hinduscy dziennikarze, odwiedzający świątynie, by zdemaskować „cud", wyznawali na piśmie, że wychodzili stamtąd „pełni zdumienia i pokory", ujrzawszy mleko znikające w ustach z marmuru, alabastru czy brązu. Ekstremistyczna organizacja Vishwa Hindu Parishad oświadczyła, iż cud jest znakiem epoki triumfującego hinduizmu w nadchodzącym stuleciu. Hinduski astrolog, Krishna Awatar Dubey, stwierdził, że podobne wydarzenia mają miejsce, gdy przychodzi na świat jakaś wielka indywidualność. Dr D. Mohan, naczelny psychiatra Ogólnoindyjskiego Instytutu Nauk Medycznych, trzeźwiej zwrócił uwagę na fakt, iż ten masowy fenomen wydarzył się akurat w porze roku zwanej „pitr basch", gdy wyznawcy hinduizmu składają duszom swoich przodków ofiary z mleka, polewając nim posągi Sziwy lub Ganesza.

W Brytanii Hinduska Rikee Verma napisała do redakcji „Timesa" o swej wizycie w świątyni Sri Ram Mandir, w zachodniej dzielnicy Londynu, Southall: „Odczekawszy jakieś pół godziny w kolejce, podeszłam do posągu Ganesza, podsunęłam mu pod trąbę łyżkę z mlekiem - i w ciągu 10 sekund była już pusta". Pani Rikee Verma dodała: „Nie było w niej żadnych dziurek, przez które mleko mogłoby wypłynąć. Nie skapnęło mi też z łyżki. Pozostaje tylko jedno wytłumaczenie: bóg Ganesz je wypił".

W tej samej świątyni dekorator wnętrz, Arun Vohra, złożywszy na ofiarę sto osiemdziesiąt funtów, oświadczył: „Utwierdziłem się w przekonaniu, ze Bóg nad nami czuwa. Na świecie jest zbyt wiele nieprawości - toteż bóstwo w ten

sposób daje nam znak".

Hashmukh Shah, przedstawiciel Światowej Rady Wyznawców Hinduizmu, stwierdził, iż w ciągu jednego dnia osiemnaście tysięcy osób odwiedziło dwanaście świątyń w zachodnim Yorkshire, chcąc ujrzeć niezwykłe zjawisko na własne oczy. Oświadczył także: „Wysuwane są nieprawdziwe teorie, mające skompromitować cud. Zakłada się, że posłużono się przy tym bibułą lub wykorzystano jakieś wgłębienia o porowatych ściankach. Gdyby tak było, podobne oszustwo musiałaby spreparować potężna organizacja o niezwykłym zasięgu, ponieważ zjawisko to ogarnęło cały świat". Dorzucił jeszcze: „Podobny przypadek miał miejsce pięćset lat temu. Składano wówczas bogom ofiary w postaci płynów, owoców i słodyczy. Obecnie jednak znika tylko mleko".

Mimo iż stacje telewizyjne ukazywały długie kolejki wiernych, pragnących nakarmić swe bóstwa, zachwyceni sklepikarze od Singapuru po Jersey City robili kokosy na sprzedaży mleka, a właściciele sklepów z „pamiątkami" pośpiesznie zamawiali większe ilości gipsowych słoni, sceptyków nie brakowało - również wśród Hindusów.

„Cóż za marnotrawstwo - stwierdził naczelny kapłan świątyni Hanuman Mandir w Delhi, gdzie zezwalano wiernym na ofiarowanie tylko jednej łyżki białego napoju. - Wiele naszych dzieci nie ma ani kropli mleka - ale czy to kogoś obchodzi? Bynajmniej!"

„Miliony chłepcą mleczny cud po łyżeczce" - donosił hinduski „Statesman". „Pijące mleko bóstwa wywołały masową histerię" - dorzuca tamtejszy „Pioneer". Poparło tę opinię Hinduskie Stowarzyszenie Racjonalistów stwierdzając, że „cud" można wytłumaczyć działaniem naczyń włosowatych. Inni sceptycy przytaknęli, wyjaśniając, iż niektóre gatunki kamienia wchłaniają wilgoć jak bibuła, bez żadnych sztuczek. Istnieje konkretna granica nasycenia: ile płynu dany posąg może wchłonąć - i tym można wyjaśnić fakt, że posągi - tak spragnione w czwartek - nie chciały już pić mleka w piątek.

„Cud trwał do 1.30 nad ranem w piątek - powiedział Kiran Dawar ze świątyni Shree Radha w Liyerpoolu. - Później próbowałem jeszcze karmić bogów, ale już mi się to nie udało. To był chyba tylko jednodniowy cud".

Takich wypowiedzi było więcej i przeciwnicy „cudu" mieli używanie. Jednak inni, bardziej zainteresowani społecznymi skutkami wydarzenia, zwracali uwagę na to, iż takie fenomeny zdarzają się teraz częściej w miastach niż we wsiach (być może z racji ogólnoświatowej tendencji przenoszenia się do aglomeracji miejskich). Jedną z przyczyn podobnych wydarzeń może być utrata zaufania do instytucji publicznych. Całkiem możliwe. Przede wszystkim jednak zapewniło „mlecznemu cudowi" jego unikatową pozycję natychmiastowe nadanie całej sprawie wszechświatowego rozgłosu. Można by rzec, lekko zmieniając tekst Cezara („Pamiętniki o wojnie galijskiej", księga VII, rozdział 3, wiersz 3): iż o tym, co zdarzyło się w Dehii... o brzasku, dowiedziano się na całym świecie, nim zapadł zmierzch.

„Bo o tym, co wydarzyło się o wschodzie słońca w Cenabum, przed pierwszą strażą nocną zasłyszano w kraju Arwemów" - przy czym u Cezara owo zdanie jest również wyrazem podziwu dla błyskawicznego tempa, w jakim wieść się rozeszła.

Nawet ci, którzy nie wierzą w żadne cuda, uznając je za złudzenie lub przejaw histerii, mogli poczuć się zaniepokojeni potencjalnymi skutkami błyskawicznego roznoszenia się podobnych wieści i natychmiastowymi reakcjami społecznymi. Wygląda na to, że wkroczyliśmy w epokę nagłych cudów na wszechświatową skalę i jeśli nawet bóstwa nie odczuwają pragnienia, to dręczy ono milionowe rzesze ich wyznawców - złaknione transcendentnych przeżyć w coraz bardziej zmaterializowanym świecie.

Cudowny grad w Remiremont

We Francji w 1907 roku miało podobno również zajść niezwykłe wydarzenie i to tak dziwaczne, że Charles Fort, zbieracz informacji o wszelkich anomaliach, nazwał je „unikatowym okazem" w swej pokaźnej kolekcji...

Remiremont, odległe o 96 kilometrów od niemieckiej granicy, było nieznaną nikomu dziurą- aż do 26 maja 1907 roku, a ściślej - do 5.30 po południu owego dnia. Był on gorący i słoneczny, ale potem zerwał się nagle południowo-wschodni wiatr, niosąc ze sobą gradową burzę.

Nie byłoby żadnego ewenementu, nawet w maju, gdyby nie to, że lecące z nieba przez trzy kwadranse kulki gradu były wielkości pomidorów, owalne i spłaszczone z boku. Mieszkańcy, podnosząc kulki, które jeszcze nie stopniały czy nie popękały, ze zdumieniem stwierdzili, iż na niektórych z nich znajdują się jakieś „obrazki" - w dodatku rozpoznali wizerunek Najświętszej Panny!

Nie wykonano żadnych fotografii; nie zachował się żaden obiektywny dowód; jednak „cud" w Remiremont stanowi najlepszy dowód wywierania wpływu na naturę przez umysł ludzki - a także na kształt osobistych doznań.

Zacznijmy od tego, że już w 1682 roku wydarzył się w Remiremont „cud". Był on związany ze statuetką z drzewa cedrowego, przedstawiającą Najświętszą Maryję Pannę. Posążek znajdował się w pewnym żeńskim klasztorze od prawie tysiąca lat: podarował go cesarz Karol Wielki (742-814). W 910 roku zakonnice, zmuszone do ucieczki przed nadciągającymi Hunami, osiedliły się wraz ze swą „Notre Damę du Tresor" (Bezcenną Najświętszą Panną) w miejscu, gdzie miało potem wyrosnąć Remiremont. Z czasem zrodziła się wiara, iż procesja z udziałem świętego wizerunku chroni od złego. 12 maja 1682 roku okolicę nawiedziło trzęsienie ziemi. Wśród gwałtownych wstrząsów następczych statuetkę obniesiono po Remiremont - i trzęsienie ziemi ustało! Od tej pory wdzięczni Madonnie mieszkańcy co roku uczestniczyli w procesji upamiętniającej ów „cud".

Jednak w 1907 roku rozgorzał gwałtowny spór. Choć miejscowy kardynał usankcjonował procesję przed dwustu prawie laty, nie pomyślano o uzyskaniu aprobaty papieża. Wobec tego archidiakon Yuillemin z Remiremont wysłał petycję w tej sprawie do Rzymu. Papież Pius X w odpowiednim czasie przesłał cenną koronę dla Madonny na znak swego błogosławieństwa. Władze kościelne postanowiły dokonać „koronacji" posągu przed doroczną procesją, która miała odbyć się 20 maja. Udział w tej ceremonii obiecało wziąć pięciu biskupów; większość mieszkańców nie mogła się doczekać tej uroczystości. Jednak 12 maja rada miejska, obawiając się starć pomiędzy miejscowymi gorliwymi katolikami a lokalnymi antyklerykałami, z żalem postanowiła odwołać tę imprezę. Po raz pierwszy od niezliczonych lat nie miało być procesji! Mimo oburzenia mieszkańców i kleru, radni postawili na swoim: procesja się me odbyła.

Sześć dni później spadł cudowny grad, a wizerunek Madonny znajdował się nie tylko na powierzchni lodowych kulek, ale także widziano go we wnętrzu tych, które potrzaskały w zetknięciu z ziemią.

W swoim oświadczeniu z 1908 roku ksiądz Gueniot z Remiremont przyznał, że jego gospodyni przyniosła mu kilka bryłek gradu, utrzymując, iż jest na nich odciśnięty wizerunek „Notre Damę du Tresor". Abbe tak opisał incydent:

Żeby ją udobruchać, rzuciłem okiem na kulki gradu. Ponieważ jednak nie chciałem niczego widzieć, a co więcej - nie mogłem bez okularów, wróciłem do czytanej książki. Gospodyni nalegała: „Błagam, niech ksiądz włoży okulary!" Uczyniłem to i bardzo wyraźnie ujrzałem na kulkach gradu - pośrodku - niewielką wypukłość, a na niej - dobrze widoczny, choć kontury nieco się zatarty, wizerunek kobiety w szacie jakby uniesione/po bokach u dołu -jak w kapłańskim ornacie. Może opiszę to dokładniej, jeśli powiem, że przypominało to szatę Madonny Pustelników. Ów obrazek wydawał się pusty w środku, jakby wypchnięto go od wewnątrz; był jednak mocno zarysowany. Panna Andre poprosiła, bym zwrócił uwagę na pewne szczegóły, ale nie miałem zamiaru dłużej się temu przyglądać. Wstydziłem się swojej łatwowierności i byłem przekonany, iż Najświętsza Maryja Panna na pewno nie zawracałaby sobie głowy takimi głupstwami jak migawkowe portrety na gradowych kulkach. Powiedziałem więc: „ Czy pani nie rozumie, że bryłki gradu pospadały na warzywa i stąd się wzięły te odciski? Proszę je zabrać: nic mnie to nie obchodzi". Wróciłem do swej lektury i nie zaprzątałem sobie dłużej głowy tym wydarzeniem. Ale gdzieś w głębi umysłu drzemał niepokój, wywołany niezwykłym wyglądem tych bryłek. Wziąłem trzy z nich do ręki, nie oglądając, by przekonać się, czy są ciężkie. Ważyły jakieś 170-200 gramów. Jedna bryłka była doskonale kulista, jak dziecięca piłka, i miała dookoła coś w rodzaju szwu -jakby wyszła z formy odlewniczej.

Naoczni świadkowie twierdzili, że kulki gradu, na których widniał wizerunek Madonny (całkiem podoby do medalu, wybitego z okazji niedoszłej koronacji „Notre Damę du Tresor") unosiły się nad ziemią „niczym płatki śniegu, nie wyrządzając szkód na polach i w ogrodach". Wschodzące rośliny potłukł ten grad, który nie był oznaczony świętym wizerunkiem. Cudowne czy nie, kulki gradu z portretem Madonny niebawem stopniały, a nikt ich nie sfotografował. Paryscy reporterzy zjadliwie kpili z „prowincjonalnej łatwowierności" (otwarcie głosząc, iż wszystko to było oszukańczą sztuczką kleru dla wywołania prokatolickich sentymentów). Skutek był taki, że osobom, które przybyły później, chcąc zbadać sprawę, uniemożliwiła to „zmowa milczenia".

W swoim sprawozdaniu dla Towarzystwa Badań Metapsychicznych paryżanin, monsieur Sagę, odnotował w 1908 roku, iż nieliczni świadkowie, którzy zgodzili się z nim porozmawiać, widzieli odciśniętą na kulkach gradu jakąś kobiecą postać i dopiero potem doszli do wniosku, że przypomina ona „Notre Damę du Tresor" przedstawioną na okolicznościowym medalu. Ostateczna diagnoza brzmiała: „zbiorowa halucynacja, wywołana histerią na tle religijnym", ale M. Sagę nie zdołał wyjaśnić, jak się zaczęły pogłoski o cudzie i dlaczego tylko niektóre kulki gradu miały na sobie owe wizerunki. Odrzucając wszelkie krążące po okolicy opowieści jako „bajki ciemnego chłopstwa", badacz przytoczył wypowiedzi zaledwie jedenastu świadków (tylko tylu zdołał znaleźć). Równie mało interesowała go teoria M. de Lapparent z Akademii Francuskiej (piorun, uderzywszy w medal z wizerunkiem Madonny, spowodował jego odbicie na gradzie), jak odkrycia dokonane przez archidiakona Vuillemin.

Przesłuchując stu siedmiu świadków przed przesłaniem sprawozdania do Rzymu, Vuillemin chciał się przekonać, czy wizerunek na gradowych kulkach był złudzeniem, czy istniał rzeczywiście. Stwierdziwszy, że „obserwacje były równoczesne, zgodne i dokładne" i dokonano ich w „dwudziestu kilku różnych miejscach", doszedł do wniosku, iż cudowny grad był efektem Boskiej interwencji i miał być „znakiem" dla tych, którym - tydzień wcześniej - uniemożliwiono wzięcie udziału w procesji.

Inaczej mówiąc: każdy wyciągnął takie wnioski, jakie mu dogadzały.

Rogo sugeruje, że na kulkach gradu rzeczywiście znajdował się wizerunek Madonny, i fenomen ów wywołała zbiorowa determinacja oburzonych mieszkańców, która wywarła bezpośredni wpływ na zjawiska atmosferyczne. Podobnie jak w innych przypadkach, Rogo uważa, iż było to działanie poltergeista: zdławiony gniew mieszkańców Remiremont „spowodował niezwykłą burzę", ta zaś stanowiła „wysublimowany przejaw ich wrogości".

Fort zawyrokował: „wizerunki na kulkach gradu to wytwór wyobraźni, w takim jednak sensie, jak są nimi ilustracje w książce; nie były jedynie wymysłem mieszkańców Remiremont..." oraz że „emocje na tle religijnym miały wiele wspólnego z tymi obrazkami religijnej treści na bryłkach gradu..."

Każdy jest przeświadczony o prawdzie tego, co widzi i w co wierzy. Jeśli zaś komuś wiara w cuda nie przychodzi z łatwością, to zawsze znajdzie się ten drugi, kto przekona, iż wszystko to wydarzyło się naprawdę... albo jest oczywistą bzdurą.

Całun Turyński: wiara kontra radiowęgiel

Istnieje wiele rzekomo cudownych portretów lub innych wizerunków Chrystusa i Maryi Panny, które uchodzą za „acheiropoietoi" (z greckiego: „nie uczynione ludzkimi rękami"), czyli nadprzyrodzone. Należy do nich wizerunek z Edessy, tzw. Mandylion. Różne portety na płótnie lub chuście, określane jako „Weroniki"; wizerunek z Gwadelupy itd. Najsłynniejszy jednak, a zarazem najbardziej kontrowersyjny, jest nadal całun, przechowywany w relikwiarzu na głównym ołtarzu Kaplicy Królewskiej w katedrze św. Jana Chrzciciela w Turynie.

Od dawna czczony, nadal przez niektórych uważany za prawdziwy całun, w który owinięto ciało zdjętego z krzyża Chrystusa, Santa Sindone (Święty Całun) jest kawałkiem płótna o długości 435 centymetrów i szerokości 109 centymetrów, na którym widnieje słaby zarys ludzkiej postaci (wysokiego mężczyzny) z tyłu i z przodu. Na płótnie, tkanym splotem jodełkowym, widnieją także plamy przypominające krew. Ich położenie odpowiada ranom, które zadano Jezusowi. Całun kojarzony jest przeważnie z Mandylionem (zwojem tkaniny, na której widać rysy twarzy, od dawna uważanej za oblicze Chrystusa). Pierwsza wzmianka o Całunie głosi, że znajdował się on w posiadaniu Geoffreya de Chamy, francuskiego szlachcica, który zginął pod Poitiers w 1356 roku Wdowa po nim, będąc w trudnej sytuacji finansowej, wystawiła całun na sprzedaż (w epoce, gdy można było znaleźć co najmniej czterdzieści podobnych eksponatów) i została wkrótce oskarżona o fałszowanie relikwii przez sceptycznie nastawionego biskupa, Henri de Poitiers. Całun - schowany, gdy podniósł się wokół niego zamęt - pojawił się znowu w 1389 roku i powtórnie został uznany za podróbkę, tym razem przez biskupa Pierre'a d'Arcis, który w liście do papieża Klemensa VII pisał na ten temat, co następuje:

Jakiś czas temu w tej diecezji, diakon... Lirey, zżerany chciwością, bynajmniej nie z pobudek religijnych, lecz wyłącznie z chęci zysku, zdobył dla swego kościoła kawał płótna, sprytnie pomalowany, na którym umiejętnie przedstawiono wizerunek jakiegoś człeka – z obu stron – to znaczy z tyłu i z przodu. Kłamliwie głosił i udawał, iż jest to prawdziwy całun, w który owinięty był w grobie nasz Zbawiciel Jezus Chrystus, i zachował się na nim wizerunek całej Jego postaci, wraz z ranami, które Mu zadano. Tę bajeczkę rozniesiono nie tylko po całym królestwie Francji, ale i – żeby tak rzec –po całym świecie. Ze wszystkich stron przybywali ludzie, by całun zobaczyć. Żeby zaś przywabić jeszcze większe tłumy i wyłudzić od nich chytrze pieniądze, ów diakon udawał, że dzieją się cuda, i wynajmował ludzi, by oznajmiali, iż zostali cudownie uleczeni podczas wystawienia onego całunu.

Dalej d'Arcis pisze, że Henri de Poitiers „po dokładnym wypytywaniu i zbadaniu sprawy odkrył oszustwo i sposób, w jaki pomalowano owo płótno: mianowicie artysta, który ów rysunek wykonał, zdradził, że jest to dzieło ludzkich rąk, a nie cud zesłany od Boga".

Tak więc całun znowu został schowany, ale pół wieku później wnuczka Małgorzata raz jeszcze wystawiła go na sprzedaż i w 1453 roku „ofiarowała" go królewskiej dynastii sabaudzkiej. W zamian otrzymała dwa zamki, ale obłożono ją klątwą. Kościół jednak okazał w tej sprawie zdrowy rozsądek: czego nie można zdławić, to należy wykorzystać. I tak oto całun stał się szacowną relikwią. Choć później mówiono, że strzegł Turynu (kłaniają się cienie św. Januarego!), w 1532 roku omal sam nie

uległ zniszczeniu w pożarze: pozostały na nim niezatarte ślady ognia i wody. W 1578 roku został przewieziony do Turynu (było to częściowo polityczne posunięcie, związane ze zmianą stolicy Sabaudii) - i tam już pozostał.

A co z „Weronikami" i Mandylionem? Ten ostatni, uznany przez pisarza Jana Wilsona za oryginalny zabytek, był zwiniętym kawałkiem płótna, naznaczonym wizerunkiem twarzy - podobno Chrystusa. Miał być ukrywany w Edessie (jednym z ośrodków wczesnego chrześcijaństwa) od 57 roku n.e., a jego „odnalezienie" w 544 roku przez biskupa Edessy, podczas oblężenia perskiego, spowodowało najpierw „cudowny" odwrót najeźdźców, potem zaś relikwia obrosła legendą. Mówiono, że ów wizerunek powstał, gdy umyto twarz Jezusa i wytarto ją tym płótnem, albo też - gdy w drodze na Kalwarię ktoś otarł nim pot z Jego twarzy; relikwia budziła podziw i cześć. „Jak naszym śmiertelnym wzrokiem mamy oglądać to niebiańskie lico, którego boskiej chwały nawet cudowna Hostia nie ośmiela się ukazać?" - głosi bizantyjski hymn, skomponowany zapewne już po przybyciu Mandylionu do Bizancjum (Konstantynopola) w 943 roku n.e.

Nigdy nie wystawiany na widok publiczny Mandylion zniknął w 1204 roku, gdy przybyła z Europy armia plądrowała miasto. Niektórzy mówią, że przywłaszczyli go sobie templariusze i wizerunek na Mandylionie był właśnie ową tajemniczą głową (Bafometem), o której czczenie inkwizycja oskarżyła rycerzy tego zakonu, gdy aresztowano ich w 1307 roku. Ponieważ wśród skazanych wówczas na śmierć znajdował się imiennik (przodek?) szlachcica (jego małżonka wystawiła Całun na sprzedaż), niektórzy wiążą ze sobą te dwa zabytki.

Różni się od Mandylionu wizerunek zwany „Chustą Weroniki", który podobno ukryty jest obecnie w Bazylice św. Piotra w Rzymie. Opowiadano, że pewna pobożna kobieta tak współczuła cierpieniom Jezusa, z trudem pokonującego Drogę Krzyżową, iż własną chustą otarła mu twarz pokrytą krwawym potem. Imię „Weronika" mogło powstać ze zniekształcenia zwrotu „vera icon" czyli „prawdziwy wizerunek". Było niegdyś wiele takich „Weronik"; rzekomo cudowne wizerunki po prostu malowano. Badacz Całunu, Thomas Humber, tak sprawę komentuje: „Niebawem ogólne zapotrzebowanie na większą liczbę „prawdziwych podobizn" Chrystusa stało się tak wielkie, że pozwalano wybranym artystom sporządzać kopie, albo ich wręcz do tego namawiano". (Powstało przydatne wyjaśnienie większej liczby kopii: wizerunek mógł się w cudowny sposób powielać). Gdy więc Całun Turyński znów się objawił w XIV-wiecznej Francji, istniała już długoletnia tradycja płócien, zdobnych cudownym wizerunkiem.

Nowożytny spór o Całun wybuchł w 1898 roku, gdy relikwia została po raz pierwszy sfotografowana przez Secondo Pia. Wywołując zdjęcia, przekonał się on, że ciemne i jasne elementy wizerunku zostały odwrócone. Ludzie zaczęli zadawać pytanie, jak średniowieczny artysta mógł namalować „negatyw wizerunku"? Jak w ogóle średniowieczny artysta mógł stworzyć podobny wizerunek?

Różne teorie mnożyły się w szybkim tempie. Przeważnie opierano je na założeniu, że nasi przodkowie nie mogli dokonać fałszerstwa, gdyż nie posiadali niezbędnej po temu wiedzy lub byli na to za głupi.

Tak zwana „teoria kontaktu" zakłada, iż ciało spoczęło w całunie wraz z olejkami i wonnościami, i dzięki temu jego zarys odbił się na tkaninie. Gdy zdano sobie sprawę z tego, że nie każdy uwieczniony na płótnie rys dotykał udrapowanego całunu, powstała nowa hipoteza: „teoria oparów": wyziewy z ciała w połączeniu z wonnościami spowodowały powstanie wizerunku na całunie. Jednak w wyniku takiego procesu mielibyśmy raczej zamazany zarys, a nie dokładny wizerunek.

Coraz częściej domagano się dokonania analizy Całunu. W 1969 roku kardynał Pellegrino z Turynu skłonił jedenastu naukowców do wzięcia udziału w tzw. Projekcie Badawczym Całunu Turyńskiego. Wkrótce uczeni wystąpili z sugestią, iż w momencie zmartwychwstania w ciele Chrystusa nastąpiło krótkie wyładowanie energii promieniotwórczej, powodujące „wypalenie obrazu". „W tym punkcie - przyznał jeden z należących do tego gremium naukowców - istnieje już tylko alternatywa: albo poszukiwanie mechanizmów tego wydarzenia, albo mistyka".

Kiedy nitki z Całunu poddano analizie w Belgii, dr Gilbert Raes odkrył, że zostały splecione z lnu i pewnego gatunku bawełny, zwanego Gosypium herbaceum, rosnącego przede wszystkim na Środkowym Wschodzie. Nici charakteryzują się skomplikowanym, bardzo starym splotem. W 1973 roku szwajcarski kryminolog dr Max Frei stwierdził, iż spośród pięćdziesięciu dziewięciu różnych rodzajów pyłku, znalezionych na Całunie, jednym był halofit (halophyte), pyłek rośliny nadmorskiej, rosnącej w Palestynie.

W połowie lat osiemdziesiątych władze turyńskie niechętnie wyraziły zgodę na wycięcie z Całunu skrawków potrzebnych do datowania radiowęglem. Zdawało się, że wyniki, ogłoszone w październiku 1988 roku, ostatecznie przesądzają sprawę. Trzy niezależne od siebie laboratoña oświadczyły, iż Całun (a zatem i wizerunek) zostały podrobione, najprawdopodobniej pomiędzy 1260 a 1390 rokiem. Koniec sporów? A skądże! Wierzący w boskie pochodzenie Całunu twierdzą, że próbki zostały zanieczyszczone potem z rąk osób, które dotykały go przez te wszystkie lata, i nadal się głowią: jak powstał

wizerunek?

Mikroanalityk z Chicago, dr Walter McCrone, zbadał zebrane na przylepiec próbki wizerunku z Całunu i twierdzi, iż zawierają one drobniutkie cząsteczki tlenku żelaza w kleistej zawiesinie jakiejś substancji wiążącej - krótko mówiąc, jest to rodzaj tempery, farby powszechnie używanej przez średniowiecznych artystów.

Joe Nickell w swojej pracy *Inguest on the Shroud of Turin* (Dochodzenie w sprawie Całunu Turyńskiego) utrzymuje, że wykonał duplikat wizerunku, przyciskając zmoczone w gorącej wodzie płótno do wypukłej powierzchni posągu, a następnie mażąc je barwnikiem z zawartością tlenku żelaza.

Profesor sztuk pięknych z Afryki Południowej, Nicholas Allen, uzyskał odcisk ludzkiego popiersia na lnianym płótnie specjalnie uwrażliwionym roztworem azotanu srebra, posługując się kwarcowymi soczewkami i wykorzystując zwykłe światło słoneczne. Twierdzi, iż „podobną metodą można się było posłużyć już na dobre dwieście lat przed powstaniem Całunu".

Wiara i Rozum nijak nie potrafią się pogodzić. Gdy próbują to zrobić, zazwyczaj dochodzi do kłótni. Wierzący w świętość Całunu podobnie jak Jan Wilson uważają relikwię za zesłaną przez Boga próbę wiary, zgodnie z cytatem z Księgi Powtórzonego Prawa - V Mojż. - 6,16: „Nie będziesz wystawiał na próbę Pana, Boga swego" - i dzięki takiemu spojrzeniu na sprawę (jak wyznał Wilson w rozmowie z Rogo w 1988 roku) mogą nadal czcić Całun, bez względu na to, co orzekła nauka.

Najnowsza teoria głosi, że owym tajemniczym artystą był Leonardo da Vinci, który utrwalił na Całunie swój autoportret. Zakładając (całkiem jak cytowany wyżej Allen), iż zainteresowanie Leonarda camera obscura i optyką skłoniło go (sto lat później, niż wykazało datowanie radiowęglem!) do użycia dostępnych w jego epoce materiałów i chemikaliów w celu sfałszowania wizerunku, autorzy tej hipotezy - Lynn Picknett i Clive Prince - „udowodnili, że ogarnięty żądzą obronienia ukochanej hipotezy uczony może rozstać się całkowicie z resztką zdrowego rozsądku... - co samo w sobie już graniczy z cudem..."

5. Upragnione rany: stygmaty

Trzy niedawne przypadki

17 marca 1972 roku dziesięcioletnia Cloretta Robinson z Oakland nad zatoką / San Francisco wyszła ze swej klasy w szkole podstawowej Santa Fe i udała się do szkolnej pielęgniarki, gdyż zaczęły krwawić jej dłonie. Pielęgniarka nie dostrzegła żadnego uszkodzenia skóry. Miała wrażenie, że krew przesącza się przez dłonie dziecka. Clorettę zabrano do Szpitala Fundacji Kaisera w Oakland. Tam zbadała ją lekarz pediatra, dr Ella Collier, która później oświadczyła reporterom: „Nałożyłam na rękę Cloretty opatrunek zwany »bokserską rękawicą«. Dziewczynka nie mogła w żaden sposób wsunąć pod spód niczego, co wywołałoby dalsze krwawienie. Kiedy po 18 godzinach zdjęłam go, cała wewnętrzna warstwa bandaża była przesiąknięta krwią. Obmyłam rękę Cloretty - potem na moich oczach znów pojawiła się krew. Najpierw utworzyła się maleńka kropla, wielkości ziarnka grochu, a później pokryła całe wnętrze dłoni".

Cloretta była pobożną dziewczynką; należała do lokalnego protestanckiego zboru Kościoła Baptystów Nowej Światłości. Krwawienie wystąpiło u niej po uważnej lekturze historii Męki Pańskiej. Ani dr Collier, ani psychiatra, dr Joseph E. Lifschutz, nie stwierdzili u dziewczynki anormalnej osobowości. Jednak kilka dni później, podczas próby chóru, krwawienie się nasiliło. Dziecko zawieziono do szpitala z krwią płynącą z rąk, boku, stóp i czoła. Zespół medyczny pogotowia nie był w stanie zatamować krwawienia, ani stwierdzić jego przyczyny. Przez kolejne dziewiętnaście dni Cloretta broczyła krwią ze wszystkich tych miejsc kilka razy na dzień (nawet pięciokrotnie). Najczęściej płynęła ona z rąk. Dr Laretta F. Eariy (pediatra) z Ośrodka Zdrowia w Zachodnim Oakland odnotowała następujące objawy:

„Liczne przypadki pojawiania się krwi... zostały zaobserwowane przez nauczycieli Cloretty, szkolną pielęgniarkę, jej pomocnicę, lekarkę [tzn. dr Eariy], a także - raz - przez pracowników innego szpitala". Niekiedy świadkami byli jedynie członkowie rodziny pacjentki - na przykład pewnego razu, gdy krew wystąpiła na czole dziecka. Rodzina wykonała wówczas kilka fotografii, na których widać krople krwi na czole. Niektóre z tych zdjęć ... były udostępnione szerokiej publiczności za pośrednictwem prasy. W gazetach zamieszczono fotografie obok artykułu na temat tych wydarzeń". Opisawszy nieudane próby wykonania podobnych zdjęć przy świadkach, dr. Eariy dodała:

...Po półgodzinnej rozmowie [z Clorettą] lekarka zachęciła dziewczynkę do przerysowania obrazków z książki o św. Franciszku z

Asyżu, którą przyniosła ze sobą. Pacjentka została sama, gdyż pielęgniarki miały przerwę obiadową. Gdy kopiowała ilustracje, krew zaczęła sączyć się z lewej ręki. Dziewczynka natychmiast wróciła do gabinetu lekarskiego: na lewej dłoni widniały dwie lub trzy krople krwi. Lekarka zaobserwowała, że krwawienie wzrosło w czwórnasób: krew wydobywała się ze środka dłoni i rozlewała, pokrywając całe jej wnętrze.

Krwawienie ustało 31 marca, tuż przed Wielkim Piątkiem, i nie powtórzyło się więcej. Tym bardzo nagłośnionym przypadkiem zajmowali się skrupulatnie kompetent ni lekarze. Nie było to wydarzenie odosobnione. Bynajmniej!

W angielskiej wiosce Codnor w hrabstwie Derbyshire rankiem 25 lipca 1985 roku pani Jane Hunt, żona kierowcy autobusu, przygotowywała właśnie śniadanie dla rodziny, gdy zaczęły ją świerzbić ręce. Choć należy obecnie do Kościoła anglikańskiego, wychowywała się w rodzinie katolickiej. Do szóstego roku życia Jane była głucha. Po wyjściu za mąż miała kilka poronień, zanim urodziła szczęśliwie córkę. Gdy poprzedniej nocy pani Hunt kładła się do łóżka, wydało się jej, że dostrzega na poduszce twarz Jezusa, a potem miała sen z tym związany. 25 lipca było akurat święto patrona lokalnego kościoła, św. Jakuba. Jane Hunt nie zwracała uwagi na swędzenie dłoni, ale kiedy wybierała się po zakupy, nagle przeszył ją straszny ból, jak gdyby wbijano jej w dłonie tysiące igieł. Wbiegła z powrotem do domu. Jej mąż Gordon i córka przerazili się na widok krwi tryskającej z rąk Jane, mimo iż na skórze nie było żadnych obrażeń. Przestraszona pani Hunt zwróciła się do swego proboszcza, wielebnego Normana Hilla. Ujrzawszy jej dłonie duchowny zdał sobie sprawę (podobnie jak dr Laretta Earły), że jest to przypadek stygmatów. U Jane Hunt, tak samo jak u świętego Franciszka i wielu innych katolickich mistyków, pojawiły się na dłoniach ślady ran, które zadano Chrystusowi podczas Jego Męki.

„Nawet nie wiedziałam, co to są stygmaty - wyznała Jane pisarzowi łanowi Wilsonowi, gdy stała się już sławna. Zawsze, odkąd pamiętam, byłam tępa".

Przez dwa lata rany utrzymywały się, były widoczne po obu stronach dłoni, a przez pewien czas także na stopach. Jak wielu innych stygmatyków, pani Hunt była nimi zażenowana, starała się je ukryć. Rany były najgłębsze i najbardziej wrażliwe na Wielkanoc i w niektóre niedziele. Zdarzało się, że w ciągu doby wypływało z nich około 0,5 litra krwi; „kiedy indziej zaznaczały się tylko niebieskawe nabrzmienia na wierzchu obu dłoni i wgłębienia o takim samym zarysie na ich spodzie". Zanim zasklepiły się ostatecznie i znikły po zabiegu usunięcia macicy w 1987 roku, zostały sfotografowane w zbliżeniu podczas programu nadanego przez stację telewizyjną w południowej Anglii. Nosił on tytuł „Po prostu Jane" (Just Jane) i został wyemitowany w niedzielę, piątego października 1986 roku. Pani Hunt w rozmowie z dziennikarzem Tedem Hamsonem wyznała, iż od czasu pojawienia się stygmatów miewa wizje Chrystusa i Maryi. Zdarzały się one nawet w ich saloniku, podczas oglądania wspólnie z mężem programu telewizyjnego. Gordon nigdy niczego nie widział, ale przyznał, że ich piesek Jamie zachowywał się wówczas dziwnie: zerkał w ten sam kąt pokoju, w który wpatrywała się Jane. „Obejrzałem się i ja, ale niczego tam nie było - zapewnił Gordon. - Więc spytałemn Jane: »Widzisz kogoś?« A ona powiedziała: »Tak!«".

W 1992 roku - również w Anglii - na ciele Heather Woods pojawiły się stygmaty. Heather urodziła się w 1949 roku. Gdy miała dziewięć lat, jej matka popełniła samobójstwo i odtąd dziewczynka całe lata spędziła w różnych instytucjach opieki społecznej. Prawie trzydziestokrotnie musiała uciekać przed napastowaniem i przemocą. Potem urodziła upośledzonego umysłowo synka, jej mąż zmarł młodo, a ona sama przebyła osiem poważnych operacji. Została członkiem grupy spirytystycznej, zajmującej się duchowym uzdrawianiem, a następnie ordynowano ją na diakonisę, (pomocnicę duszpasterza). Miewała też wizje i była łącznikiem ze światem duchów, które przekazywały za jej pośrednictwem rysunki i wiadomości na piśmie; zajmowała się również uzdrawianiem. W 1992 roku pojawiły się na ciele Heather stygmaty: rany na rękach, nogach i boku, a także znaki krzyża na czole. Zanim zmarła w listopadzie 1993 roku (utonęła w rzece; sąd orzekł śmierć z powodu nieszczęśliwego wypadku), jej rany często poddawano oględzinom, filmowano i fotografowano. „Krew tryskała przez skórę jak z fontanny - relacjonował pewien świadek - a żar bijący z jej stygmatów był wprost niewiarygodny: około 15 centymetrów nad nimi miało się wrażenie, że dotyka się palcem płomienia świecy".

Heather Woods współdziałała z ojcem Erikiem Eadesem, uzdrowicielem, który utrzymywał, że pozostaje w duchowym kontakcie z Ojcem Pio, włoskim księdzem i cudotwórcą (zmarłym w 1968 roku), najsławniejszym ze współczesnych stygmatyków-uzdrowicieli.

Z około sześćdziesięciu ujawnionych w naszym stuleciu stygmatyków, co najmniej dwudziestu (m.in. George Hamilton w Szkocji, Christina Gallagher w Niepodległej Irlandii, Giorgio Bongiovanni we Włoszech oraz trzy wyżej wymienione osoby) to dosłownie nasi współcześni. Czy są to cuda? Czy też krańcowe objawy psychosomatyczne? W podanych powyżej przypadkach, zarówno Jane Hunt jak Heather Woods doznały poważnych stresów, zanim wystąpiło u nich krwawienie;

Clorettą Robinson zaś mieszkała w Oakland, w którym odnotowuje się największe w Stanach Zjednoczonych nasilenie przemocy. Niemniej jednak, wiele innych osób żyje w podobnych warunkach - czym więc wyróżniają się ludzie, na których ciele pojawiają się stygmaty?

Przede wszystkim - cierpienie?

Niezwykle intensywne koncentrowanie się na cierpieniu ukrzyżowanego Chrystusa może niekiedy spowodować wystąpienie krwawiących ran w jednym lub kilku tzw. stygmatycznych punktach ciała, związanych z Męką Pańską. Są to: dłonie i stopy (gwoździe), bok (włócznia setnika), miejsce nad sercem (pałająca miłość Boga), oraz czoło (korona cierniowa). Zazwyczaj krwawienie występuje w Wielki Piątek lub w inne święta kościelne; potem rany mogą się zasklepić, a następnie znów się otwierają. Stygmatykami są przeważnie katolicy. Bardzo wiele jest wśród nich franciszkanek i dominikanek, skłonnych do chorób lub wyniszczających się dobrowolnymi umartwieniami. Zdecydowana większość stygmatyków to kobiety (w przeszłości proporcją wynosiła 7 stygmatyczek na l stygmatyka; w naszym stuleciu stanowią one jedynie dwie trzecie przypadków - przypuszczalne powody takiej zmiany omówimy później). Niektórzy są zarazem uzdrowicielami, biorącymi na siebie cierpienia innych, Obok stygmatów mogą także występować inne fenomeny. Na przykład Ojciec Pio, św. Franciszek i niemiecka wizjonerka, Anna Katarzyna Emmerich (l 774-1824), podobno lewitowali. Ojciec Pio miał również ukazywać się równocześnie w kilku miejscach (bilokacja); otaczała go szczególna „woń świętości" (odór sanctitatis). Zwłoki niektórych świętych-stygmatyków oparły się - jak powiadają - rozkładowi. Inni obywali się bez pożywienia (na przykład George Hamilton, który podobno nie wziął do ust żadnych pokarmów stałych od 1992 roku; Teresa Neumann (l 898-1962), Luiza Lateau (1850-1883) i Dominika Lazzari (1815-1848) żyły podobno przez całe lata, pomimo znikomej ilości lub całkowitego braku pożywienia. Dwie z nich zmarły w wieku 33 lat - tradycja głosi, że tyle właśnie lat miał Chrystus w momencie swej śmierci - a zatem kolejna, ekstremalna forma stygmatycznego naśladownictwa.

Włoska chłopka. Palma Matarelli (1825-1888) rzekomo miała wypalone na skórze stygmaty i zwracała niestrawione opłatki, mimo iż nie przystępowała przedtem do komunii. Na jej czole pojawiała się „korona cierniowa". Gdy przytykano płótno do ran na czole, plamy na nim miały kształt serca, miecza i innych symboli religijnych. Podobnie jak u Conchity Gonzalez z Garabandal w 1961 roku, na jej języku materia-lizowała się nieoczekiwanie hostia, jakby z powietrza. Na hierarchach Kościoła rzymskokatolickiego (którzy do podobnych fenomenów zawsze podchodzą ostrożnie, uważając je za mało wiarygodne, a nawet za potencjalne omamy szatańskie) wyczyny Palmy zrobiły mniejsze wrażenie niż na francuskim badaczu, dr A. Imbert-Goubeyre, studiującym ten przypadek. Pod naciskiem Watykanu, w swej pionierskiej pracy „La Stigmatisation" (l 894) uczony złagodził swoje wcześniejsze wnioski na temat Palmy Matarelli, ale w głębi serca nigdy nie wyrzekł się swych przekonań.

„Cokolwiek czyni Palma, jest dziełem diabła - zawyrokował papież Pius IX w prywatnej rozmowie z monsignorem Barbierem z Montault w 1875 roku - a te cudowne komunie, podczas których, jak twierdzi, w sposób nadprzyrodzony przyjmuje hostie przeniesione z Bazyliki św. Piotra, są po prostu oszustwem. To jedno wielkie szalbierstwo i tutaj, w szufladzie mego biurka, mam na to dowody. Udało się jej oszukać wiele pobożnych, ufnych dusz". W „La Stigmatisation", pierwszym systematycznym opracowaniu na ten temat, Imbert-Goubeyre wymienia dwieście osiemdziesiąt stygmatyczek i czterdziestu jeden stygmatyków. Ponad dwie trzecie z nich złożyło śluby zakonne. Było wśród nich stu dziewięciu dominikanów (czy dominikanek) i stu dwóch franciszkanów (lub franciszkanek); brakło bardziej światowych benedyktynów i cystersów, wymieniono tylko trzech jezuitów. Ponad jedną trzecią stanowili Włosi; reszta to: siedemdziesięciu Francuzów, czterdziestu siedmiu Hiszpanów, trzydziestu trzech Niemców, piętnastu Belgów, trzynastu Portugalczyków, pięciu Szwajcarów, pięciu Holendrów, trzech Węgrów, jeden Peruwiańczyk. Protestanckich Anglików, Szkotów i Skandynawów nie było na liście; znacznie bardziej zaskakujący jest brakprzedstawicieli katolickiej Irlandii. Tylko sześćdziesiąt dwie z wymienionych osób zostały następnie beatyfikowane lub kanonizowane, i to z całkiem innych powodów, niż stygmaty. Poza tym - na co zwrócił uwagę Thurston - bez wątpienia wiele przypadków zarówno wówczas, jak i obecnie, nie zostaje zgłoszonych czy odnotowanych - z powodu wstydu lub strachu.

W *Psychology of the Occult* (Psychologii wiedzy tajemnej), wydanej w 1952 roku, D.H. Rawdiffe twierdzi, że jedynymi „prawdziwymi" stygmatami są te, których podstawę stanowią „topoalgiczne halucynacje" (umiejscowione bóle bez widocznego urazu). Wszystkie inne to oszustwo, samookłamywanie się lub też „rozmyślne samo-okaleczenia, dokonywane podczas ataków histeryczno-epileptycznych, po których następuje amnezja". Thurston jednak, omawiając pięćdziesiąt

przypadków w swej książce Physical Phenomena of Mysticism (Fizyczne fenomeny związane z mistycyzmem), opublikowanej w 1952 roku, polemizował z zarzutem „histerii". Wykazał, że w przypadku Dominik! Lazzari czy Palmy Montanelli (o której nie wyraził swej osobistej opinii) występowanie stygmatów nie zawsze wiązało się z chorobliwą fascynacją Męką Pańską. W cierpieniach zaś św. Teresy z Avila (1515-1582) lub Ojca Pio Thurston nie dostrzegał niczego, co świadczyłoby o histerii. Jednakże - ponieważ stygmatyczkami są zazwyczaj kobiety - „trzeźwo myślący" mężczyźni mogą łatwiej zbagatelizować ów niepokojący fenomen, jeśli opatrzą go etykietką „histeria".

A fenomen jest rzeczywiście niepokojący.

Krwawienie i całkowity post: Teresa Neumann

Przez trzydzieści dwa lata w każdy piątek mieszkanka Bawarii, Teresa Neumann (1898-1962), traciła podobno około 0,5 litra krwi z ran na rękach, nogach, w boku i na czole. Jedynym pokarmem, jaki przyjmowała przez trzydzieści cztery lata, był rzekomo opłatek komunijny i łyk wina. Od 1930 roku - jak mówiono - przestała wydalać, a jej przewód pokarmowy uległ atrofii. Stygmaty po raz pierwszy pojawiły się na ciele Teresy po tym, jak znikła tajemnicza choroba, która nękała ją osiem lat; po niej zaś przyszła kolej na wizje.

Teresa Neumann była najstarszą córką krawca, katolika, mieszkała w miejscowości Konnersreuth w pobliżu czeskiej granicy; miała dziewięcioro rodzeństwa. Choć nadpobudliwa, była inteligentna i krzepka. Wydawała się dość szczęśliwa, mimo iż dwukrotnie usiłowano ją zgwałcić. Jednak 10 marca 1918 roku wybuchł pożar w domu obok gospody, gdzie pracowała. Kiedy Teresa dźwigała wiadra z wodą, doznała jakiegoś urazu pleców. Niebawem podniosła się z łóżka, ale stan jej zdrowia pogarszał się. Gdy ją hospitalizowano, zaczęła dostawać konwulsji, a w marcu 1919 roku straciła wzrok (choć źrenice jej oczu w dalszym ciągu normalnie reagowały na światło). W kwietniu, gdy rodzice pomagali jej wstać z łóżka, Teresa upadła, zesztywniała- i przez następne cztery lata miała sparaliżowane obie nogi. 25 kwietnia 1923 roku papież Pius IX beatyfikował Teresę z Lisieux (czyli św. Teresę od Dzieciątka Jezus), która zmarła w 1897 roku przeżywszy dwadzieścia cztery lata. Cztery dni później jej imienniczce - Teresie Neumann - przyśniło się, że ktoś dotknął jej poduszki. Kiedy się obudziła, otwarła oczy i stwierdziła, iż odzyskała wzrok; pozostała jednak sparaliżowana do 17 maja 1925 roku, dnia kanonizacji św. Teresy.

Usłyszawszy w tym dniu wołanie córki, państwo Neumann weszli do jej pokoju i zobaczyli, że rozmawia z jakąś niewidzialną istotą. Wydawało się, iż jest w transie; poprosiła rodziców o sprowadzenie miejscowego proboszcza, ojca Nabera. Wyjawiła mu, że ujrzała przepiękne światło. Wydobywający się z niego głos oznajmił jej, że znów będzie chodziła. Wspierając się na lasce Teresa po raz pierwszy od lat poszła do kościoła. 30 września, w rocznicę śmierci św. Teresy z Lisieux, głos oznajmił Teresie, iż może już poruszać się bez laski - i tak się też stało. Jednak jej tajemnicza choroba ciągnęła się aż do 4 maja 1926 roku, gdy miała podobno wizję Jezusa w Ogrodzie Oliwnym. Tak później o tym opowiadała; „Gdy wpatrywałam się w Zbawiciela, nagle zabolało mnie tak strasznie w boku, że pomyślałam: »zaraz umrę«. Równocześnie poczułam, jak coś ciepłego spływa mi po boku. To była krew. Płynęła do południa następnego dnia".

Teresa nikomu o tym nie wspomniała; przez kolejne dwa piątki powtarzały się i wizja, i krwawienie z boku; krew pojawiła się również na grzbiecie lewej dłoni. Przez ponad pięć godzin w nocy z Wielkiego Czwartku na Wielki Piątek Teresa śledziła przebieg całej Męki Pańskiej, włącznie z ukrzyżowaniem. Rana w jej boku zaczęła broczyć silniej; na dłoniach i stopach pojawiły się wyraźne ślady gwoździ.

Tajemnica wyszła na jaw. Wieść rozniosła się lotem błyskawicy - wkrótce wszyscy już o tym wiedzieli. Ilekroć wychodziła z domu, starannie osłaniała twarz, żeby uniknąć kamer. Przez pozostałe trzydzieści sześć lat życia rany na jej ciele otwierały się prawie co piątek.

Nasuwały się jednak pewne podejrzenia. Gdy Teresa rzekomo była „niewidoma", jej źrenice normalnie reagowały na światło. Budził również zdumienie fakt, że wiele jej wizji miało miejsce w dni świąteczne, związane w jakiś sposób z osobą jej imienniczki, św. Teresy od Dzieciątka Jezus. Jeśli chodzi o dochodzenie wszczęte przez władze kościelne w 1928 roku, rodzina Neumannów była do niego niechętnie nastawiona. Prof. Martini, dyrektor Szpitala Akademickiego w Bonn, odnotował, iż krew płynęła z ran Teresy tylko wówczas, gdy jego poproszono o opuszczenie pokoju. Taka sytuacja „budzi podejrzenie, że chciano coś ukryć" - stwierdził. Nie podobały mu się też „częste manipulacje Teresy pod podciągniętym do góry przykryciem" oraz fakt, iż nigdy nie oglądał na własne oczy „ani jednej z [jej] ran w trakcie krwawienia". Jeśli zaś chodzi o nieprzyjmowanie przez Teresę żadnych pokarmów, obserwowano ją bacznie przez piętnaście dni w 1927 roku - nie jadła wówczas nic, potem

jednak odzyskała swą krępą, krzepką figurę i nie zgodziła się na żadne dalsze badania. Jednakże Anni Spiegi, która napisała jej biografię, twierdzi: „przez dziesięć tygodni przebywałam stale w towarzystwie Teresy i mogłam wówczas wchodzić do jej pokoju o każdej porze bez pukania; pomagałam także go sprzątać i z całą pewnością zauważyłabym, gdyby znajdowała się w nim jakaś ukryta żywność... A co więcej, nie owijając niczgo w bawełnę: każdy, kto je, musi też wydalać, a obu tych czynności nie da się utrzymać w sekrecie przez dziesiątki lat - Teresa zaś przez kilkadziesiąt lat nie miała wypróżnień".

Anni Spiegi nie wyjaśniła, skąd o tym wie.

Podkreślając, że „nigdy nie schwytano Teresy Neumann na żadnym oszustwie" Wilson konkluduje, iż niektórzy stygmatycy rzeczywiście mogą obchodzić się przez dłuższy czas bez jedzenia, choć nie do tego stopnia, jak się powszechnie uważa. Być może tak właśnie było w przypadku Marty Robin (1903-1981). Tę Francuzkę także zmogła choroba; od 1928 roku była sparaliżowana od szyi w dół i przykuta do łóżka. Jej jedyne pożywienie przez pięćdziesiąt trzy lata stanowił podobno otrzymywany raz w tygodniu komunijny opłatek.

Inne przypadki obywania się bez pokarmu: Luiza Lateau i Dominika Lazzari

W 1867 roku Belgijka Luiza Lateau- wówczas siedemnastolatka- omal nie umarła, pobodzona przez byka (lub stratowana przez krowę; wersje są różne). Gdy miała zaś osiemnaście lat, na jej ciele wystąpiły pełne stygmaty. W 1871 roku przestała w ogóle jeść: nawet łyżka wody wywoływała u niej wymioty. Niemal wszyscy - bardzo liczni - lekarze, zajmujący się nią (jedni nastawieni do Luizy przyjaźnie, inni wrogo) przyznawali, że nie było żadnego dowodu podważającego relacje samej Luizy, jej sióstr oraz spowiedników, zapewniających, iż „przez te wszystkie lata nie przyjmowała żadnego pożywienia".

W swej publikacji *A Visit to Louise Lateau* (Wizyta u Luizy Lateau), z 1873 roku, dr Gerald Molloy, rektor kolegium uniwersyteckiego w Dublinie, opisuje stygmaty Luizy jako: „owalne piętna o jaskrawoczerwonym zabarwieniu, pojawiające się na grzbiecie i we wnętrzu obu dłoni, mniej więcej pośrodku... Nie jest to rana w sensie dosłownym; krew zdaje się przenikać przez nie uszkodzoną skórę. W bardzo krótkim czasie wypłynęło stamtąd dostatecznie dużo krwi, by zadowolić następnych pobożnych pielgrzymów, którzy - tak samo jak ich poprzednicy - osuszali ją swoimi chusteczkami, póki nie została znów całkowicie wytarta".

Luiza Lateau zmarła w wieku trzydziestu trzech lat, podobnie jak Dominika Lazzari (1815-1848) z odległej wioski Capńana we włoskim Tyrolu. Trzynastoletnia Dominika, z żalu po śmierci ojca młynarza, przestała jeść i rozchorowała się. Pięć lat później spędziła samotnie przerażającą noc we młynie. Do dziś nie wiadomo, co się wówczas wydarzyło. W wyniku nerwowego ataku zachorowała obłożnie. Nigdy już nie opuściła łóżka. Rozwinęła się u niej anorexia nervosa (odmawiała przyjmowania pokarmów) oraz hyperaesthesia (nadwrażliwość). Lekkie dotknięcie sprawiało jej przeraźliwy ból. Jasne światło oślepiało ją i wywoływało konwulsje. Każdy dźwięk ją ogłuszał. W 1834 roku przestała całkowicie jeść i podobno przez następne czternaście lat nie brała niczego do ust. Na krótko przed śmiercią otwarły się rany na jej rękach, nogach i na lewym boku, które broczyły w każdy piątek. Trzy tygodnie po pojawieniu się stygmatów, na jej czole ukazały się drobne ranki, jakby od cierniowej korony.

„W nocy - powiedziała Dominika rodzinie - podeszła do mego wezgłowia przepiękna pani i włożyła mi na głowę koronę".

Lekarz Dominiki, dr Dei Cloche, zbliżając się pewnego piątku do domu, usłyszał przeraźliwe krzyki. „Dochodziły one z jej pokoju przez okno wychodzące na drogę. Gdy podjechałem bliżej, mogłem rozróżnić słowa, powtarzane raz po raz: „Boże, przybądź mi z pomocą!" W pokoju Dominiki lekarz obejrzał rany dziewczyny, włącznie z nakłuciami na czole. Ręce miała kurczowo zaciśnięte; na grzbiecie każdej dłoni, między środkowym i serdecznym palcem lekarz dostrzegł okrągłą, czarną wypukłość, podobną do główki gwoździa o średnicy 2,5 centymetra. Z ran na dłoniach dziewczyny obficie lała się krew.

„O czwartej po południu, choć krew przestała już płynąć ze stygmatów, Dominika nadal, z równą gwałtownością, powtarzała swe rozpaczliwe wołanie. Gdy spytałem, czemu nie milknie ani na chwilę, odparła: „Ponieważ bez przerwy odczuwam straszliwy ból w całym ciele, a zwłaszcza bolą mnie rany. Krzyk pomaga mi to znieść".

Sława Dominiki rozniosła się. Pojawili się przybysze. W 1842 roku Anglik, lord Shrewsbury oświadczył w swoich „Listach": „wyraźnie widziałem rany, krew i osocze, zupełnie świeże; spływały od nadgarstka w dół". Oglądając jej nogi (przykuta do łóżka Dominika leżała w pozycji horyzontalnej) lord Shrewsbury dostrzegł także, iż „krew zamiast ciec w

normalnym kierunku, płynęła do góry w stronę czubków palców od nóg, zupełnie tak, jakby dziewczyna wisiała na krzyżu". To niezwykłe zjawisko zostało potwierdzone przez innych. W Journey into France andltaly (Podróży do Francji i Włoch) T, W. Alies opowiada o tym, jak odwiedził Dominikę wraz z dwoma przyjaciółmi, z których jeden, J.H. Wymię, zrobił następującą uwagę: „lekarz badał jej stopy setki razy; są one naznaczone tak samo jak ręce, krew zaś płynie w kierunku palców stóp, a po twarzy - jak sami widzieliśmy - w górę wzdłuż nosa po sam jego czubek".

Zjawiwszy się tam we czwartek wieczór Wynne i jego przyjaciele zastali dziewczynę skuloną na łóżku. Twarz przypominała maskę: pokrywała ją warstwa zaschniętej krwi. Kolejne strugi wypływały regularnie z ranek w czole i ściekały po twarzy w takim kierunku, jak gdyby Dominika znajdowała się w pozycji pionowej a nie horyzontalnej. Gdy następnego dnia znów ją odwiedzili, byli zdumieni „bardzo wyraźną zmianą w stanie jej ran". Zacytujmy znów wypowiedź Wynne'a:

Twarde blizny na zewnętrznej stronie dłoni zapadły się. Były na poziomie skóry i stały się świeżymi otwartymi ranami, ale nie miały krawędzi. Płynął z nich strumień krwi wzdłuż palca, nie prostopadle, ale w dół, do środka przegubu ręki. Rana we wgłębieniu lewej ręki wydawała się za to głęboka i poszarpana. Wypływało z niej wiele krwi i ręka sprawiała wrażenie pokiereszowanej. Nie było widać, jak głęboka jest rana na prawej ręce. Nakłucia na czole krwawiły i były otwarte, tak że maska z krwi zdawała się grubsza i sprawiała okropne wrażenie. Najgorszy był czubek nosa. Widok ten mógł przerazić, osoba o słabych nerwach z pewnością by zemdlała.

Dominika i jej siostra nie pobierały żadnych opłat od przybyszów. Nie sposób z całą pewnością stwierdzić, że nie dopuściły się żadnego oszustwa, ale cytowane relacje są bardzo dokładne.

O świadków i dowody jest tym trudniej, im bardziej zagłębiamy siew przeszłość aż do początków tego fenomenu.

Pierwszy stygmatyk: św. Franciszek z Asyżu

We wrześniu 1224 roku, na ciele św. Franciszka z Asyżu (1181-1226) pojawiły się pierwsze stwierdzone sygmaty Męki Pańskiej. Niemal wszyscy są co do tego zgodni, choć Thurston wygrzebał skądś przypadek odnotowany przez Mateusza z Paryża w 1222 roku, dotyczący człowieka postawionego przed sądem kościelnym w Oksfordzie: „Miał on... na boku, rękach i nogach pięć ran Męki Pańskiej". Człowiek ten, który obwołał się Chrystusem i miał skłonność do samookaleczeń, jest - jak się wydaje - nie pierwszym autentycznym stygmatykiem, ale pierwszym pseudostygmatykiem, odnotowanym w średniowiecznych rejestrach. Sądzono go równocześnie z jakimś obojnakiem i z chrześcijańskim diakonem, który przeszedł na judaizm, i skazano ostatecznie na dożywotnie uwięzienie o chlebie i wodzie, w Banbury.

Być może osiągnął właśnie to, czego pragnął - męczeństwo. Jednakże ta surowa kara mogła przyczynić się do tego, że z czasów przed św. Franciszkiem nie zachowały się żadne wzmianki o stygmatach. Tego rodzaju przechwałki (bez względu na to, czy usprawiedliwione, czy fałszywe) zostałyby najpewniej boleśnie ukarane. Samo jednak odnalezienie podobnej informacji świadczy o tym, iż ów fenomen był już wcześniej znany. Zresztą, sam apostoł Paweł stwierdził (w liście do Galatów, 6, 17): ‚Ja stygmaty jezusowe noszę na ciele moim". Być może w XII wieku dosłowna interpretacja tego tekstu (słuszna czy niesłuszna) mogła pobudzać do podobnych twierdzeń jak to, o którym wspomniano wyżej.

Bez względu na to, czy na ciele św. Franciszka rzeczywiście po raz pierwszy w historii pojawiły się stygmaty, czy też nie - z całą pewnością był on pierwszym uznanym i rozsławionym stygmatykiem. Urodził się w rodzinie bogatego sukiennika, Pietra di Bemadone, i wyrósł na trwoniącego grosz rozpustnika, bez celu w życiu. Trwało to do chwili, gdy - w czasie wojny Asyżu z Perugią - efektem nieprzemyślanego ataku na wrogów było wzięcie przez nich do niewoli między innymi Franciszka.

Przesiedział cały rok w więzieniu. To wydarzenie przeobraziło go. Gdy pokonał dręczącą go chorobę, porzucił dawne, szalone życie. Pewnego razu wszedł do walącego się wiejskiego kościółka św. Damiana i ukląkł przed ołtarzem. Stojący na nim krucyfiks nagle ożył. Słysząc głos Jezusa wzywającego, by przyczynił się do odbudowy kościoła, Franciszek dał staremu księdzu, strzegącemu tej ruiny, wszystkie pieniądze, jakie miał przy sobie. Następnie pojechał do składów swego ojca w Asyżu, wykradł stamtąd najlepsze sukno, sprzedał je podobnie jak swego wierzchowca, potem zaś wrócił pieszo do walącego się kościoła, wręczył staremu księdzu pieniądze i został tam.

Jego rozwścieczony ojciec popędził do kościoła św. Damiana, ale uprzedzony o tym Franciszek skrył się przed nim. Po miesiącu powrócił do Asyżu jako żebrak w łachmanach. Wszyscy sądzili, że stracił rozum. Piętro Bemadone skłonił opata Gwidona, by zwołał specjalny sąd w celu rozpatrzenia jego sporu z synem. Wezwany na publiczne przesłuchanie w mroźny dzień zimowy 1206 roku, Franciszek pojawił się w pałacu biskupim w Asyżu w bogatych szatach, przekazał mieszek z

pieniędzmi i wymknął się bocznymi drzwiami. Zdawało się, że sprawa została zakończona - ale wówczas pojawił się znowu; był nagi - zdjęte szaty trzymał przed sobą.

„Słuchajcie wszyscy i przyjmijcie do wiadomości - zawołał. - Dotąd zwałem Pietra di Bemadone moim ojcem. Od tej chwili jednak chcę służyć jedynie mojemu Bogu. Zwracam więc ojcu pieniądze, o które tak się gniewał, i wszystkie szaty, które od niego dostałem. Chcę mówić odtąd tylko „Ojcze nasz, któryś jest w niebie", a nie „mój ojcze. Piętro Bemadone".

Odrzucił od siebie szaty i stanął kompletnie nagi. Biskup Gwido pospiesznie nakrył go własnym płaszczem (później zastąpił go stary habit). Tak oto Franciszek rozpoczął nowe życie w ubóstwie i zebrał garstkę towarzyszy, którzy stali się zalążkiem zakonu franciszkanów, zatwierdzonego oficjalnie przez papieża Innocentego III w 1210 roku.

Wzgardziwszy wszelkimi wygodami, Franciszek i jego uczniowie nie oszczędzali się. Chodzili boso nawet w zimie, nocowali w przeciekającej szopie na ubitej polepie, obywali się bez ognia i żywności całymi dniami. Kiedyś w okresie Wielkiego Postu, spędzonego na wysepce na Jeziorze Trazymeńskim, Franciszek przez czterdzieści dni spożył - jak mówią - zaledwie pół bochenka chleba. Lekka przesada? Nękały go rozliczne choroby, między innymi prawdopodobnie malaria, i doprowadziły do takiego stanu, że w 1224 roku jak relacjonuje jego biograf, św. Bonawentura: „Zaczęły nękać go różnorodne dolegliwości tak dotkliwe, iż ani jedna cząstka jego ciała nie była wolna od bólu i ran. W końcu przez te rozmaite choroby, długotrwałe i uporczywe, uległ takiemu wycieńczeniu, że ciało na nim prawie zanikło i pozostały jedynie kości powleczone skórą",

14 września 1224 roku Franciszek - wówczas czterdziestodwuletni, po miesięcznym surowym poście, spędzonym tym razem na zalesionych stokach gór Alvema nad rzeką Amo - był w opłakanym stanie. Nie wiadomo, czy przyczyniła się do tego jakaś choroba, czy w delirium sam się pokaleczył. Tzw. Fioretti (Kwiatki św. Franciszka, krótki wykaz czynów i wypowiedzi świętego, sporządzony w późniejszym okresie przez autora z Toskanii) przekazują, że owego dnia przed świtem święty wyszedł z chaty, by się pomodlić; rozważał Mękę Pańską tak żarliwie, iż „całkowicie zjednoczył się z Jezusem w miłości i współczuciu". Ujrzał wówczas Serafina (anioła) „o sześciu błyszczących, ognistych skrzydłach", który zstąpił z nieba; „miał on postać Ukrzyżowanego". Efekt tej wizji był następujący: „na rękach i nogach św. Franciszka pojawiły się natychmiast znaki gwoździ, takie same, jakie oglądał na ciele Jezusa Ukrzyżowanego".

Potwierdzenie przez naocznego świadka istnienia stygmatów (które początkowo św. Franciszek próbował ukryć) zachowało się do dziś. Brat Leon, który także przebywał na odludziu w Alvema, później zaś miał stać się zwierzchnikiem zakonu franciszkanów, napisał na odwrocie wierszy, ułożonych przez Franciszka wkrótce po tym wydarzeniu: „Dwa lata przed śmiercią Franciszek pościł... na górze Alvema... i ręka Boga była nad nim. Po swej wizji, słowach Serafina i wyciśnięciu stygmatów Chrystusowych na jego ciele, ułożył hymn wielbiący Boga, który zapisany jest po drugiej stronie tej karty".

Brat Nasseo, także przebywający w tej samotni, napisał, że naznaczonemu stygmatami Franciszkowi chodzenie sprawiało tak wielką trudność, iż ich protektor, Orlando hrabia Chiusi, przysłał na szczyt góry osiołka, by umożliwić świętemu zejście na dół. Kiedy św. Franciszek zmarł w niespełna dwa lata później, brat Leon (a może Eliasz) rozesłał do wszystkich prowincjałów nowego zakonu następujące przesłanie:

Donoszę wam o wielkiej radości i o nowym cudzie. Od zarania wieków nie słyszano o tak niezwykłym wydarzeniu, chyba wtedy, gdy żył na ziemi Syn Boży, Chrystus, nasz Pan. Albowiem, na kilka lat przed śmiercią, nasz ojciec i brat, Franciszek, został jakoby ukrzyżowany, nosząc na swoim ciele pięć ran, które zaiste były Chrystusowymi stygmatami. Jego ręce i stopy miały znaki takie, jakby przebito je gwoździami na wylot. Rany te były otwarte lub okrywały je strupy na podobieństwo czarnych gwoździ. Jego bok zaś wydawał się przebity włócznią, a krew często z niego płynęła.

W *Vita prima* (Pierwszym życiu Świętego), dziele napisanym wkrótce po śmierci Franciszka na zlecenie papieża Grzegorza IX, Tomasz z Celano opowiada:

...gdy modlił się, dalej nie zdając sobie jasno sprawy ze znaczenia [ukazania się Serafina], a niezwykłość wizji niepokoiła jego serce, zaczęły występować na jego rękach i nogach znaki gwoździ, jakie widział przedtem u Ukrzyżowanego, który wznosił się nad nim. Jego ręce i stopy zdawały się przebite na wskroś gwoździami; ich główki pojawiły się na grzbiecie dłoni i na górnej części stóp, a ich końce pod spodem. Znaki te były okrągłe na wierzchu dłoni i wydłużone z przeciwnej strony, a strzępki ciała przybrały postać ostrza gwoździa, wygiętego do tyłu, które sterczało z wnętrza każdej dłoni. Podobne ślady gwoździ widoczne były na stopach i wznosiły się nad powierzchnią ciała. Poza tym na prawym boku, jakby przeszytym włócznią, pojawiła się wielka blizna, która często krwawiła, tak iż tunikę i nogawice wielokrotnie zraszała święta krew.

Z dwóch wizerunków św. Franciszka, wykonanych nie później niż dziesięć lat po jego śmierci, jeden - dzieło Bonawentury Berlingheriego, obecnie znajdujące siew Pescii - ukazuje gwoździe, o których pisał Celano. Jedna ręka świętego jest tak ustawiona, że widać je wyraźnie. Czyżby artysta oglądał zwłoki? Celano (który prawdopodobnie je widział) zapewnia, iż nie objęło ich stężenie pośmiertne (rigor mortis) i „wprawiały w zadziwienie nie tylko rany na jego rękach i nogach, ale same gwoździe, uformowane z ciała świętego, czarne jak żelazo, a po prawej stronie zabarwione krwią".

Ten niezwykły szczegół: sterczące gwoździe, powstałe z ludzkiego ciała, spotykamy wyłącznie w relacji o stygmatach św. Franciszka. Ostrza gwoździ miały być wygięte szerokim łukiem, można było podłożyć tam palec. W swojej *Legenda Minor*, którą napisał nie później niż w 1274 roku, św. Bonawentura podaje, iż gwoździe tak wystawały z podeszew stóp, że „nie tylko nie mógł stąpać swobodnie po ziemi, ale można było wetknąć bez trudu palec w zagięte ostrze - tak przynajmniej sam zasłyszałem od ludzi, którzy oglądali je na własne oczy".

Średniowieczni stygmatycy: sami masochiści?

Przykład św. Franciszka sprawił, że pękły wszelkie tamy. Imbert-Goubeyre podaje, że do końca XII wieku stygmaty pojawiły się u trzydziestu kilka osób, przede wszystkim u mniszek. Jednym z pierwszych takich przypadków była spontaniczna stygmatyzacja dominikanki, błogosławionej Heleny z Veszprem, 4 października 1237 roku - w dzień nowego święta, ustanowionego na cześć Franciszka z Asyżu. Siostry zakonne tej stygmatyczki, opisując jej cierpienia, podały, iż miała rany na obu rękach, stopach oraz na piersi. Podobno „wołała: «Panie, zaniechaj! Nie czyń mi tego, Boże mój i Panie!» Zaprawdę, słyszałyśmy z jej ust te słowa, choć nie mogłyśmy dostrzec, z czym się zmagała, ani też do kogo mówiła".

Elżbieta, mniszka ze zgromadzenia cystersek w Herkenrode w pobliżu Liege, także zmagała się z niewidzialnymi istotami. Jak relacjonował około 1275 roku Filip, opat z Clairvaux, zakonnica przeważnie była pogrążona w transie, codziennie przeżywając całą historię Męki Pańskiej. Można by postawić diagnozę „rozdwojenie osobowości i masochizm" na podstawie opisu opata Filipa:

Chwytając się za szatę na piersiach prawą ręką, szarpała się wprawo, lewą -popychała w przeciwnym kierunku. Kiedy indziej znów, wyciągając ramię i groźnie wznosząc pięść, zadawała sobie gwałtowny cios w szczękę, tak iż całe ciało zdawało się od niego zataczać i słaniać. Albo też, mocno zaparłszy się w posadzkę nieruchomymi stopami, ciągnęła się z całej siły za włosy, póki nie uderzyła głową o ziemię.

Początkowo nieufny opat Filip przekonał się ostatecznie, że ta nieszczęsna kobieta jest autentyczną stygmatyczką, gdy ujrzał krew płynącą z ran na jej głowie, jak gdyby miała na niej cierniową koronę.

Jeszcze bardziej niesamowite było to, iż inna zakonnica, Lukardis z Oberweimaru (ok. 1276-1309), zwykła środkowym palcem wykonywać ruch podobny do wbijania gwoździ w Chrystusowe dłonie - i gwałtownie uderzała nim w swą drugą dłoń. Czubek jej palca wydawał się wówczas równie ostro zakończony jak gwóźdź, a „ci, którzy go dotykali, twierdzili, że twardy był niczym z metalu. Gdy uderzała się nim... słychać było odgłos przypominający stuk młota walącego w gwóźdź lub w kowadło". I dalej: „Tymże palcem, w porze seksty i nony [Lukardis], zwykła była uderzać się gwałtownie w pierś", robiąc przy tym tyle hałasu, iż jakby odbijał się echem w całym klasztorze, i odbywając dziwny rytuał tak punktualnie, że mniszki przekonały się, iż „można jej łacniej zaufać niźli zegarowi".

Po dwóch latach tych samoudręczeń pojawiły się stygmaty. Stało się to po nocnej wizji jakiegoś młodzieńca o ciele naznaczonym takimi ranami. Przycisnął on swą prawą rękę do dłoni Lukardis mówiąc: „Chcę, byś cierpiała wraz ze mną". Natychmiast na jej ręku pojawiła się rana, później ukazały się następne na drugiej dłoni, stopach i boku. Krwawiły tylko w piątki - taka dokładność była cechą charakterystyczną stygmatyków późniejszego okresu - z których Lukardis była chyba pierwsza. Regularność ta świadczy o pewnej formie utajonej kontroli umysłu.

Biorąc pod uwagę masochistyczne skłonności Lukardis i Elżbiety z Herkenrode, możliwe, że ich rany nie były zjawiskiem spontanicznym, lecz rezultatem samookaleczeń - ale możliwe jest również, iż natężenie ich myśli i uczuć wywołało dostrzegalne zmiany fizyczne. Żadna z nich nie została kanonizowana ani rozsławiona. Prawdopodobnie Kościół nie bardzo jeszcze wówczas wiedział, jak należy postąpić w podobnych przypadkach. Franciszek z Asyżu był święty - rzecz jasna - ale te zakonnice? Kogo one w gruncie rzeczy naśladowały: Chrystusa czy świętego Franciszka? A może nie chodziło o żadnego z nich i działały tu moce ciemności?!

Nie ulega wątpliwości, że nawet niektórzy święci stygmatycy podchodzili do swoich cierpień z nieco podejrzanym

entuzjazmem. Podczas wizji przeżywanej w 1373 roku św. Katarzyna Sieneńska (1347-1380) zamiast złotej wybrała koronę z cierni, którą ofiarowywał jej Chrystus. Wkrótce została naznaczona pięcioma ranami; prosiła wówczas, by stygmaty zniknęły a pozostał jedynie ból - i modlitwa jej została wysłuchana. Od dwudziestego roku życia odmawiała przyjmowania pokarmów, biczowała się, i uważała się za nawiedzoną przez demony. Jej śmierć w trzydziestym trzecim roku życia (znów to samo!) Rudolph M. Beli tak skomentował w książce pt. Holy Anorexia (Święta anoreksja): „Wyczerpana narzuconymi sobie rygorami i złamana duchowo z powodu nieudanej próby zreformowania Kościoła, Katarzyna straciła wolę życia i zaczęła niecierpliwie oczekiwać śmierci. Przyspieszyła ją wydajnie nie pijąc wody przez prawie cały miesiąc. To dobrowolne odwodnienie wywarło zamierzony efekt i Katarzyna legła na śmiertelnym łożu. Wegetowała tak jeszcze trzy miesiące, bardzo cierpiąc i odzyskując przytomność tylko na krótkie chwile".

Urodzona w bogatej rodzinie i wcześnie wydana za mąż święta Katarzyna Genueńska (1447-1510) przeżyła swe życie według znanego nam już schematu: bezmyślna młodość, nagłe nawrócenie, następnie zaś pełna poświęcenia służba wśród chorych. Choć nie należała do żadnego zgromadzenia religijnego, jej przeżycia duchowe były bardzo niezwykłe. Podobno nie spożywała żadnych pokarmów w latach 1476-1499, pijąc tylko napój złożony z wody, octu i soli. Anonimowy biograf napisał w 1551 roku: „Gdy piła tę miksturę, miało się wrażenie, iż płyn wylewa się na rozpalone do czerwoności flizy, gdzie natychmiast wysycha - tak wielki był ogień, gorejący w jej wnętrzu".

Podczas przedśmiertnej agonii jej ramię podobno wydłużyło się o około 13 centymetrów - skutkiem wewnętrznego żaru tak wielkiego, że tuż przed śmiercią zawołała: „Wszystkie wody świata nie sprawiłyby mi najmniejszej ochłody!". Język i wargi były tak spieczone od trawiącego ją ognia, że nie mogła nimi poruszać ani mówić. Jeśli ktoś dotknął choćby włoska z jej głowy albo nawet krawędzi łóżka, krzyczała, jakby ją kto ugodził nożem. Gdy zanurzono jej dłonie w naczyniu z zimną wodą, ta zawrzała. W ostatnim dniu życia św. Katarzyny nawet sącząca się ze stygmatów krew była tak gorąca, iż parzyła. Podobno jej ciało po dwóch latach nie uległo jeszcze rozkładowi, a stan ten rzekomo utrzymuje się do dziś.

Bogaci rodzice (znowu to samo!) dziewczyny, która zasłynęła potem jako św. Maria Magdalena de Pazzi (1566-1607), popełnili błąd nadając jej imię Katarzyna, być może na cześć św. Katarzyny Sieneńskiej. Ich córka wkrótce zrobiła wszystko, by dorównać swej imienniczce. Biczowała się kłującym pasem i wkładała sobie na głowę własnoręcznie uwitą koronę z cierni, nie mając jeszcze dziesięciu lat. Gdy je skończyła, złożyła przysięgę wiecznego dziewictwa i udała się do klasztoru. Tutaj demonstrowała zakonnicom ślady po samobiczowaniu i domagała się najbardziej poniżających funkcji. W wieku szesnastu lat wyrzekła się rodziców i została karmelitanką. Zwracała wszelki pokarm prócz chleba i wody. Potem zaczęła zapadać w kataleptyczny trans, zastygając w połowie ruchu. Zdarzało się też, że w zapamiętaniu rozbierała i pieściła statuę Jezusa. Odziana tylko w kuse giezło wiła się na podłodze pod niewidzialnymi ciosami albo zdzierała z siebie szatę i tarzała się nago po cierniach lub biczowała. Ta „sadomasochistyczna neurotyczka w pełnym rozkwicie" miała zaledwie dziewiętnaście lat, gdy pojawiły się na jej ciele stygmaty.

Jednak lepiej znana od tych historii i jeszcze bardziej makabryczna i dziwaczna jest opowieść o tzw. diabłach z Loudun *).

Matka Joanna: szatan przejmuje kontrolę

Z wysokiego rodu, ale niziutkiego wzrostu, matka Joanna od Aniołów (1602-1665) nie należała do osób zbyt zrównoważonych. Mimo to, wstąpiwszy do zakonu urszulanek, w 1627 roku została przeoryszą klasztoru w miejscowości Loudun w Anjou. Wkrótce poczuła słabość do miejscowego przystojnego proboszcza, którego bezczelne uganianie się za kobietami już wcześniej usposobiło do niego wrogo wielu miejscowych notabli. Zadurzenie Joanny drogo miało Grandiera kosztować.

Jego upadek rozpoczął się w 1629 roku, gdy matka Joanna zaklinała go, by został klasztornym spowiednikiem, on zaś odmówił, wykręcając się brakiem czasu. Przeorysza była wściekła, ale nadal snuła co wieczór erotyczne marzenia, związane z osobą Grandiera. Jej opowieści o tym, jak to duch proboszcza wodzi ją na pokuszenie, tak rozpłomieniły inne siostrzyczki, iż wkrótce w całym klasztorze wrzało, i tylko najstarszych mniszek nie nawiedzało (w najgorszych zamiarach) ciało astralne Grandiera.

---

* W Polsce historię tę spopularyzowali: Penderecki operą „Diabły z Loudun" (1969 rok) oraz Kawalerowicz filmem „Matka Joanna od Aniołów", z niezapomnianą w tytułowej roli Lucyną Winnicką i całą plejadą innych gwiazd: Yoigtem, Ciepielewską, Jasiukiewiczem... (1961 rok), (przyp. tłum).

Do wrogów proboszcza zaliczał się także nowy spowiednik klasztorny, kanonik Mignon. Słuchając w konfesjonale

sensacyjnych wyznań mniszek, pojął, że nadarza mu się sposobność zniszczenia proboszcza. Wytłumaczył im więc, iż zostały opętane przez diabła, nasłanego na nie przez Grandiera. Wezwał egzorcystów, by podsycić jeszcze szał siostrzyczek i wijące się, bluźniące i obnażające się wystawić na widok publiczny. W 1635 roku przybywali na to „widowisko" ciekawscy nawet z Anglii! Grandiera aresztowano, poddano torturom, uznano za winnego i spalono żywcem na oczach żądnych takich emocji sześciu tysięcy gapiów, stłoczonych na placu Świętego Krzyża (Place Sainte-Croix) w Loudun. Na tym sprawa powinna się zakończyć - ale opętanie, które nabrało własnego rozpędu, trwało nadal po śmierci Grandiera. Wkrótce szatan nie tylko przejął w pełni kontrolę nad Joanną i innymi mniszkami, ale dopadł również egzorcystów. Najpierw przytłoczeni, a potem zniszczeni przez złe moce, ojcowie Laktancjusz i Trankwillus wyzionęli ducha wśród wrzasków i wymiotów. Tylko jezuita Jean-Joseph Surin, obdarzony niezwykłym wyczuciem dobra i zła, wytrwał w tym piekle rozhuśtanych emocji. Jednak i on nie wyszedł bez szwanku: od 1639 do 1657 roku nie był w stanie czytać ani pisać, często tracił mowę i zdolność poruszania się, a po nieudanym zamachu samobójczym (wyskoczył z okna na piętrze) znajdował się pod ścisłym nadzorem przez całe lata. Dopiero tuż przed śmiercią odzyskał zmysły.

W szczytowym okresie szaleństwa - w 1635 roku, zaraz po śmierci Grandiera, na ciele matki Joanny zaczęły pojawiać się osobliwe stygmaty. Na jej czole ukazał się krwawy krzyż i widniał tam przez trzy tygodnie. Potem jeden z diabłów, Balaam, oświadczył, że ponieważ go wypędzają, naznaczy swym imieniem lewą rękę zakonnicy. Joanna zaczęła wić się po posadzce na brzuchu. Piersi i język obrzmiały jej w sposób widoczny. Wzywała na pomoc św. Józefa. Potem - jak zeznał pod przysięgą naoczny świadek, angielski dramaturg Thomas Killigrew: „ujrzałem, jak na jej ręce pojawia się barwna plamka - różowawa - tuż obok żyły i powiększa się do wielkości około 3 centymetrów; ukazuje się na niej wiele czerwonych punkcików, z nich zaś powstaje wyraźne słowo. Było to imię, które powtarzała - Józef.

W swych *Diabłach z Loudun* (1952) Aldous Huxley wspomina o imionach Jezusa, Maryi i św. Franciszka Salezego, które pojawiały się „najpierw j askrawoczerwone, po tygodniu lub dwóch zazwyczaj bladły, ale potem anioł stróż matki Joanny ponownie je zapisywał. Powtarzało się to w regularnych odstępach od zimy 1635 roku do dnia św. Jana w 1662 roku. Potem imiona zniknęły na dobre".

Opętanie matki Joanny zakończyło się w 1637 roku, gdy - bliska śmierci po trwających tydzień gwałtownych torsjach - miała wizję św. Józefa, który położył na niej swe ręce. „Potem odzyskałam zmysły i zostałam całkowicie uleczona" - napisała w swej *Autobiografii*. Sławna jako „chodząca relikwia", Joanna odbywała podróże skąpana w blasku chwały. Król, królowa i kardynał Richelieu oglądali imiona na jej ręce - podobnie jak prawie wszyscy mieszkańcy Paryża. Osiemnaście godzin dziennie matka Joanna przesiadywała w swoim pokoju w Hotel de Laubardemont, wymachując przez okno ręką ze stygmatami, by tłum na ulicy mógł je zobaczyć. Potem przeorysza wróciła wreszcie do Loudun, do ciszy i zapomnienia.

Wilson uważa to za klasyczny przykład rozszczepienia osobowości i wysuwa hipotezę, iż stygmaty Joanny można wyjaśnić dermografią. Jest to stan chorobowy, gdy skóra staje się tak wrażliwa, że każde draśnięcie jej powierzchni powoduje znaki, widoczne nawet na odległość - podobne do poparzenia pokrzywą, jednak bez przykrego swędzenia. Jeśli chodzi o Joannę, jej reakcje były zapewne szczere, lecz być może - świadomie lub bezwiednie - sama kreśliła litery palcem prawej ręki (była praworęczna, imiona zaś pojawiały się na jej lewej ręce).

Można odnieść wrażenie, że w dawnych wiekach roiło się w Europie od histerycznych masochistów - ale nie było wówczas telewizji, książek też nie za wiele, w zimie zaś po osiemnaście godzin na dobę panowała ciemność lub półmrok. Jakże lepiej można było spędzić te puste godziny niż na rozpamiętywaniu przemawiających do wyobraźni scen Męki Pańskiej? W dodatku takie zajęcie wiodło prosto do nieba! Wówczas - być może - u tych, którzy skoncentrowali się ze szczególną mocą, pozostawały na ciele fizyczne ślady tych medytacji - na przykład stygmaty.

Uzdrowicielskie cuda Ojca Pio

W późniejszych już czasach równie silne zainteresowanie ogólne wywołały uzdrowienia oraz inne cuda związane z osobą włoskiego kapucyna, Francesca Forgione - lepiej znanego pod imieniem Ojca Pio z Pietrelciny (1887-1968).

Był on synem ubogich mieszkańców Neapolu, którzy nazwali go na cześć św. Franciszka - co wzmocniło jeszcze jego powołanie religijne. Wstąpił więc do zakonu franciszkanów w 1915 roku i przybrał imię „Ojciec Pio". Wkrótce okazał się „kłopotliwym nabytkiem". Często chory, skłonny do popadania w ekstazę Pio praktykował skrajne umartwienia poszcząc i spędzając długie godziny na modlitwie.

We wrześniu 1915 roku, w tym samym tygodniu, w którym przed siedmioma wiekami św. Franciszek został naznaczony

stygmatami, Pio odwiedził swych rodziców w Pietrelcinie. 20 września modlił się w ogrodowej szopie i nagle wybiegł stamtąd wymachując rękami, jakby opędzał się od roju pszczół. Szpileczki bólu w jego rękach zniknęły, ale w ciągu następnych miesięcy Pio większość czasu spędzał samotnie w pobliskiej wieży. Sąsiedzi słyszeli dobiegające stamtąd stuki, łomoty i krzyki. Ojciec Pio wyznał później, że walczył wówczas z demonami, które „rzucały się na mnie, przewracały na ziemię, zadawały gwałtowne ciosy, ciskały poduszkami, księgami i stołkami - i przeklinały mnie w najohydniej szy sposób".

Gdy podczas I wojny światowej powołano go do wojska, Ojciec Pio schronił się u kapucynów (jest to zgromadzenie franciszkańskie o najsurowszej regule). Wysłali go do ustronnego klasztoru w San Giovanni Rotondo w górzystym regionie Gargani na południu Włoch.

20 września 1918 roku, po trwających (z przerwami) przez osiem lat bólach w rękach, nogach i boku, Pio po mszy klęczał samotnie, wpatrując się w statuetkę przedstawiającą ukrzyżowanego Jezusa. (Zachowała się ona do dziś - jest wyjątkowo krwawa). Inni bracia zakonni usłyszeli krzyki Ojca Pio. Wrócili pędem do kościoła i ujrzeli krew płynącą z głębokich ran na jego rękach i nogach, i przeciekającą przez habit - najwyraźniej z rany po lewej stronie klatki piersiowej. Rany te nigdy się nie zabliźniły. Przez następne pięćdziesiąt lat jego życia to zasklepiały się chwilowo, to znów krwawiły - ani razu jednak nie nastąpiło zakażenie.

„Wystawcie sobie, jakiego doświadczyłem bólu i jaki nadal znoszę każdego dnia - pisał Ojciec Pio po latach. - Rana w okolicy serca krwawi nieustannie, najsilniej od czwartkowego wieczora do soboty. Umieram z bólu i wstydu, jakiego przyczyniają mi te rany..".

Ojciec Pio nagle stał się sławny, nie tylko z powodu stygmatów, ale z racji uzdrowień i innych niezwykłych mocy, jakie mu przypisywano. Londyński „Daiły Mail" (z 19 czerwca 1921 roku) entuzjazmował się:

Niezwykłe sceny rozgrywają się na oczach świadków w Foggii [miasto w najbliższym sąsiedztwie San Giovanni Rotondo] każdego dnia. Wieśniacy chcą spowiadać się wyłącznie u pewnego młodego zakonnika i nie zgadzają się, by kto inny udzielał im komunii świętej. Wskutek tego większość braci zakonnych nie ma nic do roboty, a młodego franciszkanina oblegają tłumy, wpatrując się z podziwem w znaki widoczne na jego dłoniach, obutych w sandały stopach i na czole.

Kościół utyskiwał, a medyczni eksperci przyjechali na oględziny. Niektórzy zdumiewali się, gdy wetknięte z dwóch stron palce spotykały się pośrodku rany w dłoni Ojca Pio. Jego krew miała przyjemny zapach, a skóra wokół rany nie była uszkodzona. Inni zarzucali zakonnikowi oszustwo, histerię, autohipnozę, nawet czynili zeń satanistę. Otoczono go szpiegami. Pewien arcybiskup orzekł, że rany powstały pod wpływem karbolu i wody kolońskiej. Wykonano jednak mnóstwo fotografii stygmatów, zarówno oficjalnie, jak i nieoficjalnie. Żyje również do dziś wielu ludzi, którzy widzieli na własne oczy stygmaty Ojca Pio.

Podjęto energiczne działania. 5 lipca 1923 roku W Acta apostolicae sedis (Aktach Stolicy Apostolskiej) odnotowano wyrok Świętego Officjum: „Nie zostało udowodnione, by zjawiska kojarzone z osobą pobożnego kapucyna, ojca Pio... były pochodzenia nadprzyrodzonego". W 1926 i ponownie w 1931 roku, publikacje o Ojcu Pio znalazły się na kościelnym indeksie. Nikomu nie wolno było odwiedzać go ani pisać doń listów. Ojcu Pio zabroniono wszelkiej korespondencji, publikowania artykułów, udzielania wywiadów. Przez pewien czas nie mógł nawet spowiadać, ani odprawiać publicznie mszy. Próba przeniesienia go z San Giovanni Rotondo w inne miejsce nie powiodła się, gdyż okoliczna ludność zagroziła, że użyje siły w obronie swego duszpasterza.

Ojca Pio czczono nie tylko z racji jego stygmatów i niezmordowanej posługi kapłańskiej (spędzał po osiemnaście godzin pod rząd w konfesjonale!), ale z powodu tajemniczych, paranormalnych zjawisk, które wiązano z jego osobą. Podobno uzdrawiał na odległość. Zdarzały się też rzekomo przypadki bilokacji. Tajemniczo pojawiał się w różnych częściach Europy, pomagając ludziom w jakiejś trudnej sytuacji - choć fizycznie nigdy nie opuszczał San Giovanni Rotondo. Nieraz takim odwiedzinom towarzyszyła wyraźna, słodka woń. Kiedy zadawano mu na ten temat pytania, Ojciec Pio mrugał i żartował: „Ach, te miniwizje i głosy!".

Pewne polskie małżeństwo napisało do Ojca Pio z Anglii w jakiejś prywatnej sprawie. Nie otrzymawszy odpowiedzi małżonkowie wyruszyli do San Giovanni Rotondo. Podczas podróży zatrzymali się w obskurnym hoteliku - ale w zajmowanym przez nich pokoju coś słodko pachniało. Spotkawszy się z Ojcem Pio przeprosili go, iż przybywają bez uprzedzenia, ale pisali do niego i nie otrzymali odpowiedzi. Pio odparł z oburzeniem; „Dlaczego uważacie, że nie odpowiedziałem? Czyż tego wieczora w gospodzie nic nie czuliście, żadnego zapachu?".

John McCaffery, szef operacji specjalnych w Europie podczas II wojny światowej, spotkał w pociągu do San Giovanni

Rotondo rolnika z okolic Padwy, który zwierzył się, że po wojnie miał wypadek, w wyniku którego nastąpił zator obu płuc. Wiedząc, iż grozi mu śmierć, modlił się, żeby „ktoś godniejszy od niego" wstawił się za nim. Ujrzał wówczas „coś w rodzaju zjawy: przy moim łóżku stanął brodaty mnich. Pochylił się nade mną i położył mi rękę na piersi, uśmiechnął się, a potem zniknął".

Chory poczuł, że został uleczony - i tak też było. Nie wspomniał nikomu prócz swej matki o tym, jak to się stało. Kilka miesięcy później, w Padwie, na ścianie domu, który odwiedził, ujrzał fotografię tego samego mnicha. Dowiedziawszy się, iż jest to Ojciec Pio, udał się prosto do Foggii, na ranną mszę odprawianą przez tego zakonnika; potem zaś poszedł wyspowiadać się u niego. Wówczas Ojciec Pio, choć przybysz nie zdradził swej tożsamości, zapytał: „Powiedz mi, jak tam płuca? Zdrowe już? (Zadał mu to pytanie najzwyklejszym w świecie tonem). Zrobiłeś prześwietlenie?".

Miał podobno trudny charakter; wielu uważało, że jego własne zmagania z demonami uczyniły zeń niezrównanego egzorcystę. Ponadto niektórzy byli zdania, iż jego wnikliwość podczas spowiedzi graniczy z jasnowidztwem. Gdy odkrył, że powoduje kimś pycha lub pusta ciekawość, odmawiał rozgrzeszenia lub nawet wyrzucał taką osobę, nie szczędząc wyzwisk. Zdarzało się, iż dał komuś w twarz lub po uszach. Wielu się go bało. Mimo to kolejki do konfesjonału, w którym spowiadał, były długie, niekiedy penitenci musieli czekać na spowiedź kilka dni. W jedynej mszy, którą pozwalano mu codziennie odprawiać - o piątej rano - uczestniczyły zawsze tłumy.

Cierpienia fizyczne Ojca Pio wzmagały się z wiekiem. W końcu był przykuty do fotela inwalidzkiego. W ostatnim roku życia stygmaty zaczęły blednąc, a całkowicie zniknęły 23 września 1968 roku, w dniu jego śmierci. Na mszę żałobną przybyli nie tylko kardynałowie i biskupi, ale także setki tysięcy wiernych. Słynny słodki zapach wypełnił kościół, w którym wystawiono na katafalku zwłoki Ojca Pio.

Błyskotliwy Clemente Dominguez

Inny stygmatyk, który od niedawna sprawia Kościołowi kłopoty, to ktoś całkiem odmiennego pokroju niż Ojciec Pio. Rany hiszpańskiego wizjonera i samozwańczego „papieża", Clemente'a Domingueza, regularnie broczą we wszystkich pięciu punktach stygmatycznych; krew płynie też z obrażeń na czole. Być może rany te są autentyczne (często je fotografowano), choć wydaje się, że wystąpiły dopiero w następstwie niezwykle rozreklamowanych wizji Najświętszej Maryi Panny. Być może są także następstwem wypadku samochodowego w 1976 roku, w którym Dominguez stracił wzrok. Jednak charakter tego wizjonera jest równie nieobliczalny, jak wielu „duchowych przywódców" różnych sekt, a przebieg kariery Domingueza wyraźnie wskazuje na to, iż uznanie tych stygmatów za dowód jego głębokiej wiary byłoby wyjątkową naiwnością.

Młodzieńczy zapał religijny Clemente'a nie został uwieńczony święceniami kapłańskimi (zawinił jego nieobliczalny charakter i skłonności homoseksualne). Podjął więc pracę w Towarzystwie Ubezpieczeniowym Archanioła Rafaela (a jakże!) w Sewilli. Zdumiewająca kariera Domingueza jako odszczepieńczego biskupa i papieża-samozwańca rozpoczęła się w 1968 roku, gdy miał dwadzieścia dwa lata.

Właśnie wówczas na wzgórzu za miastem Palmar de Troya (niedaleko Sewilli), dwie piętnastolatki ujrzały rzekomo Najświętszą Pannę. Biorąc pod uwagę częstotliwość wizji Maryjnych wśród andaluzyjskich dziewcząt, można przypuszczać, że „widzenie" szybko poszłoby w niepamięć, gdyby nie to, że wzgórze sąsiadowało z posiadłością ziemską, należącą do dziewięćdziesięciotrzyletniej baronowej de Castiiio Chirel. Pełniła ona funkcję skarbniczki skrajnie prawicowego ugrupowania polityczno-religijnego, a jej fascynacja wizjami sprawiła, iż - ku przerażeniu rodziny - w testamencie przeznaczyła siedemnaście milionów peset na budowę świątyni na wzgórzu. Gdy baronowa zmarła, zjawiło się aż sześciu ambitnych wizjonerów i rozpoczął się wyścig do worka ze złotem. Tę szóstkę stanowili: czterej księża, chłopiec imieniem Pepito i - Clemente Dominguez.

Przez dwa lata tysiące widzów napawało się spektakularną rywalizacją wizjonerów, którzy - chcąc prześcignąć rywali - podawali coraz bardziej wymyślne opisy swych spotkań z Madonną, a niekiedy również z Chrystusem, aniołami i rozmaitymi świętymi. Clemente pobił konkurencję na głowę. Odrzucony niegdyś przez oficjalny Kościół, założył teraz swój własny. Po spotkaniach z Maryją Panną regularnie cytował jej najnowsze słowa krytyki pod adresem Watykanu.

Do Clemente'a dołączyli dwaj jego dawni kochankowie: Carmelo, tancerz flamenco, i Manuel Alonso, który niegdyś pracował również w Towarzystwie Ubezpieczeniowym Archanioła Rafaela, teraz zaś został dyrektorem handlowym przedsięwzięcia Domingueza. W kwietniu 1971 roku na czole Clemente'a pojawiła się rana w kształcie krzyża. Dominguez utrzymywał, że Jezus napiętnował go tak krwawiącym krucyfiksem. Bujda? Z całą pewnością, ale nie zaszkodziła mu w

oczach wyznawców.

Zimą 1974 roku sprawy przybrały jeszcze dziwniejszy obrót. „Trzej Bracia Miłośnicy" (jak nazywano w okolicy Manuela, Carmela i Clemente'a) polecieli do Rzymu, by obwieścić wietnamskiemu arcybiskupowi imieniem Petrus Ngo-dinh-Thuc, iż Najświętsza Maryja Panna pragnie z nim porozmawiać w Palmar de Troya. Arcybiskup Thuc odznaczał się szczególnym uwielbieniem dla Maryi (nasza trójka musiała chyba o tym wiedzieć?), spakował więc zaraz manatki i ruszył w drogę. Na miejscu dowiedział się, że Maryja życzy sobie, by niezwłocznie wyświęcił trójkę przyjaciół na księży, a wkrótce nadał im godność biskupów. Tak się też stało, z zachowaniem całego należnego ceremoniału, w dniu 11 stycznia 1975 roku Clemente został więc biskupem Femando, Manuel - biskupem Isidoro, Carmelo zaś - biskupem Eliasem.

Następnie Clemente, w uroczystym biskupim stroju, stanął przed Buenoy Monreal, arcybiskupem Sewilli, który przed laty odmówił mu święceń kapłańskich. Kardynał Bueno poinformował o wydarzeniu Watykan. Trzy dni później ekskomunikowano nowych biskupów (a Thuc popadł w niełaskę). Było już jednak za późno. Wyświęcenie odbyło się w sposób zgodny z prawem i było legalne. Nakładając ręce na trzech młodzieńców - według starożytnego i obowiązującego nadal rytuału - Thuc obdarzył kościelną mocą i autorytetem Clemente'a i jego „Braci Miłośników". Byli biskupami (niebawem sami nadali sobie godność arcybiskupów!) Kościoła katolickiego. Clemente nie zwlekał z wyciągnięciem z tego korzyści, budując własny „Watykan" u podnóża Wzgórza Chrystusa Króla. Była to chwiejna prowizorka wsparta na rusztowaniach i ozdobiona zielonym, falistym plastikiem. Rzym nie mógł nic na to poradzić. I choć 29 marca 1976 roku Clemente stracił wzrok w wypadku samochodowym, nie powstrzymało go to w rozpędzie. W latach 1975-1979 wyświęcił trzystu nowych biskupów, przeważnie młodych i przystojnych, z których siedemdziesięciu „zamieszkało przy katedrze".

Co noc i przez całą noc odbywały się rytualne przedstawienia. Maryja upominała pogrążonego w transie Clemente'a, by nowo mianowanym biskupom zapewnił pożywienie i dach nad głową. „Potrzeba mi krzepkich biskupów" - wyjaśnił Clemente. Jego duchowe zalecenia stawały się coraz bardziej dziwaczne. Palenie tytoniu było mile widziane (Clemente nie wypuszczał papierosa z zębów). Brody natomiast jednego dnia były dozwolone, a następnego wszystkim polecano je zgolić. Steki i wino były zawsze w jadłospisie, ale czekolada, różne słodycze i sery raz były na indeksie, innym razem wręcz odwrotnie.

Transy Domingueza stawały się coraz bardziej dramatyczne. Efektem jednego z nich był dokument głoszący, iż nadeszły „czasy ostateczne" (chwyt wykorzystywany do obrzydliwości przez wszystkie sekty). Kiedy indziej okazało się, że Clemente powinien zasiąść na papieskim tronie po Pawle VI. Dominguez ogłosił generała Franco „świętym męczennikiem" za jego walkę z komunizmem, kanonizował sześćdziesięciu najaktywniejszych faszystów, obłożył klątwą „mahometan, masonów, króla Anglii Henryka VIII i szatańską Drugą Republikę Hiszpańską". Co noc, wśród ciągnących się w nieskończoność „ceremonii pokutnych" biskupi Clemente'a modlili się w intencji papieża Pawła VI. Maryja Panna oznajmiła im bowiem, iż tajne sprzysiężenie satanicznych kardynałów ubezwłasnowolniło papieża, zatruwając jego wino mszalne. Paweł VI obłożył ekskomuniką Clemente'a i jego zwolenników, gdyż „nie był sobą". Tak czy owak, Clemente jest obecnie papieżem Grzegorzem XVIII i świetnie prosperuje. Pielgrzymi zjeżdżający się całymi autokarami sprawili, że skarbiec „Watykanu" pęcznieje. Czuwa nad nim arcybiskup Isidoro, jedyny z „Braci Miłośników", który nie miewa wizji Maryjnych ~ prawdopodobnie nie starcza mu na to czasu: bez przerwy liczy forsę.

Stygmaty podobno pojawiają się na ciele Clemente'a podczas „ceremonii pokutnych". Same tylko konwersacje z Maryją Panną trwają po trzy godziny. Krzyż na czole Domingueza budzi pewne wątpliwości, lecz tradycyjne rany stygmatyczne (włącznie z raną w sercu - ferita - i cierniową koroną) - sądząc z fotografii - wyglądają na autentyczne. Mimo to, jak podkreślono w artykule opublikowanym w 1979 roku na łamach „Fortean Times", samo wystawianie ran na pokaz wystarczyłoby Watykanowi do uznania ich za diabelski omam - gdyby władzom kościelnym zależało na dostarczeniu Clemente'owi darmowej reklamy.

Clemente Dominguez nadal kieruje swym odszczepieńczym „Watykanem" - i broczy krwią tak, jak tylko potrafi rasowy aktor - co oczywiście nie znaczy, że aktor nie może się naprawdę skaleczyć.

Przypadek Elżbiety K.

Inny znaczący przypadek z naszego stulecia. „Elżbieta K." (1902-?). Była to Austriaczka, która w 1928 roku została pacjentką niemieckiego psychiatry Alfreda Lechlera - akurat w okresie kontrowersji na temat Teresy Neumann.

Elżbieta, pochodząca z rodziny neurotyków, przejawiała skłonności somnambuliczne. Gdy miała sześć lat, jej matka

zmarła. Potem despotyczna macocha zmieniła życie dziewczynki w piekło. Szesnastoletnia Elżbieta zapadła na influenzę, która sro-żyła się w Europie po zakończeniu I wojny światowej (i zabiła więcej ludzi niż ta wojna). Dziewczyna wyżyła, ale zaczęły dokuczać jej kurcze w kończynach i niekontrolowane drżenia głowy, prawego ramienia i nogi.

Leczenie hipnozą i praca z dala od domu wpłynęły dodatnio na stan jej zdrowia, ale macocha zażądała, by Elżbieta wróciła. Spowodowało to u dziewczyny najpierw bóle głowy, mdłości i zaburzenia wzroku, potem zaś paraliż prawej strony ciała. Nie mogła usiąść, poruszać głową ani mówić. Cierpiała na dolegliwości gastryczne i odmawiała przyjmowania pokarmu, trzeba więc było karmić ją. Zwrócono się w jej sprawie do dr. Lechlera, ten zaś dał Elżbiecie pracę w swoim domu. Okresowa terapia hipnotyczna poskutkowała, choć dziewczyna miała skłonność do przejmowania objawów każdej choroby, o której zasłyszała. W Wielki Piątek 1932 roku była na odczycie z przezroczami na temat Męki Pańskiej. Czuła wyraźnie ból, jaki zadawano Chrystusowi, przebijając gwoździami jego ręce i nogi. Wróciwszy do domu dr. Lechlera poskarżyła się na to. Lechler (chyba niezgodnie z etyką?) postanowił przeprowadzić eksperyment: wywołać stygmaty drogą sugestii hipnotycznej. Polecił Elżbiecie, by wyobraziła sobie, że ktoś wbija prawdziwe gwoździe w jej ręce i nogi.

Ocknąwszy się z transu Elżbieta niczego nie pamiętała, ale nazajutrz, w Wielką Sobotę, jej dłonie były zniekształcone czerwonymi, nabrzmiałymi znakami wielkości grosza, a ze skóry otaczającej te znamiona sączył się bezbarwny płyn. Lechler uspokoił Elżbietę, wyjaśnił jej, co zrobił, i obiecał spowodować zniknięcie ran - przedtem jednak chciał, by wyraziła zgodę na dalsze eksperymenty. Dziewczyna zgodziła się. Doktor poprosił ją, by - nie wpadając w trans - wyobraziła sobie krwawe łzy, które widziała na fotografii Teresy Neumann. Po kilku godzinach Elżbieta stanęła przed Lechlerem: spod powiek wypływała jej krew i ciekła po policzkach. Doktor sfotografował ją i poddał sugestię, by krwotok się zakończył - tak się też stało. Również rany od gwoździ zniknęły w ciągu dwóch dni.

Lechlerowi bardzo zależało na rezultatach - pragnął bowiem wykazać, że powstawanie stygmatów jest procesem psychologicznym. Zasugerował więc następnie zahipnotyzowanej Elżbiecie, iż ma na głowie cierniową koronę. Gdy musnął lekko palcami jej czoło, szarpnęła się, jakby zadał jej ból. Następnego dnia czoło pokrywały nieregularne ranki. Zgodnie z sugestią, sączyła się z nich krew. Kiedy zaś zahipnotyzowana Elżbieta usłyszała, że jest Jezusem dźwigającym krzyż, następnego dnia jej prawe ramię było spuchnięte i zaczerwienione. Obrażenia i ból znów szybko minęły dzięki poddaniu dziewczynie właściwej sugestii.

Późniejsze eksperymenty przeprowadzone w maju i w sierpniu 1932 roku ponownie spowodowały krwawienie z rąk, nóg, oczu i czoła, będące skutkiem hipnotycznej sugestii - co wskazywało na możność kontrolowania „spontanicznie" powstających stygmatów. Wyglądało na to, że stygmatycy to mistrzowie autohipnozy, którzy wizjom powstającym w ich umyśle nadają kształt fizyczny. Lechler podbudował jeszcze tę teorię, każąc Elżbiecie (znów zahipnotyzowanej) wyobrazić sobie, iż jest świadkiem ukrzyżowania. „Rezultat był zawsze ten sam - pisze Lechler. - Po zahipnotyzowaniu Elżbieta widziała, co się działo, a wyraz jej twarzy i ruchy ciała świadczyły o głębokich przeżyciach".

Zakładając, że Elżbieta nie oszukiwała (choć byłoby to całkiem zrozumiałe: nie chciała wracać do domu), przypadek jej dowodził, iż intensywa koncentracja myśli na najbardziej okrutnych momentach Męki Pańskiej (już od XIII wieku powstawały krwawe dzieła plastyczne o tej tematyce) odgrywa znaczącą rolę w powstawaniu zmian na ciele, co zdarza się wielu stygmatykom, od św. Franciszka po Ojca Pio i innych, bardziej nam współczesnych. Wyobraźnia może (dosłownie!) spowodować zmianę reakcji chemicznych w organizmie, tak iż odbije się na nim w sposób fizyczny stan zasugerowany przez umysł.

Pytanie: czy umysł góruje nad materią?

Jeśli założymy, że stygmaty rzeczywiście się pojawiają, nasuwa się pytanie: u kogo i dlaczego? Jakie siły są w to zaangażowane? Jakie jest ich pochodzenie?

Warto rozpatrzyć pięć czynników. Pierwszym i najbardziej oczywistym jest fakt, iż większość znanych przypadków dotyczy katolickich zakonnic, intensywnie koncentrujących się na tradycyjnym wyobrażeniu mąk ukrzyżowanego Chrystusa. Przeważnie są to dominikanki lub franciszkanki. Surowe reguły zakonu wymagają od nich wielkich wyrzeczeń - i zapewne przyciągają jedynie osoby skłonne z natury do samoumartwień. Świeccy stygmatycy na ogół także są pobożnymi chrześcijanami.

Po drugie, stygmaty pojawiają się znacznie częściej u kobiet niż u mężczyzn. Dawniej proporcja wynosiła około siedmiu stygmatyczek na jednego stygmatyka. Zastanawiające, że w ostatnich latach ten stosunek wynosi około 2: l. Tak więc, w

porównaniu z dawnymi czasami, jest obecnie znacznie więcej mężczyzn-stygmatyków. Dlaczego?

Trzecim czynnkiem jest fakt, iż w wielu przypadkach stygmaty wystąpiły po długotrwałej chorobie, która często przykuwała pacjentów do łóżka (Teresa Neumann, Dominika Lazzari, Luiza Lateau i in.). Następująca po tym stygmatyzacja może łączyć się z takimi zjawiskami, jak odmawianie przyjmowania pokarmów, nadwrażliwość (hyperaesthesia) i skrajny masochizm. Nawet jeśli nie występują żadne inne anomalie, prawie wszyscy stygmatycy mają na swym koncie poważne urazy psychiczne lub fizyczne. Jane Hunt była głucha do szóstego roku życia, a po wyjściu za mąż miała kilka poronień. Życie Heather Woods było prawdziwym piekłem. Nie są to bynajmniej wyjątki. Na przykład, angielska nauczycielka Teresa Higginson (1844-1905; nazwano ją tak na cześć św. Teresy z Avila) rzuciła się do tracznego dołu, gdy zmarł jej młodszy brat. Potem jako nastolatka umartwiała się, pościła i często chorowała. Stygmaty pojawiły się u niej na Wielkanoc 1874 roku. W tym samym roku została zwolniona z pracy, podobno w związku z dziwnymi zjawiskami typu poltergeista. Ethel Chapman (1921-1980) straciła ojca, gdy była jeszcze mała, potem zaś dowiedziała się, że jej mąż jest bigamistą z czworgiem dzieci. Pojawiły się u niej symptomy stwardnienia rozsianego. W 1974 roku czytała z ilustrowanej Biblii historię Męki Pańskiej i zaczęły wówczas krwawić jej dłonie.

Po czwarte, stygmaty są przeważnie poprzedzone jakąś wizją lub bardzo żywą kontemplacją świętego wizerunku albo obrazu przedstawiającego Mękę Pańską. Cloretta Robinson z Oakland czytała o ukrzyżowaniu Chrystusa, zanim zaczęła broczyć krwią. Ojciec Pio modlił się przed statuetką przedstawiającą krwawiącego Chrystusa na krzyżu. Jane Hunt ujrzała Jezusa w nocy, zanim zaczęła krwawić. Święty Franciszek przeżywał ekstatyczną wizję, gdy pojawiły się na jego ciele stygmaty. O ranach na swym czole Dominika Lazzari powiedziała: „W nocy podeszła do mego wezgłowia przepiękna pani i włożyła mi koronę na głowę". Anna Katarzyna Emmerich (1774-1824) ujrzała swego „Boskiego Oblubieńca w postaci młodziana spowitego promienną poświatą; zbliżył się ku mnie, trzymając w prawicy koronę z cierni".

Tego rodzaju przeżycia, zazwyczaj tak intensywne, że aż wyczerpujące, wydają się bezpośrednio związane ze zmianami na ciele tych osób, wywołanymi żywą wizją tragicznej Męki Pańskiej lub innymi ogólnie znanymi opowieściami religijnymi. Nieważne, czy są one historycznie prawdziwe. Istotna jest tylko intensywna koncentracja na tym obrazie - i wiara.

Po piąte: do czasów św. Franciszka prawie nic nie wiedziano o stygmatach.

Thurston zauważa: „Dopiero wówczas... gdy rozeszła się wieść o niezwykłym zjawisku, występującym w ostatnich latach życia anielskiego św. Franciszka... zaczęły występować inne niekwestionowane przypadki stygmatów u całkiem prostych ludzi... Św. Franciszek przyczynił się do powstania »kompleksu ukrzyżowania" udowodniwszy, iż możliwe jest fizyczne uczestnictwo w cierpieniach Chrystusa poprzez noszenie na swych rękach, nogach czy boku śladów jego ran..." Thurston dodaje: „Wytworzyła się w gruncie rzeczy istna obsesja na tym tle wśród osób pobożnych; do tego stopnia, że u sporej grupki wyjątkowo wrażliwych sama myśl o tym przybierała postać fizyczną".

Thurston wyciąga więc wniosek: „Wszystko to zdaje się świadczyć o tym, że stygmaty są raczej efektem autosugestii niż wynikiem działania jakiejś przyczyny zewnętrznej, bez względu na jej charakter". Zadaje również pytanie, dlaczego kobiety wykazują większą podatność niż mężczyźni? Thurston przyznaje wprawdzie, że wydarzenia z okresu I wojny światowej dowiodły, iż „histeria nie jest - jak poprzednio uważano - chorobą wyłącznie kobiecą", jednak sprytnie unikając tego terminu stwierdza, że stygmaty nie są wynikiem wyjątkowej świętości, lecz objawem nadwrażliwości nerwowej, którą można częściej zaobserwować u kobiet niż u mężczyzn".

Inne możliwe wyjaśnienie podajemy niżej.

Dodatkowy czynnik wiąże się z oszustwem i chęcią zwrócenia na siebie uwagi. Istnieje wiele niewątpliwych przypadków tego rodzaju. Między innymi można tu wymienić Magdalenę de la Cruz (1487-1560), która w 1543 roku, obawiając się śmierci w stanie grzechu, wyznała, że sama zadawała sobie rany. Maria de la Yisitacion (ur. w 1566 roku) została schwytana na gorącym uczynku, gdy malowała sobie stygmat na dłoni. Do oszustek należy zapewne także Palma Matarelli (1825-1888), której nie udało się zwieść papieża Piusa IX.

„Żywię przekonanie, że orzeczenie »oszustwo« - udowodnione wszakże w bardzo wielu przypadkach - stanowi najbardziej wiarygodne, uniwersalne rozwiązanie zagadki stygmatów". Tak twierdzi Joe Nickell. A jednak, jeśli tak przedstawia się prawda, czemu niektórzy stygmatycy - od Lukardis z Oberweimaru do Luizy Lateau czy Dominik! Lazzari, posuwają się tak daleko w okrutnym samoudręczeniu, po to tylko, by kontynuować owo „oszustwo" - choć ból i cierpienie, które znoszą, są autentyczne, ekstremalne i długotrwałe?

I co począć z takimi przypadkami jak Benedetta Carlini (ur. w 1590 roku)? Uwięziono ją pod zarzutem oszustwa i skłonności lesbijskich. Z całą pewnością sama zadawała sobie rany, by powstały „stygmaty". Równocześnie fingowała objawy

rozszczepienia osobowości (między innymi powołując do życia lubieżnego nieco cherubinka imieniem Sataniello). A jednak, mimo wszystkich tych oszustw, była istotnie (co zostało dowiedzione!) źródłem autentycznych, paranormalnych zjawisk.

Twierdzenie, że jedynym słusznym wyjaśnieniem jest „oszustwo", prowadzi do powierzchownego osądu w kategoriach „czarne-białe". Spytajmy przede wszystkim: co skłania oszusta do popełniania tego przestępstwa? Obecnie osoby poddane hipnozie snują rzekome wspomnienia, dotyczące poprzednich wcieleń, porwań przez kosmitów lub seksualnej przemocy ze strony satanistów - potem zaś okazuje się, iż nastąpił „syndrom pozornej pamięci". Czy tych ludzi można nazwać oszustami?

Stygmatycy mogli reagować na niezwykle plastycznie rozgrywające się w ich wyobraźni wydarzenia Męki Pańskiej - które albo nigdy nie miały miejsca, albo wyglądały w rzeczywistości zupełnie inaczej. Nie są jednak istotne historyczne realia, ale wiara, że tak właśnie przedstawiały się te wydarzenua, wiara tak potężna, iż może wywołać poważne urazy fizyczne (lub skłonić tych ludzi do impulsywnego samooka-leczania - podobnie jak atmosfera niektórych dzisiejszych procesów w sprawie „przemocy ze strony satanistów" skłania czasem obwinionego do samooskarżeń).

Tak czy inaczej, mamy tu do czynienia z odbiegającymi od normy stanami umysłu, których pierwotną przyczyną jest jakiś wyjątkowy fizyczny lub umysłowy stres". Kolejną wskazówkę daje nam przypadek Elżbiety K. Podobnie jak wielu innych stygmatyków, nie tylko często chorowała w dzieciństwie, była tyranizowana przez macochę i cierpiała na paraliż, ale zdradzała też pewne objawy rozszczepienia osobowości - które również, jak wiadomo, jest efektem silnego stresu.

Wilson zwraca uwagę na symptomy wspólne dla stygmatyków i osób, które (jak Benedetta Carlini, utrzymująca w dzieciństwie, że prześladuje ją diabeł w postaci czarnego psa) cierpią na rozszczepienie osobowości i w związku z tym mają ataki konwulsji, pozornie tracą wzrok, odnawiają się im stare rany albo zdarzają sytuacje, gdy jedna osobowość nie ma pojęcia o działaniach drugiej. Wilson podkreśla, że Teresa Neumann w jednej chwili mogła „być" pięcioletnim dzieckiem, które nie umie rachować, a w następnym momencie znaleźć siew stanie „wyższej obojętności", kiedy mówiła o samej sobie jak o kimś obcym, w trzeciej osobie - i tak dalej.

Dawniej nazywano rozszczepienie osobowości „opętaniem przez demony". Szatan starał się opętać podobno wielu stygmatyków, począwszy od matki Joanny od Aniołów aż do Teresy Higginson i Ojca Pio. Problemy Teresy Higginson opisuje następująco jej współlokatorka;

Właśnie zasypiałam, gdy rozbudził mnie brzęk trzęsących się szyb w oknie niedaleko mego łóżka. Noc była bezwietrzna. Zaniepokoiły mnie donośne odgłosy - jakby kogoś bito po twarzy. Potem rozległy się głośne stuki. Miała miejsce jakaś szarpanina, ktoś miotał się po pokoju. Następnie drzwi sypialni panny Higginson zatrzęsły się gwałtownie i usłyszałam straszne, nieludzkie wrzaski...

Ojciec Pio podobnie zmagał się z „demonami", które znieważały go, przeklinały, biły i ciskały weń różnymi przedmiotmi, gdy spędzał miesiące na samotnym czuwaniu w pietrelcińskiej wieży.

Wszystko to bujda? Być może. „Demony" zawsze miały opinię kawalarzy. Bardziej istotne jednak jest to (niech mi wybaczą Nickell & Co.!), że stygmaty są dowodem - znanych od najdawniejszych czasów - powiązań umysłu i ciała. Podobnie jak osoba, na którą wskazała „wróżba z kości" aborygenów lub padła klątwa voodoo, umiera bez widocznej fizycznej przyczyny (mamy wiele współczesnych i należycie udokumentowanych przypadków tego rodzaju, nie tylko na Haiti, ale i w Stanach Zjednoczonych), tak samo u stygmatyków powstają, zdaje się, mechanizmy powodujące krwawienie, w dodatku według określonego schematu. Wielu z nich broczy krwią tylko w piątki lub jakieś konkretne święta. Co więcej, niejednokrotnie stygmatycy umierają w trzydziestym trzecim roku życia, czyli w wieku, w jakim (zgodnie z tradycją) zakończył życie Chrystus. Tak stało się w przypadku Lukardis z Oberweimaru, świętej Katarzyny Sieneńskiej, Matki Agnieszki od Jezusa (1602-1634), Magdaleny Morice (1737-1790), Dominiki Lazzari, Luizy Lateau, siostry Tomassiny Possi (1911-1945) i Teresy Musco (1943-1976. Zapowiedziała, że umrze mając trzydzieści trzy lata - i dotrzymała słowa).

Czy wszystkie te kobiety popełniły psychosomatyczne samobójstwo? A jeśli tak, to czy było to „oszustwo"?

Wilson, znowu odnotowując, iż stres zdaje się powodować krwawienie, zauważa, że stygmatycy często odczuwają zmianę stanu świadomości i wówczas, jak gdyby na skutek autohipnozy, wyjątkowo silnie reagują na historię Męki Pańskiej. Ta reakcja zdaje się wywoływać zmiany fizyczne, prowadzące do powstania stygmatów na ich ciele. Być może przyczynia się do tego podwyższone ciśnienie krwi? Komentując widoczne sukcesy nowej metody terapeutycznej, stosowanej w przypadku raka oraz innych chorób - wdrażanej po płoni ersku w Stanach Zjednoczonych przez zespół Simontona (który doradzał pacjentom, by uzmysłowili sobie siły obronne swego organizmu, zwalczające chorobę) - Wilson sugeruje, iż lepsze zrozumienie tych mechanizmów może zwiększyć szansę leczenia chorób potocznie określanych jako nieuleczalne.

W opublikowanym w 1993 roku na łamach „Fortean Times" artykule na temat syndromu Mlinchhausena (jest to zaburzenie osobowości, którego objawem bywa samookaleczanie lub symulacja choroby - jako środek pozwalający na manipulowanie otoczeniem lub zwrócenie na siebie uwagi), Jim Schnabel podsuwa myśl, że występowanie stygmatów może być związane z podobnym typem osobowości. Sugeruje też, iż tak jak szamani lub tzw. okaleczeni uzdrowiciele, stygmatycy bywają zazwyczaj lekceważonymi albo pozbawionymi wpływów członkami społeczeństwa, którzy zdobywają w nim autorytet, ciągnąc zyski ze swej niedoli. Jest również prawdopodobne (gdyż pierwotne stygmaty nigdy nie powstają w obecności innych osób), że owe początkowe rany są istotnie samookaleczeniem - świadomym lub bezwiednym - późniejsze zaś występują już spontanicznie. Takie wyjaśnienie pozwalałoby zrozumieć, dlaczego tradycyjnie większość stygmatyków stanowiły katolickie mniszki - nic nie znaczące członkinie społeczeństwa zdominowanego przez mężczyzn, dla których jedynym sposobem wyzwolenia się spod ich władzy i uzyskania prawa do udziału w „społeczności Ciała Chrystusowego" było odtworzenie na własnym ciele Jezusowych ran. Fakt, iż w naszym feministycznym stuleciu proporcja stygmatyczki-stygmatycy z 7: l zmalała na 2: l, może świadczyć o tym, że obecnie kobiety nie muszą już podejmować tak drastycznych środków, by zwrócić na siebie uwagę.

Dawniej, gdy na wszystkich dziełach sztuki przedstawiających ukrzyżowanie Chrystusa rany od gwoździ umieszczano na jego dłoniach, także u stygmatyków pojawiały się one w tym miejscu. Odkąd jednak stały się ogólnie znane wizerunki w rodzaju Całunu Turyńskiego, na których rany po gwoździach widoczne są na nadgarstkach, u stygmatyków zaczęły pojawiać się one również na przegubach - na przykład u pastora baptysty, Jima Bruce'a z Waszyngtonu. (W jego kościele płakały też podobno posągi Madonny).

Jeśli w stygmatach jest istotnie coś cudownego, dotyczy to przede wszystkim potęgi umysłu, który - świadomie lub podświadomie - wpływa na strukturę materii i powoduje jej zmiany. Wydarzenie to ma charakter psychologiczny a nie religijny czy teologiczny - przynajmniej wydaje się, że takie spojrzenie na to zjawisko jest sensowniejsze od któregoś z istniejących do dziś, kontrastowych i krańcowych stereotypów myślenia: albo stygmaty są cudownym dowodem Boskiej interwencji, albo wszelkie tego typu przypadki to oczywiste oszustwo. Wszystko wskazuje na to, iż stygmaty rzeczywiście się pojawiają. Jak to się dzieje i dlaczego, to już inna kwestia.

6. Chodzenie po powietrzu: lewitacje

W górę! Siostra Rosa przenika przez sufit

Udręczona włoska mniszka, znana wyłącznie jako „siostra Rosa", podobno do tego stopnia była (pod koniec lat siedemdziesiątych naszego wieku) nękana przez niewidzialnych prześladowców, że nawet doświadczeni egzorcyści uciekali w popłochu. Jeden z nich, ojciec Leone Haberstroch, oświadczył potem, iż już nigdy nie będzie odprawiał egzorcyzmów, gdyż lęka się zabójstwa przez szatana. Nieszczęśliwa zakonnica była podobno atakowana przez różne nieożywione przedmioty, które usiłowały wyrządzić jej krzywdę. Egzorcysta, don Franco Bartolomiello z Padwy (w pobliżu Wenecji), wspomniał w rozmowie z Paulem House z redakcji londyńskiego „Sunday People" (wywiad opublikowano 15 maja 1977 roku) o żelaznej sztabie, która sama odłączyła się od drzwi, przeniknąwszy ściany, zmaterializowała się w celi siostry Rosy i zaatakowała uśpioną zakonnicę. Noże kuchenne przylatywały ze stołu do jej celi i próbowały ją dźgnąć. Podczas odprawiania egzorcyzmów sznurek, schowany w kieszeni don Franca, rozwinął się, wydostał stamtąd i zacisnął wokół szyi siostry Rosy, jakby chciał ją udusić. Powszechnie uważana za „opętaną przez diabła" zakonnica atakowała stojący na ołtarzu krzyż i wykrzykiwała sprośności gardłowym, „nieludzkim" głosem. Co gorsza, miewała spontaniczne lewitacje i podobno -przenikała przez ciała stałe.

Siostry zakonne Rosy obserwowały z przerażeniem, jak mniszka unosi się, powoli podpływa pod sam sufit - i przenika przezeń!

„To niewiarygodne, ale szczera prawda - zapewniał monsignor Remigio Ragonese. Biskup Pomocniczy Stolicy Apostolskiej. - Zakonnice te są osobami wykształconymi i nie mają skłonności do fantazjowania. Opowiedziały mi, że siostra Rosa przeniknęła przez sufit. Znalazły ją piętro wyżej".

Matka przełożona klasztoru, w którym znajdowała się siostra Rosa, wezwała z Rzymu głównego egzorcystę, ojca Candido, ale - jak to określił biskup - „zło nadal triumfowało". Czyżby to szatan za pomocą telekinezy wprawiał w ruch martwe

przedmioty, by atakowały siostrę Rosę podczas snu? Sprawiał, że mniszka przenikała przez sufit?
Teoretycznie, wspomniane lewitacje siostry Rosy nie są sprzeczne z tradycją ani nauką Kościoła katolickiergo. W „La Levitation" katolicki badacz, Olivier Leroy, wymienił około dwustu trzydziestu świętych, którzy unosili się w powietrze. Byli to m.in. Franciszek z Asyżu, Teresa z Avila oraz Ignacy Loyola, założyciel zakonu jezuitów. Pokonywanie prawa grawitacji przypisywano też muzułmańskim ekstatykom, hinduskim fakirom, buddyjskim mnichom, a także sławnym mediom, takim jak D.D. Home i Eusapia Palladino oraz wszelkim szamanom. W Salem czarownica - spalona na stosie w 1692 roku - wyznała, że jest kulawa, ponieważ spadła z miotły w drodze na sabat. Szkockie „wiedźmy z Berwick" (1593 rok) i „czarownice z Pendle" w hrabstwie Lancaster (1633 rok) podobno także umiały fruwać. Całkiem niedawno zaś Fundacja Maharishi reklamowała „latających mistrzów jogi", którzy - zastygając w świętej pozycji lotosu na około 30 centymetrów nad ziemią - przyczyniali się rzekomo w ten sposób do zmniejszenia liczby popełnianych na świecie zbrodni.

Przezwyciężona siła grawitacji? A może potęga wiary? Któż bierze na serio lewitacje, oprócz łatwowiernych prostaczków, obłąkańców czy romantycznych fantastów? Z pewnością czarownice zażywały środki w rodzaju belladonny lub tojadu, wywołujące złudzenie lotu. Lewitujący święci byli naiwnymi ekstatykami, którym się tylko zdawało, że unoszą się w powietrze! A może byli zdolnymi hipnotyzerami? Co zaś się tyczy Maharashiego, nieszczęśni „fruwający adepci jogi" podali go w 1987 roku do sądu w Waszyngtonie i po wygraniu sprawy zainkasowali imponujące odszkodowanie. Teraz Maharishi próbuje swoich sztuczek w Zjednoczonym Królestwie - w bardzo stosownym miejscu, tuż obok dawnej bazy Sił Powietrznych USA, związanej z sensacyjnym pojawieniem się UFO. Wobec tego - wszystko jest już chyba jasne?

Niezupełnie.

Folklor związany z lewitacjami

W obecnej dobie całkiem pokaźna grupa ludzi, zwłaszcza w Stanach Zjednoczonych, utrzymuje, że unosząc się w powietrzu dotarła do wnętrza „latających talerzy". Sama opowieść bynajmniej nie jest nowa, zmieniła się tylko trochę jej forma. Historie o nadprzyrodzonych istotach, zabierających ziemian na improwizowane przejażdżki w przestworza, powtarzano od zarania dziejów. W starożytnych mitach można również znaleźć interesujące wzmianki nie tylko o lewitacjach, ale i o teleportacji (błyskawicznym przenoszeniu się jakiejś osoby w jej fizycznej postaci z jednego miejsca na drugie) oraz telekinezie (wprawianiu w ruch przedmiotów martwych siłą woli).

Od Gizy po peruwiańskie miasta na szczytach gór, od Baalbeku do Stonehenge, gigantyczne ruiny prowokują opowieści o tym, że zaprojektowanie i wykonanie tak masywnych konstrukcji wymagało jakiejś niedostępnej dla nas „wiedzy", opierającej się na manipulacji dźwiękiem i magnetyzmem. Jakże inaczej można byłoby ruszyć z miejsca takie olbrzymie bloki kamienne (w Baalbeku niektóre mają po ponad 20 metrów długości, a elementy Wielkiej Piramidy ważą po 70 ton!), potem zaś połączyć je ze sobą tak dokładnie, że w spoiny nie wejdzie ostrze noża? Nawet za pomocą najnowszych osiągnięć techniki trudno byłoby tego dokonać!

Cóż jednak może być bardziej niewiarygodnego niż głaz ulatujący w powietrze?

Legenda z okresu wczesnego chrześcijaństwa opowiada o tym, że Szymon Mag - tocząc przed obliczem Nerona pojedynek „na moce" z apostołem Piotrem, wzbił się w powietrze; strąciła go jednak celnie wymierzona modlitwa Piotra. W jednym z irlandzkich mitów wspomniano, iż Szymon Mag latał w kamiennej machinie, a jego uczeń, druid Mog Ruith, zabrał do swojej ojczyzny szczątek strzaskanego pojazdu. Stoi on teraz w pobliżu Tipperaryjako tzw. Skała Cleghele (Rock ofdeghele). Podobno również czarnoksiężnik Merlin wykonał gigantyczny skok z Irlandii do Stonehenge, unoszony mocą mistycznej pieśni. Zachowało się też wiele opowieści o lewitujących lub wędrujących megalitach, na przykład oksfordzkich „Toczących się Głazach". W irlandzkim hrabstwie Galway krążą znów opowieści o tym, że niegdyś „wszyscy tańczyli w powietrzu jak liście na jesiennym wietrze. Ludzie fruwali wyśpiewując zaklęcia i uderzając w czyńcie. Dyzan (hebrajski poemat, będący przekładem starej, chińskiej opowieści, która dotarła tam za pośrednictwem sanskrytu) zawiera identyczne twierdzenia. W Ugandzie Henry Staniey, podróżnik-odkrywca z epoki wiktoriańskiej, usłyszał opowieść o fruwającym wojowniku imieniem Kibaga, który gromił wroga bombardując go z powietrza kamieniami. (Przypomina to chilijską legendę o statui Maryi Panny, która w momencie ataku Indian uleciała na drzewo i stamtąd obrzucała ich kamieniami).

Opowieści tego rodzaju (na przykład o świętym Patryku i innych, którzy mocą „chrześcijańskiej magii" przezwyciężali pogańskie czary) stanowiły dobrą propagandę - ale tylko dzięki temu, że ludzie już wcześniej wierzyli w podobne moce. Mity

o lewitacjach można też uznać za ślad odległej przeszłości, gdy dysponowano wiedzą (dziś całkowicie zapomnianą), umożliwiającą unoszenie się w powietrzu.

Było tak czy nie? Niezwykła francuska odkrywczym, Alexandra David-Neel (1868-1969) podaje, że w Tybecie widziała lamę (mnicha) poruszającego się w niezwykły sposób. „Ten człowiek nie biegł, ale jakby unosił się nad ziemią skokami. Miało się wrażenie, iż jest elastyczny jak piłka i odbija się za każdym razem, gdy jego nogi dotkną gruntu. Posuwał się regularnym rytmem wahadła". Być może jest to opis „long-gom", formy poruszania się charakterystycznej dla jogów. W stanie ekstazy wyzwalają się oni z więzów przyciągania ziemskiego. W czasie takich transów ruchowych mogą pokonać olbrzymie odległości.

A dowody? W latach 1970-1973 dr David Read Barker z wydziału antropologii uniwersytetu stanu Wirginia zajmował się studiami nad kulturą ludności tybetańskiej, która uciekając przed Chińczykami schroniła się w Nepalu. Podczas dorocznego zjazdu Towarzystwa Parapsychologicznego, który odbył się w 1978 roku w Nowym Jorku, Barker opisywał, jak wiekowi kapłani buddyjscy wspinali się na strome zbocza w takim tempie i z taką łatwością, że uznał ich wyczyny za pewną formę lewitacji.

Ojciec Cepari, spowiednik włoskiej stygmatyczki Marii Magdaleny de Pazzi (1566-1607) przekazuje w biografii tej skłonnej do samoudręczeń zakonnicy, iż czasami „przenosiła się z niewiarygodną chyżością z miejsca na miejsce, wstępując na schody i zstępując z nich tak zwinnie, że wydawała się raczej ulatywać, nie tykając ziemi stopami". Wielebny L.A. Fontana zaś, spowiednik innej włoskiej zakonnicy - stygmatyczki, siostry Marii od Męki Pańskiej (Suor Maria delia Passione), zmarłej w 1912 roku, włączył do jej biografii relację jednej z sióstr zakonnych, przebywających w tym samym klasztorze, opowiadała ona, że w ostatnich dniach swego życia owa stygmatyczka była często:

tak cierpiąca, że musiała – wrócić do łóżka zaraz po przyjęciu Komunii świętej. Pewnego razu, gdy wyszłam razem z chorą, zauważyłam, iż ta sługa Boża, choć tak zbolała, wspięła się po schodach w mgnieniu oka, jakby ulatywała na skrzydłach – podczas gdy ja, ciesząc się doskonałym zdrowiem, nie byłam w stanie dotrzymać jej kroku. Różnica była wielka, wydawało mi się, że siostra Maria nie dotknęła ani razu stopą ziemi, lecz pofrunęła po schodach wiodących do jej celi.

Ambiwalencja Rzymu

Nie jest to wyłącznie problem autentyczności lewitacji ani ludzkiej wiary w ten fenomen; chodzi o społeczno-religijny kontekst tych rzekomych wydarzeń.

Protestancki racjonalizm wyklucza całkowicie możliwość takich fenomenów. Doktryna katolicka akceptuje spontaniczne lewitacje, podejrzewa jednak, że źródłem tego zjawiska mogą być złe moce (jak w przypadku siostry Rosy lub podczas wydarzeń, które rozegrały się 1949 roku w Waszyngtonie; później na ich podstawie powstał bestseller Egzorcysta). Rzym - potępiwszy wszystkie magiczne sztuki - nie może zachęcać do świadomego ich uprawiania. Islam także w stosunku do tych zjawisk przybiera ton moralizatorski. Żyjący w XII wieku irański derwisz Haydar znany był z tego, że nieoczekiwanie ulatywał na wierzchołki drzew lub dachy domów. Znacznie jednak bardziej znane od opowieści o takich jego wyczynach są historyjki opatrzone odpowiednim morałem. Oto jedna z nich.

Czarnoksiężnicy, chcąc zaimponować wyznawcy sufizmu (kierunku mistyczno-ascetycznego w łonie Islamu), poecie Jałalud-dinowi Rumi (1207-1273), spowodowali lewitacje pewnego chłopca. Świątobliwy Rumi modlił się do Allacha i chłopiec zawołał z wyżyn. „Nie mogę zejść! Coś mnie tu przygwoździło!" Dopiero wówczas, gdy Rumi przekonał czarnoksiężników, by uwierzyli w Allacha i jego Proroka, chłopiec mógł zstąpić na dół. Wniosek nasuwa się sam; takie umiejętności, choć efektowne, nie są wyrazem boskiej potęgi, lecz wymyślnymi sztuczkami.

W Indiach lewitują zazwyczaj adepci jogi, którzy rozwinęli w sobie jedną lub kilka umiejętności zwanych „siddhi" (zalicza się do nich telepatię, widzenie na odległość, różne formy jasnowidzenia, przybieranie różnych kształtów, chwilowe zatrzymanie funkcji życiowych i lewitacje). Choć uważane są za przeszkodę opóźniającą moment zjednoczenia z Absolutem, siddhi nie spotykają się z wyraźnym potępieniem - a przynajmniej nie w tym stopniu co na Zachodzie.

Oprócz tego istnieje jeszcze tradycja czarowników plemiennych, na przykład na Sumatrze, gdzie przyszły szaman musi wyróżnić się spontaniczną lewitacją; „ten, którego przeznaczeniem jest zostać kapłanem i prorokiem, nagle znika, uprowadzony przez duchy. Powraca do wsi po trzech lub czterech dniach. Jeśli się nie pojawi sam, inni wyruszają na poszukiwanie i zazwyczaj znajduj ą go na wierzchołku drzewa, gdy rozprawia z duchami. Wydaje się, iż stracił zmysły - i trzeba wówczas składać ofiary, by wrócił do przytomności".

W pierwszej kolejności rozpatrzmy jednak to, co Thurston określił jako „rzekome powietrzne ekstazy świętych". Istnieje wiele relacji na ten temat, ale - biorąc pod uwagę powściągliwość Rzymu - lewitujący asceci (podobnie jak stygmatycy) często tak są zażenowani wydarzeniem, albo tak boją się ewentualnych konsekwencji, że zarówno oni, jak i ich zwierzchnicy wyciszają całą sprawę, żeby uniknąć sporów lub potępienia. Jednak w niektórych najsłynniejszych przypadkach utrzymanie sprawy w tajemnicy okazało się niemożliwe.

Po prostu - bez względu na stanowisko Kościoła - ludzie domagają się cudów i widomych znaków. Wobec tego hagiografie (żywoty świętych) często wzbogacano wyssanymi z palca cudami - taką „fantastyką naukową" owych czasów. Im sławniejszy był święty, tym bardziej można być pewnym, że jakiś nadgorliwy biograf dorzucił przypadek lewitacji lub upiększył pierwotną wersję wydarzeń. Tak więc Franciszek z Asyżu, św. Dominik, Ignacy Loyola i Tomasz z Akwinu - trzej założyciele zgromadzeń zakonnych, istniejących do dziś, i sławny „Anielski doktor" - od czasu do czasu odrywali się podobno od ziemi.

Badając żywoty świętych Thurston rzadko znajdował świadectwa z pierwszej ręki lub porządnie udokumentowane relacje wydarzeń w oficjalnych rejestrach Kościoła. Często „dowody" składały się (i to w najlepszym przypadku!) z relacji rzekomych, naocznych świadków, uzyskanych od nich po wielu latach, gdy pamięć już ich zawodziła - przeważnie byli wówczas starzy i schorowani. Thurston tak jednak podsumował sprawę: „w tym niedoskonałym i ograniczonym dochodzeniu, jakie zdołałem przeprowadzić, wynotowałem imiona ponad dwustu osób, które w stanie ekstazy rzekomo odrywały się fizycznie od ziemi. W mniej więcej jednej trzeciej owych przypadków istnieją dowody, które - choć trudno określić jako niezbite - można uznać za co najmniej godne uwagi".

Tak więc, choć uśmiechamy się sceptycznie słysząc, że św. Franciszek wzbił się na wierzchołek buka lub też poszybował tak wysoko, iż niemal stracono go z oczu; albo św. Dominika (zm. w 1221 roku) często widywano unoszącego się ponad ziemią w momencie ekstazy. Czy wreszcie w 1524 roku w Barcelonie Ignacy Loyola „niejeden raz wznosił się 4-5 piędzi nad ziemią gdy płonął najgorętszym żarem boskiej miłości, a wonczas całą komnatę napełniało olśniewające światło" - i choć odrzucimy jeszcze mnóstwo innych relacji, zazwyczaj składanych wiele lat po opisywanych wydarzeniach - to jednak można znaleźć kilka przypadków, z którymi warto się bliżej zapoznać.

Uniesienia św. Teresy

Teresa, urodzona w hiszpańskiej miejscowości Avila, przemocą umieszczona przez ojca w klasztorze sióstr augustianek w 1531 roku, ku zdumieniu wszystkich odkryła w sobie prawdziwe powołanie zakonne. Powróciwszy do domu obstawała przy tym, że chce zostać mniszką. W 1535 roku wstąpiła do zakonu karmelitanek, ale musiała opuścić klasztor z powodu ustawicznych chorób. Przez długie lata wiodła żywot pół-inwalidki. Wreszcie w 1562 roku założyła własny klasztor w Avila. Potem zaś kierowała zarówno nim, jak i szesnastoma jego filiami. Była nie tylko żarliwą ascetką, lecz także praktyczną, dobrze znającą świat administratorką. Jej własne relacje z ekstatycznych lewitacji, zamieszczone w *Autobiografii,* zdumiewają zarówno dokładnością, jak i tym, że zostały potwierdzone przez świadków, a oryginalne dokumenty zachowano.

Stwierdziwszy wyraźnie, iż nie tylko jej duch wznosił się w czasie tych „ataków", jak je określiła, ale niekiedy podobnie rzecz miała się z jej ciałem, św. Teresa pisze:

Powtarzam; czujesz wówczas i spostrzegasz, że ulatujesz - nie wiedzieć dokąd. A choć pojmujesz, jakie to cudowne, to jednak słabość twojej natury czyni cię z początku bojaźliwym... Jest to tak męczące, iż bardzo często próbowałam się opierać z całej mocy, zwłaszcza wówczas, kiedy uniesienie ogarniało mnie wśród ludzi. Wielokroć broniłam się też będąc sama, gdyż bałam się złudzeń. Niekiedy udawało mi się, z olbrzymim wysiłkiem, nieco się przeciwstawić, ale potem byłam tak wyczerpana, jakbym zmagała się z krzepkim olbrzymem. Kiedy indziej zgoła nie mogłam się temu oprzeć; moja dusza była już hen - daleko, a prawie zawsze i moja głowa podążała za nią - nie miałam nad nią żadnej władzy - niekiedy zaś całe ciało tak pragnęło ulecieć, że odrywało się od ziemi.

W innym miejscu św. Teresa dodaje:

Wówczas, gdy próbowałam się opierać, czułam jakby jakaś potężna siła umiejscowiona pod moimi stopami pchała mnie w górę... Przyznam, iż napawało mnie to wielkim strachem, zwłaszcza z początku. Nie traci się bowiem zmysłów, gdy duch ulatuje pociągając za sobą ciało (a jeśli się nie opierać, jest to -wielka rozkosz); przynajmniej ja byłam nadal na tyle przytomna, że zdawałam sobie sprawę, iż jakaś siła unosi mnie... Kiedy zaś mijało uniesienie, moje ciało często wydawało się nieważkie, jakby zgoła pozbawione ciężaru - tak dalece, że nieraz nie czułam, jak moje stopy dotykają ziemi.

Są to jej własne słowa, przekazane do wglądu cenzorom inkwizycji jeszcze za życia świętej. Mimo iż uważała swe lewitacje za coś wstydliwego, pewnego razu podchodząc do ołtarza w klasztornej kaplicy została nagle uniesiona na oczach kilku zakonnic; zabroniła im wówczas o tym wspominać. Innym razem lewitacja nastąpiła w trakcie nabożeństwa. Święta Teresa rzuciła się na ziemię, ale mimo to uniosła się w powietrze. By oszczędzić jej publicznego upokorzenia, inne siostry zakonne otoczyły ją i skryły przed ludzkimi oczami. Święta często błagała w modlitwach, by lewitacje się skończyły - i w późniejszym okresie życia rzadziej musiała je znosić.

Podczas procesu kanonizacyjnego, wdrożonego trzynaście lat po śmierci św. Teresy, siostra Anna, zakonnica z klasztoru w Segowii, jednego z założonych przez św. Teresę, zeznała pod przysięgą, że pewnego popołudnia napotkała ją w klasztornej kaplicy i ujrzała, że „wzniosła się ona o prawie 45 centymetrów nad ziemią, tak iż jej stopy nie dotykały podłogi. Przestraszyłam się tym widokiem, ona zaś drżała na całym ciele. Zbliżyłam się więc i podłożyłam dłonie pod jej stopy. Tak trwałam płacząc jakieś pół godziny, dopóki jej uniesienie nie minęło. Wówczas Teresa nagle opadła i stanęła na własnych nogach. Zwróciwszy ku mnie twarz spytała, kim jestem i czy byłam tu przez cały czas".

Święta Teresa poleciła siostrze Annie, by nigdy nikomu o tym nie wspominała - „a ja rzeczywiście nie powiedziałam ani słowa aż do dziś" - zakończyła swą relację zakonnica.

Z dziewięciu innych świadków jeden, biskup Yepes, widział św. Teresę lewitującą w kościele po przystąpieniu do komunii. Pragnąc pozostać na ziemi, schwyciła się kraty. Kiedy indziej biskup widział, jak czepiała się leżącego na podłodze kobierca, ale mimo to uniosła się wraz z nim.

Thurston utrzymuje, że są to „absolutnie przekonywające dowody" lewitacji świętej, ale ojciec Robert Smith, autor książki Comparative Miracłes (Porównywalne cuda), wydanej w 1965 roku, odrzuca owe dowody na następującej podstawie:

1. Żadna z lewitacji Teresy nie zaszła publicznie, lecz jedynymi ich świadkami były jej siostry zakonne lub przyjaciele.
2. Choć indywidualni świadkowie twierdzili, że widzieli lewitacje, nie mamy żadnych udokumentowanych przypadków potwierdzonych równocześnie przez kilka osób.
3. Usilne starania św. Teresy, by sprawę zachować w tajemnicy, wyraźnie świadcząc tym, że jej lewitacje nie były powszechnie znane, a zatem nie mogły być należycie obserwowane.
4. Urzędnicy kościelni, którzy spisywali zeznania naocznych świadków lewitacji, uważali swe zapiski za materiały tajne i zapewne nie udostępniali ich informatorom w celu sprawdzenia zgodności zapisu z ich zeznaniami.
5. Wiele relacji na temat lewitacji św. Teresy nie pokrywa się ze sobą; niektórzy świadkowie, relacjonując kilkakrotnie wydarzenie, za każdym razem podawali inną wersję.
6. Relacje samej św. Teresy nie są wiarygodne, gdyż święta znajdowała się podczas lewitacji w zmienionym stanie świadomości, będącym wynikiem ekstazy. Nie mogła zatem wiedzieć dokładnie, co się z nią wówczas działo.

W książce *Looking for a Miracle* (W poszukiwaniu cudu) Nickell cytuje Smitha, by wykazać, jak trudno jest cokolwiek udowodnić. Światło mogło być przyćmione, przeżywająca ekstazę osoba- stać na palcach, a jej szaty mimo to dotykały ziemi. Tego rodzaju sprawozdania niekiedy wcielano do akt dopiero po latach. Rogo sugeruje, że „wiarygodność w przypadku św. Teresy wzmacnia fakt, iż inni święci także lewitowali - i to na oczach świadków". Rogo relacjonuje pokrótce przypadki Bemardina Realino (zm. w 1616 roku); Francisa Suareza (1548-1617); św. Serafima z Sierowa, rosyjskiego mistyka, zmarłego w 1833 roku; włoskiej zakonnicy Gemmy Galgani (zm. 1913 -i ona była również stygmatyczką!); OjcaPio i in. Thurston odnotowuje także wiele innych przypadków, choć niektóre z nich przytacza jako ostrzeżenie, iż nie należy ufać świadectwom z drugiej ręki. Jednak najbardziej zdumiewający jest przypadek Józefa z Copertino (1603-1663), zwanego już za życia „fruwającym mnichem".

Fruwający zakonnik: Józef z Copertino

Syn cieśli, urodzony w ojczyźnie tarantelli (Taranto na południu Włoch) w czasach, gdy obostrzenia kontrreformacji zdecydowanie zabraniały takich skocznych tańców, Giuseppe Desa był chorowitym, humorzastym, niezgrabnym i gapiowatym chłopcem. (Przezywano go „Bocaperta", czyli „Rozdziawiona Gęba"). Nie zdobył żadnego wykształcenia; często

zapadał w trans. W 1620 roku wstąpił do zakonu kapucynów. Wkrótce musiał go opuścić z racji niezrównoważonego charakteru i roztargnienia. Znalazł wówczas schronienie w klasztorze franciszkanów w pobliżu Copertino. W 1628 roku otrzymał święcenia kapłańskie i wtedy właśnie zaczęły się cudowne wydarzenia, które wiązano z jego osobą. Były one powtórzeniem dobrze znanego wzoru. Mówiono, że brat Józef rozmnażał chleb i wino, wypędzał demony, uzdrawiał chorych i potrafił uciszyć burzę. Zakonnik nosił włosiennicę, biczował się dwa razy w tygodniu, dosypywał do swego pożywienia (składającego się z korzonków i ziół) „śmiercionośne proszki", które innych przyprawiały o chorobę. Choć sypiał na gołych deskach i nigdy się nie mył ani nie zmieniał habitu, mówiono (podobnie jak w przypadku Ojca Pio), że otaczała go niebiańska woń. Największą jednak sławę przyniosły mu tzw. ratti, potężne skoki czy lewitacje, którym towarzyszyły przeraźliwe wrzaski.

Vita del P. Fra Giuseppe da Copertino (Żywot pobożnego brata Józefa z Copertino), biografia opublikowana w 1753 roku przez D. Bemino, wylicza siedemdziesiąt kilka oddzielnych lewitacji - pierwsza miała miejsce w Neapolu, podczas mszy w klasztorze, w którym gościł, Józef nagle poszybował z kąta kaplicy na skos do ołtarza. Tam wylądował na moment, po czym odfrunął na poprzednie miejsce. Rzekomo spostrzegło to kilka zakonnic. W Rzymie spontaniczna lewitacja nastąpiła w momencie, gdy brat Józef ukląkł, by ucałować stopę papieża Urbana III. Nękany przez nieżyczliwego przełożonego, zakonnik na dwa lata utracił swój „dar", ale w Asyżu statua Najświętszej Panny, stojąca obok ołtarza w kościele, gdzie się modlił, tak go zachwyciła, że wzleciał nad głowami zgromadzonych wiernych, by ucałować święty wizerunek.

Sława Józefa z Copertino szerzyła się i choć zabroniono mu publicznego odprawiania nabożeństw, podziwiało jego „ratti" wielu przedstawicieli najwyższych europejskich rodów. W 1651 roku protestancki książę Brunszwiku (patron filozofa Leibnitza) ukrył się z dwoma przyjaciółmi za drzwiami kaplicy, w której Józef odprawiał mszę. Usłyszeli jego krzyk, a potem zobaczyli, jak uniósł się w powietrze i przeleciał kilkadziesiąt centymetrów do tyłu przed powrotem na ziemię. Następnego dnia książę Brunszwiku znów ujrzał Józefa unoszącego się w powietrzu przez kwadrans. Zrobiło to na nim takie wrażenie, że natychmiast przeszedł na katolicyzm.

Następne relacje wyglądaj ą na wytwory bardzo bujnej imaginacji. Pewnego razu „fruwający mnich" spacerował w ogrodzie na tyłach klasztoru w towarzystwie księdza Antonia Chiarello. Ten zwrócił uwagę na piękno niebios ~ dzieła Boskiej ręki. „Wówczas Józef, jak gdyby te słowa były zaproszeniem zesłanym mu z góry, oderwał się od ziemi i poszybował w powietrze; wylądował na wierzchołku drzewa oliwnego i pozostał tam w pozycji klęczącej przez pół godziny".

Świadkowie ze zdumieniem dostrzegli, że gałąź, na której osiadł brat Józef, kołysze się tylko leciutko, jakby siedział na niej mały ptaszek. Na szczęście, zakonnik ocknął się z ekstazy: Chiarello przystawił drabinę i pomógł mu zejść na dół. Czar prysnął: Józef był znów zwyczajnym człowiekiem.

Innym razem - jak mówią- Józef podrzucił wysoko w powietrze jagnię i sam poszybował za nim aż ku wierzchołkom drzew, „gdzie zastygł w ekstazie - na kolanach i z rozłożonymi rękoma - na jakieś dwie godziny". Reakcji jagnięcia nie odnotowano.

W klasztorze Grotella w pobliżu Copertino wznoszono Kalwarię z trzema krzyżami. Dwa już stały, ale nawet dziesięciu ludzi nie zdołało dźwignąć trzeciego, wysokiego około 11 metrów i bardzo ciężkiego. Wobec tego:

Józef, pełny zapału, przefrunął jakieś osiemdziesiąt kroków od wrót klasztoru do krzyża, uniósł go bez trudu niczym słomkę, i osadził w specjalnie przygotowanym dole. Owe krzyże stały się dlań obiektem specjalnej adoracji: przyciągnięty przez Ukrzyżowanego Zbawiciela, z odległości dziesięciu czy dwunastu kroków wzbijał się na jedno z ramion krzyża.

Ten pierwowzór Supermana potrafił także unieść ze sobą tych, którzy usiłowali utrzymać go na ziemi. Pewnego razu chwycił za rękę klasztornego ojca gwardiana, jakąś nadprzyrodzoną siłą oderwał go od ziemi i z radosnym krzykiem ciągnął za sobą". Kiedy indziej znów oderwawszy się z niezwykłą szybkością od ołtarza z hukiem podobnym do uderzenia gromu, wzbił się jak błyskawica, wirując po całym wnętrzu kaplicy - z taką energią, że trzęsły się wszystkie cele w dormitorium. Przerażeni mnisi wybiegli z nich w trwodze, wołając: „Trzęsienie ziemi! Trzęsienie ziemi!". Wygląda na to, iż Józef przynajmniej wówczas świetnie się bawił.

W 1653 roku wysłano go do klasztoru kapucynów w Urbino. Był już wtedy tak sławny, że ludzie gromadnie zbiegali się na odprawiane przezeń msze w nadziei ujrzenia lewitacji. Kiedy w końcu legł na łożu śmierci w Osimo, opiekujący się nim lekarze nieraz byli świadkami jego lewitacji. Chirurg Francesco Pierpauli oświadczył potem, iż pewnego razu, gdy w obecności dwóch innych chirurgów badał nogę Józefa, święty zapadł nagle w trans i uniósł się z krzesła na wysokość około 90 centymetrów.

Pierpauli próbował ściągnąć go na dół, ale święty tkwił jak przygwożdżony w powietrzu.

Gdy Józef z Copertino zmarł 10 sierpnia 1663 roku, Pierpauli nie znalazł „w komorach jego serca ani śladu krwi, samo serce zaś było wyschnięte".

„Święty Józef był zapewne akrobatą... a świadkowie brali niesłychanie zręczne skoki za lewitacje" - twierdzi Robert Smith. Uważa on, że relacje o lotach „niesłychanie wyolbrzymiono" w powstałych po śmierci Józefa biografiach.

Zgodny z nim co do tego, iż „dużo w nich przesady", Thurston przypomina jednak, że większość zaprzysiężonych zeznań złożono w latach 1665-1666, czyli zaledwie dwa lata po śmierci Józefa. Prosper Lambertini (późniejszy papież Benedykt XIV) odgrywał rolę „adwokata diabła" podczas procesu beatyfikacyjnego Józefa z Copertino *). Wobec tego musiał krytycznie przestudiować całą dokumentację, zanim w 1753 roku - już jako papież - opublikował dekret beatyfikacyjny, a następnie oświadczył:

---

*) „Advocatus diaboli" to duchowny, którego obowiązkiem podczas procesu beatyfikacyjnego lub kanonizacyjnego jest wysuwanie wszelkich zastrzeżeń pod adresem świętego tak jak robiłby to diabeł, starając się nie dopuścić do jego wywyższenia (przyp. tłum.).

Gdy musiałem zrezygnować z funkcji Krzewiciela Wiary, był właśnie rozpatrywany przez Święte Officjum przypadek czci godnego Sługi Bożego, Józefa z Copertino. Po moim ustąpieniu z urzędu proces ten został doprowadzony do pomyślnego zakończenia. Podczas rozpatrywania owego przypadku naoczni świadkowie godni najwyższego zaufania potwierdzali, że – jak powszechnie było wiadome – wyżej wzmiankowany Sługa Boży w stanie ekstazy rzeczywiście odrywał się od ziemi i przez długi czas unosił się w powietrzu.

Comwell zastanawia się, czy świadkowie lewitacji Józefa byli zahipnotyzowani, czy też ulegali złudzeniu. A może dałoby się ten fenomen racjonalnie wytłumaczyć połączeniem pewnej iluzji z wyjątkową sprawnością akrobatyczną? Comwell zadaje pytanie, czy ów człowiek, obdarzony „niezwykłą siłą" nie mógł wyćwiczyć się w wykonywaniu „gwałtownych skoków, które dziś mieściłyby się w granicach możliwości tancerza baletu nowoczesnego lub sportowca trenującego skoki wzwyż, w owej jednak epoce miały posmak czegoś nadprzyrodzonego". Być może na zachowanie Józefa wpływały długie posty w połączeniu z niezwykłą dietą, na przykład owymi „śmiercionośnymi proszkami", które innych przyprawiały o chorobę? Może zawierały one sporysz? Jest to grzyb pasożytujący na zbożach jadalnych. Stanowi w dzisiejszych czasach podstawę do wytwarzania halucynogenu LSD-25. W średniowieczu kojarzono ze sporyszem ataki różnego rodzaju zaburzeń motorycznych lub neuroz, na przykład tzw. taniec świętego Wita. Czy sporysz i inne substancje zawarte w chlebie lub zastępujących go produktach mogły powodować halucynacje związane z lataniem lub ekstatyczne stany umysłu, podczas których miało się złudzenie lotu?

Podobnie jak Thurston, Comwell powstrzymuje się od wydania w tej sprawie ostatecznego wyroku. Nie istnieje żadne niewątpliwe rozwiązanie tej kwestii. Kościół katolicki, choć teoretycznie zakłada możliwość lewitacji, jest tym zjawiskiem równie zaniepokojony jak przeciętny niedowiarek-behawiorysta. Jaka jest przyczyna tego fenomenu? Potęga Boska?... A może znalazłoby się jakieś naturalne, bardziej „ziemskie" wyjaśnienie?

Unoszący się w powietrzu bramini: brak zadowalającego wyjaśnienia

Z punktu widzenia Hindusa-wyznawcy Buddy, lewitacje i inne „siddhi" są uważane - jeśli nie za coś oczywistego, to przynajmniej za umiejętności, które może rozwinąć w sobie świątobliwy mąż. Buddyjski święty Milarepa (1052-1135) utrzymywał, że dzięki znajomości jogi nie tylko potrafi fruwać, ale może pokonywać w ten sposób wielkie przestrzenie. Jego biografowie podają, iż pewnego dnia latał nad polami swego krewnego. Syn tego kuzyna podczas orki dostrzegł szybującego po niebie mnicha i zawołał ojca, by popatrzył na cud. Na krewniaku Milarepy zjawisko nie zrobiło żadnego wrażenia; nakazał chłopcu, by nie zwracał uwagi na latającego „nic dobrego" i zajął się orką. Potem Milarepa wyrzekł się takich „błahostek" i skoncentrował na problemach duchowych wyższego rzędu.

W okresie brytyjskiej dominacji w Indiach (począwszy od połowy osiemnastego wieku) relacje o wyczynach hinduskich świętych mężów zaczęły krążyć na Zachodzie. Dla wielu zdumionych widzów były to jednak tylko „sztuczki" - nawet jeśli profesjonalni iluzjoniści nie potrafili wytłumaczyć, jak można było tego dokonać.

Anonimowy naoczny świadek opisał jeden z takich przypadków, który miał miejsce w 1828 roku. Stary bramin imieniem Sheshah (Powietrzny Bramin) polecił obserwatorowi, by dokładnie obejrzał stołek wysoki na około 45 centymetrów. Na jego

siedzeniu znajdowały się dwie mosiężne gwiazdki, wpuszczone w drewno, nieco większe od monety dolarowej. Następnie bramin przedstawił pusty w środku kawałek bambusa, długi na mniej więcej 60 centymetrów, o średnicy około 6 centymetrów. Potem przyszła kolej na skórę antylopy, o szerokości około 10 centymetrów i długości około 60 centymetrów. Sheshah ukrył się pod obszernym szalem z tymi wszystkimi przedmiotami i z torbą.

Po upływie pięciu minut (w tym czasie bramin pod szalem najwyraźniej coś majstrował), Sheshah polecił, by zdjęto spowijającą go zasłonę. Ujrzałem go siedzącego po turecku w powietrzu. Opierał tylko prawe ramię o skraj skóry antylopy. Ta stykała się horyzontalnie z pustym w środku bambusem, on zaś łączył się pod kątem prostym ze stołkiem, bezpośrednio nad jedną z mosiężnych gwiazdek. Bramin trwał w tej pozycji ponad pół godziny. Prawą ręką przesuwał paciorki różańca z takim niezmąconym spokojem, jakby zachowywanie tej niecodziennej pozy nie wymagało ani odrobiny wysiłku.

Ten przypadek „lewitacji na bambusie" Nickell (który sam był niegdyś iluzjonistą) tłumaczy układem metalowych prętów - jeden ustawiony pionowo wewnątrz bambusa, drugi połączony z poprzednim, poziomy, ukryty pod skórą antylopy; trzeci wreszcie (zamaskowany obszerną szatą fakira z opadającymi rękawami) szedł wzdłuż ramienia, wyginał się i opadał wzdłuż pleców aż do siedzenia, na którym ów cudotwórca (a raczej „złudotwórca") opierał się.

Jednak - jak zauważył Rickard - taki system wsporników musiał być ciężki i nieporęczny, jeśli pręty i ich złączenia miały utrzymać ciężar ludzkiego ciała. Obserwator zaś - z pewnością podejrzliwy - od razu zauważyłby niezwykły ciężar przedmiotów, które dano mu do zbadania". Jeśli zaś chodzi o motyw oszustwa: chęć wyłudzenia pieniędzy, to relację z podobnego niezwykłego wydarzenia, zamieszczoną na łamach Gazety Rządowej z Kalkuty z 1829 roku opatrzono następującym komentarzem: „Bramin, o którym mówimy, powtórzył swój wyczyn w domach wielu angielskich dżentelmenów nie w nadziei zysku, lecz wyświadczając im uprzejmość".

Zawodowy iluzjonista Harry Kellar był podczas pobytu w Indiach świadkiem wielu lewitacji. Znał on dobrze wszelkie profesjonalne sztuczki, a jednak w 1897 roku wyznał: „nie potrafię podać zadowalającego wyjaśnienia wyczynów, których byłem świadkiem".

Jedno z niezwykłych widowisk, które oglądał Kellar, obserwował również książę Walii, a także pięćdziesiąt tysięcy innych widzów, zgromadzonych w Kalkucie na Wielkim Placu (Maidam) w zimie 1875-1876 roku. „Stary fakir wziął trzy miecze o prostych, zakończonych krzyżem rękojeściach - pisał Kellar - i wkopał je w ziemię, trzonkiem w dół, na głębokość jakichś 15 centymetrów. Miecze były bardzo ostro zakończone, jak się później przekonałem. Młodszy fakir wyciągnął się na ziemi. Po kilku gestach starca, młodzieniec zesztywniał i wydawał się martwy". Fakir i jego pomocnik unieśli go trzymając za głowę i nogi, i „położyli sztywne ciało na ostrzach mieczy, które je podtrzymywały nie raniąc skóry. Ostrze jednego znajdowało się dokładnie u nasady szyi, drugie między łopatkami, a trzecie u podstawy kręgosłupa. Pod nogami nie było żadnej podpory... Ciało nie chwiało się w prawo ani w lewo, wydawało się idealnie zrównoważone".

Rozkopawszy sztyletem ziemię wokół rękojeści pierwszego miecza starzec usunął go; ciało pozostało nieruchome. „Drugi i trzeci miecz wyjęto w podobny sposób spod wiszącego w powietrzu ciała - ono zaś, w biały dzień i na oczach wszystkich widzów nadal zachowało pozycję horyzontalną bez żadnej widocznej podpory - mniej więcej na wysokości 60 centymetrów nad ziemią". Następnie, ostrożnie podtrzymując sztywne ciało, fakir i jego pomocnik opuścili je na ziemię- tu zaś młodzieniec wrócił do życia.

Kellar stwierdził, że byłby w stanie zainscenizować podobną sztuczkę, ale wyłącznie w pomieszczeniu zamkniętym, przy użyciu specjalnych przyrządów i pod warunkiem, że widzowie będą obserwowali widowisko tylko z jednej strony - nigdy zaś w biały dzień, na nie przygotowanym do tego gruncie i na oczach tysięcy świadków, otaczających go kołem.

Inny z odnotowanych przez Kellara przypadków - którego również nie uznał za zwykłe oszustwo czy trick - wydarzył się podczas iluzjonistycznego występu samego Kellara przed Zulusami w północnym Durbanie (Afryka Południowa). Kilku widzów (przekonanych, że iluzjonista jest autentycznym cudotwórcą) sprowadziło lokalnego szamana, by zmierzył się z białym czarodziejem. Zmuszony do zademonstrowania swych umiejętności, szaman niechętnie ujął pałkę i przywiązał do jednego jej końca długi na około 60 centymetrów rzemień z niegarbowanej skóry. Dał znak jednemu z widzów, by uczynił to samo. Kellar tak opisuje dalszy bieg wypadków:

Obaj mężczyźni stanęli w odległości około 1,8 metra od siebie, w pełnym blasku ognia i [w milczeniu] zaczęli wywijać pałkami młynka nad głową. Zauważyłem, że ilekroć pałki podczas tego szybkiego wirowania prawie się zderzały, przelatywała między nimi iskra lub płomień. Gdy nastąpiło to po raz trzeci, rozległ się głośny huk – jakby nastąpiła eksplozja. Buchnął płomień, pałka młodzieńca pękła na drobne kawałki, on zaś padł na ziemię jak martwy.

Szaman podszedł do kępy wysokiej trawy, która rosła w niewielkiej odległości, zerwał garść źdźbeł długich może na mniej więcej 90 centymerów. Pozostając w cieniu, tak iż nie padał nań blask ognia, wykonywał szybkie ruchy okrężne (przypominające poprzednie wywijanie pałką) ową garścią traw nad głową młodego Zulusa, który leżał jak martwy w świetle ognia. Po chwili trawa zaczęła tlić się (choć ognisko znajdowało się w odległości około 6 metrów) i płonęła powoli, głośno trzeszcząc.

To, co Kellar ujrzał potem, wzbudziło w nim zdumienie;

...leżące cialo powoli oderwało się od ziemi i uniosło na prawie 90 centymetrów;

pozostając ciągle jakby w zawieszeniu unosiło się lub zniżało w zależności od [szybkości] ruchów szamana, wywijającego płonącą trawą. Gdy się zaś dopaliła... ciało wróciło do poprzednie/pozycji na ziemi, a po kilku gestach szamana młody Zulus zerwał się na równe nogi. To zdumiewające doświadczenie najwyraźniej wcale mu nie zaszkodziło.

Czy Kellar uległ hipnozie? Znajdował się w dzikim kraju, w środku nocy, a ogień mógł przyczynić się do spotęgowania iluzji, zwłaszcza gdy weźmiemy pod uwagę zbożny strach innych widzów i wirujące pałki. Jednak - choć sam był profesjonalnym magikiem - ani w tym przypadku, ani w innych, nie dostrzegł żadnych sztuczek, które mógłby wyjaśnić lub powtórzyć.

Chyba najbardziej rozreklamowanym hinduskim „cudem" był przypadek opisany w „Illustrated London News" z dnia 6 czerwca 1936 roku i opatrzony fotografiami, które od tamtej pory często reprodukowano. Naocznym świadkiem tego wydarzenia był angielski plantator, P.Y. Plunkett, zaproszony przez swego przyjaciela Pata Dove do obejrzenia widowiska na jego plantacji. Plunkett tak zrelacjonował przebieg wydarzeń;

Było około wpół do pierwszej po południu i słońce stało bezpośrednio nad naszymi głowami, toteż cienie nie odegrały żadnej roli w tym występie. Znajdowaliśmy się na terenie o powierzchni około 743 metrów kw. Pośrodku wbito w ziemię cztery tyki, na których opierał się prowizoryczny dach z gałęzi. Mający wystąpić przed nami Subbayah Pullavar zachowywał spokój. Miał długie – włosy, zwisające wąsy i błędny wzrok. Pokłonił się nam i przez chwilę gawędziliśmy. Powiedział, że pochodzi z 7innivelly i uprawia ten rodzaj jogi od prawie dwudziestu lat (podobnie jak to czynili jego przodkowie). Spytaliśmy, czy pozwoli nam sfotografować swój występ, i przystał na to chętnie. Rozproszyło to nasze podejrzenia, że wszystko okaże się hipnotyczną iluzją... Wraz z dżentelmenami z pobliskiej osady (oraz ich kulisami) zebrało się około stu pięćdziesięciu widzów ".

Ujrzeli, jak fakir zakreślił krąg wokół namiotu (wewnątrz którego miał lewitować), wylewając strugę wody na gorącą, zakurzoną ziemię placu. Oświadczył, że nikomu w butach na skórzane/podeszwie nie wolno przekroczyć te/granicy, Pullavar wszedł do wnętrza namiotu. Jego asystenci byli pod bokiem, by usunąć następnie ów namiot; my zaś zajęliśmy nasze pozycje (po przeciwnych stronach) i fotografowaliśmy wszystko, co się dało i pod każdym kątem.

Gdy usunięto namiot, widzowie ujrzeli fakira jakby zawieszonego w pozycji horyzontalnej w odległości około 90 centymetrów od ziemi. Był w głębokim transie; jego prawa ręka opierała się lekko na spowitym w płótno kiju. Przedtem odwinięto na oczach widzów tkaninę, po czym znów udrapowano wokół kija, którego koniec został wbity - niezbyt głęboko w stwardniałą ziemię.

Po 4 minutach, gdy wykonano już wiele zdjęć, fakira osłonięte znów namiotem. Poprzez jego cienką ściankę Plunkett widział nadal zawieszonego w powietrzu Subbayaha.

„Po upływie może minuty zaczął się jakby kołysać, a potem bardzo wolno opadł, zachowując ciągle pozycję horyzontalną. Prawie pięć minut zajęło mu opuszczenie się od wierzchołka kija na ziemię - odległość wynosiła jakieś około 90 centymetrów".

Gdy fakir znalazł się z powrotem na ziemi, jego pomocnicy wynieśli go do nas i zaproponowali, byśmy spróbowali zgiąć jego kończyny. Nawet z ich pomocą nie byliśmy w stanie tego uczynić. Dopiero po pięciominutowym masażu, oblaniu mu głowy wodą i napojeniu go, Subbayah wrócił do normalnego stanu".

Plunkett zapewnia, że ten wyczyn oglądał z przyjaciółmi wiele razy i był „absolutnie pewien, że nie ma w tym żadnych oszukańczych sztuczek".

Energia ziemska, indukcja elektryczna?

W tym ostatnim i w opisanych wcześniej przypadkach lewitacji Hindusów niewątpliwie ważny jest kontakt - choćby symboliczny - pomiędzy osobą unoszącą się w powietrzu a ziemią. W ostatnim przypadku osiągnięto go za pomocą „kija owiniętego w płótno". Sceptycy określają tego typu lewitację jako „cud z podpórką", wyraźnie insynuując (jako że z ich punktu widzenia lewitacja jest czymś niewykonalnym), że tkwi w tym jakieś oszustwo.

Jednak fotografie, stanowiące materiał dowodowy w przypadku wyczynu Subbayaha Pullavara wskazują, iż jeśli były tam jakieś sztuczki, to miały już one charakter paranormalny. Na zdjęciach widać dorosłego człowieka, utrzymującego się w powietrzu w pozycji leżącej, w biały dzień, w otoczeniu licznych świadków. Jego obszerna szata z długimi rękawami opada niżej, nie dotyka jednak ziemi. Pullavar lewą rękę podłożył pod głowę, prawa spoczywa lekko na owiniętym w płótno kiju. Znajduje się on w pewnej odległości od ciała i nie jest nawet ustawiony prostopadle do ziemi, ale pod kątem. W jaki sposób, na litość Boską, mógłby dorosły mężczyzna, choćby nie wiem jak silne miał ręce, utrzymać całe swe ciało bez ruchu, w pozycji poziomej i w powietrzu, opierając się jedynie na tak nikłej i odległej od niego podpórce?

Ów kontakt z ziemią jest bardzo istotny nie po to, by zmylić widzów, ale z jakiegoś całkiem innego powodu. Dowiódł tego popis fakira Covindasamy, który w 1866 roku wystąpił przed Louisem Jacolliotem (1837-1890), pełniącym wówczas funkcję naczelnego sędziego Chandenaguru. Po powrocie do Francji ten badacz zjawisk tajemnych opisał, jak fakir - pragnąc odwdzięczyć się za gościnę - zademonstrował kilkakrotnie spontaniczną lewitację. Twierdził przy tym, że uprawianie jogi pozwala mu na kontakty z duchami przodków, a nawet wydawanie im poleceń.

Oparłszy się mocno na należącej do Jacolliota lasce z kazuaryny, fakir utkwił oczy w ziemi i wyśpiewując modlitewne zaklęcia, powoli uniósł się w powietrze na wysokość około 60 centymetrów. „Miał skrzyżowane nogi i nie zmienił swej pozycji - zaobserwował Jacolliot. - „...Przez ponad 20 minut próbowałem pojąć, jakim sposobem Covindasamy unosi się w sposób sprzeczny z wszelkimi prawami ciężkości!"

Odnotowawszy, że nie było innego kontaktu z ziemią prócz prawej dłoni wspartej na rączce laski, Jacolliot dodaje, iż następnej nocy Covindasamy usiadł ze skrzyżowanymi nogami na stołku i bez żadnych dostrzegalnych poruszeń ciała zmusił ten mebel do galopu przez całą długość werandy; stołek poruszał się skokami długości 90-120 centymetrów. Fakir skłonił także do lewitacji niektóre sprzęty w domu Jacolliota. Sprawił również, że innych nie można było ruszyć z miejsca. Następnego dnia przed odjazdem Covindasamy zwrócił się twarzą w stronę gospodarza, skrzyżował ramiona i wzniósł się około 30 centymetrów nad ziemią, pozostając na tej wysokości blisko 5 minut.

Jeśli w tych relacjach jest choćby cząstka prawdy - jakież siły mogły tu dojść do głosu?

Cytując teorię swego przyjaciela, Harry Kellar sugeruje, iż lewitację mogą być efektem „tajemnej wiedzy o prądach elektrycznych, pozwalającej fakirom dowolnie oddziaływać na prąd przenikający ich ciało... wchłanianie zaś influencji elektrycznej z ziemi umożliwiło zniweczenie siły przyciągania ziemskiego".

Po długotrwałych obserwacjach hawajskich kahunów, Max Freedom Long postawił w 1948 roku hipotezę, że dzięki „magnetycznym właściwościom siły elektrowitalnej" wtajemniczeni mogą „przyciągać lub odpychać przedmioty bez żadnego wspomagania ze strony duchów, żywej podświadomości czy innej inteligencji".

Long cytuje *The Mysterious Cobbier* (Tajemniczego szewca), autobiografię Arthura Spraya, londyńskiego szewca, a zarazem hipnotyzera i uzdrowiciela. Kiedyś na oczach przedstawicieli prasy Spray kazał pewnemu młodzieńcowi położyć się na podłodze i wprawił go w głęboki trans hipnotyczny. Stanął przy jego stopach; ciało młodego człowieka było zupełnie sztywne. Spray polecił mu, by otworzył oczy, a ten posłuchał. Skinął na niego prawą ręką. Powoli głowa zahipnotyzowanego, potem zaś ramiona uniosły się w powietrze, choć pięty nadal dotykały podłogi. „Cal po calu sztywne ciało podnosiło się, zatrzymało się nieruchomo pod odpowiednim kątem ponad metr nad podłogą. Tkwiło tak przez parę sekund, aż gestem zwróconym teraz w przeciwną stronę Spray położył je z powrotem na podłodze... Podczas eksperymentu nie odczuwał on na ciele ani na rękach żadnego przyciągania". A zatem znów usztywnienie ciała - podobnie jak u św. Józefa czy Subbayaha Pullavara.

W Honolulu Long był świadkiem magnetycznego przyciągania, demonstrowanego przez barona Eugene'a Persona, który utrzymywał, że dzięki koncentracji woli potrafi czerpać z powietrza siłę elektryczną. Long widział, jak Person położył rękę na jednym z szeregu identycznych lekkich, składanych krzesełek, stojących pod ścianą... Przelawszy w ten sposób siłę magnetyczną zawartą w jego ciele na ten mebel, Ferguson „wezwał z drugiego pokoju młodą kobietę o wyjątkowej

wrażliwości i poprosił, by przeszła obok całego ich rzędu. Uczyniła tak - a gdy znalazła się naprzeciw namagnetyzowanego krzesła, została w gwałtowny sposób popchnięta tak, iż na nim usiadła. Kobieta ważyła z pewnością co najmniej dziesięć razy więcej niż krzesełko i można było raczej spodziewać się, że to ono podskoczy i przylgnie do jej ciała. Zaszło jednak coś wręcz odwrotnego". Żeby sprawdzić, czy nie wchodziła tu w grę siła sugestii, uczniowie Fergusona wypróbowali efekt na bullterierze. „Psy nie są podatne na sugestię - zauważa Long i dodaje. - Zarówno właścicielowi zwierzęcia, jak i mnie samemu udało się sprowokować takie przyciąganie, że mimo iż pies zapierał się wszystkimi czterema łapami o ziemię, cofnął się o kilka cali. My natomiast nie odczuwaliśmy na rękach ani na ciele żadnego przyciągania".

Long cytuje również przypadki, w których dzięki sile woli i kontroli oddechu ludzie spowodowali wymierne zmiany w ciężarze swego ciała (zwiększenie lub zmniejszenie). Opowiada też, że na Hawajach i w Tybecie (a także gdzie indziej) biegacze wprawiali się w trans, by zwiększyć swą szybkość i wytrzymałość. Podobnie jak Coyindasamy, Long twierdzi, iż w takich przypadkach widoczny jest udział „duchów" - powróćmy więc znów na Zachód - i pomówmy o kościelnych zakazach uprawiania „demonicznej" magii oraz o lewitacjach mediów.

„Latający Szkot": D.D. Home

Spośród wielu mediów, oszukańczych i autentycznych, które zdobyły rozgłos w Europie i Ameryce, gdy spirytyzm szerzył się jak pożar w lesie, najbardziej znany był Daniel Dunglass Home (1833-1886). Ten Szkot wychowywał się w Stanach Zjednoczonych, po czym wrócił na Wyspy Brytyjskie. Był spirtystycznym „majstrem do wszystkiego": dosłownie igrał z ogniem - z jego głowy wydobywały się płomienie. Potrafił wydłużać swą postać, powodował nie wiedzieć skąd dochodzące stuki, przesuwał ciężkie przedmioty i grał na instrumentach muzycznych nie dotykając ich.

Podobno co piątek, przez trzydzieści dwa lata, bawarska stygmatyczka Teresa Neumann (1898-1962) traciła około 0,5 l krwi, która wyciekała z ran będących odbiciem Męki Pańskiej. Pojawiały się one na jej rękach, nogach, boku i czole i znikały do soboty. Mimo że niektórzy podejrzewali oszustwo, nigdy go nie wykryto. (Images)

Na ciele włoskiego zakonnika Francesca Forgione, lepiej znanego pod imieniem Ojca Pio (1887-1968), ukazały się w 1918 roku pełne stygmaty. Ojciec Pio zyskał sławę dzięki mocy uzdrawiania oraz innym niezwykłym umiejętnościom, które mu przypisywano. Stygmaty zaczęły blednąc dopiero w ostatnim roku jego życia i znikły całkowicie w dniu śmierci. (FPL)

Święty Franciszek z Asyżu (l 181-1226) pościł i chorował, gdy w dniu 14 września 1224 roku na jego ciele objawiły się stygmaty Męki Pańskiej - był to pierwszy stwierdzony przypadek tego rodzaju. Czy odegrały jakąś rolę czynniki psychosomatyczne? Na widocznej tu płaskorzeźbie z fasady pewnego brazylijskiego kościoła zostało przedstawione to niezwykłe wydarzenie. (FPL)

W sierpniu 1915 roku zaczęły szerzyć się wieści, że francuscy i brytyjscy żołnierze zostali ocaleni od niechybnej śmierci z rąk Niemców dzięki interwencji „Aniołów z Mons". Opublikowano później książkę Łucznicy, opisującą pojawienie się pod Mons zjaw średniowiecznych łuczników. Jej autor, Arthur Machen, twierdził, że jest to czysta fikcja i że sam wszystko wymyślił - jednak prawie nikt mu nie uwierzył. (FPL)

W 1871 roku przeprowadzono następujący eksperyment: akordeon został umieszczony w klatce szczelnie zabezpieczonej miedzianym drutem. Home mógł dotknąć powierzchni instrumentu, ale nie jego harmonijki. Mimo to akordeon grał - i nie przestał nawet wówczas, gdy Home odjął dłoń od klatki. Pomysł tego doświadczenia poddał fizyk William Crookes, w późniejszym okresie zamieszany w sprawę oszustwa wraz z medium imieniem Katie King; podobno posłużył jako przykrywka nieczystej sprawy. Home jednak - niezwykle podziwiany przez ludzi tej miary co Lytton, Ruskin, Thackeray i Longfellow, przez Emersona zaś zwany „zdumiewającym geniuszem" - nigdy nie został przyłapany na oszustwie. Rzecz doprawdy godna podziwu w epoce, gdy nieustannie demaskowano fałszywe media! Jeszcze bardziej niezwykłe wydają się lewitacje, z których przede wszystkim słynął.

Matka Home'a była Szkotką i posiadała dar jasnowidzenia. On sam - jak wiele mediów - był chorowitym dzieckiem. Pierwsza odnotowana lewitacja Home'a miała miejsce w 1852 roku podczas seansu spirytystycznego w Connecticut. Nagle

(jak relacjonował F.L. Burr, redaktor „Hartford Times") Home'a „coś uniosło w powietrze... Dygotał od stóp do głów, miotany sprzecznymi uczuciami radości i trwogi... Kilkakrotnie odrywał się od podłogi, za trzecim razem wzbił się aż pod sufit, którego lekko dotknął rękoma i nogami".

Czy Burr po prostu dał się nabrać? W pokoju było zapewne ciemno, więc cóż mógł zobaczyć? A jednak Home często powtarzał ten wyczyn przez trzydzieści lat swej kariery, publicznie i przy dobrym oświetleniu. W lipcowym wydaniu „Kwartalnika Naukowego" z 1871 roku Crookes rozczarował do siebie wiele osób (i nadszarpnął swój autorytet naukowy) publicznie oświadczając, że wierzy w autentyczność lewitacji Home'a. Pewnego razu widział, jak to medium uniosło się około 90 centymetrów nad ziemię. W 1868 roku, zwiedzając wraz z Lordem Adare i jego ojcem jeden z londyńskich kościołów, Home - prawdopodobnie w transie - opuścił świątynię i zbliżył się do zniszczonego muru, wysokiego na jakieś około 60 centymetrów. Lord Adare opisał, co dalej zaszło: „Po chwili wszyscy zobaczyliśmy, że się zbliża. W końcu oderwał się od ziemi i przeleciał przed nami". Adare wraz z ojcem obserwowali Home'a: przeleciał nad murem jakieś 3-3,7 metra, po czym wrócił na ziemię.

Najbardziej znany jest przypadek z 13 grudnia 1868 roku. Home - przebywający wówczas w Londynie - rzekomo opuścił dom przy Buckingham Gate 5, wyfruwając z okna trzeciego piętra, a powrócił do wnętrza budynku przez najdalej położone okno sąsiedniego pokoju. Obserwowali to wydarzenie trzej świadkowie: lord Lindsay, lord Adare i kapitan Wymię - filary angielskich „wyższych sfer". Czy byli to po prostu naiwni arystokraci, żądni cudów?

Zauważono pewne niezgodności w ich relacjach; oświetlenie było marne, a wszyscy sprawiali wrażenie bardzo podekscytowanych. Jednakże cała trójka twierdziła z uporem, że Home dokonał tego wyczynu - zarówno referując to wydarzenie na posiedzeniu Towarzystwa Dialektycznego, jak i przy innych okazjach.

Krytyk F. Podmore uznał ten incydent i wszelkie inne lewitacje mediów za „zwykłe przypadki prymitywnego szalbierstwa, w których dane sensoryczne odgrywały znikomą rolę. Nie zabrakło żadnego czynnika wzmagającego iluzję: przyćmione światło, delikatna sugestia ze strony medium, silne zaangażowanie emocjonalne obecnych, graniczące z egzaltacją". Specjalista od „sztuczek ze znikaniem", Houdini, był zdania, iż Home posłużył się drutem zaczepionym na zewnątrz budynku, za którego pomocą mógł przedostać się z jednego balkonu koło okna na drugi. A może przerzucił między nimi deskę - lub posłużył się hipnozą, czy jeszcze inną sztuczką?

Przypomnijmy raz jeszcze: Home'a nigdy nie przyłapano na oszustwie. On sam twierdził, że unoszą go w powietrzu „duchy". Pisał na ten temat: „przeważnie wzbijam się pod kątem prostym; ramiona mi zazwyczaj sztywnieją, po czym wznoszą się nad głową, jakby chwytała za nie jakaś niewidzialna siła, która powoli unosi mnie nad podłogę".

W odróżnieniu od Home'a często przyłapywana była na oszustwie inna „specjalistka od lewitacji", budząca wiele kontrowersji Włoszka Eusapia Palladino (1854-1918). Biorąc pod uwagę, że matka zmarła wydając ją na świat, ojciec zaś został zamordowany, gdy dziewczynka miała dwanaście lat, trudno dziwić się, iż związane z jej osobą fenomeny przybierały często gwałtowny charakter. Choć zazwyczaj przywiązywano ją do krzesła, by nie mogła oszukiwać, obserwatorzy zaś trzymali ją za ręce i nogi, fenomeny psychokinetyczne następowały mimo wszelkich przedsięwziętych środków kontroli. Paryski psycholog Charles Richet zorganizował ponad sto seansów z udziałem Eusapii Palladino i był przekonany, że jej niezwykłe zdolności są autentyczne. Podczas jednego z seansów, który odbył się w 1892 roku w Mediolanie, Richet i jego wspólnik Lombroso zaobserwowali, jak medium wraz z krzesłem uniosło się w powietrze, a potem wylądowało ostrożnie na stole. Kiedy indziej, jak relacjonował francuski uczony Camille Flammarion, Eusapia wpadła w taki gniew, iż:

„ Gdy spojrzała na kanapę, mebel wyskoczył do przodu, potem zaś cofnął się, jakby przestraszony; wszystkie przyrządy zostały porozrzucane bezładnie po stole; tamburyn wzleciał aż pod sufit; wzięty udział w tej zabawie także poduszki, strącając wszystko, co stało na stole". W dodatku; „jedna osoba została zrzucona z krzesła, które z wielkim hukiem wjechało na stół".

Po kilku seansach z jej udziałem, zorganizowanych w 1908 roku w Neapolu przez Towarzystwo Badań Metapsychicznych, Eyerard Feilding napisał: „Obserwowałem tę niezwykłą kobietę... moi koledzy trzymali ją za ręce i nogi, była całkowicie nieruchoma, czasem tylko naprężała którąś z kończyn - a jednak jakaś istota raz po raz ściskała mą dłoń, mimo że znajdowałem się w miejscu, do którego z całą pewnością medium nie zdołałoby sięgnąć".

Czy wszyscy ci badacze zostali otumanieni przez podstępną historyczkę? Czy podjęte przez nich „środki kontroli" były mniej pewne, niż im się wydawało? A może kierowały nimi jakieś nieznane nam motywy, nakazujące im zapewniać o realności czegoś, co było niewykonalne? A może w ogóle nie byli to „ludzie nauki", lecz łatwowierni romantycy, niezdolni odróżnić prawdy od fałszu? Wielu chętnie by w to uwierzyło, choćby z tej racji, że relacje naukowców, pełne wzmianek o „duchach", są wyrazem „przestarzałych" poglądów, które racjonaliści odrzucają ze wzgardą.

Szatan nawiedza Waszyngton: Egzorcysta

Kościół katolicki jest zdania, że lewitacje mediów mają inny charakter niż mistyków i są dziełem szatana lub jakichś demonicznych sił nadprzyrodzonych. W „La Levitation" Leroy wylicza następujące różnice:

1. Lewitacje mistyków są wynikiem ich nieważkości, media zaś są unoszone w powietrze przez jakąś niewidzialną aparaturę podtrzymującą.
2. Z mistyków Kościoła często podczas lewitacji emanuje światło. Ta cecha nie występuje u mediów.
3. Mistycy lewitują wszędzie, podczas gdy media mogą spowodować ów fenomen wyłącznie za pomocą specjalnych przygotowań w pomieszczeniu zamkniętym.
4. Lewitacja mistyczna może nastąpić w biały dzień, a media lewitują wyłącznie w ciemności.
5. Święci i mistycy lewitowali nawet w czasie choroby, media nie są zdolne do występu w złym stanie zdrowia.
6. Mistycy lewitują jedynie podczas spontanicznej ekstazy, media muszą być z rozmysłem wprowadzane w trans, zanim będą zdolne do takiego wyczynu.
7. Święci i asceci Kościoła lewitują jedynie na osobności, podczas gdy media czynią z tego publiczne widowiska.
8. Zdolność lewitacji u świętych jest niewątpliwie wynikiem stanu łaski, której oni sami dostąpili, podczas gdy zdolności mediów bywają dziedziczne.

Uznając lewitacje za fakt, Leroy sprzęga je ściśle z doktryną Kościoła. Jego wywody w wielu punktach można by podważyć. Home zarówno emanował blaskiem podczas lewitacji, jak i lewitował pod gołym niebem. Zdarzały mu się także lewitacje spontaniczne, i to w pełnym świetle. „Ratti" Józefa z Copertino trudno chyba określić jako „lewitacje w odosobnieniu"; często również zwisał w powietrzu, jakby go coś trzymało. Leroy nie bierze pod uwagę lewitacji jogów, odbywających się podobno pod gołym niebem i w biały dzień. Jednak niektóre dobrze udokumentowane przypadki w pełni zasługują na określenie „demoniczne" czy też „diabelskie opętanie"; „racjonalna psychiatria" (jeśli w ogóle coś takiego istnieje!) nie jest w stanie ich wytłumaczyć.

Wydarzenia, na których William Peter Blatty oparł fabułę swej bestsellerowej powieści *Egzorcysta*, rozpoczęły się w Georgetown pod Waszyngtonem w 1949 roku. Kościół długo utrzymywał sprawę w tajemnicy, ale prawda wyszła na jaw, gdy powieść stała się ogólnie znana. Głównym źródłem informacji autora była praca *Diabolical Possession and Exorcism* (Diabelskie opętanie a egzorcyzmy) napiasana w 1974 roku przez księdza Johna Nicolę, który miał dostęp do oryginalnych dokumentów, włącznie z zapiskami związanych z tym przypadkiem kapłanów, przesłuchał on tez jednego z naocznych świadków.

Ofiarą demonów był trzynastoletni luteranin, „Roland Doe" *), dziecko z dość zamożnej mieszczańskiej rodziny, mieszkające wraz z rodzicami i babką.

15 stycznia 1949 roku, w całym domu dały się słyszeć dziwne stuki i szmery. Rodzina przypisywała je niespokojnej duszy niedawno zmarłej ciotki Rolanda, która wprowadziła chłopca w tajniki porozumiewania się z duchami podczas seansu spirytystycznego. Różne artykuły gospodarstwa domowego zaczęły znikać, by pojawić się następnie w najdziwniejszych miejscach. Wiszące na ścianach obrazy klekotały, meble same się przemieszczały, Roland zaś zaczął wykrzykiwać przez sen sprośności. Pewnej nocy rodzina wyrwana ze snu jego wrzaskami wbiegła do pokoju chłopca i ujrzała z przerażeniem, że zarówno dziecko, jak i materac wiszą w powietrzu bez żadnej widocznej podpory.

Przez następne kilka tygodni takie lewitacje „powtarzały się wielokrotnie w różnych łóżkach, podczas pobytu chłopca w domach prywatnych i szpitalu". Duszpasterz rodziny spędził noc w pokoju Rolanda, był świadkiem lewitacji i innych przejawów opętania. Podczas gwałtownych ataków prawdziwa osobowość chłopca jakby się rozpływała, władzę zaś nad jego ciałem przejmował i przemawiał ustami Rolanda „ktoś obcy". Rodzina zwróciła się do Kościoła katolickiego z prośbą o przeprowadzenie przepisowych egzorcyzmów. W marcu zabrano Rolanda do katolickiego szpitala w St Louis, gdzie kapłani: Raymond Bishop, F. Bowdem i Lawrence Kenny przystąpili do walki ze złym duchem.

Zmagając się z niezwykłą siłą z przytrzymującymi go osobami, Roland (czy raczej zły duch, który go opętał) czytał w myślach egzorcystów i zdradzał dobrą znajomość kościelnej łaciny, którą posługiwali się księża zgodnie z rytuałem. Poczas każdej z takich sesji w pomieszczeniu panował niezwykły chłód; chłopiec wielokrotnie lewitował. Ojciec Charles O'Hara, wykładający na uniwersytecie Marquette w Milwaukee, opisał później tamte wydarzenia ojcu Eugene Gallagherowi z uniwersytetu w Georgetown. (On zaś zapoznał z tym przypadkiem swego studenta, Williama Blatty). Ojciec O'Hara

relacjonuje: „Pewnej nocy chłopiec strząsnął przytrzymujące go ręce i wzbiwszy się w powietrze poszybował ku ojcu Bowdemowi. Stał on w pewnej odległości od łóżka z księgą egzorcyzmów w ręku. Prawdopodobnie zostałby zaatakowany, ale gniew chłopca skoncentrował się na księdze. Uderzył w nią ręką - zapewniam, że widziałem to na własne oczy! - i nie podarł jej, po prostu unicestwił. Z księgi pozostał tylko pył, którego drobinki spadły na podłogę".

Ostatecznie jednak egzorcyzmy poskutkowały. Skończyła się ciężka życiowa próba „Rolanda Doe". Wszystko wskazuje na to, iż przebieg autentycznych wydarzeń jest zgodny z opisem, choć zaginęła znaczna część notatek, prowadzonych wówczas przez egzorcystów.

Inny dobrze udokumentowany przypadek opętania wydarzył się w Natalu w 1907 roku. Claire-Germaine Cele, dziewczynka z plemienia Bantu, wychowana przez siostry misjonarki, została podobno opętana wkrótce po przystąpieniu do pierwszej komunii. Miała ataki konwulsji, mówiła językami, z którymi nigdy się nie zetknęła, czytała w myślach zajmujących się nią księży, szydziła z nich jakby przemawiał przez nią demon i lewitowała. Podczas jednego z egzorcyzmów uniosła się około 180 centymetrów ponad łóżko i szyderczo zaproponowała egzorcyście, by się do niej przyłączył. Egzorcyści tak relacjonowali:

Germana [sid] unosiła się często w powietrze na wysokość około 90, 120, lub nawet 150 centymetrów, czasami w pozycji pionowej ze stopami w dół, kiedy indziej znów horyzontalnie: wtedy głowa znajdowała się niżej niż reszta ciała. Była wówczas całkowicie usztywniona. Nawet fałdy ubrania nie opadały, jakby to miało miejsce w normalnej sytuacji: suknie ściśle przy legały do jej ciała i nóg. Po pokropieniu święconą wodą natychmiast spadała, a fałdy ubrania rozkładały się luźno na łóżku. Fenomen powtarzał się w obecności wielu świadków, także osób całkiem obcych. Nawet w kościele, gdzie znajdowała się na oczach wszystkich, wznosiła się nad siedzeniem. Niektóre osoby próbowały ściągnąć ją na dół siłą, ale okazało się to niewykonalne.

---

*)Użyte w tekście określenie „Doe" jest równoznaczne z polskim „X" - używa się go, gdy nazwisko jest nieznane lub pragnie się ukryć tożsamość jakiejś osoby. Poza tym, w opublikowanej wcześniej „Księdze duchów" s. 198 (org) podano prawdziwe nazwisko chłopca: Douglass Deen oraz informację, że wydarzenie miało miejsce w Mount Rainier w stanie Washington. Data też jest nieco inna: 17 lutego (przyp. tłum.).

I znów powtarzający się motyw: lewitującej nie dało się ściągnąć w dół. Dziwnie przylegające zaś fałdy ubrania kojarzą się z obrazem przykutej do łóżka (w pozycji horyzontalnej) stygmatyczki, Dominiki Lazzari: krew płynąca zrań w jej stopach „zamiast ściekać normalnie... płynęła do znajdujących się w górze palców u nóg, jak gdyby ciało było zawieszone na krzyżu..." I jeszcze jedno podobieństwo: czterech dorosłych mężczyzn nie mogło podnieść małych wizjonerek z Grabandal, gdy padły na ziemię w transie.

Podobnie było z Anną Ecklund, urodzoną w Wisconsin około 1882 roku, pobożną katoliczką. Jako nastolatka nagle zaczęła stronić od miejscowego kościoła i atakowała przedmioty kultu. Rzekome opętanie trwało całe lata. W 1912 roku egzorcyzmy ojca Theophilusa Riesingera dały pożądany efekt - został on jednak zaprzepaszczony na skutek złośliwie rzuconej przez ojca Anny klątwy. W 1928 roku ks. Riesinger ponowił próbę w kaplicy klasztoru sióstr franciszkanek w miejscowości Earling w stanie Iowa. Zakonnice przytrzymywały Annę. Opisał to wydarzenie wielebny Cari Yogel w broszurze Begone Satan (Precz, szatanie!) „Ledwie kapłan rozpoczął formułę egzorcyzmu... rozegrała się przerażająca scena. Z szybkością błyskawicy opętana zerwała się z łóżka i strząsnęła przytrzymujące j ą ręce. Jej ciało uniosło się w powietrze i zawisło wysoko nad drzwiami, przywierając do ściany jakimś kocim chwytem". Z trudem wyrwano ją z tej nieprawdopodobnej pozycji i ściągnięto na dół, a gwałtowne egzorcyzmy trwały jeszcze wiele dni. Istoty, które same twierdziły, iż są demonami, szydziły z egzorcystów, przypominając im popełnione w dzieciństwie grzechy, znane tylko im samym... W końcu odezwał się nieżyjący już ojciec Anny. Wyjawił, że gdy dziewczyna odtrąciła jego kazirodcze uściski, przeklął córkę i wezwał demony, by ją opętały. Wreszcie - w momencie gdy ciało Anny wystrzeliło z łóżka, tak iż pozostały na nim jedynie stopy - uznawszy porażkę demony odeszły na zawsze, wywrzaskując swe imiona; pozostała już tylko klęcząca na łóżku i spłakana Anna.

UFO-a może...?

Demony? Rozszczepienie osobowości? A może jedno i drugie?... Czy istnieją złośliwe, bezcielesne duchy zdolne do zawładnięcia ludzką istotą?... Podobno diabeł najlepiej prosperuje, gdy się w niego nie wierzy! Bezpieczniej więc mieć oczy szeroko otwarte na wszelkie możliwości, zwłaszcza w obliczu zeznań niemal czterech milionów Amerykanów, którzy (według najnowszych danych Instytutu Gallupa) utrzymują, że zostali uprowadzeni przez złowrogich ufonautów. Wśród takich

„wspomnień", często powstałych w stanie hipnotycznym, możemy napotkać też wzmianki o lewita-cji. Relacje o uprowadzeniach przez „obcych" zaczęły pojawiać się pod koniec lat pięćdziesiątych naszego wieku, ostatnio jednak są coraz częstsze. Przyczyną tego może być - po części - „dokument prawdziwych przeżyć" - bestseller Whitleya Striebera *Communion* (Wspólnota), wydany w 1987 roku.

Zaniepokojony straszliwymi koszmarami sennymi, które nękały go podczas pobytu w północnej części stanu Nowy Jork pod koniec 1985 roku, Strieber (autor horrorów) pod wpływem hipnozy „przypomniał sobie", jak porwali go - nagusieńkiego - prosto z łóżka, niepozornie wyglądający kosmici w niebieskich kombinezonach i wepchnęli na „czarne, żelazne nosze", które wzbiły się w niebo. Strieber był przekonany, że to sen: „przecież fruwałem". Oznajmił nowojorskiemu psychiatrze Donaldowi Kleinowi: „Wystrzeliłem ponad drzewa. Na tym krzesełku, w tym czymś... Coraz wyżej. Wzbiłem się na jakieś sto stóp. Ponad korony drzew. Tak po prostu. Wwuh -prosto w niebo. Wystrzeliłem z lasu, jakbym jechał windą... Znów czuję podłogę pod stopami... Siedzę na ławeczce w niewielkim pomieszczeniu".

Jego relacja przypomina zwariowany sen o lataniu. To „niewielkie pomieszczenie" przypomina chatkę irlandzkiej wróżki. Eksperymenty zaś, którym poddawali go „kosmiczni zwiadowcy" o „olbrzymich czarnych oczach" i sztywnych „owadzich" ruchach, kojarzą się z szatańskimi, średniowiecznymi torturami. Więzień zastanawiał się, czy dręczyciele nie zrodzili się w jego podświadomości?... Strieber poddał się różnym testom, by sprawdzić, czy nie wystąpiły jakieś zaburzenia pracy mózgu (na przykład czasowa epilepsja płata mózgowego). Poddał się też badaniom z „wykrywaczem kłamstw" - wykazały one, że jest przeświadczony, iż mówi prawdę.

Jego opowieść - równie chętnie wyszydzana przez sceptyków, jak i przyjmowana bezkrytycznie przez tych, którzy wierzą, że „obcy" (diabły i anioły w nowoczesnym wydaniu?) wciągają ludzi do swych pojazdów kosmicznych lub przenoszą w inny wymiar - jest doprawdy niepokojąca. „Prawdziwa" czy nie, odwołuje się do czegoś, co tkwi głęboko w nas. Ślady marzeń sennych?... Znacznie wygodniej zbagatelizować wszystko jako zwykłą bujdę. Ale co ze Strieberem? Czy żyje w świecie własnych złudzeń, czy też cynicznie nabiera innych?... A może istnieją naprawdę inne wymiary rzeczywistości, których nasz świadomy umysł nie jest w stanie objąć, powstaje więc pamięć wybiórcza i różne błędne interpretacje?

Kto wie, jak jest naprawdę? Nie mamy przecież żadnej pewności - choć sceptykom na pewno poprawi się humor, gdy zapoznają się z dwoma następnymi przypadkami, w których zostało udowodnione oszustwo.

Grawitacyjni oszuści

Brązylijczyk Carlos („Wielki") Mirabelli (l 889-1951) tak świetnie sobie radził jako cudotwórca, że w 1927 roku, gdy wieść o nim dotarła do Towarzystwa Badań Metapsychicznych, uznano, iż jest to „zbyt piękne, by mogło być prawdziwe". Rzekomo posługiwał się pismem automatycznym w dwudziestu ośmiu językach lub będąc w transie mówił dwudziestoma sześcioma! To przedsiębiorcze medium potrafiło też wywoływać dusze zmarłych, grać w bilard, nie dotykając kija, i teleportować się z miejsca na miejsce, pokonując około 100 kilometrów w 2 minuty (choć licho wie, czemu to tak długo trwało!).

Mirabelli utrzymywał też, że potrafi lewitować. W 1934 roku TBM oddelegowało Theodore'a Bestermana do przebadania autentyczności jego przechwałek.

„Mirabelli zrobił na mnie wrażenie niewątpliwego oszusta" - napisał Besterman do badacza zjawisk metapsychicznych Guya Lyona Playfaira w 1973 roku. Choć nie zbadał nawet opublikowanych drukiem relacji dotyczących Mirabellego, Besterman przywiózł z Brazylii pewną fotografię, która okazała się bardzo użyteczna. Przeleżała się w archiwach TBM, dopóki nie wygrzebał jej stamtąd w czerwcu 1990 roku amerykański badacz dr Gordon Stein. Zdjęcie przedstawia Mirabellego, pozornie utrzymującego się w powietrzu z rozpostartymi ramionami i wzniesionymi oczyma. Głową nieomal dotyka sufitu - a pokój był wysoki na co najmniej 4 metry - jak stwierdził Playfair. Pod zdjęciem znajduje się dedykacja: „Panu T. Bestermanowi - Carlos Mirabelli" oraz data: 22 sierpnia 1934 roku. Na fotografii można dostrzec wyraźne ślady retuszowania negatywu albo poprzedniego, powtórnie sfotografowanego zdjęcia. Zarys szat i obuwia został wyostrzony, a tuż pod butami znajduje się bezsporny dowód oszustwa. Wzór tapety za plecami Wielkiego Mirabellego - wszędzie doskonale widoczny - w tym właśnie miejscu jest dziwnie zamglony. A czemuż to? Bo tam właśnie znajdował się najwyższy szczebel drabiny, na którym stal Mirabelli; potem go na fotografii wymazano czy zamalowano.

I jeszcze jeden smakowity kąsek dla niedowiarków. W 1967 roku, gdy mądrość Wschodu stała się nagle ogromnie modna. Beatlesi zrobili dobrą reklamę naukom Maharishi Mahesha Yogi (czyli „Chichoczącego Guru"). Początkowo zawzięcie

reklamował on na Zachodzie „Transcendentalną Medytację" (TM) jako nową religię. Gdy jednak odmówiono mu w Stanach Zjednoczonych dotacji i dostępu do szkół z powodu niepożądanej reklamy praktyk religijnych, zdecydował się uznać TM za „naukę". Niebawem - począwszy od szwajcarskiego uniwersytetu w Lucernie - zaczął organizować dla chętnych „kursy lewitacji". Jedna z pierwszych absolwentek, pani Albertine Haupt, oświadczyła (w wywiadzie dla londyńskiej gazety „Evening News" z 16 maja 1977 roku): „Nagle znalazłam się około 2 metrów nad podłogą i pomyślałam: «Boże, dokonałam tego!»". Miała problemy z lądowaniem. „Na szczęście, podłoga była wyścielana gumą piankową. Wszyscy jednak mamy siniaki. Musimy po prostu nauczyć się, jak kontrolować posiadaną moc".

Biuro prasowe Maharishiego niebawem opublikowało fotografię jednego ze studentów TM, siedzącego w pozycji lotosu i najwyraźniej kwitującego. W stanie Kalifornia, a zwłaszcza nad zatoką, wyjątkowo narażoną na trzęsienia ziemi i kryminogenną, zwolennicy TM orzekli, że połączone z medytacją lewitacje mogą zarówno przyczynić się do zmniejszenia liczby popełnianych zbrodni, jak i zmniejszyć zagrożenie Wielkich Wstrząsów. Takie wypowiedzi wpływały niewątpliwie dodatnio na stan kasy Maharishiego, gdyż naganiały mu nowych uczniów, którzy jakoś nie dostrzegli, że na „zdjęciu dokumentalnym" szal kwitującego studenta unosi się, wskazując na to, że jest to migawkowe zdjęcie osoby skaczącej.

A jeśli wcale tak nie jest?... Cóż, wszystko możliwe. W każdym razie w 1987 roku w Waszyngtonie kilku eks-studentów TM pozwało mistrza do sądu, domagając się dziewięciu milionów dolarów (od łebka) pod zarzutem, iż Maharishi nie dotrzymał danej obietnicy i nie nauczył „fruwać". Poza tym zaś trening pod jego kierunkiem spowodował liczne „negatywne efekty emocjonalne, psychologiczne i fizyczne". Były instruktor TM, Bob Kropinski, przyznał, że Maharishi zarówno jemu, jak i innym oświadczył, że „Nie szkodzi, jeśli mówicie ludziom kłamstwa". Walnie przyczynił się też do wygrania sprawy przez oskarżycieli (na czym i sam skorzystał!) relacjonując, iż studenci skutkiem treningu TM „doświadczali gwałtownych wstrząsów, halucynacji, impulsów morderczych i samobójczych".

Podczas treningu niezwykle rozemocjonowani uczestnicy nie wzbijali się co prawda w powietrze (jak im obiecano), za to wpadali w trudny do opanowania szał, atakując kolegów i próbując targnąć się na własne życie. W takiej sytuacji Maharishi doradzał im jedynie „opanować się i podchodzić do wszystkiego spokojnie". Przypomina to scenę z Egzorcysty, ale jakby na opak: tutaj zaklinacz nie stara się zwalczyć demonów, ale wręcz je zaprasza.

„Kiedy odszedłem od ruchu TM ~ wyznał później Kropinski - wypełniły mnie rozmaite dziwaczne przesądy. Wierzyłem, że bogowie mnie zabiją". Później przekonał się, że „istnieją i inne ofiary tego zjawiska, które jak i ja muszą pogodzić się z faktem, iż zostały zgwałcone duchowo i finansowo".

Co miało dla pana Kropinskiego większe znaczenie: gwałt duchowy czy też finansowy - nie jest całkiem jasne, ale chyba tylko w Stanach Zjednoczonych zasadę „caveat emptor!" (niech kupujący ma się na baczności) można było tak wywrócić do góry nogami, że ostatecznie wyrok sądu wykazał, iż głupota bywa opłacalna! Ludzie płacą oszustowi, żeby nauczył ich fruwania, a potem nie tylko udają zdumionych na wieść o zwykłej nabierance, ale jeszcze pozywają tego arcy szalbierza do sądu - a ten przyznaje im odszkodowanie?! Cóż, jeśli oszust „sypnie się" w jednym miejscu, to próbuje sił gdzie indziej.

„Latający mistrzowie jogi budzą w nas nadzieję na poprawę interesów" - głosi londyński „Independent" z 10 lutego 1995 roku. Wyrażając radość z powodu otwarcia Uniwersytetu Prawa Naturalnego przez Fundację Maharishi w angielskiej miejscowości Bentwaters w hrabstwie Suffolk, lokalny burmistrz Russell Green oświadczył: „gdy wynieśli się stąd amerykańscy lotnicy, nasz biznes wyraźnie podupadł".

Cóż miała znaczyć ta uwaga? Czyżby stanowiła aluzję do tego, że oto powstaje nowa baza dość osobliwego „lotnictwa" właśnie w Bentwaters, które nie tylko gościło przez całe lata przedstawicieli Sił Powietrznych Stanów Zjednoczonych, ale było też miejscem słynnego wypadku z UFO w grudniu 1980 roku, którego przyczynę nadal usiłują rozgryźć zwolennicy „teorii konspiracji".

Gdyby jednak okazało się, że owymi ufonautami z lasu Rendlesham (Rendlesham Forest) są latający jogowie z 1999 roku, wyzwoleni z więzów grawitacji i ziemskiego upływu czasu?...

To wszystko przecież bzdura!... A może nie?...

Nikt nie potrafi lewitować... A jeśli potrafi?...

Gdy zaś uważacie, że to naprawdę możliwe, a jesteście chrześcijanami, to albo zaliczacie się do chrześcijańskich świętych, albo demony robią wam jakieś głupie kawały... Prawda?...

Przecież świnie nie miewają skrzydeł!... A może jednak?...

Rekapitulacja: a nuż świniom wyrastają skrzydła?

Do czego zatem doszliśmy? Po pierwsze: racjonaliści zdecydowanie przeczą możliwości lewitacji: wszelkie relacje na ten temat są według nich efektem oszustwa, sugestii, złudzenia, halucynacji albo hipnozy. Po drugie: teologowie katoliccy zakładają, że lewitacje istotnie się zdarzają, nie aprobują ich jednak i mają paskudne podejrzenia co do źródła tego fenomenu. Po trzecie: według tradycji Wschodu, lewita-cja należy do umiejętności, które można wyrobić w sobie uprawiając jogę. Po czwarte: parapsychologowie i spirytualiści podają wiele rozmaitych wyjaśnień tego fenomenu, począwszy od przejęcia kontroli nad elektromagnetycznymi siłami witalnymi, a kończąc na wsparciu ze strony zmarłych. Dlatego właśnie Harry Kellar w 1897 roku zastanawiał się, czy fakirzy, których lewitacje obserwował, w jakiś sposób wchłaniają „elektryczną influencję z ziemi, co pozwala na przezwyciężenie siły grawitacji". Max Freedom Long wysunął zaś teorię, iż zanik przyciągania ziemskiego może nastąpić pod wpływem „pola magnetycznego siły elektrowitalnej".

Cóż, lepsze to niż nic! Pseudowiedza? A cóż powiemy na temat tradycji głoszącej, że lewitacje wywołać można dźwiękiem, powodującym zmianę wibracji struktury materii, czego rezultatem jest nieważkość? Lewitujący katoliccy święci żyli modlitwą i pieśnią; często lewitowali podczas mszy. Może unosiła ich wywołana śpiewem ekstaza?

Naukowcy zajmujący się fizyką kwantową, zwalczający racjonalizm za pomocą paradoksu, obecnie zabierają się do tych problemów. Dwaj fizycy: dr Richard Mat-tuck z uniwersytetu w Kopenhadze i Evan Harris z uniwersytetu Johna Hopkinsa w Stanach Zjednoczonych zaprezentowali teorię „szumu cieplnego", dotyczącą psychokinezy. Ciało fizyczne może zostać wprawione w ruch dzięki ingerencji umysłu ludzkiego, który nada konkretny kierunek zazwyczaj nieskoordynowanym ruchom części składowych atomów w tym ciele. Lewitacja może nastąpić wówczas, gdy ów proces ukierunkowania zastosuje się do atomów, z których składa się ludzkie ciało.

Wszystko to - oczywiście - jedynie teoretyczne rozważania. Zwykłe domysły. Przynajmniej jednak mamy kilku badaczy, którzy nie rozpatrują tych zagadnień wyłącznie według sztywnego schematu: czame-białe, możliwe-niemożliwe, diabelskie--świątobliwe, oszustwo-cud!

7. Podpalenia i ogniste fenomeny

Sprawczyni pożarów: przypadek Carole Compton

W grudniu 1983 roku toczył się w Livorno niezwykły proces kryminalny. Zamknięta w klatce o stalowych prętach, odgrodzona od reszty sali sądowej, dwudziestojednoletnia szkocka niania Carole Compton oskarżona była o podpalenie i usiłowanie morderstwa. Obstawała przy tym, że nie wznieciła żadnego z pięciu pożarów, które wybuchły w domach dwóch włoskich rodzin w ciągu kilku tygodni, gdy tam pracowała. Mimo braku dowodów, została uznana za sprawczynię pożarów. Uwolniono ją jednak od zarzutu próby zabójstwa trzyletniej podopiecznej, Agnese. Ponieważ oskarżona spędziła już siedemnaście miesięcy w areszcie, zasądzoną karę trzydziestu miesięcy więzienia otrzymała z zawieszeniem. Dziewczynę (napiętnowaną przez opinię publiczną jako „la strega" - wiedźma) deportowano.

Pierwsze miejsce na liście bestsellerów zajmowała wówczas we Włoszech powieść Stephena Kinga Firestarter. Znany wszystkim przypadek Carole fascynował parapsychologów. Angielski pisarz Guy Lyon Playfair i dr Hans Bender z Instytutu Badań Paranormalnych we Freibergu doszli do tego samego wniosku: choć Carole była niewątpliwie związana z pożarami, fizycznie nie wznieciła ich i nie przyczyniła się świadomie do ich powstania, a nawet nie zdawała sobie sprawy z tego, że ma coś wspólnego z tą sprawą.

Carole miała zaledwie dziewięć lat, gdy jej matka (katoliczka) rozwiodła się z jej ojcem (irlandzkim protestantem). Dziewczynka nie zaznała w dzieciństwie stabilizacji. Mieszkała w Ayr, w południowo-zachodniej Szkocji. W 1979 roku zadurzyła się we włoskim kelnerze, Marco Vitulano. W 1981 roku młodzieniec wrócił do Włoch w celu odbycia służby wojskowej, a Carole podążyła za nim na początku 1982 roku. Nie znała włoskiego i po raz pierwszy znalazła się sama za granicą. Gdy przekonała się, że Marco już się nią nie interesuje, doznała szoku. Bogata Włoszka, Emanuela Ricci, zatrudniła dziewczynę jako opiekunkę swego dwuletniego synka Emanuela. Kiedy matka dziecka wyjechała na wakacje, Carole z chłopczykiem została w miejscowości Ortisei we Włoskich Alpach. Mieszkali razem z Luigim, dziadkiem Emanuela, i

opiekującą się starcem pielęgniarką Nicole. Obie młode kobiety wyszły pewnego wieczora na spacer i po powrocie ujrzały, że dom płonie. Nikt nie doznał obrażeń, ale budynek poważnie ucierpiał od pożaru. Znaleziono dla mieszkańców tymczasowe lokum w Ortisei. Następnego dnia ogień zaczął tlić się w pojemniku na śmieci stojącym we wnęce pokoju, który Carole zajmowała wspólnie z Nicole. Oskarżona o zaprószenie ognia papierosem Carole oświadczyła, iż jest niepaląca. Kilka dni później, gdy młoda Szkotka była razem z Emanuelem i starszym panem, poczuli zapach dymu. Zapalił się środek łóżka Luigiego Rizzi. Ogień szybko ugaszono, ale Carole wiedziała, że podejrzenie pada na nią i czuła się jeszcze bardziej nieszczęśliwa niż dotąd - zwłaszcza iż straciła pracę i odesłano ją do Rzymu.

Została następnie opiekunką trzyletniej Agnese, córeczki Danieli Tonti i Luigiego Cecchini. Wkrótce wraz z Agnese i jej matką Carole znalazła się na Elbie, gdzie gościły u rodziców Luigiego. Stara pani Cecchini okazywała młodej Szkotce jawną wrogość. „Dlaczego wleczesz ze sobą znowu jakąś Angielkę? -pytała Daniele. - Czemu nie zatrudnisz Włoszki?" Zakłopotana pracodawczyni wyjaśniła Carole, że jej teściowa ma bardzo konserwatywne poglądy, a w dodatku nie znosiła poprzedniej niani, również Szkotki.

Na nieszczęście nie trzeba było długo czekać. Następnego dnia Carole była wraz z Agnese w łazience, gdy z pokoju dziadków zaczął wydobywać się dym. Nie stało się nic złego: ucierpiał tylko trochę materac, ale nikt nie potrafił wytłumaczyć, jak doszło do pożaru. Tegoż wieczora, gdy Carole weszła w ślad za gospodynią do saloniku, ze stołu spadła na podłogę jakaś statuetka. Stara Włoszka spojrzała na dziewczynę z nienawiścią i mruknęła „strega!" Daniela zabroniła Carole wchodzić do pokoju Agnese, gdy dziecko spało. Wkrótce z sypialni zaczął wydobywać się dym. Tliło się łóżko, w którym spała malutka. Babka zaczęła wykrzykiwać „strega!", a Carole wyprowadzono z domu i uwięziono. Wezwano policję i rozpoczęła się dla dziewczyny straszliwa próba. Oskarżono ją o podpalenie i usiłowanie zabójstwa. Spędziła siedemnaście miesięcy w więzieniu, zanim proces się rozpoczął.

Pięć pożarów w ciągu dwudziestu trzech dni?! Szerzyły się plotki o „piromane scozzese" (Szkotce-piromance); oskarżano ją także o próbę zabicia Agnese za pomocą czarów. Carole przeżywała prawdziwe piekło. Jej adwokat, który zdążył już skontaktować się z Benderem i Playfairem, chciał oprzeć obronę na paranormalnym charakterze zjawisk. Oszołomiona Carole protestowała: Jeśli powiem, że jestem czarownicą, to mnie uwolnią?!"

Podczas procesu profesor Vitolo Nicolo z uniwersytetu w Pizie, który zbadał podpalone łóżka w domu Cecchinich, przyznał, iż jest zdezorientowany. Materace były opalone tylko z wierzchu, za każdym razem ślad był w tym samym miejscu. „Oba pożary miały identyczne cechy charakterystyczne: wysoka temperatura przy braku płomieni - stwierdził ekspert podczas procesu. - Poza tym ogień posuwał się ku dołowi a nie rozszerzał w górę, co jest zdumiewające. Podobne ślady mogło pozostawić nadmiernie rozpalone żelazko, ale nie zapalniczka, zapałki czy inne źródło otwartego płomienia". Ekspert dodał jeszcze: „W ciągu moich czterdziestopięcioletnich kontaktów z przypadkami tego typu nigdy nie zetknąłem się z podobnym pożarem. Spowodowało je źródło bardzo intensywnego gorąca, ale nie był to płomień. Nie umiem określić jego przyczyny".

Inni eksperci byli równie zdezorientowani. „Nigdy dotąd nie widziałem takiego pożaru" - oświadczył Teodoro Comploi, naczelnik straży pożarnej w Ortisei. Przypomniał on również, iż ogień w domu Rizzich także rozszerzał się w dół, a nie ku górze, Carole zaś nie oddalała się ani razu na tak długo, by zdążyła przez ten czas podpalić łóżko Luigiego.

Cóż się wobec tego wydarzyło?

Inni niedawno odkryci sprawcy pożarów

Przebadawszy ponad sześćdziesiąt podobnych przypadków, Hans Bender kojarzy takie pożary ze zjawiskiem „powrotnej spontanicznej psychokinezy". Bender twierdzi, że nieszczęśni sprawcy tego fenomenu nie mają pojęcia o swoim udziale w wydarzeniach. (źródłem tych zjawisk są zazwyczaj zaburzenia osobowości wywołane stresem). Playfair twierdzi, iż podobne wydarzenia bywają efektem zakłóceń psychosomatycznych, a ich sprawcy są „kryminalistami" w takim samym stopniu jak ktoś, kto zaraził inną osobę różyczką. Playfair sugeruje też, że do powstania pożarów mogła przyczynić się nie tylko Carole, choć prawdopodobnie jej osobisty dramat uruchomił mechanizm wydarzeń. (Znamienne, iż w obecności wzgardzonej przez kochanka dziewczyny, której przyszło opiekować się dziećmi szczęśliwie zakochanych par, płonęły właśnie łóżka!). Przyczyniły się jednak do powstania fenomenu także postawy innych osób (na przykład wrogość babki Cecchini).

Dla podtrzymania swego twierdzenia, w posłowiu do książki wydanej przez Geraida Cole'a i Carole Compton, Playfair wymienia inne przypadki, świadczące o tym, że manifestacja powrotnej spontanicznej psychokinezy następuje tylko dzięki swoistemu, nieświadomemu współdziałaniu całej grupy ludzi.

I tak, w 1978 roku w Holloway (pomocnej dzielnicy Londynu) wzywano aż siedmiokrotnie straż pożarną do mieszkania pewnego bezdzietnego małżeństwa. Ich meble, między innymi łóżko, ustawicznie zajmowały się ogniem bez widocznej przyczyny. W mieszkaniu tym ponadto same zapalały się i gasły lampy, otwierały się i zamykały drzwi, a książki sfruwały z półek. „W życiu nie widziałem czegoś podobnego!" - oświadczył strażak, który był przy tym obecny, a naczelnik lokalnej ochrony przeciwpożarowej stwierdził: „Nie dostrzegam żadnej przyczyny - nie mam pojęcia, jak one [pożary] wybuchły".

W sierpniu 1979 roku francuska wioska Seron w Pirenejach ucierpiała na skutek dziewięćdziesięciu ośmiu pożarów, z których każdy rozpoczął się od zapalenia łóżka lub bielizny pościelowej. Aresztowano dwóch młodych ludzi, postawiono przed sądem i uznano za winnych. Później, gdy emocje opadły, darowano im karę ze względu na brak dowodów i wypuszczono na wolność. Nie odkryto żadnej przyczyny powstawania tych pożarów - można było tylko wysnuwać różne wnioski z faktu, że paliły się właśnie łóżka, w których - jak to się mówi - „kochankowie płoną z miłości".

Inny przypadek, cytowany przez Playfaira, miał miejsce w Brazylii i został utrwalony na brazylijskim filmie telewizyjnym. Bez żadnej widocznej przyczyny w łóżku pojawia się ogień i rozszerza na materace. Ukazuje się (przed kamerą) ksiądz jezuita, wyjaśnia ów fenomen w naukowych terminach. Zapewnia poszkodowaną rodzinę, że problem został rozwiązany, udziela błogosławieństwa i znika. Zaraz po jego wyjściu ogień pojawia się ponownie.

I jeszcze raz Brazylia: w 1970 roku w Suzano, w niewielkim jednorodzinnym domku wybuchło bez powodu aż szesnaście pożarów. Materace, kanapa, ubrania - wraz z szafą - obróciły się w popiół. Do grona naocznych świadków należeli naczelnik miejscowej policji i ekspert sądowy. Policjant opisywał, że materace tliły się od środka, bez widocznej przyczyny. Ekspert wspomniał Playfairowi o kamieniach, które toczyły się same po pokoju.

Chociaż sprzeczne ze zdrowym rozsądkiem, wydarzenia tego rodzaju nie należą do rzadkości. Alan Gauld, zajmujący się historią badań metapsychicznych, sporządził spis pięciuset takich przypadków - najwcześniejsze pochodziły z VI wieku n.e.; w pięćdziesięciu trzech powtarzał się element podpalenia.

Często łączą się z pożarami ataki poltergeista. W wydanej w 1932 roku książce *Wild Talents* (Dzikie talenty) Charles Fort odnotował liczne przypadki podobne do historii Carole Compton. Jeden - również związany ze Szkocją - wydarzył się w 1878 roku w Glasgow. Pożary, w połączeniu z „głośnymi stukami", zaczęły bez powodu powtarzać się na farmie Johna Shattocka. Podejrzenie inspektora policji padło na dwunastoletnią Ann Kidner. Zauważył bowiem, że bróg siana nagle buchnął płomieniem, gdy dziewczynka przeszła obok niego. Oskarżono ją o celowe rozrzucanie płonących zapałek, została jednak zwolniona z braku dostatecznych dowodów. Dwa lata później „szatańskie moce" rozpętały siew hotelu w Hudson (niedaleko Quebec); szalały przez dwa tygodnie: „meble zachowywały się bardzo niespokojnie, a najbardziej pobudliwe były łóżka". Pożar w jednym ze stajennych boksów udało się zdławić. Wkrótce jednak wybuchł następny i chociaż ksiądz pokropił stajnie święconą wodą, w końcu spłonęły.

Fort zwraca uwagę na to, że choć w niektórych przypadkach budynki ulegały zniszczeniu, ogień zazwyczaj wybuchał w jednym miejscu i nie rozprzestrzeniał się. Fenomeny te łączyły się przeważnie z obecnością jakiejś dziewczyny - w wieku od dwunastu do dwudziestu lat. Pożary rzadko wybuchały w nocy, kiedy mogły wyrządzić najwięcej zła. Jest to doprawdy osobliwa cecha".

W 1922 roku w miejscowości Antigonish (w Nowej Szkocji) Alexander MacDonald wraz z rodziną został zmuszony do opuszczenia domu przez „tajemnicze pożary", niezwykłe hałasy oraz „wędrujące naczynia". Badający ten przypadek psycholog, dr Walter Franklin Price, stwierdził, że fenomeny koncentrowały się wokół przybranej córki MacDonalda, Mary Ellen. Wypytując sąsiadów, Price zebrał relacje o dziesiątkach pożarów, które wybuchały w obecności dziewczyny.

Cytując przypadek z 1882 roku, dotyczący A.W. Underwooda, dwudziestoczteroletniego Murzyna, który zapalał podobno oddechem chusteczki i uschłe liście (poddano go bardzo dokładnym badaniom, by wykluczyć możliwość oszustwa). Fort jest zdania, iż podobne wywoływanie pożarów było w pradawnych czasach dobrze znanym zjawiskiem. Obdarzone taką mocą osoby po prostu musiały - chcąc nie chcąc -od czasu do czasu spowodować jakiś pożar. Ich talenty były zapewne bardzo cenione w pierwotnych społecznościach. Dziś jednakiego rodzaju zdolności nie budzą zaufania i zaprzecza się ich istnieniu (czynią tak nawet osoby nimi obdarowane!) lub też uważa sieje za cechy demoniczne albo skłonności przestępcze. Mimo to ciągle napływają nowe relacje.

Odporność na ogień wynikająca ze świętości

Zjawiskiem pokrewnym jest odporność na ogień; tego rodzaju fenomeny Thurston dzieli na cztery grupy. Pierwszą z nich stanowią przypadki powszechnie uważane za dowód wyjątkowej świątobliwości. Drugą - wydarzenia związame z ludźmi obdarzonymi wrodzoną odpornością na wysokie temperatury. Trzecia grupa to sytuacje, gdy medium wpadłszy w trans (na przykład D.D. Home) dotyka ogień bez szkody dla siebie, a nawet przekazuje tę odporność innym. I na koniec rytualne „ogniowe spacery", podczas których poszczególne osoby lub całe grupy przechadzają się po przygotowanej uprzednio warstwie płonących węgli lub rozżarzonych kamieni, nie ponosząc żadnych obrażeń.

Ogólnie znany wczesny przypadek cudownej odporności na ogień został opisany w Księdze Daniela (3, 13-50). Jest to opowieść z czasów niewoli babilońskiej, gdy trzej przywódcy żydowscy: Szadrak, Meszak i Abed-Nego odmówili złożenia czci złotemu bożkowi króla Nabuchodonozora. Rozgniewany władca zagroził, że wrzuci ich do rozpalonego pieca. „Rób, co chcesz" - odpowiedzieli. Jeszcze bardziej rozwścieczony Nabuchodonozor kazał rozpalić ogień siedmiokrotnie gwałtowniejszy niż zazwyczaj, związać nieposłusznych i wrzucić ich do pieca. Młodzieńcy jednak wytrzymali to i spacerowali wśród płomieni, śpiewając pieśni na cześć swego Boga. „Słudzy królewscy, którzy ich wrzucili, nie ustawali w rozpalaniu pieca naftą, smołą, pakułami i chrustem, tak iż płomień wznosił się 49 łokci ponad piec i rozprzestrzeniając się spalił tych Chaldejczyków, którzy znaleźli się koło pieca. Jednak Anioł Pański zstąpił do pieca [...] i usunął płomień ognia, sprowadzając do środka orzeźwiający powiew wiatru..."

Równie interesujące (i wątpliwe) są inne wczesne przypadki cytowane przez Thurstona. (Większość z nich pochodzi z wydanej w 1931 roku książki Oliviera Leroya *Les Hommes Salamandres* [Ludzie-salamandry]). Na przykład historia św. Polikarpa ze Smyrny, skazanego na spalenie żywcem w 155 lub 156 roku n.e. Drwa gorzały ogniście, ale płomienie tworzyły jakby łuk nad świętym, nie wyrządzając mu żadnej szkody. Gdy przebito zaś św. Polikarpa włócznią, tryskająca z rany krew zagasiła ogień; kiedy rozniecono go na nowo, ciało nieżyjącego już świętego natychmiast obróciło się w popiół. Równie niewiarygodne są inne opowieści o tym, jak chrześcijanie, chcąc udowodnić poganom moc swojej wiary, wyławiali złote pierścienie z gorejących płomieni lub kotłów wrzącej wody, nie doznając żadnego uszczerbku.

Przypadek błogosławionego Jana (Giovanniego) Buono jest lepiej udokumentowany. Podczas odbywających się w 1251 roku przesłuchań w procesie beatyfikacyjnym tego pustelnika z zakonu augustianów (dwa lata po jego śmierci) zeznawał niejaki ojciec Salveti. Opowiedział on, iż pewnego mroźnego, zimowego dnia bracia zakonni zgromadzili się wokół płonącego ognia. Brat Joachim poczuł pokusę zerwania ślubów zakonnych. Wówczas Giovanni Buono przemówił, sławiąc potęgę wiary. By dowieść, że nie należy lękać się ni mrozu, ani żaru:

nagle podniósł się i wszedłszy w ogień począł brodzić – wśród rozżarzonych węgli niczym po wodzie i pozostał w ogniu tak długo, iż zdążyłbyś odmówić do połowy „Miserere ". Potem wyszedł z płomieni i wrócił do swej celi, wzywając do siebie brata Mateusza i składającego to zeznanie [ojca Salveti]... który... przeświadczony, że brat Jan poparzył się od płonących węgli... zbliżył się doń..., by lepiej go zbadać i zaobserwować, jak dalece ucierpiały stopy, nogi i habit. Choć jednak oglądał je z bliska, nie dostrzegł ni śladu poparzenia, ani żadnych innych obrażeń.

Wzięty w krzyżowy ogień pytań ojciec Salveti przyznał, iż wydarzenie to miało miejsce przed osiemnastu laty; jednakże brat Mateusz zeznał to samo co on i podkreślił, że warstwa rozżarzonych węgli była bardzo gruba.

Inny zdumiewający przypadek, cytowany przez Leroya, został ujawniony podczas procesu kanonizacyjnego św. Franciszka z Pauli (1416-1507). Święty nie tylko sam był odporny na ogień, ale podobno mógł udzielać tej mocy innym. Oto przykład: w piecu do prażenia wapna płonął już ogień, a jego dach zaczął się walić. Drzwiczki były tak niskie, że dorosły człowiek nie mógł się przez nie przedostać. Wówczas św. Franciszek wręczył kij pewnemu chłopcu, nakazując mu wpełznąć do środka i podeprzeć owym kijem strop. Uspokoił dziecko, iż nic mu się nie stanie - co się podobno spełniło. Święty Franciszek miał również zanurzyć ramię w kotle wrzącego oleju, kiedy indziej zaś ługu. Raz, gdy płomienie buchały ze szczelin nieudolnie skleconego pieca, zatykał bosą stopą każdą szparę po kolei, dopóki nie przyniesiono gliny do zalepienia dziur. Kiedy indziej znów biskup polecił dwóm duchownym wypróbować świętego Franciszka, wyszydzając umartwienia, jakie praktykował. „Dla ciebie to nic trudnego - oświadczyli mu - przecież jesteś prostym chłopem, przywykłym do twardego życia".

Zeznali potem, iż brat Franciszek odparł: „To prawda, że jestem prostym chłopem; gdybym nim nie był, nie mógłbym zrobić czegoś takiego" - mówiąc to pochylił się nad ogniem, wielkim i gwałtownie płonącym. Zagarnął naręcze gorejących

drew i węgli, i trzymając je zwrócił się do kanonika: - „Nie zdołałbym tego uczynić, nie będąc gruboskórnym chłopem".

Kolejny przypadek dotyczy stygmatyczki, św. Katarzyny Sieneńskiej (1347-1380). Siedziała w kuchni obracając rożen i ogarnięta ekstazą wpadła do ognia. Siostra Lisa, która na krótko opuściła kuchnię, po powrocie zastała Katarzynę:

...leżącą na rozżarzonych węglach. Ogień był wielki i gwałtownie płonął, gdyż w budynku było zawsze wyjątkowo dużo drewna na opał ze względu na farbowane tam tkaniny. „ Co za nieszczęście! - zawołała Lisa. - Siostra Katarzyna się poparzyła! " Podbiegła do niej i wyciągnęła ją z dymiących węgli, ale ze zdumieniem przekonała się, że święta nie doznała żadnej szkody. Nawet jej szaty nie ucierpiały ani nie przesiąkły dymem. „A wszakoż - zapewnia archaiczną angielszczyzną biograf świętej - był to potężny żar, ona zaś długo w nim spoczywała ". Widać płomień Bożej miłości, gorejący w jej sercu, okazał się zbyt - wielki, by zaćmił go zwykły, ziemski ogień.

Odporność na ogień nie związana ze świętością

Przypadek z 1882 roku, dotyczący A.W. Underwooda, podpalającego oddechem chusteczki lub suche liście, dowodzi jednak, że nie tylko umiłowanie Boga daje odporność na ogień. Niektórzy ludzie wydają się obdarzeni tą zdolnością bez względu na swe przekonania religijne - lub ich brak. Leroy wspomina o incydencie z 8 października 1672 roku, którego naocznym świadkiem był angielski pamiętnikarz John Evelyn. Po proszonym obiedzie w Leicester House w Londynie wystąpił na życzenie pani domu, lady Sunderland, „sławny połykacz ognia Richardson". Evelyn przypatrywał się, jak sztukmistrz:.

...pochłaniał na naszych oczach płonące węgle z siarką, gryząc je i połykając; roztopił szklanicę od piwa i połknął szkło; potem wziął na język tlący węgielek, położył na nim surową ostrygę. Podsycany miechem węgiel zapłonął mocniej i świecił w jego ustach; trwało to tak długo, że ostryga otworzyła się i całkiem ugotowała. Potem Richardson roztopił smołę i wosk z siarką i wypił płonącą mieszaninę; widać było przez dłuższą chwilę w jego ustach gorejący płyn. Wziął też solidny kawał żelaza, wielkości duszy od żelazka, jakiej używają praczki. Gdy żelazo było rozpalone, wziął je w zęby, potem do ręki i przerzucał z dłoni w dłoń niczym kamyk; widać było jednak, że woli nie trzymać go w ręku zbyt długo. Potem stanął na niewielkim kotle i pochylając się chwycił ustami rozpalone żelazo znajdujące się pomiędzy jego stopami. Nie tknął przy tym ani kotła, ani gruntu rękoma; dokonał też innych zadziwiających czynów.

Thurston odnotowuje, że Richardson był równie sławny we Francji, jak i w Anglii, a zamieszczona na łamach czasopisma naukowego „Joumal des Savants" relacja z 1677 roku pokrywa się z raportem Evelyna. Następnie cytuje opis „niezwykłego wydarzenia", opublikowany w „New Herald Tribune" w dniu 7 września 1871 roku. Wiązało się ono z osobą Nathana Cokera, kowala z Easton w stanie Maryland, który popisywał się swymi talentami przed gronem miejscowych notabli. Rozżarzono do białości łopatę, Coker „ściągnął buty i przycisnąwszy stopy do rozpalonego metalu trzymał, dopóki łopata nie wystygła i poczerniała". Trzej obecni przy tym lekarze zbadali je, nie znaleźli jednak żadnych obrażeń. Ów Coker - noszący bardzo odpowiednie miano! (kojarzy się ono Anglikom ze słowami „coke" - koks oraz „cooker" - piec kuchenny) - lizał następnie rozżarzoną powtórnie łopatę, aż wystygła. Obracał w ustach roztopiony ołów, póki bryłka nie stwardniała. Wyjmował gołymi rękami płonące węgle z pieca i trzymał je przez chwilę w dłoni. Badający go lekarze stwierdzili, że jego ręce w żaden sposób nie ucierpiały.

Piję tylko wrzącą kawę - oświadczył Coker korespondentowi „Herolda ". Znacznie bardziej bolałoby mnie wypicie zimnej wody.

Równie zdumiewający był oglądany w Honolulu występ połykacza ognia podróżującego z wędrownym wesołym miasteczkiem. Obserwował to widowisko Max Freedom Long. W swej książce The Secret Science Behind Miracies (Magia cudów) Long opowiada, że ów sztukmistrz występował w niewielkim namiocie, w odległości zaledwie 90-180 centymetrów od publiczności. Pił wrzącą wodę, gryzł płonący węgiel, lizał rozżarzone do czerwoności sztaby żelaza; z jego języka unosiła się z sykiem para. Co więcej, wziął palnik spawalniczy i zanurzył płomień w gardło aż po niebiesko-zielony tnący stożek, a potem dał widzom do zbadania palnik i „powtórnie wsadził go do ust. Otworzył je tak szeroko, iż widać było ogień igrający u wylotu przytrzymywanego wargami palnika". Następnie, wziąwszy w zęby rozpalone do czerwoności żelazo, trzymał je tak „prawie dziesięć sekund", a rękoma wygiął je dwukrotnie pośrodku. Long zbadał zęby sztukmistrza i przekonał się, że są zdrowe i wcale nie sztuczne. Dentysta, którego Long zaprosił na następny występ, zapewnił go, iż w normalnych okoliczno-ściach taki

kontakt zniszczyłby nerwy, zrujnował same zęby i spowodował owrzodzenia. W dodatku jeszcze ten palnik!...

Sztukmistrz zwierzył się potem Longowi, iż jego rodzice (biali) porzucili go w rezerwacie Indian. Tamtejsi „chodzący po ogniu" zaopiekowali się dzieckiem i wychowali je. Chłopiec codziennie siadywał przed oliwną lampką, starając się wyczuć obecność bóstwa w jej płomieniu.

Po jakimś czasie i on zaczął stopniowo odczuwać obecność jakiejś świadomej istoty związanej w nieokreślony sposób z płomieniem, lecz niewidzialnej i niedostrzegalnej innymi zmysłami. Niebawem potrafił już prosić tę istotę o odporność na ogień i otrzymywał ją. Chłopca nie poddawano żadnym ceremoniom oczyszczania, a on ze swej strony przestrzegał obowiązującej reguły zabraniającej krzywdzenia bliźnich, tak by nie musiał wstydzić się swych postępków. Przez całe życie trzymał się tej zasady. Odkąd rozpoczął magiczną działalność na scenie, nie musiał modlić się o odporność na ogień. Kiedy dotykał płomieni lub rozżarzonych przedmiotów, prośba o opiekę automatycznie rodziła się w jego psychice i zawsze otrzymywał wsparcie.

Innego rodzaju odporność na ogień przejawiają osoby, które - jak A.W. Underwood - w sposób świadomy lub bezwiedny przyciągają lub wywołują ogień. W książce pt.*Phenomena* Michell i Rickard wspominają Lily Wbite, dziewczynę z Antiguy, której odzież nagle zapalała się, pozostawiając ją nagą, lecz nie draśniętą. Niekiedy zdarzało się to na ulicy. „New York Times" z 25 sierpnia 1929 roku relacjonował, że dziewczyna musi pożyczać garderobę od sąsiadów, a jej pościel nieraz zapala się podczas snu - Lily jednak nie dzieje się żadna krzywda. Również londyńska gazeta „Daiły Maił" zamieściła 13 grudnia 1921 roku reportaż o chłopcu, którego wraz z matką zmuszono do opuszczenia domu, gdyż sąsiedzi widzieli podobno płomienie pełzające po śpiącym dziecku i liżące jego poduszkę. Jeśli zaś chodzi o Ninę Kułaginą, rosyjskie medium o zdolnościach telekinetycznych, to radziecki parapsycholog, dr Genadij Siergiejew, tak wypowiedział się na jej temat na łamach londyńskiego czasopisma „Sunday People" z 14 marca 1976 roku: „Czerpie w jakiś sposób energię z otoczenia -wykazują to urządzenia elektryczne. Kilkakrotnie prąd przepływający przez jej ciało pozostawił około 10-centymetrowe oparzenia na jej dłoniach i ramionach... Stałem kiedyś obok niej, gdy od takiego przypływu energii zajęło się na niej ubranie - dosłownie buchnęło płomieniem. Pomogłem ugasić ogień i zachowałem resztki spalonej odzieży jako niezwykły okaz".

Dlaczego jednak ogień (nie należący widać do „zwykłego" gatunku) jest taki wybiórczy? W latach pięćdziesiątych XVIII wieku mieszkająca w Paryżu Marie Sonet, zwana „kobietą-salamandrą" (stąd tytuł książki Leroya) nieraz leżała przez pół godziny, usztywniona, nad piecykiem koksowym, owinięta prześcieradłem, z głową i stopami opartymi na stołkach. (Owo usztywnienie ciała przypomina wyczyny niektórych kwitujących, na przykład Subbayaha Pullavara w latach trzydziestych naszego wieku). W tej pozycji ani otoczona płomieniami Marie, ani nawet otulające ją prześcieradło nie doznawały żadnej szkody. Kiedy indziej znów Marie Sonet wtykała do piecyka nogi w pończochach i butach - i wyjmowała je stamtąd dopiero wówczas, gdy obuwie i pończochy spłonęły. Jak to pojąć? Czy wpadała wówczas w trans? A jeżeli nawet tak było, to jakim sposobem wywracała do góry nogami prawa natury?!

Odporność ogniowa medium: znowu D.D. Home

Wyczyny sławnego medium, Daniela Dunglassa Home'a (1833-1886) były podziwiane jeszcze za życia przez szerokie kręgi wielbicieli jego talentów. Należały do nich nie tylko lewitacje i inne fenomeny, ale odporność na ogień, a także (jak u św. Franciszka z Pauli) umiejętność przekazywania tej cechy innym. W swojej książce Experiences with D.D.Home (Eksperymenty z udziałem D.D. Home'a), opublikowanej w 1870 roku, lord Adare opisuje, że 30 listopada 1868 roku - w pewnym domu w londyńskiej dzielnicy Norwood - Home, wpadłszy w trans:

...podszedł do ognia i gołymi rękami rozgarnął tlejące węgle, tak iż buchnęły płomieniem; następnie przyklęknął, położył twarz i zanurzał ją w nich jak w wodzie. Podniósłszy się, trzymał przez chwilę palec w płomieniu świecy. Niebawem ponownie wziął do ręki grudkę węgla i podszedł z nią do nas, podmuchując, by jaśniej się żarzyła. Okrążył powoli stół i oświadczył; „ Ciekaw jestem, który z was najbardziej się nada. Ach, tak! Adare będzie najodpowiedniejszy, gdyż najczęściej przebywał z Donem" [miał na myśli siebie].

Pan Jencken wyciągnął dłoń ze słowami: „Daj mnie!". Home odparł; „Nie, dotknij i przekonaj się sam ". Jencken dotknął węgla końcem palca i sparzył się. Home zbliżył węgiel do dłoni panów Sarlaapotem Harta na jakieś 10-12 centymetrów. Nie mogli znieść żaru. Podszedł więc do mnie i powiedział: „Jeśli się nie boisz, wyciągnij rękę". Uczyniłem to i Home, wykonawszy pospiesznie dwa gesty nad moją dłonią,umieścił na niej węgiel. Trzymałem go chyba pól minuty, mógłbym się przez ten czas strasznie poparzyć - ale węgiel nie wydawał mi się nawet bardzo ciepły. W końcu Home odebrał mi go, roześmiał się i wyglądał na ogromnie zadowolonego.

Lord Adare przed opublikowaniem tej relacji przedstawił ją wszystkim osobom, które były wówczas obecne. Każda z nich stwierdziła, że opis jest wiemy. Innym błękitnokrwistym świadkiem był lord Lindsay, który w 1869 roku relacjonował o podobnych fenomenach przed komitetem Towarzystwa Dialektycznego. „Osiem razy miałem w ręku rozpalony do czerwoności węgiel i nie doznałem żadnej krzywdy, choć gdy uniosłem dłoń, poczułem na twarzy bijący od niego żar". Kiedy indziej znów Lindsay (który został później członkiem Królewskiego Towarzystwa) zauważył, że z głowy Home'a wydobywają się języki ognia. „Wszyscy wówczas usłyszeliśmy wyraźnie... jak wokół pokoju przeleciał jakiś ptak, gwiżdżąc i poćwierkując. Następnie rozległ się szum gwałtownego wiatru, który napełnił pomieszczenie".

Home przemówił potem w jakimś niezrozumiałym języku - w końcu zaś wyjaśnił, że było to powtórzenie wydarzeń Pięćdziesiątnicy (Zielonych Świąt), gdy Duch Święty zstąpił na apostołów w postaci języków ognia.*)

Dz.Ap. 2,1-4; „Kiedy nadszedł wreszcie dzień Pięćdziesiątnicy, znajdowali się wszyscy razem na tym samym miejscu. Nagle dał się słyszeć z nieba szum, jakby uderzenie gwałtownego wichru, i napełnił cały dom, w którym przebywali. Ukazały się im też języki jakby z ognia, które się rozdzieliły, i na każdym z nich spoczął jeden. I wszyscy zostali napełnieni Duchem Świętym, i zaczęli mówić obcymi językami, tak jak im Duch pozwalał mówić"(przyp. tłum).

Odnotowano wiele innych przypadków odporności ogniowej D.D. Home'a, między innymi podczas londyńskiego seansu w 1873 roku, w którym uczestniczył Stainton Moses (1839-1892). Był on początkowo zażartym przeciwnikiem spirytyzmu i wszelkich fenomenów tego rodzaju. (Nazwał książkę Adare'a o Hornie „najwierutniejszą bzdurą, z jaką się zetknął"). Z czasem jednak stanowisko Mosesa uległo diametralnej zmianie. Odnotował, że wspomnianego już wieczora Hornie „porozumiewał się z duchami za pomocą gestów" siedząc na dywanie koło kominka. Nagle „zmierzwił swe bujne włosy, aż nastroszyły się jak miotła, a potem z rozmysłem pochylił się i złożył głowę na płonących jasno drwach". Wynurzywszy się z ognia bez szwanku, Home „podszedł do każdego z nas po kolei, byśmy się przekonali, iż włosy nie pachną mu spalenizną. Nie było ani śladu tej woni".

Home twierdził, że zawdzięcza swe niezwykłe moce „duchom", choć mówił bardzo mętnie na temat ich natury i pochodzenia. Jeśli chodzi o świadków zapewniających, iż posiadał on istotnie niezwykłe uzdolnienia, to nawet całe lata bezlitosnych szyderstw (nie szczędzono ich niektórym z jego zwolenników!) nie sprawiły, by ktoś z nich zmienił swoje pierwotne zeznania. Gdy w 1889 roku sir William Crookes opublikował kompletne wydanie swych Notes on Seances with D.D.Home (Relacji z seansów z udziałem D.D.Home'a) w sprawozdaniach Towarzystwa Badań Metapsychicznych, stwierdził, że „niczego nie pominął ani nie zmienił".

Niemniej jednak, niektórzy nie potrafią zaakceptować podobnych opisów. Mają jednak kłopot: jak tu zaprzeczyć autentyczności „spacerów po ogniu", gdy nie tylko są należycie poświadczone, ale zjawisko to występuje coraz częściej na Zachodzie?

„Spacery po węglach"; najnowsze hobby

Wszedł obecnie w modę nowy bzik. Polega on na zdejmowaniu butów i skarpetek i spacerowaniu na bosaka - szybko albo powoli, jak komu serce dyktuje - po warstwie ogniście czerwonych, płonących węgli. Zazwyczaj takie „trasy spacerowe" mają około 6 metrów długości, a temperatura na powierzchni waha się od 800-950 stopni Celsjusza. W dodatku odbywają te przechadzki wśród płomieni nie członkowie jakichś tajemniczych, wschodnich sekt, wywodzących się ze starożytności, lecz spacerują tak dyrektorzy przedsiębiorstw, profesorowie wyższych uczelni oraz członkowie ruchów New Age, popierający rozwój „potencjału ludzkiego".

W czasopiśmie „Fate" (z grudnia 1994 roku) V. Fred Rayser z Yucca Valley w południowej Kalifornii zwierza się, że zwykła ciekawość skłoniła go do udziału w imprezie „chodzenia po węglach", zorganizowanej przez Dave'a Cosby'ego z Technologii Potencjału Ludzkiego Cosby'ego. Pan Rayser nie miał wcale zamiaru spacerować po rozżarzonych węglach, ale po trzygodzinnym seminarium - nie wiedzieć jak znalazł się na bosaka na skraju rowu wypełnionego ognistą masą. Ktoś klepnął go w ramię i polecił. „Marsz!" Powtarzając w duchu mantrę „cienisty mech" i walcząc z nieprzepartą chęcią ucieczki, Rayser ruszył biegiem - i bardzo szybko znalazł się na wilgotnej trawie po drugiej stronie.

Wcale nie czuł żaru. „Gdy moje stopy zagłębiały się w płonące węgle, miałem wrażenie, że brodzę w zeschłych liściach". Czuł przy tym „radosne podniecenie" - toteż odwrócił się na pięcie i przemierzył trasę jeszcze raz, „chcąc się upewnić, że nie

był to jakiś niesamowity zbieg okoliczności". Inni także „chodzili w tę i z powrotem, jak dzieciaki nie mogące nacieszyć się nową zabawką. Nikomu nie stało się nic złego".

Pan Rayser ze zdumieniem dowiedział się, że „Stany Zjednoczone stanowią światową potęgę w dziedzinie spacerów po ogniu. Gdzie indziej tego rodzaju przechadzki odbywaj ą przeważnie nieliczni członkowie sekt religijnych, w Stanach zaś organizuje się bardzo wiele seminariów, sesji szkoleniowych i innych imprez na tym polu. Według danych statystycznych ponad pięćset tysięcy Amerykanów spacerowało po rozżarzonych węglach!".

Można by przypuszczać, iż taki spacerek jest czymś prostszym (i bezpieczniejszym!) niż przejście na drugą stronę ulicy. Rayser dowiedział się od Cosby'ego, że umiejętność chodzenia po ogniu opiera się przede wszystkim na wyeliminowaniu lęku: należy powtarzać sobie w duchu hasła oparte na pozytywnym myśleniu: „Mogę to zrobić ja, więc potrafisz i ty!", „Umysł na pewno zadba, by ciału nie stało się nic złego!".

„Musicie zmienić swoje podejście do sprawy - utrzymuje Cosby, zapewniając, iż zdolność dokonania tego czynu opiera się na odrzuceniu powszechnie panujących uprzedzeń. - Wyobraźcie sobie, że opinie o niemożności chodzenia po ogniu wygłasza Myszka Miki lub Kaczor Donald. Jeśli uwierzycie, iż to tylko ich zdanie, nie potraktujecie tego poważnie".

Może dlatego Home wręczył płonący węgiel właśnie lordowi Adare? Znał on dobrze możliwości Home'a i był już jego „fanem". Jeśli zaś odwoływanie się do bohaterów filmów rysunkowych wydaje się niepoważne, tym lepiej! Żarciki (tak samo jak ekstaza religijna) odpędzają strach. Niemniej jednak, ten sztucznie wywołany stan umysłu, pozwalający bezpiecznie chodzić wśród ognia, nie trwa wiecznie. Cosby opowiedział Ray serowi, że po jednym takim przemarszu poczuł pieczenie w stopach. Węgielek utkwił mu pomiędzy palcami, a odporność znacznie się zmniejszyła. Co więcej, nagłe zakłócenie stanu euforii w trakcie spaceru może mieć tragiczne skutki. Cosby opowiedział o pewnym wydarzeniu w Japonii: ktoś w połowie „ogniowego spaceru" zatrzymał się, tknięty myślą, iż to, co robi, jest niewykonalne. Jego stopy zaczęły płonąć. Rayser twierdzi, że Cosby właśnie dlatego jest przeciwny fotografowaniu uczestników „ogniowych marszów": błysk flesza może spowodować szok wytrącający ich ze stanu tymczasowej odporności na ogień.

Takie rzeczowe podejście do sprawy bardzo odbiega od utartych wyobrażeń o szalbierstwie czy magicznych sztuczkach, które dla wielu mieszkańców Zachodu łączą się ze zrodzoną na Wschodzie sztuką ogniowych spacerów. A jednak - jak zauważył przed wiekiem znawca folkloru Andrew Lang, tego rodzaju praktyki są znane od dawna i uprawiano je dosłownie wszędzie, nawet w tzw. chrześcijańskich państwach Europy. Do dziś podczas świąt ku czci Konstantyna i jego matki, św. Heleny, greccy wieśniacy z Langadas tańczą na rozżarzonych węglach, ściskając w garści ikony z wizerunkami tych świętych.

Wiele osób nie potrafi jednak uznać spacerów po ogniu za wykonalne czy autentyczne. George Sandwith, inspektor z ramienia rządu brytyjskiego na wyspie Suva z archipelagu Fidżi, wyszedł z jednej z takich ceremonii w towarzystwie strasznie wzburzonego bankiera, W opublikowanej w 1959 roku książce Miracie Hunters (Łowcy cudów), Sandwith opowiada:

[Bankier] musiał przyznać (bardzo niechętnie), że spacer po ogniu był autentyczny, gdyż rzucił jakiś drobny przedmiot na warstwą węgli, a ten natychmiast zajął się ogniem. Był jednak przeświadczony, iż „ rząd powinien zabronić takich imprez ". Gdy spytałem go o powód, odparł – bardzo rozgniewany – że fenomen jest sprzeczny z osiągnięciami współczesnej nauki. Moja uwaga, że od uczestników ogniowego przemarszu można by się czegoś nauczyć, rozwścieczyła bankiera. Wykręcił się na pięcie i odszedł.

Max Freedom Long podaje, iż jego mentor, amerykański wszechstronny intelektualista William Tufts Brigham (ówczesny kustosz Bishop Museum w Honolulu), opowiedział mu o ogniowym spacerze, odbytym niegdyś wraz z trzema zaprzyjaźnionymi kahunami po powierzchni nie zastygłej jeszcze całkiem lawy - efektu wybuchu jednego z hawajskich wulkanów. W pobliżu panował straszliwy żar. Gdy tylko lawa zastygła na tyle, że można było na nią wejść, dotarli na sam brzeg.

„Powierzchnia lawy ciemniała, tylko gdzieniegdzie przecinały ją mieniące się smugi, tak jak to wygląda, kiedy stygnie żelazo, zanim kowal zanurzy je w kotle dla zahartowania. Serdecznie teraz żałowałem, że odważyłem się tam przyjść. Już na samą myśl o przejściu po tym piekle na drugą stronę brały mnie ciarki..."

Brigham nie był w stanie uwierzyć, że bogini ognia Pele obdarzy go odpornością na ogień, toteż rozbawił swoich przyjaciół kahunów odmawiając zdjęcia butów. Uznali to za doskonały dowcip - i za wspaniałą nauczkę dla niego. Brigham piekł się w okropnym żarze, a jego kompani zaintonowali jakieś zaklęcia, po czym „bez chwili wahania najstarszy z nich puścił się pędem po straszliwie gorącej magmie. Patrzyłem za nim z otwartymi ustami, a kiedy był już prawie na drugiej stronie - w odległości około 45 metrów od nas - ktoś pchnął mnie tak gwałtownie, iż miałem do wyboru: albo upaść twarzą na gorącą masę, albo złapać rytm biegu".

Czym się to zakończyło? Buty Bringhama zwęgliły się i zaczęły odpadać kawałkami. Jedna kłapiąca podeszwa sprawiała,

że potykał się co chwila. Skarpetki także zajęły się ogniem - ale na stopach nie miał najmniejszego pęcherza. Kiedy wreszcie poczuł bezpieczny grunt pod nogami, Brigham zobaczył „zanoszących się od śmiechu kahunów, jak pokazywali sobie obcas i dymiącą podeszwę mego lewego buta, leżące na lawie i spalone na skwarek".

Long nie bardzo wierzył w tę opowieść, podobnie jak Bringham nie brał na serio wszystkich relacji Longa - ale późniejsze badania (sam był świadkiem podobnego wydarzenia) przekonały go, że starszy pan nie próbował go nabrać.

W 1921 roku katolicki biskup Mysore w Indiach przesłał Leroyowi relację o zbiorowym przemarszu po ogniu. Odbywał się on pod kierunkiem muzułmanina, który sam w nim wprawdzie nie uczestniczył, postarał się jednak o to, by inni wzięli czynny udział - dosłownie spychając uczestników na warstwę płonących węgli. Na przerażonych twarzach - opowiadał biskup - wykwitał nagle pełen zdumienia uśmiech, gdy udało się bezpiecznie ukończyć ów marsz. Orkiestra dęta lokalnego maharadży (chrześcijanina) zdecydowała się na przemarsz przez płomienie: przebyli trasę dwukrotnie i nie ucierpieli od ognia ani muzykanci, którzy z werwą dęli w trąby i uderzali w czynele, ani nawet ich nuty.

Mimo licznych relacji tego rodzaju, mieszkańcy Zachodu, nawet parapsychologowie, okazywali nieufność. Jeden z pierwszych „naukowych testów" chodzenia po ogniu został przeprowadzony we wrześniu 1935 roku przez Harry'ego Price'a w Carshalton w hrabstwie Surrey. Eksperyment odbył się pod auspicjami Rady Badań Metapsychicznych przy uniwersytecie londyńskim. Hinduski fakir Kuda Bux zademonstrował - na oczach zgromadzonych dziennikarzy i naukowców - że potrafi przejść boso po warstwie płonących węgli. Temperatura na powierzchni wynosiła około 308, a w głębi około 1208 stopni Celsjusza - wystarczająco dużo, by roztopiła się stal. Młody muzułmanin przebył wypełniony węglami rów nie raz, lecz kilkakrotnie - i nie doznał żadnych obrażeń; wydarzenie sfilmowano. Kuda Bux twierdził, że potrafi uczynić odpornymi na ogień także innych, którzy pójdą w jego ślady - wszyscy jednak doznali niewielkich oparzeń. Być może zabrakło im stuprocentowej wiary. Inny Hindus, Ahmed Hussain, powtórzył wyczyn pokonując ten sam 3,6-metrowy rów. Stwierdzono, że po tym spacerze temperatura jego stóp OBNIŻYŁA SIĘ o 10 stopni! Zachęciło to kilku „amatorów" - tym razem mieli oni w sobie dość wiary, by odbyć spacer bez urazów. Kiedy jednak trasę przedłużono do około 6 metrów, Hussain doznał lekkich oparzeń. Czyżby przyczyną była lokalizacja tej imprezy? W Surrey wierzy się w banki, a nie w takie cuda-niewidy jak chodzenie po ogniu. Może to nieprawda?!

Price ostatecznie doszedł do wniosku, że „każda osoba odznaczająca się należytą determinacją, wiarą i wytrwałością" może odbyć podobny spacer bez szwanku. Nie jest do tego potrzebna żadna wiedza tajemna ani wyjątkowy stan psychiczny. Być może miał słuszność, ale opinia Price'a, iż udany przemarsz wśród ognia zależy wyłącznie od powtarzających się rytmicznie króciutkich zetknięć stóp z ogniem, wydaje się równie naiwna jak - także pozornie rzeczowa - uwaga Marka Terencjusza Warrona (II wiek p.n.e. - jak widać; nic nowego pod słońcem!), że chodzący po ogniu używają specjalnego płynu chroniącego ich stopy.

W żadnym z opisanych wyżej przypadków nie przestrzegano specjalnego rytuału, ani nie przygotowywano uczestników do wpadnięcia w trans. Podobnie rzecz się miała ze E.G. Stephensonem, wykładającym w Japonii literaturę angielską. Profesor uczestniczył w Tokio w ceremonii sinto *). Nagle poczuł, że coś go skłania do odbycia przechadzki w 27-metrowym rowie, wypełnionym płonącym węglem drzewnym. Prowadzący ceremonię kapłan „przygotował" Stephensona do przemarszu, posypując mu głowę solą - po czym profesor, nie spiesząc się, powędrował przez ogień. Nie odczuwał niczego poza łaskotaniem. W pewnym momencie jednak coś zakłuło go w nodze. Potem dostrzegł niewielkie skaleczenie: prawdopodobnie stąpnął na ostry kamyk.

---

* Sinto, sintoizm: starożytna religia Japończyków, opierająca się na kulcie przyrody, przodków, bohaterów narodowych - oraz cesarza. Rozpowszechniona w Japonii na równi z buddyzmem. Sinto znaczy dosłownie „droga bogów" (przyp. tłum.).

Rayser, rozważając w swym artykule na łamach „Fate" wszystkie „jak" i „dlaczego" związane z chodzeniem po ogniu, odrzuca wszelkie wyjaśnienia fizyczne (bariera wilgotności, zahartowanie nóg) i psychofizjologiczne (zmiana aktywności mózgu, zablokowanie bólu za pomocą hipnozy). Zamiast tego konkluduje:, jedyny wniosek, jaki można wyciągnąć z chodzenia po ogniu, przedstawia się następująco: ma wówczas miejsce coś, co wykracza poza granice praw fizycznych - przynajmniej tych, które znamy... Ogień parzy, ale nie dotyczy to chodzących po nim. Podczas tego procesu następuje zmiana relacji ogień-ciało. Możemy określić to jako fenomen psychotroniczny".

Używając tego terminu Rayser nawiązuje do interakcji materii, energii i świadomości - której przykładem może być nieoczekiwana remisja u śmiertelnie chorego lub też wiara katolików, że eucharystyczny chleb i wino (Komunia Święta)

zostają fizycznie przemienione w ciało i krew Chrystusa. I tak oto wróciliśmy znów do fenomenów związanych z mistykami i uniesieniem religijnym. Zajmiemy się ludźmi jaśniejącymi i płonącymi, oraz tymi, których do tego stopnia przepełnia miłość do Boga, że - całkiem dosłownie - goreją żarliwą pobożnością.

Ludzie jaśniejący i płonący

W 1934 roku wielu ludzi ze zdumieniem dowiedziało się o signorze Annie Monaro. Ta słabowita, żarliwie religijna, cierpiąca na astmę Włoszka bardzo często pościła; wyróżniała się jednak czymś jeszcze, co sprawiło, że zasłynęła pod imieniem „Świetlistej kobiety z Pirano". W konkretne tygodnie podczas snu (po kilka sekund z rzędu) z jej piersi emanowało wyraźnie widoczne, błękitnawe światło. Serce Anny biło wówczas ze zdwojoną szybkością. Ten fenomen zaciekawił wielu medyków; próbowano wyjaśniać go na różne sposoby. „Elektryczne i magnetyczne mikroorganizmy rozwinęły się w ciele tej kobiety w niezwykle wysokim stopniu" - stwierdził jeden ekspert. „Elektromagnetyczna radiacja pochodzi z pewnych związków chemicznych zawartych w jej skórze" - konkludował inny. Londyński „Times" z 5 maja 1934 roku cytował niejakiego dr. Prottiego, który twierdził, iż zły stan zdrowia Anny Monaro w połączeniu z surowymi umartwieniami, jakie narzuciła sobie w okresie Wielkiego Postu, spowodował nadmiar siarczków w jej krwi. Normalne promieniowanie ciała ludzkiego mieści się w sferze nadfioletu; luminescencja powstała wskutek stymulacji siarczków nadfioletem.

Jest to - zapewniał dr Protti - najbardziej prawdopodobne wyjaśnienie. Krytycy tej teorii wykazali jednak, że nie tłumaczy ona niezwykłej lokalizacji i okresowości pojawiania się błękitnego światła. Co zaś się tyczy hipotezy promieniujących bakterii, żywiących się składnikami potu chorej, sam Protti zaobserwował, że Anna Monaro pociła się gwałtownie nie przed, lecz po emanacji światła. Krótko mówiąc, mimo iż niektóre inne przypadki ludzkiej radiacji wiązano ze zjawiskami elektromagnetycznymi, w sprawie Anny Monaro eksperci nie mieli pojęcia, w czym rzecz (i nadal go nie mają!).

Omawiając ten przypadek Thurston cytuje Prospera Lambertiniego (papieża Benedykta XIV), który oświadczył w połowie XVIII wieku, co następuje: „Jak się wydaje, istnieją naturalne płomienie, które czasami widomie otaczają ludzką głowę; również z całego ciała może w sposób naturalny emanować wewnętrzny ogień". Thurston zachowuje ostrożność i nie szafuje przy określaniu podobnych fenomenów słowem „cudowny"; przytacza jednak dwa inne niezwykłe przypadki, oba z XVII wieku.

Gdy w 1621 roku rozpoczął się proces beatyfikacyjny Bernardina Realino (zm. w 1616 roku), jeden ze świadków, signor Tobias de Ponte, znamienity mąż, zeznał pod przysięgą, że ok. 1608 roku, gdy udał się do ojca Bernardina, chcąc zasięgnąć porady, zastał drzwi świętego przymknięte. Stojąc przed nimi, dostrzegł bijący przez szpary blask - i zdumiał się, iż duchowny rozpalił ogień w połowie kwietnia. Uchyliwszy lekko drzwi, ujrzał ojca Bernardina na klęczkach, zatopionego w ekstazie i jaśniejącego; unosił się w powietrzu około 60 centymetrów nad ziemią. Przerażony de Ponte uciekł do domu. W krzyżowym ogniu pytań uparcie trzymał się zeznań. Sam usiłował wytłumaczyć sobie, iż ów blask (i lewitacja) były tylko złudzeniem albo grą świateł - ale był pewien, że zobaczył cud rzeczywiście. Inni świadkowie - choć żaden z nich nie widział ojca Bernardina unoszącego się w powietrzu - twierdzili, iż niekiedy jego twarz jaśniała blaskiem rozświetlającym cały pokój; niekiedy był bardzo silny, musieli odwracać wzrok. Widzieli też iskry, tryskające z ciała świętego niczym z ogniska.

Jerome da Silva, ostiariusz w kolegium jezuitów w Coimbra (Portugalia), oświadczył, iż któregoś popołudnia poszedł oznajmić wykładowcy teologii, ojcu Franciszkowi Suarezowi, o przybyciu znamienitego gościa. Kij tkwiący we drzwiach był znakiem, że Suarez nie życzy sobie, by mu przeszkadzano - jednak odźwiernemu polecił wcześniej zaanonsować gościa, gdy się tylko zjawi. Ostiariusz wszedł więc do środka. W pierwszym pomieszczeniu panowała ciemność - zamknięte szczelnie okiennice chroniły przed upałem. Odźwierny odezwał się, ale nie otrzymał odpowiedzi. Ujrzał za to „niezwykle silne światło" bijące przez szparę w kotarze na drzwiach pracowni teologa. Odsunął zasłonę i oto, co ujrzał;

...oślepiające światło... płynące z krucyfiksu, tak silne, że przypominało odblask słońca w szklanej szybie - poczułem, iż gdybym dłużej w nie spoglądał, całkiem by mnie oślepiło. Światło padało z krzyża na twarz i pierś ojca Suareza. Widziałem, jak klęczał w tym blasku przed krucyfiksem, z odsłoniętą głową i splecionymi rękami. Unosił się w powietrzu, jakieś pięć piędzi nad podłogą, na wysokości stołu, na którym stał krzyż.

Ostiariusz uciekł „ z włosem zjeżonym jak miotła" i czekał na zewnątrz. Kiedy Suarez wyszedł i dowiedział się o przybyciu gościa, spytał, czemu nie został o tym powiadomiony od razu. Wówczas da Sika wyznał, co zobaczył. „Łamiąc ręce, ze łzami w oczach" Suarez błagał go, by nikomu o tym nie wspominał. Ich wspólny spowiednik zasugerował następujące

rozwiązanie: da Silva złoży na piśmie zaprzysiężone zeznanie, nie wolno będzie jednak otworzyć dokumentu aż do śmierci Suareza. Zarówno da Silva, jak i spowiednik, ojciec de Morales, cieszyli się jak najlepszą opinią. „Sądzę - pisze Thurston - że tej relacji nie można lekkomyślnie odrzucić".

W obu przypadkach powtarzają się dwa elementy: oślepiające światło i unoszące się w powietrzu ciało - lewitacja. Istnieje jednak podstawowa różnica: światło biło z postaci Realina, Suareza zaś oświetlało. Thurston doradza wprawdzie ostrożność, ale przyznaje, że „tak często powtarzają się relacje o świątobliwych duchownych, którzy rozświetlali mroczną celę lub całą kaplicę blaskiem emanującym z ich postaci, że skłonny jestem przyjmować je całkiem dosłownie".

Mówiono więc o błogosławionym Idzim z Asyżu, iż pewnej nocy „bijący od niego blask całkiem zaćmił światło księżyca"; w celi zaś św. Ludwika Bertranda „było tak jasno, jakby płonęły tam najsilniejsze lampy". O św. Lidwinie ze Schiedamu Tomasz a Kempis pisze, co następuje:

Bardzo często... towarzyszki znajdywały ją otoczoną taką glorią, że ujrzawszy tę chwałę, tknięte niezwykłą bojaźnią, nie śmiały do niej przystąpić. I chociaż święta zawsze leżała w ciemnościach, gdyż oczy nie mogły znieść zwyczajnego światła, niebiańska poświata bardzo ją radowała. Cela świętej Lidwiny często tak była skąpana nocą w blasku, iż zdało się patrzącym, że płonie tam wiele lamp albo ogniska.

Podobne opowieści powtarzano o św. Filipie Neri, św. Katarzynie da Rizzi, św. Franciszku z Pauli oraz o innych świętych, otoczonych takim blaskiem, że inni czuli lęk lub nie byli w stanie spoglądać prosto na nich.

Jest w tym zapewne nieco przesady, ale czy podobna, by wszyscy ci narratorzy wyrażali się metaforycznie? Chyba to niemożliwe.

Incendium amoris (Żar - miłości)

Mówi się potocznie o ludziach „promieniejących szczęściem", a także „płonących pożądaniem" lub „pałających miłością". Stan określany jako „incendium amoris" oznacza takie właśnie „pałanie" w sensie dosłownym. U osób obdarzonych wyjątkowo silnymi uczuciami (przeważnie o charakterze religijnym lub mistycznym) temperatura ciała wzrasta gwałtownie do tego stopnia, że dusi je wszelkie odzienie, a ciało pali, nawet zanurzone w zimnej wodzie.

Św. Stanisław Kostka (zm. w 1568 roku) „przejęty był tak gwałtowną miłością do Naszego Zbawiciela, iż często omdlewał i dostawał spazmów. Musiał też przykładać do piersi okłady z zimnej wody, by uśmierzyć gwałtowność miłości, która go przepełniała".

Św. Filip Neri odczuwał taki żar „w okolicy serca", że nawet w mroźne, zimowe noce i w późnym wieku miał zawsze otwarte okna, pościel mu specjalnie wyziębiano, ciało zaś wachlowano - a mimo to jego ręce „płonęły, jakby miał niezwykle wysoką gorączkę". Spacerując po XVI-wiecznym Rzymie pewnego zimowego, śnieżnego dnia ~ z odkrytą piersią, św. Filip śmiał się z otaczających go ludzi, którzy nie mogli znieść mrozu. Kiedy zaś odprawiał mszę, „widziano, jak iskry tryskały z jego oczu i twarzy, niczym z ogniska". Często - podobnie jak św. Stanisław - mdlał od trawiącego go żaru. Przez ponad pół wieku cierpiał na tajemnicze palpitacje serca. Były one prawdopodobnie skutkiem wydarzenia z 1544 roku, kiedy to Duch Święty zstąpił nań „w postaci ognistej kuli. Natychmiast poczuł zdumiewający płomień miłości. Nie mogąc znieść tego żaru, rzucił się na ziemię, i - starając się jakoś ochłodzić - obnażył pierś, by choć trochę zmniejszyć trawiące go płomienie". Dokonana po jego śmierci autopsja wykazała dwa żebra złamane i sterczące na zewnątrz - prawdopodobnie sam spowodował to uszkodzenie ciała, gdy przed pięćdziesięciu laty gwałtownie rzucił się na ziemię.

Chyba najbardziej zdumiewający jest przypadek stygmatyczki, św. Katarzyny z Genui (1447-1510). Trawiący ją płomień przysparzał świętej - zwłaszcza na łożu śmierci - niesłychanych cierpień. Podczas długotrwałej, ostatniej choroby, tę genueńską matronę dręczył taki wewnętrzny pożar, iż nie była w stanie leżeć bez ruchu. „Przypominała istotę płonącą na stosie - cierpiała do tego stopnia, że ludzkie oczy nie mogły znieść widoku takiego męczeństwa. Tortura trwała dzień i noc; najlżejsze dotknięcie wywoływało u niej przeszywający ból". Od 13 do 15 września (w tym dniu umarła) święta straciła mnóstwo krwi. Była ona (jak zapewnia biograf) do tego stopnia gorąca, że rozgrzewała naczynia, do których spływała, i parzyła skórę, jeśli na nią skapnęła, ponadto zaś tak rozpaliła srebrną czarę, iż na jej podstawie pozostał niezatarty ślad.

Po śmierci św. Katarzyny jej służąca Argentina przyznała, że pani przepowiedziała wszystkie przyszłe wydarzenia. Przewidziała, iż przed śmiercią będzie znosić cierpienia podobne do Chrystusowej Męki, włącznie z pięcioma ranami - z tym,

że kryły się one u niej wewnątrz ciała. Być może nękający ją żar był jakąś formą samoudręczenia.

Dominikanka z Neapolu, Suor Maria Yillani, zmarła w 1670 roku, w wieku 86 lat. W Żywocie tej świętej, opublikowanym już cztery lata później. Ojciec Francisco Marchese wspomina o wewnętrznym ogniu miłości, który tak ją trawił, że - jak twierdzi biograf- musiała wypijać dziennie aż około 14 litrów wody. Gdy piła, rozlegał się podobno syk kropli padających na rozżarzony metal. Siostra Maria utrzymywała, iż ugodziła ją w bok i w serce ognista włócznia miłości. To przekonanie zostało częściowo potwierdzone przez trzech spowiedników, z których każdy zeznał, że widział, dotykał, a nawet zgłębiał tę widoczną na ciele ranę. Gdy dziewięć godzin po śmierci zakonnicy dokonano sekcji, obecnych wprawił w zdumienie dym (fumo) i żar emanujący z serca, będącego prawdziwym ogniskiem „Bożej miłości". Żar ten zmusił widzów do wycofania się; tylko chirurg nadal pełnił swą powinność. „Gdy włożył rękę, by wydobyć serce, wnętrze ciała było tak gorące, że się sparzył i kilkakrotnie cofał dłoń, zanim udało mu się uczynić to, co zamierzał". Oficjalny opis wydarzeń dokonany przez chirurga potwierdziło pod przysięgą dwóch jego kolegów. W sercu znaleziono także otwartą ranę o kształcie zgodnym z rysunkiem, który wykonała poprzednio siostra Maria. Ojciec Marchese twierdzi, iż oglądał to na własne oczy, i komentuje: „brzegi rany były tak stwardniałe i spieczone, jak gdyby ją kauteryzowano" (wypalano rozżarzonym żelazem). Miał to być, według biografa, znak przypominający nam, że ranę ową zadała płomienna włócznia miłości".

Te relacje - zwłaszcza chirurga, który musiał cofnąć się wskutek żaru bijącego z serca nieżyjącej zakonnicy niczym z rozpalonego pieca - są tak niesłychanie dziwaczne, iż przez to bardziej wiarygodne. Autor bajeczek o cudach byłby ostrożniejszy, chcąc wydać się bardziej wiarygodnym - choć było wówczas równie wielu łatwowiernych jak dziś, a może i więcej.

Tak czy owak, w obecnych czasach też nie brakuje szokujących relacji, dotyczących osobliwych właściwości ludzkiego ciała, jak niezwykła temperatura, przepajającaje energia czy żar.

Istoty naładowane elektrycznością

Wielu z nas słyszy trzaski elektrostatyczne przy czesaniu włosów. Wygląda na to, że niektórzy wytwarzają energię nie tylko statyczną. Amerykański autor horrorów, Stephen King, oparł podobno swój pierwszy bestseller Carrie na autentycznych przeżyciach dziewczyny z północnej części stanu Nowy Jork, Andrei Kolintz. W latach pięćdziesiątych naszego wieku odkryła ona (na długo przed tym, nim zyskało sławę izraelskie medium, Uri Geller), że, dokądkolwiek by się udała, wszędzie latają wokół niej różne przedmioty, a drzwi same otwierają się i zatrzaskują. „Nie chodzę już do restauracji, jest to zbyt krępujące - oznajmiła w 1976 roku (wówczas nazwisko Uri Geller było już dobrze znane). - Nie mogłam tego wytrzymać: wokół mnie sztućce wyginały się, a kelnerki upuszczały talerze i miały inne niemiłe przygody. W hotelu materace przeze mnie pękają, a w sklepie butelki bez powodu spadają z półek... Nasi sąsiedzi przestraszyli się, gdy pewnego razu spadł monstrualny grad... po tym, jak wróciłam do domu cała spięta po sprzeczce z chłopakiem".

Inny przypadek, związany z nieszczęśliwą młodą kobietą, był przedmiotem badań niemieckiego parapsychologa Hansa Bendera. W październiku 1965 roku Anna-Maria Schaberl skończyła szkołę w Monachium i podjęła pracę w Rosenheim, w kancelarii prawniczej Sigmunda Adama. Pod koniec 1967 roku dostały tam bzika wszystkie urządzenia elektryczne. Oświetlenie zawodziło bez powodu, dopływ prądu gwałtownie wzrastał, rachunki za telefon przybrały nieprawdopodobne rozmiary. Aparatura sprawdzająca numery, pod które z kancelarii dzwoniono, wykazała sześć na minutę połączeń z zegarynką. Był to absurd; samo dodzwonienie się wymagało minimum 17 sekund. Wszystkie obwody elektryczne były uszkodzone, ale jak to się mogło stać?! Badający tę sprawę reporter o mały włos nie oberwał żarówką, która sama wykręciła się z gniazdka. Zaalarmowany wieścią o „upiorze z Rosenheim" Bender wysłał do kancelarii Adama swego asystenta. Zaobserwował on, że żarówki kołyszą się, gdy przechodzi pod nimi Anna-Maria, i domyślił się, iż ona jest przyczyną tych zjawisk. Wszystko stało się jasne, gdy stwierdzono, że falowania prądu zdarzają się tylko w obecności dziewczyny. Bender przeprowadził z Anną-Marią wywiad i dowiedział się o jej niełatwym życiu rodzinnym na wsi. Nie lubiła również miasta i - mimo iż się zaręczyła - nie była zbyt szczęśliwa. Pytania Bendera związane z rokiem, który dziewczyna spędziła w gipsie z powodu zmian gruźliczych w biodrze, wyraźnie niepokoiły ją. Gdy poddano Annę-Marię testom na ESP (postrzeganie pozazmysłowe - *extrasensory perception*), okazało się, że ma zdolności telepatyczne. Gdy dziewczyna powróciła do kancelarii, zaburzenia aparatury zaczęły się od nowa. Została zwolniona i znalazła sobie nowe miejsce pracy; także i tu urządzenia elektryczne zwariowały. Narzeczony, stały bywalec elektronicznej kręgielni, zerwał z Anną-Marią, gdyż ilekroć dziewczyna mu towarzyszyła, aparatura w kręgielni psuła się, a na tablicach ukazywały się wzięte „z pieca" wyniki. Anna-Maria podjęła pracę w młynie;

zdarzył się tam śmiertelny wypadek. Ludzie zaczęli jej unikać. Na szczęście jednak -podobnie jak w przypadku Carole Compton - gdy Anna-Maria wyjechała z miasta, wyszła za mąż i postarała się o dzieciaki, dziwaczne zjawiska ustały.

15 stycznia 1846 roku czternastoletnia Angelique Cottin z francuskiej miejscowości La Perriere zaczęła mieć podobne kłopoty. Przedmioty, po które sięgała, uciekały. Ciężkie meble wirowały lub podskakiwały, gdy musnęła je fałdą sukni lub dotknęła ręką. Jeśli razem z inną osobą trzymała jakiś przedmiot, zaczynał się szamotać jak żywy i nikt nie potrafił go unieruchomić. Busole dostawały kręćka, gdy się do nich zbliżyła. Fizyk Francois Arago, członek zespołu wysłanego przez Akademię Nauk dla zbadania sprawy, odnotował („Joumal des Debats" - protokoły posiedzeń - z lutego 1846 roku), że działa tu prawdopodobnie siła elektromagnetyczna. Nasila się ona pod wieczór, przepływa zapewne przez lewą stronę ciała Angelique, zwłaszcza przez lewy nadgarstek i łokieć. Jej tętno wzmaga się do stu dwudziestu uderzeń na minutę w fazie największej aktywności, występująтakże konwulsje. Dziewczyna często traci również przytomność. Dziwne zjawiska trwały dziesięć tygodni.

Nie podejrzewano żadnych oszukańczych sztuczek - odnosiło się wrażenie, że ktoś inny wyrządza te dziwne psoty samej Angelique lub też się nią posługuje. Dziewczynka najwyraźniej nie sterowała wydarzeniami, nie była nimi wcale ucieszona, budziły w niej strach. Ten przypadek został dokładnie przebadany. Niekiedy jednak do badań nie dochodzi z powodu tępego sceptycyzmu. Kiedy w 1938 roku „Ogólnoświatowa Rada Badań Metapsychicznych" (chyba trochę zbyt szumny tytuł!) zebrała się w Nowym Jorku i zaoferowała dziesięć tysięcy dolarów za autentyczny dowód występowania fenomenów metapsychicznych, pewna starsza dama, pani Antoine Timmer, zgłosiła się, by zademonstrować, jak sztućce przylegają do jej rąk, zupełnie jakby skóra była namagnetyzowana. Odrzucono jednak ten przypadek, gdyż przewodniczący Rady, iluzjonista Joseph Dunninger, oświadczył, że sam może wykonać podobny trick za pomocą ukrytej nici.

Zastanawiające, czemu iluzjonistom - od Houdiniego do Jamesa Randi (zwanego „Zdumiewającym") tak zależy na udowodnieniu, że wszelkie zjawiska metapsychiczne są bzdurą?! Zarówno Houdini, jak Randi zaoferowali nagrody pieniężne za udowodnienie autentyczności metafizycznych fenomenów. Obaj też posunęli się do oszustwa dla podtrzymania swej tezy, że nie istnieje nic prócz oszukańczych tricków. Samo zresztą zaoferowanie nagrody pieniężnej wskazuje na to, iż uważali innych za równie interesownych jak oni sami. Obaj byli profesjonalnymi sztukmistrzami. (Houdini stanowi dość niezwykły przypadek: być może miał jakieś osobliwe zdolności, których istnieniu tak gwałtownie zaprzeczał?) Zapewne dla spokoju ducha niezbędne było przekonanie, że wszyscy utrzymujący, iż działaj ą przez nich niezwykłe moce, są takimi samymi oszustami jak oni. Postawa tego rodzaju zasługuje na specjalne badania - nie ma tu jednak miejsca na takie analizy. Powtórzmy więc raz jeszcze: silne przekonania mają moc kształtowania rzeczywistości...

Wiadomo nam o wielu innych przypadkach „naelektryzowanych" osób. Nie tylko wchodzące w fazę dojrzewania nastolatki uaktywniają poltergeista, ale osoby w każdym wieku - od wczesnego dzieciństwa do późnej starości - wprawiają w ruch meble, powodują, że innych „prąd przechodzi", i tak dalej. W opublikowanym w 1937 roku dziele *Anomalies and Curiosities of Medicine* (Anomalie i osobliwości medycyny) lekarze Gould i Pyle wspominają o sześcioletnim Zulusie, który - podczas pokazów w 1882 roku w Edynburgu - powodował silne wyładowania elektryczne. Nandor Fodor w swej *Encyclopedia of Psychic Science* (Encyklopedii wiedzy metapsychicznej) opowiada o urodzonym w 1869 roku w St Urbain we Francji niemowlęciu. Każdy, kto dotknął tego dziecka, odczuwał elektryczny wstrząs. Z jego paluszków tryskały świetliste promienie. Gdy chłopczyk zmarł, przeżywszy zaledwie dziewięć miesięcy, przez kilka minut nad ciałkiem unosiła się widoczna poświata.

Wszystko to jest dość niepokojące - a niepokój ten stanowi dobry emocjonalny pretekst do zbagatelizowania problemu (jak zresztą wszelkich spraw, poruszanych w niniejszej publikacji!) jako wierutnej bzdury. Jednak podobne przypadki zdarzają się na każdym kontynencie, powtarzaj ą w każdym stuleciu. Wygląda na to, że „naładowane elektrycznością" ludzkie uczucia mogą wzniecać autentyczne pożary, w dodatku z pogwałceniem zwykłych reguł. Owe reguły czy też prawa są zresztą dziełem uczonych, którzy przeważnie miewają rację, ale chyba nie zawsze! Podobnie jak Kościół narzucał swe dogmaty przez dwa tysiąclecia, teraz przedstawiciele nauk ścisłych wmuszają w nas swoje teorie, które niepokojąco łatwo uzyskują status „prawa naturalnego",

A prawda wygląda tak, iż nadal wszyscy snujemy jedynie domysły. Czy „zwykły" ogień jest jedynym jego rodzajem? A może istnieje także inny, będący wytworem umysłu, uaktywniany nieświadomie przez niektóre osoby? Czemuż by nie? Przypadki „spontanicznego samospalania istot ludzkich" (makabryczny temat, który - chyba na szczęście! - wykracza poza tematykę tej książki) są przez wielu odrzucane jako absolutnie nieprawdopodobne, sprzeczne z prawami fizyki - a jednak istnieją dowody ich autentyczności. Emerytowany inspektor policji kryminalnej, John Heymer, przestudiowawszy pięć zwracających uwagę, najnowszych przypadków tego rodzaju w Brytanii, odkrył, że za każdym razem ogień wybuchał

najpierw w brzuchu ofiary. Uznawszy fenomen za zjawisko naturalne, Heymer wysuwa teorię, iż powodem mógł być rozpad zawartej w organizmie wody (w wyniku elektrolizy) na wodór i tlen, które następnie połączyły się, powodując powstanie „intensywnego, błękitnego płomienia, mogącego bez trudu spopielić kości".

Łatwo zaprzeczać istnieniu takich zjawisk; upierać się, że po prostu nie mogą się wydarzyć. Ale jeśli mimo to zachodzą? „Rozpłomieńcie się modlitwą" - oto pradawna rada dla pragnących poprawić swą sytuację życiową. Kilka wyżej wymienionych przypadków wskazuje na to, iż niektóre osoby potraktowały to zalecenie całkiem dosłownie...

8. Interwencje aniołów

Anioły z Mons i Biała Kawaleria

W końcu sierpnia 1914 roku w pobliżu belgijskiej miejscowości Mons, podczas W krwawego zamętu pierwszej wielkiej bitwy w I wojnie światowej, wojska francuskie i brytyjskie rzuciły się do bezładnej ucieczki przed napierającymi Niemcami. Straty aliantów wynosiły już około piętnastu tysięcy żołnierzy, szpitale polowe były przepełnione rannymi i umierającymi, a korespondent wojenny „Timesa", nie czekając końca bitwy, doniósł, że „armia brytyjska została starta w proch pod Mons". I właśnie wtedy zaczęły szerzyć się dziwne pogłoski. Podobno na polu bitwy zjawiły się anioły, rozdzielające walczące strony. Ich interwencja poraziła i zdezorientowała Niemców i zapobiegła jeszcze straszliwszej rzezi aliantów, którym udało się bezpiecznie wycofać. Raz po raz siostry miłosierdzia, zdumione niezwykłym spokojem umierających, słyszały w lazaretach takie właśnie opowieści. Francuzi widzieli świętego Michała z gołą głową i w złocistej zbroi; jechał na białym rumaku i wymachiwał mieczem. Brytyjczykom ukazał się święty Jerzy (także w złotej zbroi i na siwym koniu), który wyłonił się nagle ze złotawej mgły i wzniósłszy miecz zawołał: „Zwycięstwo!".

Wkrótce te opowieści stały się powszechnie znane. Zjawy krążyły za dnia i w nocy. Pewien żołnierz ujrzał „anioła z rozpostartymi skrzydłami, niczym świetlista chmura", który pojawił się między wrogimi armiami, gdy siła ataku na chwilę osłabła. Ktoś inny wypowiedział się na łamach londyńskiej gazety „Evening News". Mówił o „dziwnym świetle, które zdawało się ostro obwiedzione konturem, a nie było odbiciem księżyca. Światło stawało się coraz jaśniejsze i nagle całkiem wyraźnie ujrzałem trzy kształty, z których środkowy przypominał rozpostarte skrzydła. Dwa pozostałe nie były wielkie, ale znajdowały siew dość dużej odległości od niego. Sprawiały wrażenie, że mają długie, luźno zwisające szaty o złotawym odcieniu. Znajdowały się ponad niemieckimi liniami, twarzami zwrócone do nas".

Trzeci żołnierz opowiedział, że towarzysze broni z jego kompanii, ścigani przez niemiecką kawalerię, odwrócili się, „nie oczekując niczego prócz nagłej śmierci - i z najwyższym zdumieniem ujrzeli pomiędzy sobą a nieprzyjacielem całe wojsko anielskie. Niemieckie konie spłoszyły się i poniosły. Kawalerzyści szarpali za cugle, ale przerażone zwierzęta rozpierzchły się we wszystkie strony, byle dalej od naszych żołnierzy".

Kapitan Cecii Wightwick Hayward, współautor wydanej w 1916 roku książki „Anioły z Mons", opisał zdumienie innej gwałtownie atakowanej przez wroga kompanii, gdy pojawiło się pomiędzy nimi a Niemcami „cztery czy pięć cudownych istot nadludzkiej postury". Zwrócone twarzą ku Niemcom, płynęły w powietrzu, wznosząc dłonie i ramiona. „Słońce jasno wtedy świeciło. I zaraz potem nasi zobaczyli, jak Niemcy uciekają w wielkim popłochu".

Niemieckie źródła podały później, że atakujący regiment „nie był w stanie posuwać się naprzód... Konie nagle zawróciły i pogalopowały... Nie można było ich powstrzymać". Żołnierzom ze skompromitowanego regimentu wydawało się podobno, że widzą tysiące Brytyjczyków - zamiast niewielkiej garstki wyczerpanych do cna przeciwników, z których część rzuciła się już do bezładnej ucieczki.

Angielski pisarz Arthur Machen, przejęty wieściami o ogromnych stratach, napisał (zanim jeszcze zaczęły krążyć plotki o aniołach - tak przynajmniej zapewniał!) nowelę Łucznicy. Fantazjował w niej, że angielskich żołnierzy pod Mons wsparły widma bieżników z bitwy pod Agincourt, którą stoczono z Francuzami w 1415 roku w niewielkiej odległości od pola współczesnej bitwy. Opowiadanie ukazało się na łamach „Evening News" 29 września, gdy opowieści o aniołach krążyły od kilku tygodni. Machen próbował wówczas przekonać wszystkich, iż jest to stworzona przez niego fikcja literacka. Odniósł równie znikomy „sukces" jak inni sceptycy, którzy tłumaczyli wszystkie zwidy zbiorową histerią w szeregach stutysięcznej armii, będącej w stanie szoku. Idąc do boju z nadzieją na łatwe zwycięstwo straciła piętnaście tysięcy żołnierzy. Mogły to być

również gorączkowe majaczenia rannych i umierających w nędznych lazaretach polowych, pod opieką skrajnie wyczerpanych pielęgniarek.

I choć żadne dobroczynne zjawy nie interweniowały podczas jeszcze krwawszych rzeźni pod Ypres, Sommą i Passchendaele, ludzie nadal wierzyli, iż pod Mons rzeczywiście pojawiły się anioły. Jeden z weteranów tak wypowiedział się na łamach „Evening News": „Jestem absolutnie pewny, że widzieliśmy to, o czym wam teraz mówię. Nie zapomnę tego, jak długo będę żył. Leżę nieraz bezsennie i widzę przed sobą to wszystko, co wtedy ujrzałem. Z mego batalionu zostało oprócz mnie już tylko pięciu żołnierzy... i wstyd by mi było robić z siebie durnia i zmyślać jakieś bujdy dla czyjejś przyjemności".

Prawie cztery lata później, w maju 1918 roku, wojska brytyjskie, okrążone przez nieprzyjaciela w pobliżu zburzonego miasta Bethune, ze zdumieniem przekonały się, że ostrzał artyleryjski wroga zmienił nagle kierunek: przeniósł się z Bethune na otwartą przestrzeń, gdzie nikogo i niczego nie było. „Szwaby dostały fijoła, panie kapitanie - zwrócił się pewien sierżant do kpt. Haywarda (o którym wspomnieliśmy już wcześniej). - Po jaką cholerę kropią w to puste pole?!" Następnie Brytyjczy-cy ujrzeli coś jeszcze dziwniejszego. Zbliżająca się ku nim niemiecka kawaleria nagle, bez żadnego widocznego powodu, zatrzymała się, złamała szyk, zawróciła i rzuciła do ucieczki. Niebawem wzięci do niewoli niemieccy oficerowie opowiedzieli o brygadzie kawalerzystów w białych mundurach, która pędziła ku nim przez to puste pole na tyłach Bethune. Niemcy zmienili wówczas kierunek ostrzału i zwrócili na ten samobójczy zastęp ogień artylerii i karabinów maszynowych - konnica jednak ciągle się zbliżała, nie tracąc ani jednego konia czy jeźdźca. Prowadził jądo ataku jaśniejący, złotowłosy jeździec na białym rumaku.

Wówczas ogarnął mnie paniczny strach - zwierzył się najstarszy rangą niemiecki jeniec. - Rzuciłem się do ucieczki. Tak, ja - pruski oficer - zmykałem w śmiertelnej trwodze, a wraz ze mną setki przerażonych mężczyzn uciekały pochlipując jak przestraszone dzieci. Pragnęli jedynie zbiec przed nadciągającą Białą Kawalerią; a największą grozę budził jej wódz.

Wszystko wskazuje więc na to, że właśnie podczas I wojny światowej anioły zainteresowały się znowu naszymi ziemskimi sprawami...

Anioły stróże: kilka najnowszych relacji

Pewnego dnia w 1991 roku Kate Bridger uniknęła niechybnej śmierci. Ta dwudziestojednoletnia angielska urzędniczka, zatrudniona w Radzie Hrabstwa Kent, dojeżdżała codziennie autobusem z domu do pracy w Chatham. Strach dosłownie ją sparaliżował, gdy nagle hamulce autobusu zakleszczyły się; pędził ze stromej góry, ciągle nabierając szybkości. Kierowca krzyknął, by wszyscy pasażerowie przenieśli się na tył wozu. Kate nie mogła jednak ruszyć się z miejsca - powtarzała tylko w duchu słowa modlitwy. „Nagle ujrzałam anioły, było ich sześć, a może osiem; leciały za oknem, mniej więcej w połowie wysokości wozu. Miały kremowe czy białe szaty, podobne do nocnych koszul, blond włosy i przepiękne twarze. Ustawiły się w rzędzie i wyciągnęły ręce, by zatrzymać pędzący autobus, który powoli zaczął hamować. Ostatecznie stanął parę cali od muru z cegieł". Kierowca powiedział potem, że w zajezdni dokonano następnie przeglądu wozu: hamulce były w tak fatalnym stanie, iż „nie wiadomo, jakim cudem się zatrzymał".

Ta relacja (zamieszczona 19 grudnia 1993 roku w londyńskim czasopiśmie „Sunday Observer") nie jest czymś wyjątkowym. Wiara w anioły, wykorzeniona - jak się zdawało - wskutek świeckiego wychowania, dziś odżyła z całą mocą, chociaż niektórym plączą się one z kosmitami, tworząc dziwną mieszankę z UFO. - „Nie jesteśmy jedyną rasą istot rozumnych - twierdzi Eileen Freeman, redaktorka wychodzącego w Kalifornii czasopisma »Angel Watch Newsletter« (Biuletyn Anielskich Obserwacji). - Istnieje także inna rasa, którą nazywamy aniołami", Rowan Williams, niegdyś profesor teologii w Oksfordzie, obecnie biskup Monmouth w Walii, zapewnia: „Przeświadczenie, że oprócz nas żyją we wszechświecie inne istoty rozumne i że jesteśmy w stanie komunikować się z nimi, wcale nie jest dowodem głupoty".

Hope Price za pomocą ogłoszeń szukała w całej Brytanii osób, które zamieściłyby relacje o swych osobistych kontaktach z aniołami na łamach jej wydawnictwa Angels: true stories ofhow they touch ów lives (Anioły: prawdziwe opowieści o ich wpływie na nasze życie). Została zasypana lawiną ponad tysiąca pięciuset listów! Pani Price zakłada, że mniej więcej co trzeci zawiera autentyczne relacje (piszące je osoby rzeczywiście przeżyły coś niezwykłego). Twierdzi też, iż choć nadal tradycyjnie wyobrażamy sobie anioły jako olśniewające, olbrzymie, skrzydlate istoty, znacznie częściej ukazują się nam one w niczym nie wyróżniającej się ludzkiej postaci. (Nasuwa się tu pytanie: skąd więc przekonanie, że udzielił pomocy właśnie „anioł", i co to

słowo naprawdę znaczy?). Przeważnie korespondenci Hope Pńce przeżyli takie wydarzenie tylko raz i doznali wówczas przemożnego uczucia pokoju. Mimo iż owi niebiańscy pomocnicy zazwyczaj objawiają się osobom wierzącym, „mało kto zwierza się ze swych przeżyć, gdyż boi się szyderstwa".

Gerry-Kay Talton przechodziła w towarzystwie przyjaciółki przez ulicę jednego z amerykańskich miast, gdy nagle samochód cofając się wpadł prosto na nie. Przyjaciółka uskoczyła pierwsza, ale Gerry-Kay nogi wrosły w ziemię. Właśnie samochód miał ją uderzyć, gdy poczuła, że ktoś od tyłu objął ją w pasie i uniósł. Wzięła się wówczas w garść i - w ostatniej chwili - uskoczyła w bezpieczne miejsce. Przyjaciółka, która nie spuszczała jej z oczu, twierdziła potem, iż Gerry-Kay, w chwili gdy samochód na nią najeżdżał, nagle uniosła się na jakieś 7-8 centymetrów w powietrze, zawisła tam przez chwilę, a potem odskoczyła w bok, jakby jej stopy przez cały czas dotykały ziemi. Żadna z nich nie widziała „anioła", ale Gerry-Kay, którą od wielu tygodni dręczyła depresja, uczuła nagle przepełniającą ją błogość, której potem nie była w stanie zapomnieć. Czyżby znowu endorfiny?

Sara Michaels z Memphis w stanie Tennessee zapewnia, że w 1971 roku nie piła żadnego alkoholu, wyłącznie kawę. Ta dwudziestodwuletnia absolwentka college'u wybrała się z trojgiem przyjaciół do Grecji. Pewnego wieczora na wyspie Los, gdzie wynajęli wiejski domek, koło miejscowej przystani Sara spotkała znajomego z Oak Ridge w Tennessee. Mieszkał w hotelu, do którego szosą trzeba było iść pół godziny, więc Sara pokazała mu przejście „na skróty" po nadmorskich skałach. Kiedy wracała do domu, było już ciemno, zdecydowała się więc na spacer szosą.

„Nie boisz się wracać sama?" - spytał znajomy. Odparła „nie", ale wkrótce poczuła strach, gdy znalazła się samiutka w mroku nocy.

Do wioski było jeszcze dziesięć minut drogi. Dotarłszy do wiszącego mostka nad kanałem (oświetlonego jedną nie osłoniętą niczym żarówką), Sara znalazła się tuż obok cmentarza, na którym - jak wiedziała - pochowano męża jej gospodyni. Mijając cmentarz usłyszała tak przeraźliwy krzyk, iż krew zastygła jej w żyłach. Potem zorientowała się, że były to zapewne odgłosy parzących się dzikich kotów, ale w owym momencie dosłownie skamieniała, nogi wrosły jej w ziemię. „Chryste, ratuj!" - powtarzała w duchu raz po raz - i nagle ktoś niewidzialny ujął ją pod pachy, przeniósł przez mostek i postawił po drugiej stronie. Sara zwierzała się po latach: „...czułam, że to ktoś niesłychanie bliski. Przypominało to najbardziej normalne, zwykłe wydarzenie. Nic nadzwyczajnego. Ogarnął mnie niezgłębiony spokój - jakby coś podobnego zdarzało się codziennie. Gdy ten ktoś się zjawił, powiedziałam: „Dziękuję!".

Dotarła do wsi i wpadła do domu. Jej przyjaciele spoglądali na nią w osłupieniu. Jedna z nich, dziewczyna z Izraela, Rowena, odciągnęła Sarę na bok. „Musisz mi powiedzieć, co się stało!" - nalegała, a gdy Sara wzbraniała się, przyjaciółka dodała: „Musisz! Widziałaś tam Boga".

Sara popatrzyła na Rowenę, ta zaś wyjaśniła „Kiedy weszłaś, światło wokół ciebie było tak jasne, że nie mogliśmy na ciebie patrzeć".

Potrzeba ludzkiego serca czy niebiańska rzeczywistość?

Cóż to się dzieje? Dlaczego po dwóch wiekach naukowego racjonalizmu tak wiele osób nagle donosi o „bliskich spotkaniach" z aniołami. Inni zapewniają, iż zostali porwani przez kosmitów, a jeszcze inni miewają wizje Maryjne. Wygląda na to, że niebiańskie istoty znów przybywają z ostrzeżeniami czy proroctwami, podobnie jak archanioł Gabriel zjawił się u Maryi Panny, by oznajmić jej, iż zostanie matką Chrystusa, albo odwiedził Mahometa, żeby podyktować mu tekst Koranu - zstępując „w swej własnej postaci, w takiej piękności, w takiej świętej glorii, w takim majestacie, że cały dom się rozświetlił".

W książce *Outside the Circies of Time* (Poza granicami czasu) Kenneth Grant (biograf maga Aleistera Crowleya) przedstawia hipotezę, że wiele świateł widocznych na niebie i wszelkiego rodzaju kontakty ludzi z istotami z kosmosu związane są z nieuchronnym zbliżaniem się globalnej katastrofy oraz z poczuciem beznadziejności trapiącym ludzkość, która nie zdoła zapobiec destrukcji bez „interwencji z zewnątrz" czy „autentycznego cudu". Grant tak to komentuje:

„Niektórzy wierzą, iż fenomeny związane z UFO stanowią część tego »cudu«, a rosnąca wciąż góra dowodów zdaje się świadczyć, że tajemnicze istoty krążyły w pobliżu ziemi od niezliczonych stuleci i rodzi się coraz więcej ludzi z darem postrzegania lub wyczuwania w jakiś sposób ich obecności.

Dawna modlitwa o Boskie wspomożenie przekształciła się dziś w płynące z głębi serca wołanie do istot pozaziemskich lub egzystujących w innym wymiarze, w zależności od tego, czy postrzega się te manifestacje jako twór ludzkiej świadomo-ści, czy

też występujące poza naszym umysłem, obiektywnie istniejące (choć często niewidzialne) istoty".

Czy „anioły" są właśnie takimi bytami? Czy posiadają obiektywną realność? Czy stanowią uosobienie „lepszego ja" lub wyznawanego przez kahunów najwyższego poziomu duszy - Aumakua? Czy rodzą się w błysku jasnowidzenia, czy też są owocem intuicji podobnej do tej, która uskrzydla artystów lub uczonych, albo pod wpływem niewytłumaczalnego poczucia zagrożenia powstrzymuje nas od wejścia na pokład samolotu, który niebawem się rozbije? Dwa przypadki z kolekcji Hope Price dotyczą kierowców jadących samotnie w nocy. Każdy z nich w momencie zasypiania usłyszał głośne ostrzeżenie: „Obudź się! "albo „Uważaj!" Obu udało się uniknąć wypadku.

Kate Bridger, Gerry-Kay Talton czy Sara Michaels nie zgodziłyby się zapewne z tym, że „anielska interwencja" jest tym samym co „intuicja". Kate Bridger widziała istoty, które powstrzymały autobus od wpadnięcia na mur. Czy „intuicja" może w sposób fizyczny zatrzymać uszkodzony wóz? Towarzysząca Gerry-Kay dziewczyna widziała, iż jej przyjaciółka w niewytłumaczalny sposób uniosła się w powietrze (lewitacja?), zanim - równie zdumiewająco - zeskoczyła w bezpieczne miejsce tak, jakby stała na równym gruncie. Czy było to złudzenie optyczne? Czy Sara Michaels została rzeczywiście przeniesiona przez anioła? A jeśli nie, to dlaczego jej twarz tak pojaśniała, iż po jej powrocie przyjaciele nie byli w stanie patrzeć na ten blask?

Jedno jest pewne: na wierze w anioły można robić kokosowe interesy. Amerykańskie statystyki wykazują, że ponad połowa mieszkańców Stanów Zjednoczonych (i prawie trzy czwarte nastolatków) wierzy w tych wysłańców nieba, toteż drobiazgi w rodzaju znaczków z aniołem stróżem eksponowane są teraz na honorowym miejscu, tuż przy kasie, w kioskach i kwiaciarniach. Co tydzień pojawiają się nowe książki na temat aniołów. (W księgami w San Francisco naliczyłem w 1994 roku dwadzieścia dwie pozycje, a czternaście z nich wydano w ciągu ostatnich dziewięciu miesięcy). Ludzie, mający za sobą przeżycia z pogranicza śmierci (NDE), wspominając spotkaniu ze „świetlistymi istotami", promieniującymi ciepłem i współczuciem, a grupy osób, które zetknęły się z UFO, na przykład kalifornijska Partia Doskonałej Jedności, twierdzą, iż mają prawo wypowiadać się w imieniu anielskiej starszyzny. Można nawet odbyć kursy wieczorowe z angelologii praktycznej! „Anioły naprawdę istnieją i zjawiają się tutaj, by nam pomagać" - twierdzi „Anielski" Andrew Bozeman z Kościoła Amron w San Francisco. Bozeman „współpracuje z aniołami od chwili, gdy przed trzydziestu laty ocaliły mu życie". Można też pod jego kierunkiem - za jedne dwadzieścia dziewięć dolarów - odbyć trzygodzinny kurs pod hasłem „Poznaj swego anioła stróża". Możecie też (trzydzieści dziewięć dolarów za 3 godziny) odbyć studia w zakresie „wiedzy o aniołach, ze specjalnym uwzględnieniem historii dziesięciu najważniejszych" pod kierunkiem Lindy Georgian, która jest podobno „znanym w całym kraju medium i autorytetem w dziedzinie angelologii".

Anielski bzik zajmuje coraz więcej miejsca w głównym nurcie środków masowego przekazu. Hit irlandzkiego zespołu rockowego U-2, który zrobił karierę na Boże Narodzenie 1993 roku, jest zarazem motywem przewodnim filmu „Tak daleko, tak blisko". Jest to - zrealizowana pod kierunkiem niemieckiego reżysera Wima Wendersa (znanego zwłaszcza z filmu „Paryż, Teksas") - kontynuacja wcześniej przezeń zrealizowanych „Skrzydeł pragnienia". W obu filmach krążące nad współczesnym Berlinem anioły zrezygnowały ze skrzydeł i noszą trencze i końskie ogony. Jeden z nich zakochuje się w ziemskiej istocie i rezygnuje z anielstwa. Film „Anioły na boisku", wyprodukowany w 1994 roku w wytwórni Walta Disneya, stanowi krzyżówkę anielskiego bzika z baseballem i opowiada o sierotce zaprzyjaźnionej z aniołem (Christopher Lioyd). Dramaturg Tony Kushner stworzył komedię, która zdobyła nagrodę Pulitzera, „Anioły w Ameryce". Autor określił swe dzieło jako „pogodną fantazję na tematy narodowe" i skłonił tradycyjnie obojnacze anioły do wyrażania homoseksualnych obaw na temat AIDS.

Z bardziej ponurej beczki: supergwiazdora muzyki country, Johnny'ego Casha, odwiedził podobno dwukrotnie anioł - zwiastun śmierci. Gdy Cash miał dwanaście lat, ukazała mu się jaśniejąca istota i oznajmiła, że jego starszy brat Jack wkrótce umrze. Anioł był, według Casha, „pozbawiony twarzy, otoczony migotliwym, jarzącym się światłem. Nie miał skrzydeł ani aureoli. Powiedział cicho: Twój brat Jack umrze. Potem zniknął". Po latach ta sama istota znów się pojawiła, tym razem przepowiadając śmierć najbliższego przyjaciela gwiazdora, Johnny'ego Hortona. Cash twierdzi, iż w obu przypadkach wizyta anioła przygotowała go na rychłą utratę bliskiej osoby.

Upadłe anioły, demony i dewy

Anioły przedstawiane są zazwyczaj jako olśniewająco piękne androgyny (oboj-naki), przeważnie uskrzydlone. Tak wyobrażają je sobie nie tylko chrześcijanie, ale i przedstawiciele innych społeczności kulturowych - dawnych i współczesnych. W starożytnym Egipcie dusza człowieka, czy też szlachetniejsza cząstka jego istoty, przedstawiana była w postaci jastrzębia lub orła. Babilończycy czcili - oprócz skrzydlatych byków - różnorodnych „sukalli". Byli to boscy wysłannicy, których w Persji

wyznawcy zoroastryzmu przekształcili potem w archanioły *).

* Zoroastryzm religia perska, którą stworzył podobno w I tysiącleciu p.n.e. prorok Zoroaster (Zaratustra). Religia ta miała charakter dualistyczny i głosiła odwieczną walkę dobra ze złem: Ormuzda i Arymana (przyp. tłum.).

Muzułmanie wyobrażają sobie anioły prawie tak samo jak chrześcijanie. Hindusi wierzą w „kinpuru'sh", skrzydlate istoty unoszące się ponad bogami, choć znajdują się na niższym poziomie świadomości. U wyznawców Buddy na każdym „bodi-shattwa" (jest to jedostka, która doznała oświecenia, lecz wyrzekła się nirwany, by pozostać na tym świecie i kierować na drogę prawdy mniej doskonałych śmiertelników) spoczywa boska energia „dakini", odpowiednik anioła. Według zasad chińskiego taoizmu nieśmiertelni mogą przelatywać z jednego świata do innego, czynić cuda i zmieniać kształty. W Peru szamani Campu wyobrażają sobie boga - jastrzębia Koakiti w postaci uskrzydlonego człowieka. Również Indianie z plemie-nia Siuksów (mieszkającego w Ameryce Północnej) czczą Cztery Ptaki Burzy.

„Spojrzałem w chmury - opowiadał Siuks-wizjoner, Czarny Łoś - i pojawili się tam dwaj ludzie, głowami w dół, niczym szybujące ku ziemi strzały; lecąc śpiewali świętą pieśń, a pioruny wybijały im rytm jak bębenki".

Czym zatem - lub kim - są anioły w tradycji Zachodu? Jak, gdzie i kiedy zrodziło się wyobrażenie o nich?

Słowo „anioł" pochodzi od greckiego „angelos", które z kolei jest przekładem oryginalnego hebrajskiego „malakh", później „malaika". Niegdyś ów termin oznaczał „cień Boga", potem jednak przybrał utrzymujące się do dziś znaczenie „wysłannik" czy „zwiastun".

Pierwotnie anioły nie były jaśniejącymi istotami o skrzydłach z mgły, jakie podziwiamy na renesansowych malowidłach. W Starym Testamencie mają one postać zwykłych ludzi, bez skrzydeł i aureoli, nie wyróżniających się ubiorem. Genesis (I Księga Mojżeszowa, Księga Rodzaju) w rozdz. 18, 1-8, wspomina o tym, że trzy anioły odwiedziły patriarchę Abrahama. Gdy zasiedli pod dębami, gospodarz umył im nogi i podał mięso, chleb i ser. „Nie zapominajmy też o gościnności - napomina autor Listu do Hebrajczyków (13,2)- gdyż przez nią niektórzy, nie wiedząc, aniołom dali gościnę". W szóstym zaś rozdziale Księgi Rodzaju (w. 2) jest wzmianka o tym, że aniołowie, a przynajmniej ci, którzy należeli do „Nephilim" (Stra-żników), współżyli z Ziemiankami: „Synowie Boga, widząc, że córki człowiecze są piękne, brali je sobie za żony, wszystkie, jakie im się tylko podobały". Ta wzmianka została rozbudowana w apokryficznej Księdze Henocha.

Natura aniołów była dość dwuznaczna. Dopóki Kościół nie zatwierdził mitu o upadłych aniołach (o których nie ma żadnej wzmianki w Starym Testamencie), przedstawiano je „w jednej chwili jako Władców Piekieł, a w następnym momencie jako członków chóru śpiewającego »Alleluja« wokół tronu Najwyższego, i ich niebiańskie aureole nie traciły przy tym nic ze swego blasku". W najstarszych legendach judaistycznych anioły przybierały niekiedy groźną postać: dwa anioły zrównały z ziemią Sodomę i Gomorę; Anioł Śmierci (nazwany w Starym Testamencie po prostu Aniołem Pańskim), stanąwszy pomiędzy niebem a ziemią ze śmiercionośnym mieczem, zniszczył dziewięćdziesiąt tysięcy ludzi za panowania króla Dawida. Później, gdy asyryjski władca Scnnacheryb zamierzał zaatakować Jerozolimę, „wyszedł Anioł Pański i pobił w obozie Asyryjczyków sto osiemdziesiąt pięć tysięcy ludzi. Rano, gdy wstali, oto ci wszyscy byli martwymi ciałami".

Może jest to metaforyczne przedstawienie wybuchu zarazy? Jakże by inaczej wszyscy mogli wstać rano i być przy tym martwymi ciałami -jeśli nie rozumieć tego tak, że musieli niebawem umrzeć?

Anioł Śmierci nie jest symbolem zła, lecz wykonawcą obowiązującego ogólnie prawa. Stary Testament nie twierdzi również, iż Szatan (pierwszy „upadły anioł") jest uosobieniem zła. Hebrajski termin „ha-Satan" (z Księgi Hioba) znaczy „przeciwnik", „oskarżyciel ludzi" - czyli prokurator z ramienia Jahwe. Co więcej, w księdze proroka Izajasza (45, 7) sam Jahwe stwierdza: „Ja tworzę światło i stwarzam ciemności, sprawiam pomyślność i stwarzam niedolę. Ja, Pan, czynię to wszystko". Tak więc Lucyfer (po hebrajsku „Helel ben-Shahar", „Gwiazda Dzienna, Syn Jutrzenki", piękna poranna gwiazda, mieszkanka rajskiego ogrodu) to po prostu łacińska nazwa planety Wenus; oznacza „Niosący Światłość". Ustęp z Księgi Izajasza (14, 12): „Jakże spadłeś z niebios, jaśniejący. Synu Jutrzenki?" był pierwotnie zapowiedzią zagłady króla Babilonu, gnębiciela Żydów. Dopiero później Szatan-Lucyfer, a wraz z nim trzecia część anielskich chórów, został zdemo-nizowany jako Przeciwnik Boga, źródło wszelkiego zła.

To właśnie słowo „zdemonizowany" ma znaczenie kluczowe. Anioły zrodziły się z pogańskich „demonów" - duchów ani dobrych, ani złych. Natchnieniem Sokratesa był jego opiekuńczy „dajmon" czy „dajmonion". Plutarch w traktacie O zamil-knięciu wyroczni wspomina o „rodzie demonów (dajmonów), którzy pośredniczą między bogami a ludźmi i w pewien sposób łączą ze sobą ich myśli i jednoczą oba światy". Demony były tworami umysłu: myślami. W swoim dialogu “Uczta” Platon

opisuje greckiego boga Erosa jako „potężnego ducha, który - jak wszystkie - pośredniczy między tym, co boskie i tym, co śmiertelne".

Granica jest płynna. Aniołowie tacy jak Lucyfer bywali strącani z niebios, ludzie zaś mogli zostać zaliczeni do grona aniołów. Henoch, któremu Bóg nakazał potępić „Nephilim" (Strażników) za poślubianie Ziemianek, sam stał się archaniołem Metatronem; „Nephilim" zaś znaleźli się na wieki w ognistej czeluści. Maryję, matkę Chrystusa, odwiedził archanioł, a ona sama została potem Królową Anielską. Jeśli zaś chodzi o Szatana, ongiś Bożego sługę, został on Władcą Piekieł przede wszystkim dzięki dualistycznym wpływom, jakie wywierały najudeo-chrześcijan nauki perskiego proroka Zoroastra, który około 600 roku p.n.e. (albo wcześniej) nauczał, że Wszechwiedzący Pan, Ormuzd (Ahura Mazda), prowadzi nie kończący się bój z Arymanem (czy raczej Angra Mainya, „Niszczycielskim Duchem"). Ormuzd, Najwyższa Nieskalana Światłość. Wspierany jest przez siedmiu archaniołów („amesha spenta") oraz przez niższe święte duchy; Arymana wspomagają złe „dewy" (od których zrodził się angielski wyraz „devil" - diabeł czy demon).

Jednak w pierwotnym sanskrycie słowo „dewa" oznaczało „istotę niebiańską" lub jaśniejącą" - i dało początek łacińskiemu słowu „deus": Bóg. W języku Romów Bóg zwie się „Duwel". Ta dwuznaczność przetrwała w powiedzeniu: „Demon est Deus Inversus" (Demon jest Bogiem na opak). Założyciele szkockiej Wspólnoty New Age w Findhom używają określenia „dewy" na oznaczenie pomocnych duchów przyrody.

Niemniej jednak, dualistyczny obraz przekazany przez Zoroastra przetrwał - przynajmniej w judeo-chrystianizmie. Szatan stał się uosobieniem zła, przeciwnikiem Boga. Dokonało się to dzięki skrzyżowaniu „upadłego anioła" z pogańskim koźlonogim, rogatym bożkiem płodności (Cerunnos, Heme, Pan). Stało się to podstawą chrześcijańskiej psychologii: nie sposób wyobrazić sobie Boga bez diabła, niebiańskich chórów anielskich bez upadłych aniołów, dobra bez zła.

Równie istotna była sprawa hierarchii.

Na sam szczyt Drzewa Życia

Anioły nie zawsze postrzegano jako żywe istoty, uważano je również za funkcje czy procesy (jak cztery wielkie anioły poruszające się na kołach pośród kół - w wizji proroka Ezechiela, 1,5-21). Nadal utrzymywał się też pogląd starożytnych Greków, uważających anioły za przejaw czystej myśli. W swoim traktacie o aniołach (około 1250 roku) św. Tomasz z Akwinu, zwany „Anielskim Doktorem", twierdzi, że anioły to intelekt w stanie czystym, pozbawiony cielesnej postaci; może on jednak przybierać dowolnie kształty ludzkie lub jakiekolwiek inne. „Oto czym jest anioł - zgadza się z tym średniowieczny teolog, mistrz Eckhart - zamysłem Boga".

Być może także wymysłem człowieka.

Opierając się na ludzkich wzorach, stopniowo tworzono hierarchie aniołów (i demonów). Około 500 roku n.e. neoplatonik Dionizy Areopagita napisał w swym dziele *O hierarchii niebieskiej,* że anioły egzystują w dziewięciu grupach, tworzących trzy triady. Są to: Serafiny, Cherubiny i Koła (czyli Trony); następnie (według św. Pawła) Panowania, Cnoty i Władzy; na koniec Zwierzchnictwa, Archanioły i zwykłe anioły. Serafiny są uosobieniem Bożej Miłości, Cherubiny - Mądrości. Koła (czyli Trony) stanowią granicę pierwszej triady, będącej odpowiednikiem niebiańskiej z Kabalistycznego Drzewa Życia.

Drzewo Życia jest znakiem lub symbolicznym planem wszechświata. Nazwano je „zarysem ogólnym kosmosu i duszy ludzkiej". Zostało opracowane przez judaistów-metafizyków jako podstawa systemu zwanego Kabałą (hebrajski źródłosłów QBL oznacza „to, co otrzymano"). Według tradycji rabinicznej, tej pradawnej mądrości pierwotnie - w rajskim ogrodzie - nauczał Adama archanioł Gabriel, zastrzegając, że ma być ona przekazywana dalej „z warg do ucha", a więc drogą ustną.

Serafiny, Cherubiny i Koła symbolizują podstawowe siły psychiczne czy twórcze, wykraczające poza zakres ludzkiej wiedzy. Pozostałe sześć grup reprezentuje dalsze etapy stopniowego jednoczenia ludzkiej świadomości z Absolutem. Każda sfera Drzewa Życia ma dziś swego stałego „anioła", atut w taroku, mieszaninę barw, odpowiednik zwierzęcy i mineralny. Za pomocą efektów wizualnych i rytuału kabaliści usiłują powiązać te wcześniej ustalone obrazy i wzywać moce każdej ze sfer dzięki kontaktom z własnym świętym aniołem stróżem, czyli swoim doskonalszym „ja".

Czterej wielcy archaniołowie odgrywają w tym systemie wybitną rolę. Uriel, rządzący ziemią i materią, panuje na Północy; Michał (pan ognia i wyżyn) - na Wschodzie; Gabriel (woda i podświadomość) - na Południu; i wreszcie Rafael czy też Rafał (powietrze i duch) - na Zachodzie. Jest również wiele aniołów niższej rangi w tym systemie, który - od 1850 roku - został znacznie rozbudowany przez takich badaczy jak Eliphas Levi, Macgregor Mathers oraz osławiony Aleister Crowley (którym

zajmiemy się później).

Ile zatem było aniołów? Podobnie jak w zagadce: ile ich tańczy na główce szpilki? - nikt nie umiał dać konkretnej odpowiedzi. Ktoś wyliczył w średniowieczu, że jest ich zaledwie dziesięć tysięcy. Inny doliczył się aż czterystu dziewięćdziesięciu sześciu tysięcy aniołów, podzielonych na siedem zastępów. Św. Mateusz odnotował, że Chrystus mógł poprosić swego Ojca, by zesłał mu ponad dwanaście legionów; prorok Daniel zaś w jednej ze swych wizji ujrzał, że „tysiąc tysięcy służyło Mu, a dziesięć tysięcy po dziesięć tysięcy stało przed Nim". Kabaliści naliczyli aż pięćset czterdzieści dziewięć milionów. Św. Augustyn zauważył niezbyt elegancko, iż „anioły mnożą się jak muchy" (choć już nie dzięki stosunkom z ludźmi - jak zapewniał Kościół). Późne źródło średniowieczne wylicza prawie czterysta milionów aniołów; ponad sto trzydzieści trzy miliony spośród nich strącono wraz z Lucyferem - i od tej pory dręczą nas w charakterze demonów. Te mroczne istoty także uszeregowano w dziewięć zastępów, z których każdy dzielił się na trzy hierarchie.

Oprócz naczelnego dowódcy - Szatana, do piekielnych wodzów zaliczali się: Belzebub, Lewiatan, Baalberith, Asmodeusz i Astaroth. Zarówno oni, jak i ich podkomendni robili co mogli, żeby podporządkować sobie, zarazić i zdemoralizować ludzkość. Było ich niesamowicie wielu: w Wiedniu w 1583 roku wypędzono z pewnej szesnastolatki aż dwanaście tysięcy sześćset pięćdziesiąt dwa demony. Jej babkę zaś spalono na stosie, gdyż przechowała je niczym muchy we flaszce. W Loudun we Francji w 1634 roku ksiądz Urbain Grandier został również spalony; oskarżono go o wysyłanie demonów, które opętały siostry urszulanki (zakonnice miewały erotyczne sny związane z osobą proboszcza). Dwa wieki wcześniej Joannie d'Arc „głosy" (między innymi św. Michał) poleciły bronić Francji od Anglików i dziewczyna potraktowała to dosłownie. Cała Francja błogosławiła anielskie głosy. Kiedy jednak pojmali Joannę Anglicy, uznali, że nie były one anielskie, lecz szatańskie, i dziewczyna poszła na stos w 1431 roku.

Lubieżne, upadłe anioły często lekceważyły sobie kościelny edykt zakazujący stosunków z istotami ludzkimi. Jako „incubi" lub „succubi" demony wślizgiwały się do niejednego średniowiecznego łoża i niepokoiły uśpionych. Władca demonów - rzecz jasna - miał opinię nieodpartego, choć przejmującego lodowatym dreszczem uwodziciela rozmaitych dam. W 1662 roku Isobel Gowdie z Auldeam w Szkocji przyznała się do współżycia z Szatanem i zwierzyła się, że karesy „Czarnego" były „zimne jak woda prosto ze źródła". Kościół doszedł do wniosku, iż najstosowniej będzie osoby, które splamiły się podobnym grzechem - no właśnie: spalić.

Dziś zamiast stosów aplikuje się thorazynę; demony przybrały postać łysych, szaroskórych i skośnookich kosmitów, przybywających w UFO i poniżających w perwersyjny sposób uprowadzonych Ziemian. Jak się ich pozbyć pod jedną postacią, to wracają w innym przebraniu!

A zatem, jeśli miało się do czynienia z aniołami, to z demonami też. Było to coś w rodzaju sprzedaży wiązanej - a kata-logi stawały się coraz bardziej skomplikowane. Około 1320 roku Dante w Boskiej Komedii podał szczegółową klasyfikację wszystkich istot - dobrych i złych, aniołów i demonów. Zestawienie to przetrwało wieki. Potem doszła do głosu reformacja i racjonalizm naukowy. W XVIII wieku wykształceni ludzie zapewniali, że anioły są tylko wytworem wyobraźni przesądnych, naiwnych prostaczków.

Wyglądało na to, iż z aniołami (i demonami!) rozprawiono się ostatecznie.

Anioły czy „plemię wróżek"?

Przetrwała - mimo wszystko - wiara w tajemne siły, a z nią przekonanie, że istoty ludzkie mogą podporządkować sobie anioły (albo demony) po odbyciu przepisowych ceremonii, stosując pewne środki ostrożności. Nie zawsze orientowano się, jaka jest natura i pochodzenie istot, które przyzywano. We wczesnorenesansowym traktacie De Subtiiitate (O subtelności) sławny matematyk i okultysta Jerome Cardan przekazał relację swego ojca Faciusa ze spotkania z siedmioma dziwnymi przybyszami; mieli oni wiele wspólnego ze stworzeniami powstałymi z żywiołów (zwanych też elementami).

Pojawienie się tych gości było skutkiem uroczystego, magicznego zaklęcia. Jerome opisuje to wydarzenie tak, jak opowiadał mu o nim Facius:

13 sierpnia 1491 roku: Gdy dopełniłem przepisanego rytuału, a była to mniej więcej dwudziesta godzina dnia, pojawiło się przede mną siedmiu mężów odzianych w jedwabne szaty, przypominające strój starożytnych Greków. Mieli przy tym błyszczące obuwie. Ich spodnie szaty jaśniały, a połyskujące karmazynem pancerze odznaczały się niezwykłym pięknem i wspaniałością.

Nie wszyscy jednak byli w ten sposób przy odziani – jedynie dwaj, którzy wydawali się znaczniejsi od innych. Wyższemu z nich, bardziej rumianemu, towarzyszyło dwóch, drugi zaś, jaśniejszy i niższy od pierwszego, wiódł trzech. Tak więc ogółem było ich

siedmiu. (Fabius nie wspomniał, czy goście mieli jakieś nakrycia głowy). Przybysze byli mężami koło czterdziestki, ale prezentowali się tak dobrze, jakby nie mieli więcej niż lat trzydzieści. Napytanie, kim są, odparli, że są ludźmi stworzonymi z powietrza, którzy rodzą się i umierają jak my. Co prawda życie ich trwało znacznie dłużej niż nasze, mogli nawet dożyć do lat trzystu. Spytani o nieśmiertelność duszy zapewnili, iż po śmierci nie ostaje się żadna cząstka, która nosiłaby znamiona ich osobowości. Gdy mój ojciec spytał ich, czemu nie odkrywają ludziom skarbów, o których istnieniu wiedzą, odparli, że zabrania im tego specjalne prawo, grożące najstraszliwszymi karami każdemu, kto podzieliłby się z ludźmi taką wiadomością. Przybysze pozostali z moim ojcem ponad trzy godziny. Gdy jednak zapytał ich o przyczynę powstania świata, nie byli jednomyślni w swych odpowiedziach. Najwyższy z nich zaprzeczył, jakoby Bóg stworzył świat z wieczności. Inny dodał, iż jest całkiem inaczej: Bóg tworzy świat nieustannie, z chwili na chwilę. Gdyby zaprzestał tego choćby na moment, świat przestałby istnieć... Czy to prawda, czy bajka - taksie sprawy przedstawiały".

Anioły? Jakoś mi na to nie wygląda. Miały swoje własne opinie. Nie zgadzały się z towarzyszami. Zostały wezwane zaklęciem Cardana, który chciał dowiedzieć się o ukrytych skarbach. Kierowały nim praktyczne pobudki, a nie jakieś idealistyczne cele. Przybysze odmówili pomocy, gdyż bali się kary. Kim albo czym więc byli? Sprawiają wrażenie demonów lub elementali. Alchemik Paracelsus (1493-1541) napisał:

„Elementale nie są duchami, gdyż mają ciało, krew i kości; żyją i wydają na świat potomstwo; jedzą i rozmawiają, działają i śpią, i tak dalej. Nie zasługują wobec tego na miano duchów". Podobnie jak szkocki duchowny, Robert Kirk (autor *The Secret Commonwealth of Elves, Fauns and Fairies* [Sekretnego królestwa elfów, faunów i wróżek]; zmarły w 1692 roku) - Paracelsus twierdzi, że ludzie mogą podporządkować sobie podobne istoty.

Krótko mówiąc, goście Cardana zdają się należeć do gatunku istot, które Kirk i inni Celtowie zwali „plemieniem wróżek": Jest to posiadająca wyraźne cechy charakterystyczne grupa stworzeń obdarzonych podobną do ludzkiej inteligencją oraz nadprzyrodzonymi mocami. Żyją one i poruszają się po świecie niewidzialne dla wszystkich z wyjątkiem mężczyzn i kobiet posiadających dar jasnowidzenia", jak to ujął znawca folkloru W. Y. Evans-Wenz. Co więcej, według dawnych ludowych wierzeń (irlandzkich i innych), „plemię wróżek" to w rzeczywistości „upadłe anioły".

Czym więc w istocie jest „anioł"? Jak poznać, kto właściwie pomógł nam uskoczyć spod nadjeżdżającego auta? Nadajemy temu komuś imiona zgodne z naszymi przekonaniami.

I jeszcze jedno: wróżki czy też elfy („małe, zielone ludziki") miały istną manię uprowadzania Ziemian, zwłaszcza dzieci, tak jak dziś podobno czynią kosmici podróżujący na latających spodkach. Zazwyczaj wykradały nie ochrzczone jeszcze dziecko, pozostawiając w zamian „odmieńca" - prymitywną drewnianą kukłę lub niewydarzonego elfa. Zwróćmy także uwagę na to, że porwani przez „Starszyznę" - jak średniowieczny szkocki bard Tnie Thomas (dosł. „Wiemy Tomasz") - po uwolnieniu przekonywali się, iż przez ten czas w świecie ludzi upłynęły całe lata, choć w kraju wróżek minęło zaledwie kilka godzin. „Stracony czas" jest również charakterystycznym elementem „uprowadzeń przez UFO".

Wygląda na to, że plemię wróżek także nie przepadło bez wieści.

Flirty doktora Dee z Madimi

Innym renesansowym łowcą aniołów był angielski mag z epoki elżbietańskiej, doktor John Dee (1527-1608). Zapisuje on w swoim dzienniku pod datą 30 kwietnia 1586 roku, że podczas pobytu w Pradze do towarzyszącego mu Edwarda Kelly, jasnowidza wróżącego z kryształowej kuli, zbliżył się jakiś „mały człowieczek", którego wziął początkowo za ogrodnika. Stworzenie to jednak, „którego stopy nie dotykały ziemi, zdawało się unosić w powietrzu na wysokości około 30 centymetrów". Człowieczek otoczony był „małym, płomienistym obłoczkiem", w końcu zaś zaskoczył całkiem Kelly'ego znikając „w wielkim słupie ognia". Dee przyłączył się do spacerującego po ogrodzie Kelly'ego i był niebawem świadkiem cudownego odzyskania przez niego ksiąg, które w tajemniczych okolicznościach spłonęły. Jedną z nich była Księga Henocha - hebrajskiego proroka, który rzekomo został żywcem zabrany do nieba i tam wcielony do grona aniołów.

Polegając jednak na Kellym doktor Dee dał dowód wielkiej nierozwagi, gdyż ów jasnowidz okazał się jednym z najbezczelniejszych oszustów w całych dziejach angelologii, Dee zaś padł ofiarą jego szalbierstwa. Był prawdopodobnie jednym z najmędrszych głupców swej epoki: jako dziewiętnastolatek został w Cambrdge członkiem naukowego kolegium Świętej Trójcy. Zajmował się kartografią, matematyką, projektowaniem obrony morskiej kraju, pisał podręczniki nawigacji. Pełnił także rolę szpiega admiralicji (agent 007!), a ponadto był filozofem znanym z trudnych dzieł, jak *Monas Hieroglyphica.* W

dodatku zgłębiał jeszcze tajniki alchemii i astrologii, usiłował nawiązać kontakt z aniołami i poznać tajemnice wszechświata.

W listopadzie 1582 roku, gdy zatopiony w modlitwie Dee przebywał w zachodniej komnacie swego domu w Mortlake, miał olśniewającą wizję: pojawił się przed nim nagle archanioł Uriel. Z uśmiechem podał mu kryształową kulę, zapewniając, że ilekroć zechce rozmawiać z aniołami, wystarczy, by w nią spojrzał, a pojawią się. Dr Dee nie miał jednak daru jasnowidzenia, toteż przez mniej więcej rok od owego momentu korzystał z usług różnych „jasnowidzów", którzy wpatrywali się w kryształową kulę, on sam zaś spisywał to, co mu przekazywali. Był w tej sytuacji całkowicie bezbronny.

Po nieudanej współpracy z poprzednim wieszczkiem, Bamabasem Saulem, Dee zatrudnił Edwarda Kelly'ego (alias Talbotta). Terminował on niegdyś u aptekarza, potem zaś został notariuszem. Kelly nosił zawsze rodzaj czarnej mycki z klapkami, chcąc ukryć blizny po uszach, które obcięto mu za fałszerstwo. Podejrzewano go również o odkopywanie zwłok na pewnym cmentarzu w hrabstwie Lancashire i wykorzystywanie ich do nekromanckich praktyk. Ukrywszy przed Johnem Dee swą niechlubną przeszłość, ten obdarzony magnetycznym urokiem łotrzyk wprowadził się wraz z żoną do domu swego protektora. Druga małżonka doktora, Jane, od pierwszej chwili poczuła do niego niechęć (i całkiem słusznie!).

Klęcząc przed kryształową kulą Kelly modlił się, „by został mu udzielony dar widzenia"; Dee też wzywał Boskiej pomocy. Następnie Kelly zdołał się rzekomo skontaktować z szeregiem „aniołów". Jeden z nich, imieniem Ave, wystawił cierpliwość doktora na ciężką próbę, dyktując (w dodatku w odwrotnej kolejności) teksty jakoby w „magicznym języku Henocha" - był to bezsensowny zlepek „symboli", wymyślonych przez Kelly'ego.

O wiele bardziej przypadła Johnowi do gustu odziana w jedwabne szatki Madimi, skrzyżowanie aniołka z elfem, „przypominająca śliczną dzieweczkę siedmio czy dziewięcioletnią... z wijącymi się włosami... igrała w powietrzu i na ziemi... i bawiła się w chowanego wśród moich ksiąg".

Trudno stwierdzić, czy Dee rzeczywiście widział Madimi, czy tak mu się wydawało, a może tylko udawał, iż dostrzega. Był skłonny do egzaltacji i bardzo podatny na sugestię - ale niewykluczone, że Kelly przekonał go również, o opłacalności całej sprawy. Wkrótce bowiem wieść o tych anielskich konwersacjach rozeszła się po całej Europie i do Mortlake przybył polski hrabia, Albert Laski. Bez trudu połknął haczyk, choć nie uczestniczył w seansach z kryształową kulą. Kelly zapewnił Laskiego, że zdobędzie wkrótce kamień filozoficzny, zostanie królem Polski i będzie żył wiecznie. Skłonił go w ten sposób do zaproszenia ich obu do swej ojczyzny. (Doktor Dee był zapewne drugim oszukanym naiwniakiem, a nie wspólnikiem oszusta). Mieli tam wyprodukować ów kamień filozoficzny. I tak oto Kelly i Dee wraz z rodzinami udali się do Krakowa. Żyli tam w zbytku i trwonili fortunę Laskiego na nie kończące się, bezowocne eksperymenty. Kiedy ołów nadal nie przemieniał się w złoto, a z majątku zostały tylko smutne resztki, Laski przekazał swych geniuszy cesarzowi Rudolfowi, władcy Czech. Udali się więc do Pragi - i tam właśnie Kelly w 1587 roku urządził anielski szwindel wszechczasów!

Pewnego wieczora, niezwykle wzburzony, wyznał doktorowi Dee, że ujrzał w kryształowej kuli coś „szokującego i niestosownego". Gdy Dee nalegał na dalsze wyjaśnienia, Kelly - pozornie z wielkimi oporami - zwierzył się, iż ujrzał Madimi całkiem golusieńką. Anieliczka oświadczyła: „Odkryłam przed tobą wszystkie me najintymniejsze sekrety. Tak samo wam nie wolno mieć przed sobą żadnych tajemnic i powinniście dzielić się wszystkim". Cóż to miało znaczyć? Ano to, że Kelly i Dee, by przyspieszyć sukces Wielkiego Dzieła, powinni - w zbożnym celu - wymienić się żonami.

Doktor Dee był wstrząśnięty. Kelly także symulował przerażenie. Dee początkowo był przekonany, iż Madimi opętały złe duchy, kiedy jednak (za pośrednictwem Kelly'ego) nawymyślała mu od „głupców, którzy niczego nie pojmują", dał za wygraną i oznajmił swojej Jane, co „anioł" polecił mu uczynić. Żona również była przerażona zawładnięciem Madimi przez złe duchy. Zdumiewające, lecz jakoś nie przyszło jej do głowy, że to robota Kelly'ego - może dlatego, iż wydawał się jeszcze bardziej wstrząśnięty niż jej mąż i ona sama. Tak więc w maju tegoż roku doszło do zamiany żon. W konsekwencji nastąpiła generalna klapa: wizje w kryształowej kuli ustały. Madimi odeszła, a Kelly i Dee rozstali się. Nie wiadomo, jakie były dalsze losy jasnowidza" - można jedynie mieć nadzieję (nie bez logicznych podstaw!), że spotkał go marny koniec.

„Wyjątkowi": od Swedenborga do Steinera

Pomimo renesansowych igraszek z kochliwymi elementalami i coraz większych wpływów rozumu, anioły nie dawały za wygraną. Nawet gdy pozornie zostały odrzucone jako wytwór zabobonnej fantazji, uparcie ukazywały się mistykom i okultystom. Od Cardana i doktora Dee do Swedenborga i Blake'a, od adeptów Złotej Jutrzenki do Steinera - ciągle ktoś obstawał przy tym, że nawiązał kontakty z aniołami, upadłymi albo i nie.

Szwedzki mistyk, Emmanuel Swedenborg (1688-1772), był naukowcem, poetą, mechanikiem, chemikiem, a także

pisarzem władającym biegle jedenastoma językami. Przez długie lata (wskutek bólu wzgardzonej miłości) starał się zdławić w sobie uczucia religijne i wszelkie emocje. Jednak w 1736 roku tama runęła. Doznał wówczas „omdlenia... które rozjaśniło mu umysł" i od tej pory często popadał w trans. Odwiedzał wówczas - jak twierdził - niebo i piekło i rozmawiał nie tylko ze zmarłymi, ale także z Chrystusem i aniołami. (Kontaktował się z nimi za pomocą myśli, przeszywających mu umysł niczym błyskawice). W swym dziele *O Boskiej miłości i mądrości* Swedenborg pisze: „Nie wierzcie mi tylko z tej racji, że widziałem niebiosa i piekło, rozprawiałem z aniołami...Uwierzcie mi, gdyż głoszę wam to, co wasza świadomość i intuicja same by wam podpowiedziały, gdybyście wsłuchali się w ich głos".

Anioły same nie sprawuj ą władzy, lecz są sługami Boga; „Dlatego właśnie anioły nie przypisują sobie żadnych zasług i są przeciwne wszelkiej wdzięczności i sławie z powodu czegokolwiek, co uczyniły. Całą sławę i chwałę przypisują Panu".

Duchy, z którymi Swedenborg się zetknął, nazwały go „Wyjątkowym", gdyż był jedynym człowiekiem mogącym przebywać w obu światach. Co więcej, to on złożył wizytę w ich świecie, a nie odwrotnie; jego wizje zaś zawierały przeczucia i proroctwa. W 1759 roku, przebywając w Góteborgu, z dala od Sztokholmu, pewnego wieczora o szóstej opuścił zgromadzone przy obiedzie towarzystwo, wrócił zaś bardzo zaniepokojony. Powiedział, że w Sztokholmie sroży się pożar. Dom jednego z przyjaciół uległ zniszczeniu, jego własny zaś był zagrożony. Dwie godziny później Swedenborg oznajmił, iż pożar ugaszono trzy domy od jego siedziby. Następnego dnia potwierdził to wysłannik, który przybył ze Sztokholmu. W 1762 roku wpadłszy w trans Swedenborg ujrzał, jak zabito w więzieniu cara Rosji, Piotra III; prasa doniosła niebawem o jego uduszeniu.

Wizjoner William Blake (1757-1827) widywał anioły na gałęziach drzew, często z nimi gawędził i malował je. Ten angielski prorok „mrocznych szatańskich młynów" w początkach rewolucji przemysłowej utrzymywał, że „wszelkie bóstwa mieszczą się w ludzkiej piersi" i odrzucał „wszystkie święte księgi i przepisy", które ludzką energię nazywały „złem". Widział ludzkość pogrążoną „w śmiertelnym śnie", skrępowaną „okowami rozumu". Podobnie jak Swedenborg - pozostał w ludzkiej pamięci, o tych zaś, którzy z niego szydzili, zapomniano.

Rudolf Steiner (l 861-1925), urodzony w Czechach Niemiec, zwany „naukowym badaczem niewidzialnego świata", wcześnie zdał sobie sprawę z tego, że dostrzega istoty i światy niewidoczne dla innych. Dowiedział się o śmierci swojej krewnej (ujrzał ją w jasnowidzeniu) i napisał potem; „od tamtej chwili w chłopcu rozwinęło się życie duchowe i uświadomiło mu istnienie światów, w których przemawiają do duszy ludzkiej nie tylko wyraźnie widoczne drzewa i góry, ale również kryjące się za nimi istoty".

Wybitnie zdolny, charyzmatyczny Steiner był początkowo wydawcą dzieł Goethego. Potem przyłączył się do Towarzystwa Teozoficznego, które opuścił w 1907 roku (z powodu oświadczenia, że młody Hindus Krishnamurti jest nowym wcieleniem Chrystusa). Stał się piewcą antropozofii (Mądrości Człowieka). W swych dziełach takich jak: *Teozofia, Wiedza tajemna i Znajomość światów wyższych* opisywał duchowo-fizyczne korzenie ludzkości, jej rozwój i oderwanie się od owych korzeni. Pisał, jak można odtworzyć i pogłębić dawne więzi. Przedstawił też własną wizję duchowego świata oraz jego wpływ na ludzkość.

Według jego schematu, pierwsze miejsce w hierarchii aniołów zajmują tzw. „archai", czyli Duchy Osobowości, które kierują wszelkimi powiązaniami między przedstawicielami rodu ludzkiego na ziemi. Żyjąc na falach czasu, mogą zmieniać duchowe ciała w różnych epokach. Od nich wywodzą się istoty zwane „bodhisattwa" i święci; przypominają oni ludzi, choć nimi nie są. Na następnym miejscu są archaniołowie, czyli Duchy Ognia. Ich zadaniem jest ewolucja gatunku ludzkiego i dusz poszczególnych ludzi. Zajmują się też kontaktami poszczególnych jednostek, społeczności i narodów. I wreszcie są zwykłe anioły, Duchy Wody, zajmujące najniższe miejsce w hierarchii. Każdemu z ludzi towarzyszy jeden taki anioł; stoi za nami, kieruje nami trzymając dłoń na naszym ramieniu; ma na nas największy wpływ w dzieciństwie. Gdy dorastamy, anioł wycofuje się, umożliwiając rozwój ludzkiej natury - jego miejsce zajmuje nasza własna osobowość. Później, gdy dzieło naszego życia zostanie już zaprojektowane lub ukończone, nasz anioł znów nam towarzyszy, gdyż zwracamy się ku sprawom ducha.

Oczywiście Steinera także wielu ludzi uważało za szaleńca, a jednak „szkoła mądrości", antropozofia - którą zapoczątkował - ostała się. Choć Steiner uważał ścisłe, wnikliwe rozumowanie za właściwą drogę do wiedzy, był również głęboko zaangażowany w praktyczne problemy socjalne. Pod koniec życia założył pierwszą tzw. szkołę Waldorfa; dziś mamy około czterystu „szkół steinerowskich" na świecie; stanowią one alternatywę tradycyjnej edukacji. Choć Steiner kontaktował się podobno z aniołami, śmiem przypuścić, iż nie wzbudziłby w nim entuzjazmu ckliwy komercjalizm dzisiejszej angelologii.

Anioły i astronauci: od Moroniego do Sojuza 7?

Anioły nie tylko przetrwały, ale jak niegdyś archanioł Gabriel przyczynił się do narodzin legendy, leżącej u podłoża zarówno chrześcijaństwa, jak i islamu, tak w znacznie późniejszych czasach inny anioł stał się inspiracją do powstania nowej religii. W nocy 21 września 1823 roku Josepha Smitha, założyciela poligamicznej sekty mormonów, odwiedził podobno anioł o imieniu Moroni. Objawił mu, gdzie znajdzie ukrytą księgę (spisaną na dwóch złotych płytach), zawierającą historię starożytnych mieszkańców Ameryki Północnej. Trzykrotnie tej nocy Moroni powracał, rano zaś Smith był skrajnie wyczerpany. Dowiedziawszy się o wszystkim ojciec poradził Josephowi, by posłuchał rad anioła. Smith znalazł tablice w kamiennym schowku, ale nie mógł ich stamtąd wydobyć. Dopiero po czterech latach anioł zezwolił mu na to. Odczytawszy i przetłumaczywszy „ulepszone egipskie hieroglify" za pomocą specjalnych kamieni czy soczewek, („Umim i Thummim"), znalezionych także w kamiennej skrzyni, Smith napisał The Book of Mormon (Księgę mormonów). Obecnie około trzydziestu tysięcy mormońskich misjonarzy pozyskuje co roku dwieście tysięcy nowych wyznawców. Kościół mormonów, którego „centrala" mieści się w dwudziestoośmiopiętrowym wieżowcu w Salt Lakę City, zgarnia w przybliżeniu około półtora biliona dolarów rocznie. Anioł Moroni istotnie przyniósł mormonom szczęście, choć samego Josepha Smitha spotkał marny koniec. Prorok, który pojął aż dwadzieścia siedem żon, w 1844 roku został zlinczowany przez rozwścieczony tłum. Moroni miał wówczas najwidoczniej inne sprawy na głowie.

Mniej wątpliwości niż Moroni (albo Madimi) budzą liczne relacje podróżników o niewidzialnych towarzyszach, wspierających ich na samotnym szlaku. Po powrocie z Bieguna Południowego sir Ernest Shackleton wspomniał, że on i pozostali uczestnicy wyprawy czuli obecność, jeszcze jednej osoby". Nie powiedział wyraźnie, o co chodzi, ale nietrudno się było domyślić. Alpinista Francis Sydney Smythe, zdobywając Mount Everest w 1933 roku, rozmawiał z jakąś przyjazną istotą, która wspinała się u jego boku. „W jej towarzystwie nie czułem samotności, wiedziałem też, iż nie spotka mnie nic złego - napisał. - Istota ta była zawsze przy mnie, by podtrzymać mnie podczas samotnej wspinaczki po pokrytych śniegiem zboczach. Gdy zatrzymałem się i wyjąłem z kieszeni miętowy baton, poczucie tej obecności było tak silne i niewątpliwe, że bez zastanowienia przełamałem balonik i wyciągnąłem rękę z połówką w stronę „towarzysza wyprawy". Alpinista uznał to przeżycie za halucynację.

Wspominając swój historyczny, trzydziestoczterogodzinny samotny lot nad Atlantykiem w 1927 roku, pilot Charles Lindbergh opowiedział, że zupełnie wyczerpany, pośrodku oceanu zapadł w sen - i wówczas jakiś inny, „niezwykły umysł" kierował samolotem. W stanie, gdy cała jego czaszka zmieniła się „w jedno wielkie oko, które dostrzegało wszystko od razu, Lindbergh czuł, iż wnętrze samolotu za jego plecami wypełniają jakieś zwiewne postacie, pojawiające się i nagle znikające; niosły one ze sobą „dawne więzy koleżeństwa, minione przyjaźnie, echa zamierzchłej przeszłości".

Jeszcze bardziej fantastyczna jest opowieść, którą przeszmuglował z Rosji w 1985 roku zbiegły naukowiec. Przedstawiciele amerykańskiej prasy rozpowszechnili oczywiście tę historię. Otóż, w sto pięćdziesiątym piątym dniu pobytu na pokładzie stacji orbitalnej Sojuz 7 kosmonauci Władimir Sołowiow, Oleg Atkow i Leonid Kizim przeprowadzali rozmaite eksperymenty. Nagle oślepiło ich jaskrawopomarańczowe światło. Zmrużywszy oczy ujrzeli „siedem olbrzymich postaci przypominających ludzi, ale ze skrzydłami i mglistymi aureolami; przypominały tradycyjne opisy aniołów. Wydawało się, że mają setki stóp wzrostu, a rozpiętość ich skrzydeł przypominała pasażerski odrzutowiec". Wszystkie miały identyczne twarze, okrągłe i anielsko uśmiechnięte. Towarzyszyły Sojuzowi przez kilka minut, a potem zniknęły. Po dwunastu dniach cała siódemka znów się pojawiła, ujrzało je również trzech nowych świadków.

„Byliśmy dosłownie oszołomieni - stwierdziła Świetlana Sawitskaja. - Wokół płonęło intensywne pomarańczowe światło, przez które widzieliśmy postacie siedmiu aniołów uśmiechających się tak, jakby miały jakąś wspólną tajemnicę".

Jaką mianowicie - wieść o rychłym upadku komunizmu? Kpinki sobie stroję? Bynajmniej! Stałym aspektem wizji anielskich i Maryjnych jest przekazywanie wieści lub tajemnic o światowym znaczeniu, na przykład ostrzeżeń o grożącej wojnie, które to wieści niewizjonerzy muszą przyjąć „na wiarę". I znów wszystko sprowadza się do wiary i zaufania, albo do ich braku. Jung zauważa w swej Psychologii i religii:

„Możecie najwyżej stwierdzić, że sami nigdy nie doświadczyliście czegoś podobnego; wówczas wasz oponent odpowie: »Przepraszam, a ja tak«. I będzie po dyskusji... A jeśli takie doświadczenie sprawi, iż wasze życie stanie się zdrowsze, piękniejsze, pełniejsze i bardziej satysfakcjonujące zarówno was, jak i waszych najbliższych, możecie spokojnie powiedzieć: »To była łaska boska«".

Jednak ci, do których nie przemawiają ani tradycyjne anioły, ani materialistyczna, całkowita negacja, mogą z większym

entuzjazmem zbliżyć się do aniołów traktowanych jako ubóstwione archetypy (pierwotne ogólnoludzkie wizerunki), odwołujące się do indywidualnej, grupowej i rasowej świadomości. Choć nie posiadają same żadnej postaci, są tylko czystą myślą, mogą przybrać dowolny kształt, zgodnie z oczekiwaniami, łącząc w sposób dynamiczny wyższe i niższe sfery świadomości. We śnie Jakuba o drabinie do nieba bezskrzydłe anioły chodziły w górę i w dół pomiędzy niebem i ziemią. Niektórzy sądzą zaś, że Jakub walcząc z aniołem zmagał się w rzeczywistości z samym sobą: zwierzęca dusza pragnęła przeobrażenia, a równocześnie opierała się inwazji ducha. Riike tak pisze o trwodze, jaką budzą podobne odwiedziny:

„Gdyby nagle groźny archanioł, wyszedłszy zza zasłony gwiazd, uczynił choćby jeden krok w naszą stronę, własne serca, bijąc coraz gwałtowniej, przyprawiłyby nas o niechybną śmierć".

Wróćmy jednak do kwestii: a jeśli „anioł" wcale nie jest aniołem?! Wiosną 1990 roku londyńska dziennikarka Kristina Cooper zapragnęła nagle poznać imię swojego anioła stróża. Nieoczekiwanie przyszło jej na myśl „Gregory". Jej przyjaciółka Vivian zadała w duchu to samo pytanie i usłyszała odpowiedź: „Harold". Kristina uznała rozmówki z Gregorym za niewinną zabawę ; zaczęło ją nękać jednak chroniczne zmęczenie - tak dalece, że zrodziła się w niej obawa, czy to przypadkiem nie zapalenie mózgu i rdzenia? Któregoś dnia Vivian zadzwoniła do niej pełna przerażenia. Pewien znajomy zostawił u niej The Hot Linę (Gorącą linię), książkę traktującą o wypędzaniu złych duchów przez anglikańskiego duchownego, Petera Lawrence'a. Na stronie sto czterdziestej szóstej autor opowiadał o dwóch duchach, z którymi się zetknął; nosiły one imiona Gregory i Harold. Gdy zapytał Je, co ze sobą niosą, odparły „zmęczenie". Kristina udała się do księdza, który położył ręce na jej głowie i pomodlił się, by opuściło ją to, co nie powinno tam gościć. Następnego dnia chroniczne wyczerpanie ustąpiło.

Bardzo możliwe, że każdy ma swego anioła stróża - zakończyła swoją opowieść Kristina. - Doszłam jednak do wniosku, że lepiej zadać sobie najpierw pytanie, skąd pochodzi wewnętrzny głos, który się nagle odzywa.

Oto dobra rada, do której się najwyraźniej nie stosował Aleister Crowley (1875-1947).

Złota Jutrzenka? - Crowley przywołuje Choronzona

Crowley był wiecznie zbuntowany przeciwko wpajanym mu od dzieciństwa zasadom Braci z Plymouth *). W 1898 roku ten angielski okultysta, który sam kreował się na „Wielką Bestię" (potwora z Apokalipsy św. Jana), został członkiem hermetycznego Zgromadzenia Złotej Jutrzenki, wspólnoty magów, na której czele stał wówczas ekscentryczny Macgregor Mathers

* Bracia z Plymouth - Plymouth Brethem - sekta powstała w 1830 roku w Południowej Anglii. Jej członkowie nie przyjęli żadnego formalnego wyznania wiary, nie mieli oficjalnych duchownych i nie odprawiali regularnych nabożeństw. Wiedli życie zgodne z pojmowanymi dosłownie nakazami Biblii (przyp. tłum.).

Mathers przełożył już wcześniej na angielski Księgę Świętej Magii Abramelina Maga, dość obrzydliwe piśmidło stworzone rzekomo w 1458 roku przez „Żyda Abrahama". Zawierało m.in. opis rytuału niezbędnego do wywołania własnego anioła stróża. Według zasad Abramelina człowiek, który chce podporządkować sobie upadłe anioły lub złe duchy i nie paść ich ofiarą, musi się do tego przygotować przez długotrwały proces oczyszczania i modłów. Autor zapewnia, że anielskie świetlane moce są potężniejsze niż upadłe duchy ciemności. Te ostatnie muszą służyć wtajemniczonym w Magię światła; że wreszcie wszystkie projekty materialne są realizowane przez złe duchy, jeśli zostaną ujarzmione przez Dobro - a zwycięstwo to można odnieść jedynie dzięki poznaniu swego anioła stróża.

Crowley (ilekroć nie znajdował się akurat na szczytach Himalajów lub upojenia narkotycznego) próbował nawiązywać kontakty z aniołami, zarówno według systemu owego Abrahama, jak i według rytuałów Henocha (podobnie jak John Dee). W 1901 roku w Kairze żona Crowleya, Rosę Kelly, przekazywała w transie wieści od „nadprzyrodzonej istoty rozumnej" imieniem Aiwass. Zapewnił on Crowleya, że jest „wysłannikiem Pana wszechświata" i wskazał obrzędy łączące w sobie elementy magii i erotyzmu, pozwalające skontaktować się z duchami z innych światów. Pewien eksperyment, przeprowadzony w 1909 roku na pustyni w Algierze przy współudziale Yictora Neuberga, polegał na wezwaniu Choronzona, „Strażnika Otchłani". Crowley był zdaje się przekonany, iż musi ujarzmić tę demoniczną istotę, by „przekroczyć otchłań" (czyli przejść przez śmierć), a następnie zostać „władcą wewnętrznych stref. Twierdził, że czyni to za radą „anioła".

Postanowił odbyć swe zapasy z Choronzonem wewnątrz magicznego trójkąta, nakreślonego na piasku. Zapadłszy w trans zezwolił, by Choronzon objawił się w jego ciele. Biograf Francis King tak o tym pisze: „Crowley miał być pierwszym magiem w dziejach nauk tajemnych, który złożył własne ciało w mistycznym trójkącie i zaoferował je złemu duchowi, by mógł się w

nim objawić".

Stojący poza trójkątem Neuberg ujrzał, jak zły, upadły duch obejmuje w posiadanie ciało Crowleya. Z przerażeniem dostrzegł (lub tak mu się zwidziało), że Crowley przemienia się w znaną mu z Paryża prostytutkę. Gdy nie udało się jej zwabić go do wnętrza trójkąta, zły duch zmienił znów kształty. Najpierw przybrał postać starca, potem węża, następnie znowu Crowleya, który błagał o wodę. Neuberg odmówił podania mu jej. Nagi Crowley-demon wyrwał się z magicznego kręgu i rzucił na Neuberga. „Zmagali się ze sobą na piasku; demon czynił szaleńcze wysiłki, by rozerwać zębami gardło Neuberga; temu udało się jednak w końcu wepchnąć go z powrotem do wnętrza trójkąta i wzmocnić zatarty zarys magicznym mieczem... Przez jakiś czas Neuberg i demon zawzięcie kłócili się: zły duch groził przeciwnikowi wszystkimi mękami piekieł, Neuberg wymyślał Choronzonowi od kłamców. W końcu demon zniknął. W magicznym trójkącie pozostał sam Crowley. Odkryli tam również słowo BA-BALON - na znak, że rytuał został dopełniony".

Neuberg nigdy nie przyszedł do siebie po tych przeżyciach (może zresztą i przedtem nie był całkiem normalny!). Co się zaś tyczy Crowleya, który zniszczył wielu swych współpracowników, jego żądza nawiązania kontaktów z nieludzkimi stworami łączyła się z pragnieniem zostania „prorokiem nowej ery". W 1919 roku twierdził, że zaznajomił się z istotą o imieniu „Lam", związaną z gwiazdozbiorem Syriusza i Andromedy. Namalowany przez Crowleya portret „Lama" przedstawia łysą, jajowatą głowę i twarz ze szczątkowymi ustami i nosem oraz parą oczu podobnych do wąskich, długich szparek. Obraz ten bardzo przypomina typowe wizerunki kosmitów-porywaczy z lat dziewięćdziesiątych naszego wieku. Anioły, kosmici, demony?

Crowley albo nie dostrzegał między nimi różnicy, albo nic go to nie obchodziło. Nienawiść do matki, która przemocą wbijała mu Biblię do głowy (to ona pierwsza nazwała go „Bestią"), sprawiła, iż „programowo" nie odróżniał dobra od zła. Jako jeden z pierwszych doświadczył dogłębnego poplątania pojęć, charakterystycznego dla obecnej doby; a może opętały go stwory z jego własnych koszmarnych snów?

Czy takie wyjaśnienie nie pasowałoby również do części - albo i wszystkich - osób, które w obecnych czasach utrzymują, że zostały uprowadzone przez kosmitów?

Wizje fantastycznonaukowe? - Strieber i Dick

Liczba osób twierdzących, że zetknęła się z UFO, rośnie w tempie zastraszającym, graniczącym z paranoją. W latach pięćdziesiątych pierwsi ludzie, którzy mieli podobno do czynienia z kosmitami, jak Adamski, Bethurum czy George King, zazwyczaj spotykali jaśniejące anielskie istoty z planety Wenus, zaniepokojone ziemskimi problemami z bombą atomową. Mogliśmy żywić nadzieję, iż bracia z kosmosu uratuj ą nas od zagłady, którą sami sobie zgotowaliśmy. Ostatnio jednak, gdy katolickie wizje Maryjne ostrzegają przed grożącą globalną katastrofą, a fundamentaliści grzmią o końcu świata, zamiast przyjaciół kosmitów zaczęli pojawiać się porwani przez „obcych", czyli ofiary ich przemocy. Uwidoczniło się to zwłaszcza w Stanach Zjednoczonych. Kult dolara doprowadził do sytuacji, w której bardzo często „duchowe przewodnictwo" można uzyskać jedynie (za grubszą forsę) na seminariach ruchu New Age. Czy odbiciem tego zubożenia nie są czasem relacje owych „uprowadzonych", które jakże często robią wrażenie nieudolnego naśladownictwa fantastyki naukowej?

Nieczuli, podobni do robotów kosmici z książki Striebera Wspólnota mają do ludzi taki stosunek jak naukowcy dokonujący wiwisekcji do zwierząt doświadczalnych; albo jak korporacje do konsumentów, lub władze państwowe do szerokich rzesz społeczeństwa. Czyżby to była nieświadoma parodia nękających nas obaw? Metaforycznych czy autentycznych - a może jedno i drugie? A co z patologicznym zjawiskiem o nazwie „syndrom fałszywej pamięci", występującym podobno w wielu przypadkach „przemocy satanistów wobec dzieci"? W związku z triumfalnym powrotem histerycznych „polowań na czarownice", wtrąca się do więzienia ludzi na podstawie zeznań dzieci, zachęcanych do wygłaszania niewiarygodnych oskarżeń. Były rzekomo wrzucane do basenów z rekinami, przypiekane w mikrofalówce, więzione w labiryncie. Niektórzy z oskarżonych przytakują wszystkim zarzutom, a nawet dodają od siebie inne nieprawości, by jeszcze bardziej się pogrążyć.

Czy przeżycia „uprowadzonych przez kosmitów" stanowią produkt tej samej mrocznej strony ludzkiego umysłu, a wizerunki „obcych" zajmują miejsce dawnego Szatana i demonów, „plemienia wróżek" czy elementali? Jeśli zaś tak jest w istocie, to czemu jedni widzą demony, a inni spotykają anioły?

Strieber, który podobnie jak Crowley utrzymywał, że takie doświadczenia wpływaj ą na zmianę stanu świadomości, zahipnotyzowany przypomniał sobie, iż w jego uprowadzeniu uczestniczyli przedstawiciele różnych gatunków kosmitów.

Największe wrażenie zrobiła na nim istota należąca wyraźnie do „rasy panów". Stwór był łysy, o skórze jakby wygarbowanej; odznaczał się pewną delikatnością i nie ulegało wątpliwości, że jest to istota rodzaju żeńskiego, nieprawdopodobnie stara. Zdradza ona uderzające podobieństwo (choć Strieber tego nie zauważył) do „Lama", znajomego Crowleya - z wyjątkiem oczu.

Jej zdumiewające oczy, elektryzujące swym spojrzeniem... ogromne, badające oczy zamierzchłych bogów, pozbawione wszelkich szczególnych cech, o niezauważalnej tęczówce i źrenicy... Jej dłonie rozpłaszczały się, gdy kładła je na jakimś przedmiocie. Kiedy swobodnie zwisały po bokach, zdawały się wąskie i smukłe... W pewnym sensie darzę tę istotę miłością podobną do tej, jaką czuję w stosunku do własnej duszy. Prawdopodobnie te same uczucia fascynacji i grozy obudziłyby we mnie spojrzenie głębi mojej podświadomości.

Strieberowi postać ta kojarzyła się z Isztar, babilońską boginią miłości i wojny.

Inna niezwykła dama z kosmosu wyłoniła się z warstwy fantastyki naukowej, nałożonej na anielski folklor. Jest to powierniczka szwajcarskiego gum Eduarda („Billy'ego") Meiera, który twierdzi, że - jako młody wieśniak - często spotykał się z przybyszami z planety ERRA (w gwiazdozbiorze Plejad). Była wśród nich Semjase, licząca sobie czterysta lat córka Ptaaha. Imię „Semjase" przypomina Shemyasa, występującego w Księdze Henocha przywódcę aniołów, którego wypędzono z nieba za stosunki seksualne z „córkami ludzkimi". „Ptaah" zaś jest dziwnie podobny do egipskiego boga Ptaha. Meier na dowód prawdziwości swych relacji przedstawia niesłychanie barwne fotografie pojazdów kosmicznych gości z Plejad. Krążą one nad soczyście zielonymi, szwajcarskimi pastwiskami. Zdjęcia te cieszą się wielkim popytem u wyznawców, pełnych podziwu dla „prostej chłopskiej mądrości" swego guru. Dzięki niej nieźle się dorobił na promowaniu „najbezczelniejszej blagi" - jak to określa większość. Nawiasem mówiąc, Strieber też na swej martyrologii finansowo nie stracił.

Jaki stąd wniosek? Znowu to samo: że religijne przeżycie albo wizja (UFO-logia także ma podłoże religijne!) jest istotne - mimo wszystko! Meier jest zapewne oszustem, Strieber być może nieświadomie oszukuje siebie i innych, gdyż skłania go do tego bujna wyobraźnia - ale rozsądek nigdy nie był właściwym narzędziem do badania spraw nie dających się wyrazić słowami. Albo się w coś wierzy, albo nie. Anioły zaś, choć to istoty zapewne równie efemeryczne, jak i kosmiczni kidnaperzy, przynajmniej krzewią w nas pozytywne myślenie, serdeczne uczucia i promowaną przez New Age etykę „osobistego rozwoju", która prawdopodobnie w dużym stopniu przyczynia się do obecnej popularności tego ruchu. Czy nie lepiej więc skoncentrować się na aniołach niż na demonach lub skośnookich kosmitach o szarej cerze?

Jednak nie wszystkie relacje o niezwykłych kontaktach oparte są na takich oklepanych schematach. Na przełomie lutego i marca 1974 roku kalifornijski pisarz Philip K. Dick (1928-1982) miał następujące doznanie: „umysłem moim zawładnął inny, transcendentalnie racjonalny umysł, i poczułem się tak, jakbym przez całe dotychczasowe życie był niespełna rozumu i nagle odzyskał go w całej pełni".

Dick, autor wielu dzieł (zaliczanych do literatury fantastycznonaukowej), w których zazwyczaj zaprzeczał istnieniu obiektywnie realnego świata, tym razem był głęboko zatrwożony bezsensem swego życia, nieudanymi małżeństwami i konfliktami z bezduszną biurokracją. Wówczas jednak - jak twierdził - „interwencja Boskich sił przywróciła mi rozum i uleczyła ciało". Cudowna moc objawiła się jako promień różowego światła, który wywołał u niego anamnezę: przypomnienia odwiecznych prawd. Leżąc bezsennie w łóżku pewnej marcowej nocy 1974 roku, „owładnięty strachem i melancholią", Dick przeżył coś, co tak następnie opisał;

Nagle ujrzałem wirujące światła, które znikały z niezwykłą szybkością, a na ich miejsce zjawiały się nowe – i to mnie całkowicie rozbudziło. Przez prawie osiem godzin z rzędu obserwowałem te zatrważające wiry świetlne, jeśli można tak to określić. Krążyły nieustannie dookoła, poruszając się z nieprawdopodobną szybkością. Najbardziej dojmujący ból sprawiał mi pęd własnych myśli, które były jakby zsynchronizowane z tymi światłami. Miałem wrażenie, że one tkwią nieruchomo, a poruszam się ja sam – czułem, iż mknę z prędkością światła, a nie leżę w łóżku u boku żony. Targał mną nieprawdopodobny niepokój ".

Innej nocy podziwiał „dosłownie setki tysięcy doskonałych w każdym szczególe abstrakcyjnych obrazów... [zmieniających się] jeden po drugim z oszałamiającą szybkością" - i dzięki temu spędziłem ponad osiem godzin rozkoszując się najpiękniejszymi i budzącymi największy zachwyt i wzruszenie dziełami, jakie kiedykolwiek oglądałem - byłem świadomy, że jest to cud".

Później, za pośrednictwem głosu, który określił terminem AI (*artificial intelligence* - sztuczna inteligencja), przemawiającego doń we śnie lub w stanach hipnotycznych, Dick nawiązał rzekomo kontakt z grecką boginią Afrodytą

(„twórczą zarodnią wszelkiego życia"). Utożsamiał ją ze swoją „animą", żeńskim pierwiastkiem własnej duszy. (Podobnie Strieber uważał swą wielkooką kosmitkę za „animę" oraz Isztar, babiloński odpowiednik Afrodyty). Dick zaczął dostrzegać na ścianach swego mieszkania różowe wzory geometryczne. Pewnego razu bez ostrzeżenia promień różowego światła eksplodował z błyskiem flesza, wtłaczając ładunek informacji pozaziemskich do jego świadomości.

Dick ujrzał też trzyokiego stwora (nie licząc trzeciego oka, rysunki przedstawiające tę istotę przypominają Crowleyowskiego „Lama" oraz „Isztar" Striebera). Przybysz powiedział mu, że powinien zwolnić swego agenta (Dick uczynił to i zainkasował nie wypłacane mu od lat tantiemy), a także ostrzegł, iż jego synek cierpi na nie rozpoznaną przepuklinę w pachwinie. Było tak rzeczywiście: synowi udało się ocalić życie.

Dick utrzymywał, że trzy oka istota znała hebrajski, grecki i sanskryt. Pod jej wpływem przejął pogląd gnostyków, uważających Ziemię za planetę-więzienie, opanowaną przez wrogą siłę, której przejawem w starożytności było cesarstwo rzymskie, obecnie zaś imperium korporacji. Jego relacja (Exegesis - osiem tysięcy stron rękopisu!) o tym, jak został „powołany przez Żywego Boga" do zwalczania i demaskowania demonicznego imperium, ma wyraźne cechy megalomanii paranoidalnej. Niewątpliwie wielu przyjaciół (choć przywykli już do jego ekscentrycznych pomysłów) miało wrażenie, że Dick traci zmysły. On sam również to podejrzewał, choć do końca potrafił się śmiać i pokpiwać z własnych dziwacznych przeżyć.

A jednak, a jednak... może Phila Dicka rzeczywiście odwiedził i udzielił mu pociechy anioł...? Wszystko zależy od tego, pod jakim kątem na to spojrzymy. Z całą pewnością jego przeżycia potwierdzają uwagę Riikego: „Każdy anioł budzi grozę". Opis „zatrważających wirów świetlnych, [które] krążyły i krążyły dookoła" zdradza dziwne podobieństwo do wizji proroka Ezechiela. Widział on koła poruszające się wewnątrz innych kół; a „bolesnego pędu myśli" także doświadczali już przed nim inni.

Anioły New Age: Wspólnota nad Zatoką Findhorn

Niektórzy zwolennicy ruchu New Age (przejmujący elementy wierzeń - w wersji oryginalnej lub „ulepszonej" - starożytnych Celtów, gnostyków i pogan - a więc nie zasługujące specjalnie na epitet „New" - nowy!) częstokroć usiłują połączyć metody naukowe z czymś, co dawniej określano jako „czary". Przyswoili sobie „tajemnice ziemi" i różne „energie", których istnienia nauka tradycyjna nie uznaje. Utrzymują, iż starożytne ludy wykorzystywały owe siły dla zapewnienia płodności i urodzaju oraz że pradawna wiedza obejmowała kontakty z potęgami „anielskimi" (i „demonicznymi").

Niedawno brytyjska grupa New Age, badająca tajemnice ziemi, o nazwie Dragon Project (Projekt - lub ukazanie się, żeby nie powiedzieć: Wejście - Smoka), podjęła eksperyment, polegający częściowo na badaniu snów związanych ze specjalną lokalizacją. Wolontariusze wyruszają do dawnych pogańskich ośrodków kultu, by spędzić tam noc - i śnić. Trzy takie miejsca: święta grota, święte źródło i neolityczny dolmen (czyli kromlech) znajdują się w Konwalii; czwartym jest Cam mgli, „Anielski Szczyt" w hrabstwie Pembrokeshire. Występujące tam siły elektromagnetyczne sprawiają, że kompasy zaczynają wirować i stają się całkiem bezużyteczne. Tu właśnie około roku 500 n.e. św. Brynach rozmawiał podobno z aniołami. Do grona osób, które od 1991 roku spędziły noc pod gołym niebem na tym szczycie o wysokości około 350 metrów, w nadziei na podobne spotkanie, należy czterdziestotrzyletni Laurence Main.

Św. Brynach przychodził tu, by modlić się i pościć - twierdzi. - Zwykł sypiać na szczycie i rozmawiał z aniołami, które siadały wokół niego na skałach. To były walijskie „schody wiodące do nieba". - Laurence dodaje: - „Ścieżki ducha (zwane też Uniami granicznymi) zbiegają się na tej świętej górze. Chcemy wykazać, że ziemia jest żywa i należy traktować ją z szacunkiem. Ścieżki ducha są jak okna otwarte na inne wymiary — i właśnie dlatego św. Brynach mógł spotykać się z aniołami".

Gdy śpiący na każdym z takich świętych miejsc zostają obudzeni (z ruchu gałek ocznych można poznać, iż właśnie coś im się śniło), asystent notuje ich wspomnienia senne. W ten sposób zebrano do początku 1994 roku ponad sto sennych relacji; przesyła sieje następnie do przeanalizowania psychologowi, dr Stanieyowi Krippnerowi z San Francisco. Nie mam pojęcia, czy panu Mainowi i jego towarzyszom"ochotnikom udało się powtórzyć wyczyny św. Brynacha, ale podejście do sprawy, jest, co tu dużo gadać, NOWE (New)!

Nietrudno jednak przeholować. Wystarczy wyjąć jedną cegiełkę z muru racjonalnego myślenia, a cały pójdzie w rozsypkę. Ludzie „nawracają się" i przerzucają z jednej ostateczności w drugą - kończą uwikłani w „syndrom podejrzanego guru": albo

pozwalają, by jakiś rzekomy autorytet kierował ich życiem, albo beztrosko zachłystują się wiarą w „niepoznawalne" - tylko dlatego, że takie jest i nie wymaga rozsądnego zastanowienia.

W połowie lat sześćdziesiątych naszego wieku z północnej Szkocji zaczęły napływać wieści o tym, iż na nagim, piaszczystym skrawku ziemi, wrzynającym się w burzliwe Morze Północne, jakaś niezwykła wspólnota w cudowny sposób hoduje nieprawdopodobnie wielkie warzywa na kamienistej glebie. Za duchowym przewodem swej przyjaciółki, Dorothy Maciean, para hotelarzy, Peter i Eileen Caddy, zrezygnowała z prowadzonego dotąd przedsiębiorstwa w pobliskim Forres i przeniosła się na pole kempingowe nad wietrzną Zatoką Findhom. Tego sobie właśnie życzą duchy przyrody, czyli dewy - orzekła Dorothy. Tak więc dzięki owym dewom (a także ciężkiej, wytrwałej pracy) przybysze zaczęli hodować wielkie jarzyny - które podobno wzbudziły zdumienie rządowych speców od upraw rolnych. Nawet za granicę dotarły plotki o dewach. W połowie lat siedemdziesiątych - po ukazaniu się *The Magie of Findhorn* (Magii Findhom), pióra Paula Hawkena, jednego z pierwszych amerykańskich entuzjastów nowego ruchu - legenda była już dobrze ugruntowana.

Poszukiwacze prawdy z całego świata, a zwłaszcza ze Stanów Zjednoczonych w ogóle, z Kalifornii zaś w szczególności, zjeżdżali się do tej rozrastającej się wspólnoty New Age, położonej rzekomo na końcu świata. Realizowane przez telewizję filmy dokumentalne sugerowały, że za bramami tego niezwykłego raju znajduje się tylko puste morze, wietrzne niebo i jałowe piachy, zamieszkiwane przez miejscową ludność, porozumiewającą się tak dziwną gwarą, iż podobno trzeba było ich wypowiedzi opatrzyć na filmach objaśniającymi podpisami. Francuski reżyser filmowy Louis Malle stworzył artystyczne dzieło pt. „Obiad z Andrò". Zauroczony dewami dyrektor nowojorskiego teatru opowiada sceptycznie nastawionemu przyjacielowi, jak to dach centralnego budynku Wspólnoty w Findhom został wywindowany w górę i osadzony na właściwym miejscu dzięki potędze myśli wszystkich członków tej społeczności! Wobec tego każdy turysta zainteresowany ruchem New Age, znalazłszy się na terenie Szkocji, sunął jak po sznurku do Findhom przywitać się z dewami.

Tak się akurat składa, że wychowałem się w pobliżu Findhom i od 1988 roku do 1992 roku mieszkałem w tej okolicy, często korzystając z biblioteki i księgami Wspólnoty. Ich reprezentacyjne centrum jest elegancką budowlą, w której można się zapoznać z osiągnięciami światowej muzyki i obejrzeć inne imprezy, rzadko dostępne dla mieszkańca tego północnego, rolniczego regionu. Nie ma jednak absolutnie żadnych dowodów na to, że gmach wzniesiono jakimiś nietypowymi metodami - nie słyszałem też nigdy, by ktoś napomykał o czymś takim. Osobiście wolę małe, zabawne domki, budowane z beczek po whisky, od wykonanych według specjalnych projektów nowoczesnych, energooszczędnych budynków mieszkalnych, które stawia fundacja wspierana przez darowizny wielkich korporacji. Nie mam wszakże zwyczaju zwracać uwagi na złośliwe lokalne plotki na temat machlojek z towarzystwami ubezpieczeniowymi. (Poszukiwacze prawdy przybyli z zagranicy przekazują na rzecz fundacji żywą gotówkę, a następnie zapisują się do Wspólnoty, co im się podono opłaca). Odczuwamy obecnie pewną ulgę, gdyż nie włóczy się już po okolicy tak wielu mistyków z błędnym wzrokiem, poszukując swych przyjaciół od serca z XIII wieku - w kolejnym wcieleniu. Kursy organizowane przez fundację są kosztowne, a dewy jakoś zeszły na dalszy plan w obliczu nowej, prężnej działalności.

Najbardziej zdumiewający jednak - choć nie wspomniany w żadnej międzynarodowej reklamie - jest fakt, że mniej więcej co pięć minut nie sposób zamienić słowa w całej Wspólnocie: tak niesamowicie hałasują wyposażone w radary dalekiego zasięgu samoloty zwiadowcze, pędząc po pasach startowych bazy RAF-u w Kinioss i wzbijając się stamtąd w powietrze. Pole kempingowe znajduje się bynajmniej nie na odludziu, lecz dosłownie przylega do drutów kolczastych, odgradzających od północy największe lotniska wojskowe w północnej Brytanii. To już samo w sobie graniczy z cudem. Luksusowa, rozreklamowana na całym świecie enklawa New Age, siedziba pokoju i miejsce spotkań z aniołami, stoi „główka przy główce" ze znacznie kosztowniejszą jeszcze enklawą wojny i destrukcji.Może właśnie dlatego dewy upodobały sobie to miejsce? Żeby piaszczysta ziemia rodziła owoce, a w mrokach wojny zabłysło duchowe światło?

I jeszcze jedno. Okolica bynajmniej nie jest jałowa i wyludniona (jak głosi popularny mit); to ujście rzeki, najżyźniejszy fragment bardzo urodzajnego regionu. Klimat łagodny, ziemia przeważnie dobra. A ponieważ latem słońce świeci tu przez 20 godzin na dobę, plony mogą być fantastyczne.

A zatem lepiej pamiętać - bez względu na to, czy cuda anielskie albo inne dziwy są realne, czy też nie - jak łatwo powstają legendy, zrodzone z samej tylko ludzkiej wiary (lub niewiary), nawet wbrew oczywistym faktom. W dodatku warto odnotować, jak dalece wiara kształtuje społeczne realia. Na przykład: to, czy Chrystus rzeczywiście żył i dokonał tego wszystkiego, co podają Ewangelie, czy tak nie było, jest nieistotne wobec faktu, że masowa wiara w jego boskość utrzymywała się przez ostatnie dwa tysiąclecia naszej historii. W tym sensie cuda istnieją, jeśli się w nie wierzy - istnieją również konsekwencje owej wiary. Wziąwszy to wszystko pod uwagę, może - po prostu: może... anioły naprawdę istnieją, a cuda się zdarzają.